

WIOLETTA SAWICKA

Dramatyczne  
dzieje polskiej  
rodziny  
ziemiańskiej  
z wileńskich  
Kresów.

STYCZNIK GDAŃSKA

*Viktoria*  
MIŁOŚĆ

ZZA ŻELAZNEJ KURTYNY

Prószyński i S-ka

WIEK MIŁOŚCI  
WIEK NIENAWIŚCI



WIOLETTA SAWICKA

*Viktoria*

MIŁOŚĆ

ZZA ŻELAZNEJ KURTYNY

Prószyński i S-ka

Copyright © Wioletta Sawicka, 2022

Projekt okładki  
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce  
Nicole Matthews / [Arcangel](#)

Redaktor prowadząca  
Anna Derengowska

Redakcja  
Ewa Witan

Korekta  
Katarzyna Kusojć  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-631-3

Warszawa 2022

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

# CZEŚĆ PIERWSZA

# Rozdział I

## Serce z bursztynu

*Wilno, 1952*

Było już ciemno, gdy przyjechała milicja i karetka pogotowia. Wcześniej zbiegli się miejscowi. Ktoś zaśwycił latarką do środka samochodu, ktoś powiedział:

– Dziewczyna żyje! Wyciągnijmy ich!

Ludzie wyszarpywali bezwładne ciała z wraku auta, odsuwali pogięte blachy, by uwolnić zakleszczone nogi Anny. Wreszcie wynieśli ich z samochodu i ułożyli na ziemi jedno przy drugim.

Przeszył ją ból, gdy patrzyła na nieruchomą sylwetkę ukochanego. Był tak nieodwracalnie martwy. Wytrzymałam dla ciebie, mówiła w myślach. Ktoś położył obok ciało Jegera, mimo woli zwiększając jej cierpienie. Wyciągnęła zdrową rękę, by choć dotknąć sierści przyjaciela.

Rozpętała się burza, lunął rześisty deszcz. Wokół ciał prędko robiły się kałuże. Przykryto ich brezentową płachtą, mówiono coś, czego półprzytomna Anna nie mogła zrozumieć. Słyszała syreny nadjeżdżających samochodów, milicyjne komendy, rozpaczliwy krzyk matki. Ktoś odsłonił plandekę.

Otworzyła oczy i w blasku latarek zobaczyła nad sobą wianuszek głów ludzi w białych fartuchach, milicyjnych mundurach, a także przerażoną mamę, która klęczała przy niej, gładziła czoło i mówiła łamiącym się głosem:

– Powiedzieli mi, że zginęłaś...

Iwanow też przykucnął obok. Z runda jego kapelusza skapywały krople deszczu. Twarz miał gniewną, gdy spytał, nachyliwszy się do jej ucha:

– Kto do was strzelał, Anno?

– Polacy... – wydobyła z siebie słaby głos. – Przyjechali... ciężarówką.

Więcej nie zdołała powiedzieć, straciła przytomność.

Ocknęła się dopiero w szpitalu. W wysokiej sali, rozjaśnionej mdłym światłem sufitowych plafonów, nie było więcej pacjentów, tylko dwie pielęgniarki i milicjanci w drzwiach. Mama, w białym kitlu na ramionach, siedziała przy łóżku. Oczy miała zaczerwienione i jeszcze wilgotne włosy. W ciemnej szybie odbijała się jej pochylona postać.

– Dzięki Bogu, żyjesz, córeczko – mówiła, próbując panować nad łzami. Gładziła czule jej czoło. – Mało nie umarłam ze strachu, gdy milicjant przyniósł do Ostojanów meldunek o zamachu pod Lidą. Mówił, że nikt nie przeżył. Po co wyście tam pojechali... – Zawisło w powietrzu ni pytanie, ni wyrzut.

– Gdzie Wadim? – wychrypiała Anna. – To znaczy jego... ciało?

– W kostnicy. Siergiej powiedział, że zawiozą go do domu. Do rodziców. A Jegera pochowamy w ogrodzie. Zrobili obławę, żeby złapać zamachowców.

– A serduszko? Moje serduszko? – Przelewała się, czując pustkę w prawej dłoni. Lewa była bezwładna. – Wadim dał mi serduszko.

– Tu je mam. – Maria rozprostowała zwiniętą pięść, w której leżał bezcenny podarek. – Zaraz zabierają cię na operację. Przechowam je, aż wrócisz. Będziesz musiała złożyć zeznania. Milicjanci czekali, aż się ockniesz. Dasz radę?

– Tak.

Opowiedziała tamtym, co zapamiętała, choć nie było tego wiele. Wadim od razu pchnął ją w dół i chyba dlatego nie zginęła razem z nim.

– Ilu ich było? Jak wyglądali? – wypytywał starszy z funkcjonariuszy. Młodszy zapisywał informacje w notesie.

– Z ciężarówki wyskoczyło... chyba trzech... – Wytężała pamięć. – Czwarty rzucił ze środka granatem w milicyjny gazik. Jeszcze kierowca. Pięciu. Długie płaszcze, młodzi. Jeden miał brodę.

– Nie męczcie już pacjentki, towarzysze milicjanci. – Do sali wszedł lekarz. Niski, gruby, w białym czepku na głowie. – Zabieramy dziewczynę na operację.

Wyjęto jej kulę spod obojczyka, zestawiono kończyny, ale coś poszło nie tak i trzeba było robić drugi zabieg, gdyż dostała wysokiej gorączki. Ze szpitala w Lidzie przewieziono ją do kliniki w Wilnie. Iwanow sprowadził z Moskwy najlepszego chirurga, który uratował nogę przed amputacją, jednak duszy nie umiał naprawić.

Unieruchomiona na wyciągu, pogrążona w apatii Anna godzinami wpatrywała się w serduszek z bursztynu. Była w nim zatopiona maleńka muchówka. Skojarzyło jej się, że ona sama jest jak ten martwy owad, tak zastygła w nieznanym dotąd drętwoce i zubożeniu.

Gdyby choć mogła zmusić się do łez, może byłoby jej lżej znosić żal, ale nie nauczono jej płakać. Płakała więc bez łez, zastygłymi oczami, tak jak kiedyś kazała robić to braciom.

Nie chciała czytać książek, które zносиła mama, ni rozmawiać z psychiatrą, którego do niej sprowadziła. Nic nie było w stanie tchnąć w nią życia. Z jednym wyjątkiem.

W połowie lipca Iwanow przyniósł wiadomość, że wyłapano wszystkich zamachowców. Wtedy poczuła coś więcej niż fizyczny ból i wewnętrzny marazm; wszystkim bez wyjątku życzyła śmierci.

– Niech ich zabiją – wycodziła przez zęby.

– Zostaną skazani.

– Nienawidzę ich. Nienawidzę tego miejsca! Dlaczego Wadim? On na to nie zasłużył. Był taki dobry... – wyrzucała z siebie pełne gorzkości słowa, utkwivszy oczy w mężczyźnie w jasnej eleganckiej marynarce, który zamyślony siedział obok łóżka i stykał ze sobą palce dłoni.

Przysunęła łańcuszek z serduszkami w stronę okna. Wpadające przez brudne szyby promienie popołudniowego słońca otuliły bursztyn, który w ich blasku przybrał barwę ciemnego miodu. Taką jak oczy Wadima, gdy śpiewali wtedy o Wołdze.

– Był pan kiedyś nad Wołgą?

– Parę razy. Chcesz tam pojechać?

– Nie. Niech pan już idzie.

– Mam dla ciebie list od twoich braci. Możesz im odpisać, jeśli dasz radę jedną ręką. Chyba że podyktujesz mi treść. – To mówiąc, wyjął z teczki kopertę, papeterię, pióro i położył na szafce. – Otworzyć? – zapytał, wskazując oczami na list i zagipsowaną rękę Anny.

– Poradzę sobie.

Chwyciła kopertę. Po stronie adresata, u góry w lewym rogu, widniały dwa różne charaktery pisma. Bardziej staranny podpis – „Klaus Hoffenberg”, i trochę kulfoniasty – „Rudolf Hoffenberg”. Dorosłość, chłopaku, skoro stałeś się Rudolfem, posłała młodszemu z braci ciepłe myśli.

Rozerwała kopertę i przeczytała krótki list pisany przez Klausa.

*Berlin, 5 lipca 1952*

*Droga Siostrzo,*

*w domu dziecka jest nam bardzo dobrze. Uczymy się i pracujemy dla naszej socjalistycznej ojczyzny – Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nasz wychowawca mówi, że jesteśmy wybrani, bo żyjemy w pierwszym na świecie pokojowym państwie niemieckich robotników i chłopów.*

*Niedawno zostałem przewodniczącym kolektywu naszej grupy. To bardzo odpowiedzialna funkcja i jestem dumny, że koledzy mnie wybrali. Rudolf jest przewodnikiem pracy pionierów młodych budowniczych, bo po lekcjach i w niedzielę chodzimy na ochotnika z naszym kolektywem odbudowywać Berlin. Trenujemy piłkę nożną. Każdy dzień zaczynamy od ćwiczeń na podwórku. Hartujemy się przez sport, więc nie chorujemy.*

*Sprawujemy się i uczymy dobrze, żeby dawać dobry przykład kolegom i koleżankom. Niczego nam nie brakuje, więc nie martw się o nas. Czekamy, aż przyjedziesz nas odwiedzić.*

*Klaus i Rudolf*

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem nieznośnie oficjalny list. Wyglądał jak pisany pod dyktando.

– Złe wieści? – zagadnął Iwanow.

– Dziwny ten list. Podpisali się prawdziwym nazwiskiem. Wiedzą o naszym ojcu?

– Zapewne. Niemiecka Republika Demokratyczna nie zakłamuje prawdy o zbrodniach faszystów. Młode pokolenie Niemców musi się wstydić za czyny swoich ojców.

– Nie wierzę, że mój ojciec był gorszy od tych, co tutaj zabijają ludzi. Nic panu o nim nie powiem, niech pan zapyta moją mamę.

– Nie zamierzam jej o to pytać, co nie zmienia faktu, że naziści odpowiadają za śmierć milionów Rosjan i nie tylko Rosjan.

– Rosjanie też zabijali, ale przedtem gwałcili i kradli. Strzelali do dzieci, choć nie było już wojny, tylko dlatego, że byliśmy Niemcami. Wadim stanowił wyjątek i może też trochę pan. – Przeniosła spojrzenie na mężczyznę.



Widziała, że nie spodobało mu się to, co powiedziała. Nachylił się do jej ucha i rzekł, zniżając głos:

– Dla własnego dobra powinnaś zachować znacznie większą powściągliwość. Głośne wyrażanie tego typu opinii o Rosjanach jest niebezpieczne. Weź sobie do serca moją radę.

– Mam serce z bursztynu.

– Nie rozumiem. – Spojrzał na dziewczynę zdezorientowany. Jej niebieskie oczy zdawały się nieobecne. Prawie nie mrugała, tylko wpatrywała się pod światło w to serduszko.

– Nie musi pan.

– Chyba się domyślam. Mnie też bardzo żal Wadima. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, mów śmiało. – Iwanow położył rękę na jej ramieniu.

Jego twarz nabrała łagodniejszego wyrazu. Odmalowało się na niej także coś, czego Anna nie potrafiła określić. Jakieś zażenowanie czy poczucie winy, że zamiast niego to ona została przykuta do łóżka, zagipsowana od pasa w dół, a Wadim leży na cmentarzu w rodzinnej wiosce.

– Chcę wyjechać do Niemiec.

W odpowiedzi tylko skinął głową.

Minęła czwarta, gdy wyszedł ze szpitala. Powinien jeszcze wrócić do biura, ale męczył go panujący upał. Zdjął marynarkę, przypalił papierosa i zmrużywszy oczy od słońca, obserwował ruch na placu po drugiej stronie.

Przy wózku z lodami ustawiała się długa kolejka. Do beczki z kwasem chlebowym również stało sporo ludzi. Pobliską budkę z piwem i wódką, sprzedawaną na szklanki, obstała gromada żulików. Iwanow pomyślał mimochodem, że w Związku Radzieckim mogło brakować mięsa czy owoców, ale nigdy wódki. Coraz bardziej zaczynało go to mierzić, podobnie jak kłamstwa, wokół których się obracał.

Przydeptał niedopałek, wszedł do nieznośnie nagrzonej pobiedy i pojechał na Zamkową.

Od prawie miesiąca mieszkał razem z Marią w jej dawnym wileńskim mieszkaniu.

Wychował się w Leningradzie, wcześniej został sierotą, rodzeństwa nie miał, nawykł więc do samotności. Jednak życie, które wiódł od niedawna, stanowiło interesującą odmianę. Odkrył, że przyjemniej wraca się do domu, gdy ktoś w nim jest i czeka.

Lubił ich wieczory w salonie, poranne kawy w kuchni, samą obecność Marii, choćby tylko milczącą. Gotowała dla Anny obiady, które nosiła do szpitala, ale jemu też zostawiała na kuchni przysmaki. W takiej atmosferze prędeż, niż mógł przypuszczać, poczuł się udomowiony i zaczynał mu odpowiadać ów stan.

Jeszcze nic między nimi nie zaszło. Maria była tak skupiona na córce, że wszystko inne przestało się dla niej liczyć. On też nie narzucał się ze swoim towarzystwem. Aby mogła oderwać myśli od szpitala, nadal przynosił jej artykuły do tłumaczenia i dyskretnie ją obserwował. Coraz bardziej fascynowała go jako kobieta. Nie chodziło wyłącznie o niewątpliwą urodę, a o coś więcej. Miała klasę, wrodzoną elegancję, polot i rozległe horyzonty. Wszystko, co tutaj było niepożądane.

Radziecki ideał kobiety mijał co dnia na długich korytarzach komitetu. Małe, tłuste towarzyszkę o nalanych twarzach bez makijażu, źle ubrane, programowo pozbawione kobiecości i swobodnego myślenia. Wiedział jednak, że tutaj odmienność Marii może być dla niej niebezpieczna.

Kilka godzin później jedli razem kolację. Maria, w dopasowanej pastelowej sukience i z włosami podpiętymi po bokach, siedziała naprzeciw niego przy okrągłym stole. Przygotowała babkę ziemniaczaną z sosem grzybowym. Danie smakowało wybornie, więc pochwalił jej dzieło, ale zdawała się tego nie słyszeć. Jej myśli jak zwykle krążyły wokół córki.

– Ona się załamała. – Podparła palcami czoło. – Nie mogę patrzeć, jak cierpi.

– Chce wyjechać do Niemiec.

– Od pierwszego dnia, gdy ją przywiozłeś, pragnęła wyjechać do Niemiec. Cały czas się łudziłam, że coś się w niej zmieni. Jednak po tym, co się stało, już nie mam żadnych złudzeń. Jedyne, czego chcę, to żeby wreszcie była szczęśliwa – mówiła, zawiesiwszy wzrok w przestrzeni.

W salonie sporo się zmieniło przez te lata. Podobnie jak w całym mieszkaniu. Ściany przemaalowano z żółtych na jasnoszare. Nie ozdobiły ich żadne obrazy. W pokojach stanęły wyłącznie niezbędne meble, nigdzie żadnego luksusu. Widoczny ascetyzm wnętrza przełamывał jedynie czarny fortepian.

Lecz ani pamiątkowy bechstein, ani ocalałe fotografie czy książki, które przechował dla niej Iwanow, nie były w stanie wywołać w Marii

szczególnego sentymentu. Miała poważniejsze zmartwienia niż rozpamiętywanie przeszłości.

Wiedziała, że gdyby nie Siergiej, ona sama nie mogłaby zapewnić córce nawet połowy tego, czego Anna potrzebowała: miejsca w dobrej klinice, opieki najlepszych lekarzy, nie mówiąc już o dobrym jedzeniu.

Teksty, które dla niego tłumaczyła, miały bardziej stwarzać pozory niezależności, dawały złudzenie, że zarabia pieniądze. Tak naprawdę to zajęcie nie pozwoliłoby na samowystarczalność. Była wdzięczna Iwanowowi za okazywaną pomoc i niekłopotliwą obecność, więc bez większych oporów postanowiła spełnić największe pragnienie córki.

– Zgadzam się na twoją propozycję – zakomunikowała.

Siergiej zatrzymał sztućce nad talerzem i spytał zaskoczony:

– Coś ci proponowałem?

– Wtedy w Ostojanach.

– Aaaa... – Skojarzył, o co chodzi, i żeby trochę ją rozluźnić, rzucił w żartach: – Prosisz mnie o rękę.

– Tak, proszę cię o rękę – odrzekła zniecierpliwiona.

– Cieszę się, że stałem się dla ciebie tak ważny, że sama mi się oświadczasz – odparł i uśmiechnął się pod nosem.

– Tak ważna jest dla mnie moja córka – sprostowała. – Wyjdę za ciebie pod warunkiem, że ja i Anna będziemy mogły wyjechać do Niemiec.

– Przynajmniej jesteś szczerą.

Nieznacznie go ubodło, że to nie dla niego ta polska heroina, jak o niej myślał, zdobywa się na takie poświęcenie. Nie spuszczać wzroku z Marii, upewnił się co do istotnej kwestii:

– Naturalnie mówimy o rzeczywistym małżeństwie, nie tylko o formalnym? To drugie mnie nie interesuje.

– Naturalnie – potwierdziła z cieniem złośliwości. Rola „starającej się” zaczynała ją irytować.

Iwanow poszedł do swojego pokoju po butelkę koniaku. Nalał im alkoholu do kryształowych kieliszków i powiedział, unosząc swój:

– Wypada wnieść toast, skoro jesteś gotowa poślubić wroga, w dodatku komunistę. Twoja rodzina może się ciebie wyrzec. Zwłaszcza polscy kuzyni z Workuty. Tacy z nich patrioci.

– Jestem gotowa pomimo wszystko – oświadczyła, wypiwszy jednym haustem zawartość kieliszka. – Ale uprzedzam, kontaktów z rodziną także

nie zerwę.

– Tego nie wymagam. Byłoby z nas ciekawe małżeństwo – stwierdził, dolewając Marii koniaku. Znów wypięła alkohol do dna.

– Byłoby? – Uniosła lekko brwi. – Potrzebujesz zgody biura politycznego, żeby ożenić się z Polką?

– Tutaj ty i Anna jesteście obywatelkami Związku Radzieckiego.

Usiadł z powrotem przy stole i dokończył:

– Przyznaję, proponowałem ci małżeństwo, ale teraz to niemożliwe.

Odetchnęła głębiej, by zamaskować zażenowanie, że zrobiła z siebie idiotkę.

– Rozumiem – odrzekła sucho. – Niepotrzebnie się ośmieszyłam. Nieźle się zabawieś moim kosztem.

Zabrała butelkę, kieliszek i poszła do sypialni.

– Właśnie że nie rozumiesz. – Ruszył za nią, ale zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, choć to ona bądź co bądź była tu gościem. Zapukał dwa razy.

– Mogę wejść?

– Daj mi spokój!

– Nie chciałem zabawić się twoim kosztem, a najwyżej rozbawić ciebie. Pozwolisz mi wejść? – ponowił pytanie, mówiąc do zamkniętych drzwi.

– Nie!

– W porządku. Przyjdź, jak ochłoniesz.

Położyła się na łóżku i patrzyła na zdjęcie Andrzeja, ustawione w ramce na nocnym stoliku. Czuła się, jakby właśnie go zdradziła, choć nie żył od czterech lat. Targały nią wstyd i gniew, że tak się wygłupiła przed Iwanowem. Jednocześnie odezwał się tłumiony żal za wszystkim, co minęło.

W tym momencie odniosła wrażenie, że fotografia męża przestała tu pasować. Andrzej należał do przeszłości. Tak jak ten pokój, mieszkanie, miasto, teraz obce, i wreszcie Polska, za którą zginął, a która przestała tu istnieć.

– Próżny żal, dziś liczy się tylko Anna... – powiedziała półgłosem, chowając zdjęcie do szufladki.

By zagłuszyć rozterki, dołała sobie koniaku. Najpierw jeden kieliszek, potem drugi i trzeci. Słyszała, jak w salonie Siergiej grał na fortepianie wiosennego walca Chopina.

Nie powinna się obrażać na Iwanowa niczym rozhisteryzowana panienska. Była dojrzałą kobietą, a on im przecież pomagał i nie daj Boże, by przestał to robić. Co stałoby się wtedy z Anną? Wizja utraty wpływowego protektora podziałała na Marię otrzeźwiająco. Wstała, poprawiła ubranie i włosy, a potem poszła do salonu.

Siergiej obrzucił ją krótkim spojrzeniem znad fortepianu i uśmiechnął się pod nosem, wskazując oczami na prawie opróżnioną butelkę, którą trzymała w ręku.

- Wypiłaś mój koniak.
- Nie był dobry. Chopin?
- Komuniści też bywają romantyczni. Stalin lubi Chopina.
- To wiele tłumaczy.

Wciąż grał, delikatnie muskając palcami klawisze. Nastrojowy walc w jego wykonaniu brzmiał niezwykle. Siergiej jako muzyk przeistaczał się w zupełnie innego człowieka. Wrażliwego, wręcz uduchowionego. Jakby zrzucał z siebie cudzą skórę i ukazywał swoje prawdziwe oblicze.

Skończył utwór, pogłośnił radio, nalał sobie resztkę koniaku i stojąc twarzą do okna, powiedział inaczej niż zwykle:

– Od dnia, gdy w czterdziestym pierwszym przyniosłaś mleko do pociągu, nie dałaś mi o sobie zapomnieć. Chcę wziąć z tobą ślub, choć z innych powodów niż ty ze mną, ale zmienia się polityczny klimat i trudno teraz przewidzieć, w jakim kierunku. Jeśli w niewłaściwym, jako moja żona mogłabyś się znaleźć w niebezpieczeństwie. Wolę nie ryzykować. Właśnie dlatego, że mi na tobie zależy. Teraz rozumiesz?

– Kim ty jesteś, Siergiej? Dla kogo pracujesz? Dla Stalina? Berii? KGB? Obcego wywiadu? – dopytywała się, stając za nim. – Jaką skórę nosisz pod tymi garniturami? Zbyt eleganckimi jak na Związek Radziecki.

Odwrócił się i położył palec na ustach, nakazując jej milczenie.

– Za dużo mówisz i za odważnie. Anna także. Musicie bardziej uważać. Tutaj jedno niewłaściwe słowo czy choćby żart może źle się skończyć. A jeśli chodzi o mnie, jestem lojalnym człowiekiem systemu, a do dobrych garniturów mam słabość. Komunizm też może mieć elegancką twarz. Skórę zaś, mam nadzieję, noszę właściwą. Taka odpowiedź musi ci wystarczyć.

– Nie ufasz mi.

– Nikomu nie ufam i tobie radzę to samo. Żyjemy w kraju, w którym serdeczny przyjaciel w trakcie obiadu staje się śmiertelnym wrogiem przed

deserem. Gdzie spreparowane dowody, fałszywe donosy i podtrzymanie skostniałych układów mają większe znaczenie niż prawda czy szczerze intencje. Gdzie nawet niewinny żart może mieć fatalne skutki.

– O tym akurat wiem – mruknęła.

– To dobrze. Wyjadę na jakiś czas. Gdy zyskam względną pewność, że zachowałem dawnych przyjaciół, którym kiedyś pomogłem, a zmiany idą w pożądanym kierunku, wtedy się pobierzemy. To rzeczywiście najszybszy sposób, żebyście się dostały do Berlina. Mam tam służbowe mieszkanie.

– Jedziesz do Moskwy?

– Również – odrzekł wymijająco. Pokręcił kieliszkiem i patrząc na nią spod brwi, dodał: – Postaram się tego uniknąć, ale być może będziesz musiała podpisać parę dokumentów, żeby wyjechać za granicę.

– Jakich?

– Zobaczysz.

– Podpiszę nawet pakt z diabłem, żeby pomóc Ani – zapewniła go desperacko. Iwanow patrzył na nią przenikliwie. Niczego nie potrafiła wyczytać z jego twarzy, która stała się na powrót kamienna. Znow wszedł w cudzą skórę. Chyba że tak w nią wrósł, iż już nie odróżniał jej od swojej.

– Po naszym ślubie – ciągnął – ty i Anna publicznie będziecie musiały zachować polityczną poprawność. Stwarzać tak skuteczne tego pozory, że same zaczniecie w nie wierzyć. A i tak nie mogę ci dać stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa. Polityczne wiatry bywają nieprzewidywalne. Któryś może zniecka zmieść mnie i ciebie. Wychodząc za mnie, wychodzisz oficjalnie za moją ideologię i za cały Związek Radziecki. Z różnych względów nie będziemy nigdzie prywatnie bywać ani nikogo u siebie przyjmować. Małżeństwo ze mną oznacza dla ciebie pewną izolację towarzyską. Nadal jesteś gotowa wyjść za mnie?

– Jeśli taka jest cena szczęścia Ani, zaryzykuję – potwierdziła, nie spuszczać z niego spojrzenia. – Poza tym są także rozwody.

Uniósł lekko brwi w wyrazie ni to zdziwienia, ni uznania.

– Racja, ale nie przypuszczałem, że z ciebie aż taki kamikadze.

– Nie jesteś matką.

– Tu się z tobą zgadzam, ale ojcem też nie zamierzam zostać. Jestem za wygodny i za stary na dziecko.

– Ja też jestem na to za stara.

– Z tym bym polemizował. – Odstawił kieliszek i objął ją w talii. Pierwszy raz zdarzyła im się taka bliskość. Maria poczuła się trochę nieswojo w mocnym uścisku mężczyzny, który stanowił zagadkę, wydawał jej się niebezpieczny, a przed którym mimo to nigdy nie czuła lęku czy choćby respektu. – Skoro ustaliliśmy kluczowe kwestie i się nie wycofałaś, co powiesz na noc przedślubną, pani Iwanow? Możesz mnie teraz zaciągnąć do łóżka.

– Jeszcze nie jestem panią Iwanow. – Próbowała się uwolnić, choć niezbyt zdecydowanie, ale wzmocnił uścisk.

Powolnymi ruchami odpinał na plecach guziki sukienki. Maria czuła, że zaczyna ją to podniecać. Pozwalała, aby działo się coś, co wisiało między nimi od paru miesięcy. Poddawała się pieszczotom, gdy ją całował i rozbierał. Powoli, zmysłowo. Sama też zdejmowała z niego koszulę. Przeżyli intensywną noc przedślubną w jego pokoju.

Siergiej jako kochanek stanowił mieszaninę czułości i zdecydowania. Marii było z nim dobrze, bezpruderyjny akt nie krępował, więc ta sfera małżeńskiego życia nie jawiła się jej jako poświęcenie. Reszta nie miała znaczenia, najważniejsze, żeby Anna odżyła, próbowała przekonywać sama siebie.

Iwanow wyjechał z początkiem sierpnia. Zostawił Marii do dyspozycji auto, choć z mieszkania do szpitala było kilka przecznic. Parę razy pojechała pobiedą, gdy lało jak z cebra, ale po latach przerwy straciła wprawę w kierowaniu samochodem.

Za każdym razem, gdy wychodziła z domu, dostrzegała za sobą dyskretną obstawę. Odkąd przyjechali do Wilna, pod kamienicą na Zamkowej regularnie spacerowali milicjanci.

– Chcesz za niego wyjść, poświęcić się dla mnie? – spytała zdziwiona Anna, gdy Maria powiedziała jej o swoich zamiarach. – Przecież go nie kochasz. On ciebie może tak, widzę, jak na ciebie patrzy. Inaczej niż ty na niego.

– To bez znaczenia, czy go kocham, i wcale się nie poświęcam. Siergiej na swój sposób jest interesujący. Nasz ślub, jeśli do niego dojdzie, ułatwi nam wyjazd do Niemiec. – Pomna ostrzeżeń, zniżyła głos, by nikt

postronny nawet przypadkiem nie usłyszał ich rozmowy. Wprawdzie Anna leżała sama w sali, ale i tutaj ściany mogły mieć uszy.

– Miałyśmy jechać do Polski, a stamtąd przez Szczecin za Odrę – szepnęła córka. – Tak radziła Luśka. Może warto spróbować? Nie chcę, żebyś robiła coś wbrew sobie.

– Przez kilka najbliższych lat nie są przewidziane przesiedlenia do Polski.

– Lat? – powtórzyła zaskoczona Anna. – Skąd wiesz?

– Od Siergieja. W gazecie też o tym czytałam. Chcesz czekać tak długo?

– Nie. Chcę jak najprędzej wyjechać do moich braci – odszepnęła. I po raz pierwszy od wypadku Maria dostrzegła ożywienie na wymizerowanej twarzy córki. – Kiedy on wraca?

– Mówił, że za parę tygodni.

– Luśka się wkurzy, jak się dowie, że wyszłaś za komunistę.

– Prędzej Józek, co również jest bez znaczenia. Napiszę do nich. Wcześniej nie miałam głowy do korespondowania. Nie wiem, co u Olka, Maksa i Kazików, muszę to nadrobić. Przyniosłam ci owoce, a jutro umyję ci włosy. – Czułym gestem pogładziła ją po policzku.

– Przydałoby się, trochę śwędzi. – Anna podrapała się w głowę. Na poduszce wił się długi warkocz. – Ale gorzej śwędzi pod gipsem. Chciałabym, żeby wreszcie mi go zdjęli. Możesz mi to zapiąć? – Wskazała na serduszko. – Wczoraj wypadł mi z ręki i sprzątaczką mało nie zamiotła go ze śmieciami.

– Jeszcze parę tygodni i uwolnią cię z gipsu – pocieszyła ją Maria, zapinając łańcuszek na szyi córki. – Rozmawiałam z lekarzem. Mówił, że kości dobrze się zrastają i rana prawidłowo się goi. Jak się czujesz, Aniu?

– Teraz już dobrze, gdy wiem, że odzyskam braci. – Uśmiechnęła się blado. – Cieszę się, że pojedziesz ze mną. I wiem, że się dla mnie poświęcasz, nawet jeśli mówisz inaczej. Chcesz się wyrzec wszystkiego, co dla ciebie ważne i co od was słyszałam, Bóg, honor, ojczyzna.

– Cicho, dziecko. – Maria znów zniżyła głos do szeptu, oglądając się za siebie, czy nikt nie stoi w drzwiach. – Tu lepiej nie używać takich słów. Poza tym gdybym nie chciała, nie zdecydowałabym się na taki krok.

– Może nigdy nie zdołam tego docenić. Nigdy też nie zrobisz ze mnie Polki. Po tym, co się stało, nie chcę nią być bardziej niż kiedykolwiek, ale dziękuję, mamó.



Maria tylko westchnęła. Gdzieś na dnie duszy poczuła żal, że mimo wszystko to, co dla niej stanowiło największą wartość, dla jej córki jest wrogiem.

Perspektywa wyjazdu do Berlina podziałała na Annę motywująco. Otrząsnęła się z apatii, więcej jadła i przykładała się do ćwiczeń, gdy wreszcie w połowie września zdjęto jej gips. Przez kilka miesięcy unieruchomienia mięśnie prawie zanikły, potrzebowała rehabilitacji i masażu, nim zaczęła stawiać o kulach pierwsze, chwiejne kroki. Widać było, że chodzenie sprawia jej ból, lecz zaciskała zęby i zmuszała oporne ciało do wysiłku.

Również we wrześniu, po ponad miesiącu nieobecności, wrócił Siergiej, zadowolony, że na razie sprawy toczą się po jego myśli.

Odświeżył się po podróży, włożył białą koszulę, ciemny garnitur i zaprosił Marię do salonu, aby uczcić oświadczyzny. W dość specyficzny zresztą sposób.

Postawił na stole butelkę kapslowanej wódki, dwie szklanki, puszkę czarnego kawioru i ciemny chleb.

– Poprosiłaś o rękę Rosjanina, więc pora na zaręczyny po rosyjsku – zakomunikował, wyraźnie kontent z pomysłu. Nalał im wódki, odkroił dwie kromki chleba, posmarował kawiozem i podał Marii. – Nasze zdrowie.

– Oryginalne zaręczyny, przyznaję – odrzekła z nutką ironii, gdy wzniesli toast i przekąsili wódkę radzieckim przysmakiem dla wybranych. – Spodziewałam się, że zasypiesz mnie kwiatami, ale to byłoby zbyt oczywiste.

– Kwiaty! – Uniósł palec wskazujący, jakby dopiero sobie o nich przypomniał. – Są i kwiaty.

Poszedł do korytarza, skąd wrócił z czerwonym goździkiem, który miał lekko pochyloną główkę.

– Trochę się pogiął w teczce – wyjaśnił przeproszającym tonem i wręczył jej rachityczny kwiatek, dobrze się przy tym bawiąc. – Wychodzisz za komunistę, uznałem więc, że goździk najlepiej będzie pasował do okoliczności, ale jestem też Rosjaninem i jako taki mam ponoć romantyczną duszę, dlatego przyjmij też drobny załącznik.

Wsunął Marii na palec złoty pierścionek z białym brylantem wielkości ziarna grochu.

– Radziecka robota; nie gniotsa, nie łamiotsa. Okazały jak komunizm – oznajmił z lekką kpina.

Oszołomiona otworzyła szeroko oczy, oglądając kosztowny prezent.

– Zwariowałeś... – wykrztusiła.

– Nie przeczę, ale mam coś jeszcze.

Podszedł do gramofonu i włączył płytę. Z głośnika popłynęły ciche rytmiczne dźwięki.

– Jazz? Wolno wam słuchać takiej muzyki? – Uniosła lekko brwi w wyrazie zdziwienia, wciąż patrząc na przepiękny pierścionek.

– Dlatego włączyłem po cichu. Zatańczymy wreszcie? – Podszedł i objął ją w pól. – Jeszcze nigdy razem nie tańczyliśmy.

– Nie mam dziś głowy do tańca...

– Dziś nie masz głowy, jutro nie będziesz miała czasu, a pojutrze może nas już nie być. Trzeba korzystać z życia, póki trwa.

Kołysali się więc wolniutko pośrodku pokoju, zupełnie nie w takt muzyki. Bliskość Sergieja, jego zapach, oddech, ciepło jego ust na szyi, wszystko znów zaczynało podniecać Marię.

– Stało się coś, czego nie planowałem – wyszeptał jej do ucha.

– Zrujnowałeś się na brylant? – zapytała, odchylając się do pocałunków.

– Zakochałem się w tobie – wyznał i patrząc jej prosto w oczy, ciągnął: – Pobieramy się z różnych powodów. Jesteśmy z różnych światów. Z mojego nie ma odwrotu. Musimy pójść na wiele kompromisów, żeby nam się udało. Chciałbym, żeby tak było. Mam też cichą nadzieję, że kiedyś stanę się dla ciebie czymś więcej niż przepustką do spełnienia marzeń Anny.

Maria milczała. Mężczyzna, którego niedługo zamierzała poślubić, potrafił ożywić jej zmysły, ale nie serce. Więc może i ona, tak jak to niedawno powiedziała Anna, ma serce z bursztynu. Niby jest w nim życie, ale stwardniało dla uczuć.

W połowie października, gdy liście na drzewach pozłociła jesień, akurat w osiemnaste urodziny Anny, która właśnie wyszła ze szpitala, wzięli szybki ślub w urzędzie. Skromny, bez żadnych gości. Maria niczego nie musiała podpisywać, prócz aktu małżeństwa.

Przygotowała w domu przyjęcie. Upiekła tort, zadbała, aby znalazło się na nim osiemnaście świeczek. Siergiej otworzył szampana. Anna, w białej sukience, siedziała przy stole nieobecna myślami. Ledwo skubnęła czekoladowy tort. Włosy zebrała wysoko w koński ogon. Na chudziutkim nadgarstku błyszczał złoty zegarek, jaki jej podarowali.

Maria, obserwując córkę, która obojętnie rozglądała się po mieszkaniu, gdzie kiedyś, w innym życiu, rozbrzmiewał jej dziecięcy śmiech i tupot nóżek, odkryła, że Anula także przestała pasować do tego miejsca.

– Jak mam teraz do pana mówić? – zapytała dziewczyna, upiwszy łyk szampana.

– Może Siergiej? – zaproponował.

– Dobrze. Kiedy możemy wyjechać?

Ta kwestia interesowała ją najbardziej. Prócz tamtego listu nie otrzymała żadnych nowych wiadomości od braci, co budziło jej niepokój.

– Zajmę się teraz wyrabianiem dokumentów, tu też mam pewne zobowiązania, wyjedziemy na przełomie roku.

– Co będzie z tym mieszkaniem?

– Jest służbowe, zapewne przejmie je ktoś inny. Masz do niego sentyment, Anno?

– Przestałam mieć sentymenty.

– Przed wyjazdem do Berlina pojedziemy pożegnać się z Janinką i Piotrem – włączyła się Maria, by zmienić niewygodny temat. – Nie widziałam się z nimi od lata. Musimy też zabrać resztę naszych rzeczy. No i zajdziemy na cmentarz. Niedługo Wszystkich Świętych...

– Wybacz, mamo – przerwała jej córka. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, gładząc palcami bursztynowe serduszko na szyi. – Nie jestem w stanie tam pojechać i nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Sama pożegnasz wszystkich ode mnie, żywych i umarłych. Jedyne, czego chcę, to zapomnieć o tym miejscu raz na zawsze i wreszcie zobaczyć się z braćmi.

## Rozdział II

# Jedno miasto, dwa światy

*Berlin, 1953–1961*

Anna pamiętała Berlin z czasów, gdy przyjechała tu z dziadkami jeszcze w czasie wojny. Wówczas wywarł na niej ogromne wrażenie swą wielkością, rozmachem i pięknymi budowlami. Teraz ujrzała miasto pokonane, nędzne, mozolnie podnoszące się z gruzów i przedzielone.

Granica między obcymi sobie światami była prawie niewidzialna, jeśli nie liczyć wymalowanych na domach lub ulicach białych linii i szyldów, oznaczających przynależność danego sektora do tej czy innej strefy, oraz budek strażników, ale wyraźnie ją się odczuwało. Można było w miarę swobodnie ją przekraczać: pieszo, tramwajem albo kolejką, choć strażnicy po wschodniej stronie częściej sprawdzali dokumenty wchodzących. Ci po zachodniej nie kontrolowali prawie nikogo.

Anna też wyprawiała się do alianckiej strefy. Chciała zobaczyć ów zachodni świat i Spandau, gdzie kiedyś mieszkali rodzice Hildy. Była u nich jako dziecko, ale nie mogła sobie przypomnieć, przy jakiej ulicy stała zielona kamienica. Liczyła, że rozpozna miejsce po wyglądzie budynków, lecz podobnie jak po wschodniej stronie Berlina, tutaj także wojna odcisnęła mocny ślad i ulice zaścielało morze gruzów.

Wszędzie było pełno żołnierzy, z tą różnicą, że amerykańskich albo brytyjskich czy francuskich. Mimo to czuło się tutaj ducha wolności. Pomędzy czołgami jeździły błyszczące chromem amerykańskie krążowniki szos z siedzeniami z czerwonej skóry. W sklepach oferowano egzotyczne produkty, buty na grubych kauczukowych podszewkach, kolorowe hawajskie koszule i coca-colę. Z kafejek płynęła jazzowa muzyka George'a Gershwin, a kinowy afisz zapowiadał film *Amerykanin w Paryżu*.

Jednak tu nie było jej braci, więc częściej spacerowały z mamą po wschodniej stronie miasta.

Annie od razu rzuciło się w oczy, że przy odbudowie sowieckiej części Berlina pracowały głównie kobiety. Twarze miały zacięte, wychudłe, przedwcześnie postarzałe. Nie zważając na mróz i śnieg, machały ciężkimi młotami lub kilofami, taszczyły na plecach cegły, wdrapywały się na rusztowania wznoszonych budowli i przerzucały łopatami góry piachu. Obsługiwały dźwigi, ciężkie maszyny, prowadziły tramwaje.

Jednak ani to, ani ogrom wojennych zniszczeń, długie kolejki pod sklepami czy też czołgi i sowieckie wojsko na ulicach, nic z tego, co widziała, gdy wychodziły razem do miasta, gdyż mama nie wypuszczała jej nigdzie samej, nie było w stanie przyćmić odczucia Anny, że wreszcie znalazła się u siebie.

Pragnęła jeszcze tylko jednego, jak najszybszego spotkania z braćmi. Myślała o tym przez całą drogę do Berlina. Wyobrażała sobie moment, gdy wreszcie porwie ich w ramiona. Ciekawe, jak teraz wyglądają, czy bardzo wyrosli? Klaus miał przecież szesnaście lat, Rudi czternaście.

Tymczasem była tu od ponad tygodnia, a wciąż nie dostała zgody na odwiedziny, jakby zamiast w domu dziecka znajdowali się w więzieniu.

W oczekiwaniu na nieszczęsną przepustkę, o którą wystąpił Siergiej, pomagała mamie wypakowywać rzeczy ze skrzyń, przywiezionych koleją razem z fortepianem, i urządzić trzypokojowe mieszkanie w nowo wybudowanej klockowatej kamienicy przy Stalinallee.

Jeszcze pachniało tynkiem, było widne, z balkonem, łazienką w kafelkach i telefonem. W największym pokoju urządziły salon z jadalnią. Miejsce między oknami zajął fortepian. Stały na nim ocalałe rodzinne fotografie, które Anna zapamiętała z dzieciństwa. Tylko jedną mama trzymała schowaną w szufladzie; przedwojenne zdjęcie Andrzeja w galowym mundurze.

Iwanow musiał być kimś wyjątkowo ważnym, skoro dostał tak duży lokal na pierwszym piętrze przy reprezentacyjnej ulicy Berlina i nie dokwaterowano im lokatorów. Miał też inne przywileje. Mama robiła zakupy w specjalnych sklepach, gdzie nie było kolejek, za to sporo towarów. Pod ich kamienicą parkowało więcej samochodów niż gdzie indziej, sąsiedzi zaś należeli do miejscowej elity.

Anna nie wiedziała, czym naprawdę zajmował się mąż jej matki w kraju, w którym stacjonowało pół miliona radzieckich żołnierzy. Siergiej

powierzył im dostosowanie mieszkania do własnych gustów i potrzeb, zostawiał pieniądze, a sam znikał na całe dni. Nowego adiutanta nie miał.

Oficjalnie przejął kierownictwo radzieckiego pionu w propagandowej gazecie „Täglichen Rundschau”. Annie Iwanow był zupełnie obojętny, tak samo jak to, czym się w rzeczywistości zajmował. Równie dobrze mógł być agentem KGB, współpracownikiem Stasi czy obcego wywiadu. Najważniejsze, żeby pomógł jej uzyskać wreszcie zgodę na widzenie z braćmi.

W nadziei, że sama gdzieś wypatrzy Rudiego lub Klause, mimo mrozów codziennie wyciągała mamę na spacer.

Tego przedpołudnia szły długą i szeroką Stalinallee, która przypominała jeden wielki plac budowy. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się rusztowania wznoszonych budynków, rozlegały się pokrzykiwania robotników oraz metaliczny terkot maszyn.

Dzień był mroźny i wietrzny, sypał śnieg. Mama osłaniała policzki kołnierzem futra i ciasniej opatulila się szalem.

– Czemu tak długo muszę czekać na tę przepustkę? – zapytała Anna.

– Widocznie takie są procedury – odrzekła Maria, wskazując na długie rządy robotnic, które jak taśmociąg przekazywały jedna drugiej wiadra z piachem.

– Podobno na budowie zarabiają parę razy więcej niż w biurze i dostają piątą grupę kartek na żywność zamiast biletów na cmentarz.

– Bilety na cmentarz? – powtórzyła, nie zrozumiawszy, skupiona na wypatrywaniu sylwetek braci pośród uwijających się na rusztowaniach budowlańców.

– Najmniejszy kartkowy przydział, w sam raz, żeby umrzeć z głodu – wyjaśniła Maria. Powiedziała to obojętnym tonem, bez cienia współczucia. Nie żałowała Niemców. Mieli za swoje. Za Berlinem, który dobrze знаła jeszcze sprzed wojny, również nie przepadała. Za bardzo kojarzyła to miasto z Hoffenbergiem, ale zachowała te myśli dla siebie. – Zimno, wracajmy już do domu. Nie powinnaś jeszcze forsować nóg po wypadku – mówiła, poprawiając córce kołnierz pod szyją i podobną do swojej futrzaną czapkę.

– To idź, mamo, skoro zmarzałaś – odrzekła Anna, nie przerywając obserwacji. – Przejdę się jeszcze kawalek. Może gdzieś ich zobaczę.

– Szukasz igły w stogu siana. – Maria cmoknęła zniecierpliwiona. – Poza tym ustaliłyśmy, że nigdzie nie będziesz chodzić sama.

– Siergiej kazał ci mnie pilnować, żebym nie związała na zachodnią stronę? Nie bój się, bez chłopaków nigdzie nie ucieknę.

– Siergiej nie może mi nic kazać, to po pierwsze – odparła, ujmując córkę pod ramię. – Po drugie, to wielkie i niebezpieczne miasto, które znam lepiej od ciebie, więc w jego sugestii nie byłoby nic złego.

– A więc on za tym stoi.

– Ja również. Po prostu nie chcemy, żeby stała ci się jakaś krzywda. Wystarczająco najadłam się strachu w czerwcu.

– Nic mi się nie stanie. Prędzej zwariuję od tego czekania. Jestem w tym samym mieście, co chłopaki, a nie mogę ich odwiedzić. Chodźmy pod sierociniec.

– Po co? Byłyśmy tam przedwczoraj.

– Może dziś ich zobaczę, jak będą dokądś wychodzić. Klaus pisał, że pomagają na budowie. Słuchaj, a może oni przedostali się na zachodnią stronę? Kierownictwo boi się przyznać, że uciekło im dwóch podopiecznych, więc grają na czas z tą przepustką.

– Nonsens.

– Dlaczego? Przecież Siergiej mówił, że mnóstwo ludzi stąd zwiewa. A oni są zaprawieni w ucieczkach. Mogli przejść przez punkt graniczny. Widziałas, że to żadna filozofia. Ludzie stąd chodzą tam do pracy, odwiedzają rodziny. Chyba że przedostali się do Monachium. Tam przecież mieszkał kiedyś nasz ojciec, zresztą oni też. A może stryj Hermann wrócił z niewoli i zabrał chłopaków? Trzeba to koniecznie sprawdzić.

– Gdyby uciekli albo ktoś ich zabrał, Siergiej już by o tym wiedział, więc przestań wymyślać niestworzone historie. Poza tym są nieletni, w razie kontroli dokumentów na przejściu granicznym czy choćby w tramwaju żołnierze od razu cofnęliby ich z powrotem do sierocińca.

– Więc czym wytłumaczysz, że od lipca nie mam od nich żadnej wiadomości?

– Na przykład tym, że z jakichś powodów nie mogą pisać. Albo Siergiej nie mógł nadużywać swoich wpływów, żeby przekazywać listy drogą służbową.

– Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. Tutaj wszystko odbywa się pod dyktando Sowietów. Więc może nie chodzi o żadną ostrożność, tylko o to, że Iwanowowi na tym po prostu nie zależy, dlatego to tyle trwa.

– Gdyby mu nie zależało, nie byłoby nas tutaj. Chyba widzisz, że się stara, więc przestań snuć spiskowe teorie. Ciesz się, że tutaj jesteśmy, skoro tego chciałaś, i czekaj cierpliwie. Minęło dopiero dziesięć dni.

– Może masz rację – przyznała ponurym tonem Anna. – To co, idziemy na Pankow?

– Jedenasta. – Maria spojrzała na zegarek. – Siergiej wraca o czwartej. Prosił, żebym do tego czasu zrobiła pilne tłumaczenie. Obiad też trzeba ugotować.

– To ja się zajmę obiadem. Pójdziemy? Tak mi na tym zależy.

– Skoro tak ci zależy, niech będzie, ale pojedziemy autobusem. Za duży mróz na daleki spacer.

Sierociniec mieścił się w niezbyt zniszczonej przez wojnę północnej dzielnicy. Otaczał go wysoki mur, zza którego było widać jedynie dach jakiejś willi. Anna stanęła razem z matką przed ciężką stalową bramą, która do złudzenia przypominała więzienną.

Nie opuszczała jej nadzieja, że lada moment masywne wrota otworzą się i ujrzy braci, jak będą wychodzić albo skądś wracać. Jeśli nie oni, to może pojawi się ktoś inny, przez kogo mogłaby przekazać wiadomość, że już tu jest, że spełniła daną obietnicę i wróciła.

Spacerowały wzdłuż muru, obeszły go kilka razy, ale nikt się nie pokazał. Maria stawała się coraz bardziej zniecierpliwiona, Anna zdesperowana. W końcu przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła po niemiecku w stronę budynku:

– Rudiiii!!! Klaaaus!!! To ja, Anna!!! Już jestem!!! Czekam, aż pozwolą mi wejść!!!

Odpowiedzi nie było. Żadna twarz nie mignęła w zakratowanych oknach poddasza, jedynych widocznych z ulicy.

– Zwariowałaś? – syknęła Maria, odciągając córkę od bramy, gdy pojawił się w niej uzbrojony strażnik.

– To obiekt państwowy, nie gromadzić się, zabronione! – rozkazywał, jakby mówił do tłumu, a przecież były tylko we dwie.

Maria prędko ruszyła do najbliższej przecznicy, ciągnąc za sobą Annę.

– Do reszty zwariowałaś? – Mówiła przez zęby rozgniewana jak nigdy. – Co ci strzeliło do głowy, żeby tak się wydzierać? Mało brakowało, a wezwałby policję. Teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę, żebyś chodziła sama po ulicach? Żebyś się nie wpakowała w kabałę. Pora skończyć te



bezsensowne spacery po mieście. Rozumiem, że zależy ci na braciach, ale nie powinnaś zapominać o własnym życiu. Przede wszystkim pójść do szkoły, zacząć grać. Ani razu nie siadłaś do fortepianu...

– Przede wszystkim powinnam się usamodzielnic – przerwała jej Anna. – Muszę znaleźć pracę, choćby na budowie, żeby zabrać chłopaków z tego więzienia. Tu na pewno ich nie zostawię. Jestem pełnoletnia, więc według prawa mogę się nimi opiekować.

– Chcesz pracować na budowie? – Maria aż przystanęła, słysząc tak niedorzeczne słowa, ale po minie córki widziała, że ta wcale nie żartuje.

– Co w tym złego? – zdziwiła się. – W Königsbergu i na Litwie pracowałam ciężiej niż ci tutaj. A szkołę skończę, jeśli znajdę jakąś wieczorową.

– Ledwo się wylizałaś po wypadku, jeszcze utykasz, miałaś połamane nogi i rękę, przestrelony szczyt płuca...

– Serce też mi przestrelili, choć nie trafiła w nie kula. – Znow wpadła matce w słowo. Przed oczami mignęła jej nieruchoma twarz Wadima, powrócił ledwo uśpiony ból. Opanowała się prędko i dokończyła spokojniej: – Jeśli mam zacząć normalnie żyć, to z moimi braćmi. Masz rację, zachowałam się bezmyślnie, ale zrozum, nie mogę znieść, że nie wiem, co się z nimi dzieje. Przecież oni nie mają nikogo prócz mnie, a ja ich... Kocham. – Głos jej lekko zadrżał.

Cała złość Marii minęła, gdy patrzyła na przygnębienie, widniejące na twarzy córki. Sama kiedyś czuła taki sam ból, gdy chwytając się najciemniejszej pajęczynki nadziei, z uporem wszędzie poszukiwała zaginionego dziecka.

– Rozumiem, co przeżywasz. Też odchodziłam od zmysłów, gdy nie wiedziałam, co z tobą – mówiła, objąwszy Annę ramieniem. – Ty wiesz, gdzie oni są, i w końcu się spotkacie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Próbuję w to wierzyć – westchnęła. – Mamo, czy chłopaki mogliby z nami pomieszkać przez jakiś czas, dopóki nie znajdę dla nas czegoś do wynajęcia?

– Chcesz się wyprowadzić? – spytała zdumiona.

– To chyba naturalne. Muszę ich zabrać z sierocińca. Po to tu przyjechałam. To co? Zgadzasz się?

Wizja przebywania pod jednym dachem z synami Hoffenberga wzbudzała w Marii niechęć, ale perspektywa, że Anna może się wyprowadzić, wręcz ją przeraziła. Jeszcze się nie nacieszyła swoim skarbem. Ukradziono im

dziesięć lat. O mało co znów jej nie straciła w tym przeklętym zamachu. Dla Anuli była gotowa na wszystko. Trudno, jakoś zniesie obecność synów Klause. Przecież niczemu nie są winni. Dzieci nie mogą odpowiadać za grzechy rodziców. Wiedziała jednak, że w tej kwestii nie do niej będzie należała ostateczna decyzja, więc odrzekła ostrożnie:

– Ja tak, ale nie wiem, co powie Siergiej.

Iwanow wrócił do domu o ustalonej porze. Był głodny, więc najpierw usiedli do obiadu. Maria celebrowała dawne zwyczaje i nawet do codziennego posiłku nakrywała stół białym obrusem. Miała na sobie lawendową sukienkę z dzianiny, ładnie eksponującą zgrabną figurę. Siergiej, w ciemnej koszuli, również prezentował się nie najgorzej. Odstawał od wizerunku zapijaczonych Sowietów o topornych rysach, który wrył się Annie w pamięć. Nie mogła zapomnieć, jak kiedyś chowała się przed rozbestwionymi żołdatami.

Zadbany, na swój sposób przystojny, mimo blizn po ospie, w przyzwoitych ubraniach, trochę przypominał doktora Krugłowa. Z tym że był młodszy, bardziej nieprzystępny, chłodny. Ludzkich cech zdawał się nabierać, gdy przechodząc obok Marii, obdarzał ją dyskretnymi pieścizotami i kiedy grał na fortepianie albo słuchał, jak ona grała.

Krugłow. Anna dopiero sobie uzmysłowiła, że doktor pracował w berlińskiej klinice i opiekował się sierocińcem. Może nadal tu jest? Musi go czym prędzej odszukać. Może będzie coś wiedział o jej braciach albo przekaze im wiadomość, zastanawiała się bardziej skupiona na własnych myślach niż rozmowie przy stole.

– Bardzo dobre – chwalił tymczasem Siergiej, ocierając usta serwetką po skończonym posiłku.

– Zjesz jeszcze? – Maria podsunęła mężowi półmisek pierogów z mięsem. – Anula lepiała.

– Naprawdę świetne, ale więcej nie zmieszczę. – Wsunął koniuszki palców za pasek spodni. – Zdążyłaś z tym tłumaczeniem, Marysiu?

– Tak, ale najpierw jeszcze jedna sprawa – zaczęła, spoglądając na córkę. – Chodzi o braci Anuli, otóż...

– Ja powiem. – Anna otrząsnęła się z zamyślenia i w kilku słowach wyjaśniła, w czym rzecz, proponując na koniec: – Mogą mieszkać ze mną w pokoju, prawie ich nie zauważysz. Tylko na jakiś czas, dopóki nie znajdę

dla nas czegoś do wynajęcia. Pójdziemy do pracy, nie będziesz musiał nas utrzymywać.

– To niemożliwe – uciał kategorycznie.

– Co ci zależy? – włączyła się Maria. – To duże mieszkanie, a chłopcy nie są małymi dziećmi, żeby ich pilnować.

– Powtarzam, to nie wchodzi w grę.

– Rozumiem, nie będę cię prosić. – Anna starała się przełknąć odmowę. – Znajdę inny sposób.

Chciała wstać od stołu, ale Iwanow powstrzymał ją ruchem ręki.

– Właśnie że nie rozumiesz. Twoi bracia są Niemcami, ja Rosjaninem. Przepisy zabraniają nam przysposabiania niemieckich sierot, a bez tego nie mogą z nami mieszkać. Nie mogą nawet tutaj przychodzić.

– Ja też jestem Niemką, a jakoś mogę u ciebie mieszkać. Z Polką też mogłeś się ożenić, choć jesteś Rosjaninem. Tego przepisy nie zabraniają? A może naginasz je wtedy, kiedy tobie to wygodne, bo w gruncie rzeczy chodziło ci tylko o moją matkę?

– Teraz przesadziłaś – upomniała ją Maria, ale Iwanow nie wyglądał na wytrąconego z równowagi.

– Nie przeczę, że chodziło mi głównie o twoją matkę – odrzekł spokojnie.

– Staram się pomagać ci ze względu na nią. Ale muszę cię rozczarować. Formalnie nie jesteś Niemką. I jeszcze jedna kwestia, Anno, tak dla jasności. Na przyszłość nie podejmuj żadnych kroków bez mojej wiedzy.

Tego było jej za wiele, więc wypaliła rozsierzdzone:

– Zamierzasz mną rządzić, bo się ożeniłeś z moją matką i na razie mnie utrzymujesz?! Choćby jutro pójde do pracy i wyprowadzę się stąd, żeby od ciebie nie zależeć! Nie zamierzam ci się spowiadać z moich planów! Od dawna jestem dorosła! Ja, moi bracia i reszta dzieciaków z lasu, do których dla zabawy strzelali twoi towarzysze, my wszyscy musieliśmy sobie radzić w waszym świecie i dorosnąć natychmiast! Więc nie masz prawa mówić mi teraz, co mam robić! Nie jesteś moim ojcem! – Wypluła z siebie całą złość. W oczach miała gniew i czerwone z emocji policzki.

– Co cię dziś napadło?! – Maria klepnęła palcami w blat, mierząc córkę ostrym spojrzeniem.

Iwanow jednak nie dał się sprowokować. Miał chyba nerwy ze stali. Jego stoicki spokój jeszcze bardziej rozdrażniał dziewczynę.

– Nie zamierzam tobą rządzić – odrzekł bez emocji – ani nie aspiruję do roli twojego ojca, ale żyjemy w takich, a nie innych realiach, w których trzeba umiejętnie się poruszać. Twój jeden nieprzemyślany krok może mieć poważne następstwa. Dla ciebie i dla nas. Nie mówię, że musisz pytać mnie o zgodę. Wystarczy, jeśli będziesz mnie informowała o swoich planach.

W korytarzu zadzwonił telefon, Siergiej poszedł odebrać. Rozdrażniona scysją Maria zaczęła zbierać naczynia ze stołu. Rozmowa nie trwała dłużej niż pięć minut, gdy wrócił do pokoju i powiedział jak gdyby nigdy nic:

– W środę masz widzenie z braćmi.

Wiadomość była tak niespodziewana, że Anna potrzebowała chwili, aby ją przyswoić.

– Pojutrze ich zobaczą? – powtórzyła, jeszcze nie dowierzając własnym uszom.

– W południe. Zawiozę cię tam. Przez parę miesięcy byli w poprawczaku w Torgau, to zamknięty ośrodek, dlatego nie miałaś od nich wiadomości.

– W poprawczaku? – powtórzyła znowu. – Dlaczego?

– Wiedziałeś o tym? – zapytała Maria, odstawiając na stół talerze.

– Właśnie się dowiedziałem. Jeszcze nie wiem, dlaczego tam trafili, ale do poprawczaka lub do więzienia można tutaj trafić z bardzo błahego powodu. – To rzekłszy, podszedł do pasierbicy i położył rękę na ramieniu Anny. – Na przykład za niewłaściwy strój. Teraz rozumiesz, dlaczego chcę, abyś informowała mnie o wszystkim, co planujesz? Po to, żebym mógł w porę interweniować, zanim ubiegnie mnie ktoś inny.

– Rozumiem. Dziękuję, że mi pomagasz, i przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Mam dziś gorszy dzień.

– Zdarza się. – Uśmiechnął się wyrozumiale. – Jeszcze jedno. Wasze spotkanie będzie miało charakter oficjalny.

– Co to znaczy?

– Ktoś z sierocińca będzie obecny w trakcie widzenia, żeby słuchać, o czym mówicie. I tego nie da się przeskoczyć. Musisz uważać na każde słowo. Rozmawiaj wyłącznie o sprawach, że tak powiem – szukał właściwego określenia – mało drażliwych.

– Ale chyba nam pozwolą tam wejść? – odezwała się Maria, patrząc zaniepokojona na męża. – Żeby Anula czuła się pewniej.

– Nasza obecność, Marysiu, mogłaby zostać odczytana jako brak zaufania do kierownictwa niemieckiej placówki, lepiej tego uniknąć.

– Poradzę sobie – zapewniła Anna, widząc zatroskaną twarz mamy. –  
Najważniejsze, że pojutrze wreszcie ich zobaczą.

## Rozdział III

# Spotkanie

Pojutrze przyszło o wiele za późno na jej niecierpliwość. Z emocji nie mogła spać ani jeść. Kilka razy przepakowywała prezenty, jakie miała dla braci. Trochę słodczy i to, czego kiedyś najbardziej im brakowało, porządne buty. Kupiła je jeszcze w Wilnie, wzięwszy pieniądze od mamy. Nie wiedziała, jakie chłopaki noszą rozmiary, więc wybrała większe, żeby wystarczyły na dłużej.

W dzień wizyty Anna już od świtu była na nogach. Włożyła szerokie spodnie, które trochę maskowały jej koślawą po wypadku stopę, a do tego białe sweterek. Przeczesła włosy, raz po raz wyglądając przez okno. Dzień był mroźny, ale pogodny, świeciło słońce. Dobry znak, stwierdziła w myślach. Ponagliła też matkę, aby wyjść z domu przed czasem, tak ją roznosiła niecierpliwość. Iwanow pojechał w kierunku Pankow, ale nie skręcił w stronę sierocińca, tylko dwie ulice dalej.

– Przejechałeś drogę, sierociniec jest tam. – Zaniepokojona Anna wskazała za siebie.

– Twoi bracia są tam, dokąd jedziemy – wyjaśnił. – To zakład dla starszych chłopców i tych, co wrócili z poprawczaka.

Zatrzymał auto przed ponurym piętrowym budynkiem o zakratowanych oknach, machnął strażnikowi przepustką, a tamten otworzył bramę. Skrzypienie żelastwa przyprawiło Annę o ciarki, serce łomotało w niej jak szalone.

Wjechali na duży dziedziniec, równie ponury jak cały budynek. Stało na nim kilka aut, wszędzie kręcili się umundurowani strażnicy. Kawałek dalej, na ogrodzonym drucianym płotem placu, biegało w kółko kilkunastu nastolatków w granatowych strojach do ćwiczeń. Jakiś mężczyzna gwizdkiem wyznaczał tempo biegu.

– Może są tam? – Anna wyteżęła wzrok przez szybę samochodu, ale była za daleko, aby mogła rozpoznać braci.

Z budynku wyszło dwóch osobników. Jeden niepozorny, w cywilnym ubraniu, drugi postawny, w szarym uniformie. Zmierzali do auta.

– Proszę, uważaj na to, co będziesz mówiła. Tu mogą być podsłuchy – poinstruowała ją półgłosem Maria, gdy tamci się do nich zbliżali.

– Mam nadzieję, że niczego nie ukryłaś w tej paczce. – Siergiej spojrzał przez ramię na pasierbicę. – Na pewno dokładnie wszystko obejrzą, więc jeśli wsunęłaś tam jakiś list, paczka zostaje tutaj.

– Niczego nie wsunęłam – zapewniła, choć chodził jej po głowie taki pomysł.

– Dobrze. Wsiadamy. – Iwanow otworzył drzwiczki auta.

Tamci stali już przy samochodzie. Siergiej dokonał pobieżnej prezentacji.

– Miło mi poznać małżonkę towarzysza redaktora Iwanowa. – Ten w marynarce uściśnął dłoń Marii i podał swoje nazwisko, ale przejęta Anna nie zapamiętała jakiego, i polecił drugiemu: – Müller, zaprowadźcie gościa do pokoju odwiedzin, a was, towarzysze, zapraszam do kancelarii.

Po chwili znaleźli się w długim korytarzu. Po każdej stronie znajdowały się drzwi do pokoi, na ścianach wisiały jakieś portretowe zdjęcia oficjeli i ideologiczne hasła, że NRD jest państwem antyfaszystowskim, że nowe Niemcy budują nowy świat, a także coś o wiecznym sojuszu z ZSRR. Maria z Siergiejem weszli do pierwszego gabinetu przy schodach. Strażnik poprowadził Annę do końca korytarza i otworzył ostatnie drzwi.

Znalazła się w ponurym, słabo oświetlonym pokoju o zakratowanym oknie. Ściany do połowy pokrywała ciemnozielona lamperia. Prócz kilku stolików, krzeseł oraz wiszącego zegara nie było tam nic więcej.

Zdjęła kozuch, czapkę i usiadła przy jednym ze stolików. Funkcjonariusz, równie posepny jak to wnętrze, zabrał się do sprawdzania paczki. Oglądał dokładnie buty, zaglądał pod wkładki, podważył scyzorykiem obcasy, rozwinął każdy cukierek i czekoladę. Annę aż nosiło ze złości, ale się nie odzywała.

– Taki regulamin – wyjaśnił niepytany.

W końcu rewizja dobiegła końca. Mężczyzna poinstruował, że widzenie potrwa kwadrans, po czym stanął przy drzwiach.

Upłynęła minuta, może dwie, gdy otworzyły się i najpierw do środka wszedł masywny mężczyzna w średnim wieku. Oliwkowa koszula

nieledwie pękała mu w ramionach. Za nim pojawił się Klaus, a potem Rudi, który niósł jakiś pakuneczek.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło, w chwilowym bezruchu chłonęła wzrokiem wytęsknione postacie.

Obaj byli wysocy, chudzi jak szczypior, ogoleni prawie na łyso. Mieli na sobie granatowe kostiumy sportowe. Klaus z wyglądu do złudzenia przypominał ojca. Wyraźne rysy, pociągła twarz, mocno zarysowane linie zuchwy. Niewiele niższy Rudi miał pryszcze na czole i meszek pod nosem.

Wstała, by wziąć obu w ramiona, ale osiłek powstrzymał ją oschłym poleceniem:

– Nie podchodzić! Zabronione!

Z żalu, że nie mogła ich nawet przytulić, ścisnęło jej się serce. Wychowawca, który przedstawił się jako Klein, kazał chłopcom zająć miejsca.

Usiedli po drugiej stronie stołu i zapadła między nimi cisza. Ciężka, niezdolnie wymowna. Miała wytęsknionych braci naprzeciwko siebie, a odnosiła wrażenie, że dzielą ich lata świetlne. Niewidzialna kurtyna postawiona z bezdusznych zakazów. Co aż tak złego zrobili, że zostali na to skazani? Jak zdoła w piętnaście minut, przy świadkach, na podsłuchach, opowiedzieć im wszystko, co się zdarzyło przez długi czas rozłąki? Jak oni będą mogli wyjawić jej, co naprawdę przeżyli?

Twarze mieli poważne, a w oczach coś, co budziło w niej lęk. Zwłaszcza Rudi. Kiedyś nauczyła go płakać bez łez. Teraz jego oczy wyglądały jak wówczas, gdy powiesiła się Hilda. A może tylko jej się zdawało przez półmrok panujący w pokoju widzeń? Anna nie potrafiła tego określić.

Po raz pierwszy brakowało jej słów. Nie wiedziała, o co może pytać, żeby im nie zaszkodzić. Bracia także milczeli, tylko na nią patrzyli. Rozmowa nawet się nie zaczęła kleić, uciekały cenne minuty.

– Cieszę się, że wreszcie was widzę – odezwała się pierwsza. Wycierała palcami policzki, choć nauczono ją, że płacz jest słabością, która hańbi nazwisko Hoffenberg. Teraz jednak nie potrafiła powstrzymać łez.

– Ciebie też dobrze widzieć – odrzekł Klaus.

Głos miał męski, twardy. To powitanie zabrzmiało bardziej grzecznościowo niż szczerze. Wychowawca usiadł przy sąsiednim stole i zaczął robić notatki.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytał młodszy z braci.



Jego głos także nabrał męskiej barwy, a tak niedawno, jakby wczoraj, prowadziła go za rączkę, gdy szli zebrać w Prusach. Teraz tamten chłopczyk był już tylko wspomnieniem. Ten tutaj sprawiał wrażenie znacznie dojrzałego, niż mógł wskazywać wiek czternastu lat. Patrzyła na jego palce prawie pozbawione paznokci, tak były obgryzione.

– W pierwszej połowie stycznia.

– Na długo? – pytał dalej Rudi.

– Na zawsze – odparła. – Bardzo za wami tęskniłam. Jak się czujecie?

– Dobrze – odrzekł z przekonaniem Klaus. – Jesteśmy zdrowi i niczego nam nie brakuje.

– Zabiorę was stąd.

Ledwo to powiedziała, grubas w oliwkowej koszuli przerwał zapiski i wbił w nią wzrok.

– Nie trzeba. – Zdecydowany sprzeciw Klause zaskoczył Annę. – Zostaniemy tutaj. Mamy tu dobrych kolegów i wychowawców. Niedawno zostaliśmy słusznie ukarani i byliśmy w placówce resocjalizacyjnej w Torgau, ale zrozumieliśmy nasz błąd, złożyliśmy samokrytykę, więc dostaliśmy szansę poprawy, żeby żyć w prawdzie i lepiej służyć naszemu krajowi.

Chłopak wygłosił te słowa niczym przemawiający na wiecu najzagorzalszy zwolennik komunizmu. Co gorsza, sprawiał wrażenie, że święcie wierzy w te bzdury. Mózg ci tutaj wyprali, miała na końcu języka. Pohamowała się w ostatniej chwili i w zamian spytała:

– Jaki błąd?

– Nie uwierzyliśmy, że nasz ojciec był nazistowskim zbrodniarzem – wyrecytował Rudi i nawet nie drgnęła mu powieka. – Podważyliśmy wiarygodność państwowej instytucji, która posiada prawdziwe informacje. Teraz wierzymy i wstydzimy się za niego. Kolektyw Wolnej Młodzieży Niemieckiej mimo to dał nam szansę i przyjęto nas do organizacji. Jesteśmy z tego dumni.

Zapytała o parę rutynowych spraw: jedzenie, plan dnia, jak sobie radzą w szkole. Odpowiadali równie oficjalnie, co chwila recytując ideologiczne dyrdymały, i wszystko chwalili. Inaczej sobie wyobrażała ich pierwsze spotkanie.

– Gramy w piłkę nożną – mówił Klaus. – Trenujemy kilka razy w tygodniu, mamy zgrany kolektyw, chcemy wygrać najbliższe rozgrywki

na spartakiadzie młodzieży.

– Chcemy? – odezwał się napominającym tonem wychowawca.

– Wygramy, towarzyszu wychowawco! – odrzekli chórem.

– No – cmoknął zadowolony. – Zuchy.

Bracia o nic więcej nie pytali. Sprawiali wrażenie, że nie cieszy ich jej obecność. Anna spojrzała na zegar. Jeszcze pięć minut. Chciała czym prędzej stąd wyjść, tak nieznośnie sztywna była ta wizyta.

– Co z resztą naszych... – urwała. Chciała powiedzieć z leśnego obozowiska, ale wybrała bezpieczniejszą wersję: – Z Kaliningradu, są tutaj z wami?

– To zdrajcy, imperialistyczny element, zwolennicy nazistów – wyciskał przez zęby Klaus. Na twarzy miał wyraz pogardy. – Uciekli na Zachód, tchórze.

– A doktor Krugłow i Elke? – pytała bardziej z rozpędu niż z ciekawości.

– Rok temu wyjechał do Moskwy – odrzekł Rudi. – Chciałbym zobaczyć Moskwę. Wszyscy mówią, że to piękne miasto. A Elke adoptowała przykładowa enerdowska rodzina.

– Czas minął – zakomunikował osiłek.

– Towarzyszu wychowawco, pozwoli wychowawca wręczyć siostrze prezent?

Rudi spojrzał na grubasa. Gdy tamten kiwnął przyzwalająco głową, chłopiec położył na stole pakuneczek, który trzymał na kolanach, i wyjaśnił:

– Uczę się na cukiernika. Upiekłem pierwszy keks na warsztatach. – Wskazał oczami na ciasto, owinięte w pergaminowy papier. – Nie mam wprawy, więc lepiej najpierw sama spróbuj, czy dobry, nim kogoś poczęstujesz.

– Na pewno jest dobry. Dziękuję, Rudi. Ja też coś wam przywiozłam. – Podniosła z podłogi siatkę. – Ciepłe buty i trochę słodczy.

– Mamy buty, ale dziękujemy – odrzekł Klaus. – Słodyczami podzielimy się z kolegami.

Wychowawca pierwszy sięgnął po pakunek Anny, lecz strażnik powiedział, że wszystko już sprawdzone, tylko buty trzeba będzie podkleić, więc tamten zaczął składać zapisane kartki.

Funkcjonariusz rozwinął z opakowania lekko przypalony po brzegach keks i obejrzał uważnie pergamin, jakby szukał na nim wiadomości.

– To też sprawdzone – rzucił opiekun, wskazując tłustym podbródkiem na papier.

– Muszę skontrolować, takie przepisy – odrzekł bezbarwnym głosem strażnik.

Przekroił ciasto przez środek i uważnie zlustrował obie połówki. Rudi prawie nie odrywał oczu od sporego zakalca, a po chwili, zawstydzony nieudanym dziełem, przeniósł spojrzenie na Annę.

– Trochę mi nie wyszło. Zjedz z brzegów, a środek wyrzuć.

– Środek też zjem, bo to od ciebie – odrzekła ze smutnym uśmiechem.

Mundurowy skończył oględziny, położył oba kawałki ciasta na pergaminie i podsunął je Annie, mówiąc:

– Smacznego.

Wizyta była skończona. Osowiła Anna poszła do samochodu. Maria z Siergiejem już na nią czekali. Iwanow palił papierosa. Mama, widocznie zdenerwowana i zmarznięta, otulała policzki futrzanym kołnierzem.

– Nie teraz. – Anna ubiegła ich pytania i usiadła z tyłu. W oczach miała łzy, na twarzy żal. Maria zajęła miejsce obok. Pogładziła córkę po plecach gestem dodającym otuchy.

Po słońcu nie został ślad i wszystko zdawało się tonąć w szarości.

– Nie powiedziałaś nic niestosownego, Anno? – zapytał Iwanow, gdy wyjechali za bramę.

– Niby co miałam powiedzieć? – burknęła rozgoryczona. – To było straszne. Zrobili z nich maszyny do klepania wyuczonych formułek.

– Przykro mi, że się rozczarowałaś. Co tam masz? – zapytała Maria. Siergiej też zerkał we wsteczne lusterko.

– Prezent od Rudiego, uczy się na cukiernika. Strażnik nie dość, że rozwijał każdy z cukierków, które im przywiozłam, to jeszcze przekroił ciasto, jakby czort wie czego tam szukał. To nie jest żaden sierociniec, tylko więzienie o zaostrzonym rygorze. Nie mogłam ich objąć, przytulić. Siedzieli sztywni, jakby kije połknęli.

– Takie zasady. Niemiecka dyscyplina i twardy wychów – zauważył Iwanow.

– Radziecki nie lepszy – rzuciła złośliwie Anna. Nie powinna tak się do niego zwracać, ale musiała na kimś się wyżyć. – Pamiętam, jak Rudi wrócił z waszego sierocińca. Na plecach miał siniaki, strupy na głowie, a w oczach tylko strach.

– Teraz ma w nich radość? Jest przecież u swoich – odciął się szorstko.  
– Siergiej, daj spokój. – Maria potarła czoło palcami. – Nie chcę słuchać tych waszych scysji. I bez tego głowa mi pęka.  
– Rzeczywiście jesteś jakaś niewyraźna – zerkał na żonę. – Powinnaś wziąć aspirynę i się położyć.  
– Tak zrobię.

Odwiózł je pod dom i odjechał, zapowiadając, że wróci przed wieczorem. Maria poszła do sypialni przebrać się w wygodniejszą sukienkę. Nie czuła się najlepiej, łamało ją w kościach i drapało w gardle.

Anna weszła do kuchni, żeby pokroić keks. Chwilę siedziała zamyślona na krześle, od czasu do czasu skubiąc słodkie okruszki.

Naraz coś ją tknęło. Przypomniała sobie spojrzenie Rudiego, gdy znacząco wskazywał oczami na ciasto i tłumaczył, gdzie lepiej się wypieкло. Dlaczego powiedział, żeby wyrzuciła środek? Ktoś, kto głodował, jak kiedyś oni, nie wyrzuca ciasta z powodu zakalca. Może miało to znaczenie?

Sięgnęła po nóż i odkroiła kawałek z jednego brzegu, potem z drugiego, i przyjrzała się uważniej miąszowi. Między kilkoma rodzynkami dostrzegła coś białego. Wyskubała ze środka zwinięty w rulonik karteluszek. Rozwinęła go i odczytała wiadomość napisaną drobnym maczkiem.

*Bądź jutro o 9.00 na Friedrichstrasse przed przejściem do sektora Amerykanów. Nie mów nikomu.*

Serce łomotało w niej jak szalone. Poznała pismo Klausa. A więc dzisiejsze widzenie to była maskarada, wyłącznie pokazówka? Prawdziwe spotkanie nastąpi jutro. Chyba że to prowokacja. A jeśli nie? – gorączkowała się w duchu, wpatrzona w liścik. W korytarzu rozległy się kroki. Czym prędzej wrzuciła karteluszek do piecyka i nastawiła czajnik.

– I jak to ciasto? – Owinięta ciepłym szalem Maria weszła do kuchni. – Widzę, że robisz herbatę. Ja też się napiję i wezmę aspirynę. Trochę mnie trzęsie.

– Może się przeziębiłaś? A ciasto smaczne, zaraz ci ukroję. Idź się połóż, przyniosę ci do pokoju.

Anna zakrzętała się prędko przy szafkach, żeby zamaskować podminowanie. Wyjęła filiżanki, imbryk, talerzyki.

– Jak dobrze, że cię mam. – Maria pocałowała ją w głowę. – Naprawdę przykro mi, że się rozczarowałaś.

– Najważniejsze, że ich zobaczyłam. Bardzo urosli. Klaus wygląda jak nasz ojciec... – urwała i zerknęła na matkę. Przez twarz Marii przemknął jakiś cień. – Wybacz.

– Nie ma czego. – Odkaszlnęła. – W końcu był waszym ojcem.

– Oni wiedzą, co robił. Ponoć dlatego siedzieli w poprawczaku, że nie chcieli w to uwierzyć.

– Dziwny to powód wysyłania dzieci do poprawczaka, ale chyba dobrze, że wiedzą. Choć czasem lżej żyć, gdy pogrzebie się prawdę głęboko pod ziemią.

– Nie myślałaś, żeby pisać książki? – zagadnęła matkę Anna, nalewając herbatę do filiżanek. – Jesteś mądra.

– Tutaj nikt by nie wydał tego, co chciałabym napisać. Poza tym jeszcze nie przeczytałam wszystkich książek świata, aby móc pokusić się o własną. Chyba tylko twój dziadek Joachim tego dokonał. Odkąd pamiętam, zawsze widziałam ojca z książką – mówiła Maria, wydając z szuflady fiolkę z aspiryną. Zajrzała do środka i skrzywiła się lekko. – Zostały trzy. Siergiej ostatnio za dużo ich bierze.

– Rano skoczę do apteki. Powinnaś posiedzieć kilka dni w domu, żeby ci się nie pogorszyło – zasugerowała Anna, żeby mieć jutro większą swobodę.

Czuła się niezręcznie, zatajając przed mamą swój zamiar, Siergiejowi też obiecała lojalność, ale przemycony gryps z prośbą, żeby zachowała milczenie, stanowił większą pokusę. By pokryć zakłopotanie, wróciła do poprzedniego wątku.

– Nie wiesz, co cię jeszcze spotka. Tego, że wyjdiesz za Rosjanina, w dodatku komunistę, też się nie spodziewałaś.

– Wielu rzeczy, które mnie spotkały, się nie spodziewałam, małżeństwo z Siergiejem też do nich należy.

– Jesteś z nim szczęśliwa?

– Nie jestem nieszczęśliwa, to wystarczy.

– Wciąż myślisz o ojcu, znaczy o Andrzeju.

– Jeśli naprawdę się kogoś kochało, nie da się o nim zapomnieć, najwyżej można nauczyć się bez niego żyć. I właśnie próbuję. – Maria ciałniej

owinęła się szalem. – Nie gniewaj się, nie mam teraz nastroju do takich rozmów. Pójdę po koc, bo trochę mi zimno. Później usmażę kotlety.

– Ja usmażę, a ty się kładź. Przyniosę ci herbatę i keks.

– Zostaw trochę Siergiejowi, lubi słodczyce – dodała, próbując ciasta. – Całkiem niezłe.

– A Siergiejowi nie zaszkodzi niemiecki wypiek? – rzuciła z przekąsem.

– Dlaczego ciągle mu dogryzasz? Przecież ci pomaga.

– Może za bardzo zaczyna mi ojcować, może nie lubię Ruskich, a może jestem o ciebie zazdrosna?

– Zazdrosna? O mnie? Chyba żartujesz? – spytała kompletnie zaskoczona Maria.

– Pewnie, że żartuję, to było głupie, widać musiałam odreagować. – Anna pogładziła matkę po ramieniu. – Masz rację. Za bardzo ostatnio prowokuję Siergieja.

\*

Nazajutrz Annę przebudziła dobiegająca z głębi mieszkania głośna wymiana zdań. Przez grube zasłony w oknach do pokoju wdzierały się pierwsze skrawki dnia. Włączyła lampkę i mrużąc oczy od światła, spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Kłótnia na moment ucichła, ale po chwili znów rozległ się chrypiący głos matki:

– Nie traktuj mnie jak dziecka!

– To tak się nie zachowuj! Albo się ubierzesz, albo pojedziesz jak stoisz! Co ci dać?

– Daj mi wreszcie spokój!

Anna narzuciła sweter na nocną koszulę i rozspana poszła w stronę sypialni, skąd dochodziły podniesione głosy. Drzwi były otwarte, więc zajrzała do środka.

Kompletnie ubrany Iwanow przeglądał wiszące w szafie na wieszakach ubrania Marii. Ona zaś, w szlafroku, z kompresem na głowie, półleżąc na łóżku, popijała herbatę. Policzki miała rozpalone, szyję omotaną szalikiem.

– Czemu się kłóćcie? – zapytała Anna, patrząc na oboje.

– Przez te wasze idiotyczne spacerunki na mrozie mama jest teraz chora. – Rozeźlony Siergiej napadł na Annę. – Całą noc kaszlała, ma wysoką

gorączkę, musi ją obejrzeć lekarz, żeby nie było z tego zapalenia płuc, ale uparła się, że nic jej nie jest. Bohaterka.

– Człowieku, na litość boską, przestań mnie już dręczyć! – Maria w geście rezygnacji przyłożyła dłonie do twarzy. – Od pół godziny wiercisz mi dziurę w brzuchu. To tylko zwykłe przeziębienie. Nigdy nie byłeś przeziębiony? Sama sobie z tym poradzę. W końcu to ja jestem pielęgniarką, nie ty!

Anna przysiadła przy matce i przyłożyła dłoń do jej policzka.

– Jesteś rozpalona. Też uważam, że powinien cię obejrzeć lekarz. Niepotrzebnie włóczyliśmy się po mieście.

– Wreszcie się w czymś zgadzamy. Koniec żartów, Mańka. Wkładaj. – Rzucił na łóżko bluzkę, sweter, spodnie. – Za pół godziny widzę cię gotową do wyjścia albo zaniosę cię do samochodu w szlafroku. Chyba że wolisz, bym wezwał pogotowie.

– A może od razu wpakuj mnie do szpitala, żeby ci nie kaszlała w łóżku!

– Jeśli będzie trzeba. – Rozłożył przed sobą ręce.

– Mamo, Siergiej naprawdę ma rację. Zrobię śniadanie, potem wyskoczę po zakupy. Niczym się nie martw, wszystkim się zajmę – przekonywała usilnie matkę.

Przeziębienie nie było aż tak poważne, lecz stwarzało idealny pretekst, by uniknęła niewygodnych pytań przed wyjściem.

– Niech wam będzie, choć stanowczo przesadzacie. Ogarnę się i możemy jechać, inaczej mnie zadręczycie. – Maria podniosła się z łóżka, wzięła ubrania i poczłapała do łazienki.

Niedługo po ich wyjściu, zaopatrzona w pieniądze na sprawunki, Anna wyruszyła prędko na Friedrichstrasse.

Od przejścia do amerykańskiego sektora dzieliło ją kilka przecznic. Dzień był mroźny, ale z emocji nie czuła chłodu. Przyszła na miejsce sporo przed czasem. Stała nieopodal budki granicznej i przyglądała się przechodzącym ludziom.

Przez kwadrans pełna napięcia spacerowała tam i z powrotem wzdłuż pobliskiej dość monumentalnej kamienicy, a wciąż nic się nie działo. Upłynęło jeszcze kilka minut, gdy usłyszała za sobą:

– Anno.

Odwróciła się. Stał przed nią młody wysoki mężczyzna w znoszonej ciemnej jesionce. Szatyn o mocno zarysowanym podbródku i zielonkawoszarych oczach. Mimo mrozu nie miał czapki, tylko kolorowy szalik zamotany wokół szyi. Pod pachą trzymał obłożoną w gazetę książkę.

– Joachim? Joachim Fisher? – upewniała się, szeroko otwierając oczy ze zdumienia, że go tu widzi.

Prędzej mogła się spodziewać braci, tajniaków ze Stasi, nawet Iwanowa, aniżeli dawnego przyjaciela Markusa, z którym dzielili niedzielę w Königsbergu.

– Aż tak się zmieniłem, że mnie nie poznałaś? – Uścisnął ją mocno na powitanie.

– Po prostu mnie zaskoczyłeś. Co ty tu robisz?

– To na mnie czekasz. Chodźmy. – Wziął ją za rękę i ruszyli tam, skąd niedawno przyszła. – Zaprosiłbym cię do siebie, ale bezpieczniej rozmawiać tutaj, na ulicy, i to nie za głośno. Jeśli zaczniemy udawać zakochanych, nikt się nie będzie dziwił, że czasem mówimy sobie do ucha.

– Dobrze, ale nadal nic nie rozumiem. – Przysunęła się bliżej do niego.

Joachim zaprowadził ją na drugą przecnicę od Friedrichstrasse i dopiero wtedy zaczął wyjaśniać:

– Mieliśmy mało czasu, żeby wymyślić sposób, jak cię powiadomić o tym, co planujemy. Chłopaki dopiero przedwczoraj dowiedzieli się, że tu jesteś. Nie znaleźliśmy twojego adresu. Rudi wpadł na pomysł z tym ciastem. No i się udało.

– Wczoraj się z nimi widziałam. Gadali, jakby im mózgi wyprano.

– Nie mogli inaczej, a teraz słuchaj. – Jeszcze bardziej zniżył głos. – W niedzielę uciekną na zachodnią stronę.

– Chcą uciec z sierocińca? – Aż przystanęła z wrażenia. – W jaki sposób?

– Nie zatrzymuj się – upomniał ją, gdyż z przeciwka szedł ku nim patrol.

Wsunęła rękę pod ramię Joachima i wdzięczyła się doń, jakby mówił coś miłego. Gdy tamci ich minęli, zaczął jej tłumaczyć.

– Przez kanał na Sprewie. Jest jeszcze zamrznięty. W niedzielę z samego rana zabierają ich do pomocy na budowach. Ostatnio niedaleko kanału. Właśnie tam idziemy. Pokażę ci najlepsze miejsce. Muszą tylko zniknąć z oczu brygadziście i strażnikom, a potem pobić rekord świata w biegnięciu na pięćset metrów.



– O to akurat jestem spokojna. Musieliśmy nauczyć się szybko biegać, by przeżyć.

– Wiem. Będę na nich czekał po drugiej stronie.

– Ty?

– W niedzielę mam wolne. Pracuję na budowie w Berlinie Zachodnim, a tutaj na razie mieszkam. Wynajmuję kąt u rodziny, wychodzi taniej. Za jedną zachodnią markę płacą cztery wschodnie, więc żarcie też tańsze i można po cichu pohandlować. Dużo ludzi tak robi.

– Ja też tam będę na nich czekać.

– Dobra, najważniejsze, żebyś się nie wygadała. Nikt nie może o tym wiedzieć, dopóki nie przebiegną rzeki. Za Sprewą będą już poza tutejszym zasięgiem.

– Nawet mamie nie puszcze pary z ust. Powiem, że idę na randkę – wymyśliła na poczekaniu.

– Przyjdę po ciebie około dziesiątej. Skombinuję dla nich jakieś ciuchy i jedzenie. Uciekną przecież bez niczego.

– Ja załatwię jedzenie, ty weź ciuchy, tylko co potem? Gdzie będą mieszkać i z czego żyć? Nasz ojciec miał kiedyś willę w Monachium, ale nie wiem dokładnie gdzie. Nie sądzę, żeby chłopaki pamiętali adres. Poza tym nie mam pieniędzy, żeby tam pojechać ani żeby coś wynająć w Berlinie. Tylko złoty zegarek, ale to prezent od mamy. Chyba że poproszę ją o pieniądze, choć wolałabym tego unikać...

– Zaczekaj – wpadł jej w słowo. – Jest wyjście.

– Jakie?

– Wiesz, że mam stryja w Zurychu.

– Pamiętam, chciałeś do niego pojechać.

– Stryj Georg był pewien, że zginąłem przy bombardowaniu Königsbergu, więc nim się pojawiłem w Berlinie, wyjechał na kontrakt do Stanów. Wykłada matematykę na Stanfordzie. Dopiero niedawno dowiedział się, że tu jestem. Wraca za pół roku. Przysyła mi dolce, żebym pojechał do Zurychu i tam na niego czekał.

– Czemu nie pojechałeś? – spytała, rozglądając się między szkieletami starych kamienic i murami dopiero budowanych. Joachim skręcił w kolejną przecznicę. Uliczka była wąska, krótka, na końcu Anna widziała przęsła mostu na Sprewie, zatopione w szarym powietrzu.

– Szwajcaria to dla mnie obcy teren. Tu mam dobrą robotę, nieźle zarabiam, szkoda było rzucać. Szukam czegoś do wynajęcia w Berlinie Zachodnim, bo też się tam przeniosę, ale z kwaterami właśnie największy problem. Więc dopóki czegoś się nie znajdzie, zainstaluję ich w obozie dla uciekinierów. Warunki nie są najlepsze, ale jakoś przetrzymają ten czas. Sam bym z nimi został, tylko że mam legalną pracę, a pracujących nie przyjmują w ośrodku dla uchodźców.

– Przetrzymaliśmy szalasy, więc żadne warunki nam niestraszne, bo zamieszkać tam z nimi. Przyjmą mnie?

– Zapytam.

– Dziękuję. A kiedy zacznę zarabiać, znajdę dla nas jakiś kąt do wynajęcia.

– Z pracą dla kobiet po zachodniej stronie nie jest tak łatwo. Tam panuje jeszcze ideologia Trzeciej Rzeszy, miejsce kobiet jest w domu. Adenauer to konserwa, z niewoli powracało dużo mężczyzn, stąd też mnóstwo ludzi ucieka, więc wygryzają kobiety z roboty. A jeśli chodzi o kasę, na początek mogę wam pożyczyć. Trochę odłożyłem, a sam mam małe wydatki.

– Naprawdę? – Anna się rozjaśniła. – Byłoby wspaniale. Oddam ci co do grosza. Mogę robić cokolwiek, byle zarabiać. Wcześniej łudziłam się, że wezmę braci do siebie, ale to niemożliwe. Mieszkam z mamą i jej mężem. Zresztą musisz go pamiętać, to ten ważniak w garniturze, który był przy przesłuchaniach w Königsbergu.

– Wyglądał na niezłą szychę.

– Nadal jest i właśnie dlatego chłopcy nie mogą mieszkać z nami, choć mieszkanie jest ogromne. Ponoć klimat polityczny nie pozwala, więc muszę zmienić klimat. Drugi raz nie zostawię braci. Widziałam, co z nich tu zrobili.

– I tak długo wytrzymali.

– Że ich tam inwigilują, to widać, a chyba też biją. – Przygryzła lekko wargę.

– Wszędzie biją w sierocińcach, ale są gorsze rzeczy niż bicie... – urwał, jakby powiedział za dużo.

– Jakie? – zapytała, czując narastające napięcie. Joachim miał niewyraźną minę i wyglądał na zakłopotanego. – Wiem, że zostali zabrani do Torgau, bo nie uwierzyli, że nasz ojciec był zbrodniarzem, ale to chyba zbyt błahy powód, żeby kogoś wysłać do poprawczaka. Moja mama też tak uważa.

– Ma rację. To była oficjalna przyczyna podana w kartotece. Prawdziwa jest inna, a Torgau to wyjątkowo ponure miejsce.

– Ty wiesz, dlaczego naprawdę tam trafili. – Patrzyła w napięciu na Joachima. – To ma związek z tymi gorszymi rzeczami, tak? Powiedz, skoro zacząłeś. Mam dość obracania się wokół domysłów.

– Nie mogę. Dałem im słowo, że to zostanie między nami. Będą chcieli, sami ci powiedzą. Dobrze, że pozwolono im stamtąd wrócić. Dzień w Torgau to za długo. Oni tam byli cztery miesiące.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie, choć czuła coraz większy niepokój.

– Powiedz chociaż, skąd to wszystko wiesz. Przecież nie mieszkasz w sierocińcu. Jak się kontaktujesz z moimi braćmi?

– Wiekowo nie łapałem się na sierociniec, ale nie miałem co ze sobą zrobić, więc za miejsce do spania i parę marek zostałem tam na początku kimś w rodzaju złotej rączki. Potem zaczęłem się na budowie po zachodniej stronie. A tutaj prócz tego, że mieszkam, popołudniami pracuję społecznie w klubie sportowym. Twoi bracia grają tam w piłkę nożną. Czasem możemy pogadać albo przekazać sobie wiadomość. Jak się ostatnio widzieliśmy, akurat się dowiedzieli, że na drugi dzień mają widzenie z tobą. Ten pomysł z grypsem w cieście był jedynym sposobem, aby cię o wszystkim powiadomić.

– I na szczęście się udało. Dziękuję. – W przyпіływie impulsu cmoknęła go w policzek. Joachim się zmieszał, więc rzuciła swobodnie: – Mieliśmy udawać parę, próbuję utrzymać się w roli. A tak poważnie, naprawdę jestem ci wdzięczna, że nie zostawiłeś moich braci i mogli na ciebie liczyć.

– Nie masz za co dziękować, ktoś mi kiedyś pomógł, więc ja pomagam innym. Mój ojciec mówił, że tak powstaje łańcuch dobra. Zapamiętałem. A to – dotknął palcem swojego policzka – było całkiem miłe.

– Wiesz, co z resztą naszych? – zapytała prędko, by pokryć zakłopotanie, jakie ją ogarnęło pod wpływem spojrzenia Joachima. – Wiem tylko, że Elke adoptowała jakąś rodziną z NRD.

– To wersja oficjalna, propaganda na użytek wychowanków. Mała była prawie rok w sierocińcu. Markus pracował ze mną przy odgruzowywaniu miasta, żeby odłożyć trochę pieniędzy. Potem zabrał Elke, w papierach figurował przecież jako jej brat, i gdzieś zniknęli. Myślę, że podobnie jak reszta naszych uciekli na zachodnią stronę.

– Dobrze, że ją wziął. – Anna poczuła ulgę. – Elke od pierwszego dnia go sobie wybrała. Masz z nimi jakiś kontakt?

– Żadnego. Ani z nimi, ani z resztą naszych. Trochę szkoda, że Markus zniknął bez wieści. Kiedyś się przyjaźniliśmy, ale widać potrzebował zupełnie odciąć się od przeszłości. Może to i lepiej? Nie da się iść naprzód, oglądając się w tył. To tutaj – powiedział, gdy znaleźli się na bardziej otwartym terenie.

Po lewej stronie znajdował się spory plac budowy, wysokie usypiska gruzów, sterty cegieł i góry piachu. Na rusztowaniach uwijali się budowlańcy. Na prawo, za porośniętym wysokimi chaszczami dawnym skwerkiem był most na Sprewie. Za nim rozciągał się zachodni świat.

– W tym miejscu rzeka jest najwęższa – objaśniał Joachim, otoczywszy Annę ramieniem. Pochylił się nad nią, pocałował w policzek i mówił do ucha. Z zewnątrz wyglądało tak, jakby składał czułe wyznania, więc uśmiechała się dla zachowania pozorów, gdy mijał ich kolejny patrol Volkspolizei. – Brzeg jest wysoki, ale to nawet lepiej, bo mają gdzie się przyczaić. A na drugą stronę jest z kilkanaście metrów. Uznaliśmy, że bezpieczniej będzie przedrzeć się przez rzekę niż przez punkt graniczny, bo tam w razie kontroli wpadliby od razu. Tu mają większą szansę powodzenia.

Anna miała wrażenie, że na moment cofnęła się w czasie, gdy przed laty stały z Lotte nad zamrzniętym Niemnem i czekały okazji, aby przebiec przez rzekę. Wtedy się nie udało. Czy uda się teraz?

– Myślisz, że będą do nich strzelać? Strażnicy stąd albo policja czy wojsko?

– Poza Berlinem strzelają, gdy ktoś się próbuje przedrzeć przez granicę, ale tutaj jest otwarta brama na zachód. Nie przypuszczam, aby do tego doszło.

Pewność w głosie Joachima uspokoiła Annę.

– Przejdą – odrzekła w podobnym tonie i spojrzała na zegarek. – Już po jedenastej. Mama pewnie wróciła od lekarza, a obiecałam zrobić zakupy. Kupię od razu coś dla chłopaków, żeby w niedzielę w domu się nie połapali, że wychodzę z paczką. Pójdziesz ze mną, żeby to zabrać?

– Dobra, zaczynam zmianę o drugiej, więc zdążę. Powiesz mi po drodze, co u ciebie. Widzę, że trochę utykasz. Może za dużo chodzimy?

Przeszliśmy z pięć kilometrów w tej zimnicy – mówił, poprawiając szalik pod szyją.

Od mrozu miał czerwone policzki i uszy oraz przyprószoną śniegiem niesforną czuprynę. Annę też szczypał nos.

– Miałam wypadek. Co to za książka? – By odwrócić uwagę od siebie, wskazała na zawiniątko, które niósł pod pachą Joachim.

– Podręcznik do matematyki. Mam spore braki, więc kiedy jadę metrem, próbuję się uczyć, a matkę lubię. Gdy już przeniosę się na dobre na zachodnią stronę, zapiszę się do szkoły wieczorowej. Przynajmniej maturę muszę zrobić. Byłby wstyd, że stryj profesor, ojciec lekarz, a ja tylko po podstawówce. Imię też mam po najlepszym nauczycielu, czyli po twoim dziadku. A to zobowiązuje.

– Też powinnam pomyśleć o nauce. Dziadek Joachim przeczytał prawie wszystkie książki świata, ojciec był inżynierem, mama mówi w czterech językach, a ja po sześciu klasach. Najpierw jednak niech minie ta niedziela.

## Rozdział IV

# Coś za coś

Siennik cuchnął spermą i moczem. W piwnicy nie było okien. W grube betonowe ściany wżarła się wilgoć. Pomieszczenie, przypominające do złudzenia bunkier o łukowatych sklepieniach, podzielone na boksy, z których każdy był zamykany na kłódkę, stanowiło izolatkę dla wychowanków i miejsce wymierzania kary.

Klaus, w pozycji psa, z obnażonymi pośladkami zagryzał wargę. W oczach utkwionych w ścianie miał tylko nienawiść. Strachu wyzbył się już dawno. On i Rudi. Tylko nienawiść pozwalała im przetrwać to piekło. Na ścianie obok drewnianej ławki oraz stojaka na kije i dyscypliny rysowały się ledwo widoczne wydrapane w betonie imiona kolegów: Hans, Uwe, Fritz, Johan, Rudolf, Simon i kilka innych. Niektórych nawet nie znał. Zostały po nich tylko imiona.

On też wydrapał kiedyś swoje. Przy każdym imieniu były kreski. Tyle, ile razy każdy z nich musiał zejść do piwnicy. Na samym dole zobaczył napis, którego nie było tu przedwczoraj: „zabiję chuja”.

Ja też cię zabiję, chuju, zabiję, powtarzał w myślach w rytm przesuwającego się w tył i przód ciała. Zaciskał z całej siły oczy, gdy wstrętny wieprz charczał w nim jak zarzynane zwierzę. Zabiję cię, bydlaku, za siebie, Rudiego i innych, jebany zboczeńcu, ciskał w duchu najgorsze obelgi.

Przestał czuć upokorzenie, ból. Była w nim tylko nienawiść. I wiara, że dziś to już ostatni raz. Choćby miał umrzeć, dłużej nie pozwoli się upadlać.

– Oooo... jaaa...

Z nalanej mordy tłustego wieprza wydobywały się chrapliwe stęknięcia. Wreszcie skończył.

Klaus wstał okrakiem, podciągnął spodnie. Palił go odbyty, uda oklejała lepka maź. Klein zapinał rozporek. Czerwoną gębę miał zadowoloną.

Resztką przytomności umysłu chłopak hamował się, żeby nie zabić tamtego natychmiast, chciał wpakować mu w dupsko kij, tak głęboko, żeby wylazł łajzie przez gardło. Powstrzymała go tylko myśl, że jutro wreszcie stąd uciekną.

– Twój brat jest ciaśniejszy – rzucił mu do ucha Klein, po czym złapał go za gardło i wysyczał: – Ani pary z mordy, szczeniaku. Zgodziłem się, żebyście spotkali się z siostrą, więc się odwdzięczyłeś. Coś za coś, rozumiesz? Trzymaj ryj na kłódkę i nie podskakuj, bo inaczej traficie tam, skąd wróciliście, i wyruchają was w każdą dziurę, aż to pokochacie. Przekonałeś się chyba w Torgau, że nie warto skarżyć i kłamać o gwałtach? Tu nie ma żadnych gwałtów, prawda? – Mocniej zacisnął palce.

– Prawda – wydusił Klaus, z trudem łapiąc dech.

– Otóż to. Jest tylko zasłużona kara za wasze naganne zachowanie i tatusia nazistę. Rozumiemy się, Hoffenberg?

– Tak, towarzyszu wychowawco – powiedziały usta. Zabiję cię, skurwysynu, krzyczał w myślach. Te słowa prawie rozsadały betonowe wnętrza, ale tamten ich nie słyszał.

– Ściągaj gacie i kładź się. – Wskazał na ławkę. – Dostaniesz mały wpierdol, żeby było jasne, po co tu przyszliśmy. Opuściłeś się ostatnio w nauce.

Zabiję cię, bydlaku, poprzysięgał w duchu kolejny raz, gdy ciężki pas spadał na jego tyłek. Na taki ból był już odporny. W sąsiednim boksie ktoś obrywał podobną karę. Byle do jutra. Jutro ich tu już nie będzie. Uciekną stąd, choćby mieli utonąć w Sprewie.

Tego wieczoru Klaus, gdy już został sam w piwnicy, wyskrobał kamyczkiem przy swoim imieniu ostatnią kreskę w długim rzędzie wcześniejszych.

\*

W niedzielę Anna szykowała się do wyjścia. Zakręciła włosy, zrobiła makijaż i ubrała się ładnie, żeby wyglądało, jakby naprawdę wybierała się na randkę. Dochodziła dziesiąta. Za oknem spadały z dachu lodowe sople. Od piątku panowała odwilż i niepokoila się, czy lód na rzece jest wystarczająco twardy.

Maria przeleżała w łóżku kilka dni, ale dziś już wstała i krzątała się po domu. W sypialni, która służyła jednocześnie za gabinet, Iwanow stukał w maszynę do pisania. Drzwi miał otwarte, jakby celowo nasłuchiwał, co się dzieje w domu.

– Wybierasz się dokądś?

Maria zajrzała do pokoju córki, gdy ta robiła przed lustrem ostatnie poprawki. Wygładzała włosy, wyrównywała bursztynowe serduszko na szyi. Ze zdenerwowania trzęsły jej się ręce.

– Umówiłam się z Joachimem Fisherem – odpowiedziała prędzej, niż uświadomiła sobie, że nie powinna wymieniać nazwiska, ale była w takim napięciu, że nie myślała racjonalnie. Stukot maszyny do pisania na chwilę ucichł. – Trochę się denerwuję. Jak wyglądam? – Spytała z pozoru swobodnie, odwróciwszy się ku matce.

– Prześlicznie – odrzekła Maria, oglądając córkę z każdej strony. Smukła, z włosami wijącymi się wokół twarzy, w makijażu, który podkreślał duże oczy, i z tym niepewnym uśmiechem prezentowała się zachwycająco. – Joachim jest w Berlinie? Nic nie mówiłaś. Gdzie go spotkałaś?

– Zapomniałam ci powiedzieć. Mieszka tu. Wpadliśmy na siebie na ulicy, kiedy byłaś u lekarza. Pomógł mi z zakupami i odprowadził pod dom. Nie mogliśmy się nagadać, więc zaprosił mnie na dziś. Mówił, że przygotowuje jakąś niespodziankę.

– To dlatego jesteś taka spięta. – Matka otoczyła ją ramieniem.

– Nie wiem, czy jestem gotowa na randki – dotknęła serduszka na szyi – ale chcę pójść.

– Idź i bawcie się dobrze. Zaproś koniecznie do nas Joachima. Pamiętam go jako chłopca, a teraz to już pewnie mężczyzna.

– Ledwo go poznałam. Nie wiem tylko, czy Niemiec może przychodzić do radzieckiego domu, bo moi bracia na przykład nie mogą – rzuciła celowo głośniej.

– Słyszałem. – Z głębi mieszkania doleciał głos Iwanowa.

– To nie podsłuchuj! – odkrzyknęła Anna.

– Ledwo człowiek wyzdrowiał, a znowu się zaczyna. – Maria przewróciła oczami i mówiąc, że zaraz wraca, wyszła z pokoju. Po chwili była z powrotem z flakonikiem francuskich perfum i podała go córce. – To też może się przydać. – Wsunęła jej w dłoń trzydzieści marek.



Wystrojona i wyperfumowana Anna przeszła przez pokój dzienny. Iwanow stał przy fortepianie.

– Dokąd się wybierasz? Mogę cię podwieźć – zagadnął ją niby od niechcienia, przerzucając jakieś nuty.

– A może jeszcze pójdziesz ze mną? – rzuciła przez ramię, wykrzywając się do niego.

W odpowiedzi zagrał kilka dynamicznych taktów *Tańca z szablami* Chaczaturiana. Zrozumiała aluzję.

– Aniu... – W głosie Marii zabrzmiała lekka nagana. Przeniosła napominające spojrzenie na męża. Przerwał grę.

– Niech ci będzie – zameldowała w progu gotowa do wyjścia Anna, patrząc na Iwanowa. – Idę na randkę. W Związku Radzieckim i Niemieckiej Republice Demokratycznej randki chyba nie są jeszcze zakazane? Nie musisz mnie odwozić, bo Joachim będzie czekał pod domem. Powłóczymy się po mieście i pójdziemy do kina. Grają *Spotkanie nad Łabą*. Zważywszy, że film dostał Nagrodę Stalinowską, jest chyba odpowiednio propagandowy, żebyś nie miał obiekcji. Dokąd pójdziemy po kinie, nie muszę mówić, bo jestem dorosła, a to sprawy wyjątkowo wrażliwej natury. Zadowolony? – zakończyła ironicznym tonem.

Może i była obcesowa wobec tego człowieka, ale nie do końca wierzyła w czystość jego intencji. Poza tym ogarniało ją coraz większe zdenerwowanie tym, co miało się niedługo wydarzyć.

– Powiedzmy – mruknął.

– Nie wiem, kiedy wrócę, nie czekajcie na mnie, cześć – rzuciła i już jej nie było.

– Twoja córka to pole minowe. – Gdy zostali sami, Siergiej ze świstem wypuścił powietrze z ust. – Każdy krok grozi wybuchem, a ja jestem kiepskim saperem.

– Wiem, ale bądź dla niej wyrozumiały, przeżywa trudny czas. Nie spotkało jej w życiu dużo szczęścia. Mam nadzieję, że teraz to się zmieni, skoro się umówiła – tłumaczyła Maria i podeszła do okna.

Ulicą szedł wysoki mężczyzna w kolorowym szaliku. Z gołą głową, z plecakiem na ramieniu. Wiatr targał jego czuprynę i szarpał połami płaszcza. Uśmiechnięty pomachał do Anny, gdy ją ujrzał. Podeszła do niego i pocałowali się na powitanie.

– Jak on wyrósł. Przystojniak.

– To ten? – Iwanow też zerknął zza firanki. Młodzi, trzymając się za ręce, przecięli w poprzek ulicę i poszli w stronę stacji kolejki. Jeszcze chwilę patrzył za prędko oddalającą się parą, potem powiedział: – Zobaczymy, co wyniknie z tej randki.

Zadzwonił telefon. Siergiej rozmawiał z kimś krótko, po czym zakomunikował:

– Wzywają mnie do pracy.

– W niedzielę?

– Muszę jechać do redakcji. Jakiś problem z jutrzejszą gazetą.

Przebierał się w sypialni, gdy w przedpokoju zabrzączał dzwonek do drzwi. Maria poszła otworzyć.

W progu stał Maksymilian w wojskowym płaszczu i papasze na głowie. Nie widziała kuzyna od zeszłej wiosny, ucieszyła się więc z niespodziewanej wizyty.

– Maks, co ty tu robisz?! – zawołała uradowana, wpuszczając go do środka. Uścisnęli się serdecznie.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale nie wiedziałem, czy masz telefon, więc nie miałem jak cię uprzedzić. Od dziś znów stacjonuję w Berlinie, więc wpadłem się przywitać, licząc, że mnie nie wyrzucisz. Nie wyrzucicie – poprawił się, gdy do przedpokoju wszedł Iwanow, już w służbowym ciemnym garniturze. Zwrócił się do gościa oficjalnym tonem:

– Jeszcze nie mieliśmy ze sobą przyjemności. Poniekąd jesteśmy rodziną, więc mówmy sobie po imieniu. Siergiej. – Wyciągnął rękę do Maksa, którą ten uścisnął i przedstawił się nieznacznie spięty.

– Maksymilian.

– A nie Michał Zaremba? – W głosie Siergieja zabrzmiał cień rozbawienia. Nie czekając na odpowiedź zakłopotanego żołnierza, dodał: – Wypilibyśmy bruderszaft, ale, niestety, muszę teraz wyjść, chyba że zaczekasz.

– Dostałem przepustkę do wieczora.

– Więc wypijemy, jak wrócę.

Kiedy wyszedł, Maria zabrała się do smażenia jajecznicy na kielbasie, żeby nakarmić gościa. Maksymilian rozglądał się po gustownym salonie, oglądał fotografie na fortepianie.

– Mam też inne zdjęcia. Z naszego wesela z Andrzejem w Ostojanach. Jest na nich prawie cała rodzina. Potem ci pokażę, wybierzesz sobie jakieś – mówiła, nakrywając do stołu. – Najpierw jednak zjedz śniadanie. Pewnie jesteś głodny.

– Jak wilk – potwierdził, zabierając się do jedzenia. Przełknął parę kęsów jajecznicy z chlebem, popił herbatą i zniżywszy głos, spytał: – Można tu swobodnie rozmawiać?

– Podśłuchów nie ma, jeśli to miałeś na myśli.

– Wolałem się upewnić, bo tu inwigilują na każdym kroku. Znalazłem – zakomunikował konspiracyjnym szeptem.

– Co?

– Miejsce, gdzie nas trzymali w trzydziestym dziewiątym, zanim trafiliśmy do Kozielska. To taka wioseczka u Ruskich. Sowkino.

Maria przyłożyła rękę do ust i cała zamieniła się w słuch. Kuzyn mówił dalej:

– W listopadzie wiozłem transport w tamte strony, rozpoznałem te magazyny. Czekałem na części do samochodu, przez kilka dni kwaterowałem w jednej z pobliskich chałup. A że było zimno i trzeba było rozgrzewać się wódką, a ta rozwiązuje języki, więc gospodarz, gdy miał już dobrze w czubie, wygadał się, że w trzydziestym dziewiątym widział w okolicy dużo polskiego wojska wziętego do niewoli. Widział też, jak z ciężarówki enkawudziści zrzucali ciała do dołu. Pięć kilometrów od magazynów.

– Więc Jeremi tam...?

– Prawdopodobnie. – Maks wygiął usta, a jego chwilową ekscytację zastąpiło przygnębienie. – Tylko że dalej nic z tego nie wynika.

– Dlaczego? Przecież wreszcie znalazłeś miejsce, którego szukałeś od tylu lat. Wypełniłeś przysięgę.

– Nie do końca. Przysiągłem Jeremiemu, że nie zostawię go w sowieckiej ziemi, ale na szczątkach mojego brata rośnie teraz sosnowy las. W mundurze miał zdjęcie Krysi, więc jego zwłoki bym rozpoznał, niestety nie wiem, pod którą sosną ich szukać.

– Ale wreszcie wiesz, jaki to las. – Pogładziła go po ramieniu. – Może w innych czasach, w innej rzeczywistości znajdziesz tę właściwą sosnę. I tak zrobiłeś dużo.

– Nie mów na razie o tym nikomu. Nawet mężowi. Skąd on wie, że nie jestem Zaremba?

– Może przypadkiem ode mnie, ale on dużo wie i dużo może.

– Domyślam się. Pozwolisz zapalić? – zapytał, wyjmując z kieszeni papierosy.

– Proszę, Siergiej też pali. – Podała popielniczkę. Nalała koniaku Maksowi i sobie. Wypił, zaciągnął się dymem i ciągnął jakby zapatrzony gdzieś w przestrzeń pokoju.

– Myślę, Marysiu, że mimo wszystko za daleko to poszło i nie w tę stronę, w którą powinno.

– To znaczy?

– Niby znalazłem to, czego szukałem, a wciąż czuję gorycz. Czasem mam ochotę napluć sobie w gębę, że przysięgałem wierność sowieckiej armii.

– Ja też poniekąd wyszłam za wroga i miałam do tego powody, toteż wiem, że niektóre sprawy nie są tak oczywiste, jak się wydaje.

– Przecież cię nie oceniam. Ja też miałem powody, by wybrać, jak wybrałem. Po prostu zastanawiam się, czy był to słuszny wybór. – Szarpnął guzik munduru. – Może powinienem poszukać innego sposobu, żeby dotrzymać przysięgi? Może lepiej było jej nie dochować, niż plamić honor Ostojańskich, służąc w Armii Czerwonej? Może ojciec lub Jeremi daliby mi za to w pysk albo wyrzucili z rodziny jak Józek?

– Wciąż cię boli, że Józek się ciebie wyrzekł – stwierdziła. – Przejdzie mu.

– Nie przejdzie. Jest tak samo uparty jak nasz ojciec. Do końca życia nie wybaczy mi zdrady. Luśka odpisuje na moje listy, Józek ani razu. Czasem Krystyna coś napisze, ale on nie.

– A może pora przestać oceniać ludzi przez pryzmat tego, w co wierzą, na rzecz tego, jacy są? Życie ani dokonywane wybory nie są tylko czarne albo białe. Siergiej jest przyzwoitym człowiekiem, choć służy obcej nam ideologii.

– Masz pewność, że nie maczał palców w tym, co zrobili z polskimi oficerami? Z ojcem, Antkiem i tysiącami innych?

– Zapewnił, że nie, a ja chcę w to wierzyć. – Westchnęła ciężko. Rozmowa o tym, czego nie można było już cofnąć, sprawiała jej udękę, więc zmieniła temat. – Zostawmy to. Co u ciebie poza tym? Masz jakieś

wieści od naszych z Workuty? Napisałam do nich, ale nie mam jeszcze odpowiedzi.

– Tyrają z nosem przy ziemi. Dostałem list od Luśki. Józek wykluczył cię z rodziny, gdy się dowiedział, za kogo wyszłaś. Witaj w klubie. – Zgasił niedopałek, uzupełnił koniak w kryształowych kieliszkach i wzniósł toast. – Zdrowie wyklętych.

– Mogłam się tego spodziewać – odrzekła w podobnym tonie i wychyliła swoją porcję do dna. – Trudno, Józek nie będzie ustawiał mojego życia. Znalazł się wielki nestor rodu, psiakrew – prychnęła, choć ją to zabolowało.

– Rozproszył się ten nasz ród, podzielił. Muszę coś zrobić, aby ocalić przynajmniej szacunek do siebie, skoro rodzina nam się rozeszła.

– Niby co?

– Wystąpię o przeniesienie do polskiego wojska. Tylu sowieckich dowódców oddelegowują do naszej armii, że może i dla mnie znajdzie się miejsce. I chyba pora, bym zaczął znów być Ostojańskim. Ujawnię się, najwyżej mnie odstrzelą.

– Nie odstrzelą. Zapytam Siergieja, może będzie mógł pomóc.

– Na razie z tym się wstrzymaj, spróbuję sam załatwić sprawę. No a co jeszcze u ciebie, Marysiu? Jak Anula? Pozbierała się po tym zamachu? To straszne, co ich spotkało. W gazetach pisali o tym przez tydzień.

– To cud, że przeżyła. Żal, że Wadim zginął. Dobry był z niego człowiek. Taki młody, miał przed sobą całe życie. – Znów westchnęła. – Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co czuje jego matka. Anula powoli dochodzi do siebie. Właśnie niedawno wyszła. Zostaniesz z nami do kolacji, więc pewnie się spotkacie.

– Zdaje mi się, że minąłem ją na ulicy, ale mnie nie poznała. Bardzo się dokądś śpieszyła.

Tymczasem Anna stała nad Sprewą po zachodniej stronie Berlina i wypatrywała ruchu na drugim brzegu. Niczego nie mogła dokładnie dostrzec, prócz ogólnej panoramy miasta. Było za daleko, by rozróżnić postacie, na które czekała tutaj od ponad godziny.

– Dlaczego to tak długo trwa? – Zdenerwowana zwróciła się do Joachima. On też wyteżał wzrok. – Mówiłeś, że spróbują się przedrzeć w przerwie śniadaniowej, a już po dwunastej.

– Może dopiero po fajrancie będą mieli okazję. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Lód twardy, miejsca w obozie załatwione, rzeczy przygotowane, teraz tylko trzeba czekać. Nie zmarzłaś?

– Nie. A jeśli ich tam w ogóle nie ma? Może jednak powinnam zostać po tamtej stronie? Widzisz coś? Bo ja nic.

– Jesteś po właściwej stronie. Zaczekaj – powiedział, gdy przed pobliskim mostem zatrzymał się amerykański gazik.

W kilku susach podskoczył do wojskowych, wyjaśnił im łamaną angielszczyzną, w czym rzecz, i wrócił do Anny, niosąc w ręku lornetkę. Tamci zaciekawieni sytuacją także podszli do rzeki. Jeden przypalił camela, drugi wsunął do ust gumę do żucia. Anna, niewrażliwa na wszystko, co działo się wokół, przyłożyła lornetkę do oczu i obserwowała przeciwny brzeg.

Wtem zobaczyła, jak z kępy badyli wyskoczyły dwa szare punkciki. W miarę jak się zbliżały, nabierały wyraźniejszych kształtów. Rozpoznała sylwetki braci.

– Są! – krzyknęła. – Widzę ich!

Jeden z Amerykanów też patrzył przez lornetkę. Anna już jej nie potrzebowała. Widziała gołym okiem, jak bracia gnają co sił ku rzece.

– Prędeej, chłopaki, prędeej! – wołała, jakby mieli ją usłyszeć.

– *Come on, guys, come on...* – mówił pod nosem jankes z lornetką. Drugi zbliżył się do wysokiego brzegu i dawał przywołujące znaki ręką.

Rudi z Klausem prawie dobiegali do kanału, gdy nagle pojawiła się pogoń. Kilku strażników sadziło za nimi wielkie susy, wrzeszcząc donośnie:

– **HALT!!! HALT!!!**

Wzdłuż wschodniego brzegu biegli inni mundurowi, chcąc osaczyć uciekinierów. Anna zamarła. Joachim pobladł. Wokół nich pojawili się przechodnie, podeszło kilku innych jankesów, wszyscy czekali w napięciu na rozwój wypadków. Klaus bez wahania skoczył z wysokiego brzegu na lód, Rudi za nim. Potknęli się, ale za moment wstali.

– Prędeej, jeszcze tylko kawałek!!! – wołała na całe gardło Anna, tak jak kiedyś za nią krzyczała Lotte, gdy biegły przez Niemen.

Nagle powietrze przeciął odgłos wystrzałów. Również jak wtedy. Zamarła z przerażenia.

– Skurwysyny jednak strzelają! – zaklął Joachim.

W grupce gapiów rozległ się pomruk oburzenia. Ktoś mówił, że ci na rzece to chyba szpiedzy, ktoś inny wołał, żeby biegli szybciej. Jankesi zdjęli z ramion pistolety maszynowe, ale żaden z żołnierzy nie strzelił.

Annie nagła niemoc ugięła kolana, gdy widziała, jak pod nogami braci pęka podziurawiony od niemieckich pocisków lód. Chłopcy rozdzielili się teraz i biegli zygzakiem. Stało w niej serce, gdy Rudi się przewrócił, a zaraz po nim Klaus. Byli do połowy zanurzeni w wodzie, rozpaczliwie łapali się rękoma kry, próbowali się czołgać. I znów stanęły jej w oczach dawne wspomnienia. Na tę jedną chwilę Sprewa przemieniła się w zamrznięty Niemen.

Nie była w stanie patrzeć na rozgrywający się dramat. Odruchowo przycisnęła głowę do piersi Joachima, zatkała uszy. Nie słyszała zamieszania na brzegu, nie widziała ludzi chwytających się za ręce, tworzących szereg, którego początek sięgał prawie do lodowej tafli.

Naraz w powietrzu przetoczył się zbiorowy odgłos ulgi, rozbrzmiały oklaski i Anna poczuła lodowatą wilgoć na policzkach, obejmujące ją czyjeś ręce, czyjs ciężar na plecach, zdyszane oddechy. Odzyskawszy zdolność myślenia, zrozumiała, że oto znalazła się w ramionach braci.

Prawie w nich ginęła. Radość to za mało, by określić, co teraz czuła, gdy na przemian obejmowała ich obu mokrutkich.

– Jesteście... – Głos wiązał jej w gardle. Łzy napłynęły do oczu.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to Rudi i Klaus stoją tu przed nią teraz. Nieludzko zmęczeni, jeszcze pełni napięcia i dygoczący z zimna, z sinymi ustami, ale żywi. Rudi chlupał, Klaus bardziej panował nad słabością.

– Wreszcie jesteśmy wolni... – Starszy z braci odetchnął głęboko. Po raz pierwszy od dawna blady uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Strzelali gnoje w nogi, ale nas... nie... trafili.

– Wykiwałem brygadzystę, że nie mogę znaleźć kielni – wydyszał Rudi. – A gdy wlaż do baraku... zatarasowałem drzwi drągiem. Wcześniej Klaus udawał, że ma sraczkę. Strażnik chodził z nim do klopa. Przy trzecim razie Klaus poszedł sam, wtedy daliśmy dyla.

– A potem sam mało nie dostałeś sraczki, jak za nami strzelali. – Starszy brat szturchnął w bok młodszego. – Wierzysz, że tu jesteśmy?

– Jeszcze nie.

Obcy ludzie klepali ich po plecach, składali gratulacje. Jakiś mężczyzna wcisnął w rękę Klausa parę banknotów.

– *Good job, guys* – powiedział z uznaniem jeden z żołnierzy i narzucił koce na ramiona chłopaków. Rudi bardziej trząsł się z zimna, więc Anna czym prędzej zdjęła kozuch, aby okryć brata, ale ją powstrzymał.

– Nie trzeba, jestem mężczyzną.

– Mój ty mężczyzno. – Znow się wzruszyła, gdy objęła nastolatka, który przerósł ją o głowę. Klaus przygarnęła drugą ręką. – Udało się. Wreszcie jesteśmy razem. Tak za wami tęskniłam.

– My bardziej. – Rudi prędko wytarł oczy.

– Przestań się mazać – ofuknął go Klaus. – Mówiłem ci, że wróci, skoro obiecała. Już dawno mieliśmy uciec, czekaliśmy tylko, aż przyjedziesz.

– Czekaliście z tym na mnie? – Głos Anny wciąż drżał.

– Jak inaczej byś nas znalazła? – zauważył rozsądnie Rudi.

– Wierzyłem w was, panowie. – Joachim też ucisnął obu. – Chodźcie, jankesi podwiozą nas do ośrodka.

Obóz dla uciekinierów ze wschodu mieścił się w amerykańskim sektorze.

W dużej sali, która przypominała halę magazynową, na materacach ułożonych jeden przy drugim, pośród walizek, tobołów i porozwieszanych, gdzie się da, ubrań, koczowało ponad sto osób w warunkach gorszych niż spartańskie. Namiastkę intymności stwarzały prześcieradła rozpostarte gdzieniegdzie na sznurkach między legowiskami. Przejścia na podłozie było tyle, aby zmieścił się jeden człowiek.

Jednak po przebywających tu ludziach nie widać było przygnębienia. Wręcz przeciwnie, czuło się nadzieję. Matki zajmowały się dziećmi, mężczyźni grali w karty albo czytali gazety. Kilkanaście materaców pozostawało wolnych.

Na tych przy oknie siedzieli Klaus i Rudi, przebrani już w suche ubrania, z kocami na ramionach. Popijali herbatę i jedli chleb obłożony plasterkami kiełbasy. Wokół nich zebrało się kilka osób. Wieść o spektakularnej ucieczce nastolatków z enerdowskiego sierocińca prędko się rozeszła pomiędzy ludźmi.

– Pani jest opiekunem prawnym chłopców? – zapytała Annę młoda kobieta w stroju pielęgniarki, wypełniająca w kantorku kwestionariusz przyjęcia.

– Jestem ich siostrą. Skończyłam osiemnaście lat, proszę mnie wpisać jako opiekunkę.

– Potrzebuję na to jakiegoś dokumentu, potwierdzenia.



– Niestety nic takiego nie posiadam, dopiero niedawno odnalazłam braci. Mieszkam w Berlinie Wschodnim, czy ja też mogę dostać tu miejsce?

– Owszem, ale podobnie jak wszyscy przejdzie pani konieczne procedury, aby zyskać status uchodźcy.

– Rozumiem, tylko że dziś muszę wrócić na drugą stronę, żeby pożegnać się z mamą. Nie mogę bez tego odejść.

– Zazwyczaj nie stosujemy takich praktyk. Kto raz tu wszedł, ten zostaje.

– Czy możemy się umówić, że mojej dziewczyny dziś tu nie było? – wtrącił się Joachim.

Położył na stolik pięć dolarów i podsunął banknot w stronę kobiety. Tamta machała nerwowo ołówkiem włożonym między palce, patrzyła na nich, na pieniądze, a po chwili prędko wsunęła je do kieszonki.

– No dobrze – zgodziła się wreszcie. – Proszę już iść.

– Mogę przedtem pomówić z braćmi?

– Byle nie za długo. I jeszcze jedno – zastanowiła się nad czymś. – Chłopcy muszą mieć prawnego opiekuna. Mogą przejść pod opiekę państwa, ale skoro jesteście parą, sugeruję prostsze rozwiązanie, choć nie powinnam udzielać takich rad.

– Sugeruje pani, żebyśmy wzięli ślub? – zapytał rzeczowo Joachim.

– Owszem. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Wówczas staniecie się dla nich rodziną zastępczą. To lepsze wyjście niż sierociniec, do jakiego zapewne by trafili. Zwłaszcza młodszy z chłopców.

– Rozważymy tę sprawę – odrzekł szybko Joachim.

– Przyprawdzą ich. Lepiej, aby dziś tu pani nie widziano. – Tamta wyszła z kantorka.

– Dlaczego jej tak powiedziałaś? – zapytała Anna, gdy zostali sami.

– Bo ślub to dobre wyjście.

– Przecież ledwo się znamy.

– No i co? – Wzruszył ramionami. – Znamy się jeszcze z Königsbergu. Mieliśmy tylko pewną przerwę. Ty jesteś sama, ja jestem sam, oni są sami, więc można to jakoś połączyć. Poza tym – zniżył głos – gdybyś mi się nie podobała, nawet dla chłopaków nie chciałbym tak szybko się żenić. Wyjdiesz za mnie?

– Nie wiem, zaskoczyłeś mnie – odrzekła, spoglądając nerwowo to na niego, to na drzwi kantorka.

Chwilę później przyszli bracia i mogli wreszcie porozmawiać bez świadków oraz podsłuchów, tak jak to sobie wyobrażała przez całą drogę do Berlina. Chłopcy opowiadali, że jankesi dali im colę, gumę do żucia i trochę docłów. A tamten mężczyzna na brzegu wcisnął im pięć zachodnich marek. Anna zapewniła, że będą tu tylko na chwilę, żeby o nic się już nie martwili, że są bezpieczni, a ona jutro też się tu przeniesie.

Jednak gdy opadły pierwsze emocje, bracia stali się spięci i rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia. W zachowaniu obu było coś, co potęgowało niepokój Anny. O tyle spraw chciała ich wypytać i tak bardzo bała się poznać prawdę.

– Przyjechałaś z Jegerem? – zagadnął ją Rudi. – Ciekawe, czy jeszcze nas pamięta?

– Nie dostaliście mojego listu? – spytała zaskoczona.

Pokręcili przecząco głowami, więc wyjaśniła w kilku słowach.

– W czerwcu, gdy jechaliśmy z Wadimem i Jegerem nad Niemen, był zamach. Tylko ja przeżyłam – dokończyła ciszej.

– To dlatego kulejesz – stwierdził domyślnie Joachim.

– Dlatego.

– Biedny Jeger. – Rudi posmutniał. – Taki dobry przyjaciel. Wadim też był dla nas dobry, szkoda, że zginęli. Niemen to zła rzeka. Może gdybyś wtedy pojechała z nami do Niemiec, nic by się nie stało? Wiele rzeczy by się wtedy nie stało – dodał enigmatycznie. Odwróciwszy wzrok, obgryzał resztkę paznokcia.

– Jakich rzeczy? – zapytała ostrożnie. Chciała go przytulić, ale zrobił unik, więc nie nalegała.

– Różnych – uciął Klaus, dając wyraźnie do zrozumienia, że temat skończony.

– Macie do mnie żal, że was zostawiam – ni stwierdziła, ni spytała. – Nie musicie odpowiadać, widzę, że tak. Teraz już was nie zostawię. Jutro się tu przeniosę. Będziemy mieć dużo czasu, żeby sobie o wszystkim opowiedzieć – mówiła łagodnie, patrząc czule na braci.

Rudi miał pochyloną głowę, Klaus utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni. Po chwili spojrzął na siostrę i odrzekł twardo:

– Nie będziemy o niczym opowiadać. Ani tobie, ani nikomu. Nigdy. Nieważne, czy mamy żal, to już bez znaczenia. Uciekliśmy i od dziś

zaczynamy nowe życie. Tamto przestało istnieć, chcemy o nim zapomnieć. O wszystkim chcemy zapomnieć.

– Na zawsze – dodał Rudi.

Wiedziała, że ważniejsze od tego, co deklarowali, było to, czego nie chcieli powiedzieć.

Nie zapomnicie. Tak jak ja nie zapomnę, chociaż nie chcę pamiętać. Wspomnień nie można wyrwać jak bolącego zęba. Od przeszłości nie da się uciec, bo jest jak cień, który skrada się za człowiekiem.

Przeszłość i pamięć, człowiek i cień, miłość i nienawiść, życie i śmierć zawsze chodzą w parze. Czas też nie leczy ran ani nie naprawia wyrządzonych krzywd, najwyżej uczy z nimi żyć. Będziemy więc milczeć o tym, o czym chcemy zapomnieć, by dać się zabić ranom, myślała, patrząc na poważne twarze braci.

Ujęła obu za ręce i powiedziała:

– Ja też tego chcę. Przeszłość przestała istnieć. Dziś urodziliśmy się na nowo. Liczy się tylko to, co nastąpi. Odpocznijcie teraz, jutro do was wrócę.

Było dość późne popołudnie, gdy jechała z Joachimem kolejką do Berlina Wschodniego. Odprowadził ją do najbliższego skrzyżowania i poszedł do siebie. Dalej chciała iść sama, żeby przemyśleć niełatwą rozmowę, jaką będzie musiała odbyć z matką. I nie tylko z nią. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że jest głodna. Trochę też się obawiała, czy nie odwiedziła ich policja.

Dochodziła prawie pod dom, gdy niespodziewanie zaszedł jej drogę Iwanow.

– Udała się randka? – zapytał, świdrując ją wzrokiem. Palił papierosa i wyglądało na to, że na nią czatował. – Musiała być wystrzałowa, skoro aż lód popękał na Sprewie – zakpił.

– Szpiegujesz mnie? – rzuciła oskarżycielsko.

– Nie dałaś mi wyboru. Wsiadaj – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu, wskazawszy na swój samochód.

Nie czekając na reakcję Anny, ujął ją pod ramię i poprowadził do auta. Wsadził ją na przedni fotel, a sam wsiadł za kierownicę i ruszył tam, skąd przed chwilą przyszła.

– Dokąd mnie wiesziesz? Na policję?

– Zobaczysz.

– Mam to gdzieś. Najważniejsze, że moi bracia są już w ośrodku dla uciekinierów. I nikt stąd ich nie dostanie.

– Zapewne, a mama?

– Co ona ma z tym wspólnego?

– Zaczniij wreszcie myśleć, dziewczyno! – W głosie Iwanowa zabrzmiała irytacja. – Nie bez powodu prosiłem, abyś informowała mnie o swoich planach, ale ty to zignorowałaś. Więc wyjaśnię ci łopatologicznie. Przyjechaliśmy tu razem, twoja mama jest moją żoną, jestem na ważnym stanowisku i poniekąd reprezentuję radziecką władzę. Twój udział w ucieczce braci do wrogiego systemu czyni nas współodpowiedzialnymi i rzuca podejrzenie o szpiegostwo. Tym samym naraziłaś mamę i mnie na poważne kłopoty, a na to nie mogę pozwolić. – Udzielał jej reprimendy bez emocji, na zimno, przez co jego słowa brzmiały groźniej, niż gdyby podnosił głos.

Znów spojrzał na nią tak, że poczuła ciarki na plecach. I ogarnął ją wstyd, że sama nie pomyślała o fatalnych konsekwencjach swojej decyzji.

– Chyba wreszcie coś do ciebie dotarło – mruknął, widząc jej minę. – Szkoda, że poniewczasie. Dam ci dobrą radę na przyszłość, Anno. Cokolwiek czynisz, działaj mądrze i przewiduj konsekwencje swoich czynów. Teraz wszystko zależy od ciebie.

– To znaczy?

– Zostałem powiadomiony o ucieczce chłopców, ale mama jeszcze o niczym nie wie. Na razie udało mi się ugrać trochę czasu na rozmowę z tobą. Jest tylko jeden sposób, aby wybrnąć z bigosu, w który nas bezmyślnie wpakowałaś.

– Jaki?

– Zaraz się przekonasz.

Iwanow jechał do zachodniej części Berlina. Okazał na przejściu przepustkę, po czym skręcił na Kreuzberg. Kluczył trochę ulicami, a potem zatrzymał się przed szarą, niepozorną kamieniczką. Wziął z samochodu teczkę, kazał wysiąść zdezorientowanej Annie i poprowadził ją na drugie piętro.

Znalazła się w sporym, trzypokojowym, trochę zapuszczonym ponurym mieszkaniu. Stały w nim przypadkowe meble, odrapany stół, parę krzesel,

metalowe łóżko. Tapety w żółtawy deseń miejscami odłaziły ze ścian.

– Czyje to mieszkanie? – zapytała, rozglądając się po mało przytulnym i chyba niezamieszkanym wnętrzu.

– Moje, ale może być tymczasowo twoje. Wystarczy zrobić remont. Możesz przyprowadzić tu braci, gdy przejdą niezbędne procedury. Mama będzie cię odwiedzać, a ty nas, załatwię ci tutaj pracę, żeby zalegalizować twój pobyt, finansowo także wam pomożemy. Wszyscy będą zadowoleni. Innymi słowy, wilk syty i owca cała. Wystarczy, że coś podpiszesz. – To powiedziawszy, wyjął z aktówki kwestionariusz i podał go Annie.

Przebiegła wzrokiem treść. Zrobiło jej się gorąco, choć w pokoju nie było napalone.

– Naprawdę mam to podpisać? – Oszołomiona wbiła wzrok w Iwanowa. – Chcesz, żebym została tu ruską wtyczką?

– Sama do tego doprowadziłaś. Naprawdę nadal nie zdajesz sobie sprawy z funkcjonowania systemu, w którym żyjemy? Jak umiejętnie trzeba się w nim poruszać, żeby nie nadziać się na minę? Ja tylko próbuję ratować sytuację. Nie ma innego sposobu, żeby uniknąć przykrych konsekwencji. Coś za coś, Anno. Postaram się, żeby twoja współpraca pozostała wyłącznie na papierze, ale muszę mieć podkładkę. Ten dokument będzie leżał u mnie tak długo, jak się da. Nie mogę jednak wykluczyć, że kiedyś zostaniesz poproszona o pewne działania.

– Jakie?

– Posłuchasz na przykład, co mówią w zachodnim radiu, i przekażesz mi z tego notatkę.

– To szantaż.

– To jedyne, choć przykre wyjście, aby twój udział w ucieczce braci potraktować jako z góry ustalone zadanie. Gdybyś wzięła sobie do serca moją prośbę i powiedziała, co zamierzasz, nie doszłoby do tego. Skąd wiesz, czybym wam nie pomógł? – Niemal przewiercał ją wzrokiem. Milczała. – No właśnie. Teraz też usiłuję nam wszystkim pomóc, o ile jest to możliwe w zaistniałej sytuacji. Robię to głównie ze względu na twoją mamę.

– Naprawdę moi bracia będą mogli się tutaj wprowadzić?

– Tak. I ów amator wystrzałowych randek również, jeśli będzie ci na tym zależało, bo widzę, że o to też chcesz zapytać. – Rozszyfrował ją bez trudu.

– I jeszcze jedno. – Wskazał oczami na dokument. – To musi zostać

wyłącznie między tobą i mną. Nikt prócz nas nie może o tym wiedzieć. Nawet mama. Od teraz będziesz postępować wyłącznie według moich instrukcji. Żadnej samowolki.

– Jak wyjaśnisz mamie, skąd to mieszkanie? A ucieczka chłopaków? Pewnie napiszą o tym w gazetach.

– Nie napiszą, żeby nie nagłaśniać kompromitującej sprawy. Ani w mojej, ani w innych wschodniobерlińskich. Co zrobią zachodniobерlińskie, tego nie wiem. Być może rozdmuchają temat. Mamie powiem prawdę w sprawie mieszkania. Chciałaś zamieszkać z braćmi, więc dobrze, skoro tak ci na tym zależy. Naturalnie nie dziś, nie jurto. Teraz wrócisz ze mną do domu. Muszę mieć czas, by wszystko odpowiednio zorganizować. Ty zaś powinnaś zacząć szukać tu pracy, żeby to miało ręce i nogi.

– Obiecałam braciom, że jutro do nich wrócę.

– To się da załatwić, żebyś mogła ich odwiedzać. Innej opcji na razie nie ma. Jaka jest twoja decyzja? – zapytał Iwanow, wyjąwszy pióro. – Podpisujesz czy idziemy na żywioł, ale ze wszystkimi tego konsekwencjami, których dziś nie jestem w stanie przewidzieć?

To, co proponował, przerażało ją, jednak argumenty, które przedstawił, potęgowały w niej poczucie winy. Zwłaszcza wobec mamy. Kiwnęła głową na znak zgody i podpisała cyrograf.

Niedługo później, w pierwszym tygodniu marca, gdy w powietrzu wyraźnie czuło się odwilż, zdarzyło się coś, co zepchnęło na dalszy plan wszystko inne, zawarte układy, poczynione ustalenia i polityczne rozdania zgraną talią kart. Umarł ten, którego nieśmiertelne imię miało żyć wiecznie. Stalin.

## Rozdział V

# Śmierć dyktatora

Śmierć dyktatora nie obeszła Marii, ale przyszłość Siergieja w związku z tym już tak. Zwłaszcza gdy w połowie maja został pilnie wezwany do Moskwy.

Mimo że trzymał ją z daleka od swoich politycznych spraw i z żelazną konsekwencją ucinął wszelkie rozmowy na ten temat, wiedziała, że pilne wezwanie do Moskwy mogło oznaczać kłopoty. W dzień przed wylotem wrócił później z pracy. Nie zjadł kolacji, tylko postawił na fortepianie butelkę wódki, kieliszek, podwinął rękawy koszuli i usiadł do instrumentu. Grał Rachmaninowa z krótkimi przerwami na wychylenie kielicha lub pociągnięcie papierosa. Pił dużo, lecz wciąż pozostawał trzeźwy.

W takim wydaniu przypominał Marii Humphreya Bogarta. Nawet był do niego trochę podobny i z podobną ostentacją maskował coś, co dręczyło go w środku. Wzięła dla siebie drugi kieliszek, postawiła go obok butelki i spytała, stanąwszy za mężem:

– Co będzie teraz z tobą? Z nami? – poprawiła się, opierając dłonie na jego ramionach. Wciąż grał.

– Ze mną wóz albo przewóz. Nie wiem, kiedy wrócę. Ty tu zostaniesz. Będziesz robić tłumaczenia jak dotąd i przypilnujesz remontu mieszkania Anny. Jeśli sprawy nie pójdą po mojej myśli, od razu przeniesiecie się obie na Kreuzberg. Ktoś cię powiadomi.

– Ktoś, coś, może choć raz jakieś konkrety? – Zirytowana szarpnęła go za ramię, by przestał grać. – Jestem twoją żoną, chyba mam prawo znać prawdę? Zwłaszcza teraz. Po to kupiłeś mieszkanie na Kreuzbergu, żebyśmy w razie czego miały miękkie lądowanie? Nawet nie raczyłeś mi o tym powiedzieć. Ciekawe, ilu jeszcze rzeczy nie wiem. A tak w ogóle, kiedy zdążyłeś je kupić?

– Przed naszym ślubem. Pojechałem wtedy nie tylko do Moskwy, ale też do Berlina. Nic ci nie powiedziałem, bo nie jestem gadliwy. Poza tym w sprawie mieszkania musiałem zachować dużą dyskrecję.

– A więc jednak przygotowałeś nam bezpieczne miejsce.

– W moim fachu muszę być gotów na każdą sytuację.

– Właśnie widzę – mruknęła. – A może masz problemy przez tę ucieczkę chłopaków? Przecież z łatwością mogli powiązać tę sprawę z tobą i dlatego wzywają cię do Moskwy.

Nalał im wódki, a gdy wypili, odrzekł:

– Kwestia uciezki chłopaków umarła śmiercią naturalną. Kierownictwu placówki zależało, aby wyciszyć kompromitujący fakt, że zwiali im kolejni podopieczni. Wzywają mnie z innego powodu. Gdzie Anna?

– Pojechała na Kreuzberg, Joachim zgłosił się do zrywania tapet. Słuchaj, a jeśli ona się tam przeprowadzi, nie będzie to podejrzane?

– Nikt tutaj nie będzie przy tym węszył. Potrafię zachować pozory. Pamiętaj, że my jesteśmy tu na trochę innych warunkach niż Niemcy.

– No dobrze, ale nadal nie rozumiem, po co wzywają cię do Moskwy. Zdaję sobie sprawę, że przed naszym ślubem poleciałeś tam po instrukcje. A teraz po co tam jedziesz? Stalina i tak nie wskrzesisz.

– Na wskrzeszeniu Stalina akurat mi nie zależy, to po pierwsze. Po drugie, już ci kiedyś mówiłem, że z mojej drogi nie ma odwrotu, ale być może będę musiał przechować się na jakiś czas albo to mnie przechowają – odrzekł enigmatycznie.

– Mówże jaśniej, do licha. Gdzie cię przechowają?

– Tam, gdzie w Związku Radzieckim jest najbezpieczniej, gdy wieje wiatr zmian. W więzieniu na Łubiance. Nie denerwuj się – dodał, widząc, że Maria pobladła. Objął ją i rzekł z udawaną swobodą: – Nie dam się łatwo zdmuchnąć, żebyśmy mieli szansę zestarzeć się razem. Swoją drogą skoro się o mnie martwisz, to znaczy, że mnie kochasz.

– To znaczy, że mnie wkurzasz, człowieku – szamotała się trochę, gdy zakleszczył ją w uścisku. – Siergiej, puść.

– Jesteś taka seksowna, jak się gniewasz, proponuję, abyśmy się teraz pożegnali przed moim wyjazdem, zwłaszcza że jesteśmy sami. – Zsunął ręce na biodra Marii i powoli podciągał jej spódnice.

– Przestań... – fuknęła zniecierpliwiona, odpychając od siebie jego ręce. – W takiej sytuacji masz jeszcze ochotę na te rzeczy?



– Te rzeczy są najlepsze na taką sytuację... – wymruczał jej do ucha, nie przerywając czułości, aż w końcu przestała im się opierać.

Gdy wyjechał, Maria rzuciła się w wir pracy, aby nie dać się czarnym myślom. Prócz zleconych tłumaczeń, jakie Siergiej jej zostawił, które odnosiła do redakcji, pomagała Annie urządzić się na Kreuzbergu.

Grubsze prace remontowe wziął na siebie Joachim. Maria wyposażyła córkę w sprzęty, naczynia i pościel, poszyła firanki. Z końcem wiosny zaniedbane mieszkanie było nie do poznania.

Synowie Klause przychodzili z ośrodka do pomocy, w którą bardzo się angażowali. Zamknięci w sobie, zdystansowani, zbyt poważni jak na nastolatków, wzbudzali w Marii współczucie. Widać było po nich, że dużo przeszli. Może dlatego ostatecznie pogodziła się z myślą, że Anna niedługo się wyprowadzi, czekała z tym na powrót Siergieja. On zaś, odkąd wyjechał, nie odezwał się ani razu.

Natomiast w połowie czerwca mogła wreszcie spotkać się z bratem po latach rozłąki.

Aleksander postanowił ostatecznie przenieść się z Londynu do Chicago. Po drodze zahaczył o aliancką część Berlina, żeby się przywitać i jednocześnie pożegnać z Marią.

Gdy widzieli się ostatni raz, był młodzieńcem, teraz zobaczyła dojrzałego mężczyznę o lekko siwiejących skroniach. Przystojnego, eleganckiego, poważnego i samotnego. W dwa dni musieli nadrobić prawie dziesięć lat.

Przez pierwszy przełamywali powstały dystans. Przez drugi żał, że pora się rozstać. Nie zdążyli sobie opowiedzieć wszystkiego.

– Będziemy się odwiedzać – zapewniała przy pożegnaniu, obejmując brata w hotelowej restauracji.

– Nie będziemy, Marysiu. Przedzieli nas ocean. Ten prawdziwy i ten z ograniczeń, narzuconych przez system. Nie pozwolą wam wyjechać na Zachód. A nawet jeśli pozwolą, zaczniemy z roku na rok odkładać wizyty, bo zawsze wyskoczy coś pilniejszego, bo praca, bo obowiązki, bo pieniądze, bo daleko, bo nie będzie się chciało. Aż wreszcie się spotkamy, na pogrzebie któregoś z nas.

– To straszne, co mówisz.

– Ale niestety prawdziwe. Miałem kumpla w Szkocji, jeszcze z AK. Przez kilka lat zamierzaliśmy się odwiedzić i tak długo odkładaliśmy plany, aż kumpel zmarł miesiąc temu. Zaniechanie to gwóźdź do trumny wszelkich więzi.

– Nas to nie spotka. Będziemy do siebie pisać.

– Ogólnikami, bo enerdowska cenzura przeczyta każdy list. Zwłaszcza stamtąd.

– Możesz pisać na adres Anny jak dotąd. A do tego mój mąż, cokolwiek sądzisz o tym, że wyszłam za Siergieja, ma pewne możliwości, więc kto wie, czy pewnego dnia nie odwiedzę cię w Stanach albo ty przyjedziesz tutaj.

– Popęliłem za dużo błędów, aby oceniać ciebie czy innych. Największy kosztował życie Róży. Nie powinienem był dopuścić, żeby wróciła wtedy do Warszawy. Może by jeszcze żyła, gdybym wypchnął ją do Londynu? Może powinienem też wrócić do Polski Ludowej i się ujawnić, jak zrobiło to sporo naszych?

– Wtedy mógłbyś nie żyć albo skończyć w ubeckiej katowni.

– Dlatego nie wróciłem. Widać jestem tchórzem. A do Ameryki masz otwarte zaproszenie. Póki czegoś sobie nie znajdę, zatrzymam się u Nastki. Choć zważywszy, że nasza wyzwolona artystka jest przed pięćdziesiątką, powinienem ją nazywać Anastazją.

– Nastka to cała ciotka Róża i wyjątkowa kobieta.

– Związała się ze scenarzystą, młodszym od niej o dziesięć lat, ale pisała, że podobno nic tak nie odmładza kobiety jak młodszy kochanek. Nie znam się na tym, więc biorę za pewnik jej słowa.

– Dawno jej nie widziałam ani Ester. Przekaż im drobne upominki – mówiła, wręczając bratu starannie zapakowane paczuszki i kopertę. – A to dla ciebie.

– Co to?

– Zdjęcie naszej mamy. Mam dwa, więc weź jedno.

Wyjął ze środka fotografię i uśmiechnął się z sentymentem, gładząc palcem zdjęcie ciemnowłosej dziewczyny z kwiatem wpiętym przy uchu.

– Całymi latami patrzyłem w Ostojanach na portret mamy namalowany z tego zdjęcia. Wisiał w jadalni nad kominkiem. Miałem miejsce przy stole naprzeciwko. Obok mnie zawsze siedziała ciotka Róża. Wuj Ksawery zajmował to najważniejsze, u szczytu. Ciotka Lilka po drugiej stronie.

Wtedy nie znośłem tych rodzinnych obiadów, wystawnych kolacji, wykwintnych manier. I do głowy mi nie przyszło, że kiedyś zatęsknię, żeby choć raz usiąść ze wszystkimi przy tym stole. – Głos miał pełen nostalgii. Otrząsnął się prędko, dopił kawę i spojrzawszy na zegarek, powiedział: – Powinienem już zamówić taksówkę.

– Zaczekaj jeszcze trochę, miał przyjść Maksymilian.

– Jeśli zdąży. Szkoda, że nie poznałem twojej córki.

– Jest w pracy. Dopiero ją dostała, więc nie chce tak od razu brać wolnego. Prosiła, żeby cię pozdrowić. O, jest Maks. – Wskazała w stronę wejścia do restauracji, gdzie w drzwiach pojawił się Maksymilian. Dziwnie wyglądał w cywilnym garniturze.

– Myślałem już, że nie zdążę – mówił zasapany, wymieniając uściski z dawno niewidzianym kuzynem. – Mam przepustkę na dwie godziny. Skombinowałem cywilne łąchy, żeby nie rzucać się w oczy. Mów, co u ciebie, bracie. Dobrze wreszcie cię widzieć, Olek.

– I zaraz trzeba się niestety żegnać. – Aleksander westchnął ciężko.

Wystarczyło im czasu na pośpieszną rozmowę, gorączkowe opowieści, garstkę wspomnień, nerwowe śmiechy i już przyjechała zamówiona taksówka.

– Jedź szczęśliwie po nowe życie – mówił Maks, klepiąc się z Olkiem po plecach. – Ja też zmieniam swoje. Napisałem prośbę do Rokossowskiego o przeniesienie do polskiego wojska. Zawsze to orzeł na czapce. Lepszy taki bez korony niż czerwona gwiazda. Wiem, gdzie leży Jeremi, może kiedyś, w innej rzeczywistości, odnajdę tę właściwą sosnę. Na razie jedyne, co mogę zrobić dla niego, ojca i dla siebie, to zrzucić radziecki mundur.

– Dobra decyzja. – Olek uścisnął mu rękę, a potem objął mocno siostrę. – Do zobaczenia, Marysiu. Mam nadzieję, że prędzej niż za dziesięć lat.

– Ja też na to liczę, braciszku.

– Chciałbym dodać, że w wolnej Polsce, jednak na to się nie zanosz, więc nie pozostaje mi nic innego, jak być wolnym Polakiem w Ameryce.

– I co tam będziesz robił? – spytał Maksymilian.

– To samo, co kiedyś planowałem w Polsce, gdy była jeszcze naszą Polską. Zostanę księdzem.

– Księdzem? – powtórzyli jednocześnie, oboje tak samo zaskoczeni.

– Długo nad tym myślałem i mam pewność, że to moja jedyna droga – odrzekł Aleksander, patrząc na oboje. – Wierzę, że nie jestem na to za stary.

Seminarium ukończyłem jeszcze we Lwowie. Zabrakło mi tylko święceń. Postaram się otrzymać je w Ameryce.

– Skoro tak postanowiłeś, pozostaje mi tylko cię wspierać. Trzymaj się, Olek. – Maria jeszcze raz objęła brata, po czym osowiała wróciła do domu.

Maksymilian tylko ją odprowadził i pobiegł na służbę. Anna wpadła jak po ogień, żeby zapowiedzieć, że dziś nocuje na Kreuzbergu, bo jutro ma poranną zmianę. Maria nie mogła sobie znaleźć miejsca w pustym domu. Trochę sprzątała, żeby zająć czymś ręce i myśli, trochę grała na fortepianie. W nocy też przewracała się w łóżku z boku na bok, nim sięgnęła po książkę i czytała prawie do rana.

Nazajutrz wstała z obolałą głową. Przemyśla się, skubnęła coś na śniadanie i zabrała się do tłumaczenia.

Nie dobrnęła do połowy nieznośnie nudnego tekstu o wzroście produkcji przemysłowej, kiedy z zewnątrz zaczęły dobiegać jakieś narastające głosy. Zaintrygowana podeszła do okna. Stalinallee wypełniali robotnicy. Wyglądało to na strajk lub jakąś demonstrację.

Włączyła radio, ale w enerdowskim nadawano propagandową audycję. Pokręciła gałką, żeby złapać zachodnią stację. Po kilku próbach znalazła wiadomości RIAS.

– Rozruchy w Berlinie Wschodnim – mówił spiker – tysiące robotników domagają się poprawy warunków pracy, wzrostu płac, ustąpienia rządu, zmiany premiera i sekretarza generalnego KC SED, uwolnienia więźniów politycznych...

– Jeszcze i to – mruknęła pod nosem.

Nie mogła skupić się na pracy. Zaczęła przygotowywać obiad, obserwując z okna sytuację na ulicy. Mniej ją obszedł sam strajk, chociaż w tak karnym społeczeństwie stanowił ewenement, przede wszystkim martwiła się o Annę, która niebawem miała skończyć zmianę. Żeby tylko jej nic się nie stało, jeśli dojdzie do rozruchów.

– Słyszałaś! – zawołała od progu córka, gdy godzinę później wpadła do domu razem z Joachimem. Była w służbowym szarym uniformie i furazerce. – Cały Berlin Wschodni strajkuje.

– Pod budynkiem Rady Ministrów jest tłum ludzi, próbują wdzierać się do urzędów. Na wszelki wypadek wolałem odprowadzić Annę – dodał Joachim.

– Bardzo dobrze zrobiłeś. W kuchni macie obiad – odrzekła Maria, znów pokręciła gałką radia.

– ...wschodnioniemieccy robotnicy opanowują urzędy i obiekty publiczne w Magdeburgu, Lipsku, Jenie, Görlitz, Halle, Bitterfeld – mówił ten sam spiker. – Jak donoszą nasi informatorzy, zaczął się szturm na więzienia i areszty. Wystąpienia robotnicze w ciągu kilku godzin zamieniły się w powstanie narodowe...

– Następną wojna wisi w powietrzu, a Siergieja nie ma. – Maria ze złością klepnęła dłonią w obudowę radia.

– Wiedział, kiedy się ewakuować – zauważyła z przekąsem Anna, lecz matka spiorunowała ją wzrokiem.

– Chodź, Joachim, zjemy coś – powiedziała, zabierając go do kuchni. Wolała zejść mamie z oczu.

Wieczorem wpadł do nich zdenerwowany Maksymilian. Był w mundurze. Nawet nie usiadł, tylko zakomunikował konspiracyjnym tonem:

– Jutro radzieckie dowództwo ma wprowadzić stan wyjątkowy. Starajcie się nie wychodzić z domu, może być gorąco – ostrzegł je.

– Będą strzelać do ludzi? – spytała go wprost Maria. – Ty... też?

– Nic nie mów. – Maks odwrócił wzrok. – Podlegam rozkazom. Jeśli odmówię, odstrzelą mnie. W co ja się, kurwa, wpakowałem? Uważajcie na siebie.

Nazajutrz wschodnioniemieckie radio doniosło o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Na ulicę wyjechały radzieckie czołgi oraz wozy opancerzone i zablokowały ulice. W mieście słychać było strzały. Do wieczora strajk został spacyfikowany. Skończył się tak samo prędko, jak się zaczął. Zachodnie radio doniosło o kilkudziesięciu ofiarach.

– A Siergieja wciąż nie ma – odezwała się Anna. W duchu życzyła mu, żeby więcej się nie pojawił. Może wtedy ów nieszczęsny dokument, którego podpisanie wymusił, nie będzie miał żadnego znaczenia. – Ciekawe, dlaczego w takim momencie go nie ma? Może go załatwili?

– Przestań! – Maria klepnęła dłonią w blat. – Nie mam teraz ochoty na kłótnie. Głowa mi pęka. Idę się położyć.

Iwanow wrócił tydzień później. Mizerny, szczuplejszy o parę kilogramów i trochę rozczarowany. Co tam robił tak długo, z kim się układał, nie powiedział, jak to on. Z jednym wyjątkiem, gdyż przy kolacji uchylił nieco rąbka tajemnicy. Najpierw jednak zadał Marii pytanie, którego sens zrozumiała znacznie później.

– Nikogo nie wzywałaś do domu, jak mnie nie było?

– Niby kogo miałabym wzywać? – zdziwiła się. – Robotników ze strajku czy kochanka?

– O kochanku już bym wiedział i delikwent już by nie żył. – Uniósł lekko brwi. – Jakiegoś fachowca. Kogoś do naprawy telefonu czy też elektryczności?

– Obchodzą cię takie bzdury, kiedy zostawiłaś mnie samą na tak długo? Masz pojęcie, co tu się działo? Wojsko strzelało do ludzi, myślałam, że będzie wojna, a ty nawet nie raczyłaś dać znać, czy żyjesz, a teraz pytasz mnie o jakiegoś fachowca? Ja chyba śnię! – napadła na niego. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co przeżywałam?

– Wybacz, Marysiu, ale w żaden sposób nie mogłem dać ci znać i to nie ja kazałem strzelać. Zauważyłem parę usterek w domu, zajmę się tym – odrzekł wykrętnie, ale wydawał się nieobecny myślami.

– Do jasnej cholery, nie obchodzą mnie teraz żadne usterki, człowieku! – Maria zaczynała tracić panowanie nad sobą. Siergiej zachowywał zimny spokój, co ją jeszcze bardziej irytowało. – Chcę wiedzieć, po co wzywali cię do Moskwy!

– Nie krzycz. – Położył palec na ustach i nastawił głośniej radio. – Ściany mają uszy. Chcieli wy badać, po czyjej jestem stronie. Ostatecznie uznali, że po właściwej, choć miałem nadzieję, że Beria utrzyma się przy władzy. Chruszczow przy nim to prymitywny pastuch – rzucił z pogardą.

– Beria? – powtórzyła ciszej. W jej głosie brzmiała pogarda. – Przecież to zbrodniarz!

– Ale pomimo wszystko miał lepszą wizję świata. Chciał reform i pojednania z Zachodem, rozbicia kremlowskich sitw, skupionych na toczeniu wojen z rozumem, elitami i postępem. Na każdego miał dokumenty. Nic tak nie boli jak oderwanie dupy od stołka, więc twardogłowi z Kremla wystraszyli się i go sprzątnęli.

– Jednego zbrodniarza mniej – mruknęła niewzruszona. – No ale co z tobą? Chyba nie siedziałaś w więzieniu? Czy może siedziałaś? Wyglądasz

jak z krzyża zdjęty.

– Siedziałem, a raczej przechowali mnie na Łubiance, dlatego nie mogłem cię powiadomić. Jestem na tyle pragmatyczny, że nie dałem się zdmuchnąć. Zmienię tylko miejsce pracy.

– Na jakie?

– Parę ulic dalej. Będę doradcą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ty zostaniesz w redakcji. Ale dość już o mnie, powiedz lepiej, co w domu.

– Widziałam się z Olkiem – odrzekła z ciężkim westchnieniem i wyjaśniła pokrótce, co i jak.

– Yhmm, a więc jest w Ameryce – powiedział ni to do siebie, ni do niej, po czym zmienił temat. – A jak remont mieszkania? Skończyliście?

– Tak. Chłopcy też się włączyli. Kiedy ich tam obserwowałam, doszłam do wniosku, że oni naprawdę siebie potrzebują. Może to dobrze, że będą mieszkać razem, jak już się przewali ta cała procedura dla uchodźców. Bez Ani dom opustoszeje, ale trudno. Najważniejsze, żeby była szczęśliwa. W końcu będzie miała to, na czym najbardziej jej zależało.

– Jutro pójde zobaczyć, jak to wygląda, i myślę, że na dniach pomożemy jej się przenieść. Wystarczyło wam pieniędzy na remont?

– Jeszcze zostało. Joachim nic sobie nie policzył za pracę. Wydaje mi się, że mają się z Anną ku sobie.

– Masz coś przeciwko temu?

– Nie. To bardzo porządny chłopak.

– Gdzie jest Anna? – Siergiej spojrział na zegarek. – Już po ósmej.

– Niedługo powinna wrócić z pracy. W zeszłym miesiącu dostała posadę po zachodniej stronie. Jest bileterką w tramwajach.

Nie minął kwadrans, gdy wróciła. Razem z nią przyszedł Joachim. Widząc Siergieja, od razu przystąpiła do rzeczy, nawet nie zdjęła tramwajarskiego mundurka.

– Dobrze się składa, że jesteś – oznajmiła, podchodząc do stołu. Trzymała za rękę przejętego Joachima. – Miałam cię informować o swoich planach, Siergiej, więc informuję, że chcemy się pobrać.

– Pobrać? Kiedy? – Zdumiona Maria podniosła się z krzesła i podeszła do nich obojga.

– Najprędzej, jak się da – odrzekła Anna, nim Joachim zdążył otworzyć usta, i znów zwróciła się do Siergieja: – Skoro uważasz się za mojego ojca, lojalnie pytam, czy zgadzasz się, żebym wyszła za tego oto Niemca,

niepoprawnego politycznie. Komunisty z niego nie zrobisz – powiedziała, nie kryjąc złości.

Siergiej obrzucił ją ponurym spojrzeniem i głośno wypuścił powietrze z ust. Możliwość porozumienia z tą upartą dziewczyną przerastała jego możliwości. Wychylił kieliszek wódki, żeby ukoić nerwy, po czym rzekł krótko:

– Gratulacje. – I poszedł do sypialni.

– Musisz być wobec niego taka złośliwa? – wytknęła jej niezadowolona Maria, gdy zostali we troje. – Przecież wam pomaga.

– Pewnie ma swoje powody – odrzekła oględnie Anna. – Nic nie poradzę, że kiedy go widzę, nie mogę się opanować.

– Więc pracuj nad sobą, ale zostawmy to teraz. – Machnęła ręką. – Pomówimy spokojnie, siadajcie. Dlaczego tak nagle chcecie się pobrać? – spytała, gdy zajęli miejsca przy stole. Położyła przed nimi czyste nakrycia i tłumaczyła rozsądnie: – Macie po dziewiętnaście lat, to trochę za wcześnie na poważne deklaracje. Nie możecie poczekać ze ślubem jeszcze rok, dwa? Chyba że nie możecie czekać?

Patrzyła to na jedno, to na drugie, ale nie wyglądali na zakłopotanych. Joachim nakładał sobie sałatkę ziemniaczaną, Anna wędlinę.

– Nie w tym rzecz, proszę pani – odrzekł spokojnie. – Nie musimy, po prostu chcemy się pobrać.

– I przy okazji zostać rodziną zastępczą dla chłopaków – dodała Anna. – Ale to nie jest główny powód. Ja chcę wyjść za Joachima. Według metryki mamy po dziewiętnaście lat, ale dorośliśmy znacznie wcześniej, mamó. Nie przestaliśmy być dziećmi, kiedy już się to stało.

– No cóż, skoro tak ma być – do pokoju wrócił Siergiej i postawiwszy na stole koniak, powiedział: – Wypada to uczcić.



## Rozdział VI

# Wiatr zmian

Pobrali się na Trzech Króli, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Wcześniej nie mógł przyjechać ze Stanów stryj Joachima, Georg, jedyny krewny pana młodego. Na skromną uroczystość, która odbyła się w zachodniej części miasta, z rodziny Marii zdołał dotrzeć tylko Maksymilian. Aleksander nie mógł wziąć w niej udziału. Przysłał list z życzeniami i sto dolarów w prezencie dla nowożeńców.

Przy okazji napisał, że właśnie wstąpił do Polonijnego Seminarium Duchownego w Orchard Lake w stanie Michigan i liczy na wcześniejsze święcenia.

Kilka miesięcy później bezdzietny Georg zabrał braci Anny do Szwajcarii, żeby zadbać o ich solidne wykształcenie. Młodzi państwo Fisher zostali w Berlinie. Joachim nadal pracował na budowie, Anna zaś jako bileterka w tramwajach. Uczyli się też w szkole wieczorowej.

W tym samym roku Maksymilian otrzymał wreszcie zgodę ministra Rokossowskiego na przeniesienie do polskiego wojska. Wyjechał z Berlina i już pod swoim nazwiskiem trafił do jednostki w Koszalinie. Wkrótce ożenił się z młodziutką nauczycielką, którą poznał na tańcach. Wiosną pięćdziesiątego piątego roku urodziła im się Zuzanna.

Wydarzenie to zbiegło się z odwilżą polityczną za rządów Chruszczowa. Z Syberii mogli powrócić polscy zesłańcy i niemieccy jeńcy, jeśli przeżyli. Brat Hoffenberga, Hermann, którego Maria pamiętała sprzed wojny jako chłopca, nie przeżył sowieckiej niewoli na Przylądku Dieżniowa.

Józek i Władek z rodzinami szczęśliwie powrócili ze zsyłki. Lusja z Władkiem i Lilką zamieszkali w Wilnie.

Sowieci, by nie dopuścić do odrodzenia litewskiego ruchu niepodległościowego, poluzowali w zamian Polakom. Pozwolili na utworzenie w Wilnie polskich szkół i wyższej uczelni. W listach do Marii

Lusia pisała, że ta namiastka polskości daje nadzieję, iż kiedyś jeśli nie oni, to ich dzieci odzyskają tu Polskę, dlatego za wszelką cenę będą się trzymać Wilna.

Władek nie wrócił na studia medyczne. Jeździł karetką i dorabiał, gdzie się dało. Lusia dostała pracę w szpitalu i ostatecznie pogodziła się ze śmiercią ojca. Nie miała Marii za złe małżeństwa z Siergiejem, a przynajmniej tego nie okazywała.

Inaczej niż Józek, który z tego powodu nadal uważał ją za zdrajczynię. Po krótkiej tułaczce osiedlili się w Szczecinie w sąsiedztwie Kazików. Dostali z kwaterunku jeden duży pokój ze wspólną kuchnią i łazienką na korytarzu. Józka i Krysię dzieliły skrajnie różne zapatrywania na życie w Polsce Ludowej.

Krysia znalazła pracę w pralni chemicznej i pragnęła jakiejś takiej stabilizacji. Józek wrócił do rodzowego nazwiska i od początku włączył się w robotniczą opozycję w stoczni, gdzie się zatrudnił dzięki pomocy Kazika. W opór wobec władzy ludowej wciągał też starszych synów. Krystyna była tym zrozpaczona.

Maria sporadycznie odwiedzała rodzinę w Szczecinie. Zatrzymywała się wtedy w hotelu. Z Józkiem widziała się tylko raz, po tym, gdy przyjechała powitać krewniaków. Pokłócili się prawie na dzień dobry.

– Związałaś się z sowieckim komunistą, wypięłaś się na nasze wartości, na wszystko, o co walczyliśmy, na Andrzeja też! Możesz sobie opływać w luksusy i przywileje, ale przestałaś należeć do naszej rodziny, czerwona księżniczko! – rzucił jej prosto w twarz słowa, które zaboląły. – Podajcie sobie ręce z Makssem. Przestał być Ostojańskim, odkąd włożył sowiecki mundur!

– Moja sprawa, dlaczego wyszłam za Siergieja, nie zamierzam się przed tobą tłumaczyć! I przypominam ci, że ten komunista pomógł twojej żonie i siostrze dostać się do Workuty, a Maksymilian jest już w polskim wojsku...

– Nie nazywaj tego polskim wojskiem! – przerwał jej bordowy na twarzy.  
– To służusy Moskwy! Polskie wojsko wymordowali w Katyniu i w Kozielsku! Zrobili to ci, którym służy twój mąż aparatczyk i człowiek, który kiedyś był moim bratem!

– Służył im, bo złożył przysięgę waszemu ojcu i bratu, że znajdzie miejsce, gdzie leży Jeremi, i znalazł. Maks też był internowany, więc tym

bardziej doceni jego poświęcenie, zamiast pluć jadem, bo też go to uwiera. To Maks przysyłał pieniądze dla twojej żony i synów, kiedy ty pokutowałeś za ideały w Workucie – odparła ostro, patrząc lodowatym wzrokiem na Józka. Jednak mimo złości czuła żal, gdy widziała, co się z nim porobiło. Zestrzał się, pomarszczył, prawie zupełnie osiwiiał, choć ledwo skończył czterdziestkę, i wychudł na wiór, tylko nieustępliwy charakter wciąż miał ten sam.

– Nikt go o to nie prosił – warknął. – Jeremi z ojcem przewracają się w grobie, widząc waszą zdradę! Andrzej też. Wdowa po polskim oficerze, więźniu Kozielska, żołnierzu Armii Krajowej, żoną sowieckiego aparaczyka, pfu! – Splunął w bok i spojrzał na nią jak na robaka. – Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie. Sprzedałaś się, Maryśka. Nie chcę cię znać.

Z trudem zapanowała wówczas nad łzami złości, że tak ją potraktował, i upokorzenia, że bez sentymentów wygarnął jej prawdę, której do siebie nie dopuszczała.

– Uspokój się, Józek! – Krystyna ostro ofuknęła męża. Zgryzota i ciężka praca także na niej wyryły widoczny ślad. Straciła dawny wdzięk i urodę. – Zamiast łączyć rodzinę, zaraz byś z niej wyrzucał każdego, kto nie myśli jak ty! Z Kazikiem się pogodziłeś, żeby mieć kompana do kielicha! Więc zapowiadam ci, że jeśli nie przestaniesz wciągać moich synów w swoje polityczne działania, to ja ciebie wyrzucę ze swojego życia. Jeremi już mówił koledze, że Katyń był sowiecką zbrodnią. Niech no ktoś doniesie bezpiecze, to od razu zwiną chłopaka i ciebie przy okazji też!

– Lepiej, żeby kłamał?!

– Lepiej, żeby siedział cicho! U Ksawerego w teczce też znalazłam ulotki „Wolne wybory” i „Wolna Polska”.

– Mój syn – odrzekł z dumą.

– Tak? To posłuchaj, idioto, wychowawca już mnie ostrzegał, że jak tak dalej pójdzie, to Ksawery, jako społecznie zdemoralizowany, trafi do placówki wychowawczej o zaostrowym rygorze. Jesteś ich ojcem, nie towarzyszem broni ani kumplem z podziemia! Twoim obowiązkiem jest ich chronić. Przysięgam, że się z tobą rozwiodę, jeśli któryś z moich synów trafi przez ciebie do więzienia! – zagroziła bez pardonu. W oczach, głosie i na twarzy miała stal.

– Proszę bardzo! Możemy się rozwieść! Droga wolna! Moi synowie mają kręgosłupy moralne i nie będą sługusami komunistów! Lepsza godna śmierć niż służalcze życie.

– A ja wolę, żeby byli sługusami, niż żebym miała całować ich trumny! Ojczyzna dość wzięła ode mnie ofiar. Więcej nie pozwolę zabrać!

– Nie drzyj się tak, bo sama ściągniesz na nas bezpiekę – warknął i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

– Pójdę już, Krysiu, do Kazików. – Maria sięgnęła po płaszcz. – Nic tu po mnie.

– Pójdę z tobą, opowiesz mi, co ustalił Maks, gdzie leży Jeremi, a ten cymbał niech ochłonie. On nie jest zły, tylko coraz częściej mu odbija. Kazik zresztą też nie lepszy. Dobrali się obaj jak w korcu maku.

Po Kaziku najbardziej widać było rezygnację i poczucie przegranej. Z dawnego wielkoluda, odważnego żołnierza, który trząsał oddziałem, zostało niewiele. Przygarbił się, skurczył, podupadł na zdrowiu, które dodatkowo rujnował pijaństwem. Mentalnie wciąż tkwił na Kresach.

– Już nic nie będzie jak kiedyś, Maryś – wyznał jej, gdy przyszła z wizytą. – Jestem stary i bliżej mi niż dalej. Ja się nadaję do wojaczki, nie do takiego życia. Dziewczyny dorosły, mają swoje sprawy. To, co dla nas było ważne, dla nich się nie liczy. Tylko by się malowały, stroiły, a Jadzia to popiera. Nie potrafiłem przekazać córkom tego, co mi wpojono, Jadzia nie chciała, bym mieszał im w głowach. A teraz już mnie nie potrzebują. Wszystko się rozpadło.

– Potrzebują, tylko przestań pić, Kaziu. Żyjemy w podłych czasach, więc musimy zadbać, by były znośniejsze, i poskładać, co nam się rozpadło. Zalewaniem wódką rozczarowań tego nie zrobisz.

Pokiwał tylko głową i pił dalej. Bliźniaczki Kazików chodziły na tańce, umawiały się na randki, krochmaliły halki, żeby modnie układały się na nich sukienki, i żyły tym, co tu i teraz. Po maturze jedna zatrudniła się na kolei, druga na poczcie.

Wówczas Maria uświadomiła sobie, że rodzina, która kiedyś dawała siłę i oparcie, teraz rozchodzi się w szwach.

Naznaczeni wojną, stygmatem dokonanych wyborów, przeżytych rozczarowań, przedzieleni granicami, prawdziwymi i tymi, które powstały w nich samych, wyrwani z korzeniami z miejsca, stanowiącego kiedyś ich fundament, oddalili się od siebie.

Jednak żadne z wydarzeń burzliwie mijających lat nie było dla Marii tak ważne jak narodziny wnuczki. Przyszła na świat w sierpniu pięćdziesiątego piątego roku po ciężkim porodzie. Zdrowa i dorodna, głośno manifestowała swoją obecność.

– Jak jej dacie na imię? – spytała Maria, kiedy pierwszy raz wzięła na ręce opatuloną w becik śliczną kruszynkę.

– Viktoria – odrzekła bez namysłu jeszcze osłabiona porodem Anna. – Po mojej przyrodniej siostrze. Chcę, żeby była tak samo dobra i śliczna jak ona.

– Viktoria... – powtórzyła Maria, delikatnie dotykając ustami czółka noworodka.

Wspomnienie dziecka, które kiedyś oddała, nie wywoływało w niej żalu. Właściwie już dawno wykasowała z pamięci tamten epizod.

– Zastanawiasz się czasem, co się dzieje z twoją drugą córką? – zagadnęła Anna, czytając w jej myślach. – Nie chciałabyś jej zobaczyć?

– Urodziłam ją, ale to nie jest moja córka. Ma kochających rodziców i własne życie, w którym dla mnie nie powinno być miejsca, nawet na wspomnienia. Nie zamierzam burzyć spokoju dziecka i rodziny, która je wzięła, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Tobie też radzę o tym zapomnieć. Viktoria – powtórzyła, kołysząc maleństwo – znaczy zwycięstwo. Ładne imię. Czuję, że będzie do niej pasować.

Wnuczka od razu stała się oczkiem w głowie Marii. Największą pociechę znajdowała w opiece nad niemowlęciem, które rosło jak na drożdżach. Miała teraz mniej pracy przy korektach i tłumaczeniach, zatem więcej czasu poświęcała Viktorii, żeby odciążyć zabieganych córkę i zięcia. Siergiej także hołubił dziewczynkę.

Było jednak coś, co z upływem kolejnych miesięcy zaczynało coraz bardziej dręczyć Marię. Nie mogła się pogodzić z myślą, że Anna kompletnie odcięła się od polskiej przeszłości. Nie tylko siebie, ale też córkę.

– Doceniamy z Joachimem, że nam pomagasz, mamó, ale proszę, żebyś rozmawiała z Viki wyłącznie po niemiecku – oświadczyła, gdy następnej jesieni wybrały się we trzy na spacer. Malutka stawiała już pierwsze kroczki i dreptała między nimi jak kaczuska, trzymając się wózka.

– Słucham? – spytała zdumiona Maria.

– Słyszałam, jak wczoraj opowiadałaś Viki bajkę po polsku. Przymyślałam na to oko, kiedy była mniejsza, ale teraz zaczyna już chwytać każde słowo, więc lepiej, aby słyszała tylko te właściwe. Niemieckie.

Ta prośba wręcz Marię dotknęła.

– Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Zwyczajnie. Nie rozmawiaj z nią po polsku.

– Chcesz zrobić z nią to samo, co twój ojciec z tobą! – fuknęła rozgniewana.

– Być może, ale tak zdecydowałam. Nie chcę, aby Viki była rozdarta między dwa wrogie światy.

– Więc odbierzesz jej polską tożsamość, tak? Powielisz postępowanie swojego ojca, mojego zresztą też, choć zrobił to z innych pobudek. Tylko on mimo wszystko uczył mnie polskiego. Rosyjskiego też, tłumacząc, że język sąsiadów trzeba znać. Choćby z tego powodu nie pozbawiaj Viki dodatkowej umiejętności. Nigdy nie wiadomo, do czego kiedyś będzie jej to potrzebne.

– Jeśli do wznoszenia nienawistnych okrzyków „wał w ruskie kurwy” i zabijania dobrych ludzi, wolę, aby nie znała polskiego.

– Mówisz od rzeczy.

– Strzelali do nas Polacy, nie potrafię o tym zapomnieć. To wciąż boli. – Odruchowo dotknęła bursztynowego serduszka na szyi.

– Rozumiem, ja też wciąż czuję złość na zamachowców, jednak nie możesz łączyć bandyckiego napadu ze spuścizną całych pokoleń. Twoje korzenie są w Polsce, twojej córki też – próbowała tłumaczyć.

– Znów te wielkie słowa. – Anna prychnęła lekceważąco. – Bóg, honor, ojczyzna, patriotyzm. Tylko przypominam ci, mamó, że twój ojciec pochodził z Prus, a więc formalnie był obywatelem niemieckim. Wychowała cię Niemka, dorastałaś w Niemczech i masz dziecko z Niemcem, które też dorastało w Niemczech, więc wybrałam swoją niemiecką część. Przyznaj sama, że więcej jej niż polskiej. Korzenie Viki są tutaj. Jest Niemką, tak jak jej ojciec i matka. Poza tym nie chcę, aby wytykano ją w szkole palcami, jak kiedyś mnie, bo byłam obca. Ona jest stąd.

– Tego, że jej babcia jest Polką, też Viktorii nie powiesz?

– Mam sporo czasu na rozwiązanie tego dylematu – rzuciła lekko. – Chcę zapomnieć o tym, co było. Moi bracia również. Odnaleźli się w Szwajcarii,

Georg dba o nich, więc przeszłość do niczego nie jest nam potrzebna. Liczy się tylko teraźniejszość i przyszłość.

– Nie da się budować przyszłości w oderwaniu od przeszłości. To tak, jakbyś chciała wsadzić do ziemi samą łodyżkę i czekała, aż wyrosnie z niej kwiat. Wszystko, co trwałe, musi mieć solidne fundamenty. Tym właśnie jest tradycja, język, wartości, a przede wszystkim rodzina, nawet rozrzucana po świecie jak nasza. To się nazywa tożsamość.

– Być może, ale już wybrałam, a Joachim się ze mną zgadza. Jestem ci wdzięczna, że mogłam wrócić tu, gdzie moje miejsce, i Siergiejowi, że nam pomaga, jednak teraz chcę żyć po swojemu.

– Proszę bardzo, rób, jak chcesz – odparła oschłym tonem Maria – ale w moim domu rozmawia się wyłącznie po polsku. Siergieja też to dotyczy. I nie zamierzam mówić inaczej do swojej wnuczki ani ulegać twoim kaprysom. Jeśli to ci nie odpowiada, szukaj sobie niańki. Cześć.

Nie czekając na reakcję zaskoczonej Anny, odwróciła się i pomaszerowała w przeciwną stronę.

Chyba wówczas najmocniej odczuła, jak bardzo daleko są od siebie. I nie chodziło o obce części miasta, w jakich mieszkały, bo przecież mogły się między nimi przemieszczać, lecz o zupełnie odmienną mentalność.

To, co dla niej, Marii, wciąż stanowiło kwintesencję wartości (przeżywała wszystkie doniesienia z Polski, łącznie z krwawo stłumionymi czerwcowymi strajkami w Poznaniu, o czym z wypiekami na twarzy słuchała na Kreuzbergu w Radiu Wolna Europa), dla jej córki stało się obojętne, wręcz obce.

Nie odzywały się potem do siebie przez tydzień. Ósmego dnia, w porze obiadu, Joachim przyprowadził do nich Viktorię.

– Anna jeszcze w pracy, mam na drugą zmianę, a sąsiadka, która pilnowała Viki, zachorowała. Mogę ją zostawić u mamy? – spytał nieśmiało, a mała od razu wyciągnęła rączki do babki.

– Możesz – Maria utuliła kruszynkę – i dziś, i zawsze, ale na moich zasadach. Nie zamierzam się wtrącać do waszych metod wychowawczych. Nie chcecie mówić małej o swojej przeszłości, wasz wybór, ale będę uczyć moją wnuczkę polskiego.

– W porządku. Anna mówiła, o co wam poszło. Zgodziła się, żeby ostatecznie było, jak mama chce.

To maleńkie zwycięstwo dało Marii nadzieję, że kiedyś, gdy zabliźni się bolesna rana, Anna zacznie wracać do polskiej przeszłości. Sama wręcz z pietyzmem ją pielęgnowała. Na bieżąco śledziła wydarzenia w Polsce i regularnie pisywała do bliskich. Ze względu na cenzurę listy były bardziej niż oględne, podobnie jak otrzymywane odpowiedzi, ale nawet takich wyglądała niecierpliwie i wszystkie pieczołowicie przechowywała.

Tylko Nastka i Olek pisali wprost, wysyłając listy na zachodniobrzeński adres. Olek powiadomił ich, że przyjął święcenia i wreszcie odnalazł spokój. Czasem dołączał do listów fotografie. Nie mogła przywyknąć do widoku brata w koloratce.

W innych listach także dostawała zdjęcia krewnych. Wkładała je do albumu albo ustawiała w ramkach na fortepianie. Te, na których był Andrzej, nadal trzymała schowane w szufladzie biurka.

Nie chciała drażnić nimi Siergieja, ale bez skrupułów korzystała z jego wpływów, żeby przekraczać niemal nieprzekraczalne dla zwykłych śmiertelników granice gomułkowskiej Polski i odwiedzać rodzinę. Do Wilna też pojechała kilka razy, żeby zobaczyć się z Lusią. Siergiej zazwyczaj towarzyszył jej w podróży, lecz nie odwiedzał z Marią jej bliskich. Czekał w hotelu albo spotykał się z kimś służbowo.

Czasem próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy go kocha. Chyba nikogo nie byłaby w stanie pokochać tak jak Andrzeja, ale przywykła do obecności Siergieja. Nie skradł jej serca ani od pierwszego, ani od entego spojrzenia, lecz obudził pożądanie.

Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego ta strefa życia nie ożyła w niej przy tym, którego kochała, a dała o sobie znać przy człowieku, którego poślubiła z konieczności.

O dziwo, małżeństwo, które na zdrowy rozum nie powinno przetrwać, funkcjonowało całkiem znośnie. Można je było nawet uznać za udane.



## Rozdział VII

# Znowu wojna?

*Berlin, 10 sierpnia 1961*

*Kochana Lusi,*  
*pytasz, co nowego? U nas coraz częściej mówi się o wojnie. Z tej zimnej ma się zrobić prawdziwa. Podobno gorsza od poprzednich, bo nuklearna. W szkołach już uczą dzieci, co robić na wypadek wybuchu bomby atomowej. Boże, nie dopuść! Przeżyłam dwie wojny, na trzecią nie mam już sił. Pragnę spokoju. Tęsknię za Wami, rodzinnych stron też mi brak. Jednak i tu los się do mnie uśmiechnął. Nie chciałabym tego stracić...*

Na zewnątrz narastał warkot maszyn. Od wczoraj na ulicach było więcej czołgów, żołnierzy oraz oddziałów Volkspolizei. Po zachodniej stronie gromadziły się oddziały aliantów. Maria odłożyła pióro i podeszła do okna. Patrzyła w napięciu na Stalinallee, którą sunęły ciężkie maszyny opatrzone czerwoną gwiazdą.

Enerdowscy żołnierze zrzucali z ciężarówek zwoje kolczastego drutu i wielkie kłody. Będą stawiać zasieki?, przemknęło jej przez głowę.

Ludzie przystawali na ulicy, rowery i auta zwalniały, matki mocniej chwytaly dzieci za ręce. Panowało ogólne poruszenie. I tak jak na chwilę przed burzą powietrze zastyga, tak teraz wszystko zdawało się wstrzymywać oddech w oczekiwaniu na rozwój wypadków. Z plakatów na budynkach patrzyły na ów trzymający w napięciu spektakl podobizny Chruszczowa i Ulbrichta.

Domknęła okno, by nie słyszeć metalicznego zgrzytu gąsienic. Wyczuwała drgania podłogi oraz ścian od łoskotu z zewnątrz. Zlewał się z jej własnym nieznośnym pulsowaniem niepokoju. Nie mogła się skupić

nad dokończeniem listu, którego być może i tak nie przepuści cenzura, skoro napomknęła w nim o wojnie.

Zajrzała po cichu do dawnego pokoju Anny.

Spała w nim sześćoletnia dziewczynka. W pulchnej łapce trzymała drewnianego konika. Maria delikatnie ucałowała opalone policzki dziecka, poprawiła zsunięty koc, odgarnęła z czołka jasny kosmyk i z czułością patrzyła na drzemiącą po obiedzie wnuczkę.

Łoskot za oknem znów przybrał na sile. Zamknęła je, ale niewiele to dało. Usiadła przy małej i gładziła wystające spod koca kolanko. O nią bała się najbardziej. Co będzie, jeśli naprawdę zrzucą te przekłete atomówki jak kiedyś na Hiroszimę?

Zegar w pokoju wybił drugą. Zza okna wciąż rozbrzmiewał uporczywy pomruk czołgów.

– Co to, babciu? – zapytała przebudzona dziewczynka. Usiadła na łóżku, trąc oczka piąstkami, i patrzyła w stronę okna. – Huczy.

– Nic wielkiego, czołgi jadą, dlatego huczy. Wyspałeś się, Vikuniu? – Maria przywołała na twarz uśmiech, wzięła na kolana ciepłą od snu wnuczkę i mocno ją utuliła. – Babcia tak cię kocha, że chyba cię zjem z tej miłości.

– Nie zjesz mnie, babciu, bo nie jesteś *der Wolf*, a przecież tylko w bajkach wilk je dzieci. Wiem, bo jestem już duża i idę do szkoły.

– Babcia żartowała. Jesteś bardzo mądra. – Ucałowała czołko swojej kruszyny. – Dlatego idziesz rok wcześniej do szkoły.

– Bardzo chcę iść do szkoły, a opowiesz mi, babciu, bajkę? O rybaku i złotej rybce albo o Kopciuszku. *Ich möchte trinken* – zakomunikowała, mieszając słowa niemieckie z polskimi, co czasem się jej zdarzało.

– Ja chcę pić – odruchowo poprawiła małą, wyrównując ciemne wstążeczki na jasnych, prostych włoskach wnuczki. – Zaraz dostaniesz soczku.

– A kiedy przyjdzie mamusia? Mój konik biegnie, patrz! – śmiała się, przesuwając zabawkę po kocu.

– Narowisty ten twój konik. Mamusia dziś nie przyjdzie, kochanie, bo ciężko jej teraz chodzić – mówiła, wciąż gładząc dziewczynkę. Najchętniej w ogóle nie wypuszczałyby jej z objęć. Anna była w drugiej ciąży i niebawem miała rodzić. – Wieczorem zaprowadzimy cię z dziadkiem do mamusi.

– *Mutti ist fett*, bo będzie miała dzidzię.

– Dzidzia rośnie w brzuchu, dlatego mama jest gruba. *Fett* znaczy gruba. Potem, gdy urodzi się twoja siostrzyczka albo braciszek, mamusia znów będzie taka śliczna jak wcześniej.

– Ja chcę *kleine Schwester*.

– Braciszka też będziesz kochać.

– Braciszek nie będzie miał warkoczyków, a ja lubię czesać warkoczyki. Dasz mi popisać na maszynie, babciu? Lubię pisać na maszynie, bo jestem maszynowiec.

– Chyba maszynistka? – Maria się uśmiechnęła. – Pozwolę ci popisać. A teraz chodź do kuchni, skarbie. Napijesz się, pokroję ci jabłuszko i odgrzeję obiad dziadkowi, niedługo powinien przyjść z pracy. Może narysujesz dziadkowi jakiś obrazek?

– Konika narysuję, dziadek lubi koniki. I niebieskie kwiatki też narysuję. A ty, babciu, lubisz niebieskie kwiatki?

– Uwielbiam.

Genów nie da się oszukać, dumiała później Maria, patrząc na wnuczkę, która z zapalem rysowała przy kuchennym stole konika w niebieskie kwiatki. Ten drewniany stał przy kredkach.

Choćby nie wiadomo jak Anna się przed tym broniła, Viktoria to krew z krwi Ostojańskich. Kochała konie i kwiaty tak samo jak jej babka i prababka. Może kiedyś pokocha coś znacznie więcej? Moja w tym głowa, postanowiła w duchu Maria.

Dziewczynka przysunęła się z kartką bliżej okna, zerknęła przez szybę na stojące na ulicy wojskowe maszyny i po chwili obok konika dorysowała czołg.

– Vikuniu, czołg? – jęknęła żartobliwie babka. – Miałaś narysować kwiatki.

– Jeszcze nie zdążyłam, bo mi przeszkadzasz, babciu. – Splotła przed sobą ręczki, patrząc na nią wojowniczo. Zdziorny charakter też miała po Ostojańskich.

– Nie będę już przeszkadzać. Zaniosę talerze do pokoju i zaraz wracam.

Postawiła nakrycie dla męża i w korytarzu przeczesła skrócone do ramion włosy. Tu i tam miała na twarzy głębsze zmarszczki, a skóra straciła dawną jędrność, lecz czas obchodził się z nią względnie łagodnie.

Figurę też zachowała w miarę niezmienną. Nadal mieściła się w ulubioną powiewną, granatową sukienkę w białe grochy, którą dzisiaj też włożyła. Sukienka miała długość stosowną do jej wieku i obowiązującej polityki.

Po zachodniej stronie miasta królowała mini. W Berlinie Wschodnim minispódniczki uznano za niewychowawcze. Nawet w prasie nie wolno ich było pokazywać, co Maria uznawała za absurdalne.

Już miała wrócić do kuchni, gdy zachrobotał klucz w zamku i do mieszkania wszedł Siergiej. Jego też czas oszczędzał. Nie wyglądał na swoje prawie pięćdziesiąt lat. Prócz większej siwizny, okularów, które musiał nosić do czytania, praktycznie się nie zmienił.

Dziś Maria zauważyła, że jest zdenerwowany.

– Będzie wojna, tak? Dlatego jesteś taki podminowany? – zapytała półszepem, gdy zdejmował marynarkę.

– Później – odrzekł w podobny sposób, wskazując oczami na Viki, która wbiegła do korytarza, ucieszona, że przyszedł.

– Dziadek! Narysowałam ci czołg i konika, i kwiatki! – paplała, wyciągając w górę ramionka. W łapce trzymała swój rysunek.

Siergiej od razu się rozjaśnił, wziął na ręce przyszywaną wnuczkę i z uznaniem oglądał dzieło.

– W życiu nie widziałem lepszego czołgu, prawdziwy T-34 – śmiał się, gdy patrzył na pojazd upstrzony kwiatkami, które wylatywały nawet z lufy.

– Czołgi strzelające kwiatami to dopiero światowy postęp. Masz talent, Vikuś. Zobacz, babciu, czy nie mam racji? – Podsunął Marii rysunek.

– Przepiękny – odrzekła, podziwiając obrazek, na którym dało się dość wyraźnie rozróżnić kształty. – Oprawimy go w ramki.

– Mam coś dla ciebie, moja artystko. – Musnął palcem nosek zaciekawionej dziewczynki, postawił ją na podłodze i wyjął z teczki kartonowe pudełko.

– Co to? Co to? – pytała podekscytowana, dobierając się do upominku. Przykucnął i pomógł jej wyjąć ze środka prezent.

– To aparat fotograficzny, żebyś uczyła się robić zdjęcia, skoro tak lubisz patrzeć na świat – wyjaśnił.

– Musiał sporo kosztować – powiedziała Maria, widząc model Zorki, który Viki oglądała z zaciekawieniem.

– Jest używany, ale zupełnie sprawny, w sam raz do nauki, skoro mamy w domu prawie uczennicę. W ministerstwie wymieniali sprzęt na nowy, rozdawali stary, więc wziąłem dla Viki. Włożyłem kliszę, można go od razu wypróbować.

– Co trzeba powiedzieć? – przypomniała dziewczynce Maria, gdy wnuczka oglądała aparat ze wszystkich stron.

– Dziękuję, dziadku, a jak się robi zdjęcia?

– Tutaj, zobacz – udzielił jej krótkiej instrukcji, po czym rzekł: – A teraz, pani fotograf, poprosimy z babcią o pierwszą sesję zdjęciową.

Stanęli w kilku zabawnych pozach przed przejętą dziewczynką. Zrobiła parę zdjęć, a potem odłożyła aparat i obejmując Siergieja za szyję, zaszczebiotała:

– Jesteś najlepszy na świecie po babci, mamusi i tatusiu. Powozisz mnie na koniku, dziadku? – Mała spryciula zrobiła słodką minkę.

W takich momentach ten nieskłonny do wylewności introwertyk miękł jak wosk.

– Mówisz i masz. – Mrugnął do niej. – Idziemy na konika.

– Vikuniu, wystarczy, dziadek dopiero przyszedł z pracy, niech najpierw zje, odpocznie.

– Dziadek nie jest ani głodny, ani tym bardziej zmęczony. Zrób mi tylko, Marysiu, mocnej kawy.

Nastawiła w kuchni czajnik. Na zewnątrz wciąż słychać było warkot czołgów. Drżały jej ręce, gdy wsypywała kawę do filiżanek. Z pokoju dochodził śmiech dziecka i wygłupy Siergieja, który naśladował rzenie konia.

Stała przez chwilę w progu z filiżankami kawy na tacy, przyglądając się rozbawionej parze. Towarzysz Iwanow, w spodniach w kancik i w białej koszuli, chodził na czworakach po podłodze, a wnuczka podskakiwała mu na grzbiecie i szturchała kolankami.

– Szybciej, koniku, szybciej!

– Vikuś, dziadka bolą plecy, wystarczy tej zabawy – powiedziała Maria, stawiając na stole tacę.

– Spokojna głowa – zaśmiał się lekko zadyszany. – Dziadek jeszcze i babcię przewiezie.

– Zagraj mi, dziadku, a ty, babciu, też *spiel mich ab* – poprosiła dziewczynka, która miała tysiąc pomysłów na minutę. Pobiegła do

fortepianu i zaczęła grać jednym paluszkiem *Wlazł kotek na płotek*. – Wesoło chcę żebyście zagrali.

Grali więc na cztery ręce rockandrollowy przebój, choć taka muzyka także była tutaj zakazana. Dzisiejszy łoskot za oknem skutecznie tłumił dźwięki. Viki siedziała pomiędzy nimi przy fortepianie, brzdąkała w klawisze i podskakiwała do rytmu.

Oni też podrygiwali i na chwilę odsunęli od siebie napięcie. Dopiero Joachim przerwał tę dobrą zabawę.

– Teraz rozumiem, dlaczego moja córka nie chce stąd wychodzić – powiedział, stanąwszy w drzwiach. – Macie tu wesoło.

– Odnajdujemy w sobie wewnętrzne dzieci, cześć, Joachim – odezwał się po niemiecku gospodarz, kiwnąwszy głową przyszywanemu zięciowi.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś. – Maria też przeszła na niemiecki i podniosła się od instrumentu. – Siadaj, mój drogi, zjesz obiad. Siergiej też jeszcze nie jadł. Mam krupnik i sznycle. Zrobię ci też kawę. Coś się stało? – pytała, przyglądając się uważniej przejętemu Joachimowi.

– Dziękuję, mam, i za kawę, i za obiad, z tego wszystkiego nie chce mi się jeść, właśnie odwiozłem Annę do szpitala, bo miała bóle, więc chyba się zaczęło – obwieścił, przysiadłszy w fotelu.

– Już? – Zaskoczona Maria przycupnęła na drugim. – Przecież jeszcze dwa tygodnie do terminu.

– Lekarz też powiedział, że to może być fałszywy alarm, ale zatrzymał ją na oddziale. Przyszedłem tylko po Viki. Wziąłem kilka dni urlopu, więc zajmę się małą, żeby choć trochę oderwać myśli od szpitala.

– Ja nie chcę do domku. – Mała również zaczęła mówić po niemiecku i trochę się naburmuszyła. Zaplotła rączki przed sobą, wygięła buzię w podkówkę. – Chcę zostać u babci i dziadka. Tu jest fajnie.

– Ubieraj się, Viki – polecił jej ojciec, nie zwracając uwagi na protest. – Pójdziemy na karuzelę i na lody.

– Na lody! Idziemy na lody! Tylko wezmę konika i mój aparat! – Zsunęła się w mig ze stołka i pobiegła do pokoju, aż zafurkotały falbanki białej sukieneczki.

– Co się dzieje? – spytał ciszej Joachim, gdy zostali w dorosłym gronie, wskazując głową w stronę okna. – U nas też nerwowo. Wasze wojska stoją na przejściach. Znowu wojna?

– Dobrze, że zabierasz teraz małą – powiedział Siergiej, upiwszy łyk kawy. – Od razu idźcie do siebie i tam zostańcie. Pod żadnym pozorem nie wychodźcie ze swojej strefy. Więcej nie mogę na razie powiedzieć.

– Rozumiem, ale nie wygląda to wesoło. – Joachim podrapał się w skroń.

– Idziemy, tatusiu. – W pokoju pojawiła się Viktoria z torebką przewieszoną przez ramię. – Chcę lody i konika na karuzeli. Zobacz, co dostałam od dziadka! – Wyciągnęła w rączkach upominek.

– Aparat fotograficzny? – spytał, wzięwszy zorkę. – Z jakiej to okazji dostałaś taki drogi prezent?

– Nie wiesz? – Ujęła się pod boczki. – Bo idę do szkoły i będę aparatką.

Wszyscy się roześmiali. Siergiej znów wziął dziewczynkę na ręce, przytulił. Maria też przedłużała pożegnanie.

Kiedy wyszli, zaczął grać *Piano Concerto* Rachmaninowa. Po kilku taktach zmienił repertuar. Z fortepianu popłynęły dźwięki wiosennego walca Chopina. Grał pięknie, z uczuciem. W innej sytuacji mogłaby go słuchać w nieskończoność, lecz teraz nastrój Marii był daleki od romantyzmu. Stała przy mężu i zapytała:

– Będzie wojna, tak?

Podszedł do okna i przez chwilę obserwował ulicę.

W kamienicy naprzeciwko dostrzegł świetlne refleksy na wysokości drugiego piętra, vis-à-vis ich okien, co przykuło jego uwagę. Przyjrzał się uważniej migającym rozbłyskom, cofnąwszy się nieznacznie za framugę. W lusterku stojącym na parapecie musiały się odbijać promienie słońca, stąd te zajaczki, uznał. A jeśli to nie promienie? Na wszelki wypadek zaciągnął zasłony.

– Chodź. – Wziął Marię za rękę i ruszył do łazienki. Dał znak, żeby się nie odzywała, po czym maksymalnie odkręcił kurki z wodą.

– Ściany mogą mieć uszy – wyjaśnił i zaczął mówić ścisłym głosem, przysiadając na wannie. – Pojutrze w nocy będą tu budować mur.

– Gdzie? – zapytała, przycupnąwszy obok. – W naszej łazience?

– W mieście. – Uśmiechnął się krzywo.

– Jaki mur? Mówże jaśniej.

– Którym odgródzą aliancką część Berlina od naszej. To jeszcze rządowa tajemnica. Dlatego nie powiedziałem nic Joachimowi, ale przed tobą nie mogę tego tać. Nikt stąd nie będzie mógł przejść na tamtą stronę. Ani z tamtej tutaj.

– Odgradzą nas... murem? – wykrztusiła oszołomiona.

– Z początku drutem kolczastym, a potem murem. Wysokim, betonowym, niedostępnym. Z zaporami, zasiekami, miejscami zaminowanymi, z szerokim pasem martwej ziemi. Oddziela w ten sposób świat zachodni od wschodniego, kapitalizm od socjalizmu, NATO od Układu Warszawskiego i demokrację od jej braku.

– Nie wierzę... – Kręciła głową kompletnie zszokowana. – Będą stawiać mur...

– Oficjalnie antyfaszystowski wał ochronny, bo tak go propagandowo nazwali. A tak naprawdę będą go budować dlatego, że przez ucieczki ludzi na Zachód niemiecka gospodarka planowa leci na pysk. Ponad dwa miliony Niemców już stąd uciekło.

– Co się dziwisz, każdy chce lepiej żyć, a zachodniemieckie gazety, radio i telewizja bez przerwy kuszą młodych, żeby uciekali, bo w RFN dostaną lepsze warunki i więcej pieniędzy. Wystarczy popatrzeć na Annę i Joachima, jak dobrze sobie radzą. Ludzie tutaj też słuchają po kryjomu zachodnich stacji.

– Więc żeby zatrzymać obywateli w modelowym państwie robotników i chłopów, postawią ponad sto pięćdziesiąt kilometrów systemu umocnień – wyjaśniał Siergiej zbyt otwarcie jak na jego zwyczajową powściągliwość, na co oszołomiona Maria z początku nie zwróciła uwagi.

– To jest technicznie niemożliwe! – Jeszcze próbowała negocjować nowinę.

Wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę, zaciągnął się głęboko dymem i odpowiedział półgłosem:

– Niestety możliwe. Zaczną w nocy z soboty na niedzielę, żeby uniknąć takich zadym na ulicach jak w pięćdziesiątym trzecim.

– Przecież ludzie mają rodziny po obu stronach, my też, chodzą tam do pracy, odwiedzają się, jeżdżą kolejkami, metrem, studiują.

– W tym rzecz, że już nie będą mogli tego robić. Nawet okna kamienic wychodzące na zachodnią stronę będą zamurowane albo domy zostaną zburzone, a mieszkańcy przesiedleni. Tamten świat dla tego będzie niedostępny.

– To jakiś... absurd, niedorzeczny, głupi pomysł, tylko idiota mógł coś takiego wymyślić. – Gestykulowała chaotycznie rękoma.

– Ulbricht, cholerny łgarz, jeszcze w czerwcu publicznie zapewniał, że żadnego muru nie będzie, a tu szast-prast i decyzja zapadła. Przypuszczam,



że gdy się zacznie, ucieknie stąd sporo ludzi. Może być gorąco.

Marii ze zdenerwowania łomotało serce, więc by ochłoniąć, wyjęła z kubeczka szczoteczki do zębów, nalała wody i wypła duszkiem. Dopiero gdy jako tako ostudziła emocje, dotarło do niej, że mąż zachowuje się inaczej niż zwykle.

Te zasunięte okna, celowo zagłuszana szumem wody rozmowa i otwarta krytyka decydentów, należących do tego samego systemu, co on, wszystko to razem zaczęło budzić w niej podejrzenia. Miała wrażenie, że po raz pierwszy ukazał swe prawdziwe oblicze.

– Co ty ukrywasz, Siergiej? Powiedz mi wreszcie, kim naprawdę jesteś – drażyła, świdrując go wzrokiem, jakby chciała przeniknąć w głąb duszy. – Żyjemy ze sobą od dziewięciu lat, a mam wrażenie, że w gruncie rzeczy cię nie znam. To okropne uczucie. Nie ufasz mi czy jak?

Przez moment, gdy patrzył w przenikliwe oczy Marii, korciło go, by odsłonić karty i wyrzucić z siebie wszystko, co od lat trzymał w tajemnicy. Jednak ważniejsze od zwierzeń było teraz działanie, a czas naglił. Otoczył dłońmi twarz żony i powiedział:

– Obiecuję, że niedługo dowiesz się prawdy, ale nie w tej chwili. Teraz musimy się pośpieszyć. Szykuj się, odstawię cię na Kreuzberg.

– A ty?

– Wieczorem jest narada w ministerstwie, na której muszę być dla zachowania pozorów. Mam też do załatwienia parę innych spraw. Potem do was dołączę. Postaram się przyjechać, nim zablokują wszystkie ulice, a jeśli nie, znajdę sposób, żeby się przedostać.

– I zostaniemy razem po zachodniej stronie? Ty też? – upewniła się, czy dobrze zrozumiała.

– Tak, tymczasowo, potem może zmienimy adres na trochę dalszy, jeśli będziesz chciała, o nic więcej nie pytaj. Spakuj nasze rzeczy do walizek i niech zostaną w domu. Zabiorę je po naradzie, wtedy będzie już ciemno. Teraz weź tylko podręczną torbę, żeby sąsiedzi nie pomyśleli, że uciekamy. Niestety, twój fortepian będzie musiał zostać. Nie zdążę załatwić transportu.

– Pal diabli fortepian! – Maria energicznie wstała. – Świat będą dzielić, wojna wisi na włosku, moja córka może właśnie rodzi, a ja mam się przejmować fortepianem? W nosie mam fortepian. Zaraz wszystko spakuję. Zdejmij tylko walizki z szafy.

Chwilę później pakowała ubrania ich obojga. Do podręcznej torby włożyła bieliznę, zdjęcia, biżuterię, swój pamiętnik i tomik wierszy ojca. Siergiej dołożył tam pieniądze oraz dokumenty.

W pół godziny uwinęli się ze wszystkim. Dla zachowania pozorów celowo nie wzięli auta. Zresztą na zatarasowanych czołgami ulicach poruszaliby się nim wolniej niż pieszo.

Poszli w stronę Friedrichstrasse. Siergiej patrzył na boki, intuicja podpowiadała mu, że tamten refleks świetlny w oknie mógł mieć znaczenie, stąd ten pośpiech. Jednak na razie nic nie wzbudzało w nim szczególnych obaw. Panujące na ulicach ogólne poruszenie pozwalało im wmieszać się w chaos bez zwracania na siebie uwagi.

Gdy dotarli do przejścia granicznego na Checkpoint Charlie, stała tam długa kolejka ludzi czekających, by się przedostać na drugą stronę. Wschodniobierlińscy pogranicznicy, których dziś było znacznie więcej niż zwykle, zachowywali się bardziej nerwowo i legitymowali każdego.

Iwanow, nie tracąc pewności siebie, ominął kolejkę i z Marią trzymającą się jego ramienia poszedł do dowódcy funkcjonariuszy.

– Ausweis – polecił gardłowo tamten.

Wyjął swój paszport ze specjalną wkładką, która uprawniała właściciela do swobodnego przekraczania strefy. Funkcjonariusz w mundurze, do złudzenia przypominającym Marii uniformy hitlerowców, zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem, a wreszcie przepuścił przez szlaban.

Po zachodniej stronie miasta wyczuwało się podobną nerwowość, co po wschodniej. Na rogatek gromadziły się wojska aliantów, a przed sklepami tłoczyli się poruszeni ludzie, aby uzupełnić zapasy.

– Myślisz, że wiedzą, co się stanie w sobotę? – spytała Maria, gdy dochodzili pod kamienicę na Kreuzbergu.

– Nie wiedzą, ale pamiętają blokadę Berlina w czterdziestym ósmym i problemy z zaopatrzeniem, boją się powtórki, dlatego rzucili się do sklepów.

– Też powinnam zrobić większe zapasy, Joachim nie ma teraz do tego głowy. Zostawię tylko rzeczy i pójdę po zakupy – oznajmiła, gdy dotarli na miejsce.

– Uważaj na siebie, Marysiu – powiedział Siergiej, oddając jej torbę.

– Nie wejdiesz na górę?

– Trochę się śpieszę. Postaram się wrócić jak najprędzej. Czekaj na mnie albo na wiadomość ode mnie, pa. – Pocałował ją na odchodnym.

– Ty też na siebie uważaj. Siergiej...

– Tak? – Spojrzał przez ramię.

– Dobrze, że przestałeś być z nimi.

W odpowiedzi puścił do niej oczko i ruszył w stronę Friedrichstrasse. Nie przeszedł jednak do Berlina Wschodniego, tylko skręcił w najbliższą przecznicę. Po paru minutach dotarł do hotelu, gdzie zawsze przewijała się masa gości. Minął główne wejście i wślizgnął się od podwórza. Otworzył drzwi niewielkiego lokalu, w którym mieściło się biuro firmy. W niepozornym, półciemnym pomieszczeniu w suterenie nikogo już nie było, jak zazwyczaj, gdy przychodził.

Rzucił na krzesło marynarkę, włączył radio i pokręcił gałką, aby wyłapać stację BBC. Miał jeszcze dziesięć minut do oczekiwanej audycji. Wyjął z teczki lojalkę Anny, zabraną dziś z urzędu. Nigdy jej nie użył i nie dopuścił, żeby zrobił to ktoś inny. Teraz mógł ostatecznie zatrzeć ślady. Przyłożył płomień zapalniczki do rogu kartki i wrzucił płonący dokument do umywalki.

W radiu zabrzmiał sygnał oczekiwanej audycji. Po chwili, zapisując na kartce poszczególne słowa, rozszyfrował zakodowaną wiadomość dla siebie. Nadał przez radiostację meldunek o planach budowy muru. Gdy skończył, otworzył szafę z najnowocześniejszym osprzętem i wyjął z niej sztuczny kamień.

Wybrał nie za duży, żeby mieścił się w dłoni. Podważył scyzorykiem mechanizm atrapy i włożył do środka wydobyty z zaszewki w stanie spodni mikrofilm ze zdjęciami radzieckich rakiet nuklearnych. Ruchy miał spokojne, precyzyjne.

Nie pierwszy raz robił podobne rzeczy. Przez lata zdążył nabrać wprawy, przekazując w ten sposób materiały obcemu wywiadowi. Nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia. Przeciwnie, był pewien, że postępuje słusznie.

Dochodziła szósta po południu. Odczekał jeszcze kwadrans, a potem udał się do pobliskiego parku.

Tu mniej było widać nerwowość panującą na ulicach. Dmuchał lekki wietrzyk, słońce jeszcze przyjemnie grzało, matki pchały dziecięce wózki.

Usiadł na ławce przy fontannie, wyjął z teczki gazetę i papierosy. Udając, że pochłonął go artykuł, dyskretnie umieścił kamień pod ławką. Skończył

palić, wstał i nieśpiesznie ruszył do bramy.

Nie minęło pięć minut, gdy przy tej samej ławce przystanąła młoda kobieta z dziecięcym wózkiem. Schyliła się, by poprawić coś przy kółku, podniosła kamień, włożyła go do wózka i ruszyła alejką do wyjścia po drugiej stronie.

Wykonał zadanie, mógł więc udać się na operatywkę do ministerstwa. Pójdzie tam dla zachowania pozorów i będzie odgrywał rolę lojalnego człowieka systemu, choć już dawno przestał być lojalny i został kimś znacznie gorszym niż szpiegiem. Tajny oficer radzieckiego wywiadu wojskowego, który przeszedł na stronę wroga, to nie szpieg. To zdrajca. Dla takich nie było innych wyroków w Związku Radzieckim niż kara śmierci.

Od samego początku zdawał sobie sprawę, co go czeka, jeśli wpadnie. Mimo to bez większych skrupułów sam zaproponował Amerykanom współpracę, gdy ostatecznie pozbył się złudzeń co do ustroju, w którym żył.

Nienawiść do systemu, która narastała w nim niczym ropiejący wrzód, była silniejsza od lęku przed ryzykiem. Wkalkulował je w swoją misję. Sobiepaństwo i zakłamanie partyjnych oligarchów sprawiły, że ostatecznie przekonał się, iż komunizm jest jedną wielką bujdą. A on stał się częścią tego zakłamania. Musiał coś zrobić, żeby poczuć wewnętrzną satysfakcję, że pomieszał tamtym szyki. Choćby za cenę głowy.

Od lat dostarczał obcemu wywiadowi dziesiątki informacji. W podziemnym tunelu, który wydrążyli Amerykanie na granicy sektorów Berlina i zainstalowali tam aparaturę podsłuchującą radzieckie telefony wojskowe, też bywał jako zaufany tłumacz. Teoretycznie wiele razy zarobił za to u swoich na śmierć. Dotąd mu się udawało wodzić za nos KGB.

Dziś jednak coś zaniepokoiło jego wyostrzone zmysły. Te refleksy w oknie... zastanawiał się, zwalniając kroku.

Dochodził do Checkpoint Charlie, gdzie wciąż stała długa kolejka chcących przedostać się na zachodnią stronę. Wschodniobерlińskich pograniczników też było więcej. Legitymowali w kilku młodego mężczyznę, pokrzykując przy tym na postrach.

Iwanow przyczał się za słupem ogłoszeniowym i wyteżał wzrok w stronę budki strażników. Obok, pośród wojskowych pojazdów, stało kilka cywilnych aut. W jednym ktoś pstryknął zapalniczką. Siergiej był na tyle blisko, że dostrzegł w środku kilka postaci po cywilnemu. Ewidentnie na kogoś czekali.

KGB zasadziło się na mnie?, przemknęło mu przez głowę. Nie, tamci nie są takimi idiotami, żeby dać się zauważyć. Uspokojony tą myślą, ruszył do przodu. Uszedł kilkanaście kroków, gdy jak spod ziemi otoczyło go ciasno kilku osobników w szarych garniturach i kapeluszach.

– Pojedzie pan z nami – oświadczył jeden z nich i wskazał na stojący nieopodal samochód.

## Rozdział VIII

# Przedzieleni

Wniedzielny ranek Maria stała przy oknie w mieszkaniu na Kreuzbergu i z wysokości drugiego piętra patrzyła na dantejskie sceny rozgrywające się na ulicy. Ze zdenerwowania prawie nie zmrużyła oka przez całą noc. Ledwo drzemała na kanapie, nie zdjęwszy nawet sukienki. Niepokoiliła się o Annę, u której wczoraj zaczęły się bóle porodowe. Siergieja wciąż nie było ani nie przekazał żadnej wiadomości. Jak on się teraz tutaj dostanie, martwiła się, nie odrywając wzroku od szyby.

Tuż pod ich oknami dziesiątki robotników, wraz z oddziałami Volkspolizei i innych służb mundurowych, stawiały zasieki z drutu kolczastego na całej długości ulicy, dzieląc ją w ten sposób na pół. Z prawa i z lewa ciągnęła się szczelna fortyfikacja. Pierwsza druciana, druga złożona z kordonu enerdowskich żołnierzy, którzy, trzymając się pod rękę, stworzyli żywy mur i teraz nawet mysz nie mogła się przezeń prześlizgnąć.

Echo odbijało od kamienic krzyki zdezorientowanych ludzi, warkot czołgów i ciężarówek, z których wyładowywano cegły. Grupy uciekinierów z domów po drugiej stronie ulicy próbowały sforsować stawiane ogrodzenie, żeby przedostać się na zachód, ale ciasny kordon setek funkcjonariuszy brutalnie odpychał napierających.

Alianckie wojska po drugiej stronie zapory wyglądały na zdezorientowane przebiegiem wypadków i szturmem uciekinierów ze wschodniej strefy. Niektórzy próbowali sforsować zasieki, skacząc z balkonów lub dachów. Kilku wschodnioberlińskich mundurowych też uciekło na zachodnią stronę. Za nimi zrobiło to samo paru robotników.

Nagle od murów odbił się głuchy odgłos wystrzałów z karabinów maszynowych.

– Przeklęci faszyści – mruknęła.

– Co to, babciu? – Viktoria, bosa i w piżamce, podbiegła od okna. Zatykała uszy rączkami.

– Nie patrz tam – nakazała Maria, w pierwszym impulsie odsuwając dziecko za siebie, ale po chwili zmieniła zdanie. – Albo patrz. Kiedyś będziesz się o tym uczyła w szkole.

– Co oni robią?

– Stawiają granicę, która oddzieli wolność od zamordyzmu – mówiła bardziej do siebie niż wnuczki, gdyż mała niewiele mogła z tego zrozumieć.

– Przynieś aparat, trzeba to sfotografować, i włóż kapciuszki.

– A kiedy przyjdzie dziadek i tata, i mamusia? – dopytywała się Viktoria z noskiem przy oknie.

– Tata powinien niedługo być, poszedł zadzwonić do szpitala, czy mamusia już urodziła dzidzię, a na dziadka musimy poczekać. Idź po aparat.

Gdy mała pobiegła do swojego pokoju, Maria nastawiła radio. Akurat nadawano wystąpienie burmistrza Berlina Zachodniego Willy'ego Brandta, skierowane do wschodniobrzeżnińskich żołnierzy: „Pokażcie zachowanie godne człowieka tam, gdzie to tylko możliwe! Przede wszystkim nie strzelajcie do własnych rodaków!”.

Jak na zawołanie na zewnątrz znów rozległy się odgłosy strzelaniny i te same słowa, powtarzane przez uliczne megafony.

– Mam, babciu. – Viki wróciła z aparatem.

Maria zrobiła parę zdjęć z okna, gdy zjawił się Joachim i zawołał od progu:

– Anna urodziła! Chłopak! Viki, masz braciszka! – Rozpromieniony chwycił córkę na ręce, uściskał teściową.

Na tę jedną chwilę wieść o narodzinach maleństwa przyćmiła wszystko inne. Śmiali się i mocno obejmowali we trójkę.

– Mój wnuk wybrał sobie szczególny dzień, żeby przyjść na świat – powiedziała wzruszona Maria, ocierając palcami łzy z oczu. – Jak Ania?

– Nie pozwolili mi do niej wejść. Rozmawiałem tylko z położną. Mówiła, że obyło się bez komplikacji i za parę dni mogę ich zabrać do domu.

– Bogu niech będą dzięki! – Maria odetchnęła z ulgą.

– Jak się nazywa mój braciszek? – spytała Viktoria, obejmując za szyję ojca. Już tak bardzo się nie martwiła, że to nie siostrzyczka.

– A jak byś chciała?

– Peter, jak mój kolega z przedszkola. Był fajny i dawał mi cukierki. Może się nazywać Peter? Proszę, proszę, proszę. – Viki podskakiwała na rękach u Joachima.

– Mnie się podoba, ale zobaczymy, co powie mama. – Dmuchnął we włoski córki i spojrzał na Marię. – Mamie też się podoba Peter?

– Po polsku to Piotr, ładne imię. – Opanowała wzruszenie, po czym zwróciła się do zięcia: – Zrobię śniadanie i pójdę do Anny do szpitala. Mnie powinni wypuścić. Jak przyjdzie Siergiej, powiedz, że niedługo będę.

– Niech mama lepiej teraz nie wychodzi. – Joachim spoważniał. Postawił dziecko na podłodze i gdy mała pobiegła do okna robić zdjęcia temu, co działo się na zewnątrz, ciągnął, zniżywszy głos: – Naprawdę jest nieciekawie. Enerdowska policja i żołnierze zablokowali wszystkie ulice, tory, przejścia między Berlinem Wschodnim. Metro i kolejka też stoją. Widziałem na granicy radzieckie wojsko w pełnej gotowości. Jankesi też w gotowości. Wybuchła panika, tysiące ludzi stamtąd próbują się tutaj przedrzeć. Brandt prosi przez megafony, żeby nie strzelali do swoich.

– Wiem, w radiu też to nadają.

– Dlatego nalegam, aby mama została w domu.

– Doceniam, że się o mnie martwisz – pogładziła po ramieniu przejętego zięcia – ale nie takich rzeczy w życiu doświadczyłam, żeby lękać się byle wojska na ulicach. Nic mnie nie powstrzyma przed zobaczeniem córki i wnuka. Ani żołnierze, ani zasieki. Niech sobie stawiają, co chcą. Prędzej czy później ludzie i tak się zbuntują. Im bardziej władza będzie ich tłamsić, tym szybciej to nastąpi.

– Oby, choć teraz trudno w to uwierzyć. – Przesunął ręką po włosach. – To jest jakiś obłąd, co się dzieje. Ponoć mają otoczyć Berlin Zachodni dokoła murem. Jak wtedy stąd się wydostaniemy? Zrobią z nas jakąś zamkniętą wyspę na terytorium NRD? We wrześniu Klaus i Rudi mieli przylecieć z Zurychu. Nie wiem, czy będzie to możliwe. Jutro muszę iść do pracy, a nie mam zielonego pojęcia, co się wydarzy do jutra.

– Na razie zachowajmy spokój. Przyjdzie Siergiej, dowiemy się więcej. Zrobię śniadanie i pójdę do szpitala. Zaniosę Ani bulionu, powinna się wzmocnić. Miałam przeczucie, żeby go wieczorem nastawić.

Naszykowała śniadanie, nałała do słoika bulionu i uczesała się przed wyjściem. Była w tej samej sukience w grochy co przedwczoraj, ale prócz



bielizny nie miała ubrań na zmianę. Przeciągnęła tylko usta czerwoną szminką, włożyła pantofle i sięgnęła po torbę.

– Mogę iść z tobą do mamusi? Też chcę zobaczyć dzidziusia. – Viktoria przybiegła do korytarza i objęła Marię rączkami w pasie.

– Dzieci nie wpuszczają do szpitala, kochanie. Zostaniesz z tatą i będziesz czekać na dziadka, babcia prędko wróci. – Ucałowała małą w główkę. – Później pomożesz mi przygotować łóżeczko i ubranka dla braciszka.

To powiedziawszy, nie zważając na naburmuszenie dziewczynki, wzięła torbę i wyszła z domu. Dzień był słoneczny, ciepły, prawie bezchmurny. Letnia aura nijak się miała do tego, co działo się wokół.

Ogólna panika, przepychanki uciekinierów z kordonem żołnierzy i powtarzane z megafonów apele, żeby nie strzelać do rodaków, zdawały się rozsądzać przestrzeń. Maria nie mogła spokojnie przejść zatłoczonym chodnikiem. Co rusz ktoś ją potrącał, ktoś się nawoływał, kogoś szukał.

– Gdzie ty jesteś? – mamrotała pod nosem, szukając sylwetki męża pośród chaotycznego tłumu po wschodniej stronie. Wspinała się na palce, by więcej dostrzec ponad głowami mundurowych, ale nigdzie nie widziała Siergieja. Ogarniał ją coraz większy niepokój, że mąż tak długo nie daje znaku życia.

Dochodziła do skrzyżowania, gdy drogę zastąpiła jej młoda kobieta w pastelowej sukience.

– Madame, proszę iść ze mną – odezwała się, wsuwając rękę pod ramię Marii i nie dopuszczając, by przystanęła. Mówiła po niemiecku z obcym akcentem.

– To chyba jakaś pomyłka – odparła zdumiona Maria.

– Zapewniam, że to nie pomyłka. Ktoś chce się z panią spotkać. – Tamta obrzuciła ją krótkim spojrzeniem.

– Mój mąż panią przysłał? – zapytała Maria, nie zwalniając kroku.

– Tak.

Uspokojona, że zobaczy Siergieja, poszła dalej, w stronę nieodległego skwerku, trzymając pod rękę nieznaną.

W zatoczce przed przejściem dla pieszych stał czarny ford. Wysiadł z niego elegancki mężczyzna w średnim wieku, pod krawatem, w dobrze skrojonym popielatym garniturze. Skłonił lekko głowę, gdy dotarły do auta.

Młoda kobieta poszła dalej sama, mężczyzna zaś otworzył tylne drzwiczki i grzecznym ruchem ręki wskazał Marii, że ma wejść do środka.

– Zapraszam, madame – odezwał się uprzejmym tonem. Mówił po niemiecku z amerykańskim akcentem. – Proszę się niczego nie obawiać. Zawiozę panią do męża.

Wsiadła do auta, w którym był jeszcze kierowca.

– Dzień dobry – powiedział, ale się nie odwrócił, tylko zerknął w lusterko.

– Dzień dobry – odrzekła, patrząc niepewnie na szczelnie zasłonięte szyby z tyłu. Ten w garniturze zajął miejsce obok, po czym zaciągnął zamontowaną u góry roletkę, która odgradzała przednią część samochodu. Tym sposobem podróżujący z tyłu niczego nie mogli dostrzec przez szyby.

– Pani wybaczy, to konieczne – wyjaśnił i polecił kierowcy: – Ruszaj.

– Dowiem się wreszcie, co to wszystko ma znaczyć? Po co ta konspiracja? Gdzie jest mój mąż? – dopytywała się rozstrojona niecodzienną sytuacją.

– W bezpiecznym miejscu. Pani mąż oddał cenne usługi rządowi Stanów Zjednoczonych. Tak cenne, że stał się dla nas bezcenny, stąd te środki ostrożności. Nie mamy pewności, czy przyjmie pani propozycję, którą niebawem usłyszy. Dlatego miejsce, do którego jedziemy, musi pozostać tajne.

– Jaką propozycję? Może pan mówić jaśniej?

– Niedługo wszystkiego się pani dowie – odrzekł, dając wyraźnie znak, że więcej wyjaśnień nie będzie.

Maria rozmasowała palcami tętniący ból w skroniach. Za dużo się wydarzyło jak na jeden dzień, dumiała, mając kompletny mętlik w ociężałej głowie. Siergiej na usługach amerykańskiego rządu? Jakie to usługi, że stał się aż tak dla nich bezcenny? Jeszcze to do niej nie docierało. W zasłoniętym wnętrzu auta czuła się klaustrofobicznie i trochę zaczynało jej brakować powietrza. Drażniło ją, że nie może widzieć, co się dzieje na ulicach.

Po kilkunastu minutach podróży auto się zatrzymało. Usłyszała dźwięk otwieranej bramy, przez którą wjechali. Kierowca przejechał jeszcze kawałek i wyłączył silnik.

– Jesteśmy, może pani wysiąść – powiedział ten obok.

Znów otworzył jej drzwiczki i podał rękę. Znalazła się na rozległej i częściowo zadrzewionej posesji otoczonej wysokim murem. W głębi stał szary, niepozorny dom. Dość spory, klockowaty, piętrowy. Bardziej

przyciągał wzrok starannie wypielegnowany trawnik przed nim niż sam budynek. Od razu dostrzegła przed drzwiami Siergieja. Poczowała ulgę, że go widzi. Ruszył jej naprzeciw.

– Mam nadzieję, że się nie wystraszyłaś. – Objął ją i pocałował na powitanie. – Nie było innego sposobu, żebyśmy mogli się zobaczyć. Sytuacja trochę się skomplikowała.

– Co to wszystko ma znaczyć? Co to za miejsce? Pracujesz dla Amerykanów? – zasypywała go pytaniami. Mężczyzna, który ją tu przywiózł, gdzieś odszedł.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Zaprowadził ją do budynku. W korytarzu nie spotkali nikogo, ale zza pozamykanych drzwi słychać było szmer rozmów, stukot maszyny do pisania i kroki na piętrze.

SiergieJ wprowadził ją do pokoju po lewej stronie. Stały w nim wygodne klubowe fotele, pikowane, z zielonej skóry, a także ciemne meble. Podłogę wyściełały miękkie dywany. Pomieszczenie przypominało połączenie biblioteki z gabinetem. Pod ścianą było nawet pianino.

SiergieJ czuł się tu swobodnie, ona mniej. Przysiadła w miękkim fotelu. Na kolanach trzymała torbę ze słoikiem.

– Nie wiedziałem, czy jadłaś śniadanie, więc poprosiłem, żeby coś nam przygotowali, częstuj się – zachęcił ją, podsuwając bliżej stolik, na którym stały talerzyki z wędliną, serem, bułeczki, filizanki i dzbanek, chyba z kawą.

– Daj mi teraz spokój ze śniadaniem, tylko powiedz wreszcie, o co chodzi – fuknęła. Odstawiła torbę, usiadła wygodniej i ciągnęła podminowana: – Szłam akurat do Ani do szpitala, bo dziś urodziła...

– Urodziła? – wpadł jej w słowo. Usiadł w fotelu naprzeciwko i spytał wyraźnie podekscytowany: – Mamy wnuka czy wnuczkę?

– Wnuka. Niosłam właśnie Ani bulion, gdy mnie zwinęli z chodnika i tu przywieźli. Chyba musieli na mnie czatować, zresztą pal diabli, tylko wreszcie powiedz mi prawdę. Od kiedy pracujesz dla Amerykanów? Ten, co mnie tu wiózł, powiedział, że oddałeś cenne usługi rządowi Stanów Zjednoczonych. To jest jakaś tajna meta CIA? – Zatoczyła ręką półkole.

– Można tak to określić – potwierdził.

Nalał kawy do filizanek, rozpiął guzik szarej marynarki, usadowił się wygodniej, nogę założył na nogę i wyraźnie grał na czas albo maskował

napięciu, które w nim dostrzegła. Upił łyk napoju, a potem oświadczył:

– Pracuję dla nich od dawna. Wcześniej byłem człowiekiem Berii na Zachodzie, miałem szpiegować amerykański program budowy bomby atomowej. Potem, gdy przekonałem się, że nie po drodze mi z polityką mojej ojczyzny, szpiegowałem dla drugiej strony. Praca na dwa fronty wymagała pewnej wprawy, ale dla absolwenta Wojskowej Akademii Dyplomatycznej, którym jestem, stanowiło to swoisty sprawdzian. Długo udawało mi się wodzić za nos KGB, z czego mam satysfakcję. Dopiero niedawno wpadli na mój trop. Przedwczoraj zastawili pułapkę, lecz Amerykanie ostrzegli mnie w samą porę, dlatego widzimy się tutaj. Wybacz, nie mogłem wcześniej wyjawić ci prawdy. Stawka była zbyt wysoka. Ty też nie możesz nikomu tego ujawnić. Co powiesz, gdy już wiesz, kim jestem? – spytał na koniec.

Teraz to on wpatrywał się w nią w napięciu.

– Daj mi papierosa – poprosiła kompletnie oszołomiona.

Podeszła do okna i patrząc niewidzącym wzrokiem na trawnik i mur wokół niego, zaciągała się łapczywie dymem. Dławiło ją w gardle, dłonie lekko drżały, popiół spadał na dywan, ale nie zwracała na nic uwagi. To, czego się dowiedziała, było tak zaskakujące, że nie mogła pozbierać myśli. Jednak intuicyjnie czuła, że ważniejsze od tego, co usłyszała, było to, czego jeszcze jej nie powiedział.

– Od początku podejrzewałam, że nie jesteś tym, za kogo się podawałeś – odezwała się w końcu, wciąż zwrócona twarzą do okna. Słyszała, jak wstał, podszedł do niej, otoczył ją ramionami. Oparła głowę o jego pierś. – Co teraz będzie? – zapytała.

Nic nie odpowiedział, tylko przez chwilę kołysał ją w ramionach, opierając brodę o czubek jej głowy. Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy. Pierwszy raz, odkąd go znała, odniosła wrażenie, że wreszcie przywdział własną skórę. Taki podobał się jej bardziej, tylko że wciąż nic nie mówił, jakby nie był w stanie udźwignąć ciężaru tego, co tłamsił w sobie.

Usiadł do pianina i zaczął grać wiosennego walca Chopina.

Grał tak przejmująco jak chyba nigdy dotąd. Nostalgiczna muzyka zdawała się wprost wnikać w każdą cząstkę duszy Marii i napełniała... lękiem przed tym, co zawisło w gęstej zasłonie niedopowiedzeń.

Ile trwał ów przedziwny koncert, nie potrafiła określić zasłuchana i zapatrzona w postać pianisty.

– To zależy od ciebie – odezwał się wreszcie, gdy wybrzmiał ostatni akord.

– Ode mnie?

Podszedł do niej, przytulił i mówił, jakby wyrywał słowa prosto z serca.

– Dałaś mi dziewięć wyjątkowych lat. Najlepszych, jakie miałem. Przy tobie czułem się człowiekiem, którym chciałem być. Dałaś mi dom, rodzinę. Wszystko to, co myślałem, że jest mi niepotrzebne, a jednak się myliłem. Kocham cię, Marysiu, ale zrozumieć, jeśli odmówisz, i nie będę miał żalu. – Czułym gestem pogłodził jej policzek, patrzył na nią miękko, na ustach miał cień nostalgicznego uśmiechu. Wszystko to razem sprawiało, że ogarniał ją coraz większy niepokój.

– Czego mam... odmówić? – zająknęła się lekko. Przycisnęła ramieniem dłoń Siergieja do swojej twarzy.

– Dziś wieczorem przerzucą mnie do Stanów. Dostanę tam nową tożsamość i nigdy nie będę mógł tu wrócić. Upozorują moją śmierć, żebym zniknął na dobre. Czy pojechałabyś ze mną?

– Ja? Do Stanów? Kiedy? – pytała, prawie nie ruszając wargami.

– Dziś. Również dostaniesz nową tożsamość i też nigdy tutaj nie wrócisz. Dla Anny, Viki, dla wszystkich będziesz musiała zniknąć na zawsze. Twoją śmierć też upozorują, jeśli się zgodzisz. Wiem, że to nieludzkie, ale taka jest konsekwencja decyzji, jaką kiedyś podjąłem.

Poczuła się jak ogłuszona. Sama świadomość, że mogłaby zostawić na zawsze wszystkich, których kochała, sprawiła jej nieznośną udrękę. Jednak gdy patrzyła w przepiękne nadzieją oczy Siergieja, pojęła, że jest jej bliższy, niż mogło się wydawać. Że na przekór wszystkim różnicom zdarzyła im się miłość, choć wcale tego nie planowała.

A teraz musi wybrać, kto jest ważniejszy. Bez kogo prędzej uschnie z tęsknoty.

Cokolwiek zdecyduje, ktoś będzie cierpiał, ona też. Z drugiej strony tak naprawdę wybrała już w chwili, gdy wydała córkę na świat, i potem, gdy jej szukała. Gdy pierwszy raz wzięła na ręce wnuczkę, gdy dowiedziała się, że ma wnuka. Nie mogła dobrowolnie wyrzec się tego.

Łzy płynęły po jej policzkach, serce się ścisnęło, że los bez uprzedzenia postawił ją przed takim dylematem.

– Nie, Siergiej. – Pokręciła głową i mówiła głosem jak z podziemi. – Nie pojedę z tobą, nie mogę, choć cię kocham.

– Kochasz... – powtórzył miękko, delektując się jej wyznaniem.

– Myślałam, że po Andrzeju nikogo już nie będę w stanie pokochać, ale stało się inaczej, pokochałam ciebie, a po tym, co powiedziałaś, jestem z ciebie dumna. – Poglądziła go po ramieniu. – Wiem, że cię ranie, ale ten bilet bez powrotu za dużo by mnie kosztował. Anna jest częścią mnie, tak samo jak moje wnuki. Nie potrafię z własnej woli zrezygnować z nich na zawsze. Wybacz.

– Tak myślałem i nie mam czego ci wybaczać ani oczekiwać – westchnął pogodzony z losem. Otarł łzy z jej policzków. – Nie płacz, szkoda łez. Naprawdę nie mam do ciebie żalu. Może tak będzie dla nas lepiej, żebyś kiedyś nie wyrzucała mi, że odciąłem cię od córki i wnuków. Wiem, ile dla ciebie znaczą. Moja babka powiedziała kiedyś, że największym przejawem miłości jest kochać, nie posiadając, więc będę cię kochał, nie posiadając...

Potem mówił jeszcze, że ani jej, ani Annie nic tutaj nie grozi, że mieszkanie na Kreuzbergu należy do niej, Marii. Że dostanie azyl w Berlinie Zachodnim i zmieni nazwisko na Langer, po ojcu, gdyż to nie figuruje w jej aktach, więc będzie najbezpieczniej.

Że ktoś się wszystkim zajmie i żeby się nie martwiła o pieniądze, że powinna kupić pianino, by Viki mogła się uczyć grać. Że ona, Maria, ma otwartą drogę do Ameryki, jeśli zechce pojechać do brata, że przeprasza, iż nie mógł odebrać walizek...

Wszystko docierało do niej jak przez ścianę. W uszach miała szum, niewidzialna obręcz zaciskała się na jej gardle.

– Wystarczy. – Pocałowała go w usta, tłumiąc dalsze słowa. – Nic więcej nie mów. Niech mnie odwiozą do domu.

– Już? – spytał zaskoczony. – Mamy jeszcze kilka godzin.

– Już – potwierdziła stanowczo – nie przedłużajmy tego, skoro tak musi być. Żeby bardziej nie bolało.

Przyłożył usta do jej czoła, otoczył ramionami. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz chciało mu się płakać. Opanował niemęską słabość, z trudem odsunął od siebie Marię i powiedział:

– Masz rację, nie przedłużajmy tego, żeby bardziej nie bolało, trzymaj się, Marysiu, i nie myśl o mnie źle.

Wyszedł z pokoju.

– Ty też nie myśl o mnie źle, że tak wybrałam – odparła do zamkniętych już drzwi.

Ten sam kierowca odwiózł ją na Kreuzberg.

Dziś nie była w stanie odwiedzić córki i wnuka. W głowie wciąż pobrzmiwał jej walc Chopina, przed oczami miała grającego Siergieja. Widziała, że będzie za nim tęsknić, tak jak on za nią, lecz mimo wszystko nie mogła zdecydować inaczej. W osłoniętej od świata kabinie forda pozwoliła płynąć cichym łzom, by dać ujście smutkowi.

Kilka dni później wschodniobierlińskie media przyniosły wiadomość o śmiertelnym wypadku drogowym, w którym zginął radziecki urzędnik państwowy. Spłonął w aucie, w którym na skutek zderzenia zapalił się zbiornik paliwa.

Maria opłakała męża, powiadomiła rodzinę, na pogrzeb z powodu zamkniętych granic nie mogła pojechać. Siergiej był już wtedy w Stanach. Gdzie? Tego nie wiedziała i nigdy się nie dowie ani też tego, w czyjej skórze będzie chodził do końca życia. Pewnie nigdy się nie spotkają. Musiała nauczyć się żyć bez niego.

Wywołała u fotografa zdjęcia, które zrobiła im Viktoria. Mieli na nich poucinane głowy lub nogi, tylko na kilku wnuczce udało się złapać w kadrze w miarę pełne postaci. Maria z nostalgią patrzyła na strojącego śmieszne miny do obiektywu mężczyznę, który od początku stanowił zagadkę, a którego jej brakowało.

Gdy jednak wieczorami słyszała kwilenie Petera, Annę nucącą kołysankę i spokojny oddech śpiącej wnuczki, jej śmiech, wprawki na pianinie i miliony pytań, jakie zadawała od rana do wieczora, wiedziała, że mimo tej wielkiej tęsknoty dokonała słusznego wyboru.

Kilka miesięcy później, gdy w październiku na Checkpoint Charlie stanęły naprzeciw siebie amerykańskie i radzieckie czołgi i minuty dzieliły świat od wybuchu kolejnej wojny, dostała azyl, dokumenty na nazwisko Langer oraz sto tysięcy dolarów na koncie w amerykańskim banku.

Miała teraz czterdzieści sześć lat i postanowiła nadać życiu nowy cel. Nie musiała go długo szukać. Za punkt honoru obrała sobie zaszczepienie we wnukach tego wszystkiego, w czym wzrastały pokolenia Ostojańskich. Zrobi to nawet wbrew woli Anny.

# CZEŚĆ DRUGA

*Osiemnaście lat później*



## Rozdział IX

# Nasze matki, nasi ojcowie

*RFN, schyłek lata, jesień 1979*

Gdzie idziesz, Viki? – wymruczał sennym głosem Fredrik. Leżał na brzuchu, bez piżamy, kołdra ledwo przykrywała mu biodra.

– Do domu.

W półciemnej sypialni panował zaduch. Rozsunęła grube zasłony w oknach, otworzyła drzwi na taras, by wpuścić do środka świeże powietrze. Początek września był ciepły i słoneczny, ale na zewnątrz pachniało już nadciągającą jesienią.

Obrzuciła ponurym spojrzeniem pobjowisko na podłodze. Wszędzie wały się puste butelki po whisky, piwie, rozrzucone płyty Hendrixa i Lennona. Na srebrnych paterach leżały niedojedzone przekąski. Kremową wykładzinę zaścielały porozrzucone ciuchy. Za dużo jak na dwie osoby, a więc reszta balangowiczów musiała się zamelinować po pokojach; wyteżała pamięć, patrząc na Fredrika.

Mieszkał u rodziców w Grunewald, gdzie mieściły się najdroższe zachodniobierlińskie rezydencje. Dom Essenów był tak rozległy, że urządzili w prawym skrzydle komfortowy apartament dla syna. Był ich jedynym, późnym dzieckiem. Rozpieszczali go i skrupulatnie zaplanowali przyszłość, łącznie z wyborem studiów, aby kiedyś przejął rodzinną klinikę dentystyczną.

Mieściła się na posesji Essenów. W dalszej części posiadłości znajdowała się okazała willa. Wystrój wnętrz, w których dominowały włoskie marmury i złocenia, świadczył o zamożności gospodarzy. Essenowie byli po sześćdziesiątce. Cechowały ich nienaganne maniery, tolerancja oraz chłodna uprzejmość.

Do Viktorii początkowo także odnosili się z dystansem, traktując ją jako kolejną przelotną znajomość syna. Dopiero gdy się okazało, że aktualna

sympatia Fredrika kończy ekonomię na Wolnym Uniwersytecie Berlina, nie poluje na majątek, gdyż sama pochodzi z zamożnej rodziny, i ma na jedynaka dobry wpływ, zaczęli patrzeć na nią przychylniej.

Dla Viktorii akceptacja Essenów nie miała większego znaczenia. Związku z Fredrikiem nie traktowała poważnie. Chłopak wpadł jej w oko, więc go poderwała w klubie studenckim. Spotykali się od paru miesięcy na niezobowiązujących randkach, lecz równie dobrze mogli się obyć bez siebie. Nie kochała go ani on jej. Po prostu czasem dobrze się bawili.

Tak naprawdę jeszcze nigdy nie była zakochana. Paru poprzednich chłopaków darzyła mniejszą lub większą sympatią, ale dla żadnego nie straciła głowy, żaden nie zburzył jej spokoju, nie kradł snów. W skrytości ducha pragnęła doznać takiego uczucia. Zakochać się bez pamięci, z wzajemnością, na razie jednak nic podobnego się nie zdarzyło. Nawet w stosunku do Fredrika, z którym była najdłużej.

Poza tym im bliżej go znała, tym więcej nabierała wątpliwości, czy właśnie on jest tym mężczyzną, z którym chciałaby się związać na stałe. Odpowiedzialność i obowiązkowość nie leżały w jego naturze. Studia przeciągnął o dwa lata.

Dopiero gdy zdesperowani rodzice zagrozili, że pozbawią go funduszy, skończył przed rokiem stomatologię. Nadal jednak bardziej niż do leczenia zębów garnął się do rozrywek. Zawsze znalazł jakiś pretekst.

Wczoraj wybrali się do kina. Po filmie Fredrik nalegał, żeby kolejny raz oblali jej dyplom z ekonomii, który obroniła przed dwoma tygodniami. Zaprosił do siebie grupkę przyjaciół z uniwersytetu. Zrobiła się z tego huczna impreza, podlana obficie alkoholem i rozweselona jointami.

Viktoria nie wypięła dużo, lecz mimo to czuła ćmiący ból głowy. Wyjęła z torebki pigułkę antykoncepcyjną, tabletkę aspiryny, zabrała ciuchy i zamknęła się w łazience.

Wyszorowała zęby, wzięła prysznic. Włożyła dzinsowe dzwony, luźną białą bluzkę, podsuszyła włosy. Fryzura z pocieniowanych długich blond włosów, z gęstą grzywką, swobodnie się ułożyła. Tak oporzędzona wróciła do sypialni.

Służąca Essenów, drobna kobieta około trzydziestki, przeciętnej urody, ubrana w skromną szarą sukienkę, niemal bezszelestnie zbierała porozrzucane na podłodze puszki i butelki.

– Dzień dobry pani. – Dygnęła na powitanie. Miała obcy akcent.

– Dzień dobry – odpowiedziała pokojówka, którą widziała po raz pierwszy, i dodała przepaszajaco: – Trochę nabałaganiliśmy.

– Ja posprzątać.

– Pomogę. – Viktoria schyliła się po jedną z butelek, ale tamta podniosła ją pierwsza.

– To moja obowiązek.

Przez otwarte okno do pokoju wdzierał się warkot kosiarek do trawy, który zbudził Fredrika.

– Cisza! – krzyknął, cisnąwszy poduszką w okno. Kobieta znieruchomiała, widząc jego gwałtowną reakcję. Uniósł głowę, jasną czuprynę miał zmierzwioną. Potarł ręką zarost na twarzy i jeszcze zaspany popatrzył nieprzytomnie dookoła.

– Co tu robisz? – Łypnął na pokojówkę.

– Ja... przepraszać – wydukała przestraszona.

– Ja się nie gniewać – przedrzeźnił ją i polecił obcesowo: – Wyjdź.

Wycofała się bez słowa.

– Byłeś dla niej okropny – stwierdziła szorstko Viktoria, gdy zostali sami. Leżał na wznak, ostro skacowany. Ręce przytykał do twarzy.

– Nie musiała tu włączyć skoro świt, i jeszcze ci kosiarze. Mózg mi się trzęsie od tego hałasu. Zamknij okno albo ich przepędź. Umieeram... – wyjęczał cierpiętniczym tonem. Spojrzał na nią jednym okiem i zapytał: – Kochaliśmy się w nocy?

– Nie jestem desperatką, żeby to robić z nieboszczykiem, spałam na kanapie. Poza tym świt dawno minął. Jest po dwunastej.

Zamknęła drzwi od tarasu, rozpuściła w wodzie tabletkę aspiryny i podała miksturę Fredrikowi. Wypił duszkiem.

– Skąd ona jest? – spytała, odstawivszy pustą szklanę.

– Kto?

– Ta nowa służąca.

– Co mnie to obchodzi? – burknął lekceważaco. – Chyba z Polski. Ledwo gada po niemiecku. Mogliby się nauczyć naszego języka, skoro chcą tu pracować.

– Nie lubię cię takiego, Fredrik.

– Jakiego? – Patrzył na nią dezorientowany.

– Zadufanego buca. Potraktowałeś tę kobietę jak śmiecia, bo jest służącą, i z pogardą, bo pochodzi z Polski. Ja też mam polskie pochodzenie, jakbyś

zapomniał.

– Nie twoja wina. – Ziewnął przeciągle.

– To było bezczelne. Niby opowiadasz się za równością, a zachowujesz się po chamsku, więc albo jesteś hipokrytą, albo zwykłym dupkiem.

– Mam ciężkiego kaca, odpuść mi teraz wychowawcze gadki.

– W porządku, ale potem przeprosisz tę panią – nakazała.

– Dobra, tylko przestań już truć, chcę spać. Powiedz, żeby zrobiła ci śniadanie.

– Śpij, zjem u siebie.

– Kiedy się zobaczymy?

– Kiedy zatęsknię. Na razie mam cię dość. Ciao.

– Ciao.

Naciągnął kołdrę na głowę i zasnął niemal od razu. Powkładała rzeczy do torby, zamówiła taksówkę i wyszła do rozległego holu. W wysokim pomieszczeniu stukot jej ozdobionych kwiatkami klumpów odbijał się echem od marmurowej posadzki. Ta sama pokojówka pucowała złoczone balustrady przy schodach.

– Proszę się nie gniewać na Fredrika, że był tak niemiły – powiedziała Viktoria. – Ma dziś ciężki dzień.

– Ja rozumiem. – Kiwnęła głową. – Życzyć pani sobie sok albo kawa i tost?

– Chętnie wypiję kawę.

– Pani usiąść w salonie, ja zaraz przynieść.

– Wolę wypić w kuchni, jeśli nie będę przeszkadzać.

– Oczywiście.

Przeszły do kuchni, kobieta nastawiła ekspres. Sama nie inicjowała rozmowy, więc Viktoria także milczała, popijając espresso. Służąca stała do niej tyłem i polerowała srebrne sztucce.

– Nazywam się Viktoria Fisher, a pani jak ma na imię? – zapytała, by przerwać krępującą ciszę. Tamta spojrzała przez ramię, założyła za ucho pasemko delikatnych włosów mysiego koloru i odrzekła:

– Anna.

– To tak jak moja mama. Jest pani z Polski? Mam tam dalszą rodzinę.

– Ja nie z Polski. – Zastanowiła się nad czymś, a po chwili spytała nieśmiało: – Przepraszam, pani dobrze znać pan Essen?

– Fredrika?

– Nie. Starszy pan. Günter.

– Trochę znam. Dlaczego pani pyta?

– On rano lekko kuleć. Ja źle wytrzeć schody i pan Essen mogła się potknąć. Ja się martwić, że on mnie teraz zwolnić z pracy.

– To nie przez panią, proszę się nie martwić – uspokoiła ją Viktoria. – Kiedyś miał wypadek i stracił duży palec u stopy. Musiał włożyć buty bez specjalnej wkładki, dlatego utykał.

– Aaaa, już rozumieć... – W głosie kobiety zabrzmiała ulga. – A ja myśleć, że to moja wina. Dziękuję, że mi pani powiedziec.

– Tylko proszę mnie nie zdradzić. Pan Essen jest bardzo wrażliwy na punkcie swojego kalectwa. Moja mama też ma z tym problem. Również trochę utyka po wypadku w przeszłości – dodała z rozpędu.

– Ja umieć milczeć – zapewniła ją tamta. Skrzywiła się, dotknęła policzka i dodała wyjaśniająco: – Boleć mnie trochę zęb.

– Powinna to pani powiedziec panu Essenowi.

– Ja wstydzic się prosić o pomoc. Dopiero tu czwarty dzień.

– Na pewno nie odmówi pomocy. – Viktoria dopiła kawę, wstała z krzesła. – Świetne espresso, dziękuję. Pójdę już, pewnie przyjechała taksówka, do widzenia, pani Anno.

– Do widzenia. – Pokojówka dygnęła.

Dopiero gdy wyszła na dziedziniec, zobaczyła na trawniku kilkoro przyjaciół. Rozebrani od pasa w górę siedzieli w kółeczku i medytowali, przybrawszy pozycję lotosu. Machnęła im ręką, ale skupieni na kontemplacji nie dostrzegli pozdrowienia.

Nieopodał ogrodnik, którego także widziała pierwszy raz, przycinał krzewy bukszpanów. Około pięćdziesiątki, wysoki, miał na sobie robocze spodnie i koszulę w czerwono-czarną kratkę. Dostrzegłszy Viktorię, uchylił lekko kapelusza. Przyglądał jej się nieco dłużej, niż wymagało tego powitanie. Potem przerzucił spojrzenie na nadchodzącego pracodawcę, po czym wrócił do przerwanoego zajęcia.

Białowłosy, postawny Günter Essen miał poprzecinaną zmarszczkami opaloną twarz. W białym kitlu, błękitnej koszuli pod spodem i żółtawym fularze wyglądał dystygowanie. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

– Dzień dobry, Viktorio, ładny dzień, nieprawdaż? – zagadnął ją na powitanie. Uśmiechnął się przy tym, ukazując zadbane zęby, i poprawił

okulary w złożonych oprawkach. Spod rękawa kitla wystawała złota bransoleta kosztownego zegarka i złote spinki przy mankiecie koszuli.

– Bardzo ładny. Dzień dobry, panie Essen.

– Trochę wczoraj dokazywaliście. – Pogroził jej w żartach palcem.

– Rzeczywiście było głośno... – zaczęła się tłumaczyć, ale wpadł jej w słowo, kładąc rękę na ramieniu.

– Przecież nie mówię tego z pretensją. Też byłem młody. Mam tylko nadzieję, że przyjaciele hippisi nie wystraszą nam pacjentów. – Wskazał pięcioosobowy wianuszek na trawie. – Nie wszyscy są tak tolerancyjni jak my.

– Oni są niegroźni. Zaraz sobie pójdą. A właśnie, pani Anna skarżyła się, że boli ją ząb, a krępuje się prosić o pomoc.

– Anna? Któż to taki? – zdumiał się. – Jakaś twoja przyjaciółka?

– Nie, państwa pomoc domowa. – Teraz ona się zdziwiła.

– Aaaa... – Klepnął się ręką w czoło. – Wyleciało mi z głowy, że Birgit przyjęła nową pokojówkę i ogrodnika. Naturalnie, że ją obejrzę. Nie może się biedaczka męczyć. Czemu tak wcześniej wychodzisz?

– Muszę, obiecałam pomóc babci.

– Żeby Fredrik był tak obowiązkowy – westchnął z udawanym ubolewaniem i zaraz dodał usprawiedliwiającym tonem: – To dobry chłopak, tylko jest z pokolenia, gdzie wszystko ma się podane na tacy. Nie to, co ja i Birgit, kiedy byliśmy w waszym wieku.

– Fredrik wspominał, że mieszkali państwo wtedy w Szwecji.

– Przez całą wojnę. Musieliśmy uciekać przed nazistami, jak tysiące uczciwych Niemców. Dobrze, że nie macie takich problemów. Bezpieczne czasy i dobrobyt trochę rozleniwiają, ale ty masz na Fredrika dobry wpływ i oboje z żoną kibicujemy waszemu związkowi.

– Zobaczymy, jak nam się ułoży – odrzekła ostrożnie. – Teraz przede wszystkim muszę dostać stałą pracę.

– I to w tobie cenię: odpowiedzialne podejście do życia. Czytałem niedawno twój artykuł w „Die Zeit”, całkiem udany.

– To tylko drobna relacja z festiwalu studenckiego.

– Nie bądź taka skromna. – Poklepał ją protekcjonalnie po ramieniu. – Nieważne co, ważne gdzie. „Die Zeit” to liczący się, opiniotwórczy tytuł. Nawet niewielka współpraca z nimi to już wyróżnienie.

– Dziękuję, mam nadzieję, że teraz, kiedy skończyłam studia, wezmą mnie na stałe. Zaprosili mnie na poniedziałek do Hamburga.

Skąd jej się to wzięło, że tak lubiła pisać, nie miała pojęcia. Może trochę przez babcię Marię, którą często widziała przy maszynie do pisania albo z ołówkiem nad tekstami do przetłumaczenia. Viktoria już w szkole średniej prowadziła uczniowską gazetkę. Na studiach od razu wkręciła się do uczelnianej redakcji, a po roku została szefową miesięcznika dla studentów. Z czasem zaczęła wysyłać artykuły do poważnych gazet.

Większość nie interesowała prestiżowych ogólnoniemieckich redakcji, ale liberalny „Die Zeit” wydrukował jej wspomnieniowy felieton o budowie muru. Potem wzięli też fotoreportaż *Migawki z Berlina Wschodniego* i kilka innych tekstów. Zarabiała na tym pieniądze i właśnie z „Die Zeit” najbardziej wiązała zawodową przyszłość.

– Trzymam kciuki za pomyślność twoich planów, choć jeśli się spełnią, będziesz rzadziej przebywać w Berlinie. Z drugiej strony sam chętnie bym wyjechał z tego klaustrofobicznego miasta. – Westchnął przyciężko. – Może rzeczywiście wybiorę się gdzieś na parę dni, aby popatrzeć na rozległe przestrzenie, a nie tylko mur. Tymczasem trzeba brać się do roboty. Zawołam Fredrika, żeby pomógł przy pacjentach. W piątki zawsze mamy ich więcej. Zdaje się, że to twoja taksówka. – Wskazał na jadącego od bramy kremowego mercedesa.

– Moja, do widzenia, panie Essen – powiedziała, dodając w duchu, że dziś będzie miał słaby pożytek z pomocnika.

Gdy jechała taksówką w stronę Kreuzbergu, w mieście już korkowały się ulice. Między samochodami przemykała niezliczona ilość skuterów, rowerzystów, co rusz rozlegały się dźwięki klaksonów. Taksówkarz, gadatliwy Turek, chyba postawił sobie za punkt honoru bawienie jej rozmową, gdyż prawie nie zamykały się mu usta. Uśmiechała się uprzejmie, bardziej skupiona na własnych myślach niż na komentarzach politycznych kierowcy. Przez szybę samochodu patrzyła na mijane dzielnice pełne przechodniów, sklepów i pubów.

Berlin Zachodni mógł się wydawać zbyt ciasny na taką masę ludzi, ale tętnił życiem, wielokulturowością i prawie nigdy nie zasypiał. Zmienił się od czasów, gdy była dzieckiem. Ubyło rdzennych mieszkańców, przybyło gastarbeiterów, głównie Turków. Szczególnie upodobali sobie właśnie Kreuzberg, który stał się niemal turecką dzielnicą. Mimo to wciąż miała

sentyment do rodzinnego miasta. Dlatego po latach nieobecności wróciła tu na studia.

Wprowadziła się do babci i czasem pomieszkiwały razem, jeśli ta nie była akurat w rozjazdach, u nich w Lorelei lub u kogoś z rodziny w Polsce czy w Stanach.

Viktoria lubiła ich dawne mieszkanie. Prawie nic się w nim nie zmieniło przez te wszystkie lata. Wciąż stały te same meble, gdyż babcia nie uważała za celowe wydawać pieniędzy na nowe sprzęty, kiedy stare nadawały się do użytku. W zamian wołała przeznaczać spore sumy na paczki, które wysyłała licznej rodzinie za żelazną kurtyną.

Przed laty, aby Viktorii i Peterowi nie mieszało się liczni krewni, babcia zaczęła ozdabiać ścianę w przestronnym korytarzu zdjęciami bliskich. Pod każdym znajdował się starannie wykaligrafowany podpis, kto jest kim, z kogo się rodził i kiedy. Jeśli brakowało fotografii, babcia umieszczała w ramach same opisy. Pośród owej galerii wisiały także fotografie, które zrobiła Viktoria, gdy dostała aparat od dziadka. Wiedziała, że tak naprawdę Siergiej nim nie był, ale kochała go i żałowała, że prędko umarł.

Berlin fascynował Viktorię także z innego powodu. Nigdzie indziej nie był tak widoczny podział świata. Przed ich kamienicą mur wyrastał tuż przy ulicy. Z okien drugiego piętra, za szerokim pasem ziemi, mogła dostrzec dachy wschodnioberlińskich domów. Ów zupełnie inny świat po drugiej stronie muru kojarzył się Viki z beztroskim dzieciństwem.

Ten trochę dalszy, którego nie dało się zaobserwować z okien, także stał się jej bliski.

Został wyczarowany opowieściami babci o pięknym pałacu w Ostojanach, rączych koniach, złotych polach pszenicy obsypanych czerwienią maków, błękitem chabrów, powietrzu pachnącym słodką wonią bzów, a przede wszystkim historii ludzi, którzy tam żyli.

I choć Viktoria nigdy nie była na Kresach, a z rzadka w Polsce, czuła w sobie część polskiej duszy. Polskim władała równie biegle jak niemieckim.

Zapłaciła za kurs i wreszcie pożegnała gadułę. W ich kamienicy też mieszkało kilka tureckich rodzin z dziećmi. Przed wejściem stara, zrędliva sąsiadka z parteru zbierała rozrzucone papierki po cukierkach.

– Niewychowane bachory, żeby tak śmiecić – burczała pod nosem.



– Dzień dobry, pani Kluge – przywitała się Viktoria, nawet nie przystając, żeby tamta nie chciała jej zagadywać.

– Jaki tam dobry, kwiatki też podeptały tureckie dzikusy. – Pokazała palcem rabatkę przed wejściem.

– To tylko dzieci – rzuciła przez ramię dziewczyna i pobiegła do wejścia, słysząc za sobą kolejną pretensję:

– Trzaskanie drzwiami, goście do nocy, rzępolenie na pianinie, chwili spokoju człowiek nie ma we własnym domu na stare lata... – utyskiwała staruszka, robiąc wyraźną aluzję do tego, co czasem działo się u nich w mieszkaniu.

Babcia, mimo przekroczonej sześćdziesiątki, nie zamierzała zwalniać tempa. Prócz tłumaczeń, które nadal wykonywała, co jakiś czas organizowała w domu przyjęcia. Zapraszała na nie znajomych z miejscowej Polonii, gości z Polski, którzy bawili przejazdem w Berlinie albo tutaj uciekli przed komunistycznym reżimem. Lepiły wtedy we dwie górę pierogów i smażyły kotlety schabowe dla biesiadników.

Viktoria lubiła atmosferę, jaka panowała podczas tych spotkań. Gwar, zapach parzonej kawy, dymu z papierosów i ciągnące się do późnej nocy dyskusje o katastrofie peerelowskiej gospodarki, strajkach. Czasem babcia dawała się namówić gościom na mały recital i siadała do pianina. Chętnie grywała Chopina, ale nigdy wiosennego walca, który Viktoria najbardziej kojarzyła z dzieciństwa.

Viktoria bezszelestnie wślizgnęła się do domu. W korytarzu jak zwykle stało kilka kartonów wypełnionych artykułami spożywczymi, chemią oraz ciuchami. Jerzy, niespełna trzydziestoletni rosły brunet w czarnej koszulce i wypłowiałych dżinsach, przymierzał do ściany kolejną ramkę ze zdjęciem.

– Niżej, żeby było dobrze widać – instruowała go babcia.

– Jak powieszę niżej, to właśnie wtedy nie będzie dobrze widać – odrzekł najmłodszy z braci Ostojańskich. Mieszkał u Marii od kilku miesięcy.

Za udział w strajkach w Ursusie w siedemdziesiątym szóstym trafił do więzienia. Gdy wyszedł na wolność, władza ludowa wystawiła mu wilczy bilet. Nigdzie nie mógł znaleźć pracy, więc zdecydował się na ucieczkę z kraju. Latem zeszłego roku szwedzcy marynarze przemycili go do Niemiec.

W oczekiwaniu na przeprowadzenie procedury azyłowej musiał przebywać w ośrodku dla uchodźców, co wykorzystał na doszlifowanie niemieckiego. Z końcem wiosny uzyskał status aussiedlera, zatrudnił się w warsztacie samochodowym i namówiony przez Marię wprowadził się do niej na Kreuzberg.

– Jak się jest tak wysokim, to wszystko wydaje się za niskie. – Maria poklepała bratanka po plecach. Wciąż było widać jej posagową urodę. A w rozkloszowanej dołem kwiecistej sukience i z upiętymi nisko na karku włosami nie wyglądała na swój wiek. – Tu, gdzie trzymasz, będzie dobrze.

– Też tak myślę – odezwała się Viktoria, zamknąwszy za sobą drzwi.

Odwrócili się oboje. Babcia miała w oczach naganę. Jerzy trzymał w zębach gwóźdź i też zrobił krzywą minę.

– Już jesteś w domu, Jureczku? – zażartowała Viktoria. – Tak wcześniej z pracy?

– A ty dopiero jesteś w domu? – odbił piłeczkę. – Seans przedłużyli?

– Viki, wiem, że jesteś dorosła, i staram się nie wtrącać do twojego życia – włączyła się Maria. – Są swobodniejsze czasy, nie jestem zacofana, próbuję zrozumieć waszą hippisowską potrzebę niezależności, ale mogłaś nas chociaż uprzedzić, że nie wrócisz na noc, żebyśmy się nie martwili.

Zrobiło jej się wstyd, że o tym nie pomyślała.

– Masz rację, powinnam uprzedzić. Strasznie mi głupio i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, przepraszam. – Cmoknęła babkę w policzek. – Ciebie, Jureczku, całować nie będę.

– I całe szczęście. – Znów się wykrzywił.

Przybił gwóźdź do ściany i zawiesił na nim najnowsze zdjęcie w rodzinnej galerii.

Zostało zrobione niedawno, w początku czerwca. Kolorowa fotografia przedstawiała kilkanaście odświętnie ubranych postaci. Ciotki w pastelowych garsonkach, wujowie w ciemnych garniturach, dzieci w galowych ubrankach. Między nimi babcia w kremowym kostiumiku. Przejęci i uroczyści stali na tle mnóstwa ludzi na placu Zwycięstwa w Warszawie podczas pielgrzymki papieża.

– Ostatni raz widziałam takie tłumy w Warszawie na pogrzebie Piłsudskiego w trzydziestym piątym – powiedziała Maria wpatrzona w fotografię. – Mój Boże, jak to było dawno...

Skojarzenie ożywiło odległe wspomnienia. Towarzyszyła im nostalgia, gdy z jej życia wykruszali się kolejni ludzie, którzy odcisnęli w nim trwałe ślady. Parę lat temu zginęła w wypadku przyjaciółka z młodości, Ester. Niedługo po niej Kazik odszedł na raka trzustki.

– W trzydziestym piątym? Niemożliwe, nie jesteś taka stara – rzuciła swobodnie Viktoria. – Posmutniałaś.

– Wspomnienia – odrzekła, otrząsnąwszy się z zamyślenia, i dodała raźniej: – Czuję, że z tej pielgrzymki narodzi się coś wielkiego. W ludzi wstąpiła taka nadzieja, entuzjazm. Nawet Józek odpuścił Maksowi i mnie, że jesteśmy czerwone sprzedawczyki, a wcześniej dokuczał nam przy każdej okazji.

– Już nie dokucza, bo ceni paczki, które przysyłasz, i boi się, żebyś nie przestała tego robić – wtrącił Jerzy.

– Nie bądź złośliwy. Przyznaję, twój ojciec ma trudny charakter...

– Łagodnie powiedziane – wpadł Marii w słowo. – Ojciec uważa się za pierwszego po Bogu w naszej rodzinie. Nic mu się nie podoba, co nie jest po jego myśli. Na mnie wiesza psy, że uciekłem. Wcześniej narzekał na Ksawerego, że nie wrócił ze Szwecji. I dobrze, że nie wrócił. Po niespełna roku dostał w Sztokholmie mieszkanie, ożenił się ze Szwedką, prowadzi z teściem firmę budowlaną i może sobie gwizdać na Polskę Ludową. Chyba tylko Jeremi zdołał zadowolić ojca, bo wciąż spawa kadłuby i walczy z komuną. Tylko co on ma z tego zatyranego życia? Zakładowe M-2, którego doczekał się po dwunastu latach harówki w Stoczni Gdańskiej? A prócz tego czego się dorobił? Trójki dzieciaków, odcisków na rękach i esbecji na karku. Ale się nie ugiął, więc dla ojca jest bohaterem. Nie to co ja z Ksawerym, wyrodni synowie, którzy wybrali lepsze życie, jakby to była zbrodnia, a nie prawo każdego człowieka – ironizował.

Chyba pierwszy raz, odkąd tu mieszkał, wylało się z niego tyle tłumionego żalu.

– Wasz ojciec przeżył dużo rozczarowań – łagodnie tłumaczyła Maria. – Przez to stał się taki zgorzkniały. Śmierć Kazika też go przygnębiła, ale to człowiek ze spizu i w najgorszej sytuacji zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Dlatego cieszę się, że znów zaczęliśmy się dogadywać, bo im dłużej się milczy, tym trudniej się potem odezwać, a my milczeliśmy kilka lat. Szkoda, że was tam nie było – westchnęła, spoglądając na fotografię z pielgrzymki.

– Przynajmniej nie musiałem słuchać, że jestem tchórzem i zdrajcą, bo zwiąłem na Zachód, zamiast nadstawić grzbiet pod zomowskie pałki, jak przystało na prawdziwych Ostojańskich – fuknął Jerzy i wymaszerował z pokoju.

– Pozuje na cynika, ale wiem, jak mu ciężko, że jest tu, a nie tam – powiedziała Maria.

Jerzy źle znosił emigrację. Właściwie nigdzie nie bywał, z nikim się nie związał, a kiedy Viktoria próbowała go gdzieś wyciągnąć, zazwyczaj odmawiał. Gryzł się, że po ucieczce na Zachód władza ludowa pozbawiła go polskiego obywatelstwa i przez najbliższych kilka lat nie przyjedzie do domu. Co miesiąc wysyłał matce w paczkach część zarobionych pieniędzy.

– Wiesz, że nie mogliśmy być z tobą w Warszawie... – Viktoria przytuliła głowę do ramienia babki. – Peter zdawał ostatni egzamin maturalny, ja zakuwałam do sesji i obrony, a mama ma alergię na wszystko, co polskie.

– Wiem, kochanie. – Maria pogładziła ją po głowie. – Przecież nie mam pretensji. A jeśli chodzi o waszą mamę, wciąż żyję nadzieją, że ta alergia kiedyś przejdzie. Poza tym nie jest tak źle, przecież przyjeżdżają do was na winobranie pracownicy z Polski.

– Bo ojciec ich ściąga. Mówi, że lepiej pracują niż Włosi czy Grecy, więc mama nie ma wyjścia, musi się z tym pogodzić. Skąd się bierze ta jej niechęć? Przecież tamten wypadek nie mógł aż tak na nią wpłynąć.

– Za długo pielęgnowane urazy rozrastają się w twardego pancera, przez który później ciężko się przebić i człowiek staje się zakładnikiem własnych uprzedzeń, a zwycięstwa nad samym sobą są najtrudniejsze ze wszystkich. Jednak twoja mama to silna kobieta, dlatego wierzę, że w końcu uda jej się przełamać tę niechęć. – Przeniosła spojrzenie na zdjęcie Siergieja.

– Szkoda, że dziadka już nie ma – powiedziała Viktoria. – Pamiętam, jak pięknie grał.

Maria nie widziała Siergieja od osiemnastu lat. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje ani gdzie jest. Nigdy nie nawiązał z nią kontaktu. Ani tu, ani w Stanach, dokąd latała co parę lat, żeby odwiedzić bliskich. I wydawało jej się, że minęła tylko chwila od dnia, gdy widziała męża po raz ostatni. Przez te lata żal zdążył się wyciszyć, tęsknota osłabła, pozostał sentyment i pewność, że dobrze wtedy wybrała. Żałowała tylko, że nikomu nie mogła powiedzieć, kim naprawdę był Siergiej Iwanow.

Do pokoju wrócił Jerzy, wycierając ręcznikiem twarz.

– To co, jedziemy po resztę zakupów? – zapytał już bez wcześniejszego wzburzenia, wskazawszy kartony. – Kierowca powinien odebrać je przed wieczorem.

– Jaki kierowca? – zaciekała się Viktoria.

– Klient Jerzego jeździ w Czerwonym Krzyżu, w nocy wiozą transport do Polski. Obiecał zabrać też nasze paczki. Chcemy jeszcze dokupić parę rzeczy, skoro nadarza się taka okazja – wyjaśniła Maria. – A ty, Viki, spakuj ubrania, które odłożyłam w pokoju. I jak możesz, usmaż mielone, pomidorową już zrobiłam.

– Nie ma sprawy, tylko najpierw zjem, bo trochę mnie zasysa.

– Wymieniłem ci wczoraj pasek klinowy w chrabąszczu, żebyś miała sprawne auto na drogę – dorzucił Jerzy.

– Dzięki, Jureczku, miałam cię o to poprosić.

– A właśnie – podchwyciła Maria. – Naprawdę chcesz prosto z Hamburga jechać sama do domu? To tak daleko. Może wróć tutaj? W poniedziałek rano przyjeżdża Krysia na handel do Berlina Wschodniego, obiecałam jej pomóc. W środę Jerzy też powinien mieć już wolne, więc moglibyśmy pojechać razem do Lorelei. Ciebie parę dni nie zbawi, a ja będę spokojniejsza.

– Przecież jeździłam sama znacznie dalej. Przenocuję w Hamburgu i od razu stamtąd pojedę do domu, nie chcę niepotrzebnie sterczeć na enerdowskiej granicy. Najważniejsze, żeby mnie przyjęli do pracy. Jak myślisz, przyjmą?

– Skoro zaprosili cię na rozmowę, na pewno chcą ci coś zaproponować. – Maria otoczyła wnuczkę ramieniem. – Tylko obiecuj, że będziesz uważać na drodze.

– Obiecuję. – Uniosła w górę dwa palce.

– Ciociu, ona sama źle się prowadzi, ale jak na dziewczynę auto prowadzi nie najgorzej, prawie z niej Jaroszewicz w spódnicy – podsumował Jerzy.

– Ja się źle prowadzę... – W żartach trzepnęła kuzyna w ramię. Złapał ją i zaczął laskotać. Śmiała się, próbując wyswobodzić się z mocnego uścisku.

– Pamiętam, Jerzy, jak kiedyś dokazywałeś tak z Lilką w Nowosiólkach – wspomniała Maria, patrząc na droczącą się parę. – Mieliście po dwa latka, kłóciliście się o każdego kartofla, ale nie mogliście się bez siebie obyć. Ja też kiedyś tak się droczyłam z Józiem, gdy byliśmy dziećmi.

Spochmurniał, po jego twarzy przemknął cień złości.

– Powiedziałaś coś nie tak? – zdziwiła się Maria, widząc tę nagłą przemianę.

– Skąd – zaprzeczył zbyt gwałtownie. – Po prostu za dużo dziś tych wspominków. Jedźmy już po te zakupy.

Gdy wyszli, Viktoria zjadła pomidorówkę, usmażyła mielone i słuchając płyty The Beatles, zabrała się do przeglądania ubrań, które babcia zносиła od znajomych.

Niedługo później zapukała Karin, świeżo upieczona lekarka, która mieszkała piętro niżej. Średniego wzrostu szatynka o lekko południowej urodzie i kobiecych kształtach z początkiem roku przeprowadziła się do Berlina z Lubeki. Była sympatyczna, trochę samotna, więc prędko się ze sobą zaprzyjaźniły.

– Cześć, Viki, mogę na chwilę? – zapytała. Przed sobą trzymała owiniętą pergaminem blaszkę.

– Jasne, wchodź. – Wymieniły całusy na powitanie. – Co tak pachnie? Drożdżówka?

– Z kruszonką, jeszcze ciepła – powiedziała przyjaciółka, kładąc ciasto na komódce. – Jerzy wczoraj naprawiał mi w mieszkaniu elektrykę. Nie wziął pieniędzy, więc choć tak mu się odwdzięczę. Przepraszam za mój wygląd – wskazała na szare dresy i długie włosy niedbale związane w kucyk – ale jestem po dyżurze. Od razu, jak wstałam, zabrałam się do pieczenia, a widziałam, że Jerzy z twoją babcią wyszli, więc nie chciało mi się przebierać.

– I bardzo dobrze, ucieszy się z drożdżówki. Jest okropnym łasuchem.

– Mam nadzieję, że wyszła bez zakalca. Po co tego tyle? – zapytała, wskazując na karton z kilkoma torebkami cukru.

– W Polsce jest na kartki. Innych rzeczy też nie można dostać, więc Jurek i babcia posyłają rodzinie, ile się da. Właśnie pojechali dokupić coś jeszcze.

– Te ubrania też do Polski? – Karin wyjęła z pudła dzinsy.

– Też. W Polsce coraz trudniej coś porządnego kupić, a to są dobre rzeczy i w dobrym gatunku, więc niech się komuś przydadzą.

– Następnym razem poszukam czegoś u siebie. – Karin zaczęła się przyglądać fotografiom na ścianie. Dłużej zatrzymała wzrok na trzyletnim chłopczyku. – To Jerzy?

Na pożółkłym ze starości zdjęciu przed niewielkim drewnianym domem siedziało parę dorosłych osób i kilkoro dzieci.

– Tak. W Nowosiólkach, gdzie się urodził, początek lat pięćdziesiątych – mówiła, pokazując kolejne postacie. – To jego starsi bracia, Jeremi i Ksawery, to ich mama Krystyna, moja babcia Marysia, ciocia Lusja i jej córeczka Lilka. Są z Jurkiem prawie w jednym wieku, dorastali razem. Ci starszycy to Janinka i Piotr, przyjaciele rodziny, już nie żyją. A to moja mama. – Pokazała smukłą długowłosą dziewczynę w letniej sukience.

– Jesteście do siebie podobne. – Karin przeniosła spojrzenie na sąsiednie zdjęcie.

Był na nim dorosły Jerzy. W skórzanej kurtce, z plecakiem przerzuconym przez ramię, stał przed budynkiem politechniki w Warszawie.

– To sprzed kilku lat – wyjaśniła Viktoria. – Wtedy relegowali go z uczelni za sprawy polityczne. Prawie przed końcem studiów. Załapał się do pracy w fabryce, ale wyleciał za strajk. Zamknęli go na parę miesięcy, a potem przedostał się tutaj.

– A więc jest bohaterem. Kto by pomyślał, że z takiego malucha wyrośnie taki piękny człowiek.

– Piękny? – powtórzyła zdziwiona Viki. – Jest przystojny, ale żeby aż piękny?

– Nie chodzi o to, jak wygląda, tylko jaki jest. Nie znam go długo, ale wystarczy spojrzeć na te kartony. Większość ludzi woli brać niż dawać. Dlatego uważam go za pięknego człowieka, bez względu na powierzchowność. Piękni ludzie jaśnieją od środka. Ładni zazwyczaj tylko błyszczą na zewnątrz, jak ten twój Fredrik. Nie szkoda ci czasu na takiego bubka? Żebyś go kochała, mogłabym zrozumieć. Sama kiedyś zakochałam się w niewłaściwym człowieku. Zmarnowałam kilka lat, zamieniłam Lubekę na Berlin, żeby odciąć się od tego, co mnie bolało, ale ostatecznie pojęłam, że nie warto brnąć w związek bez przyszłości. Tobie też to radzę.

– Fredrik w gruncie rzeczy nie jest zły, tylko rozpieszczony, miewa pozytywne odruchy, ale raczej nie widzę dla nas przyszłości.

– Więc go sobie daruj. Zamiast testować swoją wytrzymałość, lepiej zaczekać na taką miłość, gdzie „my” będzie znaczyć więcej niż „ja” i „ty”. Jerzy wygląda na mężczyznę, który potrafiłby tak pokochać.

Sposób, w jaki patrzyła na fotografię Jerzego i jak się o nim wyrażała, po raz pierwszy tak otwarcie, sprawił, że Viktoria uchyliła rąbka tajemnicy.

– Podobno kiedyś kogoś kochał, ale ona wyszła za innego. Myślę, że głównie dlatego tutaj przyjechał. Tylko się nie wygadaj, że ci

powiedziałam. Jurek jest bardzo skryty. Będzie wściekły, kiedy się dowie, że znam jego tajemnicę.

– Czyli facet po przejściach, podobnie jak ja.

– Pasowalibyście do siebie.

– Chory miałby leczyć chorego? To zazwyczaj źle się kończy. Nie przykleja się zużytego plastra na otwartą ranę. – Karin na moment zacisnęła oczy.

– Chodź do kuchni. – Viki otoczyła ją ramieniem. – Napijemy się kawy, chyba że zjesz pomidorowej.

– Wystarczy kawa i spróbujemy drożdżówki.

W sporej kuchni staroświeckie meble niedawno zastąpiła ergonomiczna zabudowa z jasnego drewna, z długim roboczym blatem pod oknem. Jedyna zmiana wystroju, jaką zaakceptowała babcia. Viktoria zaparzyła kawę, ukroiła po kawałku placka i przysiadła na blacie. Odgryzła kawałek drożdżówki. Ciasto rozpływało się w ustach.

– Świetna – pochwaliła, ale przyjaciółka zdawała się tego nie słyszeć.

Siedziała na stołku, obejmowała oburącz kubek i patrzyła niewidzącym wzrokiem w okno. Wychodziło wprost na mur upstrzony kolorowymi malunkami.

– Coś się stało, Karin?

– W sumie nic, ale spotkała mnie wczoraj dziwna sytuacja – powiedziała zamyślona. – Oddawałam rano podręczniki z psychiatrii w bibliotece na uczelni. Zaczepił mnie tam jakiś facet. W średnim wieku, grzeczny, kulturalny, porządnie ubrany. Zapytał, czy mogę poświęcić mu chwilę. Wywarł dobre wrażenie, więc usiedliśmy na patio. Przedstawił się jako Jürgen Braun, dziennikarz. Ciekawiło go, czy wiem, kim jest Elisabeth Hecker. Pisał o niej artykuł.

– A kim ona jest? – zagadnęła Viki, upiwszy łyk czarnej neski.

– Obecnie autorytetem niemieckiej psychiatrii dziecięcej, a podczas wojny, jako lekarz, masowo uśmiercała upośledzone dzieciaki.

– Co ty mówisz? – Viktoria szeroko otworzyła oczy.

– To, czego dowiedziałam się wczoraj. W czasie wojny Hecker kierowała kliniką psychiatrii dziecięcej w dzisiejszej Polsce. Pacjentom podawano tam luminal w takiej dawce, że był zabójczym środkiem nasennym. Ona i jej lekarze wyprawili w ten sposób na tamten świat ponad dwie setki



dzieciaków. I wcale nie głęboko upośledzonych, niektóre tylko miały padaczkę.

– Koszmar.

– Już po wojnie prokuratura w Dortmundzie prowadziła w tej sprawie dochodzenie. Pielęgniarki zeznawały przeciwko Hecker, ale niczego babie nie udowodniono. Podobno ma mocne świadectwo niewinności, taki dokument zaświadczający, że nie uczestniczyła w zbrodniach hitlerowskich.

– Wiem, co to jest, ale skoro niczego jej nie udowodniono, może to bzdury wysane z palca?

– Wierzę temu dziennikarzowi. – Karin zaprzeczyła ruchem głowy. – Według mnie są dwa wyjścia. Albo prokuraturze nie zależało, żeby dojść prawdy, bo klimat w naszym kraju sprzyja nazistom, albo baba jest kuta na cztery nogi. Słyszałaś o planie Hitlera, dotyczącym eliminacji chorych psychicznie?

– Słyszałam i potępiam, jak każdy normalny człowiek.

– Dotyczyło to także dzieci. Mechanizm zgody na zabójstwo działał tak – zaczęła wyliczać na palcach: – lekarz zgłaszał pacjenta do uśmiercenia, konsultanci wyrażali zgodę. Komitet Rzeszy do spraw Naukowej Rejestracji Poważnych Chorób Dziedzicznych i Wrodzonych wysyłał lekarzom zezwolenie uśmiercenia. Jeden z psychiatrów od Hecker szkolił się nawet w sposobie podawania luminalu. Formalnie, dla mydlenia oczu rodzicom, luminal miał chronić ich dzieci przed samookaleczaniem. Podawany regularnie w odpowiednich dawkach powodował śmierć na raty. Straszną śmierć.

– Potworne. – Viktoria się wzdrygnęła.

– Od wczoraj zadaję sobie pytanie, ilu z moich profesorów robiło podobne rzeczy. Czy lekarze, których spotykam w szpitalu, mają naprawdę czyste ręce, czy tylko wyszorowane do czysta szczoteczkami? Ilu z tych starych obżartuchów mijanych na ulicach ma zbrodniczą przeszłość? W naszym kraju żyją bezkarnie dziesiątki tysięcy byłych nazistów. Są sędziami, urzędnikami, politykami. Nawet twój „Die Zeit” o tym pisał. Czy zastanawiałaś się, co naprawdę robili podczas wojny nasi ojcowie i nasze matki? – rzucała w przestrzeń retoryczne pytania. Z każdym widać było narastające w niej napięcie. – Mojego ojca nie znam. Dwadzieścia sześć lat temu zbałamucił moją matkę i poszedł w siną dal. W akcie urodzenia mam wpisane: „ojciec nieznany”. Matka była wtedy trochę po trzydziestce.

Nigdy nie wyszła za mąż, nie miała innych dzieci i prędko znudziło ją macierzyństwo. Oddała mnie swojej siostrze, gdy miałam cztery lata, a sama popełniła samobójstwo. Nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek przytuliła, ucałowała. Ciotka też nie była do tego skłonna. Chyba coś we mnie zamarzło od tego chłodu. Może dlatego nie wyszło nam z Michaeliem, że byłam dla niego za zimna? Niekochane dzieci nie potrafią kochać, kiedy dorosną, choć bardzo potrzebują miłości.

– Ty za zimna? Jak możesz tak o sobie myśleć? – Viktoria gładziła po plecach przygnębioną przyjaciółkę. – To Michael był dupkiem, że nie widział, ile w tobie ciepła, dobra, współczucia, pomimo tego, co przeszedł. To ty jesteś pięknym człowiekiem. I w środku, i na zewnątrz.

– Miło, że tak uważasz. – Karin uśmiechnęła się smutno. – Nie skarzę się. Naprawdę niczego mi u ciotki nie brakowało, dzięki niej mam mieszkanie i pieniądze, żeby się uczyć. Zabrakło tylko uczucia. Może nie potrafiła go okazać? Jej pokolenie zostało wytresowane, żeby kochać przede wszystkim Rzeszę i Hitlera. Próbowałam rozmawiać z ciotką o matce, kiedy jeszcze kontaktowała, bo ma alzheimera. Twierdziła, że przez całą wojnę moja matka pracowała w fabryce Siemens. Od wczoraj jednak nie daje mi spokoju pytanie, czy nie robiła czegoś zupełnie innego.

– Na przykład czego?

Tamta wbiła w Viktorię przenikliwe spojrzenie. W piwnych, niepomalowanych oczach Karin widniał lęk.

– Czegoś podobnego jak Hecker. Jeśli moja matka też była... zbrodniarką?

– Galopuje ci wyobraźnia – stwierdziła zdecydowanie Viki. – I za bardzo rozstroiło cię spotkanie z tym dziennikarzem. Poza tym bez względu na to, co robiła twoja matka, ty nie ponosisz za to odpowiedzialności. Mój prawdziwy dziadek też był nazistą. Od babci wiem, bo moja matka też nie lubi rozmawiać o przeszłości, że nie miał czystych rąk. Nie odpowiadam za jego czyny, ale świadomość, że miałam dziadka zbrodniarza, jest straszna. Staram się o tym nie myśleć. Wypieram to z siebie.

– Przemilczane kłamstwo nie staje się prawdą. W szkole uczyli nas, że winę za wojenne zbrodnie ponoszą naziści i Trzecia Rzesza, ale hitlerowcy nie wzięli się z kosmosu. Byli Niemcami tak samo jak my. Dlatego myślę, że przynajmniej w aspekcie moralnym winę ponoszą wszyscy Niemcy, my też. Po rozmowie z tym dziennikarzem zaczęłam czuć się winna. I wątpić.

– Wątpić? W co?

– W sens tego, że zostałam lekarzem.

– Nie możesz myśleć w ten sposób. – Ujęła koleżankę za rękę. – To, co się wtedy działo, było potworne, nieludzkie, ale niezależnie od Hecker i jej podobnych ty możesz być świetną lekarką. Niech to będzie twoja odpowiedź na takich jak oni. I nie powinnaś czuć się winna. Ja się nie czuję. Nie było nas wtedy na świecie – tłumaczyła, lecz przyjaciółka nie wyglądała na przekonaną.

Chwilę milczały, każda pogrążona we własnych myślach, a potem Karin dodała:

– Ten dziennikarz pytał też o ciebie.

– O mnie? – spytała zaskoczona. – Dlaczego?

– Powiedział, że czytał kilka twoich tekstów w „Wiadomościach Uniwersyteckich” i go zainteresowały, więc był ciekaw, czy cię znam, skoro studiujemy na tej samej uczelni, czy jesteś rzetelna, obiektywna. Naturalnie potwierdziłam.

– Nasza gazetka jest dostępna w czytelni, więc może rzeczywiście coś mu się spodobało. Nie pytałaś, z jakiej jest redakcji?

– Powiedział, że pisze do kilku. Może do „Die Zeit” też. – Wskazała najnowszy numer tygodnika na kuchennej szafce.

– Nie słyszałam o nim. – Viktoria rozłożyła gazetę i zaczęła wertować strony w poszukiwaniu nazwiska „Braun”, lecz bez skutku. – W poniedziałek jadę do Hamburga. Zaprosili mnie na spotkanie, mam nadzieję, że w sprawie pracy. To Marion von Dönhoff, prawdziwa hrabina i najważniejszy człowiek w „Die Zeit”, wydawca. Nie znam jej osobiście, ale wiem, że pochodzi z Prus. Podobno była zamieszana w zamach na Hitlera – mówiła, wskazując zdjęcie dystygowanej damy.

– Trochę podobna do twojej babci – stwierdziła raźniejszym tonem Karin.

– Rzeczywiście, za bardzo rozstroiła mnie rozmowa z tym facetem. Nie zrobiłam nic złego, żeby wątpić w to, co wybrałam.

– I taką cię lubię. – Viktoria dotknęła czołem skroni przyjaciółki.

– Dzięki, że mogłam się wygadać, chyba potrzebowałam to z siebie wyrzucić, już mi lepiej. – Karin uśmiechnęła się lekko. – Będę trzymać kciuki, żebyś dostała tę pracę. Pojechałabym z tobą, ale mam w poniedziałek dyżur w szpitalu. Zadzwoń do mnie koniecznie, jak ci poszło.

## Rozdział X

# Ryzykowna decyzja

Wponiedziałek o dwunastej Viktoria siedziała przed sekretariatem naczelnego „Die Zeit” w oczekiwaniu na spotkanie. Ubrała się na półoficjalnie, nie nazbyt sztywno i nie za swobodnie. Do dzinsów włożyła szary żakiet, białą koszulę, włosy związała w kitkę.

Z Berlina wyjechała o świcie, żeby mieć zapas czasu na żmudną odprawę na enerdowskiej granicy, upokarzającą kontrolę celną oraz przejazd tranzytową drogą przez Niemcy Wschodnie. Zajął to kilka godzin, ale nie czuła zmęczenia, tylko ciekawość, co za chwilę usłyszy.

Korytarzami ogromnego biurowca, gdzie mieściła się siedziba „Die Zeit”, niósł się stukot maszyn do pisania, sygnały teleksów, szmery rozmów, dźwięki brzęczących telefonów. Jak urzeczona wsłuchiwała się w tę kanonadę dźwięków. Z końca niemożliwie długiego holu zbliżała się grupka osób, żywo o czymś rozmawiając. Między nimi dostrzegła naczelnego, Ludwika Straubego, którego znała z poprzedniej bytności w Hamburgu. Tamci rozeszli się po pokojach. Naczelny, szpakowaty postawny mężczyzna w średnim wieku, w tweedowej marynarce i czarnym golfie, podszedł do niej energicznym krokiem.

– Jesteś już, Viktorio – ni stwierdził, ni spytał, poprawiwszy na nosie okulary w grubych prostokątnych oprawkach. – Długo czekasz?

– Dopiero przyszłam. – Wstała, żeby się przywitać. Podali sobie ręce. Uścisk dłoni miał krzepki.

– Zapraszam.

Przepuścił ją w drzwiach gabinetu. W środku panował twórczy nieład. Na masywnym biurku leżała masa teczek, maszynopisów, papierzysek. Półki w przeszklonej biblioteczce ugięły się pod ciężarem książek, słowników, encyklopedii. Jedyne w miarę wolne przestrzenie znajdowały się w kąciku przeznaczonym dla gości, gdzie stało kilka foteli. Tam też usiedli.

Sekretarka postawiła na stoliku trzy filiżanki z czarną kawą, więc chyba ktoś jeszcze przyjdzie, domyśliła się Viktoria. Gdy pracownica wyszła, naczelny sięgnął po papierową teczkę, ale nie zaglądał do środka. Przesunął okulary z nosa na czoło i zrobiwszy głęboki wdech, obwieścił:

– Viktorio, dostrzegamy twój potencjał. A w związku z tym, że skończyłaś studia i z tego, co wiem, nie masz innych zobowiązań, chcemy ci coś zaproponować. Mamy szatański pomysł – dodał, sprawiając przy tym wrażenie zadowolonego z siebie. – Nie ukrywam, że mojego autorstwa, więc liczę, że od razu podejmiesz wyzwanie.

– To znaczy? – zapytała niepewna, do czego on zmierza.

Odpowiedź jednak nie padła, gdyż do gabinetu weszła wysoka szczupła dama, którą Viktoria poznała ze zdjęcia, Marion von Dönhoff. W skromnej popielatej sukience, bez makijażu i biżuterii, prezentowała się z klasą. Siwawe falujące włosy miała zaczesane do góry.

Naczelny wstał, Viktoria też się podniosła.

– To jest właśnie panna Fisher, o której już mówiłem, hrabino – dokonał prezentacji.

– Miło mi panią poznać. – Starsza dama uśmiechnęła się do niej delikatnie, wyciągając przy tym dłoń.

Przejęta spotkaniem Viki uściśniła ją chyba zbyt mocno. Dygnęła przy tym odruchowo.

– Mnie również. Lubię pani felietony, zwłaszcza te dotyczące Prus – wyznała szczerze, nie zważając, że może to wyglądać na lizusostwo.

– Tak? – Zdziwiona hrabina uniosła nieznacznie brwi. – Młode pokolenie raczej szaleje na rockowych koncertach, niż czyta sentymentalne wspomnienia starszej pani.

– Mnie one interesują. Moja babcia wychowała się w Prusach, rodzice także.

– Ach, Prusy... – rzuciła w przestrzeń pani von Dönhoff, po czym wskazała im fotele.

Ruchy miała oszczędne, gesty subtelne, na fotel bardziej wpłynęła niż usiadła. Viktoria przycupnęła sztywno na brzeżku swojego, tak ją onieśmielało spotkanie z Marion.

– Przedstawiłeś już, Ludwiku, naszą propozycję?

– Czekałem z tym na ciebie.

– Dobrze. – Hrabina kiwnęła głową i zwróciła się do Viktorii: – Skończyła pani ekonomię, jeśli dobrze słyszałam.

– Tak. Na Wolnym Uniwersytecie Berlina.

– Ja również skończyłam ekonomię. – Na jej twarzy znów pojawił się wyraz aprobaty. – Zna pani język polski?

– Biegle. W mowie i w piśmie. Mówię też po angielsku, francusku i trochę po rosyjsku.

– Doskonale. A na ile orientuje się pani w aktualnej sytuacji w Polsce? – drążyła hrabina.

– Chyba nieźle. – Viktoria uśmiechnęła się nieznacznie. – Moja babcia często zaprasza do domu gości, którzy przyjechali z Polski, głównie działacze opozycji albo artystów czy pisarzy. Rozmowy o tym, co się dzieje w kraju, trwają wtedy do późnej nocy – wyjaśniła.

– Kto jest tam teraz prezydentem? – spytał z głupia frant Straube.

– W Polsce nie ma prezydenta – odrzekła zdezorientowana Viktoria. – Tylko pierwszy sekretarz PZPR, Edward Gierek.

– Ludwiku, te twoje podchody – upomniała go subtelnie Marion. – Nie egzaminujemy pani, tylko chcemy jej złożyć propozycję. Otóż, Viktorio... Mogę tak do pani mówić?

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

– Otóż – powtórzyła hrabina von Dönhoff – przejrzałam twoje artykuły, zapowiadasz się na dobrego dziennikarza, więc chcemy cię rzucić na głęboką wodę. Jeśli się uczyć zawodu, to od najlepszych, w dodatku będących w centrum interesujących wydarzeń, które, jak mi nie mam, jeszcze nie raz nas zaskoczą.

– Przyznam, że nie rozumiem.

– W Warszawie od kilkunastu lat pracuje doświadczona niemiecka korespondentka, Renate Marsch z agencji DPA – ciągnęła. – Ma ogromną wiedzę na temat sytuacji w Polsce i relacjonuje stamtąd najważniejsze wydarzenia. Korzystamy z depeš Renate. Możemy kogoś do niej wysłać na staż. Taki rodzaj stypendium w miejscu, na które zwrócona jest teraz uwaga całego świata. Zdecydowaliśmy na kolegium, że zaproponujemy je tobie.

– Miałabym pracować w Polsce? – upewniła się, czy aby na pewno się nie przesłyszała.

– Na początku wdrażać się do zawodu – sprostowała Marion. – Słuchać, co mówią ludzie, nawiązywać kontakty, czytać tamtejsze gazety, chodzić na konferencje prasowe. Twoja znajomość polskiego jest tu sporym atutem. Pisać naturalnie też. To, że jesteś młoda i nie masz na swoim koncie krytykujących polski ustrój publikacji, także stanowi walor przy uzyskaniu koniecznej akredytacji w tamtejszym MSZ. W oczach polskiej bezpieki będziesz uchodzić za dobry materiał do urobienia. Tak to niestety działa, ale przy odrobinie wprawy i ostrożności można sobie poradzić. Zapewne Renate udzieli ci stosownych instrukcji, naturalnie jeśli przyjmiesz naszą ofertę. Widzę, że cię zaskoczyliśmy. – Przyglądała się życzliwie oszołomionej dziewczynie.

Viktoria przypominała jej własną młodość i utracony kraj lat dziecięcych, który niezmiennie kochała.

– Rzeczywiście jestem zaskoczona – odrzekła po chwili Viktoria.

– Nie musisz się decydować od razu – włączył się naczelny, choć jego mina mówiła zgoła co innego. – Zrozumiemy, jeśli będziesz potrzebowała kilku dni do namysłu. Życie za żelazną kurtyną nie jest łatwe, ale może stanowić rodzaj inspirującego wyzwania na początku kariery. Mówimy o wyjeździe na dłuższy czas, więc masz prawo się wahać.

– Na jak długo?

– Rok albo i dłużej – odrzekł. – Zdobycie akredytacji do komunistycznego kraju to trudna sprawa, więc trzeba ją utrzymać, ile się da. Jeśli się zdecydujesz, przystąpimy do załatwiania formalności. To trochę potrwa, lecz myślę, że na przełomie roku mogłabyś wyjechać. Co ty na to, Viktorio?

Odetchnęła głęboko, by zebrać myśli. Otrzymana oferta, choć nie takiej się spodziewała, trochę ją oszołomiła, ale też zaczynała nęcić. Oznaczała wielkie zmiany, lecz co ona, Viktoria, miała do stracenia? Związek z Fredrikiem, który ją ani ziębił, ani grzał? Niczego sobie nie obiecywali, zatem rozstanie nikogo nie zaboli. Trafia się jej zawodowa szansa, która może się nie powtórzyć. Przecież jeśli zacznie się zastanawiać, mogą zaproponować staż komuś innemu, kto zdecyduje się od razu. W końcu to tylko rok. Życia w PRL też się nie bała, nie będzie tam przecież sama, lubi wyzwania, więc czemu miałyby się wahać?

Pokusa walczyła w niej z obawą, że wody, na które chcą ją wrzucić, mogą się okazać zbyt głębokie. Jednak głos rozsądku brzmiał coraz ciszej.

– Jestem zdecydowana – odrzekła po niedługim milczeniu. – Pojadę.

– Wiedziałem! – wykrzyknął naczelny i klepnął się z rozmachem w kolano. Na twarzy pani von Dönhoff pojawił się wyraz uznania.

Brawura, z jaką ta dziewczyna zdecydowała się skoczyć na głęboką wodę, znów przywiodła hrabinie na myśl własną młodość. No bo czymże innym niż brawurą była jej desperacka ucieczka z Prus przed Sowiekami zimą czterdziestego piątego? W trzaskający mróz pokonała konno morderczą siedmiotygodniową drogę na Zachód. Miała wtedy niewiele więcej lat niż ta sympatyczna dziewczyna.

– Jesteś odważna, witamy na pokładzie, Viktorio. – Wyciągnęła rękę do młodej dziennikarki.

Spotkanie trwało jeszcze kilkanaście minut. Viktoria wypełniła parę formularzy, podpisała kilka dokumentów, a potem, wciąż oszołomiona wszystkim, co się wydarzyło, wyszła przed budynek.

Pobiegła do budki telefonicznej, aby zadzwonić do szpitala do Karin. Trochę trwało, nim przyjaciółka podeszła do telefonu.

– Jadę do Polski! – rzuciła euforycznym tonem w słuchawkę.

– Kiedy? Teraz?

– No coś ty, za parę miesięcy. – Wyjaśniła jej pokrótce, co i jak. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

– Właśnie słyszę i cieszę się razem z tobą. A pytałaś ich o tego Brauna?

– Z tego wszystkiego wyleciało mi z głowy.

– Daj więc ochłonąć głowie i porządnie się wyśpij, żebyś była wypoczęta przed drogą. Muszę iść do pacjentów.

– Dobrze, nagadamy się, gdy wrócę z Lorelei. Przywiozę dobre wino. Teraz idę coś zjeść...

– Zaczekaj, Viki, Fredrik cię dziś szukał. Wychodziłam akurat do szpitala, kiedy przyszedł do was, ale nikogo nie zastał.

– Babcia miała jechać do Berlina Wschodniego, a Jerzy pewnie był w pracy. Mówił, czego chciał?

– Nie, ale był zdenerwowany. Prosił, żebyś się z nim pilnie skontaktowała.

W ciągu dnia Viktoria dzwoniła kilka razy do Essenów, lecz telefon nie odpowiadał. Za to wieczorem rozmawiała z babcią. Ta, wysłuchawszy nowiny, podsumowała rzecz krótko:

– Jeśli się zdecydowałaś, będę cię wspierać.



- Mimo że praktycznie bez namysłu rzuciłam się na głęboką wodę?
  - Nie ma osiągnąć bez wyzwań, a głęboka woda nie jest straszna, kiedy ma się przy sobie koło ratunkowe w postaci rodziny. W Warszawie mieszkają przecież Lilka i Zuzanna, pomogą ci w każdej sytuacji. Poza tym znając ciebie, wiem, że prędko nauczysz się pływać w tej głębinie.
  - Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Babciu, a ty znałaś hrabinę von Dönhoff, kiedy mieszkałaś w Königsbergu? Już dawno miałam cię o to zapytać, ale wylatywało mi z głowy. Jesteście w podobnym wieku. Może nawet chodziłyście razem do szkoły?
  - Każdy znał Marion. Przynajmniej ze słyszenia, tak jak ja. Kochała wyścigi samochodowe i konne.
  - Samochodowe? A nie wygląda na taką. Jest bardzo dystygowana. Jak zakupy z Krysią?
  - Udane. Zeszły jej wszystkie kolorowe grzebienie, które przywiozła. W Berlinie Wschodnim jest na nie jakiś szzał. A nylonowe bluzki wymieniła po cichu z żonami ruskich oficerów na złote pierścionki. Potem trochę pobuszowałyśmy w sklepach. Martwię się teraz, czy ją przepuszczą z zakupami enerdowscy celnicy, bo ma trochę pieprzu, dwa miksery i trzy pary salamandrów, wiesz, to takie sportowe buty...
  - Wiem, co to salamandry! – zaśmiała się Viktoria.
  - No tak, żeby tylko szczęśliwie wszystko przewiozła, bo inaczej straci pieniądze, a za miesiąc jadą z Jadzią do Turcji po kozuchy.
  - Ciotki są obrotne. Zresztą ty też.
  - Trzeba sobie radzić. Za okupacji pomarlibyśmy z głodu, żeby nie nasz szmugiel.
  - Będę kończyć. Aha, nie dzwonił przypadkiem Fredrik? Podobno mnie szukał, a nie mogę się z nim skontaktować.
  - Jestem w domu od piątej, do tej pory nie dzwonił.
  - Widocznie nie było to takie pilne. Nie mów rodzicom, że przyjadę wcześniej, zrobię im niespodziankę.
  - Nie powiem, tylko jedź ostrożnie, proszę cię. I wyjedź z samego rana, żeby zdążyć za dnia.
  - Dobrze. Pa.
- Jeszcze raz zadzwoniła do Fredrika. Odebrał po kilku sygnałach.
- Podobno szukałeś mnie wczoraj. Coś się stało?
  - Mój stary zniknął – obwieścił krótko.

- Jak to zniknął?
- Nie ma go od soboty. Chciałem zgłosić zaginięcie na policję, ale matka znalazła kartkę, którą zostawił, że wyjeżdża odpocząć i nie wie, kiedy wróci. Może za parę miesięcy.
- Za parę miesięcy? Przecież to do niego niepodobne. – Viktoria przysiadła na krześle, podwijając pod siebie nogę.
- No właśnie. Chyba mu odbiło na starość – warknął. – Od rana przez cały czas przyjmuję jego pacjentów, nawet nie mam czasu się wysikać. Wspominał w piątek, że z tobą gadał, ale wtedy nie za bardzo kontaktowałem. Wspominał ci o tym chorym planie wyjazdu w nieznane?
- Nie, skąd. Powiedział tylko, że gdzieś by wyjechał na parę dni, ale to było tylko tak luźno rzucone.
- Myślałem, że wiesz coś więcej, dlatego cię szukałem. Żebyśmy choć wiedzieli, dokąd się wybrał! Chyba za granicę, bo zabrał paszport. Stary nigdy nie robi nic spontanicznie, zawsze planował wyjazdy pół roku do przodu, bo przecież pacjenci, zobowiązania... A teraz wyciął nam taki numer. Parę miesięcy. Naprawdę mu odbiło. – W głosie Fredrika słychać było gniew.
- Albo wrzucił cię na głęboką wodę – podsunęła.
- Co masz na myśli?
- Narzekał, że jesteś nieobowiązkowy. W piątek, jak się domyślam, też mu nie pomogłeś.
- Bo nie byłem w stanie. Wynikłoby z tego więcej szkody niż pożytku dla pacjentów i reputacji kliniki.
- Może coś w nim pękło i zdecydował się na radykalne rozwiązanie, żebyś w końcu wydorósł.
- Ale macie o mnie zdanie – mruknął. – Jednak jeśli jest tak, jak mówisz, pogadam sobie ze starym, gdy wróci. Co to za barbarzyńskie metody?
- Z tego, co słyszę, skuteczne, więc chyba nie są takie złe.
- Akurat. Padam na pysk. Kiedy przyjedziesz? Potrzebuję pocieszenia.
- Jeszcze za tobą nie zatęskniłam i nie wiem, czy zatęsknię. Dostałam pracę w „Die Zeit” i niedługo wyjadę na dłużej za żelazną kurtynę. – Opowiedziała mu o wszystkim.
- Gratuluję, ale nie zazdroszczę, zwariowałbym w takim siermiężnym kraju – mówił, przetykając coś pośpiesznie. – I jeszcze sam sobie muszę robić jedzenie. Ta Anna, czy jak jej tam, rozchorowała się i nie przychodzi

do pracy, a matka siedzi w recepcji. Muszę kończyć. Mam jeszcze dziś dwóch pacjentów, tylko wyskoczyłem do domu, żeby coś zjeść.

– Swoją drogą chciałabym cię zobaczyć przy garach i przy pracy – zachichotała. – To musi być wyjątkowy widok.

– Nie kopie się leżącego – jęknął i zaraz dodał poważniej: – Chyba naprawdę zacznym za tobą tęsknić.

– Tylko się we mnie nie zakochaj, cześć.

Zakochany Fredrik wydał jej się tak samo nierealny jak obowiązkowy Fredrik. Dobrze ci zrobi trochę samodzielności, pomyślała, niespecjalnie zmartwiona zniknięciem doktora Güntera Essena.

Za oknem rozległy się jakieś bełkotliwe, basowe nawoływania. Uchyliła firankę, żeby zobaczyć, co się dzieje. W świetle ulicznej latarni dostrzegła, że kilku pijaczków obstało pomalowanego w niebieskie kwiatki żółtego volkswagena garbusa. Śmiali się, pokazując sobie jej autko palcami, pukali w maskę, w końcu odeszli. Jeszcze raz zlustrowała przez okno swój samochód, lecz nic nie wzbudziło jej niepokoju.

Wozik był wysłużony, nieco leciwy, gdyż kupiła używany, ale niezawodny, i nie zamieniłaby go na żaden inny. Sama na niego zarobiła.

Odkąd pamięta, musiała pracować nawet na kieszonkowe. Gdy była dzieckiem, mama zlecała jej, poza obowiązkami, drobne prace domowe. Kiedy podrosła, pomagała w rodzinnej winnicy, a potem w winiarni. Matka nie dawała pieniędzy za darmo. Ojciec czasem podsuwał im ukradkiem kilkanaście marek, ona nigdy.

Była surowa, wymagająca, rzadko udzielała pochwał i nie znosiła marnotrawstwa. Rozcinała nawet tubki pasty do zębów, żeby wydobyć z prawie pustych opakowań resztki zawartości.

Wściekała się, gdy zostawiali na talerzu niedojedzony posiłek, choćby połowę kartofla. To, czego nie zjedli podczas obiadu, musieli dojeść na kolację.

Nowe ubrania czy buty kupowała im dopiero wtedy, gdy wyrosli ze starych albo nie udało się już ich przerobić lub naprawić. Mniej więcej wiedzieli, że ta mania oszczędzania na wszystkim wzięła się u matki z tego, że kiedyś sama nie miała niczego.

Czasy się zmieniły, nic im już nie brakowało, lecz obsesja pozostała. Dlatego znając nieustępliwy charakter matki, oboje z Peterem nawet nie

próbowali jej namówić, żeby sprawiła im modną kurtkę czy spodnie. Na te zbędne fanaberie, jak to określała, musieli zarobić sobie sami.

Za fanaberię uznała także studia w odciętym od reszty kraju odległym Berlinie Zachodnim, podczas gdy znacznie bliżej Lorelei, w Kolonii, także był dobry uniwersytet. Matka proponowała jej także studia w Monachium, gdzie mieszkał wuj Klaus, choć ten kręcił nosem na pomysł, aby siostrzenica się do niego wprowadziła. Viktoria i tak by się na to nie zgodziła. Wuj złościł się o byle co, brał psychotropy i nie wytrzymały z nim dwie żony. Znacznie lepiej dogadywała się z Rudim, ale ten mieszkał w Zurychu.

W końcu matka przełknęła jakoś ten Berlin. Jednak z Polską mogło być znacznie gorzej. Viktoria widziała przecież, jak matkę drażniło babcine epatowanie polskością. Reakcja mamy była jedynym cieniem, który psuł radość Viktorii z powziętej decyzji. Rzykownej, lecz jakże frapującej.

Mimo to cieszyła się na powrót do domu. Nigdzie indziej niż tam, w dolinie środkowego Renu, nie było tylu uroczych miasteczek pełnych romantycznych zaułków ani średniowiecznych zamków wzniesionych na skałach tuż nad brzegiem rzeki. Wyglądały niczym wyjęte z baśni o królewnach i smokach.

Kochała Berlin, jednak Lorelei bardziej.

## Rozdział XI

# Powrót do Lorelei

Każda podróż ma swój początek i koniec. Czasem jednak koniec jest dopiero początkiem. Gdy rano Viktoria wyruszyła zachodniemiecką autostradą do Lorelei, nie przypuszczała, jak bardzo kres tej podróży odmieni jej życie.

Było już popołudnie, gdy po ośmiu godzinach jazdy zbliżała się do celu. Im bardziej malowniczy stawał się widok rozległych tarasowych winnic, tym mniej odczuwała zmęczenie. Ta wysunięta najdalej na południe należała do Fisherów.

Kiedy przed laty nieżyjący już stryj ojca, Georg, postanowił zainwestować gromadzony latami majątek w jakąś winnicę nad Renem i zamieszkać na starość z rodziną bratanka, zażyczył sobie, aby roztaczał się z niej piękny widok. Po wielu miesiącach poszukiwań w końcu znalazło się spełniające oczekiwania miejsce w małej miejscowości Lorelei. Sprowadzili się tam w połowie lat sześćdziesiątych.

Pierwotnie zarówno dom, jak i plantacja były zaniedbane. Poprzedni właściciel stracił na wojnie synów, prędko owdowiał, a sam nie miał zdrowia i ochoty, żeby zajmować się gospodarstwem, i trochę się też rozpił. Po krótkim wahaniu sprzedał winnicę wraz z domem. Postawił jednak warunek, że będzie mógł w niej mieszkać przez jakiś czas.

Warunek został przyjęty, zwłaszcza że nabywcy nie mieli pojęcia o uprawie winorośli, więc ich lokator przez kilka lat pełnił funkcję nauczyciela, potem zaś, ożeniwszy się ponownie, wyjechał do Hiszpanii.

Z czasem skromna plantacja rozrosła się w poważne przedsiębiorstwo. Z przetwórnią, butelkownią oraz winiarnią w miasteczku, gdzie sprzedawali rieslinga własnej produkcji i serwowali obiady.

Georg prędko zaprzyjaźnił się z Marią. A ponieważ dobrze pamiętał dzieciństwo w Oszmiance, swego ulubionego nauczyciela, Joachima

Langer, oraz Oleńkę Ostojańską, którą tamten szaleńczo pokochał, wieczorami starsi państwo snuli wspomnienia, racząc się przy tym winem. Właśnie z sentymentu Georg nadał posiadłości nazwę Mała Oszmianka.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdy po długiej podróży Viktoria znów ujrzała przytwierdzony do bramy powitalny szyld. Powiodła stęsknionym wzrokiem dokoła. Wysoko, na południowym stoku winnego wzgórza stał spory dom; biały, z czerwonym dachem, o dużych oknach. Niczym statek z morskich fal wynurzał się z morza zieleni dziesiątek tysięcy winnych krzewów posadzonych na kaskadowych tarasach.

Wysiadła z samochodu, żeby odetchnąć powietrzem rodzinnych stron.

Nieopodal bramy przy jednym z bungalów dla pracowników sezonowych stał czerwony mały fiacik na polskich numerach rejestracyjnych. Kawalek dalej przy magazynach zobaczyła troje młodych ludzi w roboczych ubraniach, a między nimi ojca. Stał tyłem, więc jeszcze jej nie widział. W kowbojskim kapeluszu, kraciastej koszuli i dżinsach, trochę przypominał ogrodnika Essenów. Rozmawiał o czymś z tamtymi, używając mieszanki słów polskich i niemieckich, i wskazywał na stojącą na ziemi skrzynkę. Podeszła cicho do ojca i dotknęła go palcem w plecy.

– Cześć, tato.

Odwrócił się i spojrzał na nią, jakby ujrzał zjawę.

– Co ty tu robisz? Myślałem, że przyjedziesz razem z babcią i Jurkiem.

– Chciałam wam zrobić niespodziankę.

– No to ci się udało. – Uścisnął ją mocno i ucałował. – Miło cię znów widzieć, córcia.

– Ciebie też, dobrze wyglądasz, staruszk.

Ojciec naprawdę wyglądał dobrze. Zimą trochę przytył, ale teraz po niewielkiej nadwadze prawie nie został ślad. Lekko pomarszczoną twarz miał ogorzałą od słońca.

– W końcu się za siebie wziąłem.

– Może w czymś pomóc? Słyszałam, że coś tłumaczyłeś.

– A, prawda. – Dopiero się zreflektował, że tamci stoją obok. – To studenci z Warszawy. Przyjechali do nas wczoraj na trzy tygodnie. Oni nie za bardzo z niemieckim, a ja nie za bardzo z polskim, ale jakoś poszło. Przyniosłem im kolację i powitalne wino. – Wskazał na skrzynkę z sześcioma butelkami trunku. Dotąd mówił po niemiecku, a teraz objąwszy ramieniem Viktorię, przedstawił ją towarzystwu po polsku: – Moja córka.

– Cześć, jestem Viktoria – także przeszła na polski.

Długowłose, chudy brodaty młody mężczyzna do złudzenia przypominał Jezusa. Był chyba trochę starszy od swoich koleżanek: eterycznej, niewysokiej blondynki o prostych, półdługich włosach i okrągłej brunetki z lokami zebranych opaską.

– Kuba. – Brodacz uścisnął krzepko jej rękę.

– Iza – przedstawiła się blondynka, a po niej brunetka.

– Aga.

– Miło was poznać – powiedziała Viktoria, gdy już dokonano prezentacji.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumieliście mojego tatę. To wino z naszych ubiegłorocznych zbiorów, zawsze częstujemy nim przyjeżdżających na winobranie.

– Pokapowaliśmy – stwierdził ze swadą Kuba. – Masz w dechę starszego i dobrze gadasz po polsku.

– Jakbyście czegoś nie rozumieli, mogę tłumaczyć – zaproponowała.

– Dzięki, mamy tłumacza – odezwała się Iza i wskazała głową w bok. – Właśnie idzie.

Od wzgórza zbliżał się do nich ubrany na czarno wysoki młody mężczyzna. Niósł przed sobą skrzynkę winogron.

– Z trzeciego rzędu wszystkie zgniłki wycięte – zameldował płynną niemczyzną z nie najgorszym akcentem, stawiając skrzynkę na kilku innych przed magazynem.

Dopiero gdy do nich podszedł, Viktoria mogła mu się przyjrzeć.

Miał pociągłą twarz o wyraźnych rysach i lekko śniadą cerę. Krótko ostrzyżone brązowe włosy, wąskie usta, rzymski nos. Czytała gdzieś, że ludzie o takim kształcie nosa są ambitni, odważni i lubią wyzwania. Po nim też znać było charyzmę. Z wyglądu oraz postury trochę przypominał Jerzego, może tylko był nieznacznie młodszy i w niewytłumaczalny sposób przykuwał jej uwagę.

On też na nią patrzył. Oczy miał przenikliwe, jakby jastrzębie. Nie mogła określić ich koloru: ni to bure, ni szare czy zielone. Nasunęło jej się, że miały barwę jeziora, w którym nie widać dna. Przez moment wydawało jej się, że spojrzenie nieznajomego wciąga ją jak głęboka woda. Pierwszy raz uległa takiemu wrażeniu.

Prędko otrząsnęła się z chwilowego stuporu, żeby owo zapatrzenie nie stało się nazbyt widoczne. Kuba też trącił kolegę w ramię i rzekł półgłosem:

– Córka naszego szefa, przedstaw się ładnie dziewczynie. Nie musisz szwargotać, ona gada po polsku.

– Adam.

– Viktoria, cześć. – Wyciągnęła ku niemu dłoń, ale nie podał swojej.

– Mam brudne ręce. – Pokazał poczerwiałe i lepkie od soku z winogron palce.

Cofnęła swoją i uśmiechnęła się wyrozumiale, mówiąc:

– Moje będą jutro takie same.

Nic więcej nie przyszło jej do głowy. On też się nie kwapił do rozmowy, ale Joachim przejął inicjatywę, więc nie musieli potykać się o ciszę.

– Skoro poznałaś wszystkich, jedziemy do domu – zwrócił się do córki, a potem powiedział do pracowników: – Na dziś macie fajrant. Możecie świętować, tylko tak, żeby jutro o szóstej rano zacząć pracę. Do winobrania mamy cztery dni, do tego czasu trzeba wyciąć resztę zepsutych owoców.

Adam przetłumaczył reszcie słowa szefa. Tamci podziękowali, zapewnili, że stawią się na czas, i zadowoleni ponieśli skrzynkę do bungalowu. Viktoria z ojcem podeszli do garbuska. Joachim ze skrzywioną miną lustrował samochód córki.

– Peter zrobił prawo jazdy i zbiera na pierwsze auto, może gdyby nie te kwiatki, mogłabyś mu odsprzedać tę katastrofę. Rozejrzyj się za prawdziwym samochodem dla siebie. Dołożę ci trochę do niego, należy ci się nagroda za studia. Jesteśmy z ciebie dumni. – Znów otoczył córkę ramieniem.

– Dzięki, tato, ale nie potrzebuję nowego samochodu. Peter niech sobie dalej zbiera, a ciebie nigdy nie sprzedam, jesteś najpiękniejszy na świecie. – Pieszczotliwie pogładziła maskę volkswagena. – Co u młodego?

– W klubie uznali go za najlepszego napastnika, więc uroił sobie, że dostanie się do Bayern Monachium, i trenuje jak szalony. Ucieszył się, że dostał od ciebie tyle kasy na osiemnastkę. Sto marek, zaszalałaś!

– W końcu osiemnastkę ma się tylko raz. Mama i Peter są w domu?

– Nie uprzedzałaś, że dziś przyjedziesz, więc pojechali na dwa dni do Monachium. Mama miała pilną sprawę. Jutro wracają. Zmęczona?

– Trochę. Jedźmy, chcę się przywitać z domem.

Prowadziła auto wijącą się po zboczach dość stromą zwirową serpentynką. Zerkała przy tym we wsteczne lusterko.



Przed bungalowem troje Polaków rozkładało turystyczne krzeselka i stoliki. Dziewczęta rozstawiały na nich nakrycia i butelki wina, Kuba wyniósł gitarę. Poczowała cień rozczarowania, że nie widzi między nimi tego z rzymskim nosem. Ciekawe, która z tych dwóch jest jego dziewczyną, dumiała, słuchając jednym uchem, co mówił siedzący obok ojciec. Blondynka wydawała się ładniejsza od tej drugiej, więc może ona? Nie wiedzieć czemu taka ewentualność zaczęła ją lekko irytować.

Dopiero gdy dotarli prawie na szczyt wzgórza, skierowała myśli na inne tory.

Pośrodku sporego ogrodu stał dom w prowansalskim stylu. Na kamiennej podmurówce, z werandą i patynowanym dachem. Białe mury oplatał winobluszcz. Drzwi i okna były pomalowane na błękitno. Przed domem rosło mnóstwo kolorowych róż, o które pieczołowicie dbała matka. Właśnie w trosce o kwiaty nie chciała się zgodzić na psa, na co kiedyś nalegali z Peterem. Jednak nie tylko róże tworzyły magię tego miejsca, także widok, jaki się stąd roztaczał. Ze skarpy aż po horyzont ciągnęła się niczym niezburzona panorama na malownicze wzgórza, skały i migoczący w dole Ren.

Viktoria podeszła do urwiska, objęła się ramionami i patrzyła na cudowny pejzaż rozświetlony czerwienią niebem. Lekki wietrzyk muskał jej włosy, podrywał dół długiej, falbaniastej spódnicy w kwiaty, wciskał się w sploty białego swetra. Mogła tak stać jeszcze długo, zapatrzona w niezwykle widok. Dopiero głos ojca wyrwał ją z zamyślenia.

– Zadzwoń do mamy, ucieszyła się, że jesteś. Będą jutro późnym popołudniem. Chodź do domu, odgrzeję ci coś do jedzenia. Pewnie jesteś głodna.

– Jadłam po drodze, posiedźmy tu chwilę. – Wskazała ławkę i sąsiadującą z nią huśtawkę prawie na krańcu skarpy.

Joachim klapnął na ławce, zdjął kapelusz, przeczesał palcami przygniecione włosy i obserwował córkę, kołyszącą się na huśtawce. Wyciągała przed siebie długie nogi, odchylała się do tyłu, patrząc w niebo. Rozpuszczone włosy przesuwwały się po trawie, białe tenisówki ulatywały w niebo, gdy bujała się coraz wyżej.

– Jak dziecko. – Pokręcił głową. – Co u ciebie, córcia?

Przestała się kołysać i usiadła bokiem, żeby pomówić z tatą o swoich planach. Miała z nim lepszą relację niż z matką. Umiał słuchać, nie

narzucił swojego zdania, wyciszał konflikty i chyba lepiej ją rozumiał.

– Czujesz się spełniony, tato?

– W jakim sensie?

– Czy tego oczekiwałeś od życia, co masz? Niczego nie żałujesz? Na przykład niewykorzystanych szans czy dokonanych wyborów? Albo tego, że się ożeniłeś z tą, a nie z inną kobietą? Czasem ciężko z mamą wytrzymać.

– Owszem, ma twarde zasady, ale dzięki temu nie wyrosliście na rozpieszczone bachory.

– Może i tak, ale to nie jest odpowiedź.

Czy jestem spełniony?, powtórzył w duchu.

Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Anna imponowała mu siłą charakteru, podobała się jako dziewczyna. Oboje byli wtedy bardzo młodzi, a młodość ma swoje prawa. Więcej nie było trzeba, żeby relacja z przyjacielskiej stała się intymna. Oboje potrzebowali też namiastki normalności, więc naturalną kolejną rzeczą wzięli ślub.

Potem byli zbyt zajęci nadrabianiem straconego czasu – nauką, pierwszym dzieckiem, później drugim, a także utrzymaniem się na powierzchni – żeby jeszcze analizować uczucia. Nad romantyczne uniesienia przedkładali twarde stąpanie po ziemi, ale kochał swoją żonę. Miała trudny charakter, więc przeszli parę kryzysów, lecz wciąż byli razem.

Tylko czasem, gdy widział, jak oglądała bursztynowe serduszko przechowywane głęboko w szufladzie i ból ściągał jej twarz, zastanawiał się, czy tamten ruski żołnierz nie znaczył dla Anny więcej niż on. W takich momentach czuł delikatne ukłucie zazdrości. Mimo to niczego nie żałował.

Może trochę tego, że poprzestał na maturze, ale poza tym nie miał prawa narzekać. Zwłaszcza w porównaniu z Klausem i Rudolfem. Na pozór mogli uchodzić za ludzi sukcesu. Dzięki Georgowi obaj zdobyli wykształcenie. Rudolf był pilotem samolotów pasażerskich i latał w szwajcarskich liniach. Na stałe mieszkał w Zurychu. Klaus został inżynierem od budowy dróg i mostów. Po latach udało mu się odzyskać rodzinną willę w Monachium.

Okazało się też, że są spadkobiercami całkiem pokaźnego konta w szwajcarskim banku, w którym na początku wojny ulokował pieniądze ich dziadek, Hoffenberg senior. Anna także otrzymała swoją część pieniędzy.

Tylko że pod otoczką sukcesów nadal kryli się skrzywdzeni chłopcy. Nigdy nie powiedzieli Annie, czego doświadczyli w enerdowskim sierocińcu. Wydawali majątek na rozmaite terapie, żeby się uporać z demonami przeszłości, lecz mimo to nie zdołali się od nich w pełni uwolnić ani ułożyć sobie życia.

Klaus rozwodził się dwa razy. Z pierwszego małżeństwa miał syna, ale nie zabiegał o kontakty z dzieckiem. Rudolf pozostał kawalerem. W przeciwieństwie do brata, który topił upiory w piwie i w prochach, napędzał się adrenaliną. Uprawiał sporty ekstremalne, podróżował i często zmieniał partnerki, kompensując w ten sposób uczuciową pustkę.

W porównaniu z nimi on, Joachim, mógł się uważać za szczęściarza. Miał stabilne życie, rodzinę, udane dzieci, przynoszącą godziwe zyski firmę, czyli dostał znacznie więcej, niż mógł się spodziewać, gdy za szczenięcych lat włóczył się głodny i bezdomny po zrujnowanym Königsbergu albo najmował się za parobka na Litwie.

Tego, że ten poukładany świat może niedługo runąć, jeszcze do siebie nie dopuszczał. Anna nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

– Niczego nie żałuję – odrzekł po chwili. – Szans też nie zmarnowałem, zważywszy, że początki nie były łatwe. Ot, jak po wojnie, wtedy każdemu było ciężko. Nam się poszczęściło, bo mieliśmy wsparcie od stryja Georga, waszej babci i Siergieja. Bez nich nie osiągnęlibyśmy tego, co posiadamy teraz. Ale nie spytałaś mnie o to bez powodu, więc skończ te podchody i mów konkretnie, w czym rzecz?

– Dostałam pracę w „Die Zeit”. Zaproponowali mi roczny staż w Warszawie, a ja się zgodziłam. To moja zawodowa szansa, którą chcę wykorzystać, żeby potem nie żałować. Wyjeżdżam na przełomie roku – zakomunikowała bez dalszych wstępów.

Joachim powoli wypuścił powietrze z ust. Takiej rewelacji się nie spodziewał ani go ona nie ucieszyła, wręcz przeciwnie. Wiedział też, że w obecnej sytuacji dla Anny wyjazd Viktorii będzie podwójnie trudny.

– Widzę, że cię zaskoczyłam – stwierdziła, opacznie pojmując jego milczenie.

– Nie da się ukryć.

– I nie cieszysz się z tego.

– Z tego, że zostałam doceniona przez taką redakcję, jestem dumy, ale wolałbym, żebyś zrezygnowała z wyjazdu.

– Niby dlaczego?

– Bo to nie jest sprzyjający czas na takie rewolucje – wyjaśnił oględnie. Wolałby powiedzieć wprost, ale Anna wymusiła na nim tajemnicę. – Mieliśmy nadzieję, że po studiach zostaniesz w domu i będziesz pracować w firmie. Winiarnia ma coraz większe obroty, wysyłamy wino do nowych kontrahentów. Jest z tym cała masa roboty, a jeszcze Peter po zbiorach przenosi się do Monachium. Uparł się, że będzie tam, gdzie klub. Więc odpadnie nam jeden pomocnik.

– Nie zamierzam rezygnować z planów, które są dla mnie ważne, tylko dlatego, że Peter przenosi się do Monachium – zachnęła się lekko.

– Może źle to ująłem. Myśleliśmy z mamą, że zostaniesz moją prawą ręką w firmie. Na określonych warunkach finansowych, rzecz jasna.

– Nie zostanę. Przynajmniej nie teraz. Rozumiem, że mieliście swoje plany wobec mnie, ale ja mam własne. Dlatego pojedę na staż. Liczyłam, że właśnie ty mnie zrozumiesz – dodała z cieniem wyrzutu.

– Próbuje. – Westchnął przyciężko. – Więc cię nie przekonam?

– Nie. Już postanowiłam.

– Zawsze byłaś uparta. Skoro nic więcej nie wskóram, postaraj się łagodnie wyjaśnić to mamie. Ostatnio jest przytłoczona obowiązkami. Niepotrzebny jej dodatkowy stres.

– Spróbuję.

– I jeszcze jedno. – Podrapał się w skroń. – Nie mamy na jutro pełnej obsady w winiarni. Pomogłabyś tak od ósmej rano z gotowaniem i potem przy obsłudze gości? Przy okazji wzięłabyś stamtąd kolację dla nas i dla pracowników. Ja od rana będę zajęty na plantacji.

– Bez problemu – powiedziała i ruszyła do domu.

Nie było tu marmurów ani złocień. Dominowały kolory ziemi, biel, drewno oraz kilka błękitnych akcentów. Wnętrza prezentowały się gustownie i przytulnie.

Ojciec wniósł walizkę do jej dawnego pokoju, połączonego z niewielką łazienką. Prawie się nie zmienił od szkolnych czasów. Te same tapety w drobne różyczki, te same białe meble i metalowe łóżko przykryte barwną narzutą. Okna wychodziły na bungalowy.

W jednym z domków paliło się światło. Facet o oczach koloru głębokiej wody znów uporczywie wdzierał się w jej myśli. Coś ją pchało, żeby tam

pójść, ale się powstrzymała. Nie była przecież naiwną nastolatką, żeby tak zwariować na punkcie kogoś, kogo zupełnie nie znała.

\*

Nie spotkała rankiem Adama, choć po cichu na to liczyła. Musiał pracować po drugiej stronie stoku, uznała trochę zawiedziona, gdy minąwszy bramę, ruszyła do pobliskiego miasteczka. Winiarnia mieściła się w starej kamienicy przy ryneczku, została urządzona w dawnej piwnicy. Czerwone cegły, półokrągłe sklepienia, wsporniki z ciemnych belek, dębowe ławy i stoły nadawały przestronnemu wnętrzu pruski styl.

Viktoria uwijała się na najwyższych obrotach. Do południa pomagała w kuchni, potem ubrana w regionalny strój – białą bluzkę z bufiastymi rękawami, zielony serdak i zamaszystą spódnicę – roznosiła gościom sznycle, kiełbaski, gulasz i wino. Mimo chłodu, jaki panował w grubych piwnicznych murach, było jej gorąco od ciągłego biegania między gośćmi. W głowie też trochę jej dudniło od rozmów kilkudziesięciu osób.

Wreszcie skończyła pracę, przebrała się w dżinsy i wygodną bluzę, zabrała pojemniki z kolacją i pojechała do domu. Przed bungalowem jeszcze nikogo nie było, ale mama z Peterem już na nią czekali.

Przywitały się serdecznie, nawet wylewnie. Przy kolacji, do której niebawem usiedli, Anna także starała się być miła. Ubrała się odświętnie w jeden z kilku dyżurnych zestawów na specjalne okazje, jedwabną, kremową bluzkę i szare spodnie. Nie kupowała dużo ubrań, ale zawsze musiały być w najlepszym gatunku, żeby wystarczyły na długo. Tę bluzkę Viktoria pamiętała z czasów, gdy kończyła podstawówkę. Tylko że obecnie sprawiała wrażenie nieco za obszernej. Matka zawsze była szczupłą, a wyglądało na to, że teraz zgubiła jeszcze parę kilogramów.

– Nie lubię tych twoich samotnych podróży, Viki, zawsze mam wtedy czarne myśli, ale najważniejsze, że jesteś – mówiła, patrząc miękko na córkę. – Zjedz i idź się położyć. Wyglądasz na zmęczoną. Napracowałaś się dziś.

– Niespecjalnie, ale ruch był rzeczywiście spory.

– Mnie nigdy nie powiesz: „odpocznij, synu, bo jesteś zmęczony” – wytknął jej niby w żartach Peter, ale zabrzmiało to jak skarga. – A Viktoria ledwo przyjechała i od razu ma taryfę ulgową.

Zmężniał, rozrósł się w barkach, zapuścił włosy. Płowa grzywka wchodziła mu do oczu, nogi i ręce wydawały się zbyt długie w stosunku do reszty ciała. Z wyglądu stanowił kopię ojca, ta sama twarz o wyraźnych rysach i mocny podbródek. Apetyt też miał po ojcu i właśnie pałaszował dokładkę gulaszu.

– Mój biedaczek – rozczuliła się sztucznie Anna, gładząc syna po ramieniu.

– Stary chłop, a użala się jak dziecko! – Joachim prychnął. – Trening to przyjemność, a praca uczy cię dojrzałości.

– Żebym choć raz usłyszał od was co innego. – Peter pokręcił głową.

– Przez całe winobranie nikt nie będzie miał taryfy ulgowej – oznajmiła Anna, zakładając za ucho pasemko skróconych do ramion blond włosów. – Klaus i Rudi niestety nie przyjadą do pomocy, mają zobowiązania w pracy. Będziemy musiały się uporać z gotowaniem dla wszystkich, Viki, żeby nie przywozić posiłków z winiarni, tam też ledwo nadążają z zamówieniami. Jestem ci wdzięczna za dzisiejsze zastępstwo. Musiałam jechać do Monachium i zostawiłam wszystko na głowie kucharza. Ostatnio jestem tak zabiegana, że nie mam czasu zjeść.

– Właśnie zauważyłam, że trochę zleciałaś. Damy sobie radę, mamó, babcia też mówiła, żebyś nie martwiła się kuchnią.

– Wiem, rozmawialiśmy przez telefon. Przyjedzie pojutrze pociągiem. Niestety, coś się pokomplikowało w warsztacie i Jerzy zjawi się u nas dopiero na późniejsze zbiory. A po zbiorach już na spokojnie ustalimy, jakie obowiązki przejmiesz w firmie. Cieszę się, że wróciłaś do domu. – Matka znów spojrzała na nią miękko i pogładziła ją po włosach.

– Skoro już poruszyłaś ten temat... – Viktoria odłożyła sztucce i patrząc na rodziców, sprostowała: – Bardziej przyjechałam niż wróciłam. Ojcu już mówiłam, ale wy jeszcze nie wiecie, dostałam pracę w „Die Zeit”, z czego bardzo się cieszę. Zimą wyjeżdżam na roczny staż do Warszawy.

– Serio? – Peter ze zdumienia szeroko otworzył oczy. – Załapałaś się do nich? Ale numer!

– Zaraz, zaraz... – Zaskoczona Anna uniosła przed siebie rękę. – O czym ty mówisz? Jaki staż w Warszawie?

– Roczny, u korespondentki z DPA, Renate Marsch – wyjaśniła. – Renate jest tam od lat, będę się od niej uczyć profesjonalnego dziennikarstwa. Sama Marion von Dönhoff mi to zaproponowała.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Wyraz zaskoczenia na twarzy matki ustąpił miejsca niezadowoleniu. – Byłam przekonana, że traktujesz dziennikarstwo hobbystycznie, żeby dorobić sobie pisaniem w czasie studiów, a potem zajmiesz się konkretną pracą. Przecież po to skończyłaś ekonomię, żeby włączyć się w prowadzenie firmy. Kiedyś ty albo Peter ją przejmiecie.

– Nie mam zamiaru niczego przejmować, będę grał w piłkę – obruszył się brat. – Po to przenoszę się do Monachium.

– Przyłożyłbyś się lepiej do matematyki, żeby się dostać na studia. – Joachim szorstko ofuknął syna. – Przyda ci się, jak rozwiążesz po kolacji parę zadań dla treningu. Na boisku też trzeba myśleć.

– Z sinusów i cosinusów nie będę żył, tylko z piłki – burknął Peter, ale nie ciągnął tematu, żeby ojciec naprawdę nie dorzucił mu jakichś durnych zadań, do czego był zdolny.

– Dziennikarstwo jest konkretną pracą, mamó, a ekonomię skończyłam, bo na to nalegałaś – odparła Viktoria.

– Żebyś miała dobrą przyszłość i porządny fach. – Matka wysunęła koronny argument, po czym wypomniała jej, używając stałych argumentów: – Tyle pieniędzy poszło na twoje studia, a ty teraz chcesz to zmarnować?

– Ciągłe słyszę od ciebie o pieniądzach, a moje życie to się nie liczy? Chcę wykorzystać swoją szansę, niczego nie zamierzam marnować. Oddam ci w ratach, co do marki, wszystko, co wydałaś na moje studia, skoro nie spełniłam twoich oczekiwań – zapewniła gwałtowniej, niż zamierzała – ale zdania nie zmienię.

– Viki, nie tym tonem – upomniał córkę Joachim.

– Przepraszam – zmitygowała się i powiedziała łagodniej: – Czy choć raz nie możesz mnie zrozumieć, mamó? Kocham to miejsce i zawsze będę wam pomagać, ale nie chcę się tutaj okopać już teraz. Najpierw chcę coś osiągnąć sama, realizować swoje marzenia. To dla mnie bardzo ważne. Poza tym nie mówimy o wyjeździe na całe życie, tylko na rok.

Rok, powtórzyła w myślach Anna. By ukryć narastające zdenerwowanie, podeszła do kominka, wzięła z półeczki paczkę Marlboro i przypaliła papierosa.

– Może rzeczywiście dobrze ci zrobi ten wyjazd – powiedziała, wypuściwszy z ust obłoczek dymu. – Jeśli postoisz pół dnia w kolejce po

papier toaletowy albo po kości na zupe, przekonasz się, na czym polega prawdziwe życie, i docenisz to, co masz.

– Doceniam, co mam, ale tym bardziej chcę zobaczyć, na czym polega prawdziwe życie, cokolwiek według ciebie to znaczy – oświadczyła twardo.

– Siłą cię tu nie zatrzymam. – Anna trochę nerwowym ruchem poprawiła ręką włosy i wskazała na talerze pozostawione przez dzieci z resztką gulaszu. – Dokończcie jedzenie. Peter, posprzątaj ze stołu i zanieś pracownikom kolację.

– Pomogę ci – powiedziała Viktoria do brata, a potem do matki: – Nie chciałam, żeby tak przebiegła nasza rozmowa.

– W porządku, nie jestem twoim wrogiem, Viki, choć nie zawsze się rozumiemy.

– Nigdy tak o tobie nie pomyślałam, mammo.

– Dobrze, nie mówmy już o tym. – Anna zgasiła niedopałek w popielniczce. – Zróbcie, co macie zrobić, już późno.

Dojedli do czysta swoje porcje, pozbierali ze stołu naczynia i wyszli z jadalni. Po chwili auto Viktorii ruszyło oświetloną latarniami dróżką w dół zbocza.

Anna przypaliła kolejnego papierosa. Gdy przykładła go do ust, drżały jej ręce. Teraz, kiedy byli sami, niczego już nie musiała udawać.

Joachim przyglądał jej się z drugiego końca stołu. Tak bardzo starała się być silna i nie pokazywać po sobie, co ją dręczyło, że ogarnęła go nagła tkliwość. Podeszedł do żony, objął ją od tyłu ramionami, pocałował w czubek głowy.

– Kiedy chcesz im powiedzieć?

– Nie wiem, jeszcze nie teraz. – Przyłożyła dłoń do rąk męża, głowę wsparła o jego pierś.

– Może gdyby Viki wiedziała, zostałyby w domu? Tak ci na tym zależało. Mnie zresztą też.

– Ale jej zależy na czymś innym. Jest tak samo uparta jak ja. Nie chcę wywierać presji. Ani na Viki, ani na Petera. To byłby emocjonalny szantaż. Mają prawo do własnego życia. To tylko rok... – urwała.

Niebo za oknem z bursztynowego zrobiło się ciemne. Teraz do złudzenia przypominało barwą głębokie wody Niemna. Anna zadrżała. Odetchnęła kilka razy, żeby opanować słabość, choć bólu, który czuła w środku, nie potrafiła uśmierzyć. Joachim mocniej otoczył ją ramionami.



– Mimo wszystko uważam, że powinni znać prawdę.  
– A co to zmieni? Zostaną tu pod przymusem? Albo wyjadą obciążeni wiedzą, która mnie przytłacza? Po co? Im to w niczym nie pomoże, a ja nie zniosłabym poświęcenia, więc na razie udawajmy, że nic się nie dzieje. Zresztą może nic się nie stanie.

– Nie dopuszczam do siebie innej możliwości. Poradzimy sobie.  
– Tym bardziej nie ma sensu nikomu mówić. Spróbuję naprawić, co mi nie wyszło.

– Co masz na myśli?  
– Postaram się lepiej zrozumieć własne dzieci. Może za dużo od nich wymagałam, za mało je chwaliłam? Może za bardzo obarczałam je swoimi uprzedzeniami i próbowałam zawłaszczyć, więc się wyślizgnęły. Dopiero teraz wiem, co czuła moja matka, gdy zniknęłam z jej życia na tyle lat, bo sama czuję się podobnie.

– Wcale za dużo nie wymagałaś. Po prostu przyszedł taki czas, że nasze dzieci dorosły i chcą iść własną drogą. To naturalne. Niczego nie powinnaś sobie wyrzucać.

– Dziękuję. – Przycisnęła policzek do dłoni Joachima i trwała tak w bezruchu, a po chwili dodała z wymuszoną energią: – Pojadę do winiarni rozliczyć utarg.

Chciała wstać z krzesła, ale ją powstrzymał, delikatnie nacisnąwszy na ramiona.

– Zajmę się tym. Odpocznij, napij się wina i nie pal tyle.  
– Wiem. Powinnam to w końcu rzucić.

Tymczasem Viktoria z Peterem dojeżdżali do bungalowu, przed którym grupka studentów siedziała przy ognisku. Pili wino, Jakub z Adamem grali na gitarach i śpiewali mocnymi barytonami tę samą balladę, którą słyszała podczas przyjęcia na Kreuzbergu.

*Wyrwij murom zęby krat  
Zerwij kajdany, połam bat  
A mury runą, runą, runą  
I pogrzebią stary świat!...*

– Skądś to znam... – Peter podrapał się w głowę.

Siedział na fotelu pasażera, na kolanach trzymał torbę z pojemnikami kaszy i gulaszu.

– Nie pamiętasz, jak byłeś zimą u babci? Goście śpiewali wtedy to samo, taki opozycyjny kawałek. Jerzy też czasem go nuci.

– A tak, już jarzę. W dechę, że wygarnęłaś taką robotę. Ja też nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyniosę. Próbowałem ugadać się z Klausem, żeby się do niego wprowadzić, ale marudzi, że woli być sam, że potrzebuje spokoju do pracy i takie tam dyrdymały.

– Chciałbyś z nim mieszkać? Przecież wiesz, jaki jest.

– Chcę mieszkać w Monachium – sprostował. – Tam jest mój przyszły klub. Jak nie u Klause, to znajdę sobie coś do wynajęcia. Odłożyłem trochę kasy i roboty sobie tam poszukam. Słuchaj, siostra. – Odchrząknął i zaczął się wiercić. – Pożycz mi na godzinę tego chrabąszcza, co?

– Mówisz o moim ślicznym samochodziku w kwiatki, z których tak się wyśmiewasz?

– Po ciemku kwiatków nie będzie widać. Zwrócę nienaruszony, a jutro wypucuję ci go na błysk.

– Dziewczyna? – rzuciła domyślnie.

– Nie samą pracą człowiek żyje. – Wskazał oczami między swoje nogi i wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Jesteś obleśny, Peter. – Pacnęła go lekko w kark. – Jedź, ale posprzątasz wóz także w środku. Nie chcę tu widzieć żadnych twoich śladów. Sam wiesz jakich.

– Weź przestań – spieszył się nieznacznie.

Wysiadła z auta, zabrała torbę, zaczekała, aż brat odjedzie, i poszła w stronę studentów. Przebrali się z roboczych ciuchów w codzienne rzeczy, luźne swetry i flanelowe koszule. Chyba jeszcze jej nie widzieli. Dopiero gdy weszła w krąg poświaty z ogniska, Kuba zawołał:

– O, córka szefa, chodź do nas, dziewczeczko!

Zadowolony i lekko wcięty, gdyż na stoliku stało kilka opróżnionych butelek wina, uderzył w struny i zagrał jakiś dynamiczny urywek, który miał brzmieć jak powitalne fanfary.

– Napiliśmy się, idioto, nie rób wiochy. – Aga szturchnęła kolegę w obok. – Co ona sobie o nas pomyśli?

– Ja nie piję, ja degustuję. – Pocałował dziewczynę w policzek. – I nie wyzywaj mnie, jeszcze formalnie nie dałem ci do siebie prawa. Dopiero się

zastanawiam.

Skoro tamci są parą, więc chyba ta Iza jest dziewczyną Adama, przemknęło przez głowę Viktorii. Wcale jej się nie spodobała taka ewentualność. Nie dała jednak niczego po sobie poznać i rzuciła swobodnie:

– Przyniosłam wam kolację. Gulasz z kaszą.

Adam podszedł do niej i powiedział, wyciągnąwszy rękę:

– Mamy zaległy ceremoniał. Już są czyste. Możemy się poznać jeszcze raz. Adam Doński.

– Viktoria Fisher.

Przytrzymał dłużej jej dłoń i znów patrzył tak, że poczuła przyjemny dreszczyk.

– Adaś, nie stój jak słupek, tylko dawaj ten gulasz. – Podskoczyła do nich Iza. Uwiesiła się ramienia Adama, a jej mina mówiła: „on jest mój”. Zmierzyła Viktorię od stóp do głów, po czym zaszczębiotała słodko: – Dzięki, że nam przyniosłaś kolację. Zjemy coś porządnego po całym dniu na konserwach turystycznych.

– Kolacje macie zapewnione w kontrakcie – wyjaśniła dość oficjalnie; te oplecione ramiona Izy na karku Adama trochę ją drażniły.

– Napijesz się z nami wina? – spytał, delikatnie uwalniając się z objęć dziewczyny.

– Nie chcę przeszkadzać, już późno – powiedziała z wymuszoną swobodą.

– „Jeszcze ranek nie tak bliski. Słowik to, a nie skowronek się zrywa” – Kuba zacytował Szekspira i uderzył w struny gitary. – Zostań z nami, śliczna dziewczeczko. Poznamy się bliżej.

– Byle nie za blisko. – Aga ściągnęła brwi i klepnęła dowcipnisią w plecy. – I nie popisuj się Szekspirem, Kuba, ledwo zaliczyłeś z niego kolokwium.

– Ja ci, dziewczę, twoich braków z łaciny nie wypominam – odciął się, trzepocząc powiekami. – W porównaniu z nimi mój Szekspir ma się całkiem dobrze.

Na ustach Adama błąkał się lekki uśmieszek.

– Koledzy poloniści, jak zwykle spierają się o parytety – wyjaśniał, wskazując na czupurną parkę. – Trochę się wstawili, ale konie można z nimi kraść – oświadczył. Też czuła od niego wino, lecz nie wyglądał na podpitego.

– Dobrze wiedzieć. Wy także poloniści? – zagadnęła Viktoria.

– Za dwa lata kończę Uniwersytet Warszawski – odrzekła Iza. – Adaś to wyrodek po inżynierii lądowej na politechnice. A ty? Studiujesz coś czy jesteś tylko dziedziczką na włościach?

– Skończyłam ekonomię – odpowiedziała krótko na podszyte złośliwością pytanie.

Na twarzy Adama odmalował się wyraz uznania.

– A więc nie jestem osamotniony między humanistami. Przyłączysz się do nas? – ponowił zaproszenie.

– Chwilę mogę zostać – odparła, dostrzegając niechętne spojrzenie Izy, która naburmuszona zabrała torbę i pomaszerowała do domku. – Jeśli twoja dziewczyna nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Iza nie jest moją dziewczyną – powiedział, czym podświadomie poprawił Viktorii humor.

– Ale chciałaby nią być – mruknęła pod nosem Aga, po czym dodała głośniejszym głosem: – Pomogę jej ponakładać kolację. Chodź, Kuba, weźmiesz sobie jedzenie, nie będę ci podtykać talerza pod nos.

Weszła do środka, za nią ociężale poczłapał Jakub.

– Zdaje się, że popsulałam wam zabawę – powiedziała Viktoria, kiedy została sama z Adamem przy ognisku. – Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

– Nie popsulaś. Zostań.

Kiwnęła głową na znak zgody. Zauważyła, że w blasku płomieni jego oczy przybrały barwę zielonego bursztynu. Miał w sobie coś, czego nie potrafiła określić, a co przyciągało ją jak magnes.

## Rozdział XII

# Cierpkie winogrona

Adam Doński pierwszy raz znalazł się na Zachodzie. Do demoludów jeździł często, na handel albo zbierać owoce, dzięki czemu dorabiał do stypendium, ale za żelazną kurtyną nigdy nie był. Więc gdy nadarzyła się okazja i Kuba nagrał robotę w Reichu, nie zawahał się ani chwili. Odstał swoje w kolejce po wizę przed konsulatem RFN. Miał na koncie w banku sto dolarów, więc mógł się wykazać, gdy pytali o środki na pobyt. Dzięki znajomościom i uregulowanemu stosunkowi do służby wojskowej dostał paszport. Wyposażony w upragniony dokument oraz wizę, wreszcie wyrwał się na Zachód pożyczonym od ojca Agi maluchem.

Gdy na własne oczy zobaczył ów dobrobyt, o jakim dotąd tylko słyszał, przeżył szok. Lepsze auta na ulicach, lepsze ulice, ludzie pogodni, bez wiecznego zacięcia na twarzach. W markowych ciuchach i butach, jakie w Polsce można było kupić tylko w Peweksie. Wszystko było tu lepsze, czystsze, bogatsze i wymuskane.

Dostawał oczopląsu od zapchanych towarami sklepów. Lodówki, pralki, telewizory i tranzystory, wszelkie deficytowe dobra, które w kraju trzeba było załatwiać po znajomości czy zapisywać się w kolejkę, tutaj były dostępne od ręki. Ba, można było wręcz przebierać w modelach. Najbardziej hipnotyzował go w sklepach widok bananów i pomarańczy u schyłku lata.

Czasem dostrzegał też niechętnie spojrzenia Niemców, gdy ci słyszeli ich, jak rozmawiali po polsku, wieczorami spacerując ulicami miasteczka, żeby się na wszystko napatrzeć. On też nie darzył Niemców sympatią, choć starał się nie ulegać stereotypom i nie pozwolić, by owładnęły nim kompleksy, że pochodzi z gorszego świata. Z tym drugim szło mu niestety trochę gorzej. Na każdym kroku widział przytłaczające różnice.

By nie osłabiać poczucia własnej wartości, tłumaczył sobie, że ważniejsze to, kim się jest, niż co się posiada. Tylko że prócz uregulowanego stosunku do służby wojskowej i tytułu magistra inżyniera stan jego posiadania prezentował się raczej skromnie. Odkąd po ukończeniu studiów stracił prawo do miejsca w akademiku, nie miał gdzie się podziać.

Do Olsztyna nie zamierzał wracać. Chciał się zaczepić na stałe w Warszawie. Przygarnął go Kuba, z którym się znał od początku studiów. W zeszłym roku kolega odziedziczył po dziadku kawalerkę na Muranowie. Dla siebie zostawił pokój, do którego wprowadziła się też Agnieszka. Adam musiał się zadowolić rozkładanym w kuchni łóżkiem, które zasłaniał kotarą, ale nie narzekał.

Na swoje spółdzielcze M-2 mógł liczyć za dziesięć lat. Musiał jednak dopłacić brakującą resztę wkładu budowlanego, dlatego przyjechał tu na zarobek, by za ciężką pracę dostać ciężkie pieniądze, o jakich w PRL w tak krótkim czasie mógłby tylko pomarzyć.

Fisher wymagał pracowitości, czasem opieprzał, jeśli ktoś próbował zrywać kiście owoców, zamiast je ścinać, bo uszkadzał w ten sposób cenne rośliny. Obijania się w pracy i niepunktualności też nie tolerował, ale uczciwie podliczał przepracowane godziny, co wieczór dostawali ciepłą kolację i wino, a do tego nie traktował ich z wyższością. Jednak nic na Adamie nie wywarło takiego wrażenia jak córka szefa.

Gdy ją zobaczył pierwszy raz, pomyślał, że ta wystrojona Niemka, jak wyjęta z katalogów „Burdy”, które pożyczala od sąsiadki matka, żeby odrysować wykroje, jest typem zadzierającej nosa księżniczki wychowanej w dobrobycie. Ładna, zgrabna, ale zupełnie nie z jego bajki.

Wystarczyło jednak kilka godzin wtedy przy ognisku, aby zmienił zdanie. Księżniczka okazała się sympatyczną, elokwentną dziewczyną bez zadęcia. Przesiedzieli wtedy prawie do północy, a rano już pracowała na plantacji przy wycinaniu zepsutych owoców.

Kilka dni później, gdy zaczęły się zbiory i winnica zarośla się od ludzi, a sąsiednie bungalowy zajęli Włosi i Grecy, Viktoria także już od rana ścinała ciężkie grona. Sekator tylko śmigał w jej delikatnych dłoniach.

Najprędzej ze wszystkich zapełniała owocami kolejne wiadra. Czasem zwoziła je przyczepką z plantacji do przetwórni albo też razem z innymi kobietami przebierała owoce usypane na wielkim stole, przed ostatecznym umieszczeniem ich w ogromnych kadziach, gdzie były tłoczone.

– Nie zdajesz sobie sprawy, Adamie, jak jeden zgniły owoc może popsuć smak całego wina – tłumaczyła, gdy podpytywał ją o ciekawostki związane z produkcją.

– Skąd znasz tak dobrze polski?

– Od babci. Od lat mieszka w Berlinie Zachodnim, ale jest Polką. Poza tym mam w Polsce liczną rodzinę ze strony babci i mamy, bo ze strony ojca są sami Niemcy.

– Skomplikowane pochodzenie.

– Nie da się ukryć – zaśmiała się. – Jednak dobrze się w tym odnajduję. Jestem Niemką z polską duszą. A ty skąd tak dobrze znasz niemiecki?

– Zdawałem maturę z niemieckiego i przez całe studia miałem lektorat.

Każdego dnia dowiadywał się o niej coraz więcej i coraz bardziej zaczynała go interesować.

Ostatnio poszli razem do ogromnej piwnicy, żeby przynieść stamtąd trochę wina. Chłodne, półmroczne pomieszczenie o łukowatych sklepieniach było zbudowane z kamienia. Stały tam pękate dębowe beczki, a także półki z mnóstwem leżakujących mniej lub bardziej zakurzonych butelek. Oprowadzając go po trochę tajemniczym wnętrzu, które kojarzyło się z lochami w zamkach, wyjaśniała półgłosem:

– To jest serce winnicy. Ojciec mało komu pozwala tutaj zaglądać, bo dzieją się tu czary, ciiii... – Odwróciła się wówczas, gdyż szedł parę kroków za nią, taszcząc kosz butelek, jakie wybrała, i z palcem przyłożonym do pełnych ust poleciła milczenie.

Wyglądała przy tym tak pociągająco, że z trudem się powstrzymał, żeby jej nie pocałować.

Podobała mu się jak żadna inna dziewczyna. Tylko że pasowali do siebie jak noc do dnia i śnieg do lata.

No bo czym mógł jej zaimponować? Łóżkiem w kuchni Kuby? Trzema tysiącami pensji, jaką mu obiecano w biurze konstrukcyjnym fabryki domów na Tarchominie? W przeliczeniu wyjdzie ze dwadzieścia dolców. Para dzinsów w Peweksie kosztowała połowę jego przyszłych poborów.

Cofnął się o krok, by zwiększyć dystans, i odchrząknąwszy, zapytał jakby nigdy nic:

– Czary?

– Wino tu dojrzewa, a skoro dojrzewa, żyje, a więc ma duszę. Wszystko, co dobre, rodzi się w ciszy.

– Słyszałem, że wszystko, co dobre, rodzi się w bólu.

– Też znam taką wersję. I drugą, że wszystko, co trwałe, rodzi się powoli. Nawet jeśli wybucha gwałtownie i uderza do głowy jak młode wino, dopiero z czasem dojrzewa do prawdziwego smaku.

– Co masz na myśli?

– Miłość. – Przygryzła lekko wargę, czym znów nieświadomie przyprawiła go o skurcz w żołądku. – Jest czymś ważniejszym niż zakochanie, bo to stan przejściowy. A miłość dojrzewa wraz z człowiekiem. Ta prawdziwa wszystkiemu się oprze, bo sama w sobie jest niezniszczalna, to ludzie ją niszczą. Moja babcia tak mówi.

– Masz mądrą babcie.

– I najukochańszą na świecie. Musisz ją koniecznie poznać. Babcia bardzo przeżywa wszystko, co dzieje się w kraju. Sprzyja opozycji i najbardziej popiera mój wyjazd do Polski na staż dziennikarski, bo mama kręciła nosem, ale w końcu jakoś to przełknęła – mówiła, wkładając do skrzynki ostatnią butelkę wina. – Możemy iść. Zawiozę to teraz do winiarni, a czary niech dzieją się dalej bez nas. Dzięki, Adam, za pomoc.

– Nie ma sprawy. Polecam się na przyszłość.

– Zapamiętam.

Uśmiechnęła się tak, że znów poczuł ciarki. Gdyby był przesądny, pomyślałby, że ta dziewczyna rzuciła na niego czary, skoro tak bardzo przy niej głupiał. Trochę zaczęła go ośmielać wizja, że ona przyjedzie do Polski, ale też i uwierać, że winobranie pierwszych odmian dobiegło prawie do półmetka i niedługo będzie musiał stąd wyjechać. Jak wytrzyma bez niej następne kilka miesięcy, skoro tych parę godzin, kiedy jej nie widział, wydawało mu się zbyt długie?

Czasem w trakcie zbiorów Viktoria szła do domu, ponieważ odwołano ją do pomocy w kuchni. Wieczorem, gdy oni odpoczywali po pracy, ona jechała jeszcze do winiarni. Wracała około północy, a raniem znów była na plantacji od szóstej.

W czapce z daszkiem, spod której wystawał długi warkocz, w męskiej koszuli i roboczych spodniach, które, choć obszerne, podkreślały jej zgrabną figurę, pracowała bez wytchnienia.



A przecież robota była ciężka. Bolały od niej kolana, plecy, drętwiały ręce. Piekła skóra, podrażniona od zadrapań i skaleczeń. Słońce też prażyło mocniej niż u nich o tej porze roku, więc po dziesięciu godzinach harówki Adam czuł zmęczenie. A po niej nic nie było widać. Starał się pracować w pobliżu. Mogli sobie wtedy trochę pogadać albo pomilczeć.

Dziś też obcinali winogrona z sąsiadujących krzewów. Zaraz po dwunastej Viktoria, zapełniwszy owocami ostatnie wiadro, powiedziała:

– Na mnie czas, leczę pomóc w winiarni. – Mówiła, wsuwając sekator do kieszeni spodni. Bez wysiłku chwyciła zapełnione zielonymi gronami wiadro, choć ważyło dobre dwadzieścia kilo, i spytała: – Pojedziemy dziś po pracy, gdzie mówiłam?

– Jasne, jeśli nie będziesz zmęczona.

– Choćbym była bardzo zmęczona, tam zawsze ładuję akumulatory. Zrobimy sobie piknik pod chmurką.

– Brzmi nieźle. Daj to wiadro, jest ciężkie jak diabli, zaniosę. – Chciał odebrać jej ciężar, ale tylko się zaśmiała.

– Dla mnie to nie pierwszozna, poza tym nie odrywaj się od roboty. Mój tata patrzy i jeszcze obetnie ci dniówkę. – Mrugnęła i wskazała w stronę przyczepy pośrodku stoku, do której zbieracze wysypywali z wiader winogrona. Na traktorku siedział Peter, a obok niego ojciec odhaczał w notesie zbiory. Viktoria pożegnała się z towarzystwem i lekkim krokiem poszła do tamtych.

– Daj, acj ja pobruszę, a ty poczywaj – zacytował Kuba, podnosząc się ociężale. Spodnie na wysokości kolan miał czarne od ziemi. Wycinał kiście z niższych partii krzewów. – Żeby za mnie ktoś tak chciał nosić wiadra. Teraz zaczynam doceniać znaczenie hasła towarzyszy z Komitetu Centralnego: „Studenci do nauki, pisarze do piór”.

– O syjonistach do Syjonu zapomniałeś – rzucił Adam.

– Dokonałem celowej parafrazy na użytek własny, przyjacielu. Jestem intelektualistą z tytułem magistra, z aspiracjami na doktora nauk humanistycznych, i jako taki nie nadaję się do fizycznej pracy. – Stęknął teatralnie, przeginając się w tył. – Do głowy mi nie przyszło, że winobranie to ciężka harówka, a po tej dziewoi tego nie widać – mówił, odprowadzając wzrokiem rower, którym Viki pojechała do domu.

– Po mnie też nie byłoby widać, żeby to wszystko było moje, fruwałabym wtedy lekko jak ptaszek. – Aga, czerwona na twarzy z wysiłku, z włosami

przewiązanymi chustką, zatoczyła ręką półkole i zwróciła się do Izy: – Widziałas, jakie ona ma ciuchy? Lepsze wkłada do roboty, niż można u nas dostać w Peweksie. A te perfumy to chyba od Chanel. Przyszłoby ci do głowy marnować do roboty w polu drogie perfumy?

– Nie lubię tej wymuskaney szwabskiej pindy, działa mi na nerwy – odburknęła tamta. – W firmowych adidasach chodzi w pole, strojnisia. Ciekawe, skąd mieli kasę na taką posiadłość? Może z żydowskiego złota? U faszystów wszystko jest możliwe.

– Teraz przesadziłaś – zareagował ostro Adam, usłyszawszy prowadzoną w pobliżu rozmowę. – Mogłaś o to zapytać, jak tu była, skoro jesteś taka ciekawa, zamiast ją obgadywać.

– O, patrzcie, obrońca się znalazł – fuknęła rozeźlona Iza. – Mogę mówić, co mi się podoba. Nie mam zamiaru udawać, że ją lubię, bo nie znoszę tej wypindrzonej zołzy.

– Licz się ze słowami – upomniał ją, z trudem powściągając złość.

– Bo co mi zrobisz? – prowokowała go rozeźlona. – A w ogóle jakim prawem mnie pouczasz? Chodzisz za nią jak piesek, a ona i tak kopnie cię w tyłek, bo do niczego nie jesteś jej potrzebny. Zresztą rób, co chcesz.

– Tak właśnie zrobię – odrzekł sucho.

– Zjada cię zawiść, Izka – dopowiedział Kuba, przysłuchując się wymianie zdań. – Czego ty chcesz od tej dziewczyny? Pracuje ciężiej niż ty.

– Następny zaślepiony baran. – Skrzywiła się. – Oni lubią, jak się dla nich ciężko pracuje. *Arbeit macht frei*, mówi ci to coś?

– Z czym ty teraz wyjeżdżasz? – Kuba popukał się palcem w czoło. – Zastanów się lepiej, nim coś palniesz.

– Mówię prawdę, Niemcy to faszyści.

– Więc po cholere tu przyjechałaś? Nikt cię na siłę nie ciągnął, sama się pchałaś, żeby zarobić na ciuchy z Peweksu – wypomniał Jakub. – *Pecunia non olet*, nieprawdaż? To się nazywa hipokryzja, koleżanko.

– Dajcie mi spokój – prychnęła. – Mam was dość. Idę do makaroniarzy, z nimi będzie weselej.

Przeniosła się kilka stanowisk dalej, gdzie śmiejąc się z czegoś, pracowało kilkoro młodych Włochów.

Iza chodziła obrażona do końca pracy. Odświeżyła się, umalowała i wystrojona w najlepsze ciuchy poszła gdzieś, nie obdarzywszy Adama nawet spojrzeniem.

Mało go obeszły dąsy koleżanki. Wziął prysznic, włożył czyste ubranie i niedługo później pojechał na wycieczkę z Viktorią.

Parę kilometrów za Małą Oszmianką, z łąki na sporym pagórku rozciągała się szeroka panorama na dolinę Renu, muśniętą promieniami zachodzącego słońca. Siedzieli obok siebie na kraciastym kocu. Viktoria zabrała wiklinowy kosz wypełniony smakołykami. Skubała winogrona, zapatrzona w czerwieniejące słońce. Wiatr rozwiewał jej włosy, szarpał rękawy białego swetra. Robiło się chłodno, więc Adam zdjął z siebie skórzaną kurtkę i narzucił dziewczynie na ramiona.

– Dziękuję. A ty nie zmarzniesz?

– Mam ciepły golf. – Chwycił w palce dół czarnego swetra. – Dobrze się z tobą milczy.

– O czym myślałeś, kiedy milczałam? – spytała, owijając się szczelnej kurtką.

– O piosence Ewy Demarczyk. Skojarzyła mi się z tobą, gdy jadłaś winogrona.

– Czy o tej? – spytała i zanuciła fragment:

*Jeszcze mi tylko z oczu jasnych  
Spływa do warg kropelka słona  
A ty mi nic nie odpowiadasz  
I jesz zielone winogrona...*

– Tak – przyznał zaskoczony. – Masz ładny głos. Nie przypuszczałem, że znasz piosenki Demarczyk.

– Babcia ma jej płytę. A ty lubisz Demarczyk?

– Lubię. Grechutę i Wysockiego też.

– Nie przypuszczałam, że inżynier może być wrażliwy na poezję.

– To wada?

– Moim zdaniem zaleta. Ja lubię wiersze Miłosza, znasz?

– Wpadło mi niedawno coś w ręce u Kuby. W PRL-u Miłosz jest zakazany, ale powielają go na bibule, jeśli ktoś przemyci oryginał

z Zachodu.

– Moja babcia parę lat temu przywiozła z Paryża jego tomik. Jest tam taki wiersz: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego/ Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając...”.

– „...Gromadę błaznów koło siebie mając/ Na pomieszenie dobrego i złego” – kontynuował Adam. – Właśnie ten czytałem u Kuby. Nie przypominę sobie, co było dalej, ale kończył się chyba tak: „Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta. Możesz go zabić – narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy”. Mocne. Dlatego komuniści go nie lubią.

– Wcale się nie dziwię. Widzisz tę skałę? – Wskazała na drugim brzegu rzeki strzelisty głaz. – Nazywa się tak jak nasze miasteczko, Lorelei. Od imienia dziewczyny, która rzuciła się z niej, zdradzona przez kochanka. Legenda mówi, że zamieniła się w syrenę i potem zwodziła rybaków płynających po Renie, żeby roztrzaskiwali się o skały.

– Podobno zdradzona kobieta może być nieobliczalna.

– A zdradzony mężczyzna?

– Nigdy nie wybaczy zdrady. Dlaczego o tym rozmawiamy?

– Bo wydaje mi się, że Izie na tobie zależy, chyba się w tobie kocha – powiedziała, obracając w palcach zerwany z trawy niebieski kwiatek. Patrzyła chwilę w dół, po czym przeniosła spojrzenie na Adama i dokończyła: – Nie chciałabym mimowolnie czegoś między wami zniszczyć.

– Między nami nie ma nic, co można by zniszczyć. Przynajmniej z mojej strony.

– Skoro tak – odrzekła. Poczowała ulgę, słysząc to zdecydowane zapewnienie, więc zapytała, zmieniając temat: – Podoba ci się tutaj?

– Podoba.

– Chciałam, żeby tak było, dlatego cię tu zabrałam, bo tu najlepiej słyszę swoje myśli.

– I co usłyszałaś?

– Że zawsze jest jakieś „przed” i jakieś „po”, ale pomiędzy istnieje „teraz”. I to nasze „teraz” jest takie, jak sobie wyobrażałam. Niczego bym w nim nie zmieniła. Mogłabym tak siedzieć przez całą noc.

– Możemy siedzieć. Rozpalę ognisko, żebyśmy nie zmarzli. Masz w tym bajeranckim aucie jakieś zapałki? – zapytał, wskazując na garbusa przy szosie.

– Jesteś pierwszym facetem, któremu podoba się mój samochodek. Już z tego powodu mogłabym się w tobie zakochać bez pamięci.

– Robi się coraz ciekawiej. – Uniósł lekko brwi, ale zaważyła, że spodobała mu się ta złożona w żartach deklaracja. – Z jakiego jeszcze powodu mogłabyś się we mnie zakochać, skoro zaczęłaś ten temat?

– A musi być powód, żeby się zakochać? – odparła pytaniem. Znów patrzyła na wprost i oplatała ramionami kolana. – To się chyba dzieje bez powodu. Po prostu przychodzi i już. Zresztą nie wiem, jeszcze nie byłam zakochana.

– Serio nigdy nie byłaś zakochana?

– Czemu to cię tak dziwi? Miałam jakieś przelotne nic nieznaczące zauroczenia, ale nie szukam miłości na siłę. Wierzę w przeznaczenie, prędzej czy później sama mnie znajdzie. Znienacka, bez uprzedzenia, po prostu któregoś dnia się zjawi. Może nawet całkiem niedługo? – rzuciła w przestrzeń. – A ty? Byłeś zakochany?

– Wiele razy. W koleżance z przedszkola, potem w pani przedszkolance, a najbardziej kochałem się w Marusi z *Czterech pancernych*. – Uśmiechnął się połową ust. – Wszyscy chłopacy z podwórka się w niej kochali. Znasz ten serial?

– Słyszałam o nim. A tak poważnie?

– Jakieś przelotne nic nieznaczące zauroczenia – powtórzył po niej.

Może ta miłość, na którą czekam, właśnie się zjawiała zza żelaznej kurtyny?, zastanawiała się, czując szybsze bicie serca. Ta myśl zaczęła jej się podobać.

Powiało mocniej, więc trochę zadrzała, bardziej się skuliła. Adam usadowił się z tyłu, żeby osłonić ją sobą od wiatru, otoczył ramionami.

– Zmarzłaś – mówił z ustami przy jej uchu. Pachniała tak zmysłowo, że zaszumiało mu w głowie. – Rozpalić ognisko?

– Innym razem, niedługo musimy wracać, a jeszcze nic nie zjedliśmy – odrzekła, zwiększając dystans między nimi. Zrozumiał przekaz i wrócił na poprzednie miejsce. Viktoria wyjmowała z kosza pojemniki z jedzeniem, talerze, sztucce, rozłożyła wszystko na kocu. – Kolacja na trawie, prawie jak u Maneta.

– Słyszałem o śniadaniu na trawie. I z tego, co pamiętam, kobieta na obrazie Maneta była naga.

– Nie bądź taki drobiazgowy. – Zabawnie zmarszczyła nos. – Są pierogi z mięsem, popisowy numer mojej babci, co prawda wystygły, ale na zimno też są smaczne, kanapki z wędzonym łososiem oraz kiełbaski. No i oczywiście winogrona.

Wyjął z pojemnika jedno grono i przez chwilę obracał je w palcach. Przyszło mu na myśl pewne skojarzenie. Milczał chwilę, a potem powiedział refleksyjnym tonem:

– W akademiku mieliśmy na szafce specjalny haczyk. Wieszaliśmy na nim plaster cytryny zaczepiony na nitce. Jeden na czterech chłopa. Dla nas cytryna była towarem deficytowym, więc ją oszczędzaliśmy. Każdy mógł umoczyć plaster w herbacie tylko raz, po kolei. Potem cytryna wracała na haczyk. Wystarczała na parę dni, nim wymoczyliśmy z niej cały smak. Im mniej go zostawało, tym bardziej wydawała się cierpka, i wiedzieliśmy, że ten powiew luksusu zaraz się skończy. Dziwne, wasze winogrona też czasem smakują jak tamta cytryna. Cierpko, choć są słodkie.

– Domyślam się, dlaczego o tym opowiedziałeś.

– Naprawdę?

– Rzeczywiście teraz niczego nam nie brakuje, ale kiedyś brakowało nawet chleba. Nie znam tego z autopsji, tylko z opowiadań. Nie myśl sobie, że ja czy Peter dostajemy wszystko na pstryknięcie. Na wiele rzeczy musimy zapracować. Więc dla mnie nie ma znaczenia, co ludzie mają lub czego nie mają, ważne, jacy są. A ty jesteś... – urwała.

– Jaki?

Owiewał ją jego ciepły oddech, widziała pożądanie w oczach Adama, czuła to samo, lecz jeszcze nie pozwoliła nieść się pragnieniu.

– Wartościowy. Krótco cię znam, ale myślę, że można ci ufać.

Zrobiło mu się lżej od tych słów, więc zagadnął ją pogodniej:

– Spróbujemy tych babcinych pierogów?

– Koniecznie, inaczej będzie zła.

Jedli pierogi, słońce prawie już zaszło i w powietrzu czuło się wilgoć, ale oni zdawali się tego nie zauważać. Rozmawiali o tym i owym, żartowali swobodnie, jakby znali się całe życie.

– Czekaj. – Coś sobie skojarzyła. – Skoro studiowałaś na politechnice w Warszawie, może znasz Jurka Ostojańskiego? To mój kuzyn, mieszka z nami w Berlinie.

– Jasne, że znam – odpowiedział od razu. – Był rok wyżej ode mnie na mechanicznym. Wyrzucili go, bo drukował w akademiku bibułę. Z powielacza śmierdziało spirytusem na cały korytarz i jakaś gnida doniosła. Jurek to legenda uczelnianej opozycji. Nie przypuszczałem, że to twój kuzyn. Jest tutaj?

– Miał przyjechać z babcią, ale będzie dopiero w październiku, a wtedy ty już wyjedziesz – powiedziała, starając się ukryć przygnębienie.

Myśl, że jeszcze tydzień i Adam wyjedzie, sprawiała jej przykrość. Aby nie poddać się ponuremu nastrojowi, zaczęła opowiadać jakieś śmieszne historyjki ze studiów, on rewanżował się tym samym.

Było już ciemno, gdy wrócili z wycieczki. Przed bungalowami płonęło ognisko, bawiło się przy nim kilkadziesiąt osób. Z magnetofonów rozbrzmiewała grecka muzyka, wybuchały salwy śmiechów, toczyły się głośne rozmowy. Włosi raczyli się winem przed swoim domkiem i docinali w żartach podpitym Grekom, którzy obok tańczyli zorbę. Między nimi pląsał Kuba z Agą.

Iza, wystrojona w czarną miniówkę, piła wino, siedząc z Włochami. Musiała się trochę wstawić, bo śmiała się najgłośniej ze wszystkich, odrzucała w tył włosy i wyraźnie kleiła się do jakiegoś smagłego bruneta.

– O, nasi wędrowcy! – zawołał wyszczerzony Kuba, nie przerywając tańca, gdy ich ujrzał, jak zbliżali się do ogniska. – Chodźcie do nas, robaczki. W życiu tak nie tańczyłem. Opaaa! – wykrzyknął.

– Opaaa! – odkrzyknęło chórem kilkunastu tancerzy.

– Idziemy? – Adam nachylił się do ucha Viktorii i objął ją delikatnie w talii. Tym razem się nie odsunęła, więc wzmacnił uścisk.

– Możemy... – zdążyła odpowiedzieć, gdy nagle stało się coś, co popsło dobry nastrój.

Na widok ich obojga Iza energicznym, choć nieco chwiejnym krokiem podeszła do objętej pary.

– Nikt cię tutaj nie zapraszał! – wycodziła przez zęby do Viktorii. – To nasz prywatny czas!

Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, tak zrobiło jej się przykro. Zmieszany Adam zaczął mitygować koleżankę.

– Ochłoń, trochę za dużo wypijaś, więc się nie kontrolujesz. Jutro będziesz tego żałować. Powinnaś się położyć – tłumaczył spokojnie, chciał ją ująć pod rękę, żeby zaprowadzić do domku, ale go odpychała.

– Nie mów mi, co powinnam! – wrzasnęła rozwścieczona. – Po co tu z nią przylazłeś?! Żeby zrobić mi na złość?! Nienawidzę tej Szwabki! Uważa się za lepszą od nas, bo ma więcej szmalu, zarozumiała pinda! Nie mogę znieść, że faszyci mają się jak pączki w maśle, a my pracujemy dla nich na kolanach. To ta Niemra powinna przed nami klęczeć i przeproszać za Auschwitz, Warszawę, getto...

– Odwaliło ci do reszty? – Dalszy słowotok Izy przerwał Kuba, który zjawił się obok, próbując opanować sytuację. – Co ty wyprawiasz? Narąbałaś się, to lulu! Jeszcze z roboty nas przez ciebie wywalą, idiotko – syczał wściekły.

– Kuba, spokojnie, przecież wiesz, że ona ma słabą głowę... – Aga próbowała załagodzić napiętą atmosferę. – Nie bierz tego do siebie, Viki. Jutro Iza nie będzie niczego pamiętać.

Viktoria, choć paliły ją policzki, opanowała się, żeby nie okazać słabości. Uniosła wyżej głowę i ze stoickim wręcz spokojem oświadczyła lodowatym tonem:

– Po pierwsze, to ty jesteś tu gościem, Iza, nie ja. Jeśli chciałaś mnie upokorzyć, żeby się dowartościować, nie udało ci się. Przyznaję, mój dziadek był esesmanem i mordował Żydów. Nie odpowiadam za jego czyny, ale świadomość, że miałam dziadka zbrodniarza, jest straszna. Nie zamierzam przed tobą klękać, lecz jeśli poczujesz się z tego powodu lepiej, przeproszam. – To powiedziawszy, pochyliła lekko głowę. – Za dziadka i jemu podobnych, choć niczemu nie jestem winna. Podobnie jak nie zawiniło wielu Niemców. Nie bronię nazistów, ale nie można wszystkich wrzucać do jednego worka. Obojętne, Niemców, Polaków czy Rosjan. Ulegasz stereotypom, a te rodzą uprzedzenia. A od uprzedzeń do dyskryminacji i nienawiści jest niedaleko. Skoro powołałaś się na faszystów, sama wiesz, do czego to prowadzi – zakończyła.

Iza stała z gapowato otwartymi ustami, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że przeholowała. Aga z Kubą też wyglądali na zakłopotanych. Adam milczał.

– Pójdę już – dodała Viktoria. – Miłej zabawy, cześć.

To powiedziawszy, zostawiła ich osłupiałych, obróciła się na pięcie i rozgoryczona pomaszerowała do samochodu. W połowie drogi dogonił ją Adam.



– Zaczekaj. – Chwycił ją za rękę, odwrócił ku sobie i zaczął się tłumaczyć. – Głupio wyszło. Wstyd mi za nią. Przepraszam.

– Przecież to nie twoja wina.

– Niby tak, ale poniekąd oberwałaś za mnie. Nie wiedziałem o twoim dziadku.

– Teraz już wiesz. Też uważasz mnie za faszystkę?

– Jak mogło ci to przyjść do głowy? Trzeba mieć odwagę, żeby się przyznać do czegoś takiego.

– Kobiety w naszej rodzinie są odważne.

– Szacun dla nich i dla ciebie. – Poglądził ją wierzchem dłoni po policzku.

Gest był delikatny, wręcz czuły. Adam patrzył na nią tak, że całe rozgoryczenie mijało. W zamian pojawiło się pragnienie, aby stało się coś, czego podświadomie pragnęła od chwili, gdy ten mężczyzna wdarł się w jej myśli.

– Więc mnie pocałuj. Chcesz tego tak samo jak ja.

Całowała się wiele razy. Pierwszy raz, gdy była nastolatką. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, aby kiedykolwiek czuła się wtedy tak wyjątkowo. Miała wrażenie, że na tę jedną chwilę świat się zatrzymał. Nie było żadnego przed ani po, tylko teraz.

## Rozdział XIII

# Szach-mat

Głowa w chmurach, skrzydła u ramion, schody do nieba, każde z owych utartych sformułowań było odpowiednie, aby określić stan, w jakim znajdowała się od paru dni Viktoria. Pierwszy raz doświadczyła uczucia, którego z niczym nie dało się porównać.

– Karin, chyba naprawdę się zakochałam – mówiła w uniesieniu podczas telefonicznej pogaduszki z przyjaciółką. – Wiem, że krótko się znamy z Adamem, ale przy nikim nie czułam się tak wyjątkowo.

– Jaki on jest?

– Cudowny. Pod każdym względem. Jako człowiek i tak w ogóle. Skończył politechnikę, zodiakalny Baran. Męski, a jednocześnie czuły, opiekuńczy. Jeszcze żaden facet tak się o mnie nie troszczył – zwierzała się pełna entuzjazmu.

– Jednym słowem, ideał. Tylko nie zapomnij, że ideały nie istnieją. Chyba że w książkach.

– Adam stanowi wyjątek.

– No, skoro już tak świergoczesz, naprawdę się zakochałaś.

– Niestety, w środę rano już wyjeżdża. Pocieszam się, że za parę miesięcy znów będziemy razem. Popatrz, jaki szczęśliwy traf, że wysyłają mnie na staż do Warszawy, Adam tam mieszka. Widać zostaliśmy sobie zapisani w gwiazdach, że tak się to ułożyło.

– Co za romantyzm przez ciebie przemawia. – Karin się zaśmiała. – Jeszcze cię nie słyszałam w takim wydaniu.

– Nie masz pojęcia, jak podobam się sobie w takim wydaniu. Adam zaprosił mnie w Bieszczady.

– Gdzie?

– W góry w Polsce, za którymi przepada. Już bym chciała tam z nim pojechać. Zadzwoń do Hamburga i spytam, czy uda się przyśpieszyć

sprawę z akredytacją, żeby nie czekać do końca roku. To jeszcze trzy miesiące. Jak ja bez niego wytrzymam?

– Wytrzymasz. Rozłąka to najlepszy sprawdzian dla związku. Przekonacie się o sile waszego uczucia – podsumowała Karin z nutą patosu. – Im bardziej będziecie za sobą tęsknić, tym radośniej się powitacie.

– Niech się spełni. – Viktoria splótła ze sobą dwa palce. – Co u ciebie?

– Przedwczoraj byłam z Jerzym na wystawie malarstwa nowoczesnego.

– O czymś nie wiem?

– Niczego sobie nie dopowiadaj. Mój były pacjent miał wernisaż, przysłał podwójne zaproszenie, a że głupio mi było samej iść, zaproponowałam Jerzemu, a on się zgodził z sąsiedzkiej grzeczności. To wszystko.

– Przy okazji kolejnej grzeczności powiedz Jurkowi, że Adam tu jest. Dzwoniłam wczoraj do niego, ale nie odbierał.

– Musiał pilnie wyjechać. Leć do swojego Adama.

– Jeszcze go nie ma. Pojechał z moim ojcem zawieźć wino do Sankt Goar. Powinni wrócić za godzinę.

– Masz więc czas, żeby zrobić się na bóstwo. Włóż coś niebieskiego. W błękitnym ci najlepiej.

Po rozmowie z przyjaciółką Viktoria zaszyła się w łazience, żeby się odświeżyć przed spotkaniem z Adamem. Dziś chciała mu pokazać miejsce, którego jeszcze nie widział. Przeszedł ją przyjemny dreszcz na myśl, że znów, tak jak wczoraj, przedwczoraj i wcześniej, nie będą mogli oderwać od siebie rąk ani ust. Nie przypuszczała, że pocałunki mogą stać się tak erotycznym doznaniem.

Prócz tych pieszczot jeszcze do niczego między nimi nie doszło. Chciała, aby ich wspólny pierwszy raz był czymś wyjątkowym, wyczekiwany, miał odpowiednią oprawę. Z Adamem wolała celebrować miłość, niż tylko pójść do łóżka, choć z drugiej strony coraz trudniej było opanować pożądanie.

Umyła się, przeczesła włosy, pociągnęła tuszem rzęsy. Chwilę przeglądała ubrania w szafie, nim wybrała miękki, jasnoniebieski sweter, do tego dzinsy, kropla perfum za uszami i tak wyszykowana wyszła z pokoju.

W domu nie było nikogo, lecz przez otwarte drzwi w holu zobaczyła w ogrodzie matkę. Owinięta białym szalem, siedziała na ławce przed urwiskiem, patrzyła przed siebie i paliła papierosa. Mama zawsze miała coś do zrobienia, więc ten bezruch był niecodziennym zjawiskiem. Zwłaszcza

o tej porze, kiedy w sobotnie popołudnie zaczynał się największy ruch w winiarni.

Podeszła do niej i usiadła obok.

– O, Viki, myślałam, że śpisz. – Anna drgnęła, wyrwana z zamyślenia. Oczy miała pełne łez. Prędko przetarła palcami policzki i uśmiechnęła się blado.

– Płakałaś? Coś się stało? – dopytywała się zaniepokojona Viktoria.

– Nie, skąd – odrzekła swobodnie, gasząc niedopałek w popielniczce. – Użyłam nowego płynu do czyszczenia podłóg i chyba mam na niego alergię. Łzawią mi od niego oczy i trochę boli głowa. Dlatego wyszłam się przewietrzyć.

– Na pewno to tylko alergia? Może macie jakieś kłopoty?

– Co ci przyszło do głowy? Nie mamy żadnych kłopotów, prócz mnóstwa pracy. Babcia z Peterem niedawno pojechali do winiarni. Zaraz też do nich dołączę – mówiła, otoczywszy córkę ramieniem. – Ładnie wyglądasz.

Viktoria nieczęsto słyszała od mamy pochwały, więc taka opinia sprawiła jej przyjemność. Podobnie jak okazywane czułości. Wiedziona impulsem, oparła głowę o ramię matki i wyznała:

– Zakochałam się, mamo.

– Dlatego tak promieniejesz – odrzekła miękko Anna. – Nie zawsze mogliśmy się porozumieć, więc tym bardziej doceniam, że mi o tym powiedziałaś. To wiele dla mnie znaczy. Zaproś Adama do nas jutro na obiad.

– Skąd wiesz, że chodzi o niego? – Spojrzała zdumiona na matkę.

– Jaskółki mi doniosły – zażartowała i dodała: – Bywam przecież na plantacji. Jestem może oschła, ale nie ślepa. Wystarczy na was spojrzeć z daleka, żeby się domyślić, o co chodzi. Skoro postanowiłaś, że jedziesz do Warszawy, a Adam tam mieszka, będziemy z ojcem spokojniejsi, że ktoś zatroszczy się o ciebie na miejscu. Dlatego chcemy go poznać bliżej. Masz coś przeciwko temu?

– Nie, skąd. Nie spodziewałam się, że to zaproponujesz, nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. Po prostu zaproś go na drugą. – Anna poklepała córkę po kolanie i rzuciła, wstając z ławki: – Na mnie już czas. Dziś mamy przyjęcie urodzinowe, więc pewnie zejdzie nam się do północy.

– Chcesz, żebym pomogła?

– Nie trzeba. Mamy obsadę. – Cmoknęła w czoło oniemiałą córkę i ruszyła do domu, niosąc w sobie żal, że wtedy, gdy był czas po temu, zbyt często nie obdarzała pocałunkami dziecięcych czółek.

Viktoria pożegnała odjeżdżającą niebawem mamę, wsiadła do auta i pojechała pod bramę, żeby poczekać na Adama. Nie chciała uronić ani chwili z reszty czasu, jaki był im teraz dany.

Przed bungalowami, jak zwykle po pracy, siedziało kilkanaście osób. Śpiewały, piły wino przy ognisku, grała muzyka z magnetofonów. W domku Adama nie paliło się światło, więc Aga z Izą też pewnie gdzieś się ulotniły. Z tą drugą nie zamieniły słowa od tamtego incydentu, wręcz się unikały.

Ledwo zatrzymała auto, gdy nie kto inny, a właśnie Iza zastukała w szybkę i zapytała:

– Możemy pogadać?

– Wejdz, tu będzie ciszej.

Tamta wsiadła do samochodu na fotel obok kierowcy, zsunęła z głowy kaptur kangurki, odwróciła się bokiem do Viktorii i zaczęła chłodnym tonem:

– Zawsze mówię to, co myślę, więc nie będę udawać, że cię lubię, ale nie powinnam tak się zachować wobec córki szefa. Przepraszam. Dla twojej wiedzy, moja babcia była więźniarką w Auschwitz.

– Przykro mi z tego powodu. Przepraszam, jeśli o to ci chodzi.

– Nie tylko o to. – Iza potrząsnęła głową. Zebrane w wysoką kitkę włosy zakołysały się jak wahadło. – Zostaw Adama w spokoju. To trudny facet. Czasem można go przyłożyć do rany, ale potrafi też je zadawać...

– Ile ty masz lat? – przerwała jej Viktoria.

– Dwadzieścia dwa – odrzekła tamta, wyraźnie zbita z pantafyku.

– A zachowujesz się jak piętnastolatka. Adam to nie zabawka, którą można zostawić. Oczerniasz go, bo nie odwzajemnia twoich uczuć. To jest tak samo dziecinne jak podłe. Poza tym skoro jest taki zły, dlaczego ci na nim zależy? Na twoim miejscu trzymałabym się z daleka od takiego faceta – mówiła, nawet nie próbując maskować ironii. – Mam własne zdanie o Adamie, a ty dorośnij i zrozum, że można kogoś zmusić do uległości, ale nie do miłości.

– Wy, Niemcy, jak nikt potraficie zmuszać do uległości.

– Jeśli to wszystko, co chciałaś mi powiedzieć, nie zatrzymuję cię dłużej.

Iza wysiadła z auta, trzasnęła drzwiami i pomaszerowała do biesiadujących przy ognisku.

Viktoria odprowadzała ją wzrokiem. Rewelacje o Adamie nie zrobiły na niej wrażenia. Była wręcz pewna, że ta Polka uraczyła ją stekiem bzdur. Jednak opinia o Niemcach i nienawiść, jaką okazała jej Iza, zabolowały.

Przykre odczucie pierzchnęło do razu, gdy wrócił Adam. Przyjechał sam ciężarówką.

– Zostawiłem twojego ojca w winiarni – zameldował, wyskoczywszy z szoferki.

Od razu chwycił Viktorię w ramiona, odciągnął za pakę samochodu, dalej od ludzkich oczu, i zaczął zachłannie całować, jakby nie widzieli się parę miesięcy, a nie ledwo kilka godzin.

– Zwariowałem dla ciebie... – mówił, zasypując pocałunkami jej oczy, policzki, czoło.

– A ja dla ciebie... – odrzekła, odchylając głowę do następnych pieszczot, których wciąż było jej mało.

– Więc szach-mat... – mruzczał z ustami przy szyi Viktorii. – Bosko pachniesz.

– Jedźmy stąd wreszcie.

– Daj mi dwie minuty, tylko się umyję, wyładowaliśmy całą ciężarówkę skrzynek. Dokąd jedziemy tym razem?

– Zobaczysz.

Nie minął kwadrans, gdy siedzieli na ławce przed domem i objęci patrzyli ze skarpy na czerwieniejące niebo, podjadając smakowite przekąski z sera, oliwek, parmeńskiej szynki oraz winogron.

– Powinniście pobierać opłaty za taki widok – powiedział z uznaniem Adam, rozglądając się wokół. – Z góry wygląda jeszcze lepiej niż z dołu. Nie wiem, czy choć w połowie zachwycisz się tak Bieszczadami.

– Z tobą się zachwycę.

Uśmiechnął się, nalał im czerwonego wina.

– To wino ze specjalnej odmiany winogron. Duma mojego ojca. Sam je skomponował. Stąd ten kolor burgunda i aromat z nutką wiśni i włoskich orzechów. Z początku wydaje się dość cierpkie, to subiektywne odczucie. Wystarczy potrzymać trochę w ustach, żeby wychwycić smak. Tylko uważaj, prędko uderza do głowy.

– I bez wina uderzyłaś mi do głowy – wyznał, spróbował trunku. – Z początku rzeczywiście cierpkie, ale dobre. Nawet bardzo dobre.

– Miałam nadzieję, że ci posmakuje, a teraz zrobimy sobie sesję, póki jeszcze dobre słońce.

Pstryknęła Adamowi kilka zdjęć, potem on jej. Do kilku zapozowali razem, gdy trzaskał mechanizm samowyzwalacza. Przy paru się pocałowali.

– A teraz co by pani chciała? – spytał, obejmując ją ciasno w talii.

– Do nieba poproszę.

– Madame. – Skłonił się przed nią lekko, wskazał na huśtawkę.

Usiadła na niej i po chwili rozhuśtana maksymalnie prawie fruwała w powietrzu. A jeszcze później znów całowali się jak opętani. Nie dało się dłużej powstrzymać pożądania. Chwyciła Adama za rękę i pociągnęła za sobą.

Na nic się zdała teoretyczna reżyseria pierwszego razu. Ledwo przekręciła klucz w drzwiach swojego pokoju, dopadło ich istne szaleństwo. Niemal zdarli z siebie ubrania, wciąż całując się zachłannie.

– Nie mam...

– Biorę pigułki – nie dała mu dokończyć.

Jednym ruchem podsadził ją sobie na biodra, plecami oparł o ścianę, by wreszcie dać upust gwałtownej namiętności, która spadła na nich z siłą żywiołu.

Drugi raz był spokojniejszy, bardziej zmysłowy, choć wciąż czuli niedosyt siebie. Dopiero trzeci przypomniał nieśpieszny spacer w chmurach. Przekonała się, że akty dopełnione miłością smakowały zupełnie inaczej.

– Moja mama zaprasza cię do nas jutro na obiad. Przyjdiesz?

– Przyjdę. Tylko nie mam wyjściowych ciuchów.

– Włóż to, w czym się będziesz czuł swobodnie.

– Jesteśmy sami?

– Do północy.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy w domu zrobiło się jakieś zamieszanie i usłyszała głos ojca.

– Viki, jesteś?! Widziałem twój samochód! – Wraz z głosem rozległo się pukanie do drzwi.

– Jestem... kąpałam się! – odkrzyknęła pierwsze, co wpadło jej do głowy, siadając gwałtownie na łóżku.

– Szach-mat – szepnął bezgłośnie Adam i ukrył twarz w poduszce, by nie parsknąć śmiechem, że zostali nakryci jak dzieci.

– Coś się stało?! Właśnie się wycieram! – skłamała, klepiąc go w ramię, żeby przestał chichotać.

– Ubierz się i chodź, zobacz, jakich gości przywiózł Jerzy – padło zza zamkniętych drzwi.

Wkładali pośpiesznie ubrania, starając się robić jak najmniej hałasu. Viktoria dla pozorów zmoczyła włosy i zawiązała na głowie turban z ręcznika. Adam wyjrzał przez okno, żeby ocenić wysokość.

– Niecałe pierwsze piętro, pestka – szepnął, tłumiąc wesołość.

– Nie wygłupiaj się, chyba nie zamierzasz uciekać tędy? Jesteśmy przecież dorośli.

– Wiem, ale nie chcę zrobić złego wrażenia. Poza tym czuję się teraz jak w filmie. Do jutra. – Pocałował ją na pożegnanie, otworzył okno, wskoczył na parapet i już go nie było.

– Wariat. – Posłała za nim całusa na dłoni.

Wyrównała pościel na łóżku, uspokoiła oddech i wyszła z pokoju.

W korytarzu stała walizka, a z salonu dobiegał szmer chaotycznych rozmów prowadzonych głównie po polsku. Pośród głosów, które rozróżniała bez trudu, dominował kobiecy, z silnym amerykańskim akcentem. Słyszała też jakiegoś mężczyznę.

Z pokoju wyszedł Jerzy.

– O, cześć, Jureczku, co to za zamieszanie? Kto przyjechał? – pytała, gdy cmoknęły się w policzki na powitanie.

– Cześć, sama zobacz, miałem z nimi niezły ubaw, zaraz wracam, przyniosę z samochodu resztę walizek.

Ruszył w stronę wyjścia, a Viktoria weszła do salonu.

– Tylko zobacz, jaką niespodziankę nam sprawili – powiedziała entuzjastycznym tonem Maria na widok wnuczki, wskazując przy tym osobliwą parę stojącą pośrodku eleganckiego salonu. – Wczoraj przylecieli do Berlina i Jerzy ich tu przywiózł.

Viktoria przyjrzała się ubranej w czarny opięty kombinezon ze skóry szczupłej kobiecie, grubo po siedemdziesiątce. Długie, rozpuszczone włosy miała ufarbowane na platynowy blond, do tego mocno uszmkowane usta, sztuczne rzęsy, sznury złotych łańcuszków na głębokim dekolcie i niebotycznie wysokie obcasy.



Obok niej stał o jakieś dziesięć lat młodszy mężczyzna. Wysoki, szpakowaty, dostoyny, w czarnym garniturze, ciemnej koszuli, z koloratką pod szyją.

Anastazja, zwana Nastką, i Olek. Przyrodnie rodzeństwo babci, którego Viktoria nie widziała od kilku lat.

– Nie mogłaś ubrać się skromniej? – Olek skrytykował odstawioną na wampę starszą panią. – Cały samolot na nas patrzył. Bóg wie, co sobie pomysleli.

– Dewot – skwitowała z wyższością, po czym teatralnym gestem rozłożyła ramiona i podeszła przywitać się z Viktorią. – Z taką urodą zrobisz karierę w Hollywood – mówiła głośno, wymieniając całusy. – To musiała być wyjątkowo gorąca kąpiel, masz malinkę na szyi, *darling* – dodała szeptem.

– Miło cię widzieć, ciociu – wykrztusiła zmieszana dziewczyna, pośpiesznie osłaniając szyję ręcznikiem. – Świetnie wyglądasz.

– Ciebie też dobrze znów widzieć, drogie dziecko. – Olek uściśnął ją serdecznie. – Was wszystkich dobrze znów widzieć i być tutaj. W Europie. Tu inaczej się oddycha. Bardziej swojsko niż za oceanem. Bliższe duszy powietrze.

– Tylko się nie rozplącz – przerwała mu Anastazja. – Aniu, Joachimie, dajcie naszemu wielebnemu dużo dobrego wina, bo przez to mszalne popada w melancholię. Albo lepiej jointa mu daj, żeby szybciej się rozluźnił. – Mrugnęła znacząco do Petera, który tylko parsknął.

– Zgrzeszę, ale kiedyś urwę ci ten tleniony łeb – odciął się Olek. – Różaniec byś lepiej odmawiała, zamiast w twoim wieku latać wydekoltowana do pasa.

– Żeby wielebny częściej korzystał z ponętnych dekoltów, a mniej z różańca, to nie skończyłyby na starość w sukience, która do reszty zabiła twoją męskość. – Anastazja odbiła piłeczkę.

– Całą drogę z Berlina tego słuchałem. – Do pokoju wrócił Jerzy.

Maria podeszła do rodzeństwa, cmoknęła każde w policzki i powiedziała rozrzewniona:

– I jak ich tu nie kochać.

– Nie da się – potwierdził Joachim, któremu żona tłumaczyła na niemiecki, czego nie rozumiał z prowadzonej po polsku rozmowy. – To ja przyniosę wino.

– A my zrobimy kolację – włączyła się Anna. Niezapowiedziana wizyta krewnych, którzy swoimi niegroźnymi utarczkami wnosili do domu tyle życia, jej także poprawiła nastrój. – Wyobraź sobie, Viki, że ta rezerwacja lokalu na urodziny to pomysł Anastazji. Zrobiła wielkie wejście i wzięła nas z zaskoczenia. Chodź, pomożesz mi przygotować kolację. Ty, Peter, też.

– Kolację? O tej porze? – Ciotka udała oburzenie. – O tej porze mogę się napić szampana, ewentualnie pójść do łóżka, najlepiej w miłym towarzystwie, ale kolacja? Nie po to wyciskam litry potu na aerobiku, żeby rujnować ciało, opychając się kaloriami. Jane Fonda pokazała mi ostatnio takie energetyczne ćwiczenia przy dyskotekowej muzyce, mówię wam, rewelacja. Lepsze niż seks, przynajmniej w niektórych przypadkach.

– Jesteś w dechę, babciu – wyrwało się Peterowi, czym nieświadomie zirytował Anastazję.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie babcią, a obiecuję, że nie dostaniesz ani dolara z tych, które chciałam przeznaczyć dla ciebie na rozpusztę – zagroziła, wyciągając przed siebie palec z pomalowanym na czerwono długim paznokciem.

– Okej, okej. – Peter uniósł w górę ręce. – A o jakiej kwocie mówimy? Bo wiesz, miałem osiemnastkę.

– O, i to mi się podoba, konkretny młody człowiek – stwierdziła Nastka, nim Anna zdążyła upomnieć syna. – Nie bój się, ciocia i wujek z Ameryki nie zapomnieli o twojej osiemnastce. Gdzie tu jest łazienka? Muszę się odświeżyć.

– Zaprowadź ciocię do naszej – zwróciła się do córki Anna. – Tam są świeże ręczniki, a ja zrobię jednak coś do jedzenia, wujek Olek i Jerzy pewnie są głodni po podróży.

– Chodźmy, *my darling*. – Anastazja wsunęła rękę pod ramię Viktorii i szepnęła do jej ucha: – Przy okazji przypudrujesz sobie tę malinkę. Musi mieć niezły temperament twój *loverboy*. Kiedy go poznam?

– Przyjdzie jutro na obiad – odrzekła, rumieniąc się po uszy.

To był przyjemny rodzinny wieczór. Anastazja dała się przekonać i skubnęła sałatki, cały czas dogryzali sobie wzajemnie z Olkiem, ale w tych docinkach więcej było udawania niż animozji. W gruncie rzeczy byli bardzo ze sobą życzliwi. Do Marii jak zwykle, gdy przy stole gromadziła się rodzina, wracały wspomnienia.

– Zawsze gdy na waszej plantacji roi się od ludzi, widzę ostojańskie pola, jak szliśmy do żniw – mówiła z nostalgią, krojąc mięso na talerzu. – Wuj Ksawery, świeć Panie nad jego duszą, zawsze pierwszy zaczynał żąć. Za nim szli synowie i wychowankowie. Pamiętasz, Olku?

– Jeszcze czuję odciski po kosie. To były piękne czasy. Zawsze gdy przyjeżdżałyście do Ostojanów – Olek spojrzał na Annę – Lilka i Róża wyrywały sobie ciebie z rąk. Pamiętasz, drogie dziecko?

– Tego akurat nie, ale Ostojanya pamiętam.

– Szkoda, że młodsze pokolenie zna nasze Ostojanya tylko z opowieści. – Aleksander ze smutkiem pokiwał głową. – Jerzy przynajmniej oddychał tamtejszym powietrzem, a Viktorii i Peterowi nawet to odebrano.

– Bardziej pamiętam mroźne powietrze Workuty, wuju, i to, jak nam włosy przymarzały do lodowatych ścian w lepiance – odrzekł Jerzy.

– Dobrze, koniec tych sentymentów, robi się ponuro. – Ciotka wychyliła na raz resztkę wina z kieliszka. – A wielebny niech lepiej ustali z Joachimem dostawę prawdziwego wina do parafii zamiast tych popłuczyn, których próbowałam.

– Bluźnisz, niewiasto – powiedział z żartobliwym patosem Aleksander. – Twoje słowa są tak samo grzeszne jak twoje ciało.

– Niech się wielebny cieszy, że nie może zajrzeć w moje myśli, tam to dopiero sodoma i gomora – odparła, trzepocząc rzęsami.

Wszyscy się roześmiali, najgłośniej Joachim, gdy Anna przetłumaczyła mu kwestię.

– Nie możecie zostać u nas na stałe? – zapytał kalekim polskim. – Jurka już dawno chciałem namówić, żeby rzucił ten warsztat i przeniósł się do Lorelei. Potrzebujemy mechanika i zaopatrzeniowca. Zapłacę więcej, niż masz w warsztacie. Co ty na to, Jerzy?

– Dzięki za ofertę, ale na razie zostanę w Berlinie.

– Bo Karin tam mieszka? – zagadnęła Viktoria siedzącego obok kuzyna. Zauważyła cień zmieszania na jego twarzy.

– Nie bądź taka ciekawa – uciął.

– Jureczku, już się tak nie kryguj. – Ciotka Anastazja przysła jej w sukurs. – O ile zdążyłam wczoraj zauważyć, Karin to urocza i seksowna kobieta. Nie bądź więc fajtlapą.

– Co wyście tak się na mnie uwzięły? – fuknął rozeźlony. – Nie potrzebuję swatek. Chcę zostać w Berlinie z innego powodu. Po prostu

czasem przechodzę na wschodnią stronę, żeby zobaczyć się z matką albo z kimś z Polski.

– Dobrze, nie złość się tak – powiedziała do niego ciotka i dyskretnie puściła oko do Viktorii. – Nic złego nie miałam na myśli. Ja natomiast nie wykluczam, że będę tu częściej wpadać. Może nawet osiadę w Europie na stałe? Wielebnego i tak przenoszą w przyszłym roku do Kolonii. Bez niego zanudzę się w Stanach na śmierć.

– Przenoszą cię do Niemiec, Olku? – ucieszyła się Maria.

– A tak, zaproponowali mi posługę na rzecz Caritasu, a ja się zgodziłem.

– Wspaniale! – Twarz Marii się rozjaśniła. – Wreszcie będziemy blisko siebie.

– Najpierw nasz księżulo zabiera mnie do Lourdes, żeby wymodlić cud – ciągnęła Anastazja. – Zrobię mu tę przyjemność, niech się już modli, skoro tak mu na tym zależy, ale mnie w swoją dewocję wciągać nie będzie. Pojadę wyłącznie towarzysko. Do tego czasu posiedzimy sobie trochę tutaj i w Berlinie, a później zajrzemy do Polski.

– Jeśli będzie trzeba, zaciągnę cię też do Fatimy, La Salette, wszędzie! – Aleksander wycelował w nią palec.

– Nawet do Mekki, tylko przestań już nudzić, Oluś – odparła, upiwszy łyk wina.

– O jakim cudzie mówicie? – spytała Maria.

– Mam nieoperacyjnego tętniaka w mózgu – odrzekła Anastazja: zwyczajnie, bez melodramatycznych tonów. – Próbowali mnie leczyć, faszzerowali medykamentami, aż cera mi się od tego popsowała, i na koniec orzekli, że mogę umrzeć w każdej chwili. Za grosz nie wierzę tym konowalom. W każdej chwili! – prychnęła. – Oni mnie jeszcze nie znają, nie wiedzą, do czego jestem zdolna. Olka wyciągnęłam spod stosu trupów w sowieckim więzieniu, a z głupim tętniakiem sobie nie poradzę? Umrę, kiedy będzie mi się chciało.

Przy stole zaległa cisza. Sześć par oczu wpatrywało się z napięciem w kobietę, która jedyna wydawała się obojętna na zaistniałą sytuację, choć tylko ona wiedziała, ile ją kosztuje ta gra pozorów i jak bardzo potrzebuje tego udawania.

– Nie patrzcie tak na mnie – powiedziała, odrzucając w tył włosy. – Nie mam zamiaru tak prędko rozstać się z życiem. A że miałam majątnych kochanków, mam też pieniądze, żeby dać się wozić wielebnemu nawet do

Chin, skoro tak się upiera. Jest trochę męczący, ale w sumie dobrze się z nim bawię. A twoje rokowania, Anula, jakie są? – zapytała na koniec, gładząc Annę po dłoni.

Cisza przy stole zrobiła się jeszcze cięższa. Marii wypadł z ręki nóż i uderzył o talerz, a ten dźwięk zabrzmiał jak armatni wybuch.

– Jakie... rokowania? – Z jej ust wydobył się urwany szept, gdy patrzyła na wyraźnie teraz zakłopotaną córkę.

– Mamo? – odezwali się jednocześnie Viktoria i Peter, oboje w najwyższym napięciu.

Joachim położył rękę na plecach żony. On jedyny nie wyglądał na zaskoczonego.

– Myślałam, że wiecie – tłumaczyła się skonsternowana Anastazja. – Wybacz, Anula, jeśli zdradziłam twój sekret. W Stanach nie robi się z tego tajemnicy. Szukałam aspiryny w łazience, zobaczyłam w szafce lekarstwa i stempel z onkologii z twoim nazwiskiem, więc się domyśliłam.

– No cóż... – Anna odetchnęła głęboko. – Skoro już się wydało, dalsze ukrywanie nie ma sensu. Mam nowotwór. Wycięto mi guzek z piersi. Przyjmuję jeszcze naświetlania. Przedostatnie miałam niedawno w Monachium. Leczenie przynosi pożądane efekty, przerzutów nie ma, lekarze rozważają chemię, ale rokowania są dobre. Może jeszcze komuś sałatki? – Wskazała na półmisek, żeby odwrócić od siebie uwagę, gdyż rokowania nie były tak optymistyczne, jak to przedstawiła.

– Właśnie się dowiedziałem, że masz raka, a ty mi proponujesz... sałatkę? – wykrztusił z siebie Peter. – To dlatego pojechaliśmy do Monachium. Mydliłaś mi oczy, że chcesz, bym poczuł atmosferę klubu, popatrzył na treningi, a tak naprawdę wyganiałaś mnie na boisko, żebym się w niczym nie połapał. Teraz rozumiem, dlaczego Klaus chodził taki struty. On pewnie wiedział, tylko ja, głup, żyłem w nieświadomości. I pewnie dlatego dałaś mi prowadzić na autostradzie, kiedy wracaliśmy, że się źle czułaś. Pytałem, co ci jest. Kłamałaś, że ryba ci zaszkoziła. Potrzebny był ci kierowca, po to mnie zabrałaś. Pięknie, mamo! Właśnie się przekonałem, ile dla ciebie znaczę.

– Peter, wystarczy i nie tym tonem – upomniał go Joachim.

– I to dlatego byłaś ostatnio taka miła – dorzuciła swoje Viktoria, gdy już otrząsnęła się z szoku po zasłyszanej nowinie. – Po co? Żebym zachowała

po tobie lepsze wspomnienia? Może dopiero na pogrzebie bym się dowiedziała, że byłaś chora na raka, co? Mistrzowski szach-mat, mamó.

– Viktoria! – Joachim znów zareagował dość znacząco. – Już wystarczy.

– Jak mogłaś nic nam nie powiedzieć? – ciągnęła głucha na jego słowa. – Wolałaś zmyślać, zrzucać wszystko na przepracowanie, alergię. Patrzyłaś mi w oczy i kłamałaś. Ty tak samo. – Spojrzała na ojca. – A myślałam, że sobie ufamy, gównó prawda.

– Tak się nie robi – dorzucił Peter. – Do roboty jestem dobry, a do prawdy już nie? Chrzanię taki układ.

– Nie chciałam was niepotrzebnie martwić. To nic takiego.

– Wielkie dzięki – burknął syn i wyszedł z pokoju.

– Wiesz co, mamó... – zaczęła Viktoria, ale nagle zabrakło jej powietrza, ona też musiała prędko stąd wyjść, żeby ochłonąć. – Muszę się przewietrzyć.

To powiedziawszy, wymaszerowała z jadalni. Złapała z wieszaka w holu kurtkę, włożyła ją w biegu i wyszła przed dom, żeby się uspokoić. Przed wejściem brat palił papierosa. Dał znak ręką, że chce być sam, więc odeszła kilka kroków.

Było już zupełnie ciemno, wiał chłodniejszy wiatr. W dole jarzyły się światła w bungalowach. Nogi same ją poniosły w tamtą stronę. Truchtała po zboczu, żeby prędszej znaleźć się przy Adamie. Siedział przed domkiem i brzdąkał na gitarze, gdy zdyszana przystanąła w świetle latarni.

– Viktoria? Co ty tu robisz? – zdziwił się. Odłożył instrument, podszedł do niej i okolił dłońmi policzki. – Tak dziwnie wyglądasz. Stało się coś?

– Chciałam znów cię zobaczyć.

O nic więcej nie pytał, tylko mocno otoczył ją ramionami. Bardzo tego potrzebowała.

## Rozdział XIV

# Tyle jeszcze przed nami

Maria miała ciężką noc. Rano nie wiedziała, co ze sobą zrobić, wybrała się więc na długi spacer, ale i to średnio pomogło jej uspokoić rozszalałe myśli. Dławił ją strach, że Anna jest śmiertelnie chora. Śniadanie zjedli w minorowych nastrojach i w niepełnym składzie, gdyż goście jeszcze odsypiali różnice czasowe, a wnuki gdzieś się ulotniły.

Kiedy później gotowały z Anną obiad, nie mogła się skupić na prostych czynnościach. Wszystko leciało jej z rąk, gwałtowniej niż zwykle skrobała marchewki i siekała cebulę. W końcu rzuciła ze złością nóż na blat, wytarła ręce, wyszarpnęła z paczki papierosa, otworzyła okno i zaciągnęła się dymem.

– Jak mogłaś nic mi nie powiedzieć? – zadała to samo pytanie enty raz, po czym zwróciła się z pretensją do zięcia, który siedział z nimi w kuchni i pił kawę. Przeszła na niemiecki, żeby dobrze zrozumiał. – Ty też milczałeś jak grób.

– Taka była wola Anny, mamó, i myślę, że poniekąd miała prawo sama o tym decydować – zauważył spokojnie Joachim.

– Wałkujemy ten temat od wczoraj – stwierdziła zniecierpliwiona Anna i trochę gwałtowniej, niż zamierzała, wsunęła pieczeń do piekarnika. – Jestem tym zmęczona i nic więcej nie mam do powiedzenia. Peter się do mnie nie odzywa, Viktorii nie widziałam od kolacji. Wróciła w nocy i od razu poszła spać. Nawet nie wiem, czy Adam przyjdzie na ten obiad. Pewnie go odwołała ze złości na mnie.

– A dziwisz się, że są na ciebie źli, skoro ich okłamywałaś? – wytknęła jej Maria. – Ja też jestem wściekła. Mydliłaś mi oczy przepracowaniem, gdy zauważyłam, że schudłaś. Ciekawe, kiedy raczyłybyś nam powiedzieć, gdyby Nastka przypadkiem cię nie wydała?

– Może wcale? – Anna przysiadła na wysokim stołku obok matki. Przypaliła papierosa i wypuściwszy w bok obłoczek dymu, ciągnęła: – Zrozum, Peter miał maturę, Viki uczyła się do sesji i obrony, co by to zmieniło, gdyby znali prawdę, która wtedy mnie samą przytłaczała? Chciałam im tego oszczędzić, żeby mogli się skupić na nauce. Czy naprawdę tak trudno to pojąć?

– Bohaterka, ale mnie mogłaś powiedzieć. Byłabym przy tobie, pomagała, zajęła się domem, winiarnią.

– Joachim i Klaus byli przy mnie. Kiedy miałam operację, jechałaś na pielgrzymkę, nie chciałam cię martwić.

– Co za szlachetność – powiedziała Maria, gasząc niedopałek w popielniczce. – Czy ty nie pojmujesz, że jesteś dla mnie ważniejsza niż milion pielgrzymek? Najwyżej bym nie pojechała. Później też mogłaś mi powiedzieć, ale zwierzyć się matce to dla ciebie zbyt trudne. I nie pal tyle. W ogóle nie powinnaś palić.

– Ty też. I skończmy już ten temat. – Anna podniosła się z miejsca. – Jeśli czujesz się urazona, przepraszam. Dobrze, że Nastka przyjechała, jej radość życia bardziej mi pomaga niż wasze pretensje i te spojrzenia, jakbym już była martwa. Żyję i nie poddam się tak łatwo, to mogę wam obiecać. Owszem, czuję niepokój, a nawet lęk, chyba każdy by czuł na moim miejscu, ale będę walczyć i wierzę, że wygram.

Maria przycisnęła dłonie do ciepłych policzków, pocieszona tą twardą deklaracją. Uczepiła się jej jak tonący brzytwy.

– W porządku – odrzekła pojednawczo. – Wybacz, że wylałam na ciebie swoje żale, ale koniec z tym. Teraz trzeba działać. Nie takie przeszkody pokonałaś. Nie pozwolę ci się poddać. – To rzekłszy, mocno przytuliła córkę.

– Ani ja. – Joachim otoczył je obie ramionami. – Anna jest silną kobietą. Wygramy. Tyle jeszcze przed nami, zobaczycie.

– Nie ma innej możliwości. Kiedy zaczniesz chemię? – zapytała rzeczowo Maria.

– Decyzja jeszcze nie zapadła, zależy od wyników. W listopadzie mam w Monachium ostatnie naświetlania.

– Więc musimy uzbroić się w cierpliwość, a do Lourdes też pojedziemy – dodała Maria.



– Popieram. – Do kuchni wszedł Aleksander, w ciemnym trenczu, w dłoni trzymał kapelusz. – Słyszałem, o czym rozmawialiście. Nie wolno się poddawać, nawet w najgorszych momentach, sam się o tym przekonałem. A kobiety w naszej rodzinie to prawdziwe wojowniczkę, więc jestem spokojny, że z pomocą lekarską i boską wygrasz tę walkę – mówił, gładząc Annę po plecach. – Będzie dobrze.

– Właśnie próbuję to od wczoraj wytłumaczyć mamie i dzieciom, wujku. Gdzieś się rano zawieruszyły – odpowiedziała.

– Wychodzisz, Olek? – zapytała Maria.

– Właśnie wróciłem. Jerzy zawiózł mnie do kościoła. Viki i Peter też się z nami zabrali. Szukałem cię rano, Marysiu, ale gdzieś zniknęłaś.

– Poszłam na spacer, myślałam, że śpicie.

– Ja jestem ranny ptaszek, ale nasza artystka ze spalonego teatru nie wstanie przed pierwszą – odrzekł z uśmiechem. – Przygotujcie jej zawczasu kostki lodu, bo zacznie się drzeć, że musi okładać powieki. Nim zrobi renowację starówki – poklepał się po policzkach, udając nakładanie makijażu – pewnie zejdzie jej się do kolacji. Może to i lepiej, jeśli nie zdąży na obiad, bo jeszcze zacznie, bezecna pudernica, flirtować z Adamem. Pojechał z nami do kościoła, a potem szwendaliśmy się po mieście – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenia bliskich.

– Miał przyjść na obiad, ale nie wiem, czy po wczorajszym Viki nie odwołała zaproszenia – powiedziała Anna.

– Raczej nie odwołała, bo wybierał dla ciebie, Anula, róże u kwiaciarek i był bardzo tym przejęty. Sympatyczny młody człowiek. Wyobraź sobie, że znają się ze studiów z naszym Jerzym. Jaki świat jest mały.

Anna poczuła się trochę raźniej, że konflikt chyba został zażegnany.

– Pójdę zrobić renowację swojej starówki, żeby nie wypaść gorzej przy Nastce, tylko najpierw naszykuję wam śniadanie, bo myśmy już jedli – oznajmiła bardziej pogodnym tonem.

– Ja się tym zajmę – zaoferowała od razu Maria. – Idź się zrobić na bóstwo.

– Doński... – Aleksander w skupieniu skubał palcami brodę. – Gdzieś słyszałem to nazwisko. Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

– Dziwne, mnie też się wydaje znajome... – mówiła Maria.

Anna już nie słuchała. Przeszła przez długi hol, z którego rozchodziły się drzwi do kilku pokojów. Zapukała najpierw do syna, potem do córki;

odpowiedzi nie było, więc zaszyła się w sypialni.

Na tle kremowych ścian stały mahoniowe meble i małżeńskie łóżko. W oknach, z których roztaczał się widok na panoramę Lorelei, wisiały elegancko udrapowane firany.

Wybrała z garderoby białą bluzkę, obszerniejszy niebieski sweter z moheru i popielate luźne spodnie, żeby dodać sobie kilka kilogramów. Pomalowała się przed toaletką, przeciągnęła szczotką włosy. Jeszcze nie wychodziły, ale świadomość, że niebawem może je stracić, zwyczajnie, po kobiecemu, sprawiała jej udrękę.

Wyjęła ze szkatułki w komodzie bursztynowe serduszko i chwilę ścisnęła je w dłoni.

Myślała o córce i uczuciu, które Viki przeżywała. Jak żywe powróciły obrazy z czasów, gdy sama kochała pierwszy raz. Joachim był jej bliski, przywiązała się do niego, ale zdołała mu ofiarować tylko połowę serca. Druga wciąż należała do Wadima.

A teraz jeszcze i to; odruchowo przyłożyła rękę do piersi i zacisnęła powieki. Bała się znacznie bardziej, niż chciała to okazać, nawet Joachimowi.

– Możemy wejść, mamó? – W progu pojawili się Viktoria i Peter.

– Tak, oczywiście. – Schowała prędko serduszko, nadała twarzy pogodny wyraz i podeszła do dzieci.

– Chcieliśmy cię przeprosić... – zaczął skruszony Peter, wyciągając przed siebie białą różę.

– Zachowaliśmy się wczoraj samolubnie, ale poniosło nas – dodała Viktoria, wręczając Annie drugą. – Nie gniewaj się, mamó.

– Ani przez chwilę się nie gniewałam, ja też powinnam was przeprosić, że nie mówiłam prawdy. Uznałam, że tak będzie lepiej.

– A wyszło gorzej. W dupie mam teraz Monachium, klub zaczeka, mogę tu zostać, aż wyzdrowiejesz – oświadczył syn.

– Chcesz, żebyśmy zostali? – zapytała córka.

– Z początku chciałam – przyznała ujęta ich niespodziewaną zmianą frontu. – Ale po pierwsze, nie zniosłabym takiego poświęcenia. A po drugie, zrozumiałam, że bardziej pomoże mi świadomość, że jesteście szczęśliwi, realizujecie swoje pasje, żyjecie własnym życiem. Dlatego z niczego nie będziecie rezygnować. Zresztą nic takiego się nie dzieje. To

tylko choroba, z którą sobie poradzę. Nastka nieświadomie dała mi ogromny impuls. Zamierzam brać z niej przykład.

– Mówisz serio? – upewnił się Peter. – Bo jeśli znowu coś kombinujesz, to naprawdę się wkurzę. Bardziej niż wtedy, gdy nasz bramkarz puszcza szmatę.

– Serio. – Anna cmoknęła oboje w policzki, przytuliła. Krótka, bez wylewności, żeby utrzymać się w roli. – Adam przyjdzie?

– Przyjdzie, mam tylko prośbę, nie róbcie żadnego przesłuchania, nie bierzcie go na spytki – poprosiła Viktoria. – Z ojcem już o tym rozmawiałam.

– W porządku. Niczym się nie zajmuję.

Adam pojawił się punktualnie. W ręku trzymał wiązankę z pięciu białych róż. Wcześniej nie miał nic do zarzucenia bukietowi. Lecz kiedy znalazł się w przestronnej, wręcz luksusowej jadalni, on sam, wraz z kwiatami, wydał się sobie jeszcze bardziej siermiężny. Koszula Kuby była na niego za ciasna, więc włożył swój nieśmiertelny czarny golf.

Dopiero teraz zauważył, że lewy ściągacz jest lekko postrzępiony. Miał też drobną plamkę na ciemnych spodniach. Naurągał sobie w duchu, że nie widział tego wcześniej.

Nigdy wcześniej nie był w takim pokoju, który wyglądał jak żywcem przeniesiony z zachodnich filmów. Przywykł do widoku pokojów w blokach z wielkiej płyty, ale tam wszędzie królowały te same standardy. Politurowane meblościanki, wersalki, ławy i dwa fotele, zazwyczaj ustawione w tych samych miejscach. W tym wnętrzu, gustownym i przytulnym zarazem, czuło się wielki świat.

Nie dał jednak po sobie poznać, że pochodzi z gorszego. Ubrani w codzienne stroje gospodarze patrzyli nań bez wyższości, przychylnie. Obecność Jurka też dodawała mu pewności siebie, a nade wszystko pomagała bliskość Viktorii. Poczuł się swobodniej.

– Miło nam pana gościć, Adamie – odezwała się serdecznie Anna. Wiedział, że jest chora. W oczy rzuciło się jej wychudzenie, ale i uroda. – Viki opowiadała o panu.

– Dziękuję za zaproszenie, to dla pani. – Wręczył gospodyni bukiet, pocałował ją w rękę.

– Piękne kwiaty, a ja tak uwielbiam róże. Zwłaszcza białe. Wstaw je, synku, do wody.

– Robi się – rzucił młody i wyszedł z kwiatami do kuchni.

Adam przywitał się z Marią. Także pocałował jej dłoń. Babcia Viktorii serdecznie go uścisnęła.

– Mogę ci mówić po imieniu? – zapytała. – Skoro stałeś się ważny dla mojej wnuczki, to także i dla mnie.

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

– Mnie w rękę nie musisz całować. – Szef klepnął go w plecy. Jako jedyny z towarzystwa odezwał się po niemiecku. – Wuja Aleksandra już poznałeś, Jurka znasz, więc skoro ceremoniał powitalny mamy za sobą, siadajmy do stołu. Jestem głodny, a dziś jemy moją ulubioną karkówkę.

Na przykrytym śnieżnobiałym obrusem stole stały porcelanowe nakrycia, waza z jakąś zupą, półmisek z pieczenią i drugi, z pieczonymi ziemniakami i warzywami.

– Mam nadzieję, że karkówka nie wyszła za sucha – niepokoila się Maria.

– Zawsze tak mówisz, babciu, a jest idealna – powiedziała Viktoria, nalewając Adamowi zupy. – Ogórkowa. Lubisz? Bo ja bardzo.

– Pewnie. I rosół.

– Będzie następnym razem – odrzekła i uśmiechnęła się tak, że z trudem się powstrzymał, żeby jej nie pocałować.

– Nasza ciotka starszeczka zaraz powinna przyjść – zwrócił się do niego Olek, wskazując puste nakrycie obok siebie. – Zaczekajmy na nią z obiadem. Ma biedaczka problem ze wstaniem z łóżka, wiek, niestety, robi swoje.

Adam spostrzegł tłumioną wesołość pozostałych, ale nie za bardzo pojął, o co chodzi.

Spodziewał się pani o lasce, zwłaszcza że Viki wspomniała o starszej ciotce, która wraz z wujem przyjechała z Ameryki. Tymczasem wkrótce do jadalni wkroczyła kobieta w trudnym do określenia wieku. W wysokich czarnych szpilkach, opiętej czerwonej cekinowej sukni z głębokim dekoltem i rozcięciem do uda. Była mocno umalowana, włosy miała zakręcone w loki opadające na ramiona.

Adam oniemiał; odstawiona na wampa ciocia wyglądała jak postać z amerykańskich filmów. Kalina Jędrusik przy tej tutaj to mały pikus,

stwierdził w duchu, gdy dama w czerwieni podeszła, żeby się z nim przywitać. Nie zwlekając, podniósł się od stołu.

– A więc to ty jesteś tym młodzieńcem, dla którego kazano mi wcześniej wstać z łóżka? – ni spytała, ni stwierdziła. Pomalowane na karminowo usta kontrastowały z bielą idealnych zębów. – No, no, przystojniak z ciebie. – Uniosła brwi, wyciągnęła dłoń i zaproponowała: – Mów mi Anastazja.

– To pani jest tą ciotką staruszczką? – wyrwało mu się szybciej, niż zdążył ugryźć się w język.

– No to masz przechlapane, kolego – parsknął Jerzy.

Przy stole zapanowała wesołość. Najgłośniej chichotał ksiądz i oczywiście zarobił burę od Anastazji.

– O ty złośliwy klecho – rzuciła do Aleksandra i wypaliła na jednym tchu: – Cholerny stary tetryk. Zazdrościsz mi, bo we mnie wciąż gra orkiestra, a twoja dawno zaśniedziała pod sutanną.

– Nie wytrzymam z nimi – chichotał Peter.

Pozostali także dobrze się bawili, ciotka z Ameryki też.

– Przepraszam, nie chciałem pani obrazić – kajał się przejęty Adam, ale dama w czerwieni nie wyglądała na obrażoną.

– Jeśli pobędziesz z nami dłużej, Adamie – Maria poklepała go po ramieniu – przekonasz się, że oni uwielbiają sobie dogryzać. Od wczoraj fundują nam terapię śmiechem, a to najlepsze lekarstwo na każdą dolegliwość. – Spojrzała na rozluźnioną Annę. Błogosławiła każdą minutę, kiedy córka mogła oderwać myśli od choroby, i Nastka też. – Nie daj się jednak łatwo zwieść tej dwójce. Mogą sobie docinać do żywego, ale jedno za drugim skoczyłoby w ogień. Za okupacji, gdyby nie odwaga Nastki i naszej nieżyjącej już ciotki Róży, mojego brata nie byłoby wśród nas. Cudem wyciągnęły go z sowieckiego więzienia we Lwowie. Zresztą nie tylko jemu pomogły. To prawdziwe bohaterki.

– Wystarczy, Marysiu, zaraz się wzruszę i tusz mi spłynie – ucięła Anastazja, a zwracając się do Adama, dodała: – Nie masz powodu mnie przeproszać. Pochlebiła mi twoja reakcja.

– Co za ulga. – Odetchnął. – Adam Jerzy Doński.

Przedstawił się oficjalnie. Pocałował w rękę starszą damę i odsunął jej krzesło, by mogła usiąść.

– Dżentelmen – stwierdziła, znów przybierając zalotny ton. – Takich kocham najbardziej.

– No przecież z pewnością gdzieś już słyszałem to nazwisko – powtórzył Olek, opanowawszy rozbawienie. – Jerzy Doński. Brzmi z rosyjska.

– Mój dziadek, Jerzy Doński, był pół Polakiem, pół Rosjaninem – zaczął wyjaśniać Adam, nakładając na talerz porcję karkówki. – Miał majątek koło Kijowa. Służył w carskim wojsku, a po rewolucji zaciągnął się do dowórczyków. Po wojnie bolszewickiej osiadł w Łomży. Zmarł, zanim się urodziłem – wyrecytował jednym tchem, bardziej skoncentrowany na tym, żeby prędzej skończyć kurtuazyjną nasiadówkę i zabrać gdzieś Viktorię, by mogli pobyć sami, niż na roztrząsaniu rodzinnych koligacji.

Siedziała obok niego, w niebieskiej sukience, i pachniała tak zmysłowo, że mało nie wyskoczył ze skóry.

– Ha! – Anastazja klasnęła w dłonie. – No przecież znałam twojego dziadka! Toż to ten sam Jerzy Doński, który pomagał Czerkańskim rozprawić się z ukraińskimi bandami w Czetwertowie w siedemnastym roku! Marysiu, Olek, pamiętacie? Prawda, możecie nie pamiętać, Olek miał parę miesięcy, a ty ze trzy latka. Ja zresztą niewiele więcej, ale utkwiło mi to w głowie – dodała prędko, by się nie wydać z metryką.

– Teraz sobie przypominam – potwierdziła Maria. – Z Czetwertowa nie za wiele pamiętam, tylko płonący dwór i mnóstwo koni, ale później wuj Ksawery opowiadał o poruczniku Jerzym Dońskim. Byli przyjaciółmi. A więc jesteś jego wnukiem, Adamie, to niesłychane.

– Dobrze mi się wydawało, że znam to nazwisko. – Zadowolony Olek klepnął palcami w blat. – Mnie bliźniacy, Kazik i Antek, już nieżyjący bracia Anastazji, też opowiadali o twoim dziadku. Byli wtedy nastolatkami, ale dzielnie walczyli u jego boku. Mówili, że był niesłychanie odważnym i zdolnym dowódcą. Gdyby nie oddział Dońskiego, wiele polskich rodzin zginęłoby wtedy z rąk ukraińskich nacjonalistów. My też. Jakże nieprzewidywalne są ścieżki losu, że wnuk porucznika Dońskiego i prawnuczka naszej mamy, Marysiu, siedzą teraz przy jednym stole.

– Musi być w tym jakiś cel – podsumowała Maria.

Może będzie z tego coś więcej, zastanawiała się, obserwując zakochane spojrzenia, jakie rzucali sobie młodzi. Annie także nie umknęło, że między córką a tym młodym, trochę spiętym mężczyzną dzieje się coś wyjątkowego. W tej chwili jeszcze bardziej zapragnęła, aby jak najdłużej w tym uczestniczyć.

– Skoro odnaleźliśmy wspólne ścieżki, będziemy z mężem spokojniejsi, wiedząc, że Viktoria może na pana liczyć, Adamie, gdy pojedzie do Warszawy – powiedziała.

– Mogę to państwu obiecać – zapewnił.

– Wpadnę czasem do was – zadeklarował Peter. – Tylko raz byłem w Warszawie i mało co pamiętam.

– Jak sobie zarobisz na bilet, bo nie zamierzam cię sponsorować – odparła Viktoria.

– Ciocia z Ameryki cię zasponsoruje. – Anastazja mrugnęła doń porozumiewawczo, wywołując radość na twarzy Petera.

– Wobec tego wypijmy za pomyślność zamiarów i za spotkanie – zarządził Joachim, któremu Anna tłumaczyła treść rozmowy.

Ponalewał do kieliszków czerwonego wina i wzniesli toast tym samym trunkiem, którego smak Adam poznał wczoraj.

Czuł się coraz swobodniej, obiad upływał w miłej atmosferze. Nie wypytywali go zanadto o sprawy osobiste. W zamian zagadywali o studia, pracę, którą niebawem miał podjąć, także o to, jak się żyje młodym ludziom w PRL.

– Na przydział spółdzielczej kawalerki będę czekał dziesięć lat – mówił Adam. – A może i dłużej, bo przez zimę stulecia na parę miesięcy stanęły wszelkie budowy i mówią, że kolejka się wydłuży.

– A nie można kupić w Polsce mieszkania za dolary? – zaciekawiała się Anastazja.

– Od paru lat można, jeśli ma się za co – odparł. – Łapówki, układy u towarzyszy w komitecie lub dojścia w spółdzielni zazwyczaj rozwiązują wiele spraw. Tak więc w systemie, gdzie są równi, równiejsi i najrówniejsi, żyje się do dupy, proszę księdza. Przepraszam, wyrwało mi się, studenckie nawyki – zreflektował się prędko.

– Dlaczego przepraszasz? – zdziwił się Aleksander. – Bardzo trafnie to ująłeś. Orientujemy się w sytuacji w Polsce. Gierkowska propaganda sukcesu leci teraz na łeb i gospodarka pogrąża się w kryzysie. Nie ma miesiąca, żeby Marysia z Jerzym nie wspomagali bliskich paczkami.

– Ty sam też wysyłasz paczki, Olek, i dobrze wiesz, że łątamy tym dziury. – Maria machnęła ręką. – Chodzi o to, żeby zmienić system. Po tej pielgrzymce papieża czuję, że w Polsce nadchodzą zmiany. Byłeś, Adamie, na placu Zwycięstwa, kiedy przyjechał papież?

– Byłem. Połowa wydziału poszła.

– No więc na pewno słyszałeś słowa Ojca Świętego „Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi” – mówiła w uniesieniu. – To przecież nic innego jak nadzieja na wolność. Byłam świadkiem tryumfu i klęski faszyzmu, a pycha zawsze kroczy przed upadkiem. Wierzę, że dane mi będzie dożyć kresu komuny. Żaden totalitaryzm nie jest w stanie zabić w ludziach ducha wolności. Zwłaszcza w Polakach. Jesteśmy twardzi i zaradni.

– Jeśli chodzi o zaradność, wystarczy zobaczyć pierwszy lepszy pociąg za granicę albo autokar wycieczkowy Orbisu czy Juventuru, żeby się połapać, co i gdzie opłaca się wziąć na handel – odparł Adam. – U Ruskich dzinsy i gumy do żucia idą jak woda. Na Węgrzech kryształ i kremy Nivea, w Rumunii biseptol, a wszędzie bez wyjątku schodzi polska wódka. Przywozi się stamtąd dolce, kozuchy, złoto i zegarki elektroniczne. Sam czasem tak dorabiałem do stypendium. Są państwo tym zdegustowani?

– Drogi Adamie – Maria uśmiechnęła się wyrozumiale – przez całą wojnę, a i później, szmugiel trzymał nas przy życiu. I do tej pory pomaga ludziom zdobyć to, czego brakuje w Polsce. Rzecz w tym, żeby doprowadzić do takich zmian, aby Polacy nie musieli kombinować, a mogli normalnie żyć.

– Marion, moja szefowa redakcji, też uważa, że teraz świat patrzy na Polskę właśnie z powodu tych zmian, dlatego mnie tam wysyłają – dopowiedziała Viktoria.

– My też wybieramy się z wielebny do Warszawy pod koniec roku – wtrąciła Anastazja, jedząc mikroskopijnymi kęsami warzywa. – Zarezerwowałam nam pokoje w Bristolu, a wy gdzie będziecie tam spać?

– Ja w pensjonacie – odrzekła Viktoria – redakcja opłaca mój pobyt.

– Ja na amerykance – dodał Adam.

– Na mnie? – Kompletnie zaskoczona Nastka otworzyła szeroko oczy i gapowato uchyliła usta.

– Tej starej zboreźnicy tylko jedno w głowie. – Aleksander zakrył dłonią oczy.

– Amerykanka to taki rozkładany fotel, który mam w mieszkaniu kolegi. – Adam niezwłocznie wyjaśnił nieporozumienie.

W jadalni znów rozległ się śmiech.



Posiedzieli jeszcze trochę, zjedli na deser szarlotkę i obiad był skończony. Pożegnał gospodarzy, by wreszcie móc pobyć z Viktorią sam na sam.

– Masz fajną rodzinę. Zwłaszcza tę ciotkę z Ameryki – powiedział, gdy wyszli przed dom.

– Tak, ciocia jest dość ekscentryczna, a rodzina, no cóż, różnie z nią bywa. Dziś jednak wszystkim bardzo był potrzebny ten śmiech. Mama też się wyluzowała. Dzięki, Adam, że przyszedłeś. A teraz zapraszam cię na ucztę tylko dla nas.

– Dokąd? – Przygarnął ją do siebie i zaczął całować, nie zważając, że mogą być widziani z okien.

– Niespodzianka, wsiadaj. – Wskazała na garbuska.

– Przecież piłaś.

– Udawałam.

Zajął miejsce obok kierowcy i chwilę później minęli bramę. Viktoria pogłośniła radio, gdzie leciał kawałek Abby *Take a Chance On Me*.

– Lubisz Abbę? – spytała, podrygując do rytmu za kierownicą.

– Lubię. Dwa lata temu byli w naszej telewizji. Fajny koncert.

– No to śpiewamy.

Śpiewali więc razem z radiem, oboje w dobrych nastrojach. Wiozła ich do miasteczka. Nie chciał jej rozpraszać, ale nie mógł powstrzymać rąk, więc chociaż muskał ją palcami po karku. Przytulała policzek do jego dłoni. W obojgu narastało pożądanie.

Minęli gwarne o tej porze miasteczko, gdzie przy kawiarnianych stolikach na zewnątrz siedziało mnóstwo gości. Viktoria ujechała jeszcze kawałek i zatrzymała się przed przydrożnym pensjonatem.

– Tu będziemy swobodni – rzuciła, wskazując na tylną kanapę, na której w wiklinowym koszu leżało kilka butelek wina. – Łap się za ten koszyk, panie Doński. Mam ochotę upić się z panem i kochać do nieprzytomności.

I znów tak jak wczoraj, ledwo znaleźli się w przytulnym pokoiku na poddaszu, od razu dali upust gwałtownej namiętności. Potem pili wino, kochali się, odpoczywali i znów się kochali, chcąc się sobą nasycić na zapas.

Dzień zdążył zamienić się w noc, opróżnili dwie butelki rieslinga, czas się zatrzymał.

– O czym marzysz? – zapytała, leżąc z głową na ramieniu Adama, w niemożliwie skotłowanej pościeli.

– O tobie. – Pocałował Viktorię w czoło. Bawił się jej włosami, wodził palcami po łopatkach. – Czasem wydajesz mi się taka nierealna, jakbym tylko śnił o tobie. Aż dotąd nie przypuszczałem, że sny można fotografować. Jesteś najpiękniejszym zdjęciem mojego snu.

– Naprawdę jesteś romantyczny.

– Też mnie to zaskakuje. A ty o czym marzysz?

– Moje marzenie się spełniło. Ty nim jesteś. Przy tobie moja dusza chce śpiewać. Chciałabym już zawsze śnić o tobie. We wszystkie pogody i niepogody, w deszcz i w śnieg, wiosną i latem. Na łące i w górach. Wszędzie. Nie sądziłam, że miłość może spaść jak grom z jasnego nieba, a właśnie tak się stało.

– Dziwna sprawa, czuję się tak samo. – Uniósł się na łokciu i pochylił nad Viktorią, żeby widzieć jej oczy. Teraz trochę lśniły od wilgoci. – Hej, płaczesz?

– Nie mogę znieść, że pojutrze wyjeżdżasz i nie zobaczymy się aż do zimy. Nie wytrzymam tak długo bez ciebie. Nawet gdybym chciała przyjechać do Warszawy wcześniej, to i tak nie dostanę prędko wizy. Poza tym muszę być na miejscu, żeby załatwić w redakcji resztę formalności.

– To tylko kilka miesięcy, prędko zleci. Będziemy do siebie pisać, dzwonić. To znaczy ja do ciebie, bo nie mam telefonu.

– Ale to nie to samo, co mieć cię przy sobie.

– Nie traćmy więc czasu. – Objął dłonią jej pierś, całował w usta, oczy, szyję. – Do kiedy możemy tu zostać?

– Przez całą noc, ale w poniedziałek rano musimy być w pracy.

W poniedziałek jeszcze jakoś się trzymała. Podczas przerwy w pracy przy winogronach pojechała do miasteczka, żeby wywołać zdjęcia, jakie robili sobie nad urwiskiem. Wybrała w sklepie dwie gustowne srebrne ramki i album. Wymyśliła, że najładniejsze wspólne zdjęcie włoży w ramkę. Jedną zatrzyma dla siebie, drugą ofiaruje Adamowi razem z albumem, do którego wklei resztę zdjęć. Dokupiła też płytę Abby i, po chwili wahania, czarny dzianinowy golf, podobny do tego, który nosił. Poniedziałkową noc, równie upojną jak niedzielna, także spędzili w pensjonacie.

We wtorek natomiast nawet nie starała się ukryć przygnębienia. Adam też był nieswój, choć nadrabiał miną, dodając jej otuchy. Dziś kończyli

wcześniej pracę. Minęła pierwsza, gdy wysypali na przyczepę ostatnie skrzynki winogron.

– No, moi drodzy, wychodzi na to, że już koniec – powiedział Joachim, gdy zebrali się przy nim wszyscy pracownicy. Viktoria tłumaczyła jego słowa na polski, Peter na angielski. – Przed wieczorem zapraszam do kantorka po wypłaty, kto gotówkowy, reszta dostanie należność na konto, a wieczorem urządzimy tradycyjne pożegnanie. Każdy otrzyma w prezencie od firmy skrzynkę wina.

Jego słowom towarzyszył wybuch oklasków i aprobujące okrzyki kilkudziesięciu głosów.

Joachim z synem pojechali do miasteczka, ludzie się rozeszli. Adam obejmował Viktorię w pole i też miał posępną minę. Inaczej niż Kuba, który wręcz tryskał humorem.

– Z tym, co wcześniej uciułałem i zarobiłem, powinno mi wystarczyć na malucha za dewizy. Adam, ile mniej więcej za niego zabalę?

– Z tysiąc pięćset zielonych – odrzekł.

– Chyba więcej, trochę może mi zabraknąć.

– Z tego, co wiem, maluch kosztuje tysiąc siedemset dolców – odezwała się Aga. – Dołożę ci, i tak będzie wspólny.

– Widzicie, jak się wycwaniała. Dorzuci dwie stowy i powie, że to nasz wspólny. A obrączkę masz, żeby się moim maluchem rozporządzać?

– A jakiego malucha masz na myśli, mój drogi? – spytała ironicznie, wskazując oczami na rozporek narzeczonego. Kuba odchrząknął zmieszany.

– No więc nie ciągnijmy tej kwestii. Poszukam Izy, bo gdzieś się zawieruszyła, a trzeba pojechać do miasteczka, żeby zrobić zakupy do Polski. Pośpiesz się, Kuba, podwiesz nas – oświadczyła i pomaszerowała do domku.

– Dowcip jej się wyostrzył. – Jakub znów odchrząknął i dodał, żeby odwrócić uwagę od siebie: – No a wy, gołąbeczki, jak sobie poradzicie? Trochę was siekło, jak widzę.

– Niech cię o to głowa nie boli – odrzekł ze swadą Adam, choć wcale mu się nie uśmiechała wizja długiej rozłąki.

– Nie łamcie się, do zimy niedaleko, szybko zleci. Pójdę się umyć. Jedziesz z nami na zakupy, Adam? Wypada trochę się obkupić w tutejsze dobra.

– W sumie powinienem coś przywieźć mamie i siostrze... – Podrapał się w skroń.

– Pojedziemy razem do miasteczka – odrzekła Viktoria, kładąc nacisk na to „razem”, żeby tamci nie chcieli im towarzyszyć. Tak jej było żal wspólnego czasu. Kuba zrozumiał przekaz, w odpowiedzi mrugnął okiem i ruszył do bungalowu.

– To nasz ostatni dzień – chlipnęła, kiedy zostali sami.

– Hej, Viki. – Adam lekko uniósł palcem jej podbródek, poprawił zagięty kołnierzyk flanelowej koszuli w czerwoną kratkę, wyjął z włosów listek i powiedział głosem dodającym otuchy: – Nie smuć się już. Szybko zleci, zobaczysz.

– Dobrze, koniec smutku. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Postaram się, żeby wcześniej załatwili mi akredytację, tylko chciałabym zaczekać do wyników badań mamy. Chodź do mnie. Babcia ugotowała rosół z domowym makaronem, zjesz, a potem pojedziemy na zakupy. Co chcesz kupić?

– Dla Magdy chyba jakieś dzinsy. Jest w liceum i lubi się stroić. Dla mamy pewnie wędlinę, kawę, proszek do prania, może jakiś sweterek?

– Pomogę ci coś wybrać, żeby się ucieszyły.

Wiedziała, że mama Adama była urzędniczką na poczcie i wdową. Ojciec Adama zmarł niedługo po narodzinach Magdy.

– Dobrze. Zrzucę te brudne łachy, trochę się opłuczę i zaraz jestem. – Cmoknął ją w czoło i ruszył do bungalowu.

Viktoria usiadła na ławce i zapatrzyła się na korony kilku klonów, które rosły między domkami. Nawet nie zauważyła, że liście na drzewach zmieniły kolor na złoty i za parę dni zacznie się październik.

Usłyszała za plecami nadjeżdżający samochód. Odwróciła się pewna, że ojciec czegoś zapomniał, ale przez bramę wjechało czarne porsche Fredrika. On sam wysiadł z auta i uśmiechnięty szeroko siedł w jej stronę. W jasnej sportowej marynarce, wrzosowym polo i w ciemnych okularach, choć nie było mocnego słońca. Miał minę pana świata.

– Aga, zobacz, jaki facet, wygląda jak milion dolców. – Iza patrzyła przez okno pokoiku, odprowadzając wzrokiem obcego mężczyznę, który rozłożywszy ramiona, siedł do tej Niemki.

– Facet jak facet, ale jaka fura. – Aga machinalnie spojrzała na porsche.

– Adaś, zobacz, jaki wózek przyjechał – intrygowała Iza, odwróciwszy głowę w stronę pokoju, gdzie pośpiesznie się przebierał.

– Oduść, Iza. Po co go szczujesz? – upomniała ją półgłosem koleżanka.

– O co ci chodzi? Powiedziałam tylko, że przyjechał fajny samochód. U nas chyba Rodowiczka miała taki.

Tymczasem Fredrik w kilku susach podskoczył do Viktorii i nim zdążyła zareagować, objął ją mocno.

– Viki, jak ja się za tobą stęskniłem, świetnie wyglądasz, a jak pachniesz – mówił, zsuwając ręce na jej pośladki, pocałował policzki, próbował w usta, ale odchyliła głowę i uwolniła się od wylewnego powitania.

– Mogłeś uprzedzić, że zamierzasz przyjechać. Powiedziałam, że zadzwonię, jeśli za tobą zatęsknię, a skoro nie dzwoniłam, to znaczy, że nie tęsknię.

– Zrobiłem pierwszy krok. – Puścił jej oczko i nagle zmienił temat: – Wiesz, że mój stary się odezwał. Wyobraź sobie, poleciał do Tajlandii. Przysłał po miesiącu jedno zdanie. Pozdrowienia z Tajlandii. – Przekrzywił głowę.

– Daleko się wyprawił, ale dobrze, że się odezwał.

– Wcześniej zgłosiłem sprawę na policję. Wymusiłem na nich, żeby przyjęli zgłoszenie o zaginięciu. Zasłaniali się, że skoro zabrał walizkę, ubrania, a wiadomość, którą zostawił, że wyjeżdża na parę miesięcy, nie budziła wątpliwości co do autentyczności pisma, uznali, że nie można mówić o zaginięciu. I jak się okazało, mieli rację.

– Więc nie ma się czym martwić, skoro wiecie, gdzie jest.

– Niby tak, jednak trochę mi śmierdzi ten nagły wyjazd. Za nagle się to wszystko wydarzyło. Niby jak zdążył w jeden dzień załatwić potrzebne dokumenty, bilety, chyba że zaplanował wszystko znacznie wcześniej. Ta służąca, co wtedy, gdy spaliśmy u mnie, zbierała butelki, też zniknęła.

– Zniknęła?

– Nie przyszła więcej do pracy i nigdzie nie można jej namierzyć. Matka zaczyna podejrzewać, że może wyjechała razem z ojcem, w sensie, że mają romans, ale jakoś mi się to nie klei.

– Mnie też nie za bardzo, na ile znam twojego ojca. Może naprawdę zrobił sobie dłuższe wakacje od obowiązków. W przeciwieństwie do ciebie był zapracowany.

– Za to ja teraz pracuję za dwóch. Zatrudniłem czasowo jednego dentystę, nim ojciec wróci. Jadę na kilkudniowe sympozjum do Monachium, pojedziesz ze mną? Zarezerwowałem nam dobry hotel. Odbębnię parę godzin na sympozjum, a potem będziemy mieć czas tylko dla siebie. Naprawdę się za tobą stęskniłem. A kiedy wreszcie wróci mój stary, zapraszam cię na relaksujący wypad w ciepłe kraje, co ty na to? – Znów chciał ją objąć i pocałować, ale się odsunęła.

– Nigdzie nie zamierzam z tobą jechać. Ani teraz, ani później, ani nigdy.

– Dlaczego? – Naprawdę się zdziwił. – Chyba nie narzekałaś? Te sprawy wychodzą nam całkiem zgrabnie.

– Podaruj sobie, Fredrik. Nasz układ to już przeszłość.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. Wiesz, jaka jest różnica między nami?

– No? Jaka?

– Dla ciebie liczy się seks bez zobowiązań, a dla mnie miłość. Niedawno to rozumiałam. Ktoś się pojawił w moim życiu, a ja się w nim zakochałam.

– To ten? – spytał, wskazawszy wzrokiem za jej plecami. – Gapi się cały czas. Rozumie po niemiecku?

Odwróciła się. Parę kroków dalej stał Adam. Nic nie mówił, tylko stał i patrzył, ale tak, że poczuła się nieswojo.

– Rozumie. Jedź już, Fredrik, proszę. I nie przyjeżdżaj tu więcej.

Zawahał się chwilę, wiercił butem dziurę w ziemi, patrzył w bok, nim przeniósł spojrzenie na nią, i powiedział pojednawczo:

– W porządku, choć trochę szkoda. Ale tak się umawialiśmy, każdy może odejść w dowolnym momencie – stwierdził zawiedziony. – Nie sądziłem jednak, że to będziesz ty.

Cofnął się do porsche, wyjął stamtąd okazały bukiet czerwonych róż, wcisnął go jej, machnął ręką na pożegnanie, wsiadł do samochodu i odjechał z piskiem opon.

Adam wciąż stał nieruchomo. Ręce trzymał w kieszeniach, wzrok miał ponury i taki sam wyraz twarzy.

– Nie powiedziałaś mi o nim – stwierdził, gdy do niego podeszła.

– Bo nie było o czym. Z Fredrikiem nic poważnego mnie nie łączyło.

– Prócz seksu bez zobowiązań.

– Chcesz mi wmówić, że jestem twoją pierwszą dziewczyną?

– Nie, ale powinienem o nim wiedzieć.

– Nie powinieneś. Ja cię o twoje poprzednie związki nie pytam. Fredrik należy do przeszłości, odkąd się pojawiłeś. Nawet wcześniej, niż się pojawiłeś.

– Chyba że zaczniesz działać na dwa fronty, gdy wyjadę. Widziałem, jak się do ciebie kleił.

Podła insynuacja zapiekła Viktorię do żywego, więc nie patyczkując się wcale, wymierzyła mu siarczysty policzek i wyrzuciła na jednym tchu:

– Jeśli masz o mnie takie zdanie i tak mi nie ufasz, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Było miło. Przyjemnej podróży, cześć.

Wyminęła go kompletnie osłupiałego i energicznym krokiem pomaszerowała w stronę domu. Chodził w niej każdy nerw, twarz paliła z emocji. Cisnęła ze złością bukietem gdzieś w bok.

Naraz, nie wiadomo skąd, zaszła jej drogę Iza.

– Uprzedzałam cię, jaki jest Adam – stwierdziła, nie kryjąc satysfakcji. – To tylko drobny przykład, na co go stać. Nie znasz go tak jak ja.

– Zamknij się, idiotko – warknęła, ledwo obrzuciwszy ją spojrzeniem.

Pobiegła krętą ścieżką w górę po stoku. Czowała złość i żal, że coś się skończyło, nim na dobre zdążyło się zacząć. Była prawie pod domem, gdy usłyszała donośne wołanie:

– Viktoria!

Adam wpadł na dziedziniec, był zadyszany, czerwony z wysiłku.

– Viki, zaczekaj. – Podbiegł do niej, chwycił ją za rękę i zaczął się kajać.

– Zachowałem się jak idiota, słusznie dałaś mi w głowę. Ale ten facet z Porsche tak mi podniósł ciśnienie, kiedy cię obejmował, że ledwo zdzierżyłem. Głupio mi jak cholera, że tak cię potraktowałem. Przepraszam.

– Jeśli coś się zdarzyło raz, zdarzy się i drugi. Nie mam zamiaru znosić twojej zazdrości. Albo sobie ufamy, albo nie. Wszystko albo nic. Inaczej to nie ma sensu.

Objął dłońmi jej policzki i powiedział:

– Masz rację. Wszystko albo nic. Choć z drugiej strony nie znam faceta, który nie byłby zazdrosny o kobietę, jeśli mu na niej zależy. Nie wiem, co się jeszcze wydarzy, ale wiem, że jesteś dla mnie najważniejsza. Jak jeszcze nikt nigdy. Nie przekreślaj nas przez jedno nieporozumienie.

Widziała w jego oczach prośbę, żal i miłość. Sama, mimo złości, czuła podobnie, więc w odpowiedzi kiwnęła głową.

Niedługo później pojechali do miasteczka. Pomogła Adamowi wybrać upominki dla mamy i siostry, od siebie też dorzuciła parę drobiazgów, choć się wzbraniał. Z pożegnalnej kolacji dla wszystkich pracowników zrezygnowali. Spędzili wieczór we dwoje, patrząc na zachodzące słońce nad doliną Renu, w miejscu, gdzie pierwszy raz wybrali się na piknik.

Adam ofiarował jej w prezencie srebrne serduszko na łańcuszku, które od razu zawiesiła na szyi. Ona też dała mu prezenty. Ucieszył się ze zdjęć i płyty. Wyjął z torby sweter.

– Drugi golf? – spytał zdziwiony.

– Na wymianę. Dasz mi swój, żeby został ze mną twój zapach.

\*

Zaczął się październik. W Lorelei kończono zbiory. W samą porę, gdyż psuła się już pogoda. Viktoria pracowała za dwoje, wręcz celowo wynajdywała sobie różne zajęcia, żeby mniej czasu pozostawało na rozterki. Nie przypuszczała, że można aż tak za kimś tęsknić. Gorzej było wieczorami, gdy zasypiała, tuląc do siebie sweter Adama, wpatrzona w ich wspólne zdjęcie na tle zachodzącego słońca.

– Tu się zaszyłaś – powiedział Jerzy, gdy tego popołudnia siedziała zamyślona na huśtawce. – Mogę się dosiąść?

– Proszę. – Wskazała ławkę obok.

– Jutro wracam do Berlina. Ciotki i wuj zostają jeszcze tydzień. Wracasz ze mną? Pojechalibyśmy twoim chrabąszczem, bo opla zostawiam tutaj.

– W sumie powinnam już wracać. W przyszłym tygodniu mam spotkanie w redakcji, ale chciałam poczekać do wyników mamy.

– Przecież wiadomo, że będą dobre.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała z nadzieją.

– No jasne. Anna to twarda babka podobnie jak Anastazja, więc nie ma się czym martwić. Słuchaj. – Naraz zmienił ton. Podrapał się przy tym w skroń. – Chciałbym jakoś odwdziaczyć się Karin, że mnie zabrała na wystawę i czasem podrzuciła obiad. Masz jakiś pomysł?

– Zaproś ją na randkę.

– Proszę cię o radę w poważnej sprawie, a ty mi tu wyjeżdżasz z randkami – zachnął się zirytowany.



– Mówię poważnie. Karin to świetna dziewczyna. – Odwróciła się bokiem, żeby lepiej widzieć kuzyna. Wyglądał na zakłopotanego jej sugestią. – Pasowalibyście do siebie.

– Daj już z tym spokój – uciał stanowczo, więc nie ciągnęła kwestii. W zamian zagadnęła o co innego.

– Jurek... – Przygryzła lekko wargę. – Miałam cię o to wcześniej spytać. Dobrze znasz Adama?

– Na pewno nie tak dobrze jak ty – odrzekł z cieniem ironii, lecz widząc przygnębienie kuzynki, dokończył normalnym tonem: – Prawdę mówiąc, ledwo go kojarzę z polibudy. Czasem mijaliśmy się na korytarzach, ale mam coś, co powinno poprawić ci nastrój. Widzę, jak się snujesz od paru dni, więc przyszedłem z misją. – Wyjął z kieszeni kurtki kopertę. – Adam prosił, abym ci to przekazał, kiedy będziesz bardzo smutna. Smutniejszej jeszcze cię nie widziałem.

Rozerwała niecierpliwie kopertkę i wyjęła z niej krótki list.

*Viki, mój najpiękniejszy śnie,  
chciałbym Cię śnić już zawsze. We wszystkie pogody i niepogody, w deszcz i śnieg, wiosną i latem. Na łące i w górach. Wszędzie. Nie sądziłem, że miłość może spaść jak grom z jasnego nieba, a tak się właśnie stało.*

*Zapamiętałem, co mi wtedy powiedziałaś. Czuję dokładnie to samo, a skoro to czytasz, wiem, że tęsknisz. Ja za Tobą też, mimo to głowa do góry. Jeszcze tyle przed nami, a każdy kolejny dzień przybliża ten, w którym się znów spotkamy.*

*Jeszcze raz przepraszam Cię za tamto nieporozumienie. Konstruktor ze mnie lepszy niż rysownik, ale taką Cię zapamiętałem. Odwróć kartkę. Całuję, tęsknię, kocham*

*Adam*

Na odwrocie zobaczyła swój portret zrobiony ołówkiem. Wyglądała na nim jak żywa. Siedziała dokładnie tak jak teraz, na huśtawce, miała rozwiane wiatrem włosy i rozmarzone oczy. Nawet nie poczuła, że zwilgotniały ze wzruszenia, gdy przyciskała do siebie kartkę.

Wieczorem po kolacji Viktoria zamknęła się u siebie, żeby wypłakać w samotności tęsknotę. Ubrana w Adamowy golf wpatrywała się w rysunek

i któryś raz czytała krótki list napisany pochyłym pismem.

– Nie przeszkadzam? – Do pokoju zajrzała Anna.

– Nie, skąd. – Otarła policzki i podniosła się z łóżka.

Matka przysiadła obok. Wzięła w palce srebrne serduszko, które miała na szyi Viktoria, i popatrzyła na nie z nostalgią.

– Ładne. Mnie też ktoś kiedyś ofiarował podobne.

Otworzyła dłoń, w której trzymała bursztynowe serduszko. Po raz pierwszy pokazała je córce i naraz, wiedziona wewnętrzną potrzebą, zaczęła opowiadać o Wadimie i wszystkim, co się wydarzyło wcześniej, gdy razem z braćmi i innymi sierotami z leśnego obozowiska usiłowali przetrwać powojenną gehennę.

Viktoria była zaskoczona. Mama po raz pierwszy zdobyła się na taką szczerość. I po raz pierwszy Viki zobaczyła w niej tamtą twardą dziewczynkę, która musiała natychmiast dorosnąć, żeby ocalić siebie i braci.

Niemal widziała ukrytą w lesie polanę i rosyjskiego żołnierza, który uratował młodą Niemkę podczas polowania na „wilczki”, a którego ta później pokochała. Aż atak polskich bandytów przerwał brutalnie coś, co jeszcze na dobre nie zdążyło się zacząć.

– ...właśnie wtedy Wadim dał mi to serduszko – zakończyła swą opowieść Anna. – Zaraz potem umarł. Jeger też.

– Dlatego nie chciałaś, żebyśmy mieli psa – stwierdziła domyślnie Viki. – Nie chodziło o róże, tylko o wspomnienia. I dlatego nie lubisz Polaków. Przeniosłaś niechęć na wszystkich przez tamtych bandytów. To trochę krzywdzące.

– Wiem, ale do niedawna tak właśnie czułam.

– Kochałaś Wadima bardziej niż mojego ojca?

– Inaczej. Tak jak się kocha pierwszy raz.

– Markusa też kochałaś?

Anna zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Wtedy wydało mi się, że tak – odrzekła po chwili. – Myślę, że wówczas po prostu bardzo siebie potrzebowaliśmy. I tych marzeń, które snuliśmy...

– urwała na moment. – Markus był bardzo dobrym człowiekiem, bał się jednak, że odziedziczył gen zła. Jego ojciec służył w SS.

– Tak samo jak twój – wtrąciła cicho Viktoria.

– Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, a kiedy się dowiedziałam, długo nie mogłam udźwignąć prawdy. – Westchnęła. – Moi bracia też nie. Pewne jest jedno, gdyby nie Markus, prawdopodobnie nie przeżylibyśmy tamtej gehenny.

– Co się potem z nim stało? I z tą małą Elke?

– Tata mówił, że Markus ją zabrał, gdy dotarli do Berlina, ale nie wiem, co się z nimi teraz dzieje. Może powinniśmy ich odszukać? Tak samo jak resztę dzieciaków z leśnego obozowiska. Wtedy naprawdę stanowiliśmy rodzinę. To byłoby ciekawe spotkać się po tylu latach.

– Twój Jeger był cudownym psem.

– Był kimś więcej niż psem. – Na twarzy Anny pojawił się żal. – Był najwierniejszym przyjacielem.

– Straszne, co przeżyłaś, mamó. – Viktoria objęła matkę. – Nie wiem, czy byłabym tak silna jak ty, żeby to wszystko wytrzymać.

– Byłabyś, gdybyś nie miała innego wyjścia.

– Może. Powinien powstać o tym artykuł, książka albo film.

– Wszystko przed tobą. – Anna poklepała córkę po kolanie. – Napisz. Może wydrukują w „Die Zeit”.

– Naprawdę zgadzasz się, żebym napisała o tym reportaż? – spytała poruszona Viktoria.

– Skoro dziennikarstwo to twoja przyszłość. – Anna się uśmiechnęła. – Musisz tylko przekonać jeszcze Klause i Rudiego. To także ich przeszłość. Zresztą wezmę to na siebie. Może świat powinien usłyszeć, że Niemcy to nie sami zbrodniarze, ale też ofiary. A zło wyrządzone bezbronnemu dziecku, obojętnie, jakiej ono jest narodowości, to najgorsza ze zbrodni. Może ktoś z naszych przeczyta i uda nam się spotkać.

– Dzięki, mamó. – Viktoria uścisnęła matkę. – Zadzwoń do Marion i powiem, jaki mam temat. Peter też koniecznie powinien się o tym dowiedzieć. Od babci znamy historię rodziny Ostojańskich chyba od powstania styczniowego, a o tym mówiła nam tylko tyle, że miała wypadek i mieszkała w obozie dla Niemców. Wujowie, ojciec i ty też nigdy nie chcieliście rozmawiać o waszej przeszłości.

– Kiedyś sobie obiecaliśmy, że przeszłość przestaje dla nas istnieć. Miało się liczyć jedynie to, co nastąpi, ale przeszłość jest jak cień, który skrada się za człowiekiem i prędzej czy później go dopadnie. A babcię prosiłam o powściągliwość.

– Więc czemu teraz o tym rozmawiamy?

– Wcześniej nie byłam gotowa. Poza tym poniekąd dzięki chorobie zrozumiałam, że za długo nosiłam w sobie poczucie krzywdy. Pojęłam też, że nie chodzi o to, aby zapomnieć o przeszłości, tylko nauczyć się z nią żyć tak, aby nie przesłaniała przyszłości. Bo ważniejsze od tego, co było, jest to, co dopiero nastąpi. Dlatego weź to. – Położyła na dłoni córki bursztynowe serduszko.

– Oddajesz mi pamiątkę po Wadimie? – Viktoria zacisnęła w rękę niezwykle upominek. – To prawie twój talizman.

– I bez tego nie zapomnę o Wadimie, a mój rzeczywisty talizman jest tutaj. – Dotknęła obrączki na palcu. – Nie zawsze umiałam właściwie okazać waszemu ojcu, ile dla mnie znaczy. Wierzę, że najlepsze dopiero przed nami. I przed wami – dodała, wskazując na zdjęcie w ramce, stojące na nocnym stoliku.

– Cieszę się, że mi o tym wszystkim powiedziałaś, choć trochę szkoda, że dopiero teraz rozmawiamy na ten temat. Może gdybym wcześniej poznała cię od tej strony, inaczej bym patrzyła na wiele spraw. – Oparła głowę na ramieniu mamy. – A twoje serduszko będę nosić razem z tym od Adama. Zobacz, co jeszcze od niego dostałam. – Podsunęła matce rysunek.

Anna oglądała go z zainteresowaniem, uśmiechała się, wodziła palcem po konturach postaci na portrecie.

– Zdolny chłopak, niech wam się poszczęści. – Przytknęła usta do skroni córki i dodała, zmieniając temat: – Powinnaś wracać z Jerzym do Berlina.

– Mówił mi o tym, chociaż wolałabym poczekać do twoich wyników, chyba że pojedę z tobą do Monachium. Mogę przełożyć spotkanie w redakcji.

– A po co? – Anna się zdziwiła. – Przecież nic się nie dzieje. Powiadomię cię o wszystkim przez telefon. Do Monachium pojedę sama, nie chcę tam żadnej asysty.

– Dobrze, ale obiecaj, że bez względu na to, czego się dowiesz od lekarza, powiesz nam całą prawdę.

– Obiecuję. – Uniosła w górę dwa palce. – Zadzwoń teraz do Klaususa i uprzedzę, że będę. Ostatnio nie czuł się najlepiej.

## Rozdział XV

# Długi cień przeszłości

### *Monachium – Berlin*

Jak się pan dziś czuje? – Terapeuta zadał standardowe pytanie, jak zwykle na początku sesji.

Klaus leżał na kozetce w gabinecie i po raz pierwszy od dawna czuł się wyśmienicie. Dziś przyszedł tutaj ostatni raz. Chciał tylko zobaczyć minę tamtego, gdy usłyszy, że jego trudny pacjent jest zdrow. Dziś wreszcie wyzwoli się ze swoich demonów. Czekał na to ponad dwadzieścia pieprzonych lat.

– Bardzo dobrze – odrzekł krótko. Wstał z kozetki, wyjął z portfela kilka banknotów, rzucił je na stolik, wziął z krzesła płaszcz i zakomunikował: – Wyzdrowiałem.

– To niemożliwe.

– A jednak. Więcej się nie zobaczymy.

To powiedziawszy, wyszedł z gabinetu, rejestrując kątem oka zdumienie na zazwyczaj obojętnej twarzy specjalisty, który miał go wyleczyć, a tylko drenował kieszeń.

Na zewnątrz panowała szaruga końcówki listopada, zaczynało już zmierzchać. Klaus wsiadł do mercedesa i ruszył w stronę Bogenhausen. Popołudniowy szczyt komunikacyjny jeszcze się nie rozładował, więc stojąc w korkach, spoglądał z nudów na bożonarodzeniowe wystawy w sklepach.

Trochę trwało, nim dojechał do śródmieścia Monachium. W ekskluzywnej dzielnicy drogich rezydencji, sklepów, kamienic oraz hoteli znajdowała się też rodzinna willa Hoffenbergów. Piętrowa, w pruskim stylu, ale „ekskluzywna” można było mówić o niej wyłącznie w czasie przeszłym. Miał zaledwie kilka lat, gdy tu mieszkał, więc czasów jej świetności prawie nie pamiętał.

Ale remontem zajmie się później. Najpierw zakończy sprawę, którą żył przez lata. Wszystko ma swój początek i koniec, na tym polega odwieczny porządek świata. Po młodości przychodzi starość, po winie kara, a po krzywdzie zadośćuczynienie.

Dziś zadośćuczyni za siebie, Rudiego i innych. Podekscytowany tą wizją, wjechał na ogrodzoną wysokim murem posesję. Mur jeszcze przed wojną kazał postawić jego ojciec, żeby nikt z ulicy nie wściubiał nosa do środka. Oczywiście wtedy nie mógł przypuszczać, jak przydatne okaże się to potężne ogrodzenie.

Przeszedł na przełaj przez trawnik z różanym klombem, zrobionym przez Annę, żeby trochę ocieplić surowe otoczenie. Siostra była jedyną osobą, dla której Klaus zgadzał się na wszystko. Z boku domu stały dwa osobowe samochody i furgonetka, a więc przyjaciele już przyjechali z prezentem.

Wbiegł lekko po schodkach, przeszedł ciemny korytarz, równie ponury jak reszta domu, wszedł do salonu i spytał krótko:

– Jest?

– Siedzi w piwnicy – odrzekł Rudi. Na jego twarzy malował się wyraz tryumfu.

Prócz brata w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn i kobieta. Sami starzy przyjaciele. Tworzyli jeden z pionów operacyjnych rozsianej po świecie grupy Łowcy Nazistów. Klaus i Rudi też do niej należeli, nawet współfinansowali działalność organizacji. Mniej z powodów ideologicznych, a bardziej osobistych, żeby dorwać jednego bydlaka. Inni ich nie interesowali.

Klaus dawno nie czuł takiej ulgi jak teraz, gdy usłyszał, że szczur siedzi w piwnicy. Długo na niego polowali. Odkąd dorośli, głowy wypełniała im wręcz obsesyjna myśl, żeby dopaść drania. Z początku szukali sami, ale bez skutku. Dopiero gdy nawiązali z nimi kontakt Łowcy i zaproponowali współpracę, sprawa zaczęła nabierać kolorów. Ludzie z organizacji mieli większe możliwości, sprawdzili więc, że poszukiwany dał nogę z NRD i przedostał się do Włoch, a stamtąd do Ameryki Południowej.

Tam nie zdołali go wytropić. Jednak szczęśliwie dla nich musiał się poczuć niezagrożony, gdyż kilka lat temu wrócił do Niemiec i zaszył się w prowincjonalnej pipidowie na wyspie Sylt. Pewnie myślał, że skoro kolega zbrodniarz, Reinefarth, był sobie tam spokojnie burmistrzem Westerland, to i jemu nic nie grozi.

Namierzyli go pod koniec września, zaplanowali porwanie i wreszcie mieli go w rękach. Dlatego po raz pierwszy od lat nie pojechali z Rudim na winobranie do Anny. Najpierw musieli upolować szczura.

– Jak poszło? – zapytał, śpiesznie zdejmując długi płaszcz. Rzucił go niedbale na fotel.

– Zgodnie z planem – odrzekł młodszy z mężczyzn. – Zwinęliśmy go, gdy wracał z ryb. Już doszedł do siebie po środku nasennym.

– Macie pół godziny na wyrównanie rachunków – dodał starszy, który był szefem grupy. – Przez dawny sentyment do was, panowie, możecie to załatwić po swojemu. Jest przygotowany tak, jak chcieliście.

– Idziemy. – Rudi skinął na brata.

W ciemnej, zatęchłej piwnicy, oświetlonej mdłym światłem żarówki, siedział na krześle kompletnie nagi, otyły mężczyzna o znacznie przerzedzonych włosach. Ręce miał przywiązane do oparcia krzesła, zakneblowane usta i spętane nogi w kostkach. Trząśł się z zimna. Na barłogu przy ścianie leżały jego wędkarskie ciuchy.

– Dawno się nie widzieliśmy. – Pierwszy odezwał się Rudi. – Zestarzałeś się, przytyłeś. Nie dbasz o siebie, Klein.

– Poznajesz nas? – zapytał Klaus i wyjął knebel z ust więźnia. Wzdrygnął się mimowolnie, gdy patrzył na tłuście cielsko dawnego wychowawcy i sflaczałego fiuta między zarośniętymi jajami bydlaka.

– Kim wy... jesteście? – wychrypiał tamten, przyglądając się dwóm podobnym do siebie wysokim mężczyznom.

Blondyni o mocnych szczękach, szerocy w barach, w ciemnych ubraniach, krążyli wokół niego jak sępy nad padliną. Jeden włączył magnetofon. Kim oni są? Czego od niego chcą? Dlaczego jest nagi? Jak się tu znalazł i gdzie jest? Próbował wyteżać dziurawą pamięć; poszedł na ryby, nic nie brało, więc wracał do domu. Potem ktoś go ogłuszył i znalazł się tutaj. Ból tętnił mu pod czaszką.

– Towarzysz wychowawca nas nie poznaje? – udał zdziwienie Klaus.

– Nie.

– Niemożliwe – ciągnął zimnym, szyderczym tonem. – A komu kazał towarzysz schodzić do piwnicy w sierocińcu? Komu mówił, że wyruchają go w każdą dziurkę, i sam to robił? Kogo katował codziennie i wysłał do Torgau?

– Odświeżyliśmy ci pamięć? – Rudi wziął stojący przy ścianie gruby kij i rytmicznie uderzał nim w otwartą dłoń.

Teraz ich rozpoznał i strach chwycił go za gardło.

– Hoffenbergowie... – wyszeptał prawie bezgłośnie. Nawet w półmroku widać było, że krew odpłynęła mu z twarzy i zaczął się jeszcze bardziej trząść. – Czego ode mnie chcecie? Zostawcie mnie. Jestem chory na serce...

– A może poczujesz się lepiej, gdy wyruchamy cię w każdą dziurkę?

Głos Klause przeszedł w syk, nachylił się do ucha Kleina, a Rudi dźgał kijem przyrodzenie więźnia, mówiąc przy tym:

– Będzie ci przyjemnie, jak nam było. Dupę masz wielką, wybrałem więc grubszy kij, żebyś miał lepsze doznania. Wepchnę ci go tak głęboko, aż wyjdzie przez gardło. O, kolanka ci dygoczą.

– Panowie, ja... – zaczął tamten sparaliżowany strachem, ale silny cios pięścią, który wymierzył starszy z braci, stłumił dalsze słowa. Z nosa więźnia trysnęła krew.

– Zniszczyłeś nam życie, kanalio, i teraz za to zapłacisz. – Klaus chwycił go za resztkę włosów na głowie, odgiął ją w tył i wycedził: – Nie tylko za nas zapłacisz, Herr SS-Scharführer, Erichu Volkmar.

– Nie wiem, o kim... mówicie – stękał przez zaciśnięte gardło. – To jakaś... pomyłka...

– Nieee... – odparł Rudi. – My nie popełniamy pomyłek. Jesteśmy profesjonalistami. – To rzekłszy, wyjął z kieszeni spodni kilka fotografii i cisnął je mężczyźnie pod nogi.

– Poznajesz? W młodości byłeś przystojniejszy. I chudszy.

Klein dostrzegł na fotografiach młodego siebie w esesmańskim mundurze. Stał przy bramie obozu Stutthof, gdzie był strażnikiem. Pociemniało mu w oczach, pot wystąpił na czoło.

A więc jednak do niego trafili, choć wydawało mu się, że pozacierał ślady. Zmienił nazwisko i wstąpił do enerdowskiego Stasi, żeby tam się przechować, jak zrobiło wielu ważniejszych od niego esesmanów. Na przykład ci z Auschwitz wciąż są w Stasi. Dlaczego nie dopadli tamtych, znacznie grubszych ryb, tylko akurat jego? Był przecież lichą płótką, zwykłym strażnikiem, robił, co mu kazano. W oszalałej ze strachu głowie Kleina przelewały się gorączkowe myśli.

Starszy z braci znów chwycił go za włosy.



– No, co masz teraz do powiedzenia? – odezwał się szorstko, jakby czytając w jego myślach. – Będziesz się zasłaniał, że tylko wykonywałeś rozkazy? Wszyscy tak gadacie. Ci z Majdanka też. Chyba czytasz gazety i wiesz o procesie w Düsseldorfie? Nie wykręcisz się, misiu, mamy zeznania świadków. Pięćdziesiąt kijów to była twoja ulubiona kara dla więźniów.

– Przyznajesz, że SS-Scharführer Erich Volkmar to ty? – zapytał sucho Rudi.

– Tak, ale jestem niewinny. Wykonywałem... rozkazy.

– Patrz, Rudi, jaki aniołek – zakpił Klaus. Chwycił byłego esesmana za gardło i wysyczał mu w twarz, kipiąc wściekłą furią: – W sierocińcu też wykonywałeś rozkazy? Gwałciłeś nas i katowałeś, zbrojcę, bo miałeś z tego przyjemność, pieprzony sadysto. Prześladowałeś nas za ojca nazistę, a ty, kanalio, byłeś taki sam. Za to, co zrobiłeś nam i innym, przetrzeż twoje stare, faszystowskie członki. W pierwszej kolejności odstrzelę ci fiuta.

To powiedziawszy, wyjął zza pleców pistolet i wycelował tamtemu między nogi.

– Neeee... błagam, mam chore... serce, zapłacę wam, ile... chcecie. – Klein zaczął się trząść jak galareta, z krzesła popłynęła na podłogę strużka moczu, paliło go w klatce piersiowej i dudniło mu w głowie, gdy blade jak papier patrzył w wycelowaną weń lufę.

Klaus pociągnął za spust.

W piwnicy rozległ się trzask iglicy, krzyk, ale strzał nie padł. Klaus opuścił rękę z pistoletem, mówiąc:

– Nie włożyłem naboju. – Zagrzechotał w kieszeni kilkoma pociskami. – Owszem, chcieliśmy cię zabić, wtedy jednak niczym byśmy się nie różnili od takiej gnidy jak ty. Wystarczył nam widok strachu na twojej gębie. Bezcenne. Nawet się zeszczaleś.

– Ale i tak odpowiesz za swoje czyny – dodał Rudi. – Osądzi cię sprawiedliwość. Pojedziesz tam, gdzie wysłaliśmy takiego samego zbrodniarza jak ty. Staniesz przed sądem i pewnie trafisz na szubienicę. A teraz pójdiesz grzecznie spać.

Wyjął z kieszeni fiolkę z przygotowanym proszkiem i ściskając Kleinowi policzki, zmusił go do otwarcia ust, a potem wsypał mu do środka lekarstwo.

– Masz popsute zęby – zauważył złośliwie. – W Izraelu czeka na ciebie kolega dentysta, chyba że się nie obudzisz, bo mogłem niechcący przygotować za dużą dawkę. Miłych snów. – Na powrót włożył tamtemu knebel.

Egzekucja była skończona. Klein poczuł ogień w piersi, pociemniało mu w oczach i wraz z krzesłem przewrócił się na podłogę, wydawszy z siebie przeciągły jęk.

Nie zważając na to, Hoffenbergowie wyszli z piwnicy. Pozostali członkowie grupy czekali na nich w pokoju.

– Gotowe – zameldował szefowi Klaus.

– Pomogło? – zapytał krótko tamten. – Lepiej się czujecie?

– Teraz tak – odrzekł zgodnie z prawdą starszy z braci.

Nie wiedział tylko, jak długo utrzyma się satysfakcja, którą w tej chwili czuł, nim znów dopadną go znajome upiory.

– Ja też – dodał Rudi. – Miło było widzieć jego strach. Zemdłał i grzmotnął na podłogę, cykor.

– Trzeba go ubrać i wrzucić do furgonetki. Ciuchy, dokumenty i wózek inwalidzki są w środku. Odlot o siódmej rano? – upewnił się szef, wydawszy dyspozycje.

– Siódma pięć – potwierdził Rudi. – Nie udało mi się zamienić lotu. Wziął go taki buc, ale stewardesy to moje dziewczyny. Powiedziałem, że kolega lekarz będzie wiozł inwalidę. Kleina trzeba czymś naszprycować, żeby mamrotał jak ciężko chory. Wwiesz go na pokład na wózku, a teraz pomożesz mi go ubrać – zwrócił się do młodszego z mężczyzn.

Poszli obaj do piwnicy, lecz nie minęło pięć minut, gdy zjawili się z powrotem.

– Szczurek wykitował – zameldował Rudi. – Ale z niego był cykor. Dałem mu tylko sproszkowaną witaminę C, żeby drania nastraszyć, a ten się przekręcił.

W duszy, podobnie jak starszy brat, czuł ulgę, że prędzej, niż się spodziewali, sprawiedliwość łotra dopadła. Spojrzeli na siebie z satysfakcją. Żaden nie miał wyrzutów sumienia.

– Widocznie wykitował na serce – stwierdził Klaus, nalewając wszystkim szkockiej do szklanek.

Nikt z towarzystwa nie przejął się śmiercią Kleina. Wypili alkohol, po czym szef powiedział:

– W związku z tym trzeba zweryfikować plany. Ubierzcie trupa w jego własne łachy, póki jeszcze nie zeszywniał, weźcie wędki, zawieźcie wszystko tam, skąd go zwinęliście, i rzućcie kawałek od miejsca, gdzie łowił. Niech to wygląda, jakby dostał zawału na rybach. Nie miał rodziny, więc nikt go prędko nie będzie szukać. Sprawiedliwość wykonała robotę za sąd. Powiemy naszym o zmianie planów.

Skinął na kobietę. Tamta wstała z fotela i wzięła z oparcia czarny płaszcz.

– Teraz jedziemy do Włoch – ciągnął. – Po powrocie wpadniemy do Berlina, żeby podziękować za pomoc.

– Tylko nie mówcie nic o nas – przestrzegł Klaus. – Anna nawet przypadkiem nie powinna się dowiedzieć o niczym, co dotyczy naszych spraw.

– Zwłaszcza teraz, kiedy jest chora – dodał Rudi. – Potrzebuje spokoju.

– W porządku. – Szef kiwnął głową. – Umiemy dochować tajemnicy. Kiedy będą te wyniki badań?

– Na dniach – odrzekł starszy z braci, przebierając palcami po poręczy fotela. – Jutro przyjeżdża na kontrolę do kliniki. W samą porę załatwiliśmy sprawę z Kleinem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział młodszy, starając się nadać głosowi pewne brzmienie.

– To twarda dziewczyna – podsumował szef. Wyjął z aktówki sporą, wypchaną kopertę, położył ją na stoliku i polecił: – Wyślijcie to za dwa tygodnie do Berlina.

## *Berlin*

– Jak... oja... mama?

Trzaski w słuchawce niemożliwie przerywały rozmowę. Viktoria rozumiała co drugie słowo Adama. Brzmiały niczym ze studni.

– Mama? Nieźle. Dali jej jeszcze dwa naświetlania – odrzekła, zaciskając w dłoni słuchawkę. Na palcach miała niedokładnie wytartą mąkę. Gdy zadzwonił telefon, lepiły z Karin pierogi na Wigilię, więc czym prędzej rzuciła się do aparatu. – Halo, Adaś, słyszysz mnie?

– Słabo – stwierdził i powoził wcześniejsze pytanie: – ...stego w Ber... nie ...dnim?

– Będziesz w Berlinie, tak? Ale którego, bo nie zrozumiałam?! Siedemnastego czy osiemnastego? Powtórz. Halo, nic nie słyszę. – Odruchowo dmuchnęła w słuchawkę. Rozmawiali nie dłużej niż pięć minut, z czego przez cztery trwały zakłócenia.

– Przyja... ę do Berlina ...stego, halo, Viki, sły... aś?

Niezdolne trzaski zagłuszały rozmowę, aż wreszcie połączenie zostało przerwane i w telefonie rozległ się sygnał. Niepocieszona odłożyła słuchawkę.

Była połowa grudnia, nie widziała Adama od ponad dwóch miesięcy, z jednym wyjątkiem, kiedy w początku listopada przyjechał w niedzielę do Berlina Wschodniego. Spędzili razem ledwo kilka godzin. Pisali też do siebie, Adam czasem dzwonił. Tęskniła za nim coraz bardziej. Wynajdywała sobie zajęcia, żeby pośpieszyć czas do chwili, aż znów się spotkają, ale ten zdawał się ciągnąć jak z gumy.

Przeszła w Hamburgu szkolenie dla korespondentów zagranicznych. Na bieżąco starała się śledzić doniesienia z Polski. Czytała przysyłane przez naczelnego oficjalne wiadomości Polskiej Agencji Interpress, które miały kształtować pozytywny wizerunek PRL za granicą. Przeglądała otrzymywane broszury, tygodniki i miesięczniki, jednak zawarte w nich propagandowe informacje o aktualnej sytuacji w Polsce nijak się miały do tego, o czym dowiadywała się z Radia Wolna Europa.

Napisała też reportaż o wschodniopruskich sierotach. O dziwo, Klaus zgodził się zabrać w nim głos. Odkąd wyniki mamy okazały się nie najgorsze i szanse wyleczenia wzrosły, stał się życzliwszy, mniej mrukliwy. Rudolf także nie odmówił pomocy, kiedy zadzwoniła doń w tej sprawie do Zurychu. Ojciec też dorzucił coś od siebie, tak więc powstał z tego całkiem niezły dokument, który przed tygodniem posłała do redakcji.

Za dnia radziła sobie z tęsknotą, gorzej bywało wieczorami. Pisała wtedy do Adama długie listy albo czytała po kilka razy te, które odeń dostała, aż wreszcie zasypiała, tuląc do siebie jego sweter.

Z niecierpliwością czekała na telefony, żeby choć usłyszeć jego głos, ale dziś doszły ją głównie trzaski. Wróciła do kuchni, skąd dolatywała rozmowa Karin i Jerzego.

– Nie załamuj się, zrobię z ciebie najlepszego kierowcę – pocieszał ją. – Tylko tak się nie spinaj.

– Kiedy nie mogę – odrzekła przyjaciółka. – Gdy tylko siądę za kierownicę, wpadam w panikę. Pocą mi się dłonie, a puls skacze ponad setkę. Nigdy nie zdam egzaminu na prawo jazdy.

– Zdasz, zobaczysz – przekonywał ją – będziemy więcej jeździć.

Jerzy wymyślił, że odwdzięczy się Karin, ucząc ją prowadzić samochód, by wreszcie uzyskała prawo jazdy. Od jakiegoś czasu ćwiczili na parkingach i placykach, lecz na razie efekt był mizerny. Karin nie potrafiła przełamać psychicznej bariery, jaką odczuwała przy prowadzeniu samochodu.

– Słyszałam, że Adam dzwonił – powiedziała, kiedy Viktoria weszła do kuchni. W czerwonym swetrze o świątecznych motywach, przepasana fartuchem, lepiła pierogi, a Jerzy wymieniał uszczelkę w kranie.

Od jakiegoś czasu kuzyn zaczął zwracać większą uwagę na swój wygląd. Już nie donaszał przez tydzień jednego swetra. Kupił kilka modnych ciuchów. Teraz miał na sobie dżinsową koszulę i nowe portki.

– Dzwonił, tylko że połowy nie zrozumiałam – odparła. – Mówił, że przyjedzie do Berlina, ale nie usłyszałam dokładnie którego. Osiemnastego czy dziewiętnastego? Strasznie coś przerywało. Może telefon jest na podsłuchu?

– Na sto procent esbecja słuchała – odrzekł Jerzy. – Nie łam się, zadzwoni jeszcze raz albo znajdzie inny sposób, żeby cię zawiadomić. Podobno miłość nie zna granic, więc Adam może i mur dla ciebie przeskoczyć – stwierdził ironicznie, mocując się z zaworem. – Zapieкло się cholerstwo na amen. Idę do piwnicy po większy klucz. Ugotujecie mi trochę tych pierogów na obiad? – Wskazał na wypełniony przysmakami blat.

– To do zamrożenia na Wigilię – odrzekła Viktoria, zabierając się do lepienia kolejnych. – Na obiad będą wczorajsze kotlety.

– Nie bądź wredna, przecież z pięćdziesiąt tych pierogów już zrobiłyście – jęknął proszącym tonem. – W zamrażalniku nie ma już miejsca na więcej, a to moje ulubione. Z kapustą i grzybami. Cały rok na nie czekam.

– Babcia prosiła o sto, żeby nie zabrakło na święta, a te zamrozimy u Karin. Wytrzymasz do świąt.

– Co za pokrętna logika. – Przewrócił oczami. – W domu też zawsze słyszeliśmy od matki: „Nie jedz, bo to na święta”, a po świętach mówiła:

„Jedz, żeby się nie zmarnowały”. Jaka różnica, czy zjem teraz, czy w święta? Najwyżej odliczycie mi z wigilijnej porcji.

– Nie dręcz już tego biedaka, Viki, bo aż mu ślinka cieknie – zaśmiała się przyjaciółka. – Zakupy zrobił, cebulę posiekał, kran naprawia, zasłużył. Ile chcesz, Jerzy, to ci ugotuję. Dziesięć wystarczy?

– W sam raz. – Rozjaśnił się momentalnie. – Wiedziałem, że można na ciebie liczyć, Karin, bo ta wredota by się nie ulitowała. Zaraz wracam.

– Ładnie razem wyglądacie i coraz lepiej się rozumiecie – powiedziała Viktoria, gdy kuzyn wyszedł z mieszkania.

– Powtarzam, z tej mąki chleba nie będzie – odrzekła zdecydowanie Karin. Nalała wody do garnka, wstawiła na gaz i ciągnęła: – Lubię Jurka, nawet bardzo lubię. Jest sympatyczny, wartościowy, pomocny, może się nawet zaprzyjaźnimy, ale to wszystko. Między nami nie iskrzy.

– A ja mam wrażenie, że po prostu boisz się zaufać drugi raz facetowi po tym, co przeżyłaś z Michaeliem. Tak samo jak boisz się, że nie poradzisz sobie jako kierowca. Spróbuj zmienić nastawienie. Ja też zmieniałam swoje odnośnie do choroby mamy. To pomaga. To znaczy... trochę pomaga – dodała ciszej. Wytarła ręce z mąki, przycupnęła na krześle i nie spuszczać wzroku z Karin, wróciła do tematu, który wciąż ją nurtował. – Wiem, że już cię o to pytałam, ale te dodatkowe naświetlania to dla mamy lepiej, prawda? Zabiły wszystkie rakowe komórki, tak?

– Pracuję na internie, nie mam specjalizacji z onkologii i przede wszystkim nie widziałam wyników. Dlatego niczego nie mogę wyrokować. Mogę tylko powtórzyć to, co mówiłam wcześniej. Nowotwór to poważna choroba, a rokowania w każdym przypadku są indywidualne.

– Strasznie to dyplomatyczne.

– Nie mogę ci dawać fałszywej pewności, bo po prostu nie wiem, jak będzie – tłumaczyła Karin, odwróciwszy się od kuchenki. – Medycyna opiera się na faktach, a nie na pobożnych życzeniach. Guzek twojej mamy został wcześniej wykryty, nie zrobiono mastektomii, nie było chemioterapii, a to, moim zdaniem, przemawia na korzyść. Poza tym sama zauważyłaś, że dobre nastawienie jest ważne. W leczeniu także, a twoja mama jest dobrze nastawiona. Ciotka Anastazja żyje z tykającą bombą w głowie, a z tego, co opowiadałaś, pogodą ducha mogłaby obdzielić połowę pacjentów u mnie na oddziale, więc bądź dobrej myśli.

– Jestem, ale mam moralniaka.

– Dlaczego?

– Wcześniej za bardzo nie dogadywałyśmy się z mamą i teraz, gdy już wiem, że jest chora i opowiedziała mi, co przeżyła, żałuję, że nie byłam dla niej miłsza. Często kłóciłam się z nią tylko dla zasady. Zawsze faworyzowałam ojca. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego mama nas nie rozpieszczała. Chciała, żebyśmy byli twardzi jak ona.

– Czasem dopiero taki wstrząs pozwala zyskać inną perspektywę. A ty, kiedy ostatnio sprawdzałaś cycki? – zagadnęła ją nieoczekiwanie tamta, wskazawszy wzrokiem na biust przyjaciółki.

– Ja?

– Co się tak dziwisz? Przecież wiesz, że trzeba regularnie badać piersi, a skoro twoja mama ma guzek, powinnaś być szczególnie czujna. Zbadam cię, jak się ogarniemy z lepieniem. O, woda już się gotuje! – Wrzuciła do wrzątku kilka pierogów. – Swoją drogą to straszne, co ona i jej bracia przeżyli po wojnie. Takie dzieci.

– Nawet nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

– Dobrze, że napisałaś ten artykuł, świat musi się o tym dowiedzieć. Viki, a tak zmieniając temat, zaczęły się jarmarki bożonarodzeniowe, nie przesłabyś się jutro ze mną do miasta poszukać prezentów, żeby nie odkładać tego na ostatnią chwilę? Jutro idę na nocny dyżur, więc praktycznie mam cały dzień do dyspozycji, a przed południem nie będzie dużo ludzi na jarmarku, bo to piątek, więc spokojnie sobie pobuszujemy.

– A wiesz, że chętnie. Trochę prezentów już kupiłam, ale nie wszystkie. Oczywiście przyjdiesz do nas na Wigilię.

– Jerzy mówił, że będzie u was dużo ludzi. Zresztą pewnie wcisną mnie na świąteczny dyżur, powinnam też odwiedzić ciotkę w ośrodku.

– Od dyżuru się wykręcisz. Musisz przyjść do nas i wcale nie będzie aż tylu osób. Tylko my, rodzice i bracia mamy, bo Anastazja z wujem po powrocie z Lourdes jadą na święta do Polski.

– Wracają za tydzień?

– Tak. W następną sobotę. Ciotka Anastazja zapowiedziała, że musi koniecznie odwiedzić Paryż. Jak ją znam, wykupi najmodniejsze ciuchy z butików. Peter został sam w Lorelei na posterunku. Ma dopilnować winiarni i domu. Już widzę, jakie tam odchodzą imprezy – zaśmiała się krótko, po czym dodała refleksyjnie: – Wymyśliliśmy z młodą prezent dla mamy na święta. Mam nadzieję, że nas z nim nie pogoni.

– Nawet wiem jaki, Jerzy się wygadał. A ty co byś chciała w prezencie?

– Adama – odrzekła bez namysłu.

Znów zadzwonił telefon, więc w dwóch susach skoczyła do korytarza. Chwyciła słuchawkę i nie czekając, aż zgłosi się rozmówca, spytała po polsku:

– Adam, to ty?

– Pani Viktoria? – Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos.

– Tak – odrzekła zawiedziona, przechodząc na niemiecki.

– Mówi Anna, pokojówka państwa Essen, czy mogłybyśmy się jutro spotkać?

– Spotkać? – powtórzyła zaskoczona. Zarówno telefon, jak i propozycja były dość nieoczekiwane, więc nie skojarzyła, że kobieta, która parę miesięcy temu miała kłopoty z niemieckim, teraz posługuje się płynną niemczyzną. – W jakim celu?

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Jutro jestem już umówiona. Nie może być inny dzień?

– Niestety, to niemożliwe. Nie zabiorę pani więcej niż kwadrans, a mam do przekazania istotne informacje. Proszę nie odmawiać. Proponuję kawiarnię na Ku'damm, w galerii na antresoli. Na przykład o jedenastej, jeśli pani to odpowiada.

– No dobrze.

– Dziękuję i proszę panią o dyskrecję.

Nazajutrz mocno sypnęło śniegiem. W białym puchu ulice wyglądały baśniowo, zwłaszcza że w mieście coraz wyraźniej czuło się świąteczną atmosferę. Wszędzie wisały kolorowe światełka, witryny sklepów zdobiły przystrojone choinki i pięknie zapakowane atrapy prezentów. Z jarmarku przy ratuszu pobrzmiwały świąteczne piosenki. Ludzi nie było zbyt dużo, ale pierwsi sprzedawcy już otwierali kramy. Oferowali grzane wino, prażone orzechy i nieśmiertelne bratwursty.

Viktoria wjechała na parking przy galerii, a potem wraz z Karin weszły do środka. Spotkanie z Anną miało trwać tylko kwadrans, więc przyjaciółka zaproponowała, że zaczeka gdzieś w pobliżu. W ogromnym holu centrum handlowego stał kilkumetrowy świerk obwieszony złotymi bombkami i girlandami migających lampek, grała muzyka.



Przyjechały trochę przed czasem, więc zamówiły w kawiarni espresso i zajęły stolik przy barierkach, żeby dobrze widzieć ludzi wchodzących do galerii.

– Czego ta kobieta od ciebie chce? – zapytała Karin, ściągając puchową kurtkę.

– Nie mam pojęcia, ale jej słowa brzmiały intrygująco – odrzekła Viktoria. Zdjęła jasny kożuszek i czapkę z pomponem. Poprawiła włosy, podciągnęła rękawy swetra w norweskie wzory i spojrzała na zegarek. – Za pięć minut powinna być.

– Przesiądę się wtedy dalej albo przejdę się po butikach i poszukam czegoś na prezent dla Jerzego.

Do galerii weszła obsypana śniegiem para. Z tej wysokości nie można było dostrzec dobrze twarzy, jedynie sylwetki. Niższą kobiety i wyższą mężczyzny. Oboje byli w ciemnych płaszczach i kapeluszach, zmierzali szybkim krokiem w stronę schodów na piętro. Gdy stanęli w wejściu do kawiarni, Karin pochyliła się ku Viktorii i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– To ten dziennikarz, o którym ci mówiłam. Jürgen Braun.

Viki przyjrzała się tym dwojgu i szepnęła do niej ze zdumieniem:

– No coś ty. To przecież ogrodnik Essenów i pani Anna, z którą się umówiłam.

Musiała to powiedzieć na tyle głośno, że tamci ją usłyszeli.

– Ani jedno, ani drugie – odrzekł mężczyzna. Zdjął kapelusz i przywitał się, skłaniając głowę.

– Miło znów panią widzieć, Viktorio – odezwała się Anna. Uścisnęły sobie ręce.

Pewna siebie, ładnie ubrana, z lekkim makijażem na twarzy w niczym nie przypominała bojaźliwej pokojówki.

Oboje zamówili kawę, zdjęli płaszcze i zajęli miejsca przy stoliku. Mężczyzna miał na sobie grafitowy garnitur, kobieta popielatą garsonkę. Wyglądali na urzędników z ministerstwa.

– To ja nie będę przeszkadzać... – Karin podniosła się, lecz tamten ją powstrzymał.

– Proszę zostać. Poniekąd panią też wciągnęliśmy w nasz plan, a skoro już się widzimy, możemy i przed panią uchylić rąbka tajemnicy.

– Przyznam, że nie rozumiem – stwierdziła, na powrót siadając przy stoliku.

– Ja chyba też – dodała Viktoria.

– Zaraz panie zrozumieją – uspokoił je ów Jürgen, upiwszy łyk kawy. – Zazwyczaj unikamy tego rodzaju spotkań, ale pomogła nam pani, Viktorio, w ważnej sprawie, więc przyszliśmy podziękować w imieniu, nazwijmy to, sprawiedliwości.

– Pomogłam? – Jeszcze bardziej się zdziwiła. – W czym? Nic z tego nie rozumiem. Kim państwo naprawdę są?

– Łowcami nazistów – odrzekł. – Dzięki pani udało się nam ostatecznie zidentyfikować zbrodniarza wojennego.

Przy stoliku zapadła cisza. Kompletnie zdezorientowane przyjaciółki spojrzały na siebie.

– Kogo? – Viktoria otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Güntera Essena, a raczej Josefa Krampa – wyjaśniła Anna. – Tak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Dostarczyliśmy go do Izraela, gdzie teraz czeka na proces.

– Nazywali go Złoty Josef, gdyż miał szczególną słabość do złota – zaczął mówić Jürgen. – Potrafi je wywęszyć w każdym schowku. W Polsce uczestniczył w likwidacji kilku gett, potem działał w obozach koncentracyjnych. Wyrывał złote zęby wszystkim, kogo posłał na śmierć. Okradał tym samym Trzecią Rzeszę, ale opłacał postawionych wyżej od siebie, więc ów proceder trwał. Nieźle się obłowił.

Viktoria wciąż nie mogła pozbierać myśli, tak szokujące było dla niej to, o czym się dowiedziała.

– Przecież to niemożliwe, że taki miły, kulturalny człowiek jest... zbrodniarzem wojennym – mówiła, trąc palcami czoło. – Twierdził, że się ukrywał przed nazistami i całą wojnę spędził z żoną w Szwecji.

– Uciekł tam w czterdziestym piątym – sprostował mężczyzna. – Zmienił tożsamość i mieszkał w Szwecji kilka lat. Nawiązał współpracę z amerykańskim wywiadem, co mu zapewniło ochronę, więc pewny swego bezpieczeństwa wrócił do Berlina. Długo nie można go było namierzyć, podrzucano nam fałszywe tropy, że ukrywa się w Boliwii, lecz ostatecznie udało nam się zdobyć informacje, gdzie naprawdę przebywa. Reszta już należała do nas. Musieliśmy go ostatecznie zidentyfikować i uprowadzić. Tatuazy SS pozbył się dawno, ale z brakiem palca u stopy było gorzej.

– To było moje zadanie, żeby go zidentyfikować po kalectwie – kontynuowała opowieść Anna. – Dlatego zatrudniłam się u nich jako pokojówka. Przyjęli mnie na czarno, za połowę stawki, jako gastarbeiterkę ze Wschodu. Niestety, nie udawało mi się zobaczyć go bosego, ale pani potwierdziła to, co miałam sprawdzić.

– Zanim to nastąpiło – dodał Jürgen – byliśmy gotowi się ujawnić i prosić panią, Viktorio, o pomoc w identyfikacji. Nie wiedzieliśmy tylko, na ile możemy pani zaufać, zważywszy na pani związek z jego synem. Przeprowadziliśmy dyskretne rozpoznanie i stąd nasza rozmowa w bibliotece. – Spojrzał na Karin. – Szczęśliwie Anna zagrała va banque, no i się udało. Niemniej dziękujemy, że pośrednio przyczyniła się pani do oddania zbrodniarza w ręce sprawiedliwości.

– Nadal to do mnie nie dociera. – Viktoria pokręciła głową. – Wydawał się taki miły. Jak stracił ten palec? Wypadek?

– Poniekąd – odrzekł mężczyzna. – W jednym z obozów podczas stawiania baraków przypadkiem zsunęły się przywiezione do budowy kłody i zmiażdżyły mu stopę. Wściekły Kramp uznał to za zamach na swoje życie i kazał wysłać do komory gazowej wszystkich więźniów, którzy układali te belki. Kilkunastu ludzi.

Viktoria zacisnęła powieki.

– Czy Fredrik wie, co się stało z jego ojcem? I kim był? – zapytała.

– Dostał przesyłkę, w której bez podawania szczegółów ujawniliśmy prawdziwą tożsamość Güntera Essena oraz wyjaśniliśmy, gdzie się teraz znajduje i co z nim będzie dalej – powiedział Jürgen. – Dołączyliśmy też kopie kilku dokumentów z SS, zeznań świadków i parę fotografii.

– Ta kartka, którą zostawił, że wyjeżdża, aby odpocząć, a także późniejsza pocztówka z Tajlandii miały, jak się domyślam, zmylić ślady – uznała Viktoria.

– I dać nam trochę swobody – potwierdziła kobieta. – Gdy się widziałyśmy ostatni raz, Kramp zaprosił mnie wieczorem na fotel, żeby zobaczyć mój niby-bolący ząb. Byliśmy sami w gabinecie, wstrzyknęłam mu zastrzyk usypiający i wtedy go stamtąd zabraliśmy. Kiedy się ocknął, zmusiliśmy go, żeby napisał wiadomość do rodziny. Potrzebowaliśmy czasu, aby przygotować przerzut Krampa.

– Nie wiem, jak wpływowego adwokata musiałaby zatrudnić rodzina, żeby wydostać z Izraela Krampa – znów mówił mężczyzna – lub starać się

o jego ekstradycję do RFN czy Polski, gdzie teoretycznie też mógłby stanąć przed sądem.

– A matka Fredrika mogła znać prawdę? – chciała wiedzieć Viktoria.

– Służyła Trzeciej Rzeszy, wstąpiła do służby pomocniczej i pracowała w komendanturze kolejowej, ale nie mamy dowodów świadczących o zbrodniczej działalności Frau Essen. Jednak jestem więcej niż pewien, że wiedziała, czym zajmował się Josef. Byli już wówczas zaręczeni.

– Czy tropiąc nazistów, słyszeli państwo nazwisko Therese Krüger? – odezwała się milcząca dotąd Karin. Widać było po niej napięcie. – To moja matka. Nie chciałabym, aby okazała się zbrodniarką. To i tak nic nie zmieni, matka od dawna nie żyje, ale gdyby moje przypuszczenia się potwierdziły, sama świadomość byłaby nieznośna.

– Skąd ma pani takie podejrzenia? – zainteresował się mężczyzna.

– Znikąd. Po prostu intuicja.

Tamci przez chwilę nic nie mówili, a potem znowu odezwał się ów Jürgen:

– To nazwisko nic nam teraz nie mówi.

– Zawsze to trochę lżej. – Karin odetchnęła z ulgą. – Państwa misja jest niezwykła. Może uda się przynajmniej częściowo zadośćuczynić ofiarom za popełnione zbrodnie.

– Droga Karin, nie da się zadośćuczynić za ludobójstwo, najwyżej można ukarać sprawców albo wypłacić odszkodowania – odpowiedział z powagą Jürgen. – Niestety, podczas tropienia nazistowskich zbrodniarzy częściej zdarzają się nam porażki, niż udaje się schwytać winnych. A nawet jeśli w końcu się uda, wyroki, które zapadają przed niemieckimi sądami, są niewspółmiernie niskie do popełnionych zbrodni.

– Naziści w naszym kraju wciąż mają się dobrze – mruknęła Karin. – Niedawno rozmawialiśmy o tym z Viktorią.

– Nie może być inaczej, skoro do dziś państwo chroni zbrodniarzy, ogłaszając kolejne amnestie – stwierdził. – Watykan także pomagał nazistom uciekać z Europy. Kilkadziesiąt tysięcy wojennych oprawców nigdy nie poniesie zasłużonej kary, bo kiedy był czas rozliczeń, Niemcy jako naród wybrały amnezję. Musiało upłynąć wiele lat, żeby do części społeczeństwa zaczęło powoli docierać, że naziści byli zbrodniarzami. Do wielu ta prawda nigdy nie dotrze. Tak więc długi, ponury cień Trzeciej Rzeszy będzie się ciągnął przez następne pokolenia Niemców.

– A co państwa skłoniło, żeby tropić nazistów? – zapytała Viktoria. – To musi być obciążające psychicznie. Podziwiam taką determinację.

– Jest nas dużo więcej. Powiniennem odpowiedzieć, że sprawiedliwość dziejowa czy poczucie przyzwoitości, wstydu, współwiny, i poniekąd jest to prawda. Miałem jednak też osobisty powód. Mój ojciec był nazistą i zbrodniarzem. Znienawidziłem go za to, co robił. Jeszcze go nie dopadłem, ale wierzę, że prędzej czy później go wytropię, żeby stanął przed sądem. Chyba że znajdę naprawdę wiarygodny dowód jego śmierci, wtedy przestanę szukać. To mój życiowy cel.

– A ja w tym pomagam – podsumowała kobieta.

– Anna i Jürgen to fałszywe imiona – domyśliła się Karin.

– Używamy różnych tożsamości – odrzekł mężczyzna, przyglądając się Viktorii. – Jest pani podobna do mamy.

– Pan zna moją mamę? – Jej oczy ze zdumienia zrobiły się wielkie jak spodki. – Skąd?

– Kiedyś łączyły nas wspólne przeżycia. – Uśmiechnął się połową ust. – Nazywam się Markus Schneider, a to Elke Schneider, moja przybrana siostra. Mama opowiadała pani o nas?

– Tak, nawet całkiem niedawno – przyznała wciąż zdumiona Viktoria. – Była nawet ciekawa, co się ze wszystkimi dzieje. Niesamowite, że się spotykamy i że pani jest tą małą znajdą. Przepraszam, głupio to zabrzmiało, ale to z wrażenia.

– Nic się nie stało. – Tamta się uśmiechnęła. – Jestem znajdą. Do tej pory nie wiem, kim byli moi rodzice ani kiedy dokładnie się urodziłam. Może moja prawdziwa matka była Niemką, którą zgwałcił sowiecki żołnierz, więc mnie porzuciła? To się często zdarzało. A może była Rosjanką, którą wykorzystał feldfebel, co też się zdarzało. A może po prostu się zgubiłam, tylko rodzice nie chcieli mnie szukać, bo ubyło jednej gęby do karmienia? Taka ewentualność też jest prawdopodobna. Nigdy się tego nie dowiem. Pani mama bardzo się o mnie troszczyła. Jak prawdziwa matka. Dzieliła się ze mną każdym kęsem chleba. Tego też nigdy nie zapomnę.

– Teraz rozumiem, dlaczego wybrała pani imię Anna, to z powodu mojej mamy. Opowiadała, że jako dziecko miała pani problemy z mówieniem. W życiu bym tego nie podejrzewała, słysząc panią. Ma też pani talent aktorski. Naprawdę dałam się nabrać na tę pokojówkę.

– Aktorstwo przydaje się w naszej profesji. – Elke znów się uśmiechnęła.  
– Imienia Anna użyłam celowo, żeby wzbudzić pani sympatię. Jako dziecko miałam wiele problemów, ale ciotka Markusa, u której mieszkałam w Düsseldorfie, zadbała o mnie. Chodziłam do logopedy, na balet, potem do szkoły. Skończyłam pielęgniarstwo.

– Z najlepszym wynikiem – dodał nie bez dumy.

– Rodzice ucieszą się, że państwo są w Berlinie. Za tydzień wracają z Francji i na pewno będą chcieli się z państwem zobaczyć – mówiła rozemocjonowana Viktoria. – Mogłabym prosić o jakiś kontakt, żeby go im przekazać? Mieszkają państwo tutaj?

– Mieszkamy w różnych miejscach, ale nie w tak uroczych jak wasza winnica – powiedział i zaraz dodał, widząc pytające spojrzenie Viktorii: – Wstąpiliśmy tam po drodze. Piękny dom i piękne róże. Niestety, nie możemy dłużej zostać w Berlinie. Może kiedyś przy innej okazji uda nam się spotkać z pani rodzicami. Proszę ich pozdrowić, szczególnie mamę. I pogratulować, że spełniła nasze dawne marzenia, choć bez mojego udziału. Pozwolę sobie zaprosić panie na kawę.

To rzekłszy, wyjął z portfela kilka banknotów i zostawił je na stoliku. Włożyli płaszcze, pożegnali się krótko i nie upłynęło pięć minut, gdy wyszli z galerii wraz z grupą ludzi. Zniknęli tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawili.

One zaś siedziały jeszcze chwilę, analizując w duchu wszystko, czego się dowiedziały.

– O tyle rzeczy chciałam ich jeszcze zapytać – odezwała się zamyślona Viktoria.

– Łowcy nazistów – powtórzyła Karin. – Słusznie zauważył, że ponury cień Trzeciej Rzeszy jest bardzo długi. I gęsty. Wciąż dobrze zasłania szafy, w których kryją się szkielety. Kolejny został wyciągnięty, ale ile jeszcze tam pozostało. Napiszesz o Josefie Krampie? Renomowany berliński dentysta okazał się zbrodniarzem wojennym. Twoja gazeta na pewno to weźmie.

Viktoria milczała przez chwilę, a potem odrzekła zdecydowanym tonem:

– Nawet im o tym nie wspomnę. Nie zamierzam być hieną.

– Hieną?

– Hieną, sępem, nazwij, jak chcesz. – Machnęła ręką. – Z Fredrikiem nic mnie już nie łączy, lecz mimo wszystko nie potrafiłabym mu tego zrobić.

Prędzej czy później sprawa i tak się wyda, ale bez mojego udziału. Uważasz, że to nieuczciwe?

– Może w jakimś sensie szlachetne, ale uważam, że trzeba mówić prawdę.

– Nie zamierzam kłamać, tylko milczeć, a to różnica. I nie po to, żeby chronić zbrodniarza, lecz aby nie krzywdzić kogoś, kto nie odpowiada za czyny swojego ojca.

– Powiesz Fredrikowi, że znasz prawdę?

– Po co? To nie jest powód do dumy. On pewnie i tak już wszystko wie. Poza tym zamiast rozpamiętywać cudzą przeszłość, wolę skupić się na własnej przyszłości. Chodźmy stąd. Jeśli się nie pogniewasz, wolałabym wrócić do domu. Adam może zadzwonić. Jakoś straciłam ochotę na zakupy.

– Ja też nie mam na to nastroju. Wracajmy.

## Rozdział XVI

# Prezent na święta

Adam nie zadzwonił, choć nadszedł kolejny dzień. Ponieważ Karin odsypiała nocny dyżur, Viktoria, zniecierpliwiona jałowym czekaniem na upragniony telefon, wybrała się sama po świąteczne upominki, żeby zająć czymś myśli.

Myszkowała w butikach w poszukiwaniu prezentu dla Adama. Wymyśliła, że kupi mu dzinsy. Wpadł jej w oko ładny model wranglerów, rozmiar mniej więcej знаła, więc nie namyślając się długo, wzięła spodnie. Dobrała jeszcze trochę artykułów spożywczych i kosmetyków, rajstop dla jego mamy i siostry, planując, że wyśle im to wszystko w paczce.

Spędziła na zakupach kilka godzin. Do domu wróciła solidnie obciążona. Jerzego jeszcze nie było, miał dziś pojechać po choinkę. Zdążyła przebrać się w dresy i zaparzyć herbatę, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Zapomniało się kluczy, Jureczku? – zapytała, idąc otworzyć.

W progu stał Fredrik. Wyglądał jak po nieprzespanej nocy. A więc już wie, stwierdziła w myślach Viktoria.

– Mogę na chwilę? Dzwoniłem wcześniej, ale nikt nie odbierał, dlatego przyjechałem. Czekałem w aucie, aż wrócisz. Potrzebuję z tobą pogadać.

– Wejdz, skoro już jesteś. – Rada nierada, przesunęła się w drzwiach.

Wszedł do środka. Zdjął zamotany wokół szyi szalik, powiesił kurtkę na wieszaku. Miał na sobie szarą marynarkę, jasną koszulę, krawat. W tak oficjalnym wydaniu jeszcze go nie widziała. I chyba pierwszy raz, odkąd znała Fredrika, zobaczyła w nim dorosłego mężczyznę, a nie Piotrusia Pana.

– Napijesz się herbaty czy kawy?

– Poproszę kawę.

– Zaraz przyniosę, rozgość się, proszę.



Zaparzyła w filiżance kawę, ukroiła kawałek keksu i zaniósła do salonu. Fredrik siedział w fotelu, głowę miał odchyloną w tył, ręce splótł na karku i patrzył w sufit.

– Co cię sprowadza? – zagadnęła, choć dobrze wiedziała co. Uznała jednak, że powinna zachować powściągliwość.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Usiadł prosto, złączył ze sobą opuszki palców i patrząc na Viktorię, wyznał: – Jesteś jedyną osobą, prócz prawnika, której najbardziej ufam. Nie chciałbym, żeby wszystko się rozniosło, a muszę to z siebie wyrzucić. Chodzi o mojego ojca...

– Coś się stało? – spytała pro forma, choć poczuła się niezręcznie, że brnie w kłamstwo. Aby ukryć zmieszanie, zbliżyła filiżankę do ust.

– Przedwczoraj dostałem dziwne... dokumenty... – zaczął opowiadać.

Powtórzył wszystko, o czym już wiedziała od tamtych dwojga, ale nie przerywała jego zwierzeń.

– Z początku pomyślałem, że te materiały są sfabrykowane – ciągnął niepewnie – żeby wymusić okup albo nas skompromitować, ale rozpoznałem starego na zdjęciach. Był w esesmańskim mundurze. Jedno zostało zrobione w jakimś obozie, na tle baraków, drugie przy pociągu towarowym. Ładowali ludzi do wagonów. Nie wierzę, żeby mój stary brał w tym udział – przyłożył palce do nasady nosa – to znaczy nie mogę w to uwierzyć. Zeznania świadków mogą być fałszywe, ale zdjęcia wyglądają na autentyczne.

– A mama co na to?

– Mówi, że to bzdury, że przypadkiem ktoś go wtedy sfotografował, chce za wszelką cenę wyciągnąć ojca stamtąd. – Otrząsnął się na tyle, żeby upić łyk kawy. Ciasta nie ruszył. – Przed wizytą u ciebie byłem u adwokata. Ma przejrzeć dokumenty i dać znać, czy podejmie się sprawy. W tym wszystkim jest tyle znaków zapytania.

– Jakich?

– Choćby to, jak go wywieźli do Izraela. Kiedy? Kto? Próbuję jakoś połączyć tę sprawę ze zniknięciem tamtej pokojówki, ale to bez sensu. Wyglądała na taką, która do dwóch nie umie zliczyć, więc raczej odpada. Musieli nas obserwować. Może udawali pacjentów i wtedy? Sprawdzę księgę wizyt, kto się wtedy zgłosił. Tylko co nam to da? I tak go przecież nie uwolnimy bez sztabu dobrych prawników. – Głośno wypuścił powietrze z ust. – A ci nas wydoją, aż miło. Niezły prezent na święta dostaliśmy.

– Ktoś się podpisał na tych dokumentach?

– Łowcy nazistów. Żadnych nazwisk, danych, prócz dokumentu z prokuratury w Izraelu. Cholera, jak to się rozniesie po ludziach, wybuchnie skandal. Dziennikarze nas zjedzą, stracimy połowę pacjentów i renomę kliniki szlag trafi! – Znow odchylił głowę, przycisnął dłoń do czoła.

– I to cię martwi najbardziej?

– Sam już nie wiem, co mnie martwi najbardziej – westchnął ciężko – ani czy w to wierzę. Czuję, jakbym śnił jakiś koszmarny sen.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Fredrik. Ode mnie nikt się nie dowie, choć pracuję w gazecie. Rozumiem też, że to dla ciebie szok. Mój dziadek również miał nieciekawą przeszłość. Takich jak my jest wielu, ale nie odpowiadamy za czyny naszych przodków. Owszem, mam poczucie wstydu, ale to co innego niż poczucie winy. Możemy się jednak postarać...

– szukała właściwego słowa – nie umiem tego określić, ale zadośćuczynić za zło, które wyrządzili nasi krewni.

– Zadośćuczynić?

– Być bardziej ludzcy niż oni. Tak ogólnie, dla wszystkich.

– Dla wszystkich – powtórzył. Patrzył na nią przez chwilę, nic nie mówiąc. Potem wyznał: – Nie wiem, czy potrafię się na to zdobyć. Ale właśnie się przekonałem, że ze wszystkich spraw, jakie spieprzyłem, jednej żałuję najbardziej.

– Jakiej?

– Za późno zrozumiałem, że byłaś dla mnie naprawdę ważna. I najmniej chodziło o łóżko. Mogłem się bardziej postarać.

– Myślę, że nie powinniśmy rozmawiać w ten sposób.

– Tak tylko powiedziałem. – Uśmiechnął się blado. – Wiem, że jest ktoś w twoim życiu, i nie zamierzam tego niszczyć, ale przecież możemy się przyjaźnić.

– Przyjaźnić, powiadasz. – Uniosła lekko brwi.

– Wystarczy, że czasem pozwolisz mi do siebie zadzwonić, żeby pogadać. Choćby przez telefon. W zamian masz u mnie gratisowe leczenie zębów. Obiecuję, że nie będę nadużywał twojej uprzejmości. Po prostu nie chcę być z tym... sam – dodał ciszej. – Kiedy wyda się sprawa z ojcem, część moich obecnych przyjaciół zwyczajnie się ulotni.

Nie powinna się zgadzać na podtrzymywanie ich relacji choćby w tak niewinny sposób, ale gdy patrzyła na przygnębionego Fredrika, zrobiło jej się go żal.

– Zadzwoń, kiedy naprawdę nie będziesz miał z kim pogadać.

– Dzięki, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

W korytarzu rozległ się trzask energicznie otwieranego zamka. Viktoria wyjrzała do holu. Do mieszkania wszedł Jerzy. Zziębnięty, oprószony śniegiem, wyglądał na zaaferowanego.

– No nareszcie jesteś – powiedział. – Szukam cię od dwóch godzin. Obleciałem cały jarmark, galerię, zmarzłem jak cholera i jeszcze się wyrznięłem przed klatką – wyliczył, po czym zakomunikował: – Adam czeka na ciebie przed Checkpoint Charlie.

– Co???

– Nie miał jak cię powiadomić, że przyjechał do Berlina, więc przekazał wiadomość dziewczynie, która przechodziła przez granicę, a ona tu zadzwoniła. Mówiłem, że ma chłopak łeb na karku. Pośpiesz się, bo sterczy tam od dwunastej, a jest po trzeciej.

Do korytarza wszedł Fredrik. Rozmowa toczyła się po polsku, więc niczego nie rozumiał.

– A ten co tu robi? – mruknął Jerzy, patrząc zezem na gościa.

– Właśnie wychodzi – rzuciła i przechodząc na niemiecki, dodała: – Przepraszam, Fredrik, ale bardzo się śpieszę.

– W porządku. Może cię gdzieś podzucić?

– Dzięki, poradzę sobie.

Nie czekając, aż wyjdzie, wpadła do swojego pokoju, żeby się przebrać do wyjścia. Niemal w biegu zrzuciła dresy i wciągnęła dzinsy oraz sweter w norweskie wzory, pierwszy, jaki chwyciła z szafy. Wrzuciła do torby prezenty, skoczyła jeszcze do kuchni po wino i nie upłynęło pięć minut, gdy wkładała w korytarzu botki. Fredrika już nie było.

– Nie lubię typa, ale wyglądał jak z krzyża zdjęty – zauważył Jerzy. Stał w progu pokoju i gryzł jabłko. – Po co tu przyszedł?

– Pogadać, ma problemy.

– Każdy ma. Ja na przykład czuję się pokrzywdzony. Poświęcam się, marznę, latam jak pies z wywalonym ozorem, aby cię powiadomić, że taki jeden przyjechał, a ty mi pierogów żałujesz – wytknął jej z udawaną pretensją.

– Jureczku, słowo daję, od razu, jak tylko wrócę, ugotuję ci wszystkie pierogi, jakie są w zamrażalniku – zaświergotała.

– Zobaczymy. Przekaż to Adamowi. – Wyjął z kieszeni kurtki nieduży, walcowaty przedmiot owinięty w papier.

– Co to?

– Takie urządzenie do powielacza, będzie wiedział, co z tym zrobić. Tylko postaraj się przenieść to dyskretnie przez granicę.

– Dobra, to ja lecę! – Chwyciła torebkę, prezenty, klucze i wyskoczyła na klatkę schodową.

– Wzięłaś klucze od piwnicy zamiast od samochodu! – krzyknął za nią. – Chyba lepiej sam cię zawiozę.

Z Kreuzbergu na Charlie było blisko. Znaleźli się na miejscu w pięć minut, ale mimo to nie mogła prędko dostać się do Berlina Wschodniego. Jak na złość przed punktem granicznym stała kolejka oczekujących na przejście. Mniejsza po zachodniej stronie. Po wschodniej tłoczyło się więcej emerytów. Wypatrywała między nimi Adama, tkwiąc na końcu ludzi czekających do odprawy.

Enerdowscy strażnicy długo kontrolowali każdego, zachodni Niemcy tylko machali ręką, dając znać, żeby przechodzić. Upłynęło ponad pół godziny, zaczynało już zmierzchać, gdy wreszcie przyszła kolej na Viktorię.

– Co to jest? – spytał młody wschodniobrzeński funkcjonariusz, oglądając walcowaty przedmiot. Wcześniej przejrzał inne rzeczy, które miała w torbie. Z emocji zrobiło jej się gorąco, choć na zewnątrz panował mróz.

– To? – powtórzyła, żeby zyskać na czasie, i powiedziała to, co wpadło jej do głowy: – Rolka do tajskiego masażu stóp. Bardzo odpręża.

Przez chwilę patrzył podejrzliwie to na nią, to na rolkę, potem oddał jej dokumenty, ową rolkę i polecił krótko:

– Przechodzić.

Nie zdążyła dobrze się rozejrzeć pośród ludzi po drugiej stronie szlabanu, gdy znalazła się w mocnym uścisku i usłyszała krótkie:

– Jesteś.

– Adaś... – Ze wzruszenia nie zdołała wykrztusić więcej.

Jeszcze bardziej do niego przyłgnęła. Był w zimowej kurtce, ale i tak przemarzł na kość. Kiedy otoczył dłońmi jej policzki, poczuła, że palce ma lodowate i równie zimne usta, gdy pocałował ją na powitanie.

– Okropnie zmarzłeś – rozczuliła się, wpatrzona w jego stęsknione oczy, spoglądające na nią czule spod wełnianej czapki. – Tyle tu czekałeś. Gdzie masz rękawiczki?

– W kieszeni. Czekałbym do skutku i wcale aż tak nie przemarzłem – odrzekł, obejmując ją ramieniem.

– Właśnie widzę. Chodźmy gdzieś prędko, żebyś się ogrzała. Do jakiejś kawiarni albo baru. – Rozejrzała się wokół.

Po tej stronie miasta było bardziej ponuro. Nie czuło się świątecznej atmosfery ani nie słyszało nastrojowych piosenek, jakie rozbrzmiewały z kafejek i butików po drugiej stronie szlabanu. Ulice wypełniał terkot trabantów i wartburgów.

– Mam lepsze miejsce. – Adam wziął od niej torbę – swojego bagażu nie miał – i ruszyli w stronę Alexanderplatz.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś. – Przytuliła głowę do jego ramienia.

– Musiałem cię zobaczyć, więc wsiadłem w pociąg i jestem.

– Zrobiłeś mi najlepszy prezent na święta. Wczoraj mało zrozumiałam z naszej rozmowy. Strasznie coś przerywało.

– Zamówiłem jeszcze raz międzynarodową, ale nie doczekałem się na połączenie.

– Ile mamy czasu?

– Do jutra.

– Do jutra? – Z wrażenia zatrzymała się na chodniku. – Wynająłeś pokój w hotelu? A mnie tam wpuszczają?

– Zaraz zobaczysz, teraz o nic więcej nie pytaj, bo nie będzie niespodzianki.

Niedługo później dotarli przed szary, klockowaty blok przy Alexanderplatz. Adam zaprowadził ją na drugie piętro. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi jakiegoś mieszkania. Nikogo w nim nie było. Rozejrzała się zdezorientowana po obcych kątach. Dwa skromne pokoje, ale jasne, czyste i niezagracone.

– Czyje to mieszkanie? – zapytała zdziwiona.

– Do jutra nasze – odrzekł, pomagając jej zdjąć kurtkę. – A tak naprawdę to konstruktora, który przyjechał do nas na staż. Robię za jego tłumacza, czasem pomagam mu przy projektach, więc się odwdzieczył i użyczył mi na nocleg swojego mieszkania, tylko prosił, żebyśmy byli cicho, żeby sąsiedzi nie donieśli.

– Będziemy się kochać po cichu... – powiedziała szeptem i dali się ponieść szaleńczym gorączkowym pieścizmom, oboje jednakowo spragnieni siebie. W drodze do pokoju niemal zrywali z siebie ubrania, by wreszcie dać upust namiętności. Dopiero gdy ukoili tęsknotę, Adam zaproponował:

– Urządzimy dziś sobie Wigilię?

– Możemy, ale nie mam niczego na Wigilię. – Uniosła głowę z jego ramienia.

– Ja mam. Zostawiłem wszystko wcześniej w kuchni. Moja mama coś nam zapakowała do pojemników.

Niebawem, oboje uroczyści i przejęci, siedzieli w cudzym mieszkaniu i przy cudzym stole, przykrytym przywiezionym z Polski śnieżnobiałym obrusem, przy ich pierwszej wspólnej Wigilii. Viktoria odgrzała przywiezione pierogi z kapustą i grzybami, uszka oraz barszcz z termosu. Nie zabrakło śledzi, makowca i opłatka, a nawet świerkowych gałązek, które położyła przy nakryciach.

Adam zadbał o nastrój i rozwiesił w pokoju choinkowe lampki. Włożył garnitur i białą koszulę, które także zabrał ze sobą. Miał nieco dłuższe włosy niż ostatnio i dobrze wyglądał w niesfornej fryzurze. W tle sączyły się po cichu koledy z taśmy magnetofonowej, o których też nie zapomniał. Jeszcze nigdy dotąd Viktoria nie przeżyła tak magicznego wieczoru.

– Nie mogłam mieć lepszej niespodzianki – powiedziała wzruszona, gładząc Adama po dłoni. – Podziękuj też mamie, wszystko jest przepyszne. A pierogi palce lizać.

– Ucieszy się, że ci smakowało. To był jej pomysł z tą Wigilią, gdy się dowiedziała, że jadę do Berlina. Sam bym na to nie wpadł. Powiedziała też ciekawą rzecz.

– Jaką?

– Że największe granice są w głowie. Wystarczy je przełamać, a znajdzie się sposób na pokonanie przeszkód, jeśli się chce być obok kogoś bliskiego. Tak jak ja chciałem być przy tobie – wyznał, biorąc jej dłoń w swoje.

– Ładnie to powiedziała. Chciałabym już spędzać z tobą wszystkie Wigilie i nie tylko Wigilie.

– Znasz już jakiś konkretny termin, kiedy przyjedziesz do Warszawy?

– Jeszcze nie, wciąż czekam na akredytację. Strasznie długo to trwa. Potrzebuję cię, Adam. Nie myślałam, że mogę kogoś tak potrzebować. Śpię

z twoim swetrem, patrzę na nasze zdjęcie i nie zdejmuję serduszka. – Dotknęła srebrnego wisiora na szyi.

– A to drugie? – Wziął w palce bursztynowe.

– Dostałam od mamy, a ona od kogoś, kto ją kochał – odrzekła i opowiedziała mu o Wadimie. Adam słuchał zamyślony.

– Smutna historia – podsumował, kiedy umilkła. – Nie chciałbym, aby nasza zakończyła się rozczarowaniem.

– Nie rozumiem – odrzekła zdezorientowana.

– Powoli do mnie dociera – zaczął mówić po chwili – z jak różnych światów jesteśmy. I zaczynam się obawiać, że nie wytrzymasz w moim czy też może ze mną.

– Co ty mówisz?

– Prawdę. Teraz możemy się spotkać w chacie u Uwe. A gdzie będziemy się spotykać w Warszawie? Nad Wisłą? W Pałacu Kultury? Może czasem w kuchni u Kuby, jeśli gdzieś się z Agą ulotnią. Na wynajęcie mieszkania w Warszawie mam marne szanse, chyba że za dewizy albo bony PKO, ale mnie na to nie stać, więc temat odpada.

– Ale mnie stać – wtrąciła, lecz od razu uciął kwestię.

– W życiu się nie zgodzę, żebyś mnie utrzymywała. Teoretycznie mógłbym dostać pokój w hotelu robotniczym, ale z kimś, więc nie pokój, tylko łóżko w pokoju. Twój pensjonat jest dla zagraniczników i mnie tam nie wpuszczają. Tak więc oczekiwania, że będziemy mogli mieszkać razem, już na początku zderzają się z rzeczywistością.

– Nieprawda... – zdążyła powiedzieć, lecz skoncentrowany na swoich rozterkach, Adam zdawał się nie słyszeć.

– Ja będę się wkurzał, że nie mamy się gdzie podziąć, że stać mnie na tak niewiele. Ty będziesz miała dość pustych półek w sklepach czy też kolejek po papier toaletowy i pastę do zębów. Chyba że będziesz kupować w Peweksie, ale dla mnie to trudny temat. Po twojej stronie granicy życie wygląda jak bajka. Nawet w enerdówku jest łatwiej niż u nas. Zamordyzm większy, fakt, ale z mieszkaniami nie ma problemów i zakupy robi się po ludzku, bo niczego nie brakuje. U nas wszystko leci na pysk. Wiesz, o której godzinie moja matka zajmuje kolejkę w mięsnym, żeby kupić Magdzie parówki? – spytał rozdrażniony. – O czwartej rano, i to bez gwarancji, że coś dostanie. Po te śledzie – wskazał na miseczkę – też stała w rybnym przez kilka godzin. Po miesiącu będziesz miała dość takiego

życia, może też mnie, i wrócisz do swoich Niemiec. Z perspektywy Lorelei wszystko wygląda inaczej.

– Skoro tak mówisz, to mnie nie znasz – odrzekła twardo. Oboje mieli silne charaktery, więc nie zamierzała odpuszczać. – Jeszcze nic się nie zadziało, nawet nie przyjechałam do Warszawy, a ty już z góry wiesz, co się wydarzy. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie boję się trudności. Sam powiedziałeś, że granice są w głowie, więc przestań stwarzać problemy, bo tylko psujesz naszą pierwszą Wigilię. I nie zachowuj się jak jaskiniowiec. „W życiu się nie zgodzę, żebyś mnie utrzymywała” – powtórzyła z ironią. – Spod lodu cię wykopali, że masz takie przedpotopowe poglądy? A może to ja sobie nie życzę, żeby ktoś utrzymywał mnie? Pół na pół, to sprawiedliwy układ, w inny nie wchodzę. Poza tym jak się chce znaleźć rozwiązanie, to zawsze się je znajdzie. Potrafiłeś uciec ode mnie przez okno, to wejść chyba też dasz radę, jeśli drzwiami cię nie wpuszczą do pensjonatu. A jak nie nazbierasz swojej doli na wynajęcie mieszkania albo żadnego nie znajdziemy, rozbijemy sobie namiot nad Wisłą. Załatw tylko prąd, żebyśmy mogli się dogrzewać farelką.

– Wiesz, co to farelka? – zapytał zdziwiony.

– Wyobraź sobie.

Staął za jej plecami, objął ją i pocałował w czubek głowy.

– Przepraszam, ułało mi się, bo szlag mnie trafia, że nie będziemy mieć dla siebie miejsca, ale masz rację, niepotrzebnie psuję nasz wspólny wieczór.

– Więc nie gadaj już takich głupot, jeśli nie chcesz mnie bardziej rozżłościć, a naprawdę potrafię ostro się wkurzyć.

– Pamiętam i właśnie słyszałem cię w akcji, więc dalszego ciągu wolę uniknąć. Może tym się zrehabilituję? – Wręczył jej ozdobne pudełeczko. Otworzyła je zaintrygowana i zaraz poprawił jej się nastrój, gdy wyjęła ze środka srebrną bransoletkę. Było do niej doczepione serduszko i słonik.

– Podoba ci się? Magda pomagała mi wybrać – powiedział, zapinając ozdobę na nadgarstku Viktorii.

– Jest śliczna, dziękuję. Ja też mam dla ciebie prezent, a także parę drobiazgów dla twojej mamy i Magdy, tylko nie zdążyłam zapakować. – Sięgnęła po torbę. – Chciałam wysłać wam paczkę, ale skoro przyjechałeś, to wrzuciłam tu wszystko jak leci. Aha, i Jerzy prosił, żeby przekazać ci rolkę. Też jest w środku.



– Masz rolkę? – Uradowany Adam od razu wydobył z torby walcowaty przedmiot i oglądał go ze znanstwem. – Będzie pasować. Wreszcie naprawią powielacz, bo nie działa od paru miesięcy, a u nas nie można dostać części. Jedyne wyjście to przemyścić z Zachodu. Jak ci się udało to przenieść? Nie sprawdzali cię? U nas za takie coś ładują do paki.

– Sprawdzali, powiedziałam, że to rolka do tajskiego masażu stóp.

– I uwierzyli? – zdziwił się.

– Jak widać. Do czego wam ten powielacz?

– Dla kolegów z KOR-u do drukowania bibuły – wyjaśnił, oglądając kolorowe opakowania w torbie. – Zaszalałaś z prezentami. Dziewczyny się ucieszą. To dla mnie? – zapytał, wyjmując na końcu dzinsy. – Hmm, niezłe, naprawdę bajeranckie. Dzięki, Viki.

– Cieszę się, że ci się podobają. Przymierz, powinny pasować – powiedziała, stawiając na stole wino. To samo, które pili wtedy w pensjonacie. – A to powinno smakować nam obojgu.

Spodnie pasowały, wino smakowało, a dalsza część wieczoru miała bardziej intymny charakter. Kochali się z krótkimi przerwami na sen. Ranek przyszedł o wiele za wcześnie.

Viktoria pomogła Adamowi zrobić zamówione do Polski zakupy, w tym mikser dla mamy, potem odprowadziła go na dworzec, a później sama wpadła w wir przygotowań do świąt.

Wypucowała mieszkanie, wysłała rodzinie paczki i dokończyła zakupy. Jerzy miał więcej pracy w warsztacie, więc uporała się ze wszystkim sama.

Kilka dni przed Wigilią dom zapełnił się ludźmi, gdyż z Francji wróciła rodzina. Zrobiło się głośno i tłoczno, ale Viktoria potrzebowała tego gwaru.

– Ach, Paryż, co to jest za miasto! – mówiła ciotka Anastazja, popijając wino, gdy wieczorem przy kolacji dzielili się wrażeniami z podróży.

Połowę pokoju zajmowały nierozpakowane jeszcze walizki i torby z butików Diora, Vuittona i Chanel. Ciotka, w eleganckiej ołówkowej sukience koloru burgunda, w butach na wysokich obcasach, jak zwykle mocno wymalowana, miała rozanielony wyraz twarzy i sprawiała wrażenie, że myślami wciąż przebywa w Paryżu.

– I żebyś mogła wypić kawę na Montmartre i skropić się Diorem, Joachim musiał nas wieźć z Lourdes do Paryża przez całą Francję, jakbyś w Lyonie nie mogła zrobić zakupów. Po co ci tyle tego? – wytknął jej Aleksander, wskazując sterty pakunków. – Wiesz, że w twoim stanie

powinnaś się oszczędzać, a ty się zachowujesz, jakbyś miała dwadzieścia lat!

– Niech wielebny przestanie już zrędzić. – Anastazja machnęła ręką. – Nie każdemu wystarczy do szczęścia skropić się wodą święconą, jak tobie. Ja mam potrzebę skrapiać się także Diorem, a ten paryski pachnie najlepiej. I nie zamierzam się oszczędzać. Chcę żyć pełną piersią tak długo, jak będę chciała. Życie jest, niestety, śmiertelne, więc już dawno postanowiłam, że przeżyję je na swoich zasadach. Skoro nie mogę żyć wiecznie, będę żyć wesoło!

– Właśnie o to chodzi, kobieto, żebyś żyła jak najdłużej, dlatego naprawdę musisz zacząć na siebie uważać. – Aleksander nie ustępował. – I nie pij tyle wina, bo ci skoczy ciśnienie, a to niedobre przy tętniaku.

– Tętniak nie będzie mną rządził, tobie też na to nie pozwolę, wielebny, choć wiem, że robisz to dla mojego dobra. Zapamiętajcie, moi drodzy, jedną rzecz – ciągnęła, unosząc w górę palec z pomalowanym na krwistą czerwień paznokciem. – Jeśli ktoś pragnie waszego dobra, natychmiast przenieście się w inne miejsce. Sama potrafię o siebie zadbać, a do nieba pójdę na obcasach, pijąc szampana. Poza tym nie kupowałam tych wszystkich rzeczy tylko dla siebie. Co prawda plany się zmieniły i na Wigilię zostajemy tutaj, ale do Polski z byle prezentami nie pojedziemy. Sprawiać bliskim radość to przecież po chrześcijańsku. I nie słyszałam, żeby Joachim narzekał, że musiał nadłożyć drogi. Marysia z Anulą też się cieszyły. Narzekałeś, mój drogi? – zwróciła się na koniec do Joachima, a Anna tłumaczyła jej tyrady na niemiecki.

– Ależ nie, to była bardzo wesoła wyprawa, zresztą z tobą nie mogła być inna, Anastazjo – zapewnił ją gorliwie. – Polecam się na przyszłość.

Spojrzał przy tym na żonę. Dawno nie widział jej tak swobodnej i rozradowanej. W nowym niebieskim kostiumie, który wmusiła w nią w Paryżu Anastazja, Anna wyglądała niemal dziewczęco. Miała zarumienioną twarz, mniej mizerną niż wcześniej, i częściej się śmiała. Posłużył jej ten wyjazd, tak samo jak i wizyta kuzynów. Joachim poczuł nadzieję, że diagnoza, która wstrząsnęła nimi latem, niedługo okaże się tylko złym wspomnieniem.

Nie był religijny, nawet nie umiał się modlić, lecz kiedy byli w Lourdes, tak jak potrafił, kierował wszystkie myśli do jakiejś nadprzyrodzonej siły, prosząc, żeby Anna wyzdrowiała. Po zachowaniu żony widział, że i ona

zaczęła wierzyć w szczęśliwy finał. Lepszego prezentu na święta nie potrzebował.

– Dziękuję, Viki, że wszystkim się zajęłaś, święta mamy prawie gotowe, a mieszkanie aż łśni. – Maria rozglądała się po pokoju. – Musimy tylko przemyśleć, jak was wszystkich położyć. Jutro przyjeżdżają Peter, Klaus i Rudi, więc może panów damy razem do największego pokoju? Mamy w piwnicy kilka połowych łóżek.

– Nie przejmuj się, babciu, mogę nocować u Karin – zaproponowała Viktoria i zaraz dodała: – Jerzy, ty też możesz się do niej przenieść. Tam są przecież dwa pokoje, a tu zwolnimy miejsce.

– Nie rozporządzaj moją osobą. – Z początku się obruszył, trochę też zarumienił, lecz po chwili odrzekł, siląc się na obojętny ton: – Chociaż w sumie to niezła myśl. Jeśli Karin się zgodzi.

– Zapytam ją, kiedy wróci z dyżuru.

– Przecież są hotele – odezwała się Anna, jedząc z apetytem naprędce przyrządzoną zapiekankę z kurczaka, warzyw i makaronu. – Nie musimy siedzieć sobie na głowie. Poza tym możemy jeszcze zmienić plany i pojechać na święta do nas. Nie będzie problemu z miejscem.

– Nie ma mowy o żadnym hotelu – ucięła zdecydowanie Maria. – Po to są święta, żeby rodzina mogła być razem. Przez kilka dni można się przemęczyć. Naturalnie u was byłoby nam wygodniej, ale wtedy nie spotkalibyśmy się z Maksymilianem i Krysią. Przyjeżdżają w drugi dzień świąt do Berlina Wschodniego. Może i Józek wreszcie się z nimi wybierze, stary uparciuch. Marzę, aby dożyć czasów, żebyśmy mogli wszyscy się spotkać na święta przy jednym stole, tak jak kiedyś w Ostojanach.

– Świat się zmienił – odezwała się Anna. – Stał się nowocześniejszy, bardziej zabiegany. Wielopokoleniowe rodziny odchodzą w przeszłość. To już nie czas na spotkania z dużą rodziną, której czasem nawet dobrze się nie zna.

– Nie ma złego czasu na spotkania z rodziną – odparła zdecydowanym tonem Maria. – Obojętne, dużą czy małą. Tak samo jak nie ma złego czasu na miłość. Rodzina i miłość pomagają przetrwać wszystko. I nawet jeśli teraz wciąż jesteśmy rozdzieleni i rzadko się widzimy, a nawet mówimy innymi językami, w razie najgorszego zawsze możemy na siebie liczyć. Mimo granic, odległości i różnic, które nas dzielą. I to jest najważniejsze.

– Amen – przytaknęła po swojemu Anastazja.

– Niech wam będzie. – Anna machnęła ręką i zwróciła się do córki: – No a co u ciebie, Viki? Wiesz już, kiedy wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie, ale parę dni temu widziałam się z Adamem – wyjaśniła pokrótce, co i jak, bez wdawania się w szczegóły.

Dopiero później, gdy mama weszła do jej pokoju i mogły pomówić tylko we dwie, siedząc na łóżku niczym najlepsze przyjaciółki, opowiedziała także o spotkaniu z Markusem i Elke.

– I nie zostawili dla mnie żadnego listu ani wiadomości? – dopytywała się poruszona nowiną Anna.

– Nie, Markus powiedział tylko, że sama spełniłaś wasze marzenia.

– Spełniłam swoje, a on swoje. Łowcy nazistów... – powtórzyła zamyślona. – No cóż, widać cię ojca ciągnął się za nim bardziej niż za mną. Ja nie mam potrzeby rozliczania przeszłości. Skoro Markus zrobił z tego swój życiowy cel, jego prawo. Elke miała jednak szczęście, że na niego trafiła. Jeszcze to do mnie nie dociera, że tamta mała, niemówiąca znajda jest teraz dorosłą, wykształconą kobietą. Przez te wszystkie lata było moim wyrzutem sumienia, że ją zostawiłam.

– Nie zauważyłam, żeby miała do ciebie jakiś żal. Przeciwnie, powiedziała, że nigdy ci nie zapomni, że dzieliłaś się z nią każdym kawałkiem chleba.

– Jak ona teraz wygląda? Dowiedziałaś się o nich czegoś więcej? Markus się ożenił?

– Nie wiem. Oboje byli bardzo powściągliwi. Markus mówił, że kiedy następnym razem przyjadą, może uda wam się spotkać. A Elke wygląda bardzo dobrze. Nie zdążyłam ich zapytać o parę spraw. Zwłaszcza o tamto, co przeżyliście na Litwie.

– Może jeszcze będzie okazja. Wydrukowali już twój artykuł?

– Jeszcze nie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go przeczytam. Zadzwońię do Petera, mam nadzieję, że nie przestawił domu do góry nogami. Mogę powiedzieć ojcu o Markusie? Kiedyś się przyjaźnili.

– Powiedz, a z Peterem rozmawiałam wczoraj. Zapewniał, że wszystko gra. Należały się wam te wakacje. Jak się czujesz, mamó?

– Bardzo dobrze. – Anna otoczyła córkę ramieniem. – Cieszę się, że dałam się namówić na ten wyjazd. A jeszcze bardziej cieszę się na wspólne

święta. Może babcia ma rację, że w rodzinie siła. Czasem męczy mnie ten zgiełk, ale z drugiej strony dzięki niemu czuję wokół siebie życie.

Od rana w Wigilię w domu panowało jeszcze większe zamieszanie. Złożone polowe łóżka, pościele i bagaże gości zajmowały prawie całą ścianę, trudno było znaleźć spokojne miejsce, jako że w mieszkaniu przebywało dziesięć osób, ale nikt się tym nie przejmował.

Polskie, niemieckie i angielskie słowa rozbrzmiewały z każdego kąta, gdyż Anastazja z Klausem ucięła sobie pogawędkę po angielsku, Joachim z Rudim i Peterem omawiali sprawy związane z samochodami, strojąc przy tym choinkę, a Jerzy z Olkiem starali się optymalnie ustawić stół, żeby wszyscy się przy nim pomieścili. Z kuchni dolatywały głosy mamy i babci oraz brzęk pośpiesznie odstawianych naczyń. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów świątecznych potraw. Z magnetofonu rozbrzmiewały kolędy Mazowsza.

W tym harmiderze Viktoria ledwo usłyszała sygnał telefonu. Dzwonił Fredrik.

– Cześć, Viki, chciałem ci tylko życzyć wesołych świąt i podziękować, że mogliśmy wtedy pogadać.

– Nie ma za co. Tobie też wszystkiego dobrego, Fredrik.

– Przyda się, zwłaszcza teraz.

– Co ci powiedział prawnik?

– Jeszcze nic. Wyjechał na święta. A ja załatwiam dokumenty i wybieram się do Izraela. Muszę się spotkać z ojcem, wybadać sprawę na miejscu. Wybacz, że nic ci nie kupiłem na święta, ale nie mam do tego głowy.

– Nie chcę, żebyś mi robił prezenty.

– Rozumiem. Odezwę się po powrocie.

Ledwo odłożyła słuchawkę i zawróciła do pokoju, telefon znów zadzwonił. Tym razem po drugiej stronie usłyszała naczelnego.

– Viktorio – zaczął bez wstępów – wybacz, że dzwonię w Wigilię, ale mam dwie wiadomości. Dobrą i dobrą. Od której zacząć?

– Od dobrej.

– Napisałaś mocny tekst. Marion też się podobał. Do tego stopnia, że sama go redagowała. Przyznam, że jeszcze nie słyszeliśmy o losie sierot wschodniopruskich, więc temat jest odkrywczy i spodziewamy się, że

stanie się nośny. Obawialiśmy się jednak, czy publikacja, która uderza w Rosjan, nie zaszkodzi ci w uzyskaniu akredytacji. Polski Interpress czyta nasze gazety. Dlatego do tej pory wstrzymywaliśmy się z drukiem. Ale teraz sytuacja się zmieniła.

– To znaczy? – zapytała, zakrywając ręką wolne ucho, żeby mniej słyszeć śmiech brata, a bardziej głos naczelnego.

– I to jest ta druga wiadomość. Właśnie przyszła twoja akredytacja.

– Naprawdę??? – Z radości zapiszczała jak dziecko.

– Dlatego od razu zadzwoniłem, wiem, że zależało ci na pośpiechu. Masz więc prezent na święta. Swoją drogą nie przypuszczałem, że aż tak się palisz do pracy.

Niekoniecznie do pracy, sprostowała w duchu i spytała konkretnie:

– Kiedy mogę jechać?

– Piątego stycznia. Dostałaś wizę na pół roku...

– Miała być na rok – wpadła naczelnemu w słowo. W jej głosie zabrzmiała nuta zawodu.

– Niestety, nie dało się tego przeskoczyć, ale myślę, że przedłużenie będzie tylko formalnością, oczywiście jeśli nie podpadniesz polskim władzom. I pilnuj służbowego notesu, żeby nie wpadł w niepowołane ręce. Aha, siódmego stycznia opublikujemy ten twój tekst. Na wszelki wypadek, żeby nie cofnięto ci akredytacji, powinnaś jednak podpisać go pseudonimem.

– Skoro tak będzie bezpieczniej, nie mam nic przeciwko temu.

– Wymyśl więc sobie jakiś pseudonim dziennikarski. Nie zatrzymuję cię dłużej, bo słyszę, że masz gości. *Frohe Weihnachten*, Viktorio – na koniec życzył jej wesołych świąt.

– *Frohe Weihnachten*, panie Straube.

Odłożyła słuchawkę i podekscytowana wpadła do salonu, wołając z euforią:

– Słuchajcie! Dzwonił naczelny! Mam wreszcie akredytację! Jadę piątego stycznia! I wydrukują mój artykuł!

– Oto radość w czystej postaci! – Anastazja klasnęła w dłonie. – Brawo i cieszę się twoim szczęściem. – Eleganckim gestem posłała jej całusa na dłoni.

– Już piątego stycznia? – Z kuchni wychynęła Anna w świątecznym fartuszkach na białej bluzce. Starła się nie pokazywać po sobie, że mimo

wszystko nie cieszy się z wyjazdu Viki tak jak córka.

– Dopiero piątego stycznia, mamó! – Z radości chwyciła matkę za szyję i zakręciła z nią kółko. – Szkoda tylko, że dostałam wizę na pół roku, ale naczelny mówił, że potem ją przedłużą. Nie powiem Adamowi, kiedy przyjeżdżam, zrobię mu niespodziankę. Przejrzysz do tego czasu mój samochód, Jureczku, czy wszystko gra?

– A mam inne wyjście?

– Chcesz tam jechać samochodem? – Anna się przełękła.

– A dlaczego nie? Jestem dobrym kierowcą.

– Córcia, zimą, po niebezpiecznych drogach, w obcym kraju? – Do rozmowy włączył się Joachim, mocujący ozdobny czubek na choince. – Chcesz, żebyśmy z mamą zeszli na serce ze strachu o ciebie? Przecież do Warszawy masz bezpośredni pociąg, a tam możesz brać taksówki. Stanowczo protestuję, żebyś jechała samochodem.

– Zdecydowanie uważam, że powinnaś wybrać pociąg – dołożyła swoje Maria, spoglądając przy tym na zegarek. – Pomówimy o tym przy Wigilii. Trzeba nakrywać do stołu, już po trzeciej. Karin niedługo powinna być, więc jedenaście nakryć. I dwunaste dla niespodziewanego gościa. Zajmiesz się tym, Peter? A my w tym czasie skończymy smażyć rybę. I o sianku nie zapomnij, wszystko znajdziesz w kuchni, a obrus w komodzie.

– Jasna sprawa, babciu, kelnerowanie mam we krwi.

Niedługo później uroczyści i odświętnie ubrani usiedli do Wigilii. Najbardziej odstawiła się Anastazja. W cekinowej kreacji koloru butelkowej zieleni z głębokim dekoltem wiodła prym przy stole. Pod choinką leżała góra prezentów. Tylko jeden upominek czekał jeszcze w mieszkaniu Karin.

Rozmawiali o tym i owym. Ktoś się z kimś spierał o kwestie polityczne, ktoś wybuchał śmiechem.

– Jeśli nadal chcesz, możesz przyjechać do mnie do Monachium – powiedział do Petera Klaus, zajadając się pierogami. – Wcześniej miałem sporo pracy, więc potrzebowałem spokoju, ale już się z tym uporałem, więc możesz się wprowadzać – wyjaśnił dyplomatycznie.

Patrzył przy tym na siedzącą po drugiej stronie stołu pogodną siostrę, która rozmawiała z tą ekscentryczną Amerykanką. I naraz uzmysłowił sobie, że nie upolowanie Kleina, którego ciało Rudi ze Stefanem mieli podrzucić na Sylt, tylko dobre rokowania Anny cieszą go znacznie bardziej.

– Jasne, że chcę – odparł Peter, nakładając na talerz solidną porcję sałatki jarzynowej, za którą wszyscy przepadali.

– Nie zjedz wszystkiego, młody, zostaw trochę nam. – Jerzy zabrał półmisek i podsunął go Karin. – Nakładaj sobie, pewnie jak zwykle nie zdążyłaś nic zjeść w szpitalu.

– Coś tam przekąsiłam, ale specjalnie robiłam miejsce na waszą Wigilię – odrzekła, klepiąc się po brzuchu. – Muszę uważać, zaczyna być mnie więcej.

– Następna zaczyna fiksować z odchudzaniem. – Jerzy przewrócił oczami. – Jest ciebie w sam raz i świetnie wyglądasz.

– Potwierdzam, i jedzcie, ile chcecie, zaraz doniosę – zachęcała Maria. – Zrobiłyśmy z Anią furę jedzenia, jak na wesele.

– To kiedy przeczytamy o sobie w „Die Zeit”, Viki? – zagadnął z drugiego końca stołu Rudi.

– Siódmego stycznia. Muszę sobie tylko wymyślić jakiś pseudonim – powtórzyła im, co powiedział naczelny. – Tylko że nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

– Weź mój – podsunęła jej Anastazja. – Podczas wojny byłam Verą Grand. Albo jeszcze lepiej weź pseudonim naszej Róży, Ursula Frei. Esbecja może sobie szukać nawet pod ziemią. W życiu go nie połączą z tobą.

– Ursula Frei – powtórzyła z zainteresowaniem Viktoria. – To nawet nieźle brzmi. Dzięki, ciociu.

– Widzisz, Klaus, zostaniemy gwiazdami. – Zadowolony Rudi zatarł dłonie. – Kupię na pamiątkę z dziesięć gazet, żeby dzieciom zostawiać.

– Przecież nie masz dzieci, Rudi, chyba że o czymś nie wiem – odezwała się zaciekawiona Anna.

– Co nie znaczy, że jeszcze nie będę miał – podsumował logicznie. – U mnie zegar biologiczny nie bije, a szkoda dobrych genów.

Wieczór trwał w najlepsze, zaśpiewali polsko-niemiecką wersję *Cichej nocy*, po czym Anastazja, upiwszy łyk wina, zarządziła:

– Pojedli, popili, pośpiewali, więc najwyższa pora na prezenty.

– Ze względów technicznych nasz będzie pierwszy, chodź, Peter. – Viktoria skinęła na brata, wzięła od Karin klucze od mieszkania i zbiegła piętro niżej.



Po chwili byli z powrotem. Z korytarza dała się słyszeć jakaś szamotanina czy też piski i nagle do pokoju wpadł podpalany, podrośnięty szczeniak z niezawiazaną do końca, poszarpaną niebieską wstążką na szyi. Nastąpiło ogólne poruszenie.

Zwierzak śmignął pod stół, między krzesła i nogi biesiadników, po czym jak gdyby nigdy nic zrobił kałużę pośrodku pokoju i zadowolony wywalił ozorek. Przechylił łebek i patrzył na wszystkich psotnymi ślepkami, zdając się mówić: „Bawcie się ze mną”.

– Leć po papier toaletowy, Peter – powiedziała Viktoria, próbując wziąć winowajcę na ręce, ale ten nie zamierzał dać się złapać i rozpoczął harce, szczekając piskliwie.

– Chodź tu, mała cholero, kimkolwiek jesteś. – Rudi także próbował pochwycić szalejącego szczeniaka.

– Nie ganiaj za nim, trzeba sposobem – powiedział Klaus i schylony pod stołem, usiłował przywołać cmokaniem rozbawionego psiaka. – Wygląda prawie jak nasz Jeger, kiedy był mały.

– Kielbasy mu dajcie – zaproponował Jerzy i też zaczął wabić psa, klepiąc się w udo. – Chodź do mnie. Noga.

– Nie podrzyj mi tylko paryskich pończoch, potworku, bo pożałujesz. – Anastazja cofnęła nogi na boki.

– Ale hecna psina – śmiał się Aleksander, gdy szczeniak dobierał się do jego sznurowadeł.

– Co to za pies? – Anna też zajrzała pod stół.

– To nasz prezent dla ciebie, mamó, ode mnie i od Viki – wyjaśnił Peter i uporawszy się z plamą, ruszył za malcem. – Niech go tylko złapię. Nazywa się Sigi, ma cztery miesiące i jest wilczurem. Opowiadałaś nam o Jegerze, więc uznaliśmy, że powinnaś mieć psa. Tata też mówił, że to dobry pomysł. Jeśli nie podoba ci się imię Sigi, możesz go nazwać inaczej. Na przykład Jeger albo jak chcesz. On jest jeszcze głupiutki, ale podobno szybko się uczy. W hodowli tak powiedzieli.

Psiak nagle przestał ganiać po domu jak rakietka i usiadł przy nodze Anny.

– Zdaje się, kochanie, że właśnie wybrał sobie panią. – Joachim pocałował żonę w skroń. – Będziemy mieć zajęcie, kiedy dzieci wyjadą. Wyszkolimy go jak Jegera.

Anna wzięła na ręce futrzastego zwierzaka. Przez jej twarz przemknęła płatanina uczuć: nostalgii, żalu, wzruszenia i radości. Latami broniła się

przed zapachem psiego futra, tak bardzo bolały ją wspomnienia, lecz teraz z rozczuleniem zanurzyła nos w podpalaną, miękką sierść.

Ruchliwy zwierzak polizał Annę po twarzy i wszyscy się roześmiali. Patrzyła chwilę w czarne oczy szczeniaka, nim powiedziała:

– Nikt nie zastąpi Jegera, nawet ty, słodziaku, ale możemy się zaprzyjaźnić, maluchu. – Podrapała owczarka za uchem. – I nie trzeba zmieniać ci imienia. „Sigi” jest bardzo ładne i pasuje do ciebie. Dziękuję, kochani – zwróciła się do dzieci. – Dostałam od was piękny prezent na święta, ale to, że możemy być dzisiaj razem, też jest jak świąteczny prezent. Jedzcie, zaraz podamy makowiec. Zmykaj. – Postawiła wilczura na podłodze. – Potem trzeba cię będzie wyprowadzić na spacer.

Sigi stanowił atrakcję przez resztę wieczoru. Później Maria usiadła do pianina i zaczął się muzyczny koncert życzeń.

– Zagraj, Marysiu, coś naszego – poprosiła Anastazja. – Chodzi za mną taki kawałek z przedwojennego filmu. – Przystanęła z kieliszkiem wina obok pianina i zaczęła nucić:

*...Powróćmy jak za dawnych lat  
W zaczarowany bajek świat...*

– Andrzej to śpiewał przy goleniu, kiedy mieszkaliśmy w Wilnie. – Maria uśmiechnęła się z nostalgią. Chwilę przebierała palcami w powietrzu, a potem dotknęła klawiszy. Z instrumentu popłynęła stara melodia. Anastazja śpiewała do muzyki i delikatnie kołysała się na wysokich obcasach, tańcząc w miejscu.

– Róża też to lubiła – rzuciła po chwili w przestrzeń i znów upiła łyk wina. – Róża...

Przed oczami starszej kobiety przewinęły się nagle sceny z jej życia niczym puszczony w przyśpieszonym tempie film. Klatki przelatowały jedna po drugiej – prędko, coraz prędeej. W głowie coś jej huczało, dudniło, ale nie czuła bólu, tylko dziwną lekkość. A więc to już, przemknęła nagle myśl. Lekko chwiejnym krokiem, który dla innych mógł wyglądać na taneczny, Anastazja ruszyła do pokoju, w którym spała. Świat zawirował jej przed oczami. Muzyka wciąż grała.

– Ty dokąd, kobieto marna? – doleciał ją głos Aleksandra.

– Umierać – zdążyła mu odpowiedzieć i bezwładnie runęła na podłogę.

Nie dało się uratować Anastazji. Karin reanimowała ją do czasu przyjazdu karetki, mimo że od początku wiedziała, iż próbuje ożywić trupa. Ta nagła śmierć, choć przecież spodziewana, wstrząsnęła wszystkimi.

Zmarłą pochowano w ostatni dzień roku na berlińskim cmentarzu. Po skromnej ceremonii rodzina, w tym samym składzie, w którym spędzała Wigilię, zebrała się na Kreuzbergu. Z Polski nikt nie zdołał przyjechać na pogrzeb z powodu problemów z paszportami, choć poszły stosowne telegramy. Dom bez Anastazji wyraźnie opustoszał.

– No to zrobiła nam prezent na święta – zdruzgotana Maria, cała w czerni, wycierała chusteczką łzy.

– Wiedziała, że umiera. – Równie przygnębiony Aleksander położył dłoń na ramieniu siostry. – Przyjechała tutaj, aby odejść wśród swoich i bliżej naszych stron. Nawet własną śmierć wyreżyserowała, artystka. Na wysokich obcasach, tanecznym krokiem poszła sobie do nieba tak, jak zaplanowała. I z kim będę się teraz kłócił? – zapytał, siląc się na dowcip. – Zawsze była nieobliczalna, ekscentryczna i diabelnie odważna. Jedna z najdzielniejszych kobiet, jakie znałem. Przed wyjazdem spieniężyła w Stanach, co mogła, apartament, auta, kilka obrazów. Sporządziła testament. Przed miesiącem, kiedy gorzej się czuła, napisała list. Prosiła, żeby go odczytać po jej śmierci. Nie wziąłem okularów, możesz ty to zrobić, Viki? I niech ktoś od razu tłumaczy na niemiecki, żeby wszyscy zrozumieli. – Podał jej wydobytą z kieszeni marynarki kopertę.

Viktoria, którą też dotknęło nagłe odejście ciotki, zaczęła czytać krótki list, starając się opanować drżenie głosu. Maria tłumaczyła tekst na niemiecki.

*Drodzy,*

*zmieniłam apartament na niebiański. Mam nadzieję, że w niebie dają tak samo dobre wino jak u Fisherów. Liczę też na rozrywki. Nie gorsze od tych, które miałam, wiodąc mój bajeczny żywot. I nie życzę sobie żadnych łez. Strasznie psują nastrój.*

*Nie należałam do oszczędnych, więc trwoniłam dary kochanków i własną aktorsko-tancerską krwawicę jak szalona. Biżuterię i kiecki niech*

*dziewczyny podzielały między sobą, jak chcą. Prócz tego uchowało się trochę grosza. Nie pamiętam dokładnie ile, chyba ze trzysta tysięcy dolców...*

- Ieee...? – wykrztusił Peter.*
  - Siedź cicho – ofuknął syna Joachim.*
- Viktoria czytała dalej:*

*– ...Wykonawcą testamentu uczyniłam wielebnego, żeby stary klecha jeszcze trochę się ze mną pomęczył. Wolą moją jest, abyście za te pieniądze odkupili naszą ostojańską ziemię i postawili na niej taki sam pałac. Ostojany muszą się odrodzić. A rodzina niech się pozbiera po świecie, żeby mieć znów własne gniazdo.*

*Wybacz, Anula, „Mała Oszmianka” i Lorelei są piękne, ale tu nie ma kresowego powietrza i trochę za wysoko wchodzić. Wielebny na starość dostanie zadyszki i zejdzie na serce, jeśli będzie się tak męczył. Nie wiem tylko, czy od Sowietów da się coś odkupić, zwłaszcza sowchoz. Jeśli nie, szukajcie innego miejsca, gdzie stanie nasz nowy rodzinny dom. Takiego, gdzie łąki są niebieskie od przyłaszczek, a pola złote od pszenicy. Nigdy tego nie powiedziałam, ale ja też kochałam Ostojany. Uciekłam od nich na koniec świata, a mimo to pojechały ze mną.*

*I jeszcze jedna prośba, w miarę możliwości przenieście mnie kiedyś bliżej Kazika. Muszę mieć się z kim kłócić na cmentarzu, bo nie znoszę nudy. Skoro na wielebnego trochę sobie zaczekam, zostanie mi do towarzystwa mrukowaty braciszek.*

*Wasza Anastazja*

- Zatem wszystko już wiecie – odezwał się Aleksander, gdy Viktoria skończyła czytać.*
- Odbudować Ostojany – powtórzyła w przestrzeń Maria i znów przyłożyła chusteczkę do oczu. – Szalona, cudowna Nastka.*
- Możliwość odzyskania ostojańskiej ziemi jest tak samo realna jak upadek Związku Radzieckiego – powiedział Olek, trąc palcami czoło. – Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.*

– I to wszystko? – zapytał wyraźnie zawiedziony Peter. – W gotówce nic nie dostaniemy z tej kasy?

– Cicho bądź! – ponownie syknął Joachim i lekko trzepnął syna w kark. – Wstyd mi przynosisz.

Anna mniej zwróciła uwagę na sprawy związane ze spadkiem. Nie mogła odpędzić od siebie przeczucia, że ona odejdzie następna.

Chwyił ją za gardło gwałtowny strach. Nie chciała dać po sobie niczego poznać. Sigi kręcił się przy drzwiach, więc włożyła kurtkę i zabrała psa na spacer.

Dzień był mroźny, ale słoneczny. Uszła kawałek, gdy usłyszała za sobą prędkie kroki i po chwili dogoniła ją matka.

– Co przede mną ukrywasz? – spytała krótko.

– Nic nie ukrywam, mam tylko przeczucie, że będę następna w kolejce po Anastazji.

Marię coś zakłuło w serce. Opanowała się jednak w mgnieniu oka i odrzekła z tak wielką pewnością, na jaką tylko mogła się zdobyć:

– To naturalne, że w tych okolicznościach przychodzą do głowy podobne myśli. Ja też uznałam, że Nastka mnie następną zabierze. Nie licząc Józka, jestem teraz najstarsza w rodzinie.

– Ale nie masz raka jak ja. Nie oszukujmy się, obie dobrze wiemy, że może być różnie.

– Na razie jest dobrze. I pod żadnym pozorem nie wolno ci myśleć, że...

Słowo „umrzesz” nie mogło jej przejść przez usta. Jeszcze się nie pozbierała po odejściu przyrodniej siostry. Wizja utraty córki wręcz ją przerażała. Wybrała więc inne określenie:

– ...że będzie gorzej. Za dużo masz jeszcze do zrobienia. Będziesz patrzeć na szczęście swoich dzieci, cieszyć się ich radościami, sukcesami, przeżywać porażki. Viktoria jest taka szczęśliwa. Tylko czekać, kiedy Peter się w kimś zakocha.

– Jeszcze taki dzieciak z niego.

– Ani się obejrzymy, kiedy stanie się mężczyzną. Będziesz miała wnuki, a ja prawnuki. Musimy także odtworzyć Ostojany, skoro taka jest wola Nastki. Najpierw jednak powinnaś porządnie wyszkolić tego psa, żeby szedł spokojnie przy nodze. Kto to widział tak ciągnąć panią, Sigi? – Maria kucnęła przy szczeniaku, który szarpał się niemiłosiernie na smyczy, żeby

pod pozorem pogłaskania malucha prędko otrzeć łzy spływające po policzkach.

Nie widziała, że jej córka zrobiła to samo.

– A wiesz, że chciałabym zobaczyć Ostojanę, nawet takie nowe, w innym miejscu. Nie przypuszczałam, że Anastazji tak ich brakowało – powiedziała Anna.

– Tak jak nam wszystkim. Olek mówił, że pojedzie na parę dni razem z Viki do Polski, żeby odwiedzić Józka i Maksymiliana. Potem poleci do Stanów, żeby pozamykać sprawy Nastki.

– Brakuje ci Siergieja, mamó? – nieoczekiwanie zapytała Anna.

– Czemu akurat teraz o niego pytasz? – zdumiała się matka.

– Nie wiem, może dlatego, że śmierć znów krąży nad nami.

– No tak. – Maria westchnęła i odrzekła zgodnie z prawdą: – Brakuje. Wiem, że za nim nie przepadałaś, ale nie chcę, żebyś mówiła źle o Siergieju. Był dobrym człowiekiem.

– Nie zamierzam mówić o nim źle. Nie zawsze się dogadywaliśmy, ale nam pomagał i kochał cię – mówiła, szorując butem po śniegu.

– I przepadał za Viki. – Na twarzy Marii pojawiło się wzruszenie. – Ty też byłaś dla niego ważna. Gdy się widzieliśmy ostatni raz, powiedział, żebyś się o nic nie martwiła. Wspominałam ci o tym.

– Pamiętam. Przyszłaś do szpitala, bo wtedy urodził się Peter. Patrzyłyśmy z okna, jak stawiają mur.

Nidy nie rozmawiała z nikim o lojalce, którą dawno temu podpisała. Z czasem o niej zapomniała, zwłaszcza że nikt nigdy niczego od niej nie chciał. Więc może tamto zapewnienie, żeby się niczym nie martwiła, dotyczyło właśnie tego dokumentu? Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z matką dzień po narodzinach Petera.

– Pieniądze, które zainwestowałam w winnicę, nie pochodziły przecież z tłumaczeń, a od Siergieja – wyjaśniła oględnie Maria, prędko zmieniając temat. – Zostawmy już te wspomnienia. Wracajmy do domu na obiad, Viki wstawiła kartofle.

– Dobrze, że wuj Olek pojedzie z nią do Warszawy. Zawsze to trochę różniej. Zaczekamy, aż wyjadą, i wracamy do domu, wtedy zajmę się szkoleniem psa. Myślisz, że Viki będzie szczęśliwa z Adamem?

– Jestem tego pewna.

- Chciałabym, żeby się jej wiodło za żelazną kurtyną, skoro tak wybrała. Może i my wybierzemy się tam latem, mamó? Dawno nie byłam w Polsce.
- A ja dawno nie słyszałam od ciebie lepszej propozycji.

Rozdział XVII

Za żelazną kurtyną

*Warszawa, 1980*

Polska pachniała inaczej niż Niemcy. Inaczej pachniały sklepy, autobusy, klatki schodowe, proszki do prania i mydło. Kiedy Viktoria była tutaj ostatnio w siedemdziesiątym piątym, nie zwróciła uwagi na ten fakt, lecz teraz minęły ponad trzy miesiące, odkąd mieszkała w Warszawie, a nadal wyczuwała różnicę. Tylko zapach Peweksu przypominał ten niemiecki. Gdyby miała jednym słowem określić rzeczywistość, w której się znalazła, brzmiałoby ono „szarość”.

Szare ulice, domy, pogoda i niebo. Ludzie też wyglądali niczym powycinani z papieru. Frustrację i przygnębienie na twarzach widziała częściej niż uśmiechy. I te kolejki po wszystko. Po żywność, pralki, telewizory, meble, buty, benzynę i papier toaletowy. Viktoria też karnie się w nich ustawiała. Bardziej, żeby wsłuchiwać się w nastroje, niż z potrzeby. Starła się zapamiętać jak najwięcej z tego, co mówili ludzie wokoło, a co później skrupulatnie zapisywała w notesie.

– Ja tu stoję, skoczę tylko do kiosku i wezmę mojemu radomskie, bo chyba coś właśnie rzucili – powiedziała jakaś starsza kobieta w brązowym kożuchu i czapce z lisa, wpatrując się w otoczony ludźmi kiosk po drugiej stronie ulicy, gdy zaraz na początku pobytu Viktoria stała w Śródmieściu w długiej kolejce do sklepu mięsnego.

– Niech pani idzie – odrzekła druga, w podobnym wieku i ubraniu. – Żeby choć salcesonu dostać. Ostatnio znów śmierdział, a do zwyczajnej chyba trocin zaczęli dodawać, taka podła. Nie dość, że po nocy musi człowiek zająć sobie miejsce, żeby coś kupić, to jeszcze ochłapy rzucają.

– Dożyliśmy czasów za Gierka, niech to cholera weźmie! – sarknęła pierwsza i machając pustą siatką, poczłapała po zalegającej chodnik błotno-śniegowej mazi na drugą stronę ulicy. Stojące za Viktorią dwie młodsze



kobiety, chyba koleżanki, też wiodły kolejkową rozmowę, którą starała się zapamiętać.

– Urwałam się z biura godzinę wcześniej, żeby coś dostać, może baleron rzuca? – odezwała się pierwsza.

– Ja też wyskoczyłam z roboty, bo po pracy niczego bym nie dostała, ale pewnie się nie dopchamy, z pięćdziesiąt osób przed nami – odparła druga. W Niemczech byłoby nie do pomyślenia, żeby wyjść po zakupy w godzinach pracy. – Żeby choć kaszanki wystarczyło. Na ciepło robię z ziemniakami i z kapustą, jakiś obiad da się z tego uklecić. Wiesz, zapisałam się w kolejkę na kolorowy telewizor. Chciałabym neptuna, bo tak nie wybuchają jak te ruskie rubiny. Jestem czterdziesta na liście.

– Ja poluję na pralkę. A, Irka, słuchaj, za tydzień w Hofflandzie ma być jakaś fajna nowa kolekcja.

– Skąd wiesz?

– Stary mojej koleżanki pracuje w centrali handlu. Widziałam w „Przekroju” takie fajne szmizjerki, może coś podobnego dostanę. Stanę w nocy do Juniora, inaczej się nie dopcham.

– Ja też przyjdę. Ostatnio, jak się ludzie rzucili do Hofflandu, to szyby w witrynach poleciały. Sama zaczęłam szyć, żeby mieć coś fajnego.

– Gdzie dostałaś materiał?

– Miałam trochę tetrowych pieluch po Marcie i z dwóch uszyłam sobie bluzkę. Przymarszczyłam na ramionach, zafarbowałam w atramencie i wiesz, jak fajnie wyszło? Pod jakiś paseczek na lato w sam raz. Przepraszam. – Delikatnie klepnęła Viktorię w ramię i zapytała: – Gdzie pani kupiła tę kurtkę?

– I buty? – dodała druga.

Miała na sobie długą czarną puchówkę i obszyte futerkiem botki, które nosiła drugi sezon. Kurtka też nie należała do najnowszych. Dostała od ciotki Anastazji i po jej śmierci dużo ładnych markowych ubrań, ale w Warszawie nie chciała rzucać się w oczy. Nosiła więc swoje dawne ciuchy, ale i tak się wyróżniała wśród ludzi, co zauważała za każdym razem, gdy szła ulicą.

– Nie kupiłam tych rzeczy w Warszawie, przyjechałam do Polski na staż – odrzekła grzecznie.

– Widać, że pani zagraniczna – stwierdziła wyższa z kobiet, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. – Co pani robi w tej kolejce? Dla

zagraniczników są specjalne sklepy. Tam niech pani idzie.

Viktoria uważała punkty sprzedaży dla wybranych za niesprawiedliwe i z początku je omijała. Prędko jednak zmieniła zdanie, gdy wieczorem po pracy nie mogła dostać w Supersamie kawałka wędliny czy papieru toaletowego.

Zacząła więc kupować w Peweksie, sklepach komercyjnych i tych dla dyplomatów, gdzie przepustkę do bezproblemowych zakupów stanowiła zagraniczna legitymacja dziennikarska. Ceny były tam znacznie wyższe, lecz niczego nie brakowało.

Jednak to w kolejkach dowiadywała się najwięcej o panujących wśród ludzi nastrojach, dzięki czemu skrupulatnie zapełniła uwagami połowę notatnika, żeby wkrótce zrobić z tego użytek w swojej gazecie; planowała reportaż o codziennym życiu za żelazną kurtyną.

Dotąd wysyłała im teleksem krótkie depesze: o VIII Zjedzie PZPR, zmianie premiera, wyborach do Sejmu czy o katastrofie lotniczej pod Okęciem, która wydarzyła się w połowie marca. Aż wreszcie dostała zamówienie z „Die Zeit” na reportaż.

Przed wyjazdem została wyposażona w służbowy aparat fotograficzny, więc robiła też zdjęcia. Zwłaszcza wtedy, gdy szła gdzieś z Renate na służbowe spotkanie.

Rzeczowa, doświadczona, pomocna i świetnie zorientowana w sytuacji w Polsce, Renate Marsch w krótkim czasie stała się dla Viktorii zawodowym autorytetem i przewodnikiem po peerelowskiej polityce.

– W „Trybunie Ludu” znajdziesz dziesięć procent prawdy, reszty musisz poszukiwać sama, umiejętnie rozmawiając z ludźmi albo tylko uważnie słuchając – mówiła zazwyczaj Renate podczas codziennego przeglądu prasy w biurze agencji.

Siedziba DPA mieściła się w willi na Saskiej Kępie i stanowiła coś na kształt giełdy wymiany informacji. Często przychodzili tutaj zaprzyjaźnieni korespondenci z innych zagranicznych stacji, którzy mieli swoje biura w bliskim sąsiedztwie. Wpadali też działacze opozycji, dziennikarze reżimowych mediów i ci z Interpressu. Grzeczni, kulturalni, pomocni. Oficjalnie mieli się opiekować zagranicznymi korespondentami akredytowanymi w Polsce. W praktyce oznaczało to tyle, że czuwali, aby żadne nieprzychylnie władzy teksty nie przedostały się za żelazną kurtynę.

Chętnie podsuwali w zamian swoje tematy, często już prawie gotowe do publikacji.

Interpress mieścił się na placu Teatralnym, Viktoria nosiła tam teksty do wglądu przed ich wysłaniem lub odbierała już poprawione i wracała do agencji, żeby nadać dalekopisem depeszę.

Należało się tylko pilnować, żeby ze względu na podsłuchy nie mówić w biurze wszystkiego. O sprawach poufnych goście lub Viktoria i Renate pisały sobie na karteczkach albo wychodziły, by porozmawiać na zewnątrz.

Zdążyła już przywyknąć do życia z bezpieczką na karku. Odkąd pojawiła się w Warszawie, niemal stale czuła w pobliżu obecność tajniaków. Wiedziała, że jest obserwowana, jak wszyscy zachodni dziennikarze. Tak samo jak nie miała wątpliwości, że w pokoju, który jej przydzielono w pensjonacie Zgoda przy Szpitalnej, także są zainstalowane podsłuchy.

Stała inwigilacja była dość uciążliwa, lecz mimo to Viktoria dobrze się czuła w Warszawie. Tutaj był Adam, choć nie mogli poświęcać sobie tyle czasu, ile by chcieli. Pracował do trzeciej w biurze konstrukcyjnym tarchomińskiej fabryki domów. Ona miała nienormowane godziny, często zajęte popołudnia i wieczory. Poza tym nie za bardzo mieli się gdzie podziąć, żeby swobodnie pobyć sam na sam.

Adam pokazywał jej Warszawę, wpadali na obiady do barów Zodiak i Gruba Kaśka lub na chińszczyznę do Szanghaju, a później do wieczora przesiadywał u niej w pensjonacie. Nie mógł wchodzić przez okno, gdyż mieszkała na piątym piętrze. Dawała wtedy dyskretnie parę zachodnich marek recepcjoniście, żeby przymknął oko na wizyty, które w miejscu przeznaczonym dla obcokrajowców nie były mile widziane.

Podsłuchy w pokoju nie sprzyjały swobodnej rozmowie, więc czasem też pisali coś do siebie na karteczkach. W takich warunkach o intymność również było trudno, mimo to nie zamierzali z niej rezygnować. Włączała wtedy głośno radio i starali się zachowywać jak najciszej.

Niekiedy chodziła do Adama na Muranów, kiedy Kuba z Agą gdzieś się ulotnili, wówczas mogli się czuć swobodniej. Czasem po zabawie w Stodole albo w Hybrydach na dalszą część wieczoru przenosili się w większym gronie do Kuby. Bawili się do rana przy galarecie z nówek, grzybkach w occie i czystej, a później spali wszyscy pokotem na podłodze.

I ani się obejrzała, kiedy przyszła wiosna. Dopiero co był Nowy Rok, a już minął tydzień od Wielkanocy, którą spędziła z Adamem, jego mamą

i siostrą w Olsztynie.

\*

Dziś, w piątkowe przedpołudnie, w agencji na Saskiej zebrało się kilkoro kolegów z niemieckiego radia, telewizji oraz „Allgemeine Zeitung”. Renate, postawna szatynka z krótkimi włosami, nosząca prostokątne okulary, wertowała przy biurku swój gęsto zapisany notes.

– Coś ciekawego, Renate? – zagadnął ją ktoś z telewizji. – Gdzie warto dziś iść?

– Iść warto wszędzie, ale nie o wszystkim warto pisać – odparła, nie odrywając wzroku od notatek.

Utarło się, że Renate, jako najbardziej doświadczona z korespondentów, czasem rozdzielała pracę między młodszych kolegów, żeby później wymieniali się informacjami, gdyż sama nie mogła być w kilku miejscach jednocześnie.

– Gierek ma o pierwszej spotkanie z dziennikarzami. Powiecie mi, o czym mówił. Do KPN-u kto się wybiera?

– My, jesteśmy ustawieni z Moczulskim – odezwali się ci z frankfurckiej gazety.

– Dajcie znać, jak będzie coś ciekawego – powiedziała Renate. – Za godzinę jestem umówiona z Geremkiem, potem wyjeżdżam na kilka dni do Berlina.

– U Gierka jak zwykle oficjałka – podsumował kolega z radia. – Fajne powiedzenie słyszałem. „Chcesz cukierka, idź do Gierka. Gierek ma dwa, to ci jednego da”.

Renate przyłożyła palec do ust, dając oczami znak, żeby uważać na podsłuchy. Porozmawiali jeszcze chwilę o sprawach technicznych i towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Niedługo później wyszła także Renate.

Viktoria przerwała pisanie reportażu i wybrała służbowy numer Adama. Czekwała chwilę na połączenie, nim zgłosił się do telefonu.

– Cześć, Adaś, o pierwszej będę na placu Teatralnym, mam spotkanie w Interpressie, widzimy się potem? Zaczekam gdzieś, aż skończysz pracę.

– Nie musisz czekać, dziś mogę wyjść wcześniej. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Będę o pierwszej. Na przystanku tam, gdzie zwykle?

– Tak. Pa.

Ledwo odłożyła słuchawkę, w drzwiach rozległ się znajomy, zachrypnięty głos. Trudno go było pomylić z innym.

– Hej, jest tu ktoś?

Pośpieszyła z dalszej części biura, żeby przywitać gościa. Wysokie czoło, grube rysy twarzy, dzinsowa koszula, wojskowa kurtka i torba przerzucona przez ramię. Jacek Kuroń z KOR-u.

– Tylko ja, dzień dobry – przywitała się pogodnie. – Renate niedawno wyszła.

– Więc się trochę spóźniłem, no nic, uciekam.

To rzekłszy, poprzebierał chwilę palcami w powietrzu, robiąc nimi raka nieboraka, i wskazał głową w stronę okna, które wychodziło na ogród. A więc miał do przekazania ważną wiadomość, domyśliła się od razu. Pokazała, żeby wyszedł tylnymi drzwiami, narzuciła na ramiona kurtkę, wzięła notes i zaintrygowana ruszyła za gościem do niewielkiego ogródka.

Ranek był dość rześki, trochę pochmurny, choć zaczęło się lekko przecierać. Kuroń podsunął Viktorii papierosy, ale odmówiła, więc zapalił sam.

– Chodzą za panem – bardziej stwierdziła niż spytała.

– Daj spokój z tym panem. – Machnął ręką. – Jacek jestem. Chodzą i pewnie do domu też przyjdą.

– Podobno jak przyszli w zeszłym roku, było groźnie.

– A, tak... – Zaciągnął się dymem. – Henia Wujca pobili, syna mi skatowali, ojciec zawału dostał i nawet po pogotowie nie pozwolili zadzwonić. Mnie przycisnęli do ściany i nic nie mogłem zrobić.

– I nie boisz się, że znów przyjdą?

– Mój dom stoi otworem, herbatki im zrobię, jak się pojawią – zażartował. Włożył papierosa do ust, rozejrzał się po posesji, a potem wyjął z torby złożoną na cztery „Trybunę Ludu” i powiedział półgłosem:

– Przyszedłem poprosić Renate o przysługę, ale skoro jej nie ma, może ty zechcesz nam pomóc w ważnej sprawie, koleżanko.

– W jakiej?

– Trzeba to dostarczyć do niemieckiej ambasady, a oni pocztą dyplomatyczną wyślą na Zachód. – To mówiąc, wręczył Viktorii gazetę. W środku znajdowała się szara koperta, a w niej ulotka. Przeczytała krótki tekst:

„Wzywamy naszych współobywateli w kraju i na wychoźstwie do godnego uczczenia smutnej rocznicy Katynia, nie w duchu zemsty, lecz w duchu prawdy i braterstwa wszystkich ludzi dobrej woli, wszystkich narodów. Przestrzegamy zarazem władze PRL, że przeciwdziałanie represyjne zdecydowanej woli narodu, aby uczcić pamięć ofiar zbrodni katyńskiej, wzbudziłoby pogardę społeczeństwa. Członkowie Komitetu Samoobrony Społecznej KOR”.

– Zależy nam, żeby przed trzynastym kwietnia zrobiło się o tym głośno na Zachodzie. Niedziela trzynastego będzie dniem żałoby narodowej – wyjaśnił. – Wolna Europa odczytała nasz apel o bojkocie olimpiady w Moskwie, to prawdę o Katyniu w czterdziestą rocznicę zbrodni też odczytają. Esbecja będzie nam siedzieć na karku, ale pójdziemy złożyć kwiaty na Powązkach. Przyjaciele studenci pomagają roznosić ulotki po mieście. To jak? Podrzuć to do swojej ambasady? Ja tam z marszu nie wejść, ale ty możesz.

– Oczywiście, że podrzucę – zgodziła się bez wahania. – Mam blisko. Poza tym Katyń to dla mnie osobista sprawa. Brat mojej babci i kuzyni też zostali tam zamordowani.

– Więc trafiłem do właściwej osoby. Tylko jak cię z tym złapią na ulicy, możesz mieć kłopoty.

– Postaram się, żeby do tego nie doszło, i cieszę się, że mogę mieć swój niewielki wkład w ujawnienie prawdy. Na Powązki też przyjdę.

– Dobrze, no to lecę, koleżanko, cześć.

Gdy Viktoria ruszyła do budynku, za ogrodzeniem sąsiedniej posesji coś zaszeleściło. Między bezlistnymi krzakami ujrzała sąsiada, trochę gderliwego starszego pana, któremu wszystko przeszkadzało:

– Pssst, pssst... – Ruchem ręki dał jej znak, żeby podeszła.

Zbliżyła się parę kroków do ogrodzenia z siatki. Tamten wcisnął się z sekatorem między krzaki, że niby je przycina, i powiedział szeptem:

– Panie uważają, kogo przyjmują na ogrodzie i o czym z gośćmi mówią.

– Hałas panu przeszkadza? – spytała, także szeptem. – Staramy się zachowywać cicho.

– Nie o to się rozchodzi. U mnie w domu, w tamtym pokoju – dyskretnie wskazał oczami na pierwsze piętro – SB założyła podsłuch, żeby was tutaj lepiej słyszeć. Musiałem się zgodzić, jednako sumienie kazało ostrzec, chociaż wy Niemki, ale za komuną nie jesteście, tylko za opozycją.

– Nie za bardzo rozumiem, co pan sugeruje.

– Pani się nie boi, ja swoje wiem. Te pismaki z telewizji wszystkie kłamią, ja ich nawet nie słucham. Tylko zachodnie prawdę gadają. To ja tyle chciałem – dokończył ledwo słyszalnie, po czym rozkaszał się donośnie, ponarzekał na wilgoć w powietrzu i począpał w głąb ogrodu, dźwigając przed sobą pokaźnych rozmiarów brzuch.

– Dziękuję – powiedziała, odprowadziwszy sąsiada wzrokiem.

Niedługo później włożyła do torby owiniętą w „Trybunę Ludu” przesyłkę i poszła spacerkiem kilka przecznic dalej, na Dąbrowiecką, gdzie mieściła się ambasada.

Nie pokazywała po sobie podekscytowania, że przemyca kontrabandę. Była obywatelką RFN i mogła załatwiać dowolną sprawę w swojej placówce dyplomatycznej, więc nawet jeśli ją obserwują, nie powinni się połapać, z czym naprawdę przyszła. Zwłaszcza że dotąd była lojalna.

Pokazała paszport przy bramce i weszła do środka. Wykonała powierzone zadanie bez najmniejszych komplikacji, przekazała kopertę sekretarzowi. Dla zachowania pozorów posiedziała w ambasadzie z pół godziny, po czym jakby nigdy nic poszła na przystanek autobusowy, żeby się dostać na plac Teatralny.

Pogoda się poprawiła, zrobiło się cieplej. Błękit nieba i słońce przyjemnie rozweselały szary pejzaż miasta. Adam już na nią czekał. Nie widzieli się od wczoraj. W dzinsach i golfie od niej, w kurtce koloru khaki wyglądał niczym model.

– Cześć, śliczna. – Ledwo wysiadła z autobusu, uśmiechnął się szeroko, otoczył ją ramieniem i pocałował na powitanie.

– Cześć, przystojniaku. Co się stało, że skończyłeś dziś wcześniej?

– To mój bonus od dyrektora technicznego.

– Przekroczyłeś ustaloną normę do wykonania?

– Poniekąd. Po godzinach uczę fizyki jego córkę. Młoda jest w ósmej klasie, to niezbyt lotne dziewczę i trochę przemądrzałe, ale wznoszę się na wyżyny cierpliwości, żeby kłaść jej do głowy podstawianie do wzoru. Wczoraj dostała pierwszą tróję z klasówki, więc dyro wniebowzięty i puścił mnie dziś wcześniej. Liczę, że jak młoda zacznie robić większe postępy, jej ojciec z wdzięczności pomoże mi z przydziałem mieszkania. W końcu pracuję w fabryce domów.

– Bardzo pragmatyczne podejście, gratuluję ci sukcesu pedagogicznego. – Cmoknęła Adama w policzek i dodała, widząc spojrzenia przechodniów: – Znow się na mnie patrz.

– Bo rzucasz się w oczy – odrzekł, przygarniając ją mocniej do siebie. – Świetnie wyglądasz. Jak uosobienie wolności i powiew lepszego świata w jednym.

Miała na sobie długą, szeroką spódnicę jeszcze z hippisowskich czasów. Z lejącego się dzinsu, z falbanami, wyszywaną w kwiatki. Do tego kowbojki, kremowy sweterek i rozbudowaną w ramionach kurtkę biodrówkę. Na głowę włożyła kapelusz, spod którego wystawały długie włosy.

– Pękam z dumy, że mam taką dziewczynę – szepnął jej do ucha.

– Poszcęściło ci się, inżynierze – zażartowała, wskazując nieodległą siedzibę Interpressu. – Zaczekasz chwilę? Muszę odebrać tekst od Mazurka i oddać nowy.

– Zaczekam, tylko nie siedź u niego długo. Facet działa mi na nerwy.

– Przecież nawet go nie znasz.

– Wystarczy, że prawie codziennie o nim słyszę. Poza tym widziałem go, kiedy byliście w Pałacu Kultury. Nie podoba mi się ten typek.

– Nie musi. Widujemy się wyłącznie służbowo.

– Kilka razy w tygodniu. – W głosie Adama zabrzmiała pretensja.

– Takie są zasady. Chcę czy nie, muszę tu przychodzić. Mazurek opiekuje się moim stażem.

– Specjalnie wyznaczyli takiego lalusia, żeby się koło ciebie zakręcił. Pewnie sam się o to postarał. Moim zdaniem próbuje cię wyrwać.

– Ty chyba jesteś stuknięty. – Popukała się palcem w czoło. – Nie wiem, czemu wybrali Mazurka, i szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Nie zamierzam się przed tobą dłużej tłumaczyć z moich służbowych spotkań – oświadczyła zdecydowanie. Adam lekko spuścił z tonu.

– Dobra, nie wściekaj się, idź do tego dupka, zaczekam – burknął jakby już pogodzony z sytuacją.

Rafał Mazurek, około trzydziestoletni mężczyzna, przystojny, kulturalny, znający kilka języków, był kimś w rodzaju jej służbowego opiekuna, odkąd pojawiła się w Warszawie.

Jak zwykle przyjął ją w eleganckim gabinecie. Stały w nim ciemne meble w stylu gdańskim, przeszklone regały wypełnione książkami w skórzanych



oprawach, w wysokich oknach wisały firany. Usiedli w wygodnych fotelach, Mazurek nalał do dwóch kieliszków koniaku.

– Miło znów panią widzieć, Viktorio – odezwał się uprzejmie. W ciemnym garniturze i eleganckich okularach, z gładko zaczesanymi na bok blond włosami przypominał dyplomata, choć wydawał się zbyt wystudiowany. – Od razu ośmielę się zaproponować, żebyśmy zrezygnowali z tej oficjalnej formy. Znamy się już parę miesięcy, będzie nam się lepiej współpracowało na koleżeńskim stopie. Rafał. – To rzekłszy, podał jej kieliszek.

– Czuję się trochę niezręcznie.

– Z większością naszych zagranicznych przyjaciół od dawna jesteśmy po imieniu, to ułatwia współpracę. Jeśli jednak ośmieliłem się na zbyt dużą poufałość, nic na siłę. – Uśmiechnął się czarująco, przewiercając ją na wylot wzrokiem. W tym przenikliwym spojrzeniu jego szarawych oczu był wyraźny komunikat: „Lepiej ze mną żyć dobrze”.

Myśląc, że pewna bezpośredniość w kontaktach z Mazurkiem może się okazać dla niej korzystna zawodowo, powiedziała:

– Skoro większość, to i ja. Viktoria. – Podali sobie ręce. Mazurek wypił koniak, ona swego nie tknęła.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Odstawił kieliszek, po czym wziął z biurka plik maszynopisów. – Szczerść między przyjaciółmi jest na wagę złota, pozwól więc, że od razu przejdę do sedna. Niestety, w takiej wersji i z takimi określeniami nie mogę tego zaakceptować.

Wręczył jej pokreślony na czerwono krótki tekst. Zacytowała w nim fragment otwartego listu, jaki działacze Instytutu Katyńskiego wystosowali do przewodniczącego Rady Państwa. Żądali w nim ujawnienia, ukarania i potępienia winnych zbrodni ludobójstwa dokonanej na polskich jeńcach wojennych w Katyniu.

– Przytoczyłam tylko fragment oficjalnego listu – zaczęła tłumaczyć. – Nie pokusiłam się o żaden komentarz ani osąd. Cytat jest przepisany niemal słowo w słowo.

– W tym właśnie rzecz.

– Rok osiemdziesiąty został nazwany przez polską emigrację na Zachodzie rokiem katyńskim. Jestem przedstawicielką zachodnich mediów, więc mam obowiązek informować zachodnią opinię publiczną, jak to jest odbierane w Polsce Ludowej.

– Naturalnie, lecz, jak widzę, korzystasz z fałszywych informacji. Pozwól.  
– Wziął od niej maszynopis i zaczął dopisywać na czerwono następne poprawki. – Jeńcy wojenni? Nonsens. Określenie „internowani” jest o wiele właściwsze i jedyne z możliwych. Tak to powinno ewentualnie brzmieć, aby było zgodne z prawdą: „Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, w których byli internowani polscy oficerowie, rozstrzelani później przez hitlerowców w lasach katyńskich”.

Zacisnęła usta, żeby nie wykrzyknąć, że zna prawdę. Kozielsk, Ostaszków, Katyń to dla rodziny Ostojańskich świętość. Ludzie też wiedzą, że nie hitlerowcy, a Sowieci są odpowiedzialni za tę zbrodnię. Z trudem utrzymała język za zębami. Prędko się nauczyła, że tutaj lepiej mówić dużo mniej niż odrobinę więcej.

– Dobrze, skoro tak, przemyślę, czy w ogóle podejmę ten temat – odrzekła sucho.

– Właśnie to zamierzałem ci zasugerować. – Przybrał życzliwy wyraz twarzy i powiedział przyjaznym tonem: – Jeśli nie chcesz się tłumaczyć w resorcie spraw wewnętrznych albo mieć cofniętą akredytację, radzę, nie podejmuj takich tematów. Jest wiele innych, znacznie ciekawszych i ważniejszych, które mogą bardziej zainteresować zachodnią opinię publiczną...

– Kolejki pod sklepami – wtrąciła. – Właśnie napisałam o tym reportaż.

– Owszem, mamy przejściowe braki w zaopatrzeniu, spowodowane w dużej mierze niegospodarnością dyrektorów zakładów produkcyjnych i działalnością różnych spekulantów. Niestety, różnej maści wichrzyciele próbują to wykorzystać, żeby siać społeczny ferment między obywatelami...

Nie mogła słuchać tych bzdur. Polemizować z nim też nie było rozsądne, żeby sobie nie zaszkodzić. Chciała zostać w Warszawie, a ten tutaj układny przyjaciel jednym telefonem mógł zniweczyć jej plany.

– Skoro już o tym rozmawiamy, dlaczego nie zaopatrujesz się w specjalnych sklepach? – zagadnął ją i dodał wyjaśniająco: – Przejeżdżałem niedawno Puławską i przypadkiem zauważyłem cię w kolejce przed Supersamem. Tak pięknej kobiety jak ty trudno nie dostrzec.

Znam te wasze przypadki, odparła w myślach i stanowczym tonem osadziła swego rozmówcę w innej kwestii.

– Przejście na „ty” nie uprawnia cię do prywatnych opinii na mój temat. Możesz mieć uwagi co do moich tekstów, ale nie życzę sobie żadnych osobistych spostrzeżeń pod moim adresem. A w kolejkach czasem stoję, żeby nie przepłacać za zakupy – skłamała na poczekaniu. – My, Niemcy, jesteśmy oszczędni. Napisałam o tym. – Wyjęła z teczki nowy materiał do akceptacji i położyła na stoliku. – Czekam na uwagi. Jeśli to wszystko, pójdę już. Trochę się śpieszę.

Zabrała maszynopis i podniosła się z miejsca. Mazurek, nieco skonsternowany jej reakcją, wstał także.

– Wybacz, ta uwaga rzeczywiście była niestosowna i więcej się nie powtórzy. – Skłonił lekko głowę. – A co do ważnych tematów, mamy zaległy jednodniowy wyjazd do Oświęcimia. Obligatoryjnie zapraszamy tam naszych zagranicznych gości, żeby zobaczyli miejsce kaźni milionów Polaków. Prócz ciebie mamy jeszcze dwóch nowo przybyłych dziennikarzy. Powiadomię cię o dokładnej dacie wyjazdu, żebyśmy mogli zgrać nasze terminy. Może bliżej lata? Niemiecka opinia publiczna powinna przeczytać o zbrodniach popełnionych przez Niemców.

– Przez nazistów – sprostowała Viktoria – choć nie zaprzeczam, że byli Niemcami albo raczej obywatelami Trzeciej Rzeszy. Sporo młodych Niemców, ja także, wstydzi się tej niechlubnej przeszłości. Naturalnie pojedę do Auschwitz. Jednak z mojej wiedzy wynika, że zginęli tam przede wszystkim Żydzi, chyba że to także przekłamanie.

To powiedziawszy, zarzuciła na ramię torbę i nie czekając na reakcję Mazurka, wyszła z gabinetu.

W pachnącym pastą do podłogi holu jej energiczne kroki odbijały się głośnym echem. Pchnęła ciężkie drzwi, wyszła na zewnątrz i zaczerpnęła kilka haustów wiosennego powietrza, żeby ochłonać. Adam czekał na nią przed wejściem.

– Czemu jesteś taka zła?

– Nic teraz do mnie nie mów – powiedziała wciąż podminowana.

– Ten dupek coś ci zrobił?

– Niby co mi miał zrobić? Nie dobierał się do mnie, jeśli o to ci chodzi, ale podniósł mi ciśnienie. Najpierw uprzejmie zaproponował przejście na „ty”, a potem jeszcze uprzejmiej uwalil mój tekst o Katyniu. Duppek – wysyczała przez zęby. – Chodźmy stąd, nie chcę tu zostać ani chwili dłużej. – To rzekłszy, ruszyła prędko w stronę Marszałkowskiej, Adam za nią.

– Przeszłaś z nim na „ty”? – W jego pytaniu zabrzmiał wyraźny wyrzut.

– I to jest dla ciebie najważniejsze? – rzuciła, spojrzawszy nań z wyrzutem, nawet się nie zatrzymała. – Mówię ci, że facet uwalił mój niepoprawny ideologicznie tekst, chociaż był prawdziwy. W zamian musiałam wysłuchać steku bzdur. Liczyłam, że mnie pocieszysz, powiesz mi coś miłego, a dla ciebie najważniejsze jest, że przeszłam z nim na „ty”. Wielkie dzięki, Adam. To się nazywa wsparcie. – Przyspieszyła kroku.

– Zaczekaj! – Chwycił ją za rękę. – Masz rację, głupio palnąłem, przepraszam.

– Gdybyś mniej mnie wkurzał, nie musiałbyś tak często przepraszać.

– Zrobię, co w mojej mocy. Pójdziemy na chińszczyznę?

– I to jest ta miła rzecz, którą chciałam teraz od ciebie usłyszeć?

– A co byś wolała usłyszeć? – próbował się z nią droczyć.

– Może na przykład „kocham cię”?

– Kocham cię – powiedział jej do ucha. Objął Viktorię, pocałował i ponowił propozycję: – To co? Idziemy na chińszczyznę? Zaczynam być głodny, ty pewnie też.

– Możemy – burknęła jako tako ułagodzona. – Też chce mi się jeść. Pójdiesz ze mną w niedzielę na Powązki?

– No jasne. Nie mógłbym nie pójść, choć założę się, że bezpieka prędzej zamknie cmentarz, niż pozwoli na uroczystości katyńskie.

– Ściągnę na Powązki kolegów z zachodnich stacji. Jutro pojedę do agencji i wszystkich obdzwonię. Od chińczyka pojedziemy na Koszykową po zakupy. Przy okazji kupię coś tobie. Szynkę, masło, serdelki... – wyliczała, lecz wpadł jej w słowo:

– Dobrze wiesz, że nie kupuję w komercyjnych sklepach.

– Na Koszykowej jest sklep dla dyplomatów.

– Bez znaczenia, i tak dla wybranych, poza tym jak dla mnie jest tam za drogo. Pomagam trochę matce, wpłaciłem do spółdzielni cały wkład budowlany i teraz odkładam kasę, żebyśmy mogli wynająć mieszkanie. Rozglądam się za jakimś, tylko że wszyscy chcą w dolarach i za rok z góry.

– Mam wynajęty pokój do końca sierpnia i do tego czasu muszę tam zostać. Niezależnie od tego możemy wynająć mieszkanie od razu, jeśli jakies znajdziesz. Wyprowadzisz się od Kuby, a ja będę cię odwiedzać. Od września będziemy mogli zamieszkać razem. Nie podejrzewam, abym

miała problemy z przedłużeniem wizy. Staram się nie nadeptywać władzy na odcisk. Kasą się nie przejmuj, mam pieniądze.

– Nie zamierzam brać od ciebie pieniędzy. – Prawie się obraził.

– Niby dlaczego?

– Ambicja mi nie pozwala. Tak samo jak nie pozwala mi na komercyjne zakupy. To dobre dla bogaczy albo dla gwiazd z rządowej telewizji.

– Nie widzę związku.

– A ja widzę. Słyszałaś taki wierszyk? – odrzekł i zaczął deklamować:

*Kto ty jesteś?*

*Komercjuszek!*

*Jaki znak Twój?*

*Pusty brzuszek!*

*Gdzie jest mięsko?*

*W obcym kraju!*

*W jakim kraju?*

*Ja nie znaju!*

– I to wszystko na ten temat, Viki – powiedział, gdy skończył. – Jest to sprzeczne z moim poczuciem sprawiedliwości, żeby płacić pięć razy więcej za szynkę dla wybranych. Tak samo jak ambicja nie pozwala mi brać od dziewczyny kasy na mieszkanie.

– Dobrze, jeśli chcesz, sprzeczasz się dalej ze swoim poczuciem sprawiedliwości. Ja nie zamierzam z tego powodu jeść suchego chleba – oświadczyła stanowczo. – Stać mnie, żeby kupić droższą szynkę, skoro tańszej nie mogę dostać, i nie czuję z tego powodu wyrzutów sumienia. Mieć pieniądze to żaden wstyd. Nikomu ich nie ukradłam, zarabiam. A wierszyk zapamiętam. Nie znałam go wcześniej w takiej wersji, więc sobie zapiszę. Poza tym jesteś hipokrytą.

– Ciekawe w czym?

– A szynka, którą u mnie jemy na kolację? Papier toaletowy, mydło, którego używamy. Myślisz, że te wszystkie rzeczy skąd są? Z Supersamu? Nie. Robię zakupy w sklepach komercyjnych albo w Peweksie. I jakoś ci to nie przeszkadza. A teraz zasłaniasz się poczuciem sprawiedliwości, bo tak ci wygodnie.

– To zupełnie co innego.

– To dokładnie to samo. Tylko że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie dorabiam do tego ideologii. Po prostu staram się w miarę normalnie funkcjonować w nowej dla mnie rzeczywistości. Poza tym irytujesz mnie swoimi poglądami. „Nie zamierzam brać od ciebie żadnych pieniędzy” – powtórzyła jego słowa, nie kryjąc złośliwości. – No to nie bierz. Bez łaski. Prosić cię nie będę. Siedź sobie dalej ze swoją ambicją u Kuby w kuchni, skoro tak wolisz. Twój wybór.

– Czy możemy się nie kłócić? Bo chyba właśnie to robimy.

– Więc przestań mnie prowokować – fuknęła, gdy dochodzili do postoju taksówek. Akurat stały wolne dwa duże fiaty.

– Nie miałem takiego zamiaru, samo wyszło – tłumaczył się, zakładając jej za ucho pasmo jasnych włosów. – Czasem coś mi się chlapnie i potem jest kwas.

– Ostatnio często się kłócimy.

– Docieramy się, to normalne, i pewnie nie raz jeszcze się pokłócimy – powiedział swobodnie, pocałował ją w policzek i przytulił. – Lubię się z tobą kłócić, a jeszcze bardziej lubię się z tobą godzić, ale na dziś wystarczy.

– Mam nadzieję. Do chińczyka pojedziemy taksówką.

– Dobra, à propos docierania, Kuba odbiera dziś malucha i wieczorem urządza popijawę, żeby silnik się nie zatarł. W pierwszej kolejności zaprasza ciebie.

– Dziś nie mogę. Obiecałam popilnować Wojtusia, bo Lilka ma nocny dyżur, a Zuza się gdzieś urywa. Rano mam go zaprowadzić do przedszkola.

– Nie możesz się od tego wykręcić? Liczyłem, że spędzimy ten wieczór i noc razem. Jutro wolna sobota. Kuba też będzie zawiedziony, jeśli nie przyjdiesz.

– Nie wystawię do wiatru Lilki tylko dlatego, że Kuba nagle wymyślił sobie popijawę. Gdybyś uprzedził mnie wcześniej, jakoś dałoby się zorganizować opiekę do Wojtusia. Trudno, będziesz bawił się sam. Iza przyjdzie?

– Nie wiem, pewnie tak, ale ona nic mnie nie obchodzi. Obchodzi mnie natomiast, że masz dla mnie coraz mniej czasu. Jak nie Mazurek, to Wojtuś albo jakaś konferencja, spotkanie, nagranie, przyjęcie i diabli wiedzą co jeszcze.

– To moja praca... – wtrąciła, lecz skupiony na swoich pretensjach wyraźnie zignorował jej słowa i ciągnął z irytacją:

– Nie możemy razem mieszkać, nie możemy zachowywać się swobodnie, wymykam się od ciebie z pensjonatu przed dziewiątą jak nieopierzony gówniarz, a kiedy nadarza się okazja, żebyśmy mogli spędzić razem całą noc, ty wolisz bawić się w niańkę, bo lojalność wobec kuzynki jest ważniejsza niż ja... my – poprawił się od razu.

Viktoria odetchnęła głębiej, znów czując wzbierającą złość, choć dopiero co się posprzeczali.

– Wiesz co, Adam, na dziś mam dość wysłuchiwania twoich wymówek – odrzekła podminowana. – Na obiad i zakupy też straciłam ochotę, cześć!

Wsiadła do taksówki i odjechała, nim osłupiały zdążył ją zatrzymać. Słyszała tylko, jak zawołał:

– Viktoria!

Może i zareagowała zbyt impulsywnie, trudno, najwyżej nie będą ze sobą rozmawiać przez kilka dni, ale zwyczajnie pękła.

– Dokąd jedziemy, szefowo?

– Na Żoliborz.

## Rozdział XVIII

# Młodsze pokolenie

Taksówkarz, starszy wąsaty mężczyzna w burej kurtce, wioził ją, słuchając leżącej z radia piosenki *Tyle słońca w całym mieście* Anny Jantar.

– Ładna z niej była babka – odezwał się z nostalgią. – Mówię, pani kochana, na moich oczach rozbił się ten samolot. Na Okęciu wtedy stałem...

Niemal ze szczegółami opowiadał, co wówczas widział, choć Viktoria nie miała nastroju do rozmowy. Z grzeczności potakiwała tylko od czasu do czasu, patrząc przy tym w okno.

Byli na końcu Mickiewicza, kiedy dostrzegła na murze kamienicy napis, zrobiony pośpiesznie kredą: „Katyń pamiętamy”.

– Niech pan zwolni – poprosiła, wyjmując z torby aparat, aby dyskretnie zrobić zdjęcie.

– Lepiej to pani teraz schowa. Przez całą Mickiewicza jedzie za nami kremowa wołga. Chyba panią namierzają. Zaraz się przekonamy – powiedział, po czym trzy razy objechał najbliższe rondo. Wołga zrobiła to samo. – Miałem rację. Możemy spróbować ich zgubić, jak pani chce.

– Nie trzeba, obserwuję mnie, odkąd mieszkam w Polsce. Niech pan jedzie od razu na Wyspiańskiego. Tylko proszę stanąć kilka numerów wcześniej.

– Załatwione. Tak myślałem, że pani z Zachodu.

Po paru minutach zatrzymał się przed jasną piętrową kamieniczką z pomarańczowym dachem, jedną z wielu podobnych, jakie stały przy tej zacisznej ulicy. Przed każdą znajdował się niewielki ogródek lub skwerek. Ci z wołgi pojechali dalej. Viktoria ruszyła nieśpiesznie chodnikiem. Potrzebowała spaceru, żeby odreagować sprzeczkę z Adamem.

Na mijanym podwórku dziewczynki robiły fikołki na trzepaku, grały w gumę. Skądś dolatywała dziecięca wyliczanka: „Pan Sobieski miał trzy



pieski, czerwony, zielony, niebieski”.

Mieszkanie kuzynki znajdowało się na parterze białego budynku, miało własny ogródek i jak na peerelowskie standardy mogło uchodzić za komfortowe.

Lilka, córka Luśki i Władka Rawiczów, przyjechała z Wilna do Warszawy na studia medyczne. Wcale się nie kryła, że poślubiła starszego od siebie Ulewicza, jakąś szyszkę w przedsiębiorstwie robót inżynierskich, żeby się urządzić w Warszawie.

Sześćdziesięciometrowe mieszkanie, które przed laty otrzymał za zasługi dla Polski Ludowej, było znaczącym atutem. Trzypokojowe, z meblami art déco, boazerią w przedpokoju i łazienką w kafelkach Dolores. Lilka wprowadziła się do urządzonego lokum i niedługo po ślubie urodziła Wojtka. Po urlopie macierzyńskim zatrudniła się jako pediatra w szpitalu na Madalińskiego.

– Dobrze, że przyszedłaś wcześniej, Viki, akurat smażę placki – powiedziała, gdy wymieniły powitalne całusy.

Z wyglądu była podobna do matki. To samo zadziorne spojrzenie, zadarty nos, regularne rysy i te same długie, rude włosy. Na szyi miała zawieszony krzyżyk z poczerńiałego srebra, którego długą historię Viktoria знаła na pamięć.

– Ciocia! – Z kuchni wybiegł czterolatek o brązowych oczkach i ciemnych kędziorkach, miał na sobie rajtuzy i flanelową koszulkę. Z radością złapał Viktorię za nogi. – Pobawisz się ze mną samochodzikami?

– No pewnie. – Wzięła chłopca na ręce i mocno uścisnęła. Nie przepadała za dziećmi, ale rezolutnego Wojtka polubiła od razu. – Urządzimy sobie wyścigi.

– Super. A przyniosłaś mi coś? – spytał z nadzieją w głosiku.

Z tego wszystkiego nie kupiła małemu żadnego drobiazgu. Miała w torebce tylko dwie gumy do żucia, więc wyjęła je prędko.

– Balonowy z historyjką – powiedziała, wkładając w pulchną łapkę dziecka żółtą i niebieską kostkę z Kaczorem Donaldem na opakowaniu.

– Ale fajne. – Oczka mu się zaświeciły. – Dziękuję.

– Synku, nieładnie tak się dopominać – upomniała go Lilka. – Gumę możesz wziąć po obiedzie. Biegnij się bawić. Chodź do kuchni, Viki, bo mi się placki przypała.

Viktoria zdjęła kurtkę, buty, ustawiła je w rzędzie kilku innych damskich i męskich par.

– Masz gości? – zapytała, wskazując na kilka nadprogramowych okryć na wieszaku.

– Zuzy koledzy z uczelni. – Kuzynka wskazała drzwi na końcu korytarza.

– Pracowali prawie całą noc i dziś do południa, więc padli. Zrobię kawę. Czy mi się wydaje, czy jesteś nie w sosie?

– Pokłóciłam się z Adamem – powiedziała, siadając przy kuchennym stole. Wzięła z talerza chrupiący placek i zjadła ze smakiem. – Kocham go, ale czasem działa mi na nerwy ten jego ośli upór.

– Trafiła kosa na kamień – podsumowała krótko Lilka. Zdjęła z patelni porcję placków i dołożyła je do sporej sterty na talerzu. Postawiła na gazie czajnik, nie przestając przy tym mówić. – Oboje macie silne charaktery, więc to normalne, że się kłócicie. I dobrze. Gorzej, jak nie ma powodów nie tylko do sprzeczek, ale i do rozmów. A od nadmiaru miłości tylko głowa boli.

– Ciebie bolała?

– Przecież wiesz, że ja i Ulewicz jesteśmy specyficznym małżeństwem. Wypiliśmy za dużo na sylwestra u wspólnych znajomych. Namiętność po wódce jest silniejsza od rozsądku, więc wpadliśmy. On zachował się przyzwoicie, zaproponował ślub, a ja się nie wahałam, bo chciałam tu zostać, choć u Ruskich mówią, że „kurica nie ptica, Polska nie zagranica”. I żyjemy sobie bez huraganów i burz, w stonowanej temperaturze uczuć, w której nie można się ni przeziębici, ni przegrzać – mówiła bez emocji, jakby dotyczyło to kogoś innego, nie jej.

Viktoria nie poznała osobiście męża Lilki, o którym ta nie mówiła inaczej niż „Ulewicz”. Widziała go tylko na zdjęciu. Przeciętny z wyglądu czterdziestolatek bez szczególnego wyrazu.

– Nie wiem, czybym się odważyła wyjść za mąż bez miłości, nawet gdybym wpadła. Czy w ogóle chcę wychodzić za mąż. Uważam, że jeśli ludzie się kochają, nie potrzebują żadnych zaświadczeń, żeby być razem.

– Ludzie pewnie nie, ale przepisy tak. Teraz jesteś tu na stażu, a gdybyś chciała zostać na stałe, ślub z Adamem wiele by ułatwił i odwrotnie. Gdyby on chciał się przenieść na Zachód, małżeństwo z tobą także byłoby najprostszym wyjściem. Z tego, co wiem, ciocia Marysia też wyszła za Siergieja głównie po to, żeby twoja mama mogła wyjechać do Niemiec.

– Tak, ale Adam nie chce słyszeć o wyjeździe z Polski.

– I to może się zmienić. Sama widzisz, co tutaj zaczyna się dziać. A ty, gdzie chciałabyś, żebyście mieszkali? – zapytała, stawiając na stole dwie filiżanki z kawą. – Prawdziwa, z Peweksu.

– W Niemczech. Lubię Warszawę, ale u nas żyje się dużo lepiej – odrzekła szczerze, upiwszy łyk smolistego napoju. – Zresztą obojętne, gdzie będziemy mieszkać, byle razem. Już wolę się z nim codziennie kłócić, niżbym miała go nie widzieć.

– À propos, jak się teraz czuje Anna? Nie ma wznowy?

– Na razie wszystko w porządku. Wybierają się wszyscy w sierpniu do Polski. Tylko bez Jerzego, bo ma jeszcze ten zakaz wjazdu do kraju.

– Dawno go nie widziałam.

– Z tego, co słyszałam, coraz częściej przesiaduje u Karin.

– Karin?

– Moja przyjaciółka, też lekarka, mówiłam ci o niej. Świetna dziewczyna i dobra byłaby z nich para. Jerzy tak ją wyszkolił, że wreszcie przełamała strach i zdała egzamin na prawo jazdy. To świadczy, że mają na siebie pozytywny wpływ. Jak dla mnie zaczyna się między nimi miłość, tylko jeszcze się do tego nie przyznają. Każde ma za sobą jakieś przejścia. Lilka, a ty wiesz, w kim tak się kochał Jerzy?

– Gorąco od tej patelni. – Tamta zdjęła z siebie zielony sweter, rzuciła go na krzesło i została w trykotowej koszulce z gazetowym nadrukiem. – Podobno jakaś studentka z politechniki. Niech mu się wiedzie z tą Karin, skoro mówisz, że to miłość. A to moja największa miłość. – Poczochrała czule czuprynkę synka, który kręcił się koło jej nóg.

– Słodki chłopczyk.

– Mój największy sukces. Liczę też na drugi, chciałabym sprowadzić do Warszawy rodziców. Ojciec zaczyna się łamać, ale matka zapowiedziała, że nie ruszy się z Wilna. Dla niej to wciąż Polska. Nie widzi, że z roku na rok jest tam coraz gorzej.

– Tutaj też robi się coraz gorzej.

– Nie chodzi mi o kryzys, tylko o klimat dla Polaków. Dwadzieścia lat temu na Litwie było trzysta polskich szkół, sama też do takiej chodziłam, a teraz została ledwo garstka. Związek Radziecki wdraża politykę stapiania się narodów w jeden, radziecki – szydziła. – Ale matka jest niezłomna. Ona

to dopiero jest uparta. Nie wyjedzie z Wilna, bo wciąż wierzy, że Polska tam się odrodzi. Powiem więcej, przygotowuje do tego grunt.

– W jaki sposób?

– Po pracy przepisuje kazania prymasa Wyszyńskiego i po cichu roznosi rodakom. Chodzi też do kościoła uczyć dzieciaki prawdziwej historii Polski, polskich wierszyków, piosenek. Mówi młodzieży o Katyniu.

– W Związku Radzieckim mówi o Katyniu? – Viktoria szeroko otworzyła oczy. – Naprawdę jest odważna albo szalona.

– I tego boję się najbardziej, żeby jej nie zesłali do łagru, jeśli ktoś doniesie. Dobrze, że ojciec trzyma rękę na pulsie. Oczywiście matka na początku miała mi za złe, że nie wróciłam po studiach do Wilna i nie robię tego, co ona. Małżeństwo z Ulewiczem także mi wytykała, bo partyjniak. Owszem, należy do partii, inaczej nie miałby tego, co ma, ale na nikogo nie donosi i nikomu nie złamał życiorysu. Wzięliśmy potajemnie kościelny ślub. Matce trochę przeszło, kiedy urodził się Wojtek. Przepada za nim, ojciec też. Może to będzie argument, żeby przenieśli się tutaj.

– Próbuj.

– Będę, choć namówić moją matkę, żeby z własnej woli wyjechała z Wilna, graniczy z cudem. Niedaleko znajduje się przecież jej sacrum, Ostojany, choć od dawna działa tam sowchoz. Ale dla niej to wciąż rodzinna ziemia.

– Podobnie jak dla babci. Wciąż o nich opowiada. Dla mnie tyle znaczy nasza winnica, ale chciałabym pojechać kiedyś na Kresy, choć to raczej niemożliwie, żebym dostała radziecką wizę. Wiesz, że Anastazja zażyczyła sobie, żebyśmy odbudowali Ostojany? Tam albo w podobnym miejscu.

– Wszyscy wiedzą i wszystkich to zelektryzowało, mnie też. Pamiętam jak przez mgłę ostojańskie łąki, biegaliśmy po nich z Jurkiem jako dzieci, gdy matki szły do roboty w sowchozie. – Lilka wyjmowała z szafek talerze i sztuce. – Po obiedzie położę się przed dyżurem, a potem pójdę toczyć swoją walkę na oddziale.

– Takie masz ciężkie stany? – zagadnęła ją Viktoria, mając na myśli małych pacjentów.

– Takie mam ciężkie braki. Brakuje mleka w proszku dla małych dzieci i proszku do prania, mydła, leków, waty. Wuj Olek obiecał jakieś dary z niemieckiego Caritasu dla naszego szpitala.

– Jak obiecał, to na pewno wyśle. A jeśli chodzi o braki, nie wzięłam niczego ze sobą na noc, a już mi się nie chce wracać do pensjonatu.

– Weź z szafy moją koszulę i ręcznik, zmień sobie pościel i już. Chyba nawet mam nierozpakowaną szczoteczkę do zębów, poszukaj w łazience. Czuj się swobodnie. Wojtuś, biegnij budzić śpiochów na obiad. – Pocałowała synka w główkę.

Przerwał ustawianie samochodzików na parapecie, pobiegł do korytarza i zaczął łomotać piąstką w ciemne drzwi, wołając:

– Wstawać, śpiochy! Obiad! Wstawać! Mamusia kazała!

Z pokoju rozległ się jakiś rozespany wielogłos, a także przeciągłe ziewania i męskie pomruki.

– W nocy przywieźli powielacz z Gdańska i dziś do południa drukowali ulotki, aż maszyna padła – wyjaśniła Lilka, zniżając głos. – Oficjalnie świętowali urodziny Zuzy, gdyby sąsiedzi pytali, czemu jest tak głośno. Dla niepoznaki włączyli muzykę.

– Zgadzasz się, żeby drukowali u ciebie bibułę? – spytała w podobnym tonie Viktoria.

– Jestem córką Luśki Ostojańskiej, ryzyko mam we krwi. Wysłałam je z mlekiem matki.

– To wiele tłumaczy. – Viki pokiwała głową. – A kiedy Zuza miała urodziny? Chyba mi umknęło.

– Będzie mieć pojutrze.

Drzwi uchyliły się i najpierw wydobył się z nich zapach spirytusu, a potem ukazała się potargana od snu Zuza w znoszonych szarych dresach poplamionych farbą i ze śladem poduszki odcisniętym na policzku. Wyciągnęła w górę ręce i ziewnęła przeciągle, odginając się w tył.

Zuzanna Ostojańska, jedyne dziecko Maksymiliana, studiowała na ostatnim roku akademii teatralnej, a hobbystycznie uprawiała bieganie. Miała smukłą, sportową sylwetkę i burzę brązowych loków wokół ładnej, pociągłej twarzy. Ona też odziedziczyła po przodkach skłonność do ryzyka.

Odkąd zimą mąż Lilki wyjechał na dłuższy kontrakt budować drogi w Libii, Zuza pomieszkiwała na Wyspiańskiego, żeby w przerwach między zajęciami pomagać przy Wojtusi i oraz za zgodą Lilki swobodniej angażować się w działalność opozycyjną, niż było to możliwe w domu studenckim.

– O, Viki. – Spojrzała przytomniej. – Nie słyszałam, kiedy przyszłaś.

– Niedawno, cześć, Zuza. – Przywitała się z kuzynką krótkim uściskiem, zaglądając przy tym do pokoju.

Z barłogów na podłodze gramolili się dwaj kudłaci i brodaci faceci. Z tapczanu wstawała spod koca jakaś długowłosa dziewczyna. Wszyscy wyglądali na studentów. Pokój nosił widoczne ślady balangi, gdyby nie jeden szczegół. Na stoliku przy ścianie stał powielacz spirytusowy, a obok leżały stosy wydrukowanych ulotek. W oczy rzucał się nagłówek: „Katyń pamiętamy”.

– Nie boicie się tego tutaj drukować? – spytała Viktoria.

– U Ulewicza? – zdziwiła się Zuza. – Nie wiesz, że najciemniej pod latarnią? On jest człowiekiem systemu, więc poza podejrzeniami. Ale rzeczywiście, trochę za bardzo jedzie spirytusem. – Pociągnęła nosem i rzuciła do kolegów: – Otwórzcie okno i schowajcie powielacz do szafy. Prawie tysiąc tego natraskaliśmy. Byłoby więcej, tylko powielacz nam padł. Ci z Gdańska zapewniali, że jeszcze pochodzi, Jeremi też sprawdzał, a tu kicha. Tyle kasy poszło na to badziewie! Z naprawą też będzie słabo, bo części brak. Chyba że Adam rzuci okiem, ma do tego zmysł.

– Lepiej kupić nowy – podsunęła Viktoria. Zuza z politowaniem pokiwała głową.

– Jeszcze nie ogarniasz polskich realiów? Jakie kupić? Gdzie? Tutaj? Te, co mamy, zostały ściągnięte z Niemiec z dziesięć lat temu. Nawet jeśli zrobilibyśmy zrzutkę na nowy, a Jurek znalazłby jakiś w Niemczech w dobrej cenie, to jak przemycić takie coś przez granicę? W tym największy szkopuł.

– Nie dałaś mi dokończyć, więc nie zdążyłam zaproponować, że mogę przywieźć powielacz – odrzekła Viktoria. – I tak zamierzałam jechać do Berlina. Nie byłam w domu od zimy. Przy okazji zabiorę swój samochód, więc będę miała czym przewieźć.

– Serio??? – Zuza spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. – Naprawdę mogłabyś to zrobić?

– Mogę spróbować. Najwyżej Jerzy rozbierze aparat na części i gdzieś je poupycham w samochodzie, żeby nie rzucały się w oczy. Zmyślę, że wiozę części do pralki czy do samochodu. Coś w tym stylu.

– Kiedy chcesz jechać? – zapytała rzeczowo Zuzanna.

– Może nawet jeszcze w kwietniu, a kasę założę. Niech to będzie mój wkład w opozycję i prezent dla ciebie na urodziny.

– O rany, Viki, jesteś wielka! – Tamta rzuciła się jej na szyję. – Zobaczcie, dziewczyny, jakie to niesamowite.

– Niby co? – zdziwiła się Lilka.

– Jak to co? – powtórzyła Zuza. – Nasi dziadkowie konspirowali, nasi rodzice też, a teraz robimy to my. Młodsze pokolenie Ostojańskich. Walczymy o prawdę i wolność. Nie damy sobie wciskać kitu, że Katyń był niemiecką zbrodnią.

– Ja tylko w połowie jestem z Ostojańskich – wtrąciła Viktoria.

– Dla nas w całości jesteś Ostojańska – skwitowała Zuza i skoczyła do pokoju, żeby przekazać kolegom wiadomość o powielaczu. Nastąpiła stłumiona fala zbiorowych wiwatów.

– Nie drzyjcie się tak, bo sąsiedzi usłyszą – upomniała Lilka.

Nie upłynął kwadrans, gdy towarzystwo posprzątało po sobie i pożarło placki. Załadowawszy torby ulotkami, wyszli z mieszkania. Na wszelki wypadek, aby zmylić sąsiadów, głośno narzekali na kaca po przepiciu.

Zuza szykowała się do wyjścia ostatnia. Przebrała się w długą spódnicę, szeroki sweter, kamasze i obszerną kurtkę. Na włosach zamotała kolorową przepaskę. Wyglądała jak studentka idąca na popołudniowy wykład.

– Musimy to rozkleić na mieście i podrzucić przed kościołami – mówiła, wkładając do przewieszanej przez ramię torby słoiczek kleju i plik ulotek w szarej kopercie.

Viktoria wzięła jedną do ręki i przeczytała:

„W tym roku będziemy czcić w sposób szczególny pamięć setek tysięcy żołnierzy polskich i ludności cywilnej, którzy w następstwie sowieckiej agresji z 17 września 1939 roku oddali na Wschodzie swe życie za Polskę. Przede wszystkim będziemy czcić pamięć blisko 15 tys. zamordowanych tam przed 40 laty oficerów Wojska Polskiego. Część z nich, więziona uprzednio w Kozielsku, w liczbie około czterech i pół tysiąca zginęła w lesie katyńskim koło Smoleńska – w okresie od końca marca do początku maja 1940 r. Miejsca śmierci pozostałych – więzionych do wiosny 1940 r. w Starobielsku i Ostaszkowie – dotąd pozostają dla nas nieznanne.

Domagajmy się od rządu ZSRR ujawnienia sprawców i okoliczności śmierci oficerów polskich oraz umożliwienia Narodowi Polskiemu otoczenia opieką wszystkich grobów poległych, pomordowanych

i zmarłych na Wschodzie obywateli Rzeczypospolitej. Domagajmy się od władz PRL podjęcia niezbędnych kroków w tym kierunku – a także uczczenia ofiar wzniesieniem Pomników Pamięci Narodowej w miejscach masowej śmierci oraz w stolicy Polski”<sup>1</sup>.

– Jak milicja cię z tym złapie, spałują cię i wsadzą do paki – powiedziała, przeczytawszy zakazaną treść.

– Prędzej płuca wyplują, niż mnie dogonią, gnojki – prychnęła Zuza. – Mam taki czas na setkę, że mogłabym jechać na olimpiadę, gdyby nie była w Moskwie. Poza tym oberwać pałą za Katyń to honor. Nasz dziadek tam zginął. Płaczę za każdym razem, gdy ojciec opowiada, jak ich wieźli do Kozielska i jak konał wuj Jeremi. W obliczu tego milicyjne pały to pestka. W niedzielę mamy dzień żałoby narodowej, to znaczy dla ludzi, bo nie dla władzy. Idziemy do Dolinki Katyńskiej na Powązki złożyć kwiaty i zapalić znicze, a później robimy spotkanie tu, niedaleko, tajny wykład o Katyniu. Przyjdziecie?

– Ja na Powązki na pewno – odrzekła Lilka. – Jednak nie widzę siebie z Wojtusiem na wykładzie.

– Chodzą za mną tajniacy, ale przyjdę i tu, i tam, tylko muszę uważać – powiedziała Viktoria. – Napiszę reportaż o rocznicy i sama zawiozę tekst do Hamburga. Razem z tym o Katyniu, który dziś mi cofnęli w Interpressie. Gazeta może to wszystko opublikować, podpiszę się moim pseudonimem. Jeszcze się nie połapali, że Ursula Frei to też ja. Nie będzie mi taki Mazurek mówił, jak mam pisać.

– Tak jest. Precz z cenzurą – podsumowała buńczucznie Zuza. – Dziś nocuję u znajomych. Będziemy malować z chłopakami transparenty.

– Któryś z tych chłopaków jest twój? – zagadnęła ją z ciekawością Viktoria.

– Jeszcze nie spotkałam takiego, który byłby mnie wart, interesuje mnie wyłącznie bogaty, przystojny, wierny, mądry, troskliwy, w dodatku kawaler, a że takich brak, chyba że w bajkach, więc bylejąkością nie zamierzam się zadowalać – odrzekła z udaną wyniosłością tamta.

– Jednym słowem, czekasz na księcia na białym koniu. Kiedy zabierzecie powielacz? – zapytała Lilka.

– Na dniach, jak tylko załatwimy nową metę. Aha – dodała Zuza, coś sobie przypominając – niedługo powinna przyjść po resztę ulotek taka dziewczyna z uniwerku. Dajcie jej wszystkie z pokoju. Cześć.



Nie minął kwadrans, gdy pojawiła się owa studentka. W powłóczystej spódnicy, wyciągniętym swetrze i czarnym płaszczu. Na ramieniu miała szmacianą torbę, z której wystawały jabłka.

– To ty? – Viktoria skrzywiła się z niechęcią, widząc w drzwiach Izę. Każdego mogła się spodziewać, ale nie jej.

– Też się nie cieszę, że to ty. – Tamta również się skrzywiła. – Miałam tutaj coś odebrać.

Powinna podać ulotki przez próg i nie wpuszczać niechcianego gościa. W przeblysku świadomości skojarzyła jednak, że ze względu na sąsiadów mogło to być niebezpieczne, więc przesunęła się w progę.

– Wejdz.

Wzięła z pokoju Zuzy plik kartek w szarej kopercie i zaniósła dziewczynie, której nie znosiła od pierwszego spojrzenia.

– Nie lubię cię i dobrze o tym wiesz, więc nie będę się powtarzać – oświadczyła Iza, upychając kopertę pod jabłkami. – Ale karma wraca. Do ciebie też wróci, za to, że odbiłaś mi Adama.

– Jeśli to wszystko, nie zatrzymuję cię dłużej.

Głośniej, niż zamierzała, zatrasnęła za Izą drzwi. Wredna żmija; posłała za nią w myślach parę niecenzuralnych epitetów.

– Co to za desperatka? – Do korytarza zajrzała Lilka. Wklepywała krem w szyję i dekolt.

– Koleżanka Adama.

– Uuuu – kuzynka wygięła usta – czuję, że będziesz miała z nią przeprawę. Adam przyjdzie?

– Nie wiem, może?

– Na mój nos przyjdzie. – Kuzynka mrugnęła do niej znacząco. – Będziecie mieć wolną chatę. Wojtuś też niech się wyśpi. Nie zaprowadzaj go jutro do przedszkola. Wrócę po dziesiątej, wtedy cię zwolnię. Idę się położyć.

Viktoria uprzątnęła po obiedzie kuchnię i zabrała malca na spacer. Krótszy, niż planowała, ale chłopiec nie chciał przegapić *Piątku z Pankracym*, za którym przepadał, więc ciągnął ją do domu. Tylko na chwilę przystanął zaabsorbowany, gdy w powietrzu pojawił się samolot. Zadarł do góry główkę i krzyknął:

– Panie pilocie, dziura w samolocie!

Wkrótce Lilka poszła na dyżur. Viktoria z Wojtusiem bawili się samochodzikami, puszczając je po długim torze, ułożonym z kredek w korytarzu.

– Jesteś fajna, ciociu – powiedział chłopczyk, szykując następne autko do startu.

– A ty jesteś najfajniejszym mężczyzną, jakiego znam – odrzekła, odgarniając malcowi włoski z czółka.

Gdy tak przyglądała się chłopcu, nagle coś ją zastanowiło. Przeniosła spojrzenie na fotografię Ulewicza. To przecież niemożliwe, odrzuciła niedorzeczne przypuszczenie i zaproponowała:

– Można pana prosić do tańca?

Od razu poderwał się z podłogi, gotów do nowej zabawy. Viktoria włożyła do grundiga kasetę. Z magnetofonu popłynął energetyczny przebój Village People Y.M.C.A. Zaczęli robić szalone wygibasy w salonie. W pierwszej chwili nie usłyszała dzwonka przy drzwiach. Dopiero po kilku gongach poszła otworzyć, posadziwszy sobie zmachanego chłopczyka na biodro.

W progu stał Adam. W jednej ręce trzymał bukietik frezji, w drugiej siatkę zakupów z komercyjnego sklepu. Minę miał skruszoną. Viktoria czuła, że w końcu przyjdzie, choć sądziła, że zajmie mu to mniej czasu.

– Jestem idiotą – wyznał na dobry wieczór.

– Idiota! – zachichotał malec, zakrywając buzię rączką.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – odparła Viktoria. Starła się za bardzo nie okazać, że cieszy się z jego wizyty.

– Wesoło macie. Mogę dołączyć? – zapytał, wchodząc do przedpokoju.

– Pozwolimy wujkowi z nami potańczyć? – zagadnęła do Wojtusia i mrugnęła do niego okiem.

– No dooobra – zgodził się z ociąganiem. – A lubisz bawić się samochodzikami? – spytał Adama, którego zbyt często nie widywał.

– No jasne, każdy chłopak lubi. – Musnął chłopca palcem w nosek. – Pokaż, jakie masz.

Malec pobiegł do pokoju po autka. Adam zostawił kurtkę na wieszaku i zaczął się tłumaczyć:

– Głupio mi, że tak się zachowałem. Spieprzyłem dzień tobie i sobie.

– Na popijawie u Kuby było ci tak miło, że dopiero teraz przyszedłeś?

– Włóczyłem się po mieście. Potrzebowałem paru godzin, żeby do mnie dotarło, że przeginam. Dlatego dopiero teraz przyszedłem. A popijawę olałem. Wpadłem tylko do Kuby po szczoteczkę do zębów w nadziei, że pozwolisz mi zostać, i pożegnałem zalane towarzystwo.

– Iza też była?

– Była. Czemu o nią pytasz?

– Przyszła tu dziś po ulotki i jak zwykle trochę się spięłyśmy. O ciebie, rzecz jasna.

– A rzeczywiście, coś tam bełkotała, czego nie mogłem zrozumieć. Jeszcze raz ci powtarzam, że nigdy nic mnie z nią nie łączyło. Drukowaliście tutaj ulotki?

– Zuza i jej towarzystwo, tylko powielacz się zepsuł. Tam stoi. – Wskazała głową zamknięty pokój. – Mógłbyś później zobaczyć, dlaczego nie działa.

– Niebezpiecznie trzymać w domu coś takiego. Słyszałem, że bezpieka robi dziś naloty na mieszkania. Za powielacz mogą wlepić dziesięć lat.

– Podobno tu jest bezpieczna meta.

– Powiedzmy. Ale skoro prosisz mnie o naprawę, chyba już się nie gniewasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Mam drobny prezent na przeprosiny. Trochę sobie odpuściłem z ambicji i zrobiłem luksusowe zakupy. Szynka, masło, serdelki. – Postawił siatkę na stołeczku i ciągnął pokornym tonem: – Przepraszam, Viki. Miałaś rację. Wyłażą ze mnie kompleksy, czasem mi odbija i wtedy ciężko ze mną wytrzymać, ale kocham cię jak wariat.

Miał coś takiego w oczach, głosie i twarzy, że zupełnie przeszła jej złość.

– Też cię kocham, wariacie, i cieszę się, że przyszedłeś. – Zarzuciła mu rękę na szyję, zaczęli się całować.

– Takie mam! – Do przedpokoju wrócił Wojtek, niosąc w zadartej na brzuchu koszulce wszystkie swoje autka. Zatrzymał się w pół kroku i patrzył skonsternowany na całującą się parę. – Co robicie?

– To się nazywa miłość, kolego. – Adam kucnął przy nim.

– Ja wiem. – Kiwnął główką. – Od miłości robią się dzieci. Mamusia tak mówiła. A mamusia wie wszystko na świecie. Robicie dzieci?

– Jeszcze nie robimy, dopiero planujemy. – Adam z trudem starał się zachować powagę. Wyjął z koszulki chłopczyka żółte autko i oglądał

zaciekawiony. – Jaka świetna beemka.

– Tu mam jeszcze taką. – Wojtuś wysypał samochodziki na podłogę, w jednej chwili zapominając o kwestiach miłosnych.

– No to bawcie się, chłopcy. – Viktoria ucałowała malca.

Wizja posiadania dziecka z Adamem zaczęła ją intrygować. Teraz nie było o tym mowy, ale za kilka lat?, dumiała, patrząc, jak obaj ustawiają na podłodze resoraki.

– Wstawię kwiaty do wody i zrobię kolację. Serdelki na ciepło mogą być?

– Tak! – odrzekli zgodnie.

Adam chyba odnalazł w sobie wewnętrzne dziecko, gdyż niestrudzenie budował z klocków garaże dla autek i tory przeszkód.

Zjedli kolację, minęła dziewiąta, a mały ani myślał spać. Oglądali więc bajki wyświetlane z rzutnika. Wojtuś jak urzeczony wpatrywał się w ścianę w zaciemnionym pokoju, po której przeskakiwały postaci z *Czerwonego Kapturka*. Czytali krótkie opisy pod obrazkami z podziałem na role, odpowiednio modulując głos.

Trwało to jakiś czas, w końcu chłopczyk dał się zaprowadzić do łóżka i zasnął niemal od razu.

Viktoria wzięła prysznic i owinięta w szlafrok Lilki, zmieniła pościel w sypialni. Adam też się odświeżył. Wszedł do sypialni w koszulce i slipkach, przecierając ręcznikiem mokre włosy.

– Niezła chata. – Rozejrzał się po urządzonej w stylu art déco pokoju, pośrodku którego stało małżeńskie łóżko. – Chciałbym, żebyśmy taką mieli.

– Będziemy mieć.

– I zrobimy sobie dziecko? – Położył się na wznak, pociągając na siebie Viktorię.

– Może kiedyś, teraz jeszcze tego nie czuję.

– Mnie też się nie śpieszy, ale fajnie mieć takiego ludka.

– Na chwilę do zabawy. – Pocałowała go w usta. – Dziecko to odpowiedzialność i rewolucja w życiu. Najpierw musimy coś osiągnąć. Urządzić się, nacieszyć sobą. Na ludka mamy dużo czasu.

– Racja. Chciałabyś zostać na stałe w Polsce?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo – odrzekła po chwili namysłu. – W Niemczech wszystko jest dużo łatwiejsze, inny świat, inne życie, tam jest mój dom, ale dla ciebie chyba mogłabym tu zostać.

Uśmiechał się, nawijając na palec jej włosy. Odwrócił się na bok i teraz on był na górze.

– Dla ciebie mógłbym stąd wyjechać – oznajmił niespodziewanie.

– Naprawdę byłbyś gotów stąd wyjechać? – upewniła się zaskoczona jego deklaracją. – Przecież dotąd nie chciałeś.

– Kiedy wsiadłaś dziś do taksówki, a ja jak głupek włączyłem się po mieście, dotarło do mnie, że bez ciebie wszystko traci sens – mówił, wsunawszy rękę w jej włosy. – Chyba potrzebowałem takiej terapii szokowej, żeby przewartościować priorytety. Ty jesteś najważniejszym z nich. Nigdy nikogo tak nie kochałem jak ciebie.

– Ani ja – odrzekła, czując ciepło rozlewające się w sercu. – Mamy rok, może dłużej, żeby się zastanowić, gdzie będziemy mieszkać. Do tego czasu wynajmiemy mieszkanie w Warszawie i zrzucimy się na nie po połowie. Nie kłóć się, bo nie ustąpię.

– Przecież się nie kłóczę. – Pocałował ją w czoło. – W maju dostanę kilka dni wolnego. Jeśli ty też skombinujesz mały urlop, możemy wreszcie wyskoczyć w Bieszczady.

– Zapytam naczelnego, chyba się zgodzi.

– Świetnie, zadzwonię w parę znajomych miejsc w sprawie kwatery. Viki – nagle zmienił ton. – Będziemy sami w tej luksusowej chacie do rana?

– Tak. Lilka wraca dopiero o dziesiątej. Domyśliła się, że przyjdiesz, więc mamy jej błogosławieństwo.

– Jeszcze bardziej ją lubię. A mały się nie obudzi? – Zerknął na drzwi, w których nie było klucza.

– Nie powinien, padł jak kawka i od razu zasnął, ale głowy nie dam.

– Lepiej, żeby nas nie nakrył, jak kiedyś twój ojciec. – To rzekłszy, wstał i zablokował klamkę oparciem krzesła, aby bez przeszkód, przy nastrojowej muzyce i świecach nieśpiesznie celebrować z ukochaną resztę wieczoru.

1 To treść oryginalnej ulotki.

## Rozdział XIX

# Katyń pamiętamy

Spali w najlepsze, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Półprzytomna Viktoria włączyła lampkę i mrużąc oczy, spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Znów zabrzmiał dźwięk dzwonka. Adam też się przebudził. Sięgnął po zegarek, mamrocząc przy tym:

– Kogo niesie o tej porze? Zuza wróciła?

– Ma klucze, nie dobijałaby się tak wcześnie. Lilka nie mogła zejść wcześniej z dyżuru, więc też nie ona.

– Zostań, ja otworzę. – Wstał, włożył prędko spodnie, koszulkę.

W przedpokoju trzeci raz zabrzączał dzwonek, bardziej natarczywie niż poprzednio.

– Może to Iza? – Viktoria również wkładała w pośpiechu ubrania. – Domyśliła się, że tu jesteś, więc przyszła zrobić awanturę. Chyba że... milicja albo bezpieka. – Zniżyła głos, czując szybsze bicie serca. – Powielacz jest w domu. Stracę akredytację, jeśli mnie z nim nakryją. Nie otwieraj! – Chwyciła Adama za rękę. – Może sobie pójdą.

– Cholera! – warknął podminowany. – Mówiłem, że niebezpiecznie trzymać to w domu. Mogłem to draństwo wynieść do piwnicy. Jeśli nie otworzymy, sami sobie otworzą. W razie czego biorę wszystko na siebie. Ty nic nie wiedziałaś. Nie wychodź.

Nagle z korytarza doleciał dziecięcy głosik:

– Nie mogę otworzyć, bo mamusi nie ma w domku, a mamusia nie pozwala otwierać obcym. Do widzenia.

Zajrzeli do przedpokoju. Przed drzwiami, w piżamce i bamboszkach, stał Wojtuś i rezolutnie tłumaczył, w czym problem.

– Otwórz, kochanie, tu babcia – odezwał się po drugiej stronie kobiecego głosu. Brzmiał znajomo.

– I dziadek – dodał męski.

Viktoria prędko przekręciła zamek w drzwiach.

Do mieszkania weszło sześć osób, czyniąc ogólny rwetes. Luśka, matka Lilki, w szarej garsonce i jasnym płaszczu, od razu chwyciła na ręce malca, zasypując go pieściami.

– Wojtuniu, słoneczko moje, jak ty urosłeś. Babcia tak się za tobą stęskniła.

Wraz z Luśką zjawiała się Krystyna oraz czterech panów: Władek Rawicz, bracia Ostojańscy, Józek i Maksymilian, oraz Aleksander. W jednej chwili w korytarzu zrobił się tłok i wieszak zapełnił się okryciami, a podłoga bagażami.

– Ale nas wystraszyliście – mówiła pośród chaotycznych powitań Viktoria, zaskoczona niezapowiedzianą wizytą rodziny. W dodatku tak liczną. – Myśleliśmy, że to bezpieka.

– Rodzina czasem gorsza od bezpieki – powiedział siwy jak gołębek, chudy, pobrużdżony Józek, zezując na zmieszaną parę. – Wyglądacie mi na nieźle spłoszonych, młodzieży.

– Nie zaczynaj, Józek, swojej śpiewki, tylko buty zdejmuj, takie tu piękne parkiety, że grzech brudzić – mówiła Krystyna, ściągając pantofle.

Matka Jerzego, w szarej, podobnej do Lusinej garsonce, z trwałą ondulacją na ufarbowanych blond włosach i różową szminką na ustach, prezentowała się elegancko. Jednak znać było po niej trudy życia i ciężką pracę. Miała zniszczone dłonie i pomarszczoną, wiotką skórę, której zdawało się być za dużo na wychudzonym ciele.

– Nie zdejmujcie butów – oponowała Viktoria. – Podłoga jest dla ludzi. Bardzo się cieszę, że was widzę. Nie wiedzieliśmy, że przyjedziecie. Lilka jest jeszcze na dyżurze, wraca o dziesiątej.

– Postanowiliśmy zrobić wam niespodziankę, więc wpadliśmy z niezapowiedzianą wizytą – wyjaśniał Olek, wymieniając uściski z Viktorią i Adamem. Pogłodził kędziorki malca. – Zostaniemy do jutra. Zaraz wszystko opowiemy, tylko najpierw skorzystam z łazienki.

– Nie siedź tam za długo, kolejka! – rzucił za nim Maksymilian.

Ojciec Zuzanny trochę zmęźniał w ostatnich latach, lecz wyglądał nad wyraz korzystnie: postawny, w sile wieku, szpakowaty, trochę przypominał Łapickiego.

– Dzwoniliśmy kilka razy z budki, ale chyba telefon jest uszkodzony – dodał. – Nogi zaczęły nam już drętwieć w „ogórku” Olka, więc zrobiliśmy



poranny nalot. Zuzia jest?

– Nie, ale powinna niedługo przyjść, a telefon wczoraj działał. – Viktoria wskazała na aparat w przedpokoju. Dopiero teraz zauważyła, że wtyczka jest wyjęta z gniazdka.

– Musieliśmy niechcący odłączyć podczas zabawy z Wojtusiem – wyjaśnił Adam. Włożył wtyczkę na miejsce i podniósł słuchawkę. – Działa.

– A co wyście robili, że tak długo nie otwieraliście? – rzucił bezceremonialnie Józek, znów zezując na młodych.

– Spali, i odpuść sobie morały, Józek – ucięła Luśka. Oddała wnuka mężowi, tyczkowatemu mężczyźnie w okularach i z przerzedzonymi popielatymi włosami, uścisnęła Viktorię, po czym zwróciła się do Adama: – Znam cię ze słyszenia. Twój dziadek przyjaźnił się z moim ojcem. – Wyciągnęła rękę do powitania. – Aleksandra Ostojańska-Rawicz, ale mówią na mnie Luśka, a to mój mąż Władek. Resztę towarzystwa, z tego, co wiem, poznałeś już wcześniej.

– Tak. Bardzo mi miło panią poznać. Adam Jerzy Doński – przedstawił się i pocałował Lusię w rękę, Krystynę również.

– Nie stójmy w korytarzu, wejdźcie. – Viktoria wskazała duży pokój. – Zaraz podam kawę albo herbatę, zrobię śniadanie, pewnie jesteście głodni i zmęczeni po podróży. Zadzwońię do Lilki, że przyjechaliście. Na pewno się ucieszy.

– Nie dzwoń, będzie miała niespodziankę – powiedział Władek.

– Przywieźliśmy z Wilna dobry twaróg, zrobię naleśniki – zaoferowała Luśka – ale najpierw ubiorę Wojtusia. Chodź, skarbie. – Wzięła na ręce wnuka i poszła z chłopcem do jego pokoju.

Niedługo później jedli razem śniadanie. Rozłożony stół z trudem pomieścił tyle osób, więc siedzieli ciasno przy sobie. Olek, w ciemnym ubraniu i koloratce pod szyją, wyjaśniał, pochłaniając naleśniki:

– Naszą obecność w Warszawie trzynastego kwietnia planowaliśmy już od jakiegoś czasu. Pomysł wyszedł od Lusi. Szczęśliwie prawie wszystkich udało się ściągnąć i połączyć przy okazji dwie sprawy. Jadę prosto z Niemiec. Przywiozłem trochę darów z Caritasu dla szpitala Lilki. Odżywki dla niemowląt, wateę, bandaże, trochę środków czystości. Zostawiłem na przechowanie u sióstr nazaretanek, bo administracja szpitala będzie czynna w poniedziałek. Lila zajmie się już odbiorem.

– Ale się ucieszy z darów, nie dalej jak wczoraj narzekała, że wszystkiego na oddziale brakuje – powiedziała Viktoria.

– Będziemy sukcesywnie pomagać. – Olek kiwnął głową. – Maks jedzie ze mną furgonem od granicy. Po drodze zahaczyliśmy o Szczecin, żeby zabrać Józków. Lusia z Władkiem mieli ważne zaproszenia, więc przyjechali w nocy pociągiem z Wilna. Zgarnęliśmy ich z dworca i tym sposobem znaleźliśmy się tutaj. Prócz Marysi, którą też miałem zabrać, niestety, wciąż nie dostała wizy. No i Jadzi, ale ona jest po operacji woreczka żółciowego i dopiero dochodzi do siebie.

– Przyjechaliście na rocznicę Katynia – domyśliła się Viktoria.

– Tak – potwierdziła Lusia. – Przyjechaliśmy tu, żeby oddać hołd pomordowanym, w czterdziestą rocznicę zbrodni. Jesteśmy to winni naszemu ojcu. Dlatego postawiłam sobie za punkt honoru, że wszystkie dzieci rotmistrza Ksawerego Ostojańskiego muszą być tego dnia w Warszawie. Nie możemy godniej uczcić pamięci ojca niż zgodą i jednością. – Spojrzała na starszych braci. – To nasz obowiązek, bo wychował nas w szacunku dla wartości, którym pozostajemy wierni. Jesteśmy to także winni Antkowi, Jeremiu, Andrzejowi i Maksymilianowi również, on też tam był.

– Był, był, tylko że później się zaprzedał – wtrącił starszy z braci, łypiąc ponuro na młodszego.

Odkąd w sześćdziesiątym ósmym, po Czechosłowacji, Maksymilian pod pretekstem pogarszającego się zdrowia odszedł z wojska i został kierowcą w PKS, a wcześniej Maryśka pochowała swego komunistę, darował bratu i przyrodniej siostrze sprzeniewierzenie się wartościom. Jako tako się pojednali, ale lubił im czasem dogryzać za podjęte kiedyś decyzje.

– Jeśli przyjechałeś tutaj, żeby sobie na mnie poużywać, to równie dobrze możemy się zaraz rozstać – odparł Maksymilian.

– Nie chcę słuchać waszych kłótni. – Luśka upomniała braci. – Do jutra chyba wytrzymacie w zgodzie? W niedzielę wieczorem rozjeżdżamy się do domów, wtedy róbcie, co chcecie, ale póki tu jesteśmy, zarządzam rozejm.

– Otóż to – włączyła się Krystyna. – Słuchajcie, mamy nowinę. Postanowiliśmy z Józkiem postawić pomnik. Dla Jeremiego, ojca, Antka i innych, którzy tam zginęli. Musimy tylko znaleźć dobre miejsce. No i o pozwolenie trzeba będzie się wystarać.

– Uważaj, jak nam pozwolą. – Józek popukał się palcem w głowę. – Postawimy bez pozwolenia. Rozbiorą raz, postawimy drugi.

– Nie uwierzycie, ale miałem ten sam pomysł, żeby postawić pomnik – powiedział podekscytowany Maksymilian. – Chciałbym też wrócić do tej wioski Sowkino, gdzie leży Jeremi. Nie wiem jak, ale muszę go sprowadzić do Polski. Nie spocznę, dopóki tego nie zrobię. Spisałem też wspomnienia. Z transportu, jak nas wieźli w trzydziestym dziewiątym, jak wykończyli Jeremiego, i z Kozielska. Olek zawiezie je Marysi, ona będzie wiedziała, co z tym robić. Ma kontakty z paryską „Kulturą”. Na francuski też może przetłumaczyć.

– Ja na angielski, gdyby było trzeba – zaoferowała Krystyna.

– A że z własnej woli służyłeś w Armii Czerwonej, też napisałeś, Maksiu? – zapytał złośliwie Józek.

– Powiedziałem, zejdź ze mnie, człowieku – warknął Maksymilian, mierząc groźnym spojrzeniem brata spod ściągniętych brwi. – Nie będę się milion razy tłumaczył, dlaczego to zrobiłem. Niczego się nie wstydzę, a jeśli coś ci się nie podoba, nie musimy być tu razem. Pociąg do Szczecina masz przed południem.

– Przed chwilą mówiłam o zgodzie. – Luśka przewróciła oczami. – Stare konie, a zachowują się gorzej niż dzieci.

– Prawda w oczy kole – jątrzył Józek. – Nie zamiotą jej pod dywan, sprzedawczyki. Maryśka, kiedy było jej wygodnie, wyszła za komunistę, a teraz już nawet Iwanow się nie nazywa, bo w Rajchu urzęduje. Wasza Lilka również za partyjniaka poszła. Inaczej nie miałyby takich luksusów. – Wskazał oczami na elegancki pokój.

– Ty sobie gęby naszą córką nie wycieraj – zareagował stanowczo Władek. – Co się z tobą porobiło, że każdemu byś łatkę przytykał?

– Znów ci odbija, Józek? – Krystyna także obsztorcowała męża. – Krytykujesz Marysię, ale szynki i kiełbasy, które przysyłają z Jerzykiem, wcinasz. Zamiast siać ferment, zainteresowałbyś się lepiej naszym synem. On tak tęskni, a przyjechać prędko nie przyjedzie... – Głos się jej załamał.

– Jak sobie pościelił, tak się wyśpi – stwierdził niewzruszony Józef. – Zomowskich pałek się bał, więc zwiął na Zachód, zamiast walczyć z komuną, tchórz. Ksawery nie lepszy, też dał nogę za morze. Tylko Jeremi mnie nie zawiódł. Moja дума.

– Ty chyba jesteś pierdolnięty! – zawołała wzburzona Krystyna, nim się połapała, że nie zapanowała nad językiem i zaklęła przy dziecku.

– Co znaczy pier... – zaczął Wojtuś, bawiąc się nadmuchiwanym konikiem, którego dostał od dziadków, ale Krystyna zareagowała w porę.

– To brzydkie słowo i nigdy go nie powtarzaj, cioci się wyrwało, przepraszam was, ale on mnie kiedyś wykończy nerwowo. – Cała w pąsach, wskazała brodą na męża.

– Nikt nie jest święty ani nieomylny. – Olek wszedł w rolę rozjemcy. – Też mogłem wrócić do Polski Ludowej. Być może w twoich oczach, Józek, również jestem zdrajcą, bo zamiast walczyć z komuną albo trafić do więzienia, wyjechałem do Stanów, ale tak wybrałem. W więzieniu też się nasiedziałem. Sam pamiętasz, że przywieźliście ze Lwowa prawie trupa. Jeszcze śnią mi się tamte koszmary. Poza tym każdy ma prawo układać sobie życie po swojemu. Móc wybrać, zamiast się godzić, aby wybierano za nas. Na tym polega prawdziwa wolność. A z dokonanych wyborów będziemy się spowiadać sami. Przed własnym sumieniem i na sądzie ostatecznym.

– Amen – potwierdziła Lusia.

– Jakbym słyszał Anastazję. – W głosie Aleksandra zabrzmiała nostalgia. Przypuszczał, że będzie mu brakować ekscentrycznej przyszywanej siostry, ale nie sądził, że aż tak. – Nasza artystka też żyła po swojemu. Szokowała, prowadziła się nieobyczajnie, ale czy to znaczy, że była gorsza? Przeciwnie. Była wspaniałą kobietą, pięknym człowiekiem i szczwaną liszką przy okazji też – zażartował, żeby odegnać słabość. – Sprawiała, że nawet po śmierci została z nami. Za każdym razem, kiedy przyjedziemy do naszego domu, który zbudujemy, będziemy ją wspominać. Bo Nastka chciała tego samego, o czym powiedziała Lusia. Czego życzyłyby też sobie wuj Ksawery, ciotka Róża, moja matka i wszyscy, którzy odeszli. Żeby nasza rodzina, nawet rozsypana po świecie, znów miała swoje miejsce na ziemi. Musimy je stworzyć. Najpierw na papierze w postaci projektu... – urwał i przeniósł spojrzenie na Adama, jakby nagle doznał olśnienia. – Przecież mamy pośród nas fachowca. Adam, mógłbyś się zająć projektem? Naturalnie odpłatnie. Wskazówek ci udzielimy.

– Nie wiem, czy dam radę – odrzekł ostrożnie. – Poza tym jestem konstruktorem, nie mam uprawnień architekta.

– To nawet lepiej, że jesteś konstruktorem – włączył się Maksymilian. – Dobrze wszystko obliczysz. Trzeba tak skonstruować nasz dom, i chyba twój też, z tego, co widzę, żeby się nie zawalił. Musi wytrzymać kolejne pokolenia Ostojańskich. Inaczej nie warto go stawiać.

– Nie odmawiaj, Adaś, przecież ślicznie rysujesz. – Viktoria podchwyciła pomysł. – Tyle słyszałeś o Ostojanach, że pewnie widzisz je oczami wyobraźni, tak samo jak ja.

– W sumie... – uśmiechnął się lekko – mogę spróbować. Architekt i tak będzie musiał zrobić odrębny projekt, ale mogę podsunąć wstępną koncepcję.

– No więc ustalone. – Olek klasnął w dłonie. – Nie musisz się śpieszyć, mamy na to sporo czasu. I pieniądze się pomnożą, bo całość spadku włożyłem na kilkuletnią lokatę w amerykańskim banku. Teraz muszę załatwić ekshumację Anastazji, skoro chciała leżeć przy naszym Kaziu.

– Dom, dom – przedrzeźniał Józek. – Jak dzieci we mgle! A o miejscu pomyśleliście, gdzie go postawić? Skąd wziąć materiały na budowę? I jakim sposobem kupić grunt? Od PGR-u? Cudów nie ma. Tu nawet dolary Nastki nie pomogą. Chyba że od rolnika po cichu spróbować? Tylko że trzeba mieć papiery rolnicze. Podlasie leży blisko naszych stron, meldunek jakoś się załatwi, ale tam płasko, a w Ostojanach były pagórki.

– Na Pojezierzu Olsztyńskim jest dużo pagórków i mieszka sporo przesiedleńców z Wileńszczyzny. W Gietrzwałdzie jest ładnie, w Brąszwałdzie też albo w Lidzbarku Warmińskim. Tam chyba najładniej – podsunął Adam.

– O, widzisz – zwrócił się do starszego brata Olek. – Jesteś na emeryturze, masz czas, więc możesz wybrać się w Olsztyńskie, rozejrzeć się wstępnie za jakimś miejscem i sposobem, jak je kupić.

– Ktoś musi tym zawiadywać, żeby wszystko miało ręce i nogi – stwierdził zadowolony Józek, że ostatecznie zdanie w kluczowej sprawie będzie należeć do niego. Odkąd zabrakło Anastazji, jako najstarszy ze wszystkich, uważał się za nestora rodu.

– Ja jednak wierzę, że prędzej czy później odzyskamy naszą ziemię, tak samo jak i Polskę na Kresach... – Luśka się rozmarzyła. – Carat zdawał się wieczny, a upadł, więc komunizm też może upaść i Ostojany wrócą do nas.

– Póki nie upadł, skupmy się lepiej na tym, co nas czeka jutro – zauważył rozsądnie Władek. – Mam nadzieję, że obejdzie się bez awantur z milicją.

\*

Nazajutrz w Warszawie nic specjalnego się nie działo. Nie było ani więcej milicji niż zwykle, ani żadnych rocznicowych audycji w radiu. Prócz paru ulotek przyklejonych do tramwajowych szyb i jednego napisu na murze „Katyń pamiętamy”, który ktoś pośpiesznie zamalowywał, właściwie ta niedziela nie różniła się od innych.

Viktoria, wyposażona w kamerę VHS, którą dostała pod choinkę jako wspólny prezent od rodziny, prosto z pensjonatu pojechała do Adama na Muranów.

– Macie pomysł, jak to ukryć, żeby nie rzucało się w oczy? – zapytała, położywszy kamerę na stół.

W skromnym, ciasnym mieszkaniu w każdą szczelinę poupychane były książki. Te, dla których nie wystarczyło miejsca na półkach, piętrzyły się na podłodze. Przy nich stało kilka pustych butelek po czystej. Kuchnię, dość sporą jak na kawalerkę, od przedpokoju oddzielała zasłona z kolorowych pasków. W powietrzu unosiły się opary dymu z papierosów. Wdzierające się do środka słońce oświetlało wirujący w powietrzu kurz i dawno niemyte okna. Aga nie należała do porządnickich, Kuba z Adamem tym bardziej nie garnęli się do sprzątania, więc wygląd mieszkania klócił się z pedantyzmem Viktorii, ale dziś nie zwracała na to uwagi.

– Na Powązki także idę służbowo – tłumaczyła. – Nie chcę jawnie robić zdjęć, żeby nie podpaść bezpiece, pewnie jak zwykle będą mnie obserwować, ale muszę mieć materiał. Wymyśliłam, że spróbuję kręcić z ukrycia. Podrzucę do naszej ambasady kasetę, a oni wyślą to pocztą dyplomatyczną bez udziału Interpressu. Trzeba tylko ukryć kamerę.

– Sprytne, ale gdzie ją schować? – Kuba odłożył gitarę i wstał z wersalki, drapiąc się w kudłatą szczecinę na głowie. Jeszcze widać było po nim resztki kaca po oblewaniu malucha koloru kości słoniowej. W takim wydaniu, w wyciągniętych dresach i spranym podkoszulku, w niczym nie przypominał asystenta na wydziale polonistyki. Wziął do ręki urządzenie i oglądał je z zaciekawionym wyrazem twarzy. – Fajne cacko. Czemu nie przyszedł na popijawę, Viki? Wczoraj robiliśmy poprawiny.

– Nie mogłam, rodzina przyjechała, ale autko widziałam. – Wskazała głową na okno wychodzące na podwórze, gdzie stał fiacik. – Niech wam

dobrze służy, a kamerę trzeba schować tak, żeby z zewnątrz nie było nic widać, ale żeby można było nagrywać.

– Ja będę nagrywać – zaoferował Adam. – Ty się nie narażaj, Viki. Mnie tajniacy nie namierzają tak jak ciebie. Stanę gdzieś dalej, owinę kamerę w kurtkę i będę trzymał pod pachą, żeby wystawał tylko obiektyw.

– Słabo, wystarczy, że będą chcieli cię wylegitymować, i dupa blada... – Aga wychyliła się z łazienki. – Kuba, w pawlaczu masz taką sporą parcianą torbę na długim pasku. I tak jej nie nosisz. Wystarczy wyciąć z boku otwór na obiektyw i po temacie. Poświęć torbę dla prawdy.

– A żebyś wiedziała, dziewczę, że poświęcę. – Wziął taboret i zaczął myszковать w rupieciach wciśniętych do pawlacza.

Kamera zmieściła się w torbie idealnie. Aga wycięła otwór z klapką, która sprytnie przykrywała obiektyw. Adam zakładał torbę na ramię i sprawdzał, jak niepostrzeżenie obsługiwać kamerę.

– Wybieracie się z nami na Powązki? – zagadnęła Kubę Viktoria.

– Obowiązkowo, tylko zmienimy łachy, żeby wyglądać jak ludzie, i możemy jechać. – Wskazał na dresy, w których paradowali z Agą. – Na obiedzie u przyszłych teściów też muszę jakoś wyglądać. Jedziemy od razu po cmentarzu.

– Żeby tylko ci z AWF-u nie przyszli zrobić zadymy. Izka coś wczoraj wspominała, że gdzieś się szykują na dziś – mówiła Agnieszka, przesuając wieszaki z ubraniami w szafie. Wyjęła swój ciemny żakiet i marynarkę dla Jakuba.

– A ona skąd o tym wie? – zapytał Kuba. – Koledzy z ZSMP nie chwalą się, gdzie będą robić zadymę.

– Nie mam pojęcia. – Aga wzruszyła ramionami. – Może tylko coś zmyślała po pijaku, wczoraj też się wstawiła. Jest na ciebie cięta, Viki.

– Trudno, jakoś to przeżyję. – Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Nie bierz tego do serca – ciągnęła koleżanka. – Miała się wybrać z nami na Powązki, ale chyba jeszcze leczy kaca. A swoją drogą z miesiąc temu wpadła ta czerwona hołota z AWF-u, sami karatecy i bokserzy, na tajny wykład Geremka, wiecie, tego z Towarzystwa Kursów Naukowych. Tak gwizdali i tupali, że trzeba było przerwać prelekcję. I jeszcze pobili chłopaczka z pierwszego roku historii.

– Nawet jeśli się zjawią, na cmentarzu nie odważą się na prowokację. Oni są jak bezpieka, mocni są tylko wtedy, gdy mają dowalić słabszym. Poza

tym my też nie jesteśmy tacy ostatni, co nie, Kuba? – rzucił lekko Adam. – Pogonimy gnojków.

– A jak. – Tamten naprężył mięśnie, wkładając ciemną koszulę. – Studenci z mojej grupy się zapowiedzieli, może z nich nie karatecy, ale też nie ułomki.

– Swoją drogą z Izą powinienem poważnie pogadać. – Adam cmoknął Viktorię w policzek. – Aga ma rację, nie przejmuj się tym, co mówi Iza.

– Wcale się nie przejmuję. Jedźmy już, żeby się nie spóźnić.

Na Powązkowskiej zebrało się już ze trzysta osób, gdy przed pierwszą dotarli do bramy wiodącej do wojskowej części cmentarza. Rodzina stawiała się w komplecie. Wszyscy odświętnie ubrani, panie w garsonkach, panowie w garniturach i kapeluszach. Luśka z Krystyną i Lilką miały wiązanki kwiatów. Wojtuś w ciemnym garniturku trzymał w łapce papierową chorągiewkę.

Między zebranyimi dostrzegła sporo ludzi z KPN-u, w białoczerwonych opaskach na rękawach. Tajniaków z bezpieki także rozróżniała w tłumie. Kilku obstawiało bramę i sprawdzało dokumenty wchodzącym na cmentarz, ale nie rozpędzali ludzi, choć nieopodal stało kilka milicyjnych nysek. Mundurowych także było widać przy bramie.

– Co za łotry, żeby legitymować ludzi przed wejściem na cmentarz! – zżymał się Józek.

– Sprawdzają wyrywkowo. – Władek, z wnukiem na rękach, patrzył ponad głowami ludzi.

Viktoria też rozglądała się wśród przybyłych. Większość stanowili starsi, przyszło kilka rodzin z dziećmi i sporo studentów. Izy nie widziała ani żadnych osiłków z AWF-u. Dostrzegła, jak tajniacy wzięli na bok jakiegoś mężczyznę z opaską na rękawie. Odebrali mu wieniec i poprowadzili do nyski. Za nim poprowadzili następnego. Między ludźmi zrobiło się poruszenie. Wyteńczyła wzrok za zatrzymanym.

– Kręć, Adaś – powiedziała półgłosem. – Moczulskiego z KPN-u właśnie aresztowali. Drugiego nie znam.

– Podejdę bliżej, będę udawał, że się nie znamy – odrzekł i zaczął przeciskać się ku bramie.



– Luśka, a was wpuszczą na ruskich paszportach? – Maksymilian, który szedł obok z Zużą, odwrócił się do siostry.

– Właśnie się zastanawiam. Powiem, że idziemy na grób Róży. Zresztą i tak do niej potem pójdziemy, tylko że mam w torebce napisy, wolę, żeby mi tego nie zabrali.

– Możemy spróbować bocznym wejściem, ciociu – podsunęła Zuzka. – Jak zanosila ulotki do kościoła Boromeusza, proboszcz powiedział, że furtka od Spokojnej będzie otwarta tuż przed pierwszą. Ja też mam trochę ulotek, żeby je rozrzucić na cmentarzu, i biało-czerwone szarfy do kwiatów.

– Ani się waż czegokolwiek tu rozrzucić! – syknął rozgniewany Maksymilian, mierząc srogim wzrokiem ukochaną jedynaczkę. – Czy zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz? Nas przy okazji też. Zobacz, ilu tu szpicli. Zabraniam.

– Chyba żartujesz, tato. – Zdumienie na twarzy Zuzanny nie mogło być większe. – I nie miej takiej groźnej miny, jestem dorosła i niczego nie możesz mi zabronić. Robię to, co uważam za stosowne, walczę o prawdę. – Wzięła Luśkę pod rękę i rzuciła do reszty rodziny: – Widzimy się za chwilę przy Gloria Victis.

– Idę z wami – powiedziała Viktoria, dostrzegłszy przed bramą jakąś kobietę, której tajniacy skonfiskowali aparat fotograficzny. Adam z Kubą i Agą akurat wchodzili na cmentarz, niezatrzymywani przez nikogo. Uśmiechnęła się pod nosem, myśląc o zastosowanym wybiegu z ukrytą kamerą.

– Co za uparta koza z tej Zuzi, jeszcze biedy sobie napyta, bohaterka – mruknął niezadowolony Maksymilian i też ruszył w stronę Spokojnej.

– Mój braciszek ma sporo za uszami, ale córka to mu się udała – powiedział Józek, odprowadzając wzrokiem odchodzących. – Znać krew Ostojańskich.

– Wszystkie dzieci się udały, nasi synowie też – odrzekła Krystyna, idąc pod rękę z mężem.

Gdy spojrzała na Józka, ogarnęła ją nagła tkliwość. Lekko przygarbiony, pokaszający, nie przyznawał się, że cierpi, gdy reumatyzm, pamiątka po workuckim zesłaniu, wykręcał mu stawy. Nie zostało w nim wiele z tamtego oficera, za którego wyszła przed czterdziestu laty. Kłócili się, czasem trudno było z nim wytrzymać, ale był jej bliski i na swój sposób wciąż go kochała.

– Kiedy patrzę na naszą młodzież, to jakbym nas widział dawno temu – podsumował refleksyjnie Olek. – Byliśmy tak samo zdeterminowani. I jeszcze jedno, jeśli ci przy bramie będą chcieli dokumentów, niczego nie komentuj, Józek. Pokaż dowód i już. Mam nadzieję, że sposób Zuzi także zadziała.

Wejście od Spokojnej było otwarte, dostali się na teren cmentarza bez przeszkód. Nikt nie pilnował skromnej furtki.

O pierwszej nieopodal pomnika Gloria Victis zebrało się kilkaset osób, mimo że w pobliżu krążyli tajniacy. Obok księdza z bródką Viktoria zobaczyła Kuronia z wieńcem. Kiwnęli sobie głowami.

Zuza rozpostarła na wiązankach, złożonych na symbolicznej mogile, biało-czerwone szarfy z napisem „Katyń pamiętamy 1940–1980”. Niepostrzeżenie wsunęła też ulotkę. Adam nagrywał to, stojąc nieopodal, wmieszany w tłum.

– Znam tego księdza – zwrócił się półgłosem Józek do Viktorii, wskazując głową na kapłana z bródką. – To Bronisław Sroka z Lublina. Osiemnastego grudnia modlił się z nami przed bramą Stoczni Gdańskiej. Pojechaliśmy ze Szczecina na dziewiątą rocznicę Grudnia Siedemdziesiąt. Potem opowiem ci więcej, skoro chcesz pisać prawdę. Viktoria – nagle zmienił ton. – A tak między nami, jak tam Jerzy sobie radzi?

– Dobrze, tylko że tęskni za domem. – Uśmiechnęła się lekko, widząc tę zawołaną troskę. Na tyle zdążyła poznać wuja, by wiedzieć, że pod tą skorupą cynizmu i złośliwości krył się wrażliwy człowiek i dobry ojciec.

– Żenić się nie chce?

– Na razie nic nie mówi, ale dobrze rozumieją się z Karin. To moja przyjaciółka. Pasują do siebie.

– Jedna synowa Szwedka, kto wie, czy druga nie będzie Niemka, ech... – Machnął ręką bardziej dla zasady niż czego innego i wskazał na duchownego. – Później dokończymy, teraz posłuchajmy.

– Kochani – zaczął przemawiać ksiądz. – Chciałbym jako kapłan powiedzieć, że Pismo Święte mówi, że rzeczą chwalebną, świętą, jest modlić się za umarłych. Żeśmy się właśnie po to tutaj zbrali, żeby oddać cześć i pomodlić się za dusze naszych polskich oficerów pomordowanych w sposób bestialski w Katyniu. Jest to miejsce pamięci narodowej, tu właśnie przed nami... – przerwał na chwilę.

Stojąca obok Lusia z trudem panowała nad łzami. Jej stężała z bólu twarz wyrażała wszystko, czego nie wypowiedziały usta.

– ...to są ci, którzy ginęli z myślą o Polsce i o nas – ciągnął kapłan. – Gdybyśmy o nich zapomnieli, byłby to straszny grzech z naszej strony. Dlatego zaśpiewajmy im pieśń do Matki Najświętszej. „Maryjo, Królowo Polski...” – zaintonował barytonem i z kilkuset gardeł popłynęły podniosłe słowa.

Gdy skończyli, Lusia wyjęła z torebki przygotowaną uprzednio starannie wykaligrafowaną kartkę:

### KATYŃ 1940–1980. CZEŚĆ WASZEJ PAMIĘCI!

Przez chwilę patrzyła to na kartkę, to na Władka, któremu posłała jadowite spojrzenie, wsunęła karteczkę między wiązanki i zaczęła z mocą:

– „Jeszcze Polska nie zginęła...”

Wszyscy od razu podchwycili i odśpiewali cały hymn. Potem jeszcze *Boże, coś Polskę*, zapalono znicze i uroczystość została skończona. Ksiądz poprosił, żeby ze względu na tajniaków wychodzić z cmentarza zwartą grupą.

– Póki będziemy w zasięgu tych panów – wskazał oczami kilku spacerowiczów w okolicznych alejkach – trzymajmy się razem. Oni nie są na tyle odważni, żeby wyłuskiwać ludzi z tłumu.

Wszyscy ruszyli gromadnie w stronę bramy. Viktoria i jej bliscy skręcili w sąsiednią alejkę, żeby dojść do grobu ciotki Róży. Przy symbolicznej katyńskiej mogile nie było już ludzi, ale jakieś typy zaczęły ściągać z kwiatów napisy.

– To było do przewidzenia – powiedział Olek, ujmując Viktorię pod ramię. Obok Luśka sztorcowała męża.

– Jak mogłeś mi to zrobić? Tak się starałam, tak mi na tym zależało, a ty jak zwykle musiałeś wtrącić swoje trzy grosze. Ktoś cię o to prosił? – warczała zła jak osa.

– Co znów zrobiłeś, tato? – zagadnęła go Lilka.

– Podmieniłem mamie kartkę, bo na pierwszej wypisała imiona i nazwiska ojca, Jeremiego, Antka i Andrzeja – wyjaśnił córce i zwrócił się łagodnie do żony: – To było nierozsądne. Brawura też ma swoje granice.

– Nie odzywaj się do mnie – fuknęła. – Nie takie rzeczy robiliśmy w okupację. Ty też, a teraz stałeś się mięczakiem.

– No i dobrze. Nie chcę ci wysyłać paczek do więzienia.

Adam podszedł do Viktorii i powiedział jej do ucha:

– Wszystko nagrałem, tak jak chciałaś, przemówienie księdza i teraz to sprzątanie napisów też – zameldował. – Nikt się nie połapał.

– Wspaniale się spisałeś. – Aż oczy jej zajaśniały, gdy na niego spojrzała.

– Dzięki, Adaś. Gdzie masz kasetę? Muszę ją podrzucić jutro do ambasady.

– Pod ubraniem. – Wskazał oczami na marynarkę. – A kamerę zostawiłem w samochodzie Kuby.

– Konspiratorzy – mruknął Olek. – Dziś jadę do Niemiec. Jeśli chcesz, Viktorio, zabiorę kasetę i po drodze podrzucę Marysi albo tam, gdzie powiesz. Nie musiałybyś się tym martwić i wcześniej będzie za żelazną kurtyną. A w moim furgonie jest dużo miejsca, żeby ukryć co nieco.

– Byłoby doskonale. – Rozjaśniła się jeszcze bardziej.

– Niech i ja przyłożę rękę do prawdy.

Po uroczystym obiedzie u Ulewiczów goście zaczęli się rozjeżdżać. Lilka odwiozła na dworzec jako tako pogodzonych rodziców.

Viktoria, Adam i Zuza wybrali się na Śmiałą, gdzie miał się odbyć wykład o Katyniu dla zaufanych, a także minispektakl, który przygotowali koledzy Zuzy ze szkoły teatralnej. Część drogi przejechali autobusem, resztę pokonali pieszo. Gdy dochodzili do piętrowej willi ze spadzistym dachem i niewielkim ogródkiem, powoli zapadał zmierzch. Do celu mieli może ze sto metrów. Przy furtce widać było jakieś postaci.

– Już się schodzą – powiedziała Zuza, wskazując głową przed siebie. Poprawiła ciężką torbę na ramieniu. Większą pomagał jej nieść Adam. – Zaprosiliśmy trzydzieści osób.

– Czyja to willa? Sprawdzona, że urządzacie taki spędy? – wypytywał Zuzannę, patrząc w tamtą stronę.

– Starszych jednej dziewczyny od nas – wyjaśniła. – Jej ojciec jest trepem i nawet nie podejrzewa, że córka ma odmienny światopogląd. Wczoraj wyjechali z matką na tydzień do Zakopca, więc mamy bezpieczną metę. Co ty się tak oglądasz? – zapytała, widząc, jak Viktoria już któryś raz spogląda za siebie.

– Zaczynam mieć obsesję, że ciągle za mną łążą. Nikogo nie widzę, ale wystarczy, że oni widzą mnie.

– W niedzielne popołudnie mają wolne. – Kuzynka zaśmiała się krótko.

– Co tam napchałaś, Zuza, że takie ciężkie? – Adam podciągnął na ramieniu zsuwający się pasek torby. – Ołów czy cegły?

– Rekwizyty do spektaklu i rozkręcony na części powielacz – oświadczyła z szelmowskim uśmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że przez połowę Żoliborza niesiemy powielacz? – Aż przystanął z wrażenia na chodniku i dodał z pretensją w głosie: – To najgłupszy pomysł, o jakim słyszałem.

– Jesteś stuknięta, Zuza. – Viktoria popukała się palcem w czoło.

– Wiem i na tym polega mój urok. – Kuzynka uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ja mam obudowę, a ty wnętrzości. No co tak patrzysz? – rzuciła lekko, widząc gniewne spojrzenie Adama. – Rozkręciłam, jak umiałam, bo korbka wystawała mi z torby.

– Narażasz nas – odrzekła Viktoria. – Dobrze wiesz, że mają mnie na celowniku, odkąd tu jestem. Powiedziałam, że pomogę z nowym powielaczem, to pomogę, ale z głową. Mogłaś nas chociaż uprzedzić, co zamierzasz, zamiast tych szczeniackich popisów.

– Nie róbcie afery. Przepraszam, że nie uprzedziłam, ale wolałam, żebyście nie wiedzieli. Przecież to nic takiego. Zaraz będziemy na miejscu. Musieliśmy dziś zabrać to ustrojstwo od Lilki. Tutaj będzie bezpieczniej, poza tym to też rekwizyt do spektaklu. Złóżysz go jakoś, Adaś? Trochę na żywca wyrwałam nity – zaszczebiotała z niewinną minką.

– Nie – burknął, nie dając się złapać na lep. – Wkurzyłaś mnie, więc się teraz nie podlizuj.

Uszli jeszcze kilka kroków, gdy Adam się zatrzymał. Zaniepokoiło go coś, co dostrzegł w półmroku. One też przystanąły i wyteńczyły wzrok. Kilka posesji dalej, przy ogrodzeniu, przyczyły się jakieś postaci. Kilka następnych właśnie wyskakiwało z nieodległego żuka i pochyliwszy się, przemknęły pod płot.

– Zawracamy – zarządził półszepem.

Zawrócili od razu. Szli powoli, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Ledwo minęli długość najbliższego ogrodzenia, gdy usłyszeli za sobą:

– Stać!

– Wiejemy osobno – zdążyła rozkazać Zuza i rzuciła się do ucieczki. Gnała przed siebie w iście sprinterskim tempie. W kilka sekund zniknęła z pola widzenia.

Adam chwycił Viktorię za rękę i pognał w najbliższą przecznicę. Miała pantofle na obcasach i dość wąską spódnicę, mało nie połamano nóg, gdy zziębiona pędziła obok niego. Prawie wlokł ją za sobą, tak przyśpieszał. Rzucił w krzaki torbę, żeby nie utrudniała ucieczki, i biegł jeszcze szybciej, choć Viktoria ledwo łapała oddech.

– Prędeż.

– Nie mogę... – wydyszała.

Za sobą słyszeli narastający łomot butów, pogoń wisiała im na plecach. Viktoria potknęła się o jakiś kamień, krawężnik czy własne nogi. Poczowała, że traci równowagę, i poleciała jak długa na chodnik. W następnej sekundzie ktoś ją tak smagnął żelastwem w plecy, że aż zawyła. Nigdy nie czuła większego bólu.

– Zostaw ją!!! – ryknął Adam i nagle obok niej rozgorzała zajadła bijatyka.

Powietrze przecinał łoskot ciosów i gardłowe przekleństwa. Przerazona podniosła się z ziemi. Jakichś dwóch osiłków, młodych, w dresach, ciosami karate próbowało obezwładnić Adama. Nawet w półmroku widziała plamy krwi na ulicy.

– Przestańcie!!! – Przerazona próbowała odciągać agresorów, ale tylko ją odpychali, więc zaczęła się drzeć jak opętana: – Ludzie, ratunku!!! Na pomoc!!!

Nikt nie reagował. W okolicznych domach pogasły światła. Rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu drąga, kamienia, czegokolwiek, żeby odegnać napastników. Już mieli przewagę nad Adamem, a jeszcze dobiegł trzeci, w zwykłym ubraniu, trochę starszy od tamtych. Zadał kilka ciosów, a potem nagle zatoczył się na krawężnik i przeklinając głośno, złapał się za łokieć. Adam leżał zwinięty w kłębek na ulicy i osłaniał się od gradu kopniaków. W przypływie impulsu zaczęła na oślep okładać tamtych po głowach torebką, kopać w kostki.

– Dostyc! – W ciemności rozległ się najpierw rozkazujący głos, a po sekundzie z mroku wyłoniło się jeszcze trzech osobników po cywilnemu. Któryś z nich włączył mocne światło latarki. Viktorii ścisnęło się serce na widok zmasakrowanej twarzy Adama.

– Adaś... – Przyklękła przy nim przerażona. Najdelikatniej, jak umiała, próbowała go objąć. Stękał z bólu. Uniosła głowę i wykrzyczała zapłakana:

– Coście mu zrobili, bandyci?! Kim wy jesteście?! Wezwijcie karetkę!

– Podnieście go – rozkazał beznamiętnie najstarszy z nich.

Po czterdziestce, w skórzanej kurtce, wąsaty, wyglądał na herszta bandy. Dwóch, którzy z nim przyszli, chwyciło ślaniającego się na nogach Adama i poderwało go z ziemi. Pochylili go i przytrzymali. Z rozciętego nosa i wargi kapała krew. Nie mogła na to patrzeć, jeszcze do niej nie docierało, że wszystko dzieje się naprawdę. Nawet nie zauważyła, jak tamci w dresach gdzieś zniknęli.

– Zostawcie go, on nic nie zrobił – wyjąkała ledwo żywa ze zdenerwowania. Chciała podejść do Adama, ale jeden z nich zagroził jej drogę.

– Czego od nas... chcecie? – wystękał z trudem Adam, charcząc dziwnie.

– Służba Bezpieczeństwa, dokumenty – powiedział lodowatym tonem wąsaty typ o twarzy jak wykutej z kamienia. Wydał swoim ludziom polecenie oczami, żeby zrewidowali Adama. Obmacali go, wyjęli dowód z kieszeni kurtki. – Nie zatrzymaliście się na wezwanie funkcjonariusza.

– Nie było... wezwania... – próbował się tłumaczyć Adam. Tamci dwaj wykręcali mu ręce na plecy, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

– Stul pysk – warknął jeden z nich.

Viktorii serce łomotało ze strachu i złości na niedorzeczność i bezprawie, które działo się na jej oczach. Nagle odzyskała zimną krew i już opanowawszy drżenie głosu, zwróciła się stanowczym tonem do szefa esbeków, stając z nim twarzą w twarz:

– Samo „stać” nie jest oficjalnym wezwaniem. Przynajmniej w moim kraju. Jestem obywatelką Niemieckiej Republiki Federalnej i akredytowaną dziennikarką w Polsce. Byliśmy na spacerze, wzięliśmy was za bandytów, wystraszyliśmy się i zaczęliśmy uciekać. Gdyby padło zawołanie, że chodzi o Służbę Bezpieczeństwa albo milicję, od razu byśmy stanęli. Zostaliśmy bezpodstawnie zaatakowani i każdy sąd przyzna nam rację. Złożę na was skargę w mojej ambasadzie. Pan, zdaje się, jest tu dowódcą, pana nazwisko – wyrzuciła prawie na jednym tchu.

– Kapitan Józwiak – odrzekł, nic sobie nie robiąc z jej grózb ani przemówienia. – A w sprawie skarg poleca się resort spraw wewnętrznych. Pani paszport.

Podawała mu żądany dokument. Oglądał go, a potem dowód Adama.

– Było ostrzeżenie, obywatelu kapitanie, „stać, Służba Bezpieczeństwa” – odezwał się tymczasem ten trzymający się za łokieć. – Ja je wydałem.

– Bezcześnie łziesz, człowieku! – krzyknęła wzburzona. – Nie macie prawa nas tak traktować.

– Radzę nie pouczać funkcjonariuszy publicznych na służbie o ich prawach – Józwiak zajrzał do paszportu – panno Fisher. Było wezwanie?

– Było, obywatelu kapitanie – odrzekli zgodnym chórem podwładni. Viktoria poczuła się jak przeniesiona do krainy absurdu.

– Chyba mam złamaną rękę – stękał ten z łokciem. – Podejrzany mi złamał, jak próbowałem go zatrzymać.

– No, Doński – mówił dowódca. – Za spowodowanie uszczerbku na zdrowiu funkcjonariusza na służbie przejście na państwowy wikt i opierunek.

– Nic nie... zrobiłem – tłumaczył się Adam, próbując oswobodzić rękę, ale tamci jeszcze mocniej go przytrzymali. – Sam się przewrócił i uderzył o... krawężnik...

– Obywatelu kapitanie... – Dobiegł do nich jeszcze jeden. W rękę niósł torbę, którą Adam rzucił w krzaki. – Dziewczyny nie złapaliśmy, ale mamy to. Zdaje się, że to koteczek z KOR-u.

Józwiak poszperał w środku. Wyjął jakieś części od powielacza. Viktorii ugięły się nogi w kolanach, że tak idiotycznie wpadli przez tę kretynkę.

– Co powiesz teraz, Doński? – Józwiak łypnął na Adama i pomachał mu przed nosem wydobytym przedmiotem. – Skąd to masz?

– Znalazłem na... przystanku torbę – wystękał, krzywiąc się z bólu. – To było w środku. Nie wiem, co to... jest. Zabrałem, bo chciałem na coś... przerobić...

– Na coś przerobić? – powtórzył tamten. – Ciekawe. Może na maszynkę do mięsa chcieliście przerobić?

– Jakby się dało. Oglądam program... *Zrób to sam* Słodowego.

– Widzę, że dowcip wam dopisuje. – Trzepnął Adama w twarz plikiem ulotek o Katyniu, które podał mu jeden z esbeków. – A teraz co powiecie? Skąd macie te ulotki? Też znaleźliście na przystanku?

– Pozbierałem z ulicy, żeby... nie zaśmiecały... miasta.

– Razem zbieraliśmy – dodała na poczekaniu Viktoria, odzyskawszy jaką taką władzę nad sobą. – Ja chciałam zabrać te części, żeby przerobić na



maszynę do pisania. Potrzebuję maszyny do pisania.

– Kim była ta dziewczyna, która z wami szła? – drążył Józwiak. – Nazwisko.

– A skąd mam to wiedzieć? Nie przedstawiła się. Przechodziła obok, pytała o drogę. Wezwijcie karetkę, on się wykrwawia – jęknęła błagalnie, widząc powiększającą się plamę na koszuli Adama.

– Mamy swoją karetkę, zaprowadzić. – Józwiak wskazał głową w tył. – A ty na obdukcję – dodał do tego z łokciem.

Powlekli Adama pod rękę ulicą. Ledwo ciągnął za sobą nogi, Viktorii pękało serce na ten widok. Łzy same płynęły po policzkach. Chciała za nim biec, ale Józwiak zagroził jej drogę.

– On jest niewinny – próbowała jeszcze protestować.

– Taaa... – przeciągnął podszyty ironią głos. – Więzienia są pełne niewinnych. Same aniołki tam siedzą.

– Adam, nie zostawię tak tego! – krzyknęła za nim. – Wynajmę najlepszego adwokata! Będę z tobą cały czas! Kocham cię!

– Wystarczy tego przedstawienia – uciął kapitan. – Pojedzie pani z nami.

– Nie macie prawa nas aresztować. Byliśmy tylko na spacerze. Jestem obywatelką obcego państwa. Żądam kontaktu z moją ambasadą! – oświadczyła kategorycznie.

– Nie powiedziałem, że jest pani aresztowana. Pojedzie pani z nami i złoży zeznania w komendzie stołecznej. Naturalnie powiadomimy, kogo trzeba. Zapraszam. – Wskazał podjeżdżającego dużego fiata.

Bez słowa wsiadła do samochodu, Józwiak wpakował się obok. Po drugiej stronie miała jakiegoś typa w cywilkach. Nie bała się o siebie, wszystkie jej myśli były przy Adamie. Rozglądała się przez szyby samochodu, żeby go jeszcze zobaczyć, ale bez skutku. W jej głowie przewijały się najczarniejsze scenariusze, co jeszcze mogą mu zrobić ci bandyci.

Gdzieś na końcu ulicy zobaczyła w świetle latarni przyczajoną za słupem małą postać. Iza? Ona nie ona, mało ją to obeszło.

Pół godziny później siedziała w jakimś pokoju w komendzie. Sama, bez torebki i dokumentów. Prócz strachu o Adama czuła narastającą wściekłość na Zużę, że wpakowała ich w kłopoty. Gdyby miała ją pod ręką, chyba rozerwałaby idiotkę na strzępy. Paradoksalnie owa złość pomagała nieco opanować nerwy.

Po godzinie, dwóch, a może tylko po pół, straciła rachubę czasu, przyszło dwóch milicjantów po cywilnemu, żeby spisać zeznania. Jeden miał jej torebkę. Powtórzyła to samo, co już mówiła, gdy ich napadnięto. Obecność Zuzy pominęła, żeby się trzymać pierwotnej wersji wydarzeń.

Spisali protokół, który dostała do wglądu. Nie było w nim ani słowa o tym, że została uderzona w plecy, choć to także zeznała. Jeszcze czuła żywy ból w krzyżu. Zamierzała wyjaśnić nieścisłość, lecz wystarczyło jedno spojrzenie na twarze milicjantów, by wiedziała, że celowo ominęli ten szczegół.

– Zgadza się? – spytał jeden z nich tonem, który wymagał wyłącznie potwierdzenia. Była w zbyt dużym stresie, aby myśleć racjonalnie. Czy brak wzmianki o tym incydencie może mieć znaczenie? Chciała stąd czym prędzej wyjść, zobaczyć się z Adamem. Z tego też powodu wołała nie kłócić się o brak adwokata i kogoś z ambasady przy przesłuchaniu.

– Tak – odrzekła po chwili i podpisała protokół. – Co z moim narzeczonym? Gdzie jest? Chcę go zobaczyć. Jestem zatrzymana, że zabraliście moją torebkę?

– Zostawiła ją pani w radiowozie – łgał w żywe oczy drugi milicjant.

Wcale jej nie zostawiła. Pewnie przewertowali mój notes, dumiała, zastanawiając się gorączkowo, czy nie było w nim nic, co mogłoby zaszkodzić Adamowi. O bezprawną rewizję też wołała się nie kłócić, żeby nie pogarszać sprawy.

– Nie jest pani zatrzymana. Proszę czekać.

Niedługo po tym, gdy wyszli, w pokoju pojawił się Rafał Mazurek. Jak zwykle elegancki w najdrobniejszych szczegółach.

– Przyjechałem od razu, gdy powiadomiono mnie o tej sytuacji – oznajmił, siadając na krześle. – Strasznie wyglądasz, Viktorio.

Dopiero teraz spostrzegła, że ma podarte rajstopy, brudne, zakrwawione ubranie, a skórę na dłoniach zdartą od upadku.

– Uprzedzałem cię, żebyś się trzymała z daleka od pewnych tematów. Po co ci był ten Katyń?

– To nie ma z tym żadnego związku – skłamała, ale szczerść w tym przypadku nie pomogłaby ani jej, ani Adamowi. – Muszę się widzieć z adwokatem. To koszarne nieporozumienie. Byliśmy tylko na spacerze z moim narzeczonym. Naprawdę nic nie zrobiliśmy, przysięgam.

– A twoja obecność na Powązkach?

– Poszłam tam z rodziną, żeby odwiedzić grób ciotki – łągała jak z nut, nawet się nie dziwiąc, skąd o tym wie. – Natknęliśmy się na kontrolę przy bramie i jakąś uroczystość, byliśmy ciekawi, czego dotyczy. Nie ma w tym żadnej wrogiej działalności.

– Założmy – mruknął nieprzekonany.

– Mówię, jak było. To samo powiedziałam przed chwilą milicjantom. Co z Adamem?

– I to cię martwi najbardziej? – Uniósł lekko brwi. – O siebie się martw. Znalazłaś się w nieciekawej sytuacji.

– Wydała mnie? – Miała sucho w gardle, z trudem przełknęła ślinę.

– MSW na pewno będzie na to nalegało, co robi MSZ, nie wiem.

– Rafał – odruchowo chwyciła go za rękę – nie mogą mnie stąd wyrzucić. Ja naprawdę nic nie zrobiłam. Adam też nie. Pomóż mi, proszę. – Była gotowa mu zapłacić sowitą sumę za pomoc, ale tutaj wołała nie nazywać rzeczy po imieniu.

Przez chwilę nic nie mówił. Niczego też nie mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy.

– Spróbuję – odrzekł w końcu. – Ale niczego nie mogę ci w tej chwili obiecać. Możesz zostać uznana za persona non grata i w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymasz nakaz opuszczenia kraju. Rano o sprawie zostanie powiadomiony ambasador. Zawiozę cię do pensjonatu. Zostaniesz tam do czasu, aż ambasada zacznie działać. Poręczyłem za ciebie.

– A Adam?

– Odpowie za napaść na funkcjonariusza na służbie. Tamten ma złamaną rękę w łokciu. Prokurator wydał nakaz aresztowania i będzie wnioskował o najwyższy wymiar kary, jaki przewiduje kodeks za takie przestępstwo.

– Jaki? – z jej ust wydobył się cichy szept.

– Piętnaście lat.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

## Rozdział XX

### Persona non grata

Stało się to, czego tak bardzo się obawiała. W kraju, do którego przyjazdu nie mogła się doczekać, uznano ją za persona non grata. Na otarcie łez pozwolono jej zostać warunkowo, jeśli nie podpadnie.

Gierkowi zależało na ociepleniu kontaktów z Zachodem, więc może chcieli uniknąć skandalu i dlatego od razu jej nie wydalili? Może pomogła interwencja ambasady w MSZ albo jakieś układy w MSW, które uruchomił Mazurek, za co zainkasował trzysta dolarów, ale nie cofnięto jej od razu wizy.

Nie wnikała, czy wziął łapówkę dla siebie, czy dla kogoś w resorcie. Może tylko skłamał, że inaczej nie da się tego załatwić, żeby przy okazji zarobić? Nieważne, zapłaciła bez mrugnięcia częścią pieniędzy, jakie zaoszczędziła.

Najważniejsze, że mogła zostać w Polsce do czasu obowiązywania obecnej wizy, czyli do końca sierpnia. Nowej już nie dostanie. Miała trzy miesiące z niewielkim okładem, żeby pomóc Adamowi.

Od tamtej niedzieli jeszcze go nie widziała, choć upłynęły trzy tygodnie. Siedział w areszcie na Rakowieckiej w oczekiwaniu na proces, który miał się odbyć piętnastego maja. Nikogo prócz niego nie złapali. Widać zgromadzeni w willi, spłoszeni krzykami, zdążyli uciec. Regularnie składała wnioski o widzenie, lecz za każdym razem odpowiedzi były odmowne. Nawet paczek nie mogła mu przekazywać. Odchodziła od zmysłów.

Do pracy też straciła zapał. Robiła, co musiała, żeby nie nadwierać wyrozumiałości swojej redakcji. Naczelnym i tak nie krył rozczarowania, że podpadła i nie dostanie następnej wizy. Znowu wysyłała krótkie depeche z oficjałek, z przeświadczeniem, że jej dalsza kariera w gazecie wisi na włosku.

Trudno, nie ta praca, to inna. Ostatecznie może zostać w rodzinnej firmie. Teraz liczył się tylko Adam.

Z początku pomagały jej złapać psychiczną równowagę wizyty na Muranowie, gdzie wciąż były widoczne ślady obecności Adama. Ani Jakub, ani Aga jeszcze nie poprosili, żeby zabrać jego rzeczy, ale wyczuwała, że tylko na to czekają. Zwłaszcza ostatnim razem, kiedy wpadła z wizytą pod koniec kwietnia. Kuba był wtedy sam w domu.

– Do sprawy niech wszystko zostanie, jak jest – mówił, wskazawszy na kuchenny kąt za kotarą. – Potem trzeba będzie coś postanowić. Chyba zawiozę jego rzeczy do Olsztyna.

– Nie wierzysz, że go uniewinnią – bardziej stwierdziła niż zapytała. Siedziała na amerykańce i brzdąkała w struny gitary Adama.

– Nie wierzę, bo znam życie – odrzekł, przypaliwszy papierosa. Usiadł okrakiem na krześle i bębnił palcami o oparcie. – Nieźle został wrobiony. Głupia sprawa. Co z nim?

– Nie wiem, nic mi nie mówią.

– Żal mi Adama, to mój dobry kumpel. Ale muszę też myśleć o własnym tyłku i o Agnieszce.

– To znaczy?

– Mieszkał tu, ty też tu przychodzisz, więc mają nas na oku. Wczoraj zrobili rewizję. Szczęśliwie niczego nie znaleźli. Adam miał na tyle oleju w głowie, żeby nie trzymać w chacie trefnych materiałów.

– Nie muszę tu przychodzić, skoro was narażam. – Wstała z amerykańki i ruszyła do drzwi, nawet nie wypiuwszy herbaty.

– Źle mnie zrozumiałaś! – Poderwał się z krzesła. – Nie zamierzam się wypiąć na kumpla.

– Dobrze cię rozumiałam. A w kwestii rzeczy, Adam sam zdecyduje, co z nimi zrobić. Gitarę zabieram teraz. – Chwyciła instrument i ruszyła do wyjścia.

W wąskim przedpokoju niemal zderzyła się z Izą. Rywalka wyglądała na przybitą.

– Jeśli to twoja sprawka, Iza, że wtedy na Śmiałej zjawili się ci karatecy i bezpieczeństwa, pożałujesz – zagroziła ostro, choć tak naprawdę nic nie mogła jej zrobić. Dawno, a może jeszcze nigdy nie czuła się tak bezradna.

– Ciebie mam w dupie – tamta prychnęła z pogardą. – Ale nigdy nie narażabym Adama. O tych z AWF-u dowiedziałam się przypadkiem, że

właśnie tam się wybierają. Skąd się dowiedziała безпеaka, nie mam pojęcia. Żałuję, że to ciebie nie skatowali i nie siedzisz teraz w pierdlu. Pocieszam się tylko tym, że niedługo stąd wyjedziesz. Ja zostanę i zrobię wszystko, żeby Adam o tobie zapomniał – oświadczyła z satysfakcją.

Viktoria z trudem się powstrzymała, żeby jej nie trzasnąć w twarz. I tak by się stało, gdyby Kuba nie stanął między nimi.

– Przestań, Izka, wejdz tam. – Pchnął koleżankę do pokoju. Zamknął za nią drzwi i zwrócił się do Viktorii, zniżając głos: – Naprawdę źle mnie zrozumiałaś. Pomogę Adamowi w miarę możliwości, ale musimy być z Agą ostrożni. Co zrobiłaś z tą kasetą?

– Nic, cześć.

Żeby nie zaszkodzić sprawie, postanowiła, że nie upubliczni nigdzie kasety z nagraniem na Powązkach, którą Olek zawiózł do Berlina, dopóki Adam nie będzie bezpieczny.

Więcej na Muranów nie poszła.

Schudła dobrych parę kilogramów, stała się nerwowa, nie mogła spać. Nie udzielano jej żadnych informacji, co się dzieje z Adamem, gdyż nie należała do jego rodziny. Gdyby nie jego matka, niczego by o nim nie wiedziała, ale rozmowy, które odbywały przez telefon, nie były miłe. Zofia Dońska traktowała ją oschle. Matce także wciąż nie pozwolono na widzenie z synem.

Viktoria codziennie chodziła na Rakowiecką, żeby choć przez krótki czas znaleźć się blisko miejsca, gdzie przebywał Adam. Obsesyjnie uczepiła się myśli, że on intuicyjnie wyczuje jej obecność. Szukała dla Adama najlepszego obrońcy, zamiast tej ciucmy, którego dostał z urzędu. Skoro nie potrafił załatwić głupiego widzenia, jak zdoła wybronić Adama w sądzie, zżymała się na patową sytuację.

Kilku znanych warszawskich adwokatów nie chciało się podjąć sprawy. Tłumaczyli, że są zawałeni pracą, albo mówili wprost, że proces jest nie do wygrania.

– Pogadaj z Jackiem, może coś zaradzi – podsunęła jej Renate.

I to był strzał w dziesiątkę.

Dzięki pośrednictwu Kuronia udało się znaleźć prawnika z Wybrzeża, który nie bał się występować w procesach politycznych.

Dziś po pracy mogła się wreszcie spotkać z mecenasem Fiertkiem. Przyjechał do Warszawy w swoich sprawach i po południu umówili się na

rozmowę w kawiarni Nowy Świat.

– Kiedy jest rozprawa? – spytał rzeczowo, gdy szczegółowo opowiedziała mu o wszystkim, tak jak było naprawdę.

Lokal niezbyt nadawał się do poruszania takich tematów. Ciasno ustawione stoliki okupowali ludzie, z ulicy dolatywał szum samochodów, ale przynajmniej nie było podsłuchów. Tajniaków też nie widziała.

– Za pięć dni.

– To już – odrzekł, upiwszy łyk kawy. Wpatrywała się z nadzieją w spokojnego mężczyznę w średnim wieku, jakby był jakimś zbawcą. Miał widoczną z przodu łysinę, ubrany był w dobrej jakości szarawy garnitur, nosił okulary w złotej oprawce. – Do pierwszego procesu nie zdążymy nic zrobić. Za mało czasu. Spróbujemy zawalczyć w drugiej instancji.

– Uniewinnią Adama?

– Na to nie ma żadnych szans – odrzekł stanowczo, nie pozostawiając jej nadziei, której czepiała się jak tonący brzytwy.

Poczuła się jak zanurzona w lodowatej wodzie.

– Takie przestępstwo traktowane jest jak zbrodnia i zagrożone wyrokiem od trzech do piętnastu lat. Możemy starać się tylko o maksymalne zmniejszenie kary, co, nie ukrywam, będzie bardzo trudne. Z góry uprzedzam, że może się nie udać.

– To... niemożliwe – wyjąkała, ledwo poruszając wargami.

– U nas wszystko jest możliwe, droga pani. – Rozłożył ręce. – Przepisy, według których oskarża się opozycjonistów, są sprzeczne z konstytucją, zarzuty często bywają naciągane. W trakcie procesu przygotowawczego osadzonym nie pozwala się na kontakt z adwokatem. Ba, mamy utrudniony dostęp do akt. W takich warunkach nasze możliwości działania są znacznie ograniczone. Prokuratura ma mocniejsze asy w rękawie i świadków w postaci funkcjonariuszy, którzy będą zeznawać pod dyktando. Pani zeznania, jak przypuszczam, w trakcie pierwszego procesu zostaną tylko odczytane. O ile w ogóle będą wzięte pod uwagę.

– Jak to? Przecież tam byłam. Ten człowiek sam się przewrócił, Adam nic mu nie zrobił. Trochę pobił tamtych w mojej obronie, bo mnie uderzyli pierwszą, a potem tłukli Adama. Ci pierwsi dwaj wyglądali na karateków, nie na bezpiekę. Zresztą szybko stamtąd się zmyli.

– Słowo przeciwko słowu. Pani przeciwko kilku funkcjonariuszom publicznym. Wymiarowi sprawiedliwości zależy na surowości kar za

wszelką działalność godzącą w ustrój państwa. Nawet jeśli sąd da wiarę, że torba została znaleziona, poważny uszczerbek na zdrowiu, którego doznał milicjant na służbie, jest miażdżącym dowodem świadczącym na niekorzyść oskarżonego. Możemy postawić tezę, że w tym przypadku są znamiona obrony koniecznej. Pani narzeczony nie był karany, więc istnieje szansa na zmniejszenie wymiaru kary. Do dziesięciu lat. Może przy dobrym składzie sędziowskim do sześciu, ale prędzej dziesięć.

– Przecież to i tak kawał życia – szepnęła, prawie nie poruszając wargami.

– A gdyby moja kuzynka przyznała się, że torba należała do niej? Czy to pomogłoby Adamowi? Mogę przecież odwołać zeznania i złożyć nowe.

– Nawet jeśli pan Adam zostanie oczyszczony z zarzutu posiadania zakazanych materiałów, za wiele to w jego sytuacji nie zmieni. Czyn, który popełnił, mam na myśli pobicie funkcjonariusza, jest zagrożony wysoką karą. Zeznania pani kuzynki tego nie zmieniają, zaś ona i osoby z nią współpracujące poniosą odpowiedzialność karną. Muszę pomyśleć, czy skórka warta wyprawki. Na razie zostawmy wszystko, jak jest. Przykro mi, że nie mam lepszych wieści. Powołam panią na świadka, gdy będziemy składać apelację, choć znając realia, obawiam się, że sąd się na to nie zgodzi.

– Czasem myślę, że to nie dzieje się naprawdę – powiedziała załamana. – Ile pan sobie policzy za poprowadzenie sprawy? – zapytała, wpatrując się w napięciu w mecenasa.

Zostało jej sto dolarów oszczędności. Pewnie będzie chciał ze dwieście albo trzysta dolarów, jeśli nie więcej. Rok wolności Adama był wart każdych pieniędzy. Tutaj uchodziła za symbol bogactwa, więc może ten prawnik zechce wykorzystać sytuację. Wiedziała, że KOR zbierał pieniądze na obronę robotników, ale od nich niczego nie weźmie. Ma skąd wziąć, pożyczycy do ojca, myślała gorączkowo.

Adwokat upił łyk kawy, odstawił filiżankę na spodeczek i powiedział:

– Nic.

– To znaczy? – W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Historia pokazuje, że rządy silnej ręki zawsze kończą się źle, więc w tego typu procesach pracuję pro publico bono. Nie biorę pieniędzy od klientów. To taki mój mały wkład w walkę o prawdę i wolność.

Potrzebowała chwili, aby ochłonąć.



– Panie mecenasie, jest pan... jest pan – zaczęła się jąkać – wielkim człowiekiem. I bardzo dobrym.

– Proszę mnie nie przeceniać – zaśmiał się krótko. – Myślała pani, że skoro jest Niemką, zedrę z pani skórę?

– Szczerze mówiąc, przez chwilę tak pomyślałam. Tutaj nie lubi się Niemców.

– Owszem, lecz w każdym systemie są różni ludzie, przekonałem się o tym wiele razy. Gdyby nie Niemka, która karmiła mnie podczas okupacji, kiedy zostałem sierotą, pewnie umarłbym z głodu. Dobro trzeba pomnażać, wtedy prędzej pozbędziemy się zła, które nas zalewa. A jeśli chce się pani zrewanżować, proszę zrobić coś dobrego dla kogoś w potrzebie, wtedy będziemy kwita.

– Zrobię. Przy pierwszej sposobności.

– A ja ze swojej strony obiecuję, że wykorzystamy całą dostępną ścieżkę proceduralną, łącznie z wystąpieniem do przewodniczącego Rady Państwa, jeśli okaże się to konieczne, żeby złagodzić wyrok dla pana Adama.

– Dziękuję – odrzekła ujęta jego postawą. – Nie pozwalają mi na widzenie. Matce Adama też nie.

– Skoro był skatowany, czekają, aż zabliznią się ślady. To też element politycznej rozgrywki. Tak samo jak pominięcie w protokole faktu, iż pani także została zaatakowana.

– Popełniłam błąd, że nie poprawiłam wtedy zeznań?

– Być może gdyby upierała się pani wtedy przy swoim, procedura wydalenia pani z kraju zostałaby wykonana i nie rozmawialibyśmy teraz. W każdym razie będziemy się trzymać linii obrony, że byliście państwo na spacerze, a torba została znaleziona. A teraz proszę wybaczyć – zakończył, sięgając po teczkę. – Muszę zacząć działać. Nie sądzę, bym w ciągu kilku dni dostał akta, więc nastawmy się na rozprawę apelacyjną. W pierwszej kolejności postaram się załatwić widzenie. Trochę się znamy z dawnych czasów z naczelnikiem aresztu. Będziemy w kontakcie.

– To jest telefon do mojej kuzynki – powiedziała, zapisując na swojej wizytówce bezpieczny numer Lilki. – Bez podsłuchów, więc w razie czego proszę tam dzwonić, a to numer do Olsztyna, do mamy Adama. – Zanotowała drugi telefon. – Może... – Zawahała się lekko.

– Tak?

– Niech matka pierwsza się z nim zobaczy – powiedziała z trudem.

Nie przypuszczała, że zdobędzie się na takie poświęcenie, ale coś jej kazało właśnie tak postąpić. Może sugestia mecenasa, żeby zrobiła coś dobrego? Na przykład dla matki Adama, która też odchodziła od zmysłów ze strachu o syna.

– Postaram się. Jeszcze jedno. – Coś sobie przypomniał. – Czy w pani notesie były jakieś obciążające zapiski?

– Od samego początku obawiałam się, że notes może wpaść w niepowołane ręce, więc byłam ostrożna, ale mam tam zapisane telefony do Kuronia i paru innych znanych osób ze środowiska KOR.

– Ich zamiary bezpieczeństwa i tak ma. Na wszelki wypadek mogę poprosić o ten notes? Skoro pani notatki bezpieczeństwa poznała, ja też powinienem rzucić na nie okiem, żeby uniknąć niespodzianek.

– Oczywiście, proszę. – Bez wahania oddała notatnik człowiekowi, w którym pokładała całą nadzieję.

Mecenas Fiertek uregulował rachunek, pożegnał się i ruszył do wyjścia.

Viktoria poszła na przystanek. Sztuczny entuzjazm, który widziała na ulicach, kiedy rzeka ludzi płynęła Marszałkowską w pochodzie pierwszomajowym, dawno się ulotnił. Aż czerwono było wtedy od szturmówek, transparentów, że naród z partią, a partia z narodem. Jaką dziewczynę w sportowym stroju podniesiono wówczas przed trybuną honorową, żeby wręczyła kwiaty pierwszemu sekretarzowi.

Teraz sama chciała w podobny sposób wedrzeć się do Gierka, by prosić o pomoc dla Adama. Tylko obawa przed posądzeniem o prowokację powstrzymała ją przed desperackim krokiem.

– Marki, dolary, funty... – Z zamyślenia wyrwał ją dyskretny szept. Drgnęła na widok cinkciarza. – Potrzebuje pani szanowna sprzedać? U mnie najlepszy kurs.

– Nie potrzebuję. – Minęła bokiem mężczyznę i skręciła w Złotą, żeby dojść do pensjonatu.

Zaabsorbowana myślami nie zwracała uwagi na gości siedzących w holu pensjonatu.

– Viktoria! – usłyszała za sobą Fredrika.

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie jego tutaj. W dzinsach, sportowej marynarce, jasnym polo, schludnie przystrzyżony, ścigał na siebie spojrzenia kobiet. Zdawał się ich jednak nie dostrzegać.

– Co ty tu robisz? – zapytała zdziwiona.

– Czekam na ciebie od dwóch godzin. – Wskazał stolik z filiżanką kawy i jakimś kolorowym tygodnikiem. – Portier powiedział, że zazwyczaj wracasz mniej więcej o tej porze, więc postanowiłem zaryzykować. Cześć. – Nim zdążyła się uchylić, pocałował ją w policzek. Zwyczajnie, jak na powitanie. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Pytałam, co tutaj robisz. Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Od Karin, parę dni temu przyjechałem do Polski, żeby załatwić jedną sprawę, a jutro już wracam. Pomyślałem, że wstąpię po drodze przywitać się z tobą. Wiem, co się stało. Wpadliśmy na siebie z Karin w szpitalu, więc mi powiedziała. Możemy gdzieś pogadać? Nie daj się prosić. Obiecałaś, że czasem będziemy mogli pogadać. Staram się nie nadużywać twojej uprzejmości.

– Dobrze, chodźmy tam, skoro już jesteś. – Wskazała mieszczącą się w budynku cukiernię. Jak na tę porę w modnym lokalu nie było zbyt dużo gości. Zajęli stolik przy oknie.

– Kawa? Herbata? Cola? – proponował, wertując kartę.

– Wódki, dużo wódki, wiadro wódki. – Podparła rękoma czoło, kładąc łokcie na blacie.

Zamówił dwie lampki białego wina i szarlotki. Inaczej niż zwykle, nie zwracał uwagi na wdzięczące się doń młode kelnerki, które obsługiwały gości.

– Naprawdę mi przykro, że tak się stało, Viki – powiedział z troską.

– Przykro ci, że mnie stąd wyrzucą czy że Adam jest w więzieniu? – zapytała z ironią.

– Przykro mi, że jesteś przybita. Nie ma w tym żadnych podtekstów z mojej strony. Powiem więcej, poniekąd wiem, co czujesz. Witaj na pokładzie – dodał, nie maskując już przygnębienia wymuszonym uśmiechem.

– Przepraszam. – Machnęła ręką w powietrzu. – Staram się trzymać, ale nie zawsze mi to wychodzi. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Co u ciebie?

– Praca, praca i praca. Adwokat wysysa nas jak pijawka, ale przynajmniej udało się uzyskać ekstradycję. Ojciec będzie sądzony w Niemczech.

– A jak on się czuje?

– Ma problemy z sercem, ale odetchnął, że będzie sądzony u nas. Nie usprawiedliwiam go, czasem nim gardzę, jednak to mój ojciec i... – urwał. Spróbował wina, trochę ciastka, wyraźnie zwlekając z odpowiedzią.

– I? – zapytała, też upiwszy łyk wina, i skrzywiła się mimo woli. Nijak się miało do tego z Lorelei. – Straszny kwas.

– Fakt, paskudne – potwierdził, nim dokończył poprzednią myśl. – I chyba wciąż w to nie wierzę. Nigdy nie myślałem, że będę grzebał w historii. A od kilku miesięcy to moje drugie zajęcie prócz leczenia zębów. Musiałem sam to zobaczyć.

– Co?

– Auschwitz. Byłem tam przedwczoraj. Nie należę do wrażliwców, ale mną szarpnęło i jeszcze trudniej mi w to wszystko uwierzyć – dokończył ciszej. – Nie zaprzeczam, tylko nie wierzę, że to mogło się dzieć. Na taką... skalę. Że mój ojciec miał z tym coś wspólnego. Raz to od siebie odpycham, raz mnie to przytłacza. Głupie uczucie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, prócz tego co wcześniej. Też miałam jechać do Auschwitz, ale jestem na wylocie, więc pewnie mi odpuszczą obowiązkowy punkt stażu. Tylko dlatego przyjechałeś do Polski?

– Nie, choć nigdy nie byłem w tym strasznym kraju. Nie mógłbym tu żyć za żadne pieniądze. Chciałem się zobaczyć z Erichem Kochem. Siedzi w więzieniu w... – Pstrykał palcami, nie mogąc sobie przypomnieć polskiej nazwy. – Ba... Barzewie, dawny Wartembork w Prusach Wschodnich.

– W Barczewie – poprawiła machinalnie. O Kochu, naziście i ostatnim nadprezydencie Prus, skazanym na karę śmierci słyszała, ale ciekawiło ją, czego chciał od niego Fredrik. – Czemu chciałeś się z nim zobaczyć?

– „Chciałem” to dobre słowo. Wcześniej napisałem w tej sprawie do naczelnika więzienia, żeby nie jechać w ciemno. Koch też się zgodził na spotkanie, ale gdy przyjechałem, nagle się wycofał. Zamierzałem go podpytać o ojca, podobno się znali. Liczyłem na zaprzeczenia, na cokolwiek, co sprawi, że do końca życia nie będę patrzył na starego z pogardą, ale się przeliczyłem. Zastanawia mnie jedna rzecz. – Wychylił do końca wino. – Koch dostał karę śmierci w pięćdziesiątym dziewiątym w Warszawie, a dotąd jej nie wykonano. Jak myślisz, dlaczego?

– Wiesz, Fredrik – odrzekła obojętnie – naprawdę mam teraz poważniejsze zmartwienia, niż zastanawiać się nad tą kwestią.

– Podobno wie, gdzie jest ukryta bursztynowa komnata, dlatego jeszcze go nie powiesili – odrzekł zniżonym głosem i dodał już głośno: – Widzisz, jak się podciągnąłem. Sam siebie zadziwiam. Powiem więcej, zaczyna mnie

to naprawdę interesować. Zacząłem też prenumerować „Die Zeit”, żeby czytać twoje teksty. Jestem pod wrażeniem.

– Niepotrzebnie. Teraz piszę same popłuczyny i coraz mniej mnie to interesuje.

– Błąd. Bez względu na to, co przeżywasz, nie marnuj talentu i pasji. Praca ma działanie terapeutyczne. Sam to przećwiczyłem na sobie.

– W życiu nie myślałam, że to od ciebie usłyszę. – Nie mogła się nie uśmiechnąć. – Zaczynasz mnie zadziwiać. Naprawdę się zmieniłeś.

– Jedyne plus tego bagna. Zatrzymałem się w Europejskim na jedną noc, rano wracam do Berlina. Dasz się zaprosić na obiad? Tylko na obiad. Trochę zgłodniałem, ty też powinnaś się lepiej odżywiać. Za bardzo schudłaś. Poleć jakieś ciekawe miejsce, pojedziemy tam, mam samochód.

– Nie mów mi, co powinnam. A ta co tutaj robi? – mruknęła niechętnie, widząc wchodzącą do lokalu Zużę.

Cała na biało, w zamaszystej spódnicy do kostek i szerokiej bluzce, talię miała ściśniętą szerokim paskiem i kilka sznurów różności na szyi. Brakowało tylko welonu, żeby wyglądała na niewinną pannę młodą, przemknęła przez głowę Viktorii.

Od tamtej niedzieli nie rozmawiała z kuzynką, którą jawnie obwiniała o to, co się stało, i unikała jej jak ognia. Zuza natomiast przeciwnie. Szukała sposobów, żeby się pogodzić. Dzisiaj już któryś raz z rzędu przyszła do pensjonatu.

– Ładna, kto to? – spytał Fredrik, gdy dziewczyna się do nich zbliżała.

– Przyczyna wszystkich problemów – odparła po niemiecku, dodając po polsku, kiedy tamta podeszła do ich stolika: – Czemu za mną łazisz? Powiedziałam, że nie chcę cię znać.

– Viki, wiem, że nawaliłam, przepraszam. Chciałam...

– Wsadź sobie gdzieś swoje przepraszam i nie obchodzi mnie, co chciałaś – warknęła ostro.

Wstała, by wyjść z cukierni. Na dalszą rozmowę z Fredrikiem, a tym bardziej na obiad z nim też nie miała ochoty, więc odezwała się po niemiecku: – Jeżeli miałeś nadzieję na powrót do tego, co było, muszę cię rozczarować. A teraz wybac, Fredrik, chcę zostać sama. Cześć.

Kiwnęła mu głową i kompletnie zignorowawszy kuzynkę, wymaszerowała do holu.

Przed pensjonatem akurat zatrzymała się taksówka, z której wysiadał jakiś mężczyzna. Viktoria od razu podbiegła do zwolnionego auta i kazała się zawieźć na Saską, żeby tamta znów nie chciała jej napastować z tym swoim nikomu niepotrzebnym „przepraszam”.

Nigdy jej nie wybaczy. Dla niej to Zuza stała się persona non grata.

## Rozdział XXI

# Ten, którego kocham

Wszystko można wybaczyć – mówiła Lilka, gdy następnego popołudnia siedziały u niej w kuchni przy obiedzie. – Nienawiść jest zaraźliwa i prędzej czy później niszczy człowieka. Zuza nie jest zła, tylko postąpiła bezmyślnie i bardzo to przeżywa.

– Dlaczego to Adam ma płacić za jej bezmyślność i ja?

– Dobrze znam Zuzę i uwierz mi, że wolałaby zapłacić za to wszystko sama. Jedz, bo wystygnie. – Podsunęła Viktorii talerz z mielonym, ziemniakami i surówką z buraczków.

– Nie jestem głodna.

– To jedz przez rozum, lekarz każe. Zobacz, jak Wojtuś wcina. – Spojrzała miękko na synka, który z apetytem pałaszował kotleta. – Pokarmimy ciocię, synku?

– Ciocia jest duża – zauważył rozsądnie. – Dużych się nie karmi. Kiedy przyjdzie wujek Adam?

Niewinne pytanie dziecka wzmogło ból w sercu Viktorii.

– Nieprędko – odrzekła i zwróciła się do kuzynki: – Mogę zamówić od ciebie rozmowę do Lorelei? Zapłacę.

– Jak zjesz, to możesz, i nie chcę słyszeć o żadnym płaceniu. Po obiedzie zaprowadzę Wojtusia pobawić się do kolegi, mam dziś wolny wieczór, to sobie spokojnie pogadamy. Opowiesz mi szczegółowo, czego się dowiedziałaś wczoraj od adwokata. To niesamowite, że nie chciał pieniędzy. I wiesz co? – Zastanowiła się chwilę. – Po co masz mieszkać w tym pensjonacie? Przeprowadź się do mnie. Ulewicz i tak wraca we wrześniu, a tobie będzie raźniej z nami.

– Muszę tam zostać, ciągle mnie inwigilują, tylko tak, że rzadziej ich widzę. Poza tym przychodzi do ciebie Zuza, a jej nie mam ochoty oglądać.

Po obiedzie Lilka zaprowadziła synka do kolegi, więc mogły swobodnie porozmawiać. Usiadły w gościnnym pokoju, Lilka nalała po kieliszku koniaku, nastawiła płytę Dwa Plus Jeden.

Z głośników popłynęło *Windą do nieba*. Nostalgiczna ballada wzmogła melancholię Viktorii.

– Żałuję, że nie wzięliśmy z Adamem ślubu – mówiła zapatrzona w przestrzeń pokoju. Siedziała na kanapie obok Lilki, nogi podwinęła pod siebie. Kręciła kółka kieliszkiem z resztką alkoholu. – Teraz już na to za późno. Gdybym była jego żoną, przynajmniej coś by mi mówili i zostałabym tutaj. Pigułki też niepotrzebnie brałam. Może gdybym miała z nim dziecko, lżej byłoby mi wytrzymać te dziesięć lat rozłąki. Wiesz, jak to cholernie długo? Nawet nie będę mogła tu przyjechać, bo nie dadzą mi wizy. A co, jeśli skażą go na piętnaście? Boże... – Zacisnęła oczy.

– Nie wiem, jak cię pocieszyć. – Lilka pogładziła ją po ramieniu. – Może nie będzie tak źle, jak się teraz wydaje, ale dziecko zawsze pomaga utulić żal po tym, kogo się kochało albo wciąż kocha.

– Tobie pomogło?

– Co masz na myśli?

– Wojtuś jest dzieckiem Jerzego, mam rację?

Lilka dołała im koniaku, zmieniła płytę na Abbę i spytała obojętnym tonem:

– To aż tak widać?

– Ja widzę – odrzekła Viktoria w podobnym tonie. – Babcia ma na ścianie zdjęcie Jurka, jak był taki mały jak Wojtek. Są do siebie podobni, mają podobne ruchy. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego Jurek wkurzał się za każdym razem, kiedy się wspominało o tobie. To ciebie tak kochał.

– A ja jego. Niestety jesteśmy za blisko spokrewnieni, żeby wziąć ślub. Nawet cywilny. Dziwisz się, że zdarzyła się nam zakazana miłość? – Odwróciła się od gramofonu.

– Czy ja wiem? – Viki wzruszyła ramionami. – Miłość nie wybiera.

– Z początku bałam się tego uczucia, traktowałam je jak grzech. Przecież Jurek był dla mnie niczym rodzony brat. Rośliśmy razem w jednej chałupie w Nowosiólkach, razem głodowaliśmy w Workucie, wszystko robiliśmy razem. A kiedy przyjechaliśmy do Warszawy na studia, on ze Szczecina, ja z Wilna, nie dało się powstrzymać tego, co między nami wybuchło.

– Nikt się nie połapał?



– Nie obnosiliśmy się z tym, żeby nie gorszyć rodziny kazirodztwem – mówiła, przycupnąwszy na kanapie. – Tego nawet tolerancja Ostojańskich raczej by nie uniosła. Już widzę w akcji wuja Józka i moją matkę. Chybaby się pozabijali. Brnęliśmy więc w związek bez przyszłości, bo żadne z nas nie miało tyle sił, żeby to przerwać. Zdecydował los.

– Wojtek – stwierdziła domyślnie Viktoria. – Jerzy wie, że ma syna?

– Nie, i tak musi zostać. – W oczach i na twarzy miała stanowczość. – Spanikowałam, gdy odkryłam, że jestem w ciąży. Jurka dopiero zamknęli. Chciałam od razu usunąć, ale nie byłam w stanie. Ani usunąć, ani powiedzieć Jerzemu prawdy, żeby bardziej nie komplikować nam życia. Zmyśliłam, że wpadłam z innym, zerwałam z Jurkiem, zламаłam mu serce, ale Roman wiedział od początku, że jestem w ciąży. Nie wrobiłam go w dziecko.

– I zgodził się na ślub?

– Nawet poniekąd go potrzebował – odrzekła, upiwszy trochę alkoholu.

– To znaczy?

– Jest homoseksualistą, nie chciał, żeby prawda się wydała. To rzutowałoby na jego karierę i skazało na ostracyzm, a przede wszystkim chciał oszczędzić wstydu rodzicom. To prości ludzie ze wsi, wierzący. Wzięliśmy więc ślub, który każdemu z nas ułatwił życie. Teraz wiesz już wszystko. Zgorszona?

Viktoria znajdowała się w takim stanie ducha, że żadne rewelacje nie były w stanie nią wstrząsnąć.

– Najwyżej zaskoczona – odparła, bawiąc się guzikiem białej bluzki. – Ktoś jeszcze wie, że Wojtek nie jest synem twojego męża?

– Nie, tylko Romek, ja i teraz ty. I musisz to zachować wyłącznie dla siebie. Ufam ci, Viki.

– Mnie możesz, choć najtrudniej dotrzymać czyichś tajemnic. Ale jeśli zaczną się domyślać? Zobaczą podobieństwo? Choćby ciotka Krystyna albo nawet kiedyś Jerzy? Co wtedy zrobisz?

– Wszystkiemu zaprzeczę. Prawda nikomu w tym przypadku nie pomoże, zwłaszcza Wojtkowi. Ma stabilną rodzinę. Romek, nawet jeśli sobie z niego żartuję, mówiąc o nim Ulewicz, jest dobrym ojcem i ciepłym człowiekiem, naprawdę o nas dba i bardzo kocha Wojtka. Tylko w jednym przypadku przyznam się do prawdy. Jeśli będzie zagrożone życie Wojtka i będzie

potrzebował pomocy biologicznego ojca. Przemawia przeze mnie lekarz. – Zaśmiała się trochę sztucznie.

– Więc dlaczego mi o tym powiedziałaś? Mogłaś zaprzeczyć.

– Może dlatego, żebyś poczuła się lepiej? Nie ty jedna nie będziesz mogła być z mężczyzną, którego kochasz. Jeśli to, co cię łączy z Adamem, jest prawdziwe, nawet długa rozłąka wam nie zaszkodzi. Za dziesięć lat możesz też mieć dziecko. Ile będziesz wtedy mieć?

– W dziewięćdziesiątym? Trzydzieści pięć.

– Więc z biologicznego punktu widzenia nie będzie przeszkód, żebyś została mamą w tym wieku. Poza tym może dostanie krótszy wyrok, w ostateczności są amnestie. Kto wie, czy to, co teraz widzisz w czarnych barwach, za kilka lat nie okaże się tylko koszmarnym wspomnieniem.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała z nadzieją Viktoria.

– No jasne. – Lilka otoczyła ją ramieniem. – Przecież my w tej Workucie mieliśmy być dwadzieścia pięć lat. Na tyle skazano ojca i Józka. A w pięćdziesiątym piątym nastąpiła amnestia i pozwolono nam wrócić po pięciu. Myślisz, że wcześniej ktoś się tego spodziewał? Tak więc nie trać nadziei. Póki ją masz, choćby słabą, poradysz sobie. I musisz być silna, jesteś przecież z Ostojańskich. My nie poddajemy się tak łatwo. Poza tym twoja wiara, siła dodadzą otuchy Adamowi.

– Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałam takich słów. Dziękuję, Lilka. – Pocałowała kuzynkę w policzek.

– Do usług, od tego ma się rodzinę. – Tamta poklepała ją po kolanie. – Pójdę po Wojtka, zaraz dobranocka.

Niedługo później Wojtuś śmiał się w głos, oglądając *Wilka i zająca*. Podskakiwał przed telewizorem i wołał, przeżywając jakąś gonitwę w kreskówce:

– Uciekaj, zajączku, wilk cię nie złapie... – A potem naśladował głos wilka: – Nu zając, pogodi.

– Jak mało potrzeba do szczęścia takiemu dziecku – zauważyła Viktoria, pomagając Lilce przygotować kolację. Rozmowa z kuzynką, jak i sama jej obecność przyniosły pokrzepienie. W korytarzu zabrzmiał telefon.

– Odbierz, Viki, pewnie międzynarodowa do ciebie.

Podniosła słuchawkę, zamieniła z ojcem kilka słów, a potem Joachim spytał prosto z mostu:

– Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, ale skoro nalegasz, możesz coś podesłać. Widziałam się dziś z adwokatem, który będzie bronił Adama. – Powiedziała, co i jak.

– Za darmo? – W głosie Joachima zabrzmiało niedowierzenie. – Na pewno dobrze go zrozumiałaś? U nas takie rzeczy są nie do pomyślenia, żeby wynajęty adwokat pracował za darmo.

– Dobrze zrozumiałam, tylko że to wciąż sześć albo dziesięć lat. Liczyłam na uniewinnienie, ale dziś pozbyłam się złudzeń.

– Przykra sprawa, szkoda chłopaka, ciebie też – westchnął. W tle słyszała szczekanie psa. – Sigi chyba cię wyczuł. Viki, proszę, wróć już do domu. I tak więcej tam nie zdziałasz, a skoro wynajęłaś adwokata, on wszystkim się zajmie. Od tego napadu żyjemy z mamą w stresie, boimy się o ciebie. Chcieliśmy od razu przyjechać do Warszawy, ale odmówiono nam wiz. Babci też. I pewnie długo ich nie dostaniemy.

– Nie mogę teraz przyjechać. Kocham Adama i zrobię, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

– Głowa do góry, będzie dobrze. – Zmienił ton na pocieszający, choć jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Dzięki. A co u was? Jak mama? Wczoraj miały być wyniki, dlatego też dzwonię.

– Prócz tego, że bardzo się martwi o ciebie, na razie wszystko w porządku. Jest w Monachium u Klause, bo miała kontrolę w klinice. Przerzutów nie ma, jeszcze trochę i chyba zapomnimy o raku.

– To bardzo dobra wiadomość. A Peter?

– Wciąż w Monachium, pracuje na budowie i już żyje mistrzostwami Europy w piłce nożnej. Wybiera się w czerwcu do Włoch na mecze i jest przekonany, że Niemcy zdobędą mistrzostwo.

– Fanatyk, dobrze, że nie ma innych problemów.

– Zadeklarował, że jeśli wygramy, od nowego roku pójdzie na studia. Chyba pozbył się złudzeń, że go wezmą do Bayernu. Wybiera się na budownictwo, żeby, jak powiedział, ktoś potrafił porządnie zbudować ten przyszły dom. Wyobrażasz sobie? Nasz Peter i taka zmiana? Chyba wreszcie zaczął dorastać.

– Raczej sobie wykalkulował, ile może zarobić przy tym domu, Adam miał zrobić projekt... – Reszta słów uwięzła jej w gardle.

– Viki, proszę, nie bądź taka smutna, wszystko jakoś się poukłada.

– Próbuję w to wierzyć. Będę kończyć, żeby nie narażać Lilki na koszty. Pozdrów wszystkich.

– Pozdrowię i uważaj na siebie, córcia. Wyślę ci pieniądze, żebyś miała na wszelki wypadek. Pamiętaj, że my też ciebie kochamy.

– Wiem, tato, a ja was. Nie martwcie się, nie jestem tu sama, pa.

Ledwo odłożyła słuchawkę, w całym mieszkaniu zgasło światło.

– Znow dwudziesty stopień zasilania. – Lilka spojrzała przez okno. – Na całej ulicy ciemno.

Położyły spać Wojtka i resztę wieczoru spędziły przy świecach. Pograżone w rozmowie siedziały w kuchni, w szlafrokach, popijając herbatę, gdy przyszła Zuza. Miała zapasowy komplet kluczy, więc wśliznęła się cicho do mieszkania.

– Przyszłam tylko coś powiedzieć. Możesz mnie wysłuchać, Viki? – odezwała się, stojąc na progu kuchni.

– Coś powiedzieć? – wykrztusiła zduszonym szeptem. Gdyby nie śpiący w pokoju obok Wojtuś, inaczej by ją potraktowała. Stała naprzeciwko Zuzy i cedziła: – Co ty możesz mi powiedzieć? Co możesz powiedzieć Adamowi? Przez twoją bezmyślność, idiotko, niewinny człowiek spędzi w więzieniu najpiękniejsze lata. Zmarnowałaś mu życie i moje przy okazji też, więc nie masz nam nic do powiedzenia. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, nawet powietrza do oddychania. Albo ty stąd wychodzisz, albo ja.

– Ja. – Spokój Zuzy kontrastował ze wzburzeniem Viktorii. – Wiem, do czego doprowadziłam. Czuję się z tym podle. Postanowiłam, że pójdę do sądu i przyznam się, że ulotki i powielacz były moje.

– Dobrze, idź – odrzekła twardo Viktoria. – Ale najpierw skontaktuj się z adwokatem Adama, żebyś bardziej nie namieszała.

– Tak zrobię, tylko proszę, nie mówcie nic mojemu ojcu. To będzie trudne dla niego. Dowie się po fakcie. Kiedy jest rozprawa?

– W piątek o dwunastej. – Głos Viktorii zabrzmiał nieco łagodniej.

Tymczasem na trzy dni przed rozprawą matka Adama dostała wreszcie zgodę na widzenie z synem. Umówiły się nazajutrz z samego rana przed bramą aresztu. Viktoria przygotowała paczkę i grubo przed ósmą czekała na panią Zofię, spacerując tam i z powrotem wzdłuż muru. Lało jak z cebra

i na ulicy robiły się kałuże. Porywisty wiatr szarpał parasolką na wszystkie strony. Viktoria od czasu do czasu rozglądała się, czy nie ma za sobą ogona, ale niczego podejrzanego nie dostrzegła. Przyłgnęła do muru, żeby osłonić się od wiatru, i czekała.

Pani Dońska przysłała przed ósmą zdyszana od prędkiego marszu. Skromna, po pięćdziesiątce, niewysoka, w szarym płaszczyku przemokniętym od deszczu. W oczach koloru głębokiej wody, jak u Adama, widniała rozpacz.

– Dziękuję, że pani mnie powiadomiła – odezwała się miło Viktoria, ale kobieta miała surową minę.

– Po co on cię spotkał? – zapytała z wyraźnym wyrzutem. W jednej ręce trzymała wypchaną torbę, w drugiej powyginaną parasolkę. – Gdyby nie ty, nic by się nie stało. Taki dobry syn. Wsadzą go na piętnaście lat... – Zaszlochała, odwróciwszy głowę w bok.

– Wiem, co pani czuje, bo czuję to samo, to straszne, co się stało, nie umiem się z tym pogodzić, ale adwokat będzie się starał o zmniejszenie wyroku... – Viktoria zrobiła gest, żeby pogładzić kobietę po ramieniu, ale tamta się uchyliła.

– Zmniejszenie – powtórzyła z goryczą. Oczy miała czerwone od łez. – Do dziesięciu lat. To i tak szmat życia. Co on potem zrobi? Z pracy już go wyrzucili. Gdzie dostanie robotę z takim biletem, gdy wyjdzie? Jesteś młoda, wyjedziesz stąd, zapomnisz o nim i ułożysz sobie życie z kimś innym, a on zmarnuje swoje za kratami.

– Nigdy go nie zostawię, nawet jeśli wyjadę.

– Teraz tak uważasz i może nawet to prawda, ale młodość ma swoje prawa. Co z oczu, to i z serca. Zostaw go w spokoju. Lepiej, żeby teraz bolało go rozstanie, niż miałby się łudzić fałszywą nadzieją, że będziesz na niego czekać przez piętnaście lat. – Obrzuciła ją ciężkim spojrzeniem.

– Nigdy go nie zostawię – oświadczyła, wciskając pani Zofii paczkę. – Proszę to dać Adamowi. Trochę jedzenia, kawa, kosmetyki. Nie pozwalają mi przekazywać mu paczek...

– Mam dla niego paczkę.

– Niech pani weźmie też moją i powie Adamowi, że tu jestem, że przychodzę cały czas.

– Wiem, co mam powiedzieć mojemu synowi, a ty lepiej stąd idź – oświadczyła sucho. Wzięła jednak paczkę, nacisnęła dzwonek i po chwili

zniknęła za bramą.

Viktoria czekała na Rakowieckiej, aż matka Adama wyjdzie z krótkiego widzenia. Nie trwało to dłużej niż pół godziny. Pani Zofia zdawała się jeszcze bardziej przygnębiona niż w chwili, gdy wchodziła do aresztu.

– Co z Adamem? Jak się czuje? – pytała gorączkowo Viktoria.

– Wygląda strasznie – chlipnęła kobieta. Cierpienie wykrzywiło jej rysy. – Jeszcze widać ślady bicia. Na brodzie ma blizny po szyciu. Pewnie dlatego nie mogłam go wcześniej zobaczyć. Rozmawiałam z nim dziesięć minut, a on pytał tylko o ciebie. Nic go nie interesowało, tylko ty.

– Naprawdę?

– Chciałam skłamać, że wyjechałaś, że go zostawiłaś, ale nie mogłam mu tego zrobić. Powiedziałam, że czekasz przed bramą. Czułam, że jeszcze tutaj będziesz. Nie wiem, jak się między wami potoczy, ale Adam naprawdę cię kocha.

– Ja jego też i przysięgam, że go nie zostawię, choćbym... – urwała, gdyż sama wizja wydawała się nazbyt przerażająca – choćbym naprawdę miała czekać piętnaście lat, ale to niemożliwe, żeby dostał taki wyrok. Poza tym są amnestie.

– Ten adwokat, o którym mówiłaś, jest dobry?

– Najlepsi. Nie każdy chce się podjąć takiej sprawy, nawet za pieniądze, ale mecenas Fiertek zgodził się za darmo. Proszę to wziąć. – Wyjęła z torebki kopertę i wcisnęła pani Zofii do ręki.

– Co to jest?

– Sto dolarów.

– Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy – powiedziała tamta stanowczo, odsuwając kopertę.

– Teraz, gdy Adam nie może pani pomagać, chciałabym to robić w jego zastępstwie i co jakiś czas przyślę pani pieniądze. Świadomość, że nie musi się martwić o panią i Magdę, na pewno przyniesie mu ulgę, a przecież nam obu o to chodzi. Zrobię choć tyle, skoro nie mogę więcej.

– Ja naprawdę nie mogę – protestowała pani Zofia. – Paczkę od ciebie zabrali strażnicy. Pewnie sami wszystko zjedzą.

– Mniejsza o paczkę, ale proszę nie odmawiać. To dla mnie bardzo ważne.

– No... dobrze. – Pani Dońska w końcu wsunęła kopertę do torebki. – Będę odkładać dla Adama, żeby miał zabezpieczenie na przyszłość, a my

z Magdą sobie poradzimy. Przepraszam, że byłam dla ciebie niemiła. To nerwy.

– Proszę nie przepraszać. – Viki pogładziła ją po ramieniu. – Wiem, co pani czuje. Kocham Adama inaczej niż pani, ale tak samo mocno.

– Przyjdiesz jutro do sądu?

– Nie mogłabym nie przyjść.

Pomimo że przysłała do sądu pół godziny wcześniej, nie widziała Adama. Musieli go wprowadzić na salę wejściem dla aresztantów, a rozprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami. Ubrana w szarą garsonkę, spacerowała nerwowo tam i z powrotem długim korytarzem. Do drzwi sali rozpraw nie mogła podejść zbyt blisko, gdyż wejścia pilnowali milicjanci. Kilku siedziało na korytarzu. Dostrzegła też Izę, skuloną na krześle pod oknem, ale udawały, że się nie znają.

Zamiast mecenasa Fiertka na pierwszej sprawie bronił Adama adwokat z urzędu. Mecenas pojawił się jednak w sądzie i rozmawiał w holu z roztrzęsioną panią Dońską, która raz za razem unosiła chusteczkę do oczu.

– Niestety nie dostałem akt sprawy – tłumaczył półszepem. – To było poniekąd do przewidzenia, ale zaraz po rozprawie wystąpię ponownie o akta. Będziemy się odwoływać od wyroku pierwszej instancji, wtedy możemy coś ugrać.

Naraz z załomu korytarza wyłoniła się Zuza, ubrana jak na egzamin, i zdecydowanym krokiem podeszła do mecenasa.

– Można pana prosić na słowo? – zapytała. Odeszli na bok, Viktoria także się do nich zbliżyła. Zuza w kilku słowach przedstawiła prawnikowi, w czym rzecz. – Chcę się do wszystkiego przyznać.

Fiertek zdjął z nosa okulary, przez chwilę wycierał szkła szmatką i rozważał coś w skupieniu, a potem odezwał się półgłosem:

– To uczciwe z pani strony, jednak oczyszczenie oskarżonego z posiadania materiałów zakazanych nie zmienia faktu, że odpowie za spowodowanie uszczerbku na zdrowiu funkcjonariusza. Niemniej może to rzutować na wymiar łącznej kary. Wrócimy do tematu, gdy złożę odwołanie od dzisiejszego wyroku.

– Dobrze, dziękuję. – Kiwnęła głową i usiadła na wolnym krześle obok Izy.

Ze schodów niósł się szmer rozmów prowadzonych po angielsku, kroki i jakieś szelesty. Po chwili Viktoria zobaczyła kolegów z zachodnich stacji; z kamerami, magnetofonami i mikrofonami gotowymi do pracy. Razem dziesięć osób. Wzbudzali zainteresowanie wśród ludzi czekających w holu.

– Skąd się tu wzięliście? – zapytała po angielsku, zbliżywszy się do dziennikarzy.

– Przyszliśmy cię wspierać i zrobić relację z procesu... – zaczął nieco starszy kolega z włoskiej telewizji. Nie dokończył, gdyż podeszło do nich trzech milicjantów.

– Dziennikarzom wstęp wzbroniony, rozejść się, opuścić budynek – nakazywali jeden przez drugiego i rozłożywszy ramiona, spychali tamtych ku schodom.

– Mamy akredytacje... – próbował tłumaczyć łamanym polskim jeden z Francuzów, pokazując dokument, ale mundurowi byli niewzruszeni.

Wtem jak spod ziemi wyrósł przy nich także Mazurek. Widać wcześniej zasadził się gdzieś w pobliżu i płynnym angielskim perswadował przybyłym, że powinni opuścić gamach sądu.

– Drodzy państwo, przyjaciele, bardzo proszę nie utrudniać pracy wymiaru sprawiedliwości, bardzo proszę, wychodzimy – mówił ugrzeczniomy do tamtych. Gdy zawiedzeni dziennikarze, odprowadzani przez milicjantów, schodzili z piętra, zwrócił się ostro do Viktorii:

– Ty ich tu ściągnęłaś?

– Nie, skąd. Pewnie dowiedzieli się z wokandy.

– Uważaj, bo jeszcze bardziej sobie zaszkożysz. Ciebie też nie powinno tu być.

– Tutaj akurat powinnam być.

– Twój wybór. – Machnął jej ręką i poszedł za tamtymi.

Rozprawa trwała już przeszło godzinę. Upłynął może z kwadrans, gdy drzwi sali otworzyły się i wyprowadzono Adama w asyście milicji. Ścisnęło jej się serce, gdy go ujrzała pomiędzy tamtymi. Wychudły, w drelichowym ubraniu, ostrzyżony do gołej skóry, skuty kajdankami, na brodzie miał ślad po szyciu.

– Adaś, kochany! – Od razu do niego podbiegła.



– Viki! – zawołał i patrzył tylko na nią, gdy tamci prowadzili go pod rękę korytarzem.

Chłonęli się wzrokiem, jakby nagle zmienił się czas oraz przestrzeń i znów znaleźli się nad urwiskiem koło Lorelei.

– Puśćcie mnie! – Próbowwała się przecisnąć między funkcjonariuszami, żeby go chociaż dotknąć, przytulić, ale ją odpychali podobnie jak Izę. Z tyłu biegła pani Zofia.

– Synku, syneczku... – Szloch tłumił dalsze jej słowa.

– Dostałem piętnaście lat, wiozą mnie do Barczewa... – rzucił, wyciągając głowę ponad milicjantów.

– Złożymy apelację, mamy dobrego adwokata – pocieszała Viktoria, truchtając obok eskorty mundurowych. – Nie zostawię cię...

To były ostatnie słowa, jakie zdążyła wypowiedzieć, bo w tym samym momencie bezwzględni strażnicy wprowadzili Adama do jakiegoś pokoju i zatrzasnęli przed nią drzwi. Ból przeszył jej serce.

## Rozdział XXII

### Mąż i żona

Ze względu na urlopy termin rozprawy apelacyjnej wyznaczono dopiero na dwudziesty lipca. Mecenas Fiertek, który oficjalnie został obrońcą Adama, zdecydował się powołać na świadka Zuzannę. Tak jak przypuszczał adwokat, Viktorii nie wezwano do sądu, czym bardzo się denerwowała. Wciąż także nie dostała zgody na widzenie, choć mecenas robił, co mógł, aby takową uzyskać. Pani Dońska mogła widywać syna dwa razy w miesiącu. Viktoria jeździła więc do Barczewa pożyczonym od Lilki maluchem, żeby zobaczyć się z matką Adama i przekazać dla niego paczkę.

– On się załamał... – mówiła zdruzgotana pani Dońska, gdy spotkały się pod więzieniem w początku czerwca.

– Dlatego musimy być dla niego silne. – Viktoria próbowała dodać otuchy jej i sobie. – Niech mu pani nie pokazuje łez i powie, że bardzo za nim tęsknię.

Sama rzuciła się w wir pracy, żeby nie oszaleć ze zdenerwowania. Trochę pomagało.

Druga połowa czerwca przyniosła wygraną RFN w mistrzostwach Europy w piłce nożnej, więc Peter nie posiadał się z radości.

– Tylko że, cholera, muszę iść teraz na studia – narzekał, gdy niedawno rozmawiali przez telefon. – Klaus mówi, że dobry inżynier może nieźle wyciągnąć. Jak myślisz, ile z tych trzystu tysięcy mógłbym dostać za doprowadzenie budowy tego domu dla wszystkich? Będzie wielki.

– Czy dla ciebie liczy się tylko kasa, Peter?

– Każdy ma swoją miłość, ty Adama, a ja kasę – zażartował. – Fajne laski też lubię, ale nie świruję z ich powodu. Słuchaj, twoje autko mchem zarasta. Jurek czasem je odpala, żeby silnik nie zardzewiał. Dasz mi nim trochę pojeździć, zanim sobie coś kupię? Tylko kwiatki przemaluję. Na piłki na przykład.

– Przemaluj – odrzekła obojętnie. Najmniej ją teraz obchodziły jakieś kwiatki.

– Serio? Jesteś w dechę! – Wprost kipiał entuzjazmem. – Przyjechałbym do ciebie, ale nas uziemili. Starsi drugi raz złożyli wniosek o wizy i znowu bez skutku. A ty jak się trzymasz, siostra? – W pytaniu zabrzmiała troska. – Widziałas się w końcu z Adamem?

– Jeszcze nie, ale jakoś daję radę. Nie mam innego wyjścia – odparła i była to jedyna prawdziwa odpowiedź, jakiej mogła udzielić.

Zaczęły się upały, wieszczące gorące lato. Przy saturatorach, które pojawiły się na ulicach, ustawiali się amatorzy wody z sokiem malinowym. Kolejki pod sklepami, gdzie coraz mniej można było kupić, zrobiły się jeszcze dłuższe niż wcześniej. W parkach i na skwerkach w czynnie partyjnym urządzano rabaty albo kładziono płytki chodnikowe. Dzieci okupowały miejskie baseny, wycieczki kolonistów zwiedzały Pałac Kultury. Toczyło się zwyczajne życie u progu wakacji.

Z początkiem lipca rząd wprowadził podwyżki na mięso i przez kraj przetoczyła się fala strajków. W związku z tym Viktoria miała więcej roboty, podobnie jak pozostali dziennikarze zachodnich stacji. Od rana do wieczora w agencji DPA pracowały teleksy i maszyny do pisania.

– Lepiej, żebyś używała terminu „nieuzasadnione przerwy w pracy” – powiedział Mazurek, kiedy Viktoria wpadła do Interpressu, żeby odebrać swój wczorajszy tekst o strajku w Ursusie. Trzysta dolarów łapówki niczego nie zmieniło w ich relacji. Oboje udawali, że fakt nie zaistniał. Rafał nawet bardziej niż przedtem ingerował w jej artykuły. – Nie ma mowy o żadnych strajkach.

Miała na końcu języka, że wystarczy, aby wyszedł na ulice i pojechał do Poznania, Mielca, Siedlec, Gdańska, dokąd jeździli jej koledzy, ona zresztą też, a wtedy się przekona, jak wyglądają te nieuzasadnione przerwy w pracy, ale się powstrzymała.

– Dobrze, skoryguję – odrzekła ugodowo.

– Podobno jeździsz do Barczewa? – ni stwierdził, ni zapytał. Fakt, że Mazurek o tym wie, wcale jej nie zdziwił.

– Jeżdżę tam prywatnie. Nie mam zakazu poruszania się po kraju. Robię coś złego?

– Tego nie powiedziałem.

Miała w zanadrzu jeszcze jedną sprawę, więc spytała prosiącym tonem:

– Rafał, da się coś zrobić, żebym mogła zostać dłużej w Polsce?

– Wszystkie formalne możliwości zostały wykorzystane. – Rozłożył ręce i przyglądał jej się, przechyliwszy lekko głowę.

– Formalne?

Wstał zza biurka i podszedł do niej blisko. Poczula na karku dotknięcie jego palców, czemu towarzyszyła jednoznaczna propozycja wyartykułowana znaczącym półszepem:

– Może wypijemy wieczorem kawę w Victorii?

W odpowiedzi wstała i trzasnęła go w twarz.

– Jesteś kanalią – wycedziła. – Człowiekiem bez honoru. Mój pradziadek, oficer polskiego wojska, kazałby cię zastrzelić. Możesz zameldować swoim szefom, że cię uderzyłam, albo już to usłyszeli. Najwyżej trafię do więzienia i zostanę tutaj. A jeśli przyjdzie ci do głowy zadzwonić, żeby cofnięto mi wizę już dziś, powiem, że wzięłaś ode mnie trzysta dolarów łapówki. Nie jestem taka naiwna, jak ci się zdawało, mam nagranie, wysłałam je do Niemiec – skłamała bez mrugnięcia okiem. – Więc nie wchodź mi w drogę, dopóki tu jestem.

Chwyciła torebkę, maszynopis i zostawiwszy kompletnie zszokowanego, purpurowego na twarzy Mazurka, wymaszerowała z gabinetu.

Złość towarzyszyła jej przez całą drogę na Saską, dokąd jechała zatłoczonym niemiłosiernie autobusem. W biurze stukała energicznie w maszynę do pisania, poprawiając tekst o strajkach. Pochłonięta pracą nie spostrzegła, że Renate od kilku minut przygląda jej się zza sąsiedniego biurka.

– I taka mi się podobasz – odezwała się tamta. Viktoria przerwała klepanie w klawisze.

– Taka zła?

– Raczej taka dynamiczna. W życiu nie zawsze układa się tak kolorowo, jak byśmy chcieli, lecz jeśli podejdziesz do przeciwności jak do wyzwania, znajdziesz w sobie siłę, żeby się z nimi zmierzyć.

– Mam przeskoczyć więzienny mur, bo czasu przecież nie cofnę?

– Kiedy tutaj przyjechałam w sześćdziesiątym piątym, nie znałam słowa po polsku. Strasznie mnie denerwowało, że nie mogłam sama przeczytać „Trybuny Ludu” ani słuchać kazań Wyszyńskiego bez pomocy tłumaczy, którzy zresztą byli gnębieni, sama wiesz przez kogo. Nauczyłam się więc języka. Z gramatyką mam na bakier, ale po polsku potrafię się dogadać

i rozumiem, co do mnie mówią. Swoją drogą Polacy nie przestają mnie zadziwiać. – Napisała coś na karteczce i podsunęła ją Viktorii: „sąsiad, który nas ostrzegł przed bezpieczeństwem”, odczytała po cichu dziewczyna. – Mecenas broniący za darmo. W Niemczech to nie do pomyślenia.

Zadzwoił telefon i Renate poszła odebrać.

– Marion do ciebie – powiedziała, dodając szeptem: – Lepiej rozmawiajcie po francusku.

– Marion? – powtórzyła zdziwiona. Szefowa pierwszy raz do niej zadzwoniła. Zawsze telefonował naczelny.

– *Bonjour*, Marion – odezwała się po francusku, biorąc słuchawkę.

– *Bonjour*, Viktorio. – Hrabina od razu połąpała się, w czym rzecz. – Miło cię słyszeć.

– Jestem zwolniona z pracy? – zapytała o pierwszą kwestię, jaka przyszła jej do głowy, skoro hrabina zadzwoniła osobiście. W tym momencie w słuchawce odezwał się męski głos:

– Kurwa, po francusku gadają, ja znam tylko niemiecki, dajcie kogoś z francuskim, migiem...

– To był rozsądny wybieg – zauważyła hrabina, nawet nie starając się tłumić wesołości. – Nie jesteś zwolniona. Miałaś przez chwilę słabszy zawodowo okres, co jest zrozumiałe w obliczu tego, co zaszło, ale jesteśmy z ciebie zadowoleni.

– Przecież nie przedłużą mi wizy i Ludwik też ostatnio dawał do zrozumienia, że zawiodłam.

– Ludwik bywa impulsywny. Od początku liczyliśmy się z tym, że cofną ci akredytację. Myśleliśmy, że stanie się to prędzej, niż nastąpiło w rzeczywistości, tak więc nie przejmuj się. Telefonuję, żeby cię powiadomić, iż twój tekst o sierotach wschodniopruskich zdobył wyróżnienie w Pokojowej Nagrodzie Księgarzy Niemieckich. Gratuluję, Viktorio, to zaszczyt na początku twojej kariery.

– Naprawdę? – zapytała, nie czując radości. W innej sytuacji skakałaby pod sufit, lecz teraz stać ją było na blady uśmiech.

– Tak. Mamy też dla ciebie propozycję, pomówimy o tym, gdy wrócisz. Nie odrywam cię dłużej od pracy. Do zobaczenia.

– Dobre wieści? – zagadnęła ją po francusku Renate, gdy rozmowa się skończyła.

– Dostałam wyróżnienie – powtórzyła wiadomość od Marion. – Wolałabym niczego nie dostać albo wszystko oddać, żeby tylko Adam wyszedł z więzienia.

– Kiedy druga rozprawa?

– Za dziesięć dni.

– Zgody na widzenie wciąż nie dostałaś?

– Niestety, choć adwokat robi, co może.

– Weź więc sprawy w swoje ręce. Słyszałam takie polskie powiedzenie – odrzekła Renate, przysiadłszy biodrem na wyłożonym gazetami biurku. – „Gdzie diabeł nie może, tam babę pošlę”. Czemu sama nie pojedziesz do naczelnika więzienia, zamiast składać wnioski na piśmie? Wymyśl jakiś wiarygodny pretekst i jedź. Najwyżej się nie uda, ale nie zaszkodzi spróbować.

Krew w niej zawrzała. Że też sama nie wpadła na tak prosty pomysł! Naraz odzyskała dawną jasność umysłu i przypomniała sobie rozmowę z Fredrikiem.

– Przecież w Barczewie siedzi Koch, zupełnie wyleciało mi to z głowy – mówiła podekscytowana. – Pojadę do dyrektora i oficjalnie poproszę o wywiad, a przy okazji załatwię swoją sprawę.

– Zaczynasz przekuwać przeciwności w działanie – odparła z zadowoleniem Renate. Włożyła do torebki notatnik i znów przeszła na francuski. – Idę na wywiad do Kani. Czuję, że zostanie następnym pierwszym sekretarzem. Gierek robi się zbyt pasywny. A ty skończ artykuł i jedź jutro do Barczewa.

Nazajutrz z samego rana była już w drodze w Olsztyńskie. Prócz paczki dla Adama, drobnych upominków, które mogłyby ułatwić sprawę, wiozła nadzieję, że go wreszcie zobaczy, i jeszcze coś, co nabyła wczoraj na bazarze Różyckiego. Od jakiegoś czasu majaczył jej w głowie ten pomysł, który postanowiła zrealizować.

Lało przez całą podróż, ale na drodze nie było dużego ruchu, więc dotarła do Barczewa grubo przed jedenastą. Wysoki betonowy mur okalający więzienie do złudzenia przypominał ten berliński. Zaparkowała pożyczonego od Lilki malucha w pobliżu bramy.

– Jestem z niemieckiej gazety w sprawie wywiadu z Erichem Kochem, proszę mnie zaprowadzić do naczelnika – powiedziała strażnikowi, pokazując legitymację w okienku.

– Gwiazdor z tego Kocha. Była paniusia umówiona? – spytał tamten, lekko zaciągając z wileńska. Starszy, pucułowaty, sprawiał wrażenie ospałego.

– Właśnie mam zamiar się umówić, jestem przejazdem.

– Naczelnik nie przyjmuje bez umówienia, że też chciało się paniusi w taką pogodę fatygować na darmo. Łeb człowiekowi w środku dnia leci.

– Proszę wypić mocnej kawy, pomoże. – Usiłowała wciągnąć gadułę w rozmowę.

– Ba, kiedy wyszła, a paniusia jak na Niemkę dobrze po naszymu gada.

– Moja rodzina pochodzi z Wileńszczyzny.

– To i ja z tamtych stron. Świąciany, a paniusi rodzina skąd?

– Z Wilna. – Uśmiechnęła się miło, żeby zjednać strażnika. – Tak się składa, że mam dwie kawy, i chętnie się z panem podzielę, żeby się pan nie męczył na służbie. – Wyjęła z torby opakowanie jacobsa.

– Co paniusia? – Tamten szeroko otworzył oczy i obejrzał się za siebie.

– Jesteśmy przecież krajanami, proszę pić na zdrowie i zapytać naczelnika, czy mnie przyjmie.

– Zaczeka tu, zadzwonię. – Zamknął okienko w stalowej bramie. Nie upłynęło parę minut, kiedy otworzyły się drzwi bramy i pojawił się w nich ten sam strażnik. – Ma paniusia szczęście, naczelnik przyjmie. Zaraz ktoś przyjdzie i zaprowadzi – zakomunikował i dyskretnie przejął podaną kawę.

Chwilę później inny strażnik prowadził ją do naczelnika. Szare, ponure gmaszyska więzienia przyprawiły Viktorię o ciarki. Myśl, że za którymś z tych mnóstwa brudnych, zakratowanych okienek jest Adam, razem z jakimiś bandytami, sprawiała, że ścisnęło jej się serce.

Z początku starała się panować nad sobą podczas rozmowy z naczelnikiem. Szpakowaty mężczyzna w średnim wieku, o surowej twarzy i takim samym spojrzeniu, wzbudzał respekt. Grafitowa koszula opinała muskularny tors, marynarka zdawała się zbyt ciasna w ramionach. Nie jest dobrze, denerwowała się Viktoria, siedząc po drugiej stronie biurka w ponurym gabinecie. Przedstawiając oficjalny cel wizyty, czuła, jak się poci z emocji.

– Osadzony Koch nie spotyka się z dziennikarzami – sucho obwieścił naczelnik.

– Chodzi mi również o wywiad z panem, nie tylko z Kochem. Jak inni więźniowie traktują zbrodniarza wojennego? Czy w ogóle wiedzą, że tu jest?

– Nie udzielam wywiadów. O moich ewentualnych rozmowach z dziennikarzami decydują przełożeni w Warszawie. Dla pani wiedzy mogę tylko powiedzieć, że osadzony nie spotyka się z innymi więźniami, ma osobną celę. Kojarzę pani nazwisko. – Nieznaczny ruch brwi ożywił lekko kamienną dotąd twarz mężczyzny. Sięgnął po segregator z szafy na dokumenty i przewertował akta. – Sześć wniosków o widzenie z osadzonym Dońskim.

Nie zważając już na nic, postawiła wszystko na jedną kartę. Była gotowa błagać tamtego, żeby nie odprawił jej z kwitkiem. Puściły trzymane emocje i wystrzeliła potokiem słów, nie panując nad łzami.

– Czy kochał pan kiedyś tak, że nie mógł oddychać? Ja właśnie tak kocham Adama. To mój narzeczony, błagam, niech mi pan pozwoli na widzenie. On nic nie zrobił, tylko mnie bronił, dlatego tu jest. Adam to najuczciwszy i najwspanialszy człowiek na świecie, inżynier, a siedzi z pospolitymi przestępcami. Umieram ze strachu o niego. Niedługo muszę stąd wyjechać i może nie zobaczę go przez piętnaście lat. Kupiłam nam nawet to – wyjęła z torebki pudełeczko i położyła na biurku – żeby wiedział, że będę na niego czekać. To pomoże mu wytrwać, a to przecież najważniejsze. Proszę pozwolić, abym mogła mu to dać sama. Potrafię się odwdzińczyć – ciągnęła, wykładając na biurko wczorajsze zakupy z Peweksu: kawę, koniak, całą ramkę marlboro, czekolady, na końcu kopertę, do której włożyła wcześniej sto dolarów. Nie przestawała mówić: – Proszę dać nam chociaż dziesięć minut na spotkanie. Czym jest głupie dziesięć minut w obliczu piętnastu lat, przez które możemy się nie zobaczyć?! Jest pan przecież człowiekiem! – Zakończyła prawie na jednym tchu i otarła palące łzy z policzków.

Naczelnik siedział jak mumia, przebierając palcami po blacie. Chwilę świdrował ją wzrokiem, nim zajrzał do pudełeczka. Uniósł kącik ust w lekkim grymasie.

– Proszę to zabrać. – Przesunął w jej stronę wyłożone rzeczy. Do koperty nawet nie zajrzał. – Umówmy się, że pani tego nie dała, ja tego nie



widziałem. Próba przekupienia funkcjonariusza może się źle skończyć. Otrzymałem sugestię, aby nie wyrażać zgody na pani widzenia z osadzonym.

– Sugestię? – powtórzyła zrezygnowana, że nic nie wskórała. – Od kogo?

Przychodził jej do głowy Mazurek, a może stał za tym Józwiak albo prokurator?

– Nieistotne. Sugestia to jednak nie polecenie na piśmie. Wbrew pozorom jestem również człowiekiem. Podoba mi się pani determinacja, więc ten jeden raz zrobię wyjątek. Pod warunkiem, że nie będzie się pani głośno chwalić. Macie kwadrans. A to – wskazał oczami na pudełeczko – osadzony będzie musiał później przekazać do depozytu. Paczkę, bo widzę, że pani ją przyniosła, może zachować. Proszę tam zaczekać. – Wskazał sąsiednie drzwi.

Chwilę później siedziała jak na szpilkach przy stoliku w pokoju, który wyglądał jak sala do specjalnych widzeń czy przesłuchań. Prawie nie odrywała oczu od drzwi; zaraz zobaczy ukochanego. Gdy zachrobotał zamek i jakiś strażnik wprowadził do środka Adama, ubranego w więzienne drelichy, rzuciła się nań i porwała w ramiona, nie czekając, aż funkcjonariusz zdejmie mu z rąk kajdanki.

– Adaś, kochany... – Zasypywała go pocałunkami, na przemian śmiejąc się i płacząc.

– Viki... nawet w snach się nie... spodziewałem... – Głos mu się lekko łamał i lśniły oczy, wielkie jak nigdy. – Nie wierzę, że to naprawdę ty.

Strażnik rozkuł Adama, po czym stanął przy ścianie. Nie zważając na jego obecność, zaczęli się całować, tulić, nie mogąc się od siebie oderwać. Obejmował ją tak mocno, że prawie wtapiała się w niego i czuła, jak łomoce mu serce.

Dopiero gdy minął szła powitania, mogli jako tako pomówić. Usiedli naprzeciw siebie, wciąż trzymając się za ręce i chłonąc wzrokiem. W oczach Adama, prócz bezkresnej miłości, widziała też strach.

– Zostanę tu piętnaście lat... – zaczął.

– Nie – przerwała, gładząc go czule po policzku. – Adwokat mówił, że dziesięć lub sześć albo nawet mniej. Poza tym są amnestie. Jerzy też wyszedł prędzej z więzienia dzięki amnestii. Mecenas Fiertek powiedział, że kiedy wyrok się uprawomocni, złoży wniosek do Rady Państwa o prawo

łaski dla ciebie, więc jestem pewna, że wyjdiesz prędej. Może nawet za rok.

– Dzień bez ciebie to wieczność. – Pochylił lekko głowę. Widziała, jak starał się być silny. Znow poczuła ból w sercu, że to ich spotkało, ale przewyciężyła słabość. Adam bardziej potrzebował otuchy.

– Bez ciebie też, kochanie, ale damy sobie z tym radę – przekonywała, ściskając jego rękę. – Będziemy do siebie pisać długie listy. Przed nami całe życie, Adaś, piękne życie. Będziemy się kochać, kłócić, godzić i znow kłócić. W naszym Lorelei, bo tam zamieszkamy. I zabierzesz mnie wreszcie w Bieszczady. Chcę je odkryć z tobą, więc póki tu jesteś, możesz obmyślić najpiękniejsze trasy. Poza tym musisz zaprojektować nowe Ostojanya. Przywiozłam ci w paczce kilka szkicowników, ołówki, chyba pozwolą ci rysować. A kiedy będzie ci bardzo źle, popatrz na nasze zdjęcie na skale i przypomnij sobie, jak siedzieliśmy tam pierwszy raz. Albo jeszcze lepiej, pomyślmy o sobie co wieczór o dziesiątej, jakbyśmy się spotykali na randce. Aż przyjdzie taki dzień, że znow będziemy razem. Każdy kolejny skraca ten czas. Tylko wytrzymaj. Nie wolno ci się poddać, choćby nie wiem co. Wiem, że tobie tutaj będzie znacznie trudniej niż mi, ale to minie, ani się obejrzymy. Będę na ciebie czekać.

– Naprawdę? – Wbił w nią pełne napięcia spojrzenie.

– Tak. Tyle, ile trzeba, przysięgam. Będę cię kochać aż do śmierci, nawet jeśli nie pozwolą nam się widzieć przez jakiś czas, jesteś tutaj na zawsze – odrzekła, dotykając ręką serca.

Wyjęła z pudełeczka złotą obrączkę i wsunęła ją Adamowi na palec.

– Co robisz? – Patrzył zdezorientowany to na nią, to na swój palec z obrączką.

– Właśnie się z tobą ożeniłam. W czwartek, dziesiątego lipca o trzynastej dziesiątej – doprecyzowała, spojrzawszy na zegarek.

– Chyba „wyszłam za ciebie”? – poprawił ją odruchowo i przez chwilę był dawnym Adamem.

– Nie kłóć się w takim momencie o słowa, przecież to nasz ślub. – Wysunęła ku niemu serdeczny palec. – Na co czekasz? Ożenisz się ze mną w końcu, panie Doński?

– Niech ci będzie, wariatko. – Starzał się panować nad sobą, ale widziała, że jest wzruszony. Wyjął drugą obrączkę i wsunął ją Viktorii na palec.

Pocałował ją w rękę i wziął jej dłoń w swoje. – No to klamka zapadła, pani Dońska. Ty naprawdę jesteś stuknięta.

– Bo związałam się z narwanym głupkiem. – Wytarła pełne łez oczy i spojrzawszy na strażnika, dodała: – Pan jest naszym świadkiem, na najprawdziwszym i najpiękniejszym ślubie na świecie.

– To wbrew regulaminowi – odparł, patrząc łakomym wzrokiem na torbę z Peweksu, z której wystawał karton marlboro.

– A właśnie, znalazłam to przed bramą, widocznie komuś wypadło, pan będzie wiedział najlepiej, co z tym zrobić. – Wyjęła ze środka kopertę, resztę oddała tamtemu.

– W sumie jestem prawie po służbie, więc mogę być świadkiem. – Strażnik zmienił zdanie.

– No widzisz, kochany mężu, jak nam się zaczyna układać? – rzuciła i pocałowała Adama w usta. – Wuj Olek da nam drugi ślub, gdy przyjdzie czas. Ojciec nie darowałby mi, gdyby nie zaprowadził mnie do ołtarza. Urządzimy ślub na naszej skale. Muszę mieć białą suknię i długi welon.

– Może jeszcze wianek do tego? – rzucił kpiąco Adam.

– Oczywiście. Z niebieskich kwiatów. I chcę mieć dużo dzieci.

– Dużo, to znaczy ile? Drużynę piłkarską?

– Peter miałby kogo trenować – zaśmiała się przez łzy.

– Peter niech sam sobie zrobi własną drużynę. Dwójka nam wystarczy.

– Trójka. Obrączkę będziesz musiał oddać na przechowanie do depozytu, chyba że naczelnik się zgodzi, żebyś ją zatrzymał przy sobie. To ludzki człowiek. O mamę i siostrę nie musisz się martwić, zatroszczymy się o nie. Jak się czujesz, Adaś? – spytała na koniec, poważniejąc.

– Teraz już dobrze – odrzekł.

I naraz, nie wiadomo skąd, poczuł w sobie przedziwną moc, że wytrzyma to wszystko, przekłete więzienie, lata rozłąki, skoro Viktoria będzie na niego czekać. Nigdy w życiu w nic tak nie wierzył jak teraz w jej zapewnienia.

Patrzył na nią rozkochanym wzrokiem, chcąc zapamiętać każdy szczegół. Rozmazany tusz na rzęsach, rozpuszczone blond włosy, lekko pofalowane od wilgoci, rysunek kwiatków na białej sukience, migdałowy kształt oczu. Wciąż nosiła serduszko od niego i bransoletkę. I pachniała tak jak wtedy w winnicy.

Jak to możliwe, żeby cały świat, wszystkie pragnienia zmieściły się w jednej kobiecie, dumał, czując pod palcami jej gładką skórę.

– Naprawdę jesteś najpiękniejszą wizją z mojego snu, Viki. Moim życiem.

– A ty moją miłością zza żelaznej kurtyny.

– Jesteśmy teraz mężem i żoną.

– Na zawsze, w zdrowiu i w chorobie, szczęściu i nieszczęściu, dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

– Amen, pani Dońska.

## Rozdział XXIII

# Będę na ciebie czekać

W drugiej instancji Adama skazano na sześć lat za uszczerbek na zdrowiu, jaki poniósł funkcjonariusz. Z innych zarzutów został oczyszczony. Druga rozprawa, podobnie jak pierwsza, toczyła się za zamkniętymi drzwiami.

Czy to skład sędziowski, któremu przewodniczyła, jak mówił mecenas, w miarę bezstronna sędzia, czy zeznania Zuzy, która przyznała się do posiadania ulotek, ale za radą mecenasa twierdziła, że znalazła torbę z częściami powielacza na przystanku i włożyła do niej ulotki, czy może naprawdę los się wreszcie do nich uśmiechnął, ale zmniejszenie kary z piętnastu do sześciu lat zaskoczyło nawet mecenasa Fiertka.

A może zdecydowały zeznania Izy, która niespodziewanie także pojawiła się w sądzie jeszcze przed rozprawą.

– Proszę mnie wezwać na świadka. – Od razu podeszła do mecenasa. – Wszystko widziałam.

– Wszystko? – powtórzyła zaskoczona Viktoria.

– Zdziwiona? – rzuciła tamta. – Śledziłam was. Widziałam, jak was gonili, schowałam się za śmietnikiem. Robię to tylko dla Adama, nie dla ciebie. Nic nie mówiłam, bo chciałam, żebyś cierpiała, ale nie mogę znieść, że on będzie cierpiał.

– Wszystko, to znaczy co? – zapytał mecenas. – Czy słyszała pani wołanie „stać, milicja” albo „stać, Służba Bezpieczeństwa”? To może mieć znaczenie przy naszej linii obrony.

– Było samo „stać”, mogę przysiąc.

Może więc sąd wziął pod uwagę zeznania Izy i dlatego ostatecznie obniżył wyrok? Albo pomogło jeszcze coś innego? Na przykład różaniec, który nieprzerwanie odmawiała przed salą rozpraw Zofia Dońska, czy zdolności mecenasa Fiertka? Pewnie wszystko razem, uznała Viktoria.

Sześć lat to i tak długo, ale najważniejsze, że widziała w Adamie spokój i siłę, gdy wyprowadzili go z sali rozpraw. Karę miał odbywać w Barczewie. Chciała wierzyć, że nie spotka go tam większa krzywda niż to, że będzie za kratami.

Zuza z sali rozpraw trafiła wprost do aresztu. Wiedziała od samego początku, że tak właśnie może się stać, lecz się nie wycofała. Mimo złości Viktoria poczuła do niej szacunek.

– Dziękuję, że zdecydowałaś się powiedzieć prawdę – odezwała się do niej tuż przed rozprawą.

– Wolę siedzieć za kratami, niż pluć sobie w twarz do końca życia, że zachowałam się jak tchórz. Mam swój honor.

W sądzie, prócz Lilki, pojawił się także Maksymilian z Józkiem. Ten pierwszy jeszcze nie wiedział o decyzji córki.

– W takich chwilach rodzina powinna być razem – powiedział Józek, witając się ze wszystkimi. – Trochę się spóźniliśmy, ale Maks złapał gumę w tym swoim gruchocie, więc trochę nam się zeszło.

– Marysia też prosiła, żebyśmy przyjechali dodać ci otuchy, Viki – dodał Maksymilian. – Ile już trwa rozprawa?

– Drugą godzinę, niedawno wezwali na przesłuchanie Zuzę – powiedziała Viktoria.

– Moją Zuzię? Dlaczego? – Spojrzał na nią zdumiony.

– Przyznała się, że to były jej ulotki – wyjaśniła.

– Nie chciała, żebyś o tym wiedział przed rozprawą – dodała Lilka. – Zdawała sobie sprawę, jakim będzie dla ciebie ciosem, że pójdzie siedzieć. Mecenas Fiertek mówił, że za same ulotki może dostać do trzech lat, ale będzie jej bronił. Wolą, żebyś się nie denerwował zawczasu.

Pobladł, przyłożył rękę do ust i jak automat opadł na krzesło. Zastygł w bezruchu milczący, nieledwie otumaniony. Odzyskał nad sobą władzę, dopiero gdy kilka minut później dwóch milicjantów wyprowadziło z sali Zuzannę. Szła między nimi, ubrana na biało, jakby kroczyła na koronację. Pewna siebie, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową.

– Coś ty zrobiła? – Poszarzały na twarzy Maksymilian podszedł do córki, ale milicjant odgrodził go od niej ręką.

– To, co musiałam. Tak mnie wychowałeś, tato. Jestem z siebie dumna, ty też powinienes, i nie bój się o mnie, ja się nie boję – zdążyła mu

powiedzieć, nim poprowadzili ją za jakieś drzwi. Maks znów opadł na krzesło. Trzymał się ręką za serce.

– Pamiętam strach naszej mamy, gdy w trzydziestym dziewiątym jechaliśmy na wojnę, dopiero teraz wiem, co wtedy czuła – mówił, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Nigdy tak się nie bałem jak teraz.

– Weź pod język. – Józek usiadł przy zdruzgotanym bracie. Wyjął z kieszeni fiolkę, z której wydobył małą tabletkę. – Nitrogliceryna. Pomoże ci, ja też czasem biorę. A z córki możesz być naprawdę dumny. Zrobiłbyś to samo na jej miejscu. Prawdziwa krew Ostojańskich. Genów nie oszukasz.

– Przecież to moje jedyne dziecko, wszystko, co... mam...

– Co ty, Maks, beczysz? – spytał, widząc drgające ramiona brata.

Zuzanna za posiadanie ulotek została skazana na rok więzienia. Bronił jej mecenas Fiertek. Prokurator żądał trzech lat, ale sąd wziął pod uwagę, że sama przyznała się do winy, i orzekł niższy wyrok. Zawieźli ją do więzienia w Grudziądzu.

Viktoria co wieczór o dziesiątej szczególnie mocno myślała o Adamie. Może uległa sugestii, może tylko to sobie wmawiała, ale czuła wtedy jego bliskość. Nie mogli ponownie się zobaczyć, ewidentnie ktoś za tym stał, lecz dostali zgodę na korespondencję. Adam mógł do niej napisać jeden list w miesiącu, ona dwa. W pierwszym podała adres Lilki. Odpowiedzi wciąż nie było.

Za dnia pracowała jeszcze więcej, żeby ani na chwilę nie poddać się rozpacz, że czas do wyjazdu tak zastraszająco szybko mija. Nadal nosiła teksty do Interpressu, ale od tamtego incydentu więcej nie spotkała Mazurka. Podobno pojechał do Moskwy relacjonować olimpiadę, a później miał się udać na zaległy urlop.

Zastępował go stary, upierdliwy redaktor w wyświechtanych marynarkach, który jeszcze skrupulatniej cyzelował jej artykuły dotyczące pogarszających się nastrojów społecznych i kolejnych strajków.

Dziś też pastwił się nad jej tekstem. Przyszła odebrać poprawki, choć nie czuła się najlepiej, bolała ją głowa i gardło, chyba miała gorączkę.

– Nie, nie, nie, koleżanko. – Kręcił łysiejącą głową i czerwonym ołówkiem przekreślał poszczególne słowa. – Gdyby nastroje się pogarszały, jak pani tu pisze, towarzysz Gierek nie pojechałby na urlop na Krym.

Dobry gospodarz zawsze jest na miejscu, kiedy dzieje się coś niepokojącego, nieprawdaż?

Pojechał tam celowo, żeby pokazać Brezniewowi, że nic się nie dzieje i panuje nad sytuacją, odrzekła w myślach to, o czym rozmawiali wczoraj w ogrodzie na Saskiej w gronie kolegów.

– Koleżanka jest młoda i się na tym nie zna – uciął z wyższością.

– Dlatego przyjechałam tutaj się uczyć.

– Słabo poszła ta nauka, skoro za dwa tygodnie koleżanka wyjeżdża – podsumował złośliwie. Puściła mimo uszu tę uwagę.

Po pracy pojechała na Wyspiańskiego, żeby pożegnać się z kuzynką, która zamierzała spędzić z Wojtusiem resztę sierpnia w Wilnie. Po drodze zrobiła zakupy, chciała przygotować paczkę dla Adama.

– Dziewczyno, przecież ty masz gorączkę! – zawołała Lilka, obrzuciwszy spojrzeniem trzęsącą się Viktorię, ledwo ta weszła do mieszkania. Przyłożyła rękę do jej czoła. – I to wysoką. Szoruj do sypialni. Zaraz przyniosę termometr i ciepłego rosołu.

– Musiałam przemarznąć wczoraj w ogrodzie, nie powinnam tu przychodzić, chciałam się tylko z wami pożegnać. Zamówię taksówkę i wracam do pensjonatu. Przyszedł list od Adama?

– Nie sprawdzałam jeszcze skrzynki, zaraz zobaczę – mówiła Lilka, wprowadzając ją do pokoju. – Nigdzie cię nie puszczę w takim stanie. Przed godziną dzwonił mecenas. Przygotowuje wniosek do Rady Państwa o akt łaski dla Adama.

– O Boże, jak dobrze, musi się udać, po prostu musi!

– W sprawie Zuzy też chciał złożyć wniosek, ale ta bohaterka odmówiła. Maks jest załamany. Zuza to jego ukochana córeczka, oczko w głowie. Jak podobno kiedyś moja mama dla ich ojca. Maksymilian odwołał nawet ten zjazd rodziny. Czemu wyszłaś z krótkimi rękawami? Przecież się ochłodziło. Masz tu sweter i nosa spod koca nie wyściubiaj! – komenderowała, wkładając Viktorii swój ciepły kardigan.

– Myślisz, że ułaskawią Adama? – zapytała ta, pakując się w ubraniach pod koc.

– Mam nadzieję, tylko że pewnie to potrwa. Wiesz, że wuj Olek przyjechał? Zabrał Wojtka na spacer, żebym mogła się spakować. A teraz cię zbadam. – Obmacała jej szyję, zajrzała do gardła i zawyrokowała skrzywiona: – Angina jak dzwon. Zaraz coś ci wypiszę i skoczę do apteki.



Pociąg mamy dopiero w nocy, a ty zostaniesz u mnie. Klucze oddasz potem sąsiadce. Olek też zaplanował tu parę noclegów, więc będzie miał się kto tobą zająć. Przyniosę ci coś na gorączkę.

Viktoria łyknęła polopirynę i nim Lilka przyszła z rosołem, zasnęła, ledwo przyłożyła głowę do poduszki.

Męczyły ją jakieś majaki, wstrząsały dreszcze i ktoś przykładał jej zimny okład na czoło, poił, nim wreszcie złapała w miarę spokojny sen. Gdy się ocknęła, w pokoju panował półmrok. Przez chwilę nie mogła się zorientować, gdzie jest, i rozglądała się wokół. W fotelu obok łóżka drzemał wuj Olek. W dresach, przykryty kraciatym pledem. Przebudził się od razu, gdy zaszeleściła jej pościel.

– Jak się czujesz? – spytał, przykładając dłoń do czoła Viktorii. – No, już chłodniejsze. Miałaś ponad czterdzieści stopni. Napędziłaś mi strachu. Chciałem już wzywać pogotowie.

– Lepiej, tylko boli mnie gardło i głowa – wychrypiała. – Lilka jest?

– Pojechała w nocy do Wilna. Przespałaś prawie dobę.

– Dobę? – powtórzyła zdumiona, unosząc się na łokciu. – Muszę zadzwonić do pracy.

– Już zadzwoniłem. Znalazłem telefon na twojej wizytówce. Pani Renate powiedziała, że masz zdrowieć.

– Dziękuję. Siedział wuj przy mnie cały czas?

– I tak nie mam nic do roboty na urlopie. Zaraz podam ci leki i musisz coś zjeść. Dwunasta – dodał, spojrzawszy na zegarek.

– Najpierw pójde do łazienki.

Wzięła prysznic, przebrała się w świeże ubrania kuzynki, zjadła trochę rosołu i poczuła się na tyle dobrze, że mogła chwilę porozmawiać.

– Czy taki ślub się liczy, wujku? – zapytała, opowiadawszy mu o wszystkim.

– W oczach Boga liczy się przede wszystkim miłość. Przyjdzie czas i załatwimy sprawę przed ołtarzem. Żal mi was, dzieci. – Poglądził ją po głowie. – Ciebie, Adama, Zuzi. Kolejne pokolenie młodych, które nie może spokojnie żyć. Nasi rodzice, potem my, a teraz wy, każdy prowadził jakąś walkę. Jak nie z losem, to z systemem. Kręte i wyboiste są drogi do wolności. Trzeba wierzyć, że kiedyś to poświęcenie przyniesie owoce.

– Najbardziej żal mi Adama. Nie zasłużył na to, co go spotkało. Pójde na pocztę, nadam paczkę dla niego. Miałam to zrobić wczoraj.

– Ja się tym zajmę. Lilka mówiła, żebym co najmniej przez trzy dni nie wypuszczał cię z domu, a lekarza trzeba słuchać. Dobrze się składa, bo za trzy dni muszę być w Szczecinie, dopiąć sprawę ekshumacji Anastazji. Liczę, że do września uda się ją przenieść koło Kazika. Zaczekaj, mam coś dla ciebie. – Poszedł do przedpokoju, skąd przyniósł niebieską kopertę. – Wczoraj przyszedł, ale byłeś w takim stanie, że i tak nie dałabyś rady przeczytać.

– Od Adama! – zawołała. Czym prędzej rozerwała kopertę i wyjęła upragniony list wykaligrafowany starannym pismem.

Barczewo, 11.08.1980

*Najukochańsza Żono,*

*czuję się świetnie, nic mi nie dolega, także niczym się nie martw. Pewnie, że wolałbym być przy Tobie niż tutaj, zwłaszcza dziś, w Twoje urodziny, ale jest jak jest. Co mnie nie zabije, to wzmocni. Mnie wmacnia Twoja miłość. Co wieczór o dziesiątej, kiedy myślę o Tobie szczególnie mocno, czuję Twoją obecność, zapach, słyszę Twój głos i bicie serca. To naprawdę działa. Zaczynam wierzyć w telepatię. Rozmawiam z Tobą w snach, śniesz mi się co noc. Nie wiem, czy uda się z tym ułaskawieniem, bardzo bym chciał, lecz jeśli zostaną tu dłużej, nie załamuj się, proszę, bo ja się nie poddam.*

*Vikuś, kochanie, dałaś mi tyle siły i wiary, że nawet w celi mam ochotę przenosić góry i uśmiecham się do tego życia, które nas czeka. Serio, będzie piękne. Dziękuję Ci za paczki i listy. Znam na pamięć każde słowo.*

*Obmyśliłem pierwszą trasę, w jaką Cię zabiorę w Bieszczady. Nie powiem jaką, żebyś miała niespodziankę. I mam w głowie kilka pomysłów na ten dom. Naczelnik pozwolił mi rysować, więc coś tam zaczynam szkicować. Za miesiąc napiszę, jak to widzę. Do Berlina nie mogę stąd wysłać listów, więc będziesz je dostawać za pośrednictwem mojej mamy. Czekaaj, przecież to teraz Twoja teściowa. Ona też Cię pozdrawia, była wczoraj na widzeniu.*

*Uważaj na siebie, Pani Dońska, i głowa do góry. Będzie dobrze. Przytulam Cię urodzinowo i nie tylko, całuję, tęsknię, kocham*

Adam

Jeszcze raz przeczytała list, po czym pocałowała kartkę i przycisnęła do serca.

– Żebyś wiedział, jak ja cię kocham – powiedziała pod nosem.

Nawet nie zauważyła, że Aleksandra już nie było w pokoju. Czym prędzej sięgnęła po papeterię, napisała w podobnym tonie odpowiedź, żeby włożyć list do paczki. Ledwo skończyła, wuj wszedł do sypialni, wyraźnie czymś zafrapowany.

– Dobre wieści? Trzyma się chłopak?

– Trzyma. – Uśmiechnęła się z ulgą. – Najbardziej pragnęłam, żeby się nie załamał, i chyba się udało.

– Całe szczęście. A ja właśnie słuchałem Wolnej Europy. Stocznia w Gdańsku zaczęła dziś strajk. Wolne Związki Zawodowe chcą przywrócenia do pracy Walentynowicz. Wałęsa chyba przeskoczył przez płot, jak dobrze zrozumiałem, i stanął na czele strajku. Czuję, że na coś się zanoszą. Oby tylko nie powtórzyło się to, co w grudniu siedemdziesiątego.

– Kuroń mówił, że przekazał informacje Wolnej Europie. O Walentynowicz słyszałam, że zwolnili ją przed emeryturą. Ale skoro cała stocznia strajkuje, to rzeczywiście będzie z tego coś więcej. Powinnam tam pojechać. – Podniosła się, lecz osłabienie sprawiło, że zakręciło jej się w głowie i zatoczyła się na łóżko.

\*

Do Gdańska pojechała dopiero kilka dni później. Wyposażona w aparat, kamerę i ciuchy na zmianę. Wcześniej prawie nie odrywała ucha od Radia Wolna Europa, żeby śledzić na bieżąco rozwój wypadków.

Jednak to, co zobaczyła na miejscu, przerosło jej oczekiwania. Pełno ludzi przed bramą stoczni, po drugiej stronie stocznioicy. Brama była ozdobiona kwiatami, flagami i portretami papieża. Przed nią stał duży, drewniany krzyż. Viktoria do razu zaczęła robić zdjęcia. Przy portierni zobaczyła grupę kolegów z zachodnich stacji. Od razu się do nich przepchnęła objuczona sprzętem i torbą.

– Oooo, Viktoria, gdzie byłaś, jak cię nie było? – zapytał rudy, piegowaty Teo z niemieckiej telewizji. – Wiesz, jak tu się robi gorąco? Renate jest? Tłumacz nam potrzebny, żeby dobrze Wałęsę rozumieć.

– Musiała zostać w Warszawie, stamtąd nadaje wszystko do Niemiec – odrzekła, wyjmując notatnik. – Co wiecie? Czemu jeszcze strajkują? Przecież dyrektor stoczni zgodził się na postulaty. Podwyżki, przywrócenie do pracy Walentynowicz i Wałęsy, budowę pomnika. Słyszałam wczoraj w Wolnej Europie.

– Wałęsa chciał zakończyć strajk, ale ludzie z komitetu strajkowego się sprzeciwili. Chcieli strajku solidarnościowego z innymi zakładami. Część stoczniowców zaczęła się z początku rozchodzić. Parę kobiet pobiegło, żeby ich zatrzymać i zamknąć bramę. Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z Wałęsą na czele. Co chwilę dostajemy wiadomości, że strajkują kolejne zakłady. Stocznie w Gdyni i Szczecinie też stoją. I ogłosili prohibicję na Wybrzeżu. Nadążasz? – zapytał, widząc, jak koleżanka, siedząc na torbie, prędko notuje jego chaotyczną relację. Ktoś ze zgromadzonych przy krzyżu zaintonował: „Boże, coś Polskę”.

– Dlaczego stoicie przed bramą?! – Viktoria starała się przekrzyczeć śpiewający tłum. – Nie wpuszczają na teren stoczni?! Jak się dostać do Wałęsy?! Muszę też zadzwonić do Warszawy powiedzieć Renate, co się dzieje! Gdzie jest telefon?!

– Nas wpuszczają, bo mówimy prawdę, ale reżimowi nie mają wstępu! Czekamy na takiego starszego gościa, on gada po niemiecku i trochę nam tłumaczy. Przyjechał w nocy ze Szczecina! Zaraz ma przyjść – odkrzyknął.

Ludzie skończyli śpiewać, gdy naraz zobaczyła przeciskającego się do nich Józka, a za nim jego najstarszego syna, Jeremiego. Obaj byli we flanelowych koszulach, waciakach i kaskach, na rękawach mieli opaski.

– Cześć, wujek, to ty jesteś tym tłumaczem?! – zawołała na dzień dobry i kiwnęła głową Jeremiemu.

Chudy, pobrużdżony, wyniszczony pracą czterdziestolatek miał zmęczoną, mimo to przystojną twarz. Jego ojciec wyglądał jak w swoim żywiole. Wręcz odmłodził o dziesięć lat.

– Dopiero teraz przyjechałaś? – spytał starszy z Ostojańskich. – Nadeszła historyczna chwila! Komuna dostaje w dupę.

– Żebyśmy tylko my nie dostali – mruknął Jeremi, mniej entuzjastycznie nastawiony niż ojciec. Pod pachą trzymał jakieś biuletyny.

– Zobaczysz, niedowiarku, dzieci będą się o tym uczyć w szkole! – Józef poklepał syna po plecach. – Bronimy godności ludzkiej, komuniści ugną kark przed robotnikami. Gierek nawet z Krymu wrócił. A ksiądz Jankowski

wczoraj mszę tu odprawił. Sama jesteś, Viki? Gdzie Olek? Był przecież w Warszawie.

– Przywiózł mnie tutaj i pojechał do Szczecina. Nie mogłam przyjechać wcześniej, bo chorowałam. Muszę pilnie zadzwonić do Warszawy, zdać relację. Potrzebuję telefonu.

– Wieszają! – zawołał nagle Teo.

Od razu obiektywy kamer zachodnich dziennikarzy skierowały się na bramę stoczni, gdzie kilku ludzi mocowało drewniane tablice. Viktoria też pstrykała zdjęcia, wyciągając ręce z aparatem w górę ponad morze głów.

– Co to za tablice? – zapytała stojącego obok kuzyna.

– Dwadzieścia jeden postulatów strajkowych – wyjaśnił Jeremi. – Mam je w biuletynie. Dam ci egzemplarz i chyba cię podsadzę.

Nim zdążyła zareagować, już znalazła się w górze, uniesiona za kolana. Zrobiła kilka dobrych ujęć, a potem Jeremi postawił ją na ziemi. Ludzie zaczęli klaskać i wznosić tryumfalne okrzyki na widok tablic. Na pierwszym miejscu postulat o utworzeniu niezależnych od władzy i pracodawców związków zawodowych, zdążyła przeczytać, gdy Józek poprosił:

– Nam też zrób zdjęcie, Viktoria, na tle tablic, to wielka chwila. – Objął ramieniem syna, po czym dumnie odwrócił się do obiektywu.

Pstryknęła im kilka fotek i powtórzyła pytanie:

– Skąd mogę zadzwonić? Gazeta czeka na wiadomości.

– Zaprowadź ją do szpitala stoczniowego, Jeremi, stamtąd będzie mogła dzwonić, niech prawda idzie w świat, a ja tu z państwem załatwię, co trzeba – powiedział wuj, przejmując od syna broszury. Jedną wzięła Viktoria.

Przez kilka kolejnych dni relacjonowała do Warszawy, co się dzieje w Gdańsku. Z Renate rozmawiały po francusku. Prawie nie wychodziła ze stoczni, nocowała tam razem z Józkiem, Jeremim oraz tysiącami innych w hali na rozłożonych na podłodze kartonach i materacach.

Gdyby była w innym stanie ducha, gdyby Adam nie siedział w więzieniu, czułaby się jak ryba w wodzie. Wręcz w swoim żywiole, w centrum kto wie, czy nie naprawdę przełomowych wydarzeń. Nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie entuzjazmu. Przyjechała tu z poczucia zawodowego obowiązku.

– A jeśli wejdzie ZOMO i nas spacyfikują? – Usłyszała pierwszej nocy cichą rozmowę leżących nieopodal młodych stoczniowców.

– Jak się boisz, to wypierdalaj, łamistrajku, do tych, którzy zaczęli pracę – warknął drugi.

– Nie wejdą – odezwał się trzeci. – Gdyby mieli wejść, już by do nas strzelali. Nie przeklinaj przy dziewczynie, Marian. A ty, Stefan, nie ośmieszaj się. Zobacz, dziewczyna się nie boi, a ty pękasz. – Śmiechem dodał sobie animuszu.

Nie bała się, najwyżej ją zatrzymają i zostanie w Polsce dłużej. Choćby w więzieniu. Świadomość, że za kilka dni musi stąd wyjechać, stawała się nieznośna. Na zbiorowych modlitwach, które codziennie odbywały się w stoczni i przed bramą, gdzie gromadziły się setki ludzi przynoszących kwiaty oraz żywność dla uczestników strajku, prosiła Opatrzność w intencji Adama, choć wcześniej kwestię wiary traktowała dość lekko.

Za dnia nie rozstawiała się z aparatem, kamerą i notesem, aby nie pominąć niczego z dziejących się wydarzeń. W przerwach przegryzała kanapki z pasztetem, które przynosił Józek albo Jeremi. Kuzyn miał niedaleko skromne mieszkanie, więc pobiegła tam ze dwa razy, żeby wziąć prysznic.

Co rusz napływały informacje o strajkach kolejnych zakładów na Wybrzeżu, a także w całej Polsce. Kilkundniowe negocjacje komitetu strajkowego z wicepremierem Pyką, który przyjechał do Gdańska, zakończyły się fiaskiem.

Środowego przedpołudnia, kiedy spotkała się z kolegami, żeby wymienić informacje, podszedł do nich zaaferowany czymś Józek.

– Zobaczcie, co mam! – zawołał. Trzymał w ręku zakładowy biuletyn z napisem „Solidarność” i odbitkę z samym napisem. Litery były czerwone, jakby pociągnięte farbą, z „N” przechodzącym we flagę. – Dopiero co przyniósł jeden artysta. Odbitki rozchodzą się jak świeże bułeczki. To będzie nasz symbol. Do wieczora całe miasto zostanie nim oklejone.

Koledzy zaczęli fotografować napis, Viktoria też.

– Dla ciebie na pamiątkę. – Józek wręczył jej odbitkę. – Następna z odważnych Ostojańskich, Viktoria. Masz dobre imię, przyniesiesz nam zwycięstwo. Wygramy naszą walkę.

Moja walka nie ma nic wspólnego z waszą, ja walczę tylko, żeby przetrwać czas bez tego, kogo kocham, i by on wytrwał, stwierdziła w myślach. Zachowała to jednak dla siebie, nie chcąc urazić wuja.

W dniu, kiedy na Wybrzeżu ogłoszono strajk generalny, wyłączono telefony i region został odcięty od reszty kraju. Nie mogła już przekazywać

wiadomości do Warszawy. Nazajutrz do stoczni przyjechała autobusem rządowa delegacja.

Viktoria nagrywała, jak rozwścieczeni ludzie wałą pięściami w przeciskający się przez tłum autobus z delegatami rządu.

Jednak nie mogła czekać na wynik rozmów, kończyła jej się wiza i musiała wracać do Warszawy. Poza tym coraz mniej ją to wszystko obchodziło.

Dlatego w niedzielę po mszy, na którą przed bramę stoczni przyszło kilkanaście tysięcy ludzi, skandujących „Solidarność!”, „Solidarność!”, zrobiła ostatnie zdjęcia rozentuzjasmowanego tłumu, po czym pożegnała Ostojańskich.

– Jadę do Warszawy, wujku, muszę wysłać do gazety teksty, spakować się, załatwić formalności przed wyjazdem i wracać do Berlina.

– Szkoda, że odjeżdżasz w najgorętszym momencie. – Uścisnął ją mocno.  
– Zobacz, co się dzieje. Komunistom palą się stołki pod tyłkami. Ponoć kardynał Wyszyński boi się interwencji Sowieców, bo połowa Polski już stoi, ale Gierek na mur poleci. W jedności siła. Całego kraju nie wystrzelają. Solidarność, zapamiętaj moje słowa. Za Solidarnością pójda masy. To klucz do wolności.

– Chyba tak – odrzekła niemrawo.

– Będzie dobrze! – Józek potarł ją ręką po ramieniu. – O więźniów politycznych też się upominamy. Może Adam z Zuzią na tym skorzystają i wyjdą na wolność. Uściśnij ode mnie Jerzyka. Tęsknię za nim.

– Powiem mu, a zdjęcia wywołam i wyślę wam pocztą.

Do Warszawy wróciła z kolegami z niemieckiej telewizji. Zaś kilka dni później, gdy napięcie można było kroić nożem i strajki zataczały coraz większe obszary, a negocjacje ze stroną rządową przeciągały się w nieskończoność, zamiast ślęczyć w agencji do ostatka, wsiadła w pociąg i pojechała do Olsztyna. Musiała przed wyjazdem chociaż stanąć pod więziennym murem, aby przynajmniej tak pożegnać się z Adamem. Ze wszystkich sił wierzyła, że jakimś nadprzyrodzonym zmysłem ją wyczuje. Starła się być silna, lecz pękało jej serce, że więcej tu nie przyjedzie.

Wiedziona impulsem, nacisnęła dzwonek przy bramie, żeby spróbować wyjednać u naczelnika zgodę na drugie widzenie.

– Do kogo? – Z okienka w drzwiach wychylił się jakiś ponury strażnik.

– Do naczelnika... – zaczęła, nie zdążywszy się przedstawić, gdy tamten wpadł jej w słowo:

– Naczelnik na urlopie. – Zatrzasnął klapkę.

Zaczekała pod więzieniem na matkę Adama, z którą się umówiła. Pani Zosia wyglądała inaczej niż kilka miesięcy wcześniej. Była elegancko uczesana, miała na sobie ładną pastelową sukienkę.

– Dałaś mu siłę, dziecko, naprawdę dałaś mu siłę i nadzieję – powiedziała, gdy uściśniły się na powitanie. Pomimo trosk z jej twarzy bił dziwny spokój. – To teraz zupełnie inny człowiek. Ale ty wyglądasz mizernie. Biją w Gdańsku stoczniowców? Będzie z tego wojna? U nas mówią, że ruskie wojsko stoi na granicy.

– Nie słyszałam o tym, a w Gdańsku nie biją. Chciałam wejść do Adama, ale się nie udało.

– Ja mam widzenie za tydzień.

– Proszę powiedzieć Adamowi, że tu byłam, że będę na niego czekać, i proszę mu przekazać mój list. Nadprogramowy, ale może pozwoli go przekazać. Mam też trochę rzeczy dla niego. – Podała jej siatkę. – Jedzenie, kawa, kosmetyki. Pojutrze muszę już wyjechać. Będę przysyłać paczki i pieniądze. Dla pani i Adama.

– Z tego, co wiem – pani Zofia wskazała na obrączkę Viktorii – chyba nie powinnaś już mówić do mnie „pani”, córciu.

– Dobrze... mam – odrzekła i mocno ją objęła.

Przez chwilę miała wrażenie, że to Adam ją tuli, gładzi po plecach, a nie jego matka. Pragnęła zatopić się w tym uścisku, by nim się nasycić na lata.

W niedzielę ostatniego dnia sierpnia, już spakowana i gotowa do drogi, oglądała w pokoju w pensjonacie transmisję telewizyjną z podpisania porozumień sierpniowych w Gdańsku.

Mniej zwróciła uwagę na sam przekaz i sukces robotników niż na odpustowy, ogromny długopis Wałęsy z podobizną papieża, długopis, którym podpisywał porozumienie. Wydało jej się to przerysowane.

Wieczorem była już w pociągu do Berlina, konwojowana przez dwóch ponurych panów, żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy wysiąść przed granicą. O dziesiątej wieczorem powtarzała w myślach ostatnie zdanie listu, który napisała Adamowi.



*Chcę, żebyś wiedział, żebyś nigdy nie wątpił, że będę na Ciebie czekać.*

– Będę czekać, Adaś, choćby do śmierci – powiedziała półszepem, wpatrzona w mrok za oknem wagonu, i pocałowała obrączkę na palcu.

## Rozdział XXIV

# Bardzo długie zimy

*Berlin Zachodni, RFN, 1980–1984*

Wroku, kiedy świat zachłysnął się Solidarnością i Lech Wałęsa ze znaczkiem Matki Boskiej w klapie marynarki stał się obok papieża najbardziej rozpoznawalnym Polakiem, a zakazany w PRL Czesław Miłosz otrzymał literackiego Nobla, Rada Państwa odrzuciła prośbę o prawo łaski dla Adama. Viktoria bardzo to przeżywała. Za dnia starała się nie pokazywać po sobie przygnębienia, ale nocami płakała w poduszkę. Od przyjazdu z Polski mieszkała w Berlinie. Od czasu do czasu jeździła do domu, żeby odwiedzić rodziców i побыć w miejscach, które nierozzerwalnie łączyły się z Adamem. Wówczas tęsknota stawała się mniej dotkliwa.

– Po co jej dałam to bursztynowe serduszko? – wyrzucała sobie Anna, obserwując córkę przez okna podczas takich wizyt. Najczęściej widywała ją siedzącą na huśtawce i zapatrzoną na panoramę Renu. – Wiedziałam, że nic dobrego nie wyniknie z tego wyjazdu do Polski. To straszny kraj.

– Viktoria sobie z tym poradzi, ma twój charakter – przekonywał Joachim, obejmując wychudłą żonę. Na głowie miała zawiązaną chustkę. Od chemii, którą jednak musiała przejść, wypadły jej włosy. – Może się w nim odkocha? Taki inscenizowany ślub nie ma przecież znaczenia.

– Nie odkocha się – odpowiedziała Maria. Odkąd, tuż po powrocie Viktorii, nastąpiła wznowa u Anny i odjęto jej pierś, przeprowadziła się do Lorelei. – Cóż znaczy sześć lat wobec całego życia? Są jeszcze młodzi. I taki ślub dla nich ma znaczenie. A ty, córeczko, niczego sobie nie wyrzucaj, tylko walcz, żebyś wyzdrowiała do czasu, aż zorganizujemy tu huczne wesele.

– O czym ty mówisz, mamó? – Anna westchnęła ciężko. – Minęło dopiero parę miesięcy, a Viki ledwo się trzyma. Nie skarży się, ale przecież widzę, w jakim jest stanie. I jeszcze chce mieszkać w Berlinie, zamiast

zostać w domu. Wyobrażam sobie, co tam przeżywa w samotności. Wolałabym, żeby naprawdę zapomniała o tym chłopaku albo znalazła sobie innego. Nie mogę patrzeć, że tak przygasła. Jeszcze wpadnie w depresję.

– Wypluj to słowo. – Maria się wzdrygnęła.

Przerwała obieranie warzyw na rosół i też spojrzała przez kuchenne okno na wnuczkę, siedzącą na huśtawce. Dzień był szary, chłodny i właśnie zaczął padać pierwszy śnieg, a Viki nie miała na sobie kurtki, tylko czarny golf Adama. Sigi szturchał nosem jej nogi, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Tęskni, więc jest smutna. O depresji nie ma mowy. Joachim ma rację, ona sobie z tym poradzi. Tym bardziej, że wie, gdzie jest Adam i kiedy wróci. Nawet jeśli rzeczywiście potrwa to sześć lat. Ja nie wiedziałam, co się działo z Andrzejem ani z tobą, Aniu, kiedy na was czekałam, a jednak nigdy nie zwątpiłam, że znów będziemy razem. Ta wiara i nadzieja dodawały mi sił. Z Viktorią też tak będzie. Wspomnicie moje słowa.

– Obyś miała rację – odrzekła nie do końca przekonana Anna. Stanem córki niepokoiła się bardziej niż własnym zdrowiem, choć źle zniosła drugą chemię. – Klaus latami walczył ze swoim mrokiem w duszy. Dopiero teraz zaczął sobie jako tako radzić z chorobą. Nie wyobrażam sobie, aby Viki miała przejść przez to samo. Nawet Sigi wyczuwa, że coś złego się dzieje. Przy nikim nie jest tak spokojny jak przy niej.

– Powinna go zabrać do Berlina, skoro chce tam wracać – podsunął Joachim. Jego też niepokoił marazm córki. – Z Adamem będzie, co ma być. Nic na to nie poradzimy. Możemy tylko ją wspierać.

– Masz rację – przyznała Anna. – Nie mówcie Viki o moich wątpliwościach. Nie chcę jej dodatkowo rozstrajać. Moją wznową też się przejmuje.

Viktoria martwiła się nawrotem choroby u matki. Dlatego między innymi zrezygnowała z wyjazdu na staż do Stanów, co zaproponowała jej Marion. Poza tym nie mogłaby wyjechać tak daleko od Adama. Została w Berlinie, dokąd zabrała psa, i stamtąd pisała teksty do gazety. Także o sytuacji w Polsce, kiedy na Kreuzberg przyjeżdżał ktoś zza żelaznej kurtyny, przywoząc nowe wieści.

Słała do Adama pełne otuchy listy, otrzymywała równie pocieszające odpowiedzi. Raz w miesiącu. Wszystkie numerowała. Co wieczór o dziesiątej przywoływała go myślami i wtedy było jej trochę lżej. Składała

też w polskim konsulacie wnioski o wizę turystyczną, ale za każdym razem odpowiedź była odmowna.

Niedługo przed Bożym Narodzeniem sąd w Düsseldorfie skazał Güntera Essena na piętnaście lat więzienia, choć tamten zmieniał zeznania i wszystkiemu zaprzeczał. O procesie szeroko pisały gazety. Fredrik przyszedł do Viktorii kilka dni po ogłoszeniu wyroku. Przyniósł pizzę i piwo. Czuć było od niego alkohol. Wyglądał markotnie.

– Cześć, Viki, liczyłem, że cię zastanę. Mogę wejść?

– Wejdz, skoro już jesteś. – Przesunęła się w drzwiach. Sigi łąsił się do nóg gościa, zostawiając sierść na ciemnych nogawkach spodni i czarnym płaszczu. – Mogłeś uprzedzić, że przyjdiesz.

– Przepraszam, widziałem, jak wracałaś z psem ze spaceru, przechodziłem obok i pomyślałem, że zajdę pogadać. Zgłodniałem, więc wziąłem po drodze pizzę. Zjemy razem?

– Możemy, Sigi, na miejsce. – Próbowwała odpędzić zwierzaka, którego gość ignorował.

– Nie przepadam za psami, strasznie brudzą – powiedział, wieszając płaszcz w korytarzu. – Słyszałaś?

– O psach? Masz problem. – Wzruszyła ramionami. – Są lepsze od ludzi.

– O wyroku – sprostował, idąc za Viktorią do pokoju. Spojrzał na ścianę w korytarzu i skrzywił się, widząc zawieszony tam zdjęcie tego Polaczka.

– Chyba się spodziewałaś, że ojciec zostanie skazany?

– Niby tak, ale wstyd jak cholera.

Usiadł na wysokim stołku przy blacie i przyglądał się, jak Viktoria wyjmowała z szafki talerzyki. W czarnym męskim golfie, opiętych dżinsach, z włosami luźno zebranymi nad karkiem wyglądała pociągająco, choć była bez makijażu i chyba zrzuciła parę kilogramów.

– Mniej mnie obchodzi, za co siedzi, tylko że w ogóle siedzi. Miałem nadzieję, że to się nie rozniesie, ale wszyscy o nim piszą. Matka praktycznie nie wychodzi z domu. Mówi, żebyśmy się wyprowadzili z Berlina, bo nie może znieść spojrzeń sąsiadów i znajomych. Trochę ją przeorała ta sprawa i wciąż nie dowierza, że to wszystko prawda. Twierdzi, że starego wmanewrowano. Sam już nie wiem, co o tym myśleć. Adwokat też wydoił nas na kilkadziesiąt tysięcy...

– Fredrik, daj spokój – przerwała jego utyskiwania. – Współczuję ci, ale mam swoje problemy.

– Fakt, wyglądasz na przybitą. – Skinął głową. – I chyba domyślam się, o kogo chodzi. Ile dostał?

– Sześć lat – odrzekła, choć był ostatnim człowiekiem, z którym chciała rozmawiać o Adamie.

– Nie przepadam za facetem, który sprzątnął mi sprzed nosa taką dziewczynę, ale żał mi, że się dręczysz. Podasz jakieś szkło czy pijemy z puszki? – spytał, wyjmując z siatki dwie zgrzewki piwa.

– Nie mam ochoty na piwo, muszę jeszcze napisać artykuł, poza tym zdaje się, że już sobie trochę wypiliśmy. Zjedz, zrobię kawę i zamówię ci taksówkę. Powinieneś pojechać do domu.

– Mam coś, co poprawi nam nastrój. – Wyjął z kieszeni skręta. – Dawno nie paliliśmy trawki...

– Na to też nie mam ochoty – odmówiła, odwróciwszy się od niego plecami, żeby wstawić wodę w czajniku.

Wtem poczuła przy uchu alkoholowy oddech, usta Fredrika na swoim karku i jego ręce na biodrach.

– Zwariowałeś?! – rzuciła ostro i odepchnęła go gwałtownie, ale tylko się uśmiechał.

– Co ci szkodzi mały numerek, kiedyś to lubiałaś... – Znow próbował ją objąć, stawał się coraz bardziej natarczywy, przyciskał ją sobą do blatu.

– Puść mnie, idioto! – krzyknęła.

Szamotała się z nim przez chwilę, nim zdołała się uwolnić. Zamachnęła się i spoliczkowała go mocno. Zwabiony hałasem Sigi wpadł do kuchni i szarpnął zębami nogawkę spodni Fredrika. Dopiero to ostudziło jego zapał. Roztarł ręką policzek i próbował odpędzić psa. Viktoria trzęsła się całą.

– Zabieraj się stąd, bo wezwę policję – wysyczała przez zęby, wskazując ręką drzwi. Akurat stanął w nich Jerzy, który w mig połapał się w sytuacji.

– Mam ci pomóc? – odezwał się po niemiecku, patrząc na Fredrika. Oczy miał zmrużone, twarz napiętą. Mało brakowało, a chwyciłby intruza za kołnierz.

– Nie trzeba – odrzekł tamten, wycofując się do korytarza. Szarpnął z wieszaka płaszcz i już go nie było.

Viktoria przyłożyła dłonie do rozgrzanych policzków.

– Nic ci nie zrobił? – W głosie kuzyna brzmiał gniew.

– Nie. Dobry pies. – Pogładziła owczarka.

- W porę przyszedłem. Masz talent do pakowania się w kłopoty, Viki.
- Daj spokój. – Machnęła ręką, dając znak, że nie chce o tym rozmawiać.
- Zjesz obiad? Są wczorajsze kotlety, chyba że chcesz tę pizzę.
- Szkoda wyrzucać, skoro już jest. – Wyjął z kartonu kawałek pepperoni i zjadł ze smakiem. – Wpadłem się tylko odświeżyć, umówiłem się z Karin za godzinę przed szpitalem. Wybieramy się na poszukiwanie prezentów. Martwię się tylko, żeby ten gnojek nie wrócił.
- Nie wróci, zresztą nie zamierzam go tu więcej wpuszczać.

Kilka dni później dostała od Fredrika bukiet róż oraz bilecik z przeprosinami, które przyniósł posłaniec. Kwiaty i karteczkę cisnęła do kosza. Fredrik więcej nie szukał z nią kontaktu. Niedługo po Nowym Roku widziała go w galerii z jakąś dziewczyną. Nic jej to nie obchodziło. Przystał dla niej istnieć.

Minęła pierwsza zima oczekiwania. Viktoria niczym koła ratunkowego uczepiła się możliwości amnestii, widząc w niej jedyną szansę na szybszą wolność dla Adama. Zamęczała telefonami mecenasa Fiertka, czy nie słyszał choćby plotek o ogłoszeniu abolicji dla więźniów, lecz nie miał żadnych informacji. Nie pozostawało jej nic innego, niż zacisnąć zęby i czekać. Słała matce Adama pieniądze oraz paczki, czasem rozmawiały przez telefon.

W maju osiemdziesiątego pierwszego światem wstrząsnął zamach na papieża, zaraz potem zmarł schorowany kardynał Wyszyński. Mniej więcej w tym czasie Jerzy zaręczył się z Karin.

– Kiedy się w nim zakochałaś? – spytała przyjaciółkę, gdy ta przyszła podzielić się nowiną.

– Kiedy byłaś w Polsce.

– Od razu mówiłam, że do siebie pasujecie – stwierdziła, brzdąkając na gitarze Adama *Mury* Kaczmarek. Opanowała kilka chwytów, więc całkiem nieźle radziła sobie z prostą melodią.

– Czasem miłość spada jak grom z nieba – odrzekła przyjaciółka, kręcąc na palcu złoty pierścionek z szafirowym oczkiem – a czasem dojrzewa powoli. Nasza dojrzewała wolniej niż wasza.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytała Viktoria, choć Karin miała odpowiedź wypisaną na twarzy.

– Bardzo. Jerzy chce, żebyśmy wzięli ślub w Polsce, ze względu na jego rodziców. Niedługo minie pięć lat tego zakazu wyjazdu do kraju. Uczę się

polskiego, żebym do tego czasu mogła się porozumieć z przyszłymi teściami. To przecież będą też moi rodzice. Jeszcze do mnie nie dociera, że wreszcie zyskam rodzinę – mówiła wzruszona.

– Ucieszą się, że to właśnie ty będziesz nową panią Ostojańską. – Objęły się mocno. – Ja też się z tego cieszę.

Jerzy od razu po zaręczynach przeprowadził się do narzeczonej. W tamtej chwili Viktoria pomyślała o Wojtku. Co zrobiłby Jerzy, gdyby wiedział, że ma syna?, dumiała, snując się po pustym mieszkaniu z psotnym Sigim, kręcącym się u jej nóg.

I tak mijały bliźniaczo podobne do siebie dni, w których choć ciałem była w Berlinie, myślami i sercem w Barczewie.

Zaczął się lato. Peter z niezłym wynikiem zaliczył pierwszy rok budownictwa na Uniwersytecie w Monachium. Rudi przeszedł do amerykańskich linii lotniczych i przeprowadził się do Stanów. Związał się z jakąś Latynoską. Klaus próbował odnowić kontakt z dorosłym synem, ale szło mu to opornie. Ksaweremu i jego szwedzkiej żonie urodziło się pierwsze dziecko, chłopczyk, którym dali na imię Erik.

Zuza po wyjściu z więzienia jeszcze bardziej włączyła się w działalność opozycyjną. Viktoria nie utrzymywała kontaktów z kuzynką. Nadal nie była gotowa jej wybaczyć. W Lorelei skończył się kolejny sezon winobrania. Annie zdążyły trochę odrosnąć włosy i lekarze z ostrożnym zadowoleniem przyjmowali kontrolne wyniki.

W Polsce prawie wszystko było już na kartki, więc Olek woził coraz więcej darów z Caritasu, przemycił też w swoim furgonie części do powielaczy i tusze drukarskie.

Zbliżała się kolejna zima, dla Viktorii równie jałowa w oczekiwaniu jak poprzednia.

Ta kalendarzowa jeszcze się nie zaczęła, gdy wieść o stanie wojennym i tysiącach internowanych wstrząsnęła wszystkimi i świat znów patrzył na Polskę. Pogłoski o sowieckiej armii gotowej do interwencji docierały także do Niemiec i podsyciły napięcie.

Viktoria nie odrywała oczu od telewizora. Słuchała przemówienia Jaruzelskiego, widziała czołgi i wojsko na ulicach. Od Adama jeszcze nie przyszedł grudniowy list. Do Olsztyna nie mogła się dodzwonić, gdyż w całej Polsce wyłączono telefony.

Następnego dnia Jerzy przyniósł złą wiadomość. Zaraz po pracy przyszedł z Karin na górę.

– Ojca i Jeremiego internowali! – rzucił od progu przejęty.

– Skąd wiesz? – zapytała Viktoria, wstając od maszyny do pisania. – Przecież w Polsce są wyłączone telefony.

– Spotkałem na dworcu kolegę ze Szczecina, akurat był w Berlinie, gdy ogłoszono stan wojenny, i został tutaj. Podobno widział wcześniej listy internowanych. Powinienem tam teraz być – jęknął, klapnąwszy ciężko na fotel. Twarz ukrył w dłoniach. – Mama pewnie odchodzi od zmysłów. Najgorsze, że niczego nie mogę się stąd dowiedzieć.

– Może to tylko plotka? – pocieszała go Karin, przycupnąwszy obok narzeczonego. Była w czwartym miesiącu ciąży. – Nie martw się na zapas, Jerzy. – Poglądziła go po włosach.

– Raczej ty nie powinnaś się teraz martwić, żeby nie zaszkodzić dziecku – powiedział, całując spód jej dłoni. – Ojciec i Jeremi działali aktywnie w Solidarności, więc na pewno ich zwinęli. Bardziej się martwię o ojca, jest przecież przed siedemdziesiątką. Co robić? – zapytał, patrząc na obie dziewczyny, jakby miały to wiedzieć. – Nie możemy tak siedzieć z założonymi rękami w ciepélku i dobrobycie, podczas gdy w Polsce wojsko przejęło władzę.

– Powinniśmy pomagać – odrzekła bez wahania Karin. – Na szerszą skalę niż paczki, które dotąd wysyłałście. Wczoraj w moim szpitalu zrobiliśmy spontaniczną zrzutkę na leki, żywość, ubrania, żeby wysłać do Polski. Pacjenci też się dołożyli z własnej woli. Poza tym w Berlinie jest mnóstwo Polaków, którzy nie wrócili do kraju. Przecież ci ludzie w większości zostali bez niczego. Im też trzeba pomóc.

– I to jest pomysł – podchwyciła od razu Viktoria, czując, jak wstępuje w nią nowy duch. – Pieniądze także musimy zbierać. Wuj Olek wymyśli, jak i komu przekazywać datki. Pójdę do radia, poproszę kolegów, żeby ogłosili na antenie apel do ludzi o wsparcie. Wyprowadźcie psa. – Pośpiesznie wciągnęła buty, chwyciła kurtkę, kluczyki od samochodu, torbę i już jej nie było.

W krótkim czasie akcja Polenhilfe przeszła najśmielsze oczekiwania i ogarnęła całe Niemcy. Ze wszystkich stron miliony paczek trafiały za żelazną kurtynę.



– Viktorio, czy ty widzisz, co się dzieje? – powiedziała Marion, gdy rozmawiały przez telefon w najgorętszym okresie. – Istne szaleństwo i jaka wspaniała solidarność. Uczniowie, studenci, artyści, prawie każdy chce pomagać. W Hamburgu poczta nie nadąza z przyjmowaniem przesyłek. Mówi się, że rząd planuje znieść opłaty pocztowe na paczki do Polski. Napisz, proszę, reportaż, jak to wygląda w Berlinie. Nasza gazeta też włącza się w pomoc Polakom.

Pisała więc reportaże i sama także nosiła paczki dla zupełnie obcych osób, do spontanicznie powstających punktów przyjmowania darów. Zbiórki pieniężne także cieszyły się powodzeniem. Datki w większości były przeznaczane dla rodzin osób internowanych. W winiarni w Lorelei babcia również postawiła puszkę, do której klienci wrzucali datki, i zawiesiła zdjęcie z Wałęsą. Rodzinie w Polsce wysyłała jeszcze więcej paczek niż zwykle. Peter skutecznie agitował za Polenhilfe na uniwersytecie.

W święto Trzech Króli odbył się cywilny ślub Karin i Jerzego. Viktoria była na nim świadkową. Świadkiem został Ksawery, starszy brat Jurka, który przyleciał ze Szwecji do Berlina na dwa dni. Z Polski nikt nie mógł przybyć na skromną uroczystość.

– Przyjadą na kościelny – mówiła nowa pani Ostojańska, gdy wymieniały uściski po ceremonii w urzędzie. – Pomyśleliśmy z Jerzym, że jeśli się zgodzisz, Viki, urządzimy dwa śluby za jednym zamachem, wasz i nasz. Zaczekamy z tym, aż przyjedzie Adam.

– Zaoszczędzimy na weselu – zazartował Jerzy, nie mniej przejęty niż żona. Nie należał do zbyt wylewnych ludzi, lecz widać było po nim wzruszenie.

– A ja chętnie udzielę podwójnego sakramentu – podchwycił od razu Aleksander, gratulując nowożeńcom.

– Wspaniale, tylko żeby Adam wreszcie napisał – westchnęła Viktoria. – Już dwa miesiące nie mam od niego żadnych wiadomości. Wiem, że to przez stan wojenny, ale mimo wszystko ogarniają mnie czarne myśli.

Jeszcze bardziej rzuciła się w wir pracy, żeby się nie dać rozpacz.

Wreszcie w połowie lutego dostała upragniony list. Na kopercie widniał stempel cenzury. Adam pisał, że tęskni, kocha, że się trzyma, i też dopytywał się o paczki.

*...Viki, o co chodzi? Mama prócz paczek od Ciebie dostała drugą przesyłkę z Niemiec. Z olejem, mąką, szynką, kawą. Od jakiejś Dagmar Braun z Frankfurtu. Nie znamy nikogo takiego...*

Wyjaśniła w odpowiedzi, skąd te przesyłki, co się wydarzyło przez ten czas, i też zapewniała go o swoich uczuciach.

*...Odliczam dni do chwili, kiedy się znów spotkamy. Zobaczysz, jak nauczyłam się grać na gitarze. Sigi trochę grzeczniejszy, a Karin rośnie w oczach. Ma termin na czerwiec. Z kościelnym ślubem czekają na nas. Zrobimy dwa u nas w domu. Wracaj prędko, Adaś. Całuję, tęsknię i bardzo kocham*

*Viktoria*

Nadzieja na szybszy przyjazd Adama pojawiła się w marcu osiemdziesiątego drugiego, kiedy władza ludowa zaczęła wypuszczać na wolność politycznych „wichrzycieli” i pozbywała się ich, wydając paszporty na Zachód. Z ośrodków internowania wyszli wtedy Józek z Jeremim, ale obaj odmówili emigracji. W Polsce włączono już telefony, więc Viktoria mogła zadzwonić do mecenasa Fiertka, żeby zapytać, czy Adam także ma szansę wyjść z więzienia.

– Niestety, jego to nie dotyczy – wyjaśnił w krótkiej rozmowie, podczas której w słuchawce co chwila włączał się komunikat „rozmowa kontrolowana”.

– A amnestia? – spytała zawiedziona. Nie na taką odpowiedź liczyła. – Czy słyszał pan, kiedy mogą ją ogłosić?

– Nie mam żadnych informacji na ten temat.

Odliczała kolejne miesiące i żyła od listu do listu. Te zaś przychodziły nieregularnie. Pisała kolejne artykuły, pomagała przy paczkach, gdyż w Polsce już wszystko było na kartki, i próbowała ułożyć krnąbrnego psa, który za nic miał posłuch.

Z początkiem czerwca Karin urodziła córeczkę. Jerzy oszalał na punkcie Alusi, ale bał się brać na ręce kruszynę, za którą wszyscy w rodzinie

przepadali. Maria częściej przyjeżdżała do Berlina, żeby się nacieszyć maleństwem.

– Dobrze, niech rodzą się nowe dzieci, nowe dzieci to nowe nadzieje – mówiła, kołyszając dziewczuszkę.

Viktoria też hołubiła maleństwo i potęgowała w sobie pragnienie, by wkrótce tulić tak w ramionach swój skarb. Już dawno przestała brać pigułki, żeby się przygotować na ten moment. Współ z Ksawerym zostali rodzicami chrzestnymi Alicji Krystyny Ostojańskiej. Rodzice Jerzego nie mogli przyjechać na chrzest wnuczki, choć poszły do Szczecina zaproszenia. Władza ludowa odmówiła wydania im paszportów. Przysłali dzieciątku złoty medalik i wzruszające życzenia.

Małeńka rosła jak na drożdżach. Nie wiadomo kiedy zaczęła raczkować, potem stawiać pierwsze kroczki. Karin znowu chodziła w ciąży.

– Zawsze chciałam mieć liczną rodzinę, a w moim wieku powinnam się z tym pośpieszyć, mam w końcu trzydzieści lat – wyznała, gdy dzieliła się z Viktorią radosną nowiną.

– Zazdroszczę – westchnęła, przyłożywszy dłoń do rysującego się pod sukienką wypukłego brzucha przyjaciółki. – Też bym tak chciała. Za dwa lata stuknie mi trzydziestka.

– Doczekasz się, zobaczysz – próbowała ją pocieszać Karin. – Wszystko się ułoży. Może wreszcie ogłoszą tę amnestię? Czytałam w gazecie, że przed tygodniem milicja pobiła jakiegoś ucznia w Warszawie i chłopak zmarł.

– Grzegorz Przemyk, też o tym czytałam, straszne. – Viktoria się wzdrygnęła. – Od razu zobaczyłam przed oczami, jak bili Adama, bandyci.

Z początkiem maja, kiedy przez Polskę przetoczyła się fala prosolidarnościowych protestów, Wojtuś przystąpił do pierwszej komunii. Viktoria wysłała chłopcu garniturek i elektroniczny zegarek w prezencie. W odpowiedzi otrzymała fotografię z uroczystości. Jerzy też przyglądał się zdjęciu.

– Urósł – rzekł krótko, wskazując na chłopca.

Może domyślał się prawdy, tylko skupiony na swojej rodzinie i warsztacie, jaki przy wsparciu finansowym babci oraz Olka właśnie otwierał w Berlinie, nie chciał jej do siebie dopuścić? A może rzeczywiście niczego nie był świadom? Viktoria nie potrafiła tego odgadnąć z jego twarzy.

– Wiesz, że papież przyjeżdża w czerwcu z drugą pielgrzymką do Polski?  
– zagadnął, odkładając zdjęcie.

– Wiem, może z tej okazji wreszcie ogłoszą amnestię.

Uczepiła się tej możliwości jak kleszcz. I rzeczywiście, miesiąc po pielgrzymce papieża prymas Józef Glemp zaapelował do marszałka sejmu o uchwalenie amnestii i zaprzestanie represji. Viktorii niemal rosły skrzydła u ramion, gdy w połowie lipca oficjalnie zniesiono stan wojenny i wreszcie ogłoszono upragnioną amnestię. Niestety, nie objęła ona Adama. Miał za wysoki wyrok. Była zdruzgotana.

*...Nie załamuj się, kochanie – pisał w trzydziestym trzecim liście. – Musisz się trzymać, ja się trzymam. Może za rok się załapię, jak ogłoszą następną amnestię? A nawet jeśli nie ogłoszą, połowa kary już za mną. Pomyśl, jakie to będzie powitanie, gdy się spotkamy. Wiesz, mam sporo projektów tego domu, ale jeden podoba mi się szczególnie. Taki w stylu szlacheckiego dworku. Nie wiem tylko, czy mają być kolumny przed wejściem? A propos, wybrałaś już sukienkę na ten drugi ślub? Czy może być niebieska? Aha, Magda zdała maturę. Całuję, tęsknię, Kocham*

Adam

Sięgnęła po papeterię i prędko napisała odpowiedź:

*...Będzie niebieska. O Madzi wiem, rozmawiałam z mamą, a kolumny muszą być koniecznie. Dzieci będą miały gdzie się bawić w chowanego. Alusia jest taka słodka, że chyba ją zjem. Chcę mieć trzy takie córeczki. Wracaj prędko, bo usycham bez Ciebie. Całuję, tęsknię, Kocham*

Viktoria

Tygodnie zmieniały się w miesiące, w Lorelei kończyło się kolejne winobranie. Peter zaczął następny rok budownictwa. Anna miała zadowalające wyniki, zaokrągliła się trochę, więc Viktoria odetchnęła.

W październiku Zuza wyszła za mąż i przeniosła się do Koszalina. Niedługo później Karin urodziła Jasia. Jerzy już otworzył swój warsztat. Viktoria wróciła wcześniej do Berlina, żeby napisać zamówiony reportaż

o Wałęsie, który dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Opatrzyła tekst zdjęciami, jakie miała jeszcze ze stoczni, i wysłała całość do gazety. Tylko kasety, którą Adam nagrał wtedy na Powązkach, jeszcze nie wykorzystała, żeby mu nawet przypadkiem nie zaszkodzić.

Zaczął się kolejny rok. Listy od Adama przychodziły coraz rzadziej, aż wreszcie przestały.

– Mamo, co się dzieje? – zapytała podczas rozmowy telefonicznej z Zofią Dońską. – Już drugi mój list pozostaje bez odpowiedzi. Odchodzę od zmysłów.

– Nic ci nie powiem, córciu. – Tamta chlipnęła w słuchawkę. – Mnie też nie pozwalają na widzenia. Ostatni raz widziałam Adasia na początku lutego, a zaraz przecież Wielkanoc. Zmienił się naczelnik, może to dlatego? Może podnieśli rygor albo Adam komuś podpadł? Gdyby coś się stało... – głos jej się załamał – musieliby nas powiadomić.

– Niech mama nawet tak nie myśli – ucięła stanowczo Viktoria. – Zadzwońię do mecenasa Fiertka.

– Dobrze, i dziękuję, córciu, że nam pomagasz i trwasz przy Adasiu.

– Przecież go kocham, jak nikogo na świecie.

Tymczasem niedługo po tej rozmowie Olek przywiózł opublikowany w podziemnej prasie list otwarty więźniów z Barczewa do generała Jaruzelskiego o stosowanych tam represjach.

– Bicie, polewanie wodą na mrozie, klatki... – Litery tańczyły Viktorii w oczach, gdy to czytała. – Wsadzają ich do... klatek? Adam nic o tym nie pisał, nawet między wierszami. Wręcz przeciwnie, zapewniał, że czuje się świetnie.

– A jak miał o tym napisać, kiedy korespondencja jest kontrolowana? – zauważył rozsądnie Aleksander. – Dodawał ci odwagi tymi listami i sobie pewnie też. Dotąd nie mogę się nadziwić, jaki cud sprawił, że w osiemdziesiątym mogłaś się z nim zobaczyć.

– To chyba naprawdę był cud.

– Ojciec Święty też się zainteresował losem więźniów z Barczewa. Tam siedzi dużo politycznych. Z tego, co udało mi się ustalić, Adam jest z nimi. Wielu więźniom nie pozwalają pisać listów do rodzin, to też forma represji, ale musicie wytrwać. Nie takie rzeczy człowiek jest w stanie przetrzymać. Coś o tym wiem.

– Ja wytrwam, boję się jednak o Adama.

– On też sobie poradzi. Wie, że na niego czekasz. – Poglądził ją po włosach. – Może nie powinienem pokazywać ci tej bibuły, ale uznałem, że lepsza najgorsza prawda od niepewności.

– Też tak sędzę.

– Zajrzę do Jurków zobaczyć najmłodsze pokolenie Ostojańskich. A wiesz, że Zuzanka również jest przy nadziei?

– Tak? – rzuciła bez specjalnego zainteresowania Viktoria.

Nic nie było w stanie tchnąć w nią ducha prócz wieści od Adama, nawet praca, która coraz mniej ją pochłaniała.

Jak przeżyła kolejne miesiące, nie miała pojęcia. Trochę pisała, trochę pomagała Karin przy dzieciach. Próbowwała szkolić psa, lecz bez większego efektu. Aby opanować stres, wypijała wieczorami kilka lampek wina. Prędko jednak się zorientowała, że pije coraz wcześniej i coraz więcej, więc zaczęła biegać. Ten sposób na rozładowanie napięcia okazał się skuteczniejszy.

Szukała w sklepach najpiękniejszych błękitów na suknię ślubną i sama rysowała projekty utkane bardziej z marzeń niż cieniutkiej jak pajęczynka tkaniny. Codziennie też wyglądała listonosza, lecz przychodziły jedynie rachunki lub listy od Lilki albo Maksa, a wytęsknionej przesyłki z Barczewa wciąż nie było. Co wieczór o dziesiątej szczególnie intensywnie myślała o Adamie. Gładziła wtedy obrączkę na palcu zapatrzona w jego zdjęcie i zyskiwała odrobinę otuchy. Była pewna, że on o tej porze też o niej myśli.

Przyszło kolejne lato. W lipcu ogłoszono następną amnestię. Dwa dni później wreszcie dostała upragnioną wiadomość. Trzy słowa napisane wielkimi drukowanymi literami.

### *WYCHODZĘ, PRZYJEŹDŹAM, KOCHAM*

Szalała z radości. W połowie sierpnia osiemdziesiątego czwartego roku, w przeddzień swoich dwudziestych dziewiątych urodzin, od rana wyczekiwała na dworcu pociągu z Warszawy. A kiedy po kilku godzinach wtoczył się na peron oczekiwany skład i zaczęli z niego wysiadać podróżni z bagażami, od razu dostrzegła między nimi tego, który od dawna wypełniał jej sny.

Stanął przed nią wychudły, szerniały, z włosami ostrzyżonymi na języka, w czarnym ubraniu, z wielkim plecakiem na ramieniu. W ręku trzymał białą różę. Na palcu połyskiwała mu obrączka. Przez chwilę tylko na siebie patrzyli, oboje tak samo wzruszeni, pragnąc nasycić sobą wzrok po czterech latach niewidzenia, a potem wreszcie zamknął ją w ramionach, unosząc lekko nad ziemię.

– Adaś... – zdołała jedynie wydusić przez ściśnięte gardło. Słyszała, jak dudni mu serce. Była gotowa szczytać się w rękę, czy to nie sen.

– Marzyłem o tym w każdej sekundzie bez ciebie.

Zapatrzeni w siebie nawzajem, nie dostrzegli komitetu powitalnego, który właśnie wszedł na peron: rodzice, Peter, babcia, Olek i młodzi Ostojajscy z dziećmi. Wszystko przestało się liczyć, ważna była tylko ta jedna wytęskniona chwila.

## Rozdział XXV

# A mury runą...

*Berlin Zachodni, 1989–1990*

Maria kręciła biodrami kółka do dyskotekowej muzyki i naprzemiennie wyciągała nad głowę ramiona:

– Raz, dwa, raz, dwa... – Nieco zadyszana liczyła razem z Jane Fondą.

Ubrana podobnie do instruktorki, w kolorowy strój: opaska na czole, legginsy, body i getry, wykonywała ćwiczenia zgodnie z kursem aerobiku na kasecie. Ćwiczenia pomagały utrzymać w formie starzejące się ciało. Siedemdziesiąt cztery lata to nie przelewki, ale wypowiedziała wojnę swojemu wiekowi.

Dzięki temu zachowała w miarę dobrą figurę i zyskiwała energię, zwłaszcza w takie ponure listopadowe dni jak ten dziś. Choć energii i bez ćwiczeń miała w nadmiarze, odkąd w rodzinie wszystko zaczęło się pomyślnie układać.

Po pierwsze, Anna była już w pełni zdrowa. Dla Marii większego szczęścia nad to nie było trzeba. Cieszyła się też z kolejnych ślubów w rodzinie i dzieci, które obficie sypały się na świat...

Jak na zawołanie z mieszkania Karin i Jerzego doleciały odgłosy dziecięcej przepychanki, której towarzyszyło szczekanie psa. Pewnie zaraz wszyscy tu przybiegną skarżyć jedno na drugie, a ona będzie musiała pogodzić czwórkę rozbrykanych szkrabów; ciotecznych wnuków i własnych prawnuków, bawiących się z kuzynami piętro niżej.

W nadziei, że ma jeszcze chwilę względnego spokoju na relaks, ułożyła się na macie, żeby na koniec ćwiczeń zrobić świecę. Mimowolnie nasłuchiwała kroków na schodach. Dziecięcych, psich albo Józka, który niezbyt sobie radził z panowaniem nad żywiołową gromadką.

Przyjechał wczoraj do Berlina, żeby obwieścić jakąś nowinę, ale czekał z tym, aż zjawi się reszta rodziny. Odkąd w Polsce nie trzeba było oddawać



paszportów, odwiedziny w Berlinie Zachodnim praktycznie odbywały się bez ograniczeń.

Ledwo podparła biodra i uniosła wyprostowane nogi nad głowę, na klatce schodowej rozległ się tupot, wrzask i do mieszkania wpadł huragan. Najpierw Sigi, a za nim czwórka maluchów: siedmioletnia Alusia, rok młodszy Jasiek oraz pięcioletnie bliźniaki Dońskich, Szymek i Tymek, w identycznych dresikach i podobni do siebie jak krople wody.

Jej prawnuki, urwisy jakich mało, ale kochała ich nad życie. Tak samo jak cioteczne wnuki, Alusię i Jasia.

– Babciu, babciu, a Jasiek powiedział, że jestem głupia! – poskarżyła się od razu ciemnowłosa, ciemnooka dziewczynka i nakrzyczała na brata: – Sam jesteś głupi, bo się wyzywasz! Powiem tatusiowi!

– Skarżypyta! I nie umiesz grać w piłkę! Puściłaś szmatę! – wrzasnął podobny do siostry chłopczyk, pokazał jej język i pobiegł do kuzynów, wołając: – Kopnij do mnie, Tymek, a Szymek idzie na bramkę. Będzie dwa do jaja.

– Alka z nami nie gra, bo to baba. – Tymek solidarnie pokazał dziewczynce język.

– A właśnie że gram, głupi! – Wojowniczo tupnęła nóżką. – Jestem najlepsza w ataku! Wujek Peter tak powiedział, a on się zna lepiej niż ty!

Spokój, tylko spokój, mówiła sobie w duchu Maria.

– Dzieci, nie kłóćcie się tak... – zaczęła, podnosząc się z maty, lecz nim zdążyła wstać, nieokiełznana gromadka już ustawiła krzesła w pokoju, żeby zrobić z nich bramkę. Zaczęli kopać dziecięcą piłkę, emocjonując się przy tym jak na prawdziwym boisku. Sigi, najbardziej niewychowany pies świata, ale najbardziej kochany, ganiał między nimi, poszczekując zadowolony, choć dawno przestał być szczeniakiem.

– Nie tak głośno, pół tonu ciszej. – Maria próbowała opanować żywioł, lecz było to niemożliwe. Z drugiej strony radości, jaką wносиły w jej życie dzieciaki, nie dało się niczym zastąpić. Wprowadziła jednak żelazną zasadę. Choć wszystkie maluchy były dwujęzyczne, u niej mogły mówić wyłącznie po polsku. – Uważaj, Szymuś!

W ostatniej chwili zdążyła złapać wazon, gdy kopnięta z bramki piłka poleciała na stół.

– Ups! – Mały blondynek o niebieskich oczach i łobuzerskim spojrzeniu zakrył rączką buzię. – Nie chciałem, babciu, ale nie mogłem puścić szmaty.

Wujek Peter powiedział, że jestem lepszy niż Dino Zoff.

– Dobrze, drużyno, przerwa, a gdzie macie dziadka? – spytała, zagarniając do siebie całą czwórkę, i mocno wszystkich przytuliła.

– Dziadek mówił, że jeszcze nie kontakci, i powiedział, żebyśmy tu przyszli, bo musi mieć więcej światła – zameldował Jasiek.

– Nie kontaktuje, ty głupi – poprawiła go siostra. – Dziadek naprawia kontakt, bo się urwał.

– Więcej światła – powtórzyła z przekąsem Maria, dodając pod nosem. – Niezły cwaniak. Piętnastu minut nie wytrzymał sam z dziećmi.

– Dotarła cała czereda?

W korytarzu skrzypnęły drzwi i do pokoju wszedł Józef. Trochę przygarbiony, ale nie można było o nim powiedzieć, że niedołączy. Przeciwnie, w ostatnich latach nabrał wigoru. Odmłodziła go polityka, w której wciąż działał, i zmiany, jakie zachodziły w Polsce. Nieprzerwanie nosił w klapie marynarki znaczek Solidarności.

Jednak Maria zbyt dobrze знаła starego uparciucha, by nie dostrzec, że najbardziej odmłodziło go odnowienie kontaktu z Jerzym, wnuki, za którymi przepadał, i udane życie najmłodszego syna i synowej.

– Zrobiłem ten kontakt u Jurków, Karinka rano prosiła. Co to za mężczyzna z mojego syna, że w takich sprawach trzeba go wyręczać? – gderał po swojemu. Zsunął okulary na połowę nosa i popatrzył spode łba na Marię. – A co ty, Maryśka, z tyłkiem na wierzchu między dziećmi paradujesz? Stara baba, a wstydu nie masz za grosz.

– Mój tyłek, mój wstyd, a jak ci przeszkadza, zamknij oczy, poza tym jesteś ode mnie starszy pół roku, staruchu – odparowała, zapominając, że dzieci, choć zajęte zabawą, mają wyczułone uszy.

– Tyłek, tyłek, staruch – powtarzały, chichocząc między sobą.

– Nieładnie śmiać się z babci i dziadka. – Józek pogroził im palcem, ale miał maślane oczy, gdy patrzył na Alusię i Jasia. – Takie zgrzane, jeszcze się przeziębą.

– Nic im nie będzie, mnie też wystarczy na dziś ćwiczeń – odrzekła Maria. – A ty także powinieneś się poruszać, Józek, brzuch ci rośnie.

– Nic mi nie rośnie. – Spojrzał na niewielką wypukłość pod pulowerem. – Na kręcenie tyłkiem przed telewizorem mnie nie namówisz. Wystarczy, że Kryśka wzięła z ciebie przykład. Tak skakała, że skręciła nogę i musiałem przyjechać sam.

– Skręciła nogę, bo nie zrobiła rozgrzewki, a na Jurka nie narzekaj. Pracuje całymi dniami. Karin też się nie oszczędza na dyżurach, więc kiedy mają wolne, chcą odpocząć, pobawić się z dziećmi, a nie robić naprawy w domu. Korona ci z głowy chyba nie spadła? Dziećmi też mogłeś zająć się dłużej niż kwadrans, zamiast przy byle scysji odprawiać je do mnie.

– A czy ja narzekam? – Wzruszył ramionami. – Tak sobie tylko mówię.

– Pierwsza. – Maria spojrzała na zegarek. – Pójdę się przebrać i biorę się do obiadu. Niedługo wszyscy zaczną się zjeżdżać. A ty możesz wziąć dzieci na podwórko z tą piłką i psem, żeby się wyhasały.

– Ja??? – Naprawdę się wystraszył. – Sam na dwór z tą małą bandą??? Jeszcze gdzieś się rozleżą i co?

– Wstyd, Józek, z komuną walczyłeś, a z dziećmi nie dasz sobie rady? Zobacz, jakie to aniołki. Tymek, radio!

Ostatnie zdanie wypowiedziała głośniejszym głosem, gdy chłopczyk tak niefortunnie kopnął piłkę, że trafił w odbiornik, który zachwiał się na półce.

– Aniołki – mruknął Józek. – Z piekła rodem.

– Co chcesz, nasza krew. – Maria się uśmiechnęła. – Nie pamiętasz już, jak walczyliśmy na miecze?

– Miecze, miecze, my chcemy miecze, dziadku! – wołali jedno przez drugie, oblepiając Józka.

Maria ruszyła do swojego pokoju. W korytarzu przystanęła jednak przed ścianą ze zdjęciami. Przez minione lata przybyło na niej sporo nowych. Właściwie tyle ich było, że zaczynało brakować miejsca na tę swoistą kronikę rodzinną. Ze wzruszeniem przenosiła wzrok z fotografii na fotografię.

Ślubne zdjęcie Zuzanny i Marcina. Pobrali się w osiemdziesiątym drugim, rok po tym, gdy Zuza odsiedziała wyrok. Mieszkali w Koszalinie. Marcin skończył SGGW i pracował w centrali nasiennej. Zuzanna dostała angaż w tamtejszym teatrze. Obok wisiało zdjęcie Maksymiliana z wnukiem i wnuczką. Odkąd przed kilkoma laty owdowiał, pomagał Zuzi przy dzieciach.

Na sąsiedniej fotografii uśmiechał się średni z braci Ostojańskich, Ksawery, ze swoją szwedzką żoną, synkiem i córeczką.

Po sąsiedzku wisiało ślubne zdjęcie Rudiego w mundurze pilota. Wciąż mieszkał w Stanach. Ożenił się z Amerykanką, a przed pięcioma laty urodził im się Christian. Klaus, który nabrał więcej pogody ducha

i spokoju, nie zmienił stanu cywilnego. Miewał różne przyjaciółki i wreszcie zacieśnił kontakt z synem z pierwszego małżeństwa. Wspólne zdjęcie z wyprawy obu do Egiptu Maria także umieściła w galerii.

Nie brakowało też w niej innych fotografii, które upamiętniały ważne wydarzenia w życiu rodziny.

Anna i Joachim na tle grupki osób. Po reportażu Viktorii o wschodniopruskich sierotach, które opinia publiczna zaczęła nazywać wilczymi dziećmi, odezwało się do redakcji kilkoro z tych leśnych biedactw, zorganizowali więc spontaniczne spotkanie. Pierwsze i jak dotąd ostatnie. Planowali, że kiedyś wybiorą się w tamte miejsca, aby postawić nad Niemnem jakiś obelisk, który by upamiętniał ich historię. Markus ani Elke nie odezwali się, choć Annie najbardziej zależało na ujrzaniu dawnej podopiecznej.

Dalej zdjęcie Olka na tle furgonu z napisem Caritas. Woził nim dary z Niemiec w czasie stanu wojennego.

Była też komunijna fotografia Wojtka z Lilką. Tak niedawno poszedł do pierwszej komunii, a teraz już kończył ósmą klasę. W sąsiedztwie zdjęcie dumnego Petera, zrobione w dniu, kiedy obronił dyplom inżyniera budownictwa. Mieszkał i pracował w Monachium. Czerpał z życia pełnymi garściami i zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Wczoraj przyleciał do Berlina i wieczorem gdzieś się ulotnił. Nie wrócił do tej pory.

Przeniosła wzrok na zdjęcie Józka i Jeremiego w stoczni, które kiedyś zrobiła Viktoria. A także jej samej podczas pakowania paczek na pocztę, gdy całe Niemcy ogarnęła akcja Polenhilfe.

W tle kadru uchwycony został także ten młody dentysta, z którym Viki była kiedyś przelotnie związana. Chciał wykorzystać okazję, aby ponownie zbliżyć się do dziewczyny. Widząc jednak, że nic nie wskóra, zrezygnował. Parę lat później sprzedał dom, klinikę i razem ze schorowaną matką wyjechał w głąb kraju. Dokąd? Tego Maria nie wiedziała. I prawdę mówiąc, niewiele ją to interesowało.

Jednak ze wszystkich zdjęć, jakie pojawiły się w ciągu ostatnich lat, szczególnie jedno było bliskie jej sercu.

Na skarpie przed domem w Lorelei, w otoczeniu rodziny i przyjaciół, w początku października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku stanęły przed Olkiem, jako kapłanem, dwie młode pary: Viktoria i Adam oraz Karin i Jerzy. Viktoria wystąpiła w przepięknej błękitnej sukni,

z wiankiem kolorowych kwiatów na głowie. Dopięła do niego długi biały welon i wyglądała jak prześliczna nimfa. Karin wybrała dla siebie białą suknię. Urządzony pod ogromnym baldachimem ołtarz tonął w różach.

Pomysł wspólnej ceremonii ślubnej w plenerze podsunął Aleksander. Niestety, tylko Krystyna mogła przyjechać na ślub syna. Józkowi i Jeremiu władza ludowa odmówiła paszportów, podobnie jak Zuzannie oraz matce i siostrze Adama.

Ten zaś nigdy nie chciał wracać do tego, co przeżył w więzieniu. Odciął się od przeszłości, podobnie jak kiedyś bracia Anny i ona sama.

Po ślubie młodzi Dońscy zamieszkali w Małej Oszmiance, a osiem miesięcy później urodziły im się bliźniaki. Viktoria zrezygnowała z pracy w „Die Zeit” i razem z mężem pomagała w prowadzeniu rodzinnej firmy. Gdyby Maria miała jakoś określić ich małżeństwo, przychodziło jej do głowy słowo „wulkan”, ponieważ kłócili się zażarcie, ale też szaleńczo kochali.

A teraz jeszcze dostanie kolejnego prawnuka.

Viktoria wymarzyła sobie dziewczynkę, Adam chciał mieć niespodziankę, ale ona koniecznie musiała sprawdzić. O to też się posprzeczali wczoraj, gdy razem z Anną i Joachimem przyjechali z dziećmi do Berlina. Viktoria, jak zwykle, postawiła na swoim. Umówiła na dziś badanie USG, w nadziei, że skoro minął dwudziesty tydzień ciąży, to już coś będzie widać. Zostawiła synków w domu, żeby nie roznieśli gabinetu, i zabrała Adama ze sobą.

Ciekawe, jaką niespodziankę przyniosą, Maria uśmiechnęła się sama do siebie. I ciekawe, co chce obwieścić Józek, który ściągnął do Berlina, kogo się dało. Lada moment powinien nadjechać z Kolonii Aleksander i Maksymilian z Koszalina.

Ona też miała niespodziankę dla bliskich. Szykowała ją przez lata, jeszcze trochę i będzie gotowa.

– Ty nieprzebrana? – Do korytarza zajrzał Józek. – Bój się Boga, Maryśka, pół godziny tu sterczysz.

– Zapatrzyłam się na zdjęcia. A dzieci? Czemu taka cisza?

– Włączyłem im *Kaczora Donalda* z kasety – obwieścił zadowolony z siebie. – Sigi też ogląda. Pomyślałaś, że tak to się ułoży?

– Co?

– Wszystko. – Zatoczył ręką półkole. – Ustrój nam się zmienia. Wreszcie mogliśmy ojcu i chłopakom postawić ten pomnik w Szczecinie. Jak tak

dalej pójdzie, może da się sprowadzić tu naszego brata z Sowkina albo tam, gdzie leży, też postawić pomnik. Muszę zacząć koło tego chodzić.

– Tu rzeczywiście mógłbyś się włączyć i wspomóc Maksa.

– Już widzę, że bez tego się nie obejdzie. Jeremiemu też muszę pomóc w następnych wyborach. W tych prawie się otarł o mandat w senacie. Pomyśl, Maryśka, nasi wzięli wszystko, co było do wzięcia. Mazowiecki został premierem. – Rozjaśnił się jak słońce. – Ten sam, który był z nami w stoczni w osiemdziesiątym. Myślałaś parę lat temu o takich zmianach? Niemcy Wschodnie też już szumią. Ludzie nie dadzą dłużej trzymać się komunie za kark, ale to od nas się zaczęło. – Dotknął znaczka w klapie marynarki. – Od stoczni i Solidarności...

– Józek, Józek. – Maria stopowała jego polityczne wywody. – Nie męcz mnie polityką. Nie jesteś na wiecu.

– A ja ci mówię, Maryśka, że jeszcze trochę i komuna na dobre padnie. To będzie rewolucja.

– To jest moja rewolucja. – Wskazała na ścianę ze zdjęciami. – Najważniejsza z możliwych. Rodzina, którą mamy. Tylko zobacz, ilu nas jest.

Przyglądał się fotografiom, poprawiwszy okulary na nosie. Dłużej zatrzymał wzrok na zdjęciu Wojtka i zapytał:

– Nie wydaje ci się, że jest podobny do Jerzego?

– Nie, ja tam widzę w nim Lilkę, no, może trochę wuja Ksawerego, ale to naturalne, macie silne geny – odrzekła nieświadoma prawdy.

Skąd miała wiedzieć, że Lilka nie przyjechała na ślub Viktorii, chociaż mogła dostać paszport, żeby nikt, zwłaszcza Jerzy, nie poznał prawdy. Wraz z gratulacjami przysłała Viktorii pamiątkowy krzyżyk z pocerniałego srebra z napisem „Boże, zbaw Polskę” i krótki dopisek.

*W naszej rodzinie jest taka tradycja, że ten krzyżyk przechodzi z matki na córkę. Nie zamierzam ponownie zostać matką, więc przekaz go kiedyś swojej córce, Lilka.*

Na kuchni dochodził rosół i skwierczała kolejna porcja smażonych kotletów, gdy rodzina zaczęła się powoli schodzić. Pierwszy zjawił się

Olek, za nim Maks. Potem Peter, którego nadejście mała banda powitała euforycznym wrzaskiem, i od razu zaczęli kolejny mecz w pokoju.

– Kiwaj Jaśka, Tymek, kiwaj – komenderował kapitan Peter. Grając wraz z nimi, sam przypominał dziecko. Trochę zmęczone po nocnej hulance. – Ala, odbieraj! O tak! I strzelaj!

– Gooool!!! – wrzasnęła Ala, czemu towarzyszyło szczekanie psa.

– Zuch-dziewczyna! Brawo! – Kapitan chwalił i nagradzał oklaskami piszczącą dziewczynkę.

– Dom wariatów. Jeśli potłuczecie choć jeden wazon, popamiętacie! – zagroziła z kuchni Maria, ale niezbyt srogo. Lubiła ten zgiełk.

– Co tam wazon, babciu! – śmiał się Peter. – Ale jaka była bramka!

W korytarzu znów trzasnęły drzwi i usłyszeli Viktorię.

– Ja nie wiem, Adam, z czego ty się tak cieszysz – mówiła z pretensją. – Ten lekarz musiał być ślepy. Po co ja tam poszłam?

– Sama chciałaś wiedzieć – odrzekł pogodnie.

– No i co, wiecie? – Maria wyjrzała z kuchni. Na pobojuwisko w pokoju nie zwróciła uwagi.

Po chwili pojawili się przed nią oboje Dońscy. Młodzi, promienni i jaśniejący miłością, choć Viktoria udawała nadąsaną. Prawie się nie zmieniła przez te lata, tylko trochę skróciła włosy.

– Trzeci chłopak! – zawołał Adam. Chwycił synów pod pachy i zakręcił kółko.

Sigi skakał wokół nich jak oszalały.

– Będziecie mieli braciszka. Byliście grzeczni?

– Tak! Tak! – krzyczeli, machając w powietrzu nóżkami. – Puść, tata, mamy z wujkiem mecz.

– Takie z nich aniołki, aż głowa pęka – mruknął Józek, przeglądając talię kart. Grał z Maksem i Olkiem w tysiąca i zameldował, rzuciwszy zagranie na stół: – Czterdzieści.

– A ja sto. – Maksymilian zrobił to samo i kiwnął głową młodym. – Następny aniołek w drodze, niech się zdrowo rozwija.

– Otóż to, płeć nieważna, ja osiemdziesiąt – odezwał się Olek. Podobnie jak Maksymilianowi przybyło mu kilka zmarszczek i parę kilo w pasie.

– Jeszcze trochę i będzie drużyna piłkarska, gratulacje, szwagier. – Peter poklepał Adama po plecach, uściśnął siostrę. Ta ucałowała w locie wyrywających się do zabawy synów.

– A tak chciałam dziewczynkę! – jęknęła z udawanym zawodem, gładząc się po brzuchu. Chłopca też będzie kochać. I będzie jeszcze szczęśliwsza, choć nie jest to już chyba możliwe. – Muszę przecież przekazać córce ten krzyżyk, a więcej dzieci nie planuję. Ten lekarz na pewno się pomylił. To dziewczynka. Już nawet imię wybrałam. Aleksandra. Oleńka.

– Tak jak nasza mama... – odezwał się miękko Olek. Maria także poczuła, że coś ściska ją w gardle. Przytuliła wnuczkę.

– Będzie, co ma być, najważniejsze, żeby dzieciątko było zdrowe.

– Racja – przytaknęła Viktoria. – Rodziców jeszcze nie ma? Karin pracuje do wieczora, ale Jerzy zaraz powinien być. Jestem głodna jak wilk. Adaś też marudził, że go ssie.

– Rodzice wybrali się na randkę i będą trochę później. Już po czwartej, nakrywajcie do stołu – zarządziła Maria.

Przyszedł także Jerzy i przywitał się ogólnym:

– Czołem, rodzinko!

Miał niewielki zarost, śmiejące się oczy i włosy lekko przyprószone siwizną. Dzieci od razu przybiegły witać ojca i paplały jedno przez drugie:

– Strzeliłam gola, tata! A Jasiak powiedział, że jestem głupia!

– Alka też się wyzywa! I mówi, że jestem głupi, a to ja pomogłem strzelić gola!

– Później o tym pogadamy, najpierw jeść, zmykajcie umyć łapki – odprawił dzieciaki do łazienki i, jeszcze w kurtce, spytał: – Mów, o co chodzi, ojciec, bo z ciekawości nie mogłem wytrzymać w pracy. Karin też dzwoniła, czy już coś wiem.

– No właśnie – poparła go Maria. – Nie trzymaj nas w niepewności.

Chwilę później, gdy siedzieli przy dość późnym obiedzie, Józef wreszcie zdradził bliskim, z czym przyjechał.

– Kombinowałem latami, jak kupić ziemię na ten nasz dom – zaczął opowiadać. – Objeździłem całe Olsztyńskie. Ziemi tam bez liku, ale my nie rolnicy, a to szkopał. Aż wreszcie znalazłem miejsce i sposób.

– Do brzegu, Józek, do brzegu. – Maks machał ręką. – Bez wstępów.

– W Rogożu pod Lidzbarkiem Warmińskim gmina ma jeszcze do sprzedania po przesiedleńcach ładny kawał gruntu z Państwowego Funduszu Ziemi. Dwadzieścia hektarów. Pagórki, lasy, łąki, prawie jak nasze Ostojany. I niedrogo chcą za hektar. Problem w tym, że trzeba być rolnikiem, żeby to kupić. A twój zięć, Maks, to przecież rolnik, skoro po



SGGW. Marcin może wziąć na siebie tę ziemię, przepisze ją na Zuzię i możemy zacząć stawiać dom. Co sądzicie o moim planie? – Popatrzył po wszystkich z tryumfującą miną. – Moim zdaniem lepszego nie wymyślimy.

– W sumie ma to ręce i nogi. – Olek skubał się w brodę. – Trzeba tam pojechać, obejrzeć, naradzić się, czy miejsce wszystkim się podoba, pomówić z Marcinem, pieniądze są, więc można zacząć działać.

– A może jeszcze poczekać? – zapytał Maks. – Może Lusia ma rację, że odzyskamy naszą ziemię w Ostojanach? Czekaliśmy tyle lat, możemy jeszcze trochę. Nie wiadomo, do czego doprowadzi pierestrojka Gorbaczowa.

– Może to i racja. – Olek się zadumał. – Rok, dwa nas nie zbawi, jeśli zaczekamy z realizacją pomysłu Józka. Możemy jednak zacząć na poważnie wybierać projekty, które zrobił Adam. Mnie najbardziej podoba się ten w stylu dworku, z kolumnkami na ganku. Taki klasyczny.

– Inżynier też już jest – zgłosił się od razu Peter. – Aż tak drogo nie wezmę, jakby co. Jeśli konstruktor dobrze wyliczył, postawię taki dom, że nasze wnuki przetrzyma.

– Dobrze wyliczyłem – odezwał się trochę zamyślony Adam.

Bezwiednie wrócił wspomnieniami do więziennej celi.

Pierwsze szkice robił tam, dopóki mógł. Później rysował w głowie, między biciem a biciem, na twardej pryczy, przykuwany do niej kajdanami, w dusznej, zagrzybionej norze bez wentylacji i z kubłem na nieczystości. Tylko te wizje domu i myśl, że najukochańsza na świecie istota gdzieś tam na niego czeka, pozwalały mu przetrwać cztery lata gehenny i zmarnowanego życia.

Siostrze też je zmarnował. Przez niego Magdy nie przyjęto na studia. Chciała iść na historię sztuki, a skończyła na posadzie animatorki w podrzędnym domu kultury. Jedyne, co mógł zrobić, to przepisać na nią wkład mieszkaniowy, żeby miała własny kąt.

Kuba też się od niego odsunął ze strachu, że wywalą go z uczelni, ponieważ zadawał się z elementem wrogim politycznie. Pal go diabli, nie był prawdziwym przyjacielem. Z Agą i Izą także stracił kontakt. Pierwsza ponoć związała się z kimś innym, drugiej był wdzięczny za zeznania. Tak samo jak Zuzannie, choć na dnię duszy wciąż nosił poczucie krzywdy i skrywany żal, że wpakowała go w bagno.

– Jestem, Adaś, tamto minęło – szepnęła mu do ucha Viktoria, gdy odpłynął myślami.

– Wiem. – Pocałował ją w skroń, odganiając wewnętrzne chmury.

Gdyż mimo takich czy innych rozterek i poniesionych strat zyskał więcej, niż stracił. Miał wspaniałe dzieci i żonę. Jego najwierniejszy przyjaciel. Jego miłość. A nawet jeszcze nie zabrał jej w te cholerne Bieszczady. Może za rok, dwa się uda, jak to trzecie podrośnie. Też wymarzył sobie dziewczynkę, tak zadziorną jak jej mama.

Pokój na powrót wypełnił się chaotyczną rozmową o przyszłym domu i zakupie ziemi. Fachowcy omawiali sprawy techniczne prawie do wieczora. Małe urwisy bawiły się w berka, a pies biegał z nimi. W takim rwetesie nie słyszeli narastającego zamieszania na zewnątrz.

Wreszcie przyszli też Anna i Joachim, oboje wyraźnie czymś podminowani.

– Nie wiecie, co się dzieje? – zapytała Anna.

– Babcia! Dziadek! – Bliźniaki okrążyły ich w biegu i jak wichry pognały dalej.

– A co ma się dziać? – zdziwił się Peter. – To ja się pytam, czemu was tak długo nie było?

– Nie słuchacie radia? – Joachim tak jak stał, w palcie i kapeluszu, poszedł włączyć odbiornik, nie przestając mówić. – Przed półgodziną rząd NRD ogłosił otwarcie granic z RFN i Berlinem Zachodnim dla swoich obywateli. Od czwartej rano będzie można swobodnie się poruszać. Ludzie już zaczęli burzyć mur! Po obu stronach! Wyjrzyjcie na ulicę.

Wszyscy rzucili się do okien.

Było już ciemno, ale w blasku latarni zobaczyli na zewnątrz mnóstwo podekscytowanych ludzi. Każdy, czym miał, tym próbował kruszyć betonową barierę, która przez dwadzieścia osiem lat dzieliła świat na pół. Echo odbijało rozbrzmiewające z zewsząd uderzenia młotków, mesli i przecinaków. Wszędzie czuło się ludzką euforię. Sąsiedzi z kamienicy też wybiegali z klatki schodowej wyposażeni w narzędzia.

– Miałam nadzieję, że dożyję tego dnia. – Maria wzniosła oczy w sufit. Jej serce z emocji uderzało szybciej.

– Pamiętam, jak go budowali. – Viktoria stała z nosem przy szybie, obejmując synków, wsparta plecami o Adama. – Robiłam wtedy pierwsze zdjęcia. A teraz go burzą. Dziwnie będzie patrzeć na świat bez tego muru.

– I jaki będzie świat bez niego? – dodał Adam.

– Lepszy – odrzekła bez wahania i zwróciła się do synków: – Przynieście, chłopcy, mój aparat, trzeba to uwiecznić.

Malcy, zafrapowani przejściem dorosłych, pobiegli spełnić polecenie.

– Urodziłem się tego dnia – odezwał się z nostalgią Peter, choć nie był skłonny do podobnych wzruszeń.

– Chyba nie będziemy stać jak mumie. – Jerzy spojrzał po rodzinie. – Wałęsa przeskoczył jeden mur, my zburzymy drugi.

– Tak jest! – podchwycił Peter. – Nareszcie rozumiem, dlaczego zostałem inżynierem. Żeby rozpieprzyć ten mur.

– W mieście dzieje się jakieś szaleństwo! – Do mieszkania weszła podekscytowana Karin. Przytuliła dzieci, cmoknęła się z mężem, nie przestając opowiadać. – Ludzie wdrapują się na mur, nikt do nich nie strzela, tańczą, otwierają szampana, gra muzyka, trąbią klaksony samochodów. Chodźmy na ulicę.

– Panie i panowie, młotki w dłoń – zarządził Maksymilian. – Chcę znów zobaczyć świat bez tego muru.

Nastąpiło gorączkowe poszukiwanie młotków, gdyż w takiej liczbie Maria ich nie miała. W końcu znaleźli w piwnicy kilka narzędzi, które jako tako nadawały się do burzenia.

– A kto zostanie z tą czeredą? – spytał rozsądnie Józek, wskazawszy na dzieci, kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia.

– Czereda pójdzie z nami – powiedział Joachim. – Mają tyle energii, że sami rozwalą ten mur, a jak się namachają młotkami, będą lepiej spać. Poza tym nie możemy im odbierać lekcji historii.

Do rana w Berlinie, po obu stronach miasta, trwała zbiorowa euforia i chyba nikt tej nocy nie spał. Mur znikał w oczach. Obcy ludzie, dotąd przedzieleni żelazną kurtyną, zaczęli padać sobie w ramiona. Zachodnią część miasta zapełniło mnóstwo wartburgów i trabantów, wschodnią bmw i audi. Trwała niesłychana feta.

Kilka dni później światowe media nadal żyły upadkiem muru w Berlinie. Na ulicach, gdzie wciąż leżały gruzy, coraz głośniej mówiło się o zjednoczeniu Niemiec. W mieście zaroilo się od turystów z całego świata. Robili sobie zdjęcia na tle szczątków zapory, zabierali na pamiątkę kawałki rumowiska.

W wietrzny, mglisty deszczowy dzień Maria wracała z wydawnictwa. Przedwczoraj pożegnała rodzinę i znów miała mieszkanie tylko dla siebie, ale ta nieznośna cisza zaczęła jej już ciążyć. Osłonięta parasolką, energicznym krokiem zbliżała się do swojej kamienicy.

W zatoczce przy chodniku, pomiędzy walającym się gruzem, stał wsparty o laskę starszy mężczyzna. W długim, szarym płaszczu, w kapeluszu, przygarbiony, jakby dźwigał na plecach zbyt ciężkie brzemię.

Było w nim coś znajomego. Zwolniła kroku, wytężyła wzrok. On też na nią patrzył. Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Siergiej... – powiedziała bezgłośnie, wciąż nie dowierzając, że to on. Wyglądał na wycieńczonego czy chorego.

– Marysia... – Głos mu drżał, gdy z trudem wypowiedział jej imię.

Przytulili się do siebie bez dalszych słów. I nagle ożyły w niej dawne uczucia, które przez lata uśpił czas.

– Chodź na górę, namarzęd się, gdzie masz walizkę? – pytała, wciąż nie mogąc uwierzyć, że oto zjawił się tu po tylu latach. Ujęła go pod ramię, żeby pomóc mu iść.

– Teraz jestem John Wilson, a walizkę mam w hotelu. – Zawstydzony słabością ciała, starał się choć nadać głosowi mocniejszy ton. – W nocy przyleciałem ze Stanów. Musiałem cię jeszcze zobaczyć.

– Pomówimy w domu. Powinieneś odpocząć, zagrzać się i coś zjeść.

– W domu... – powtórzył w taki sposób, że Marii ścisnęło się serce. W tym jednym słowie był bezkres tęsknoty.

Powoli, krok za krokiem, szedł po schodach, przystając między piętrami, nim poblady z wysiłku wdrapał się na drugie piętro. Cały czas podtrzymywała go pod rękę. Pomogła mu zdjąć płaszcz w korytarzu i dopiero wtedy zobaczyła, jak Siergiej jest wyniszczony.

Elegancki, szary garnitur po prostu na nim wisiał, kołnierzyk idealnie białej koszuli znacznie odstawał od szyi. Włosy też miał przerzedzone. Nie musiał nic mówić – i bez tego widziała, że jest chory.

Siergiej popatrzył na zdjęcia na ścianie, a gdy zobaczył swoje, blade uśmiech rozjaśnił jego pomarszczoną twarz.

– Nie zapomniałaś o mnie.

– Nie mogłabym.

– Pamiętam tamten dzień, kiedy Viki zrobiła nam te zdjęcia. – Wskazał pouciane postaci na starej fotografii. – To ona? – spytał, przypatrując się

zdjęciu Viktorii.

– Tak, a to jej mąż, Adam, to dzieci, a to Peter, nasz... wnuk, to Anula...  
– mówiła, chaotycznie pokazując zdjęcia. Coś jej się zrobiło z głosem, że wibrował poza kontrolą, i drżały jej ręce.

– Śliczna dziewczyna wyrosła z naszej wnuczki, wnuk także przystojny. Podobny do Joachima. Ty też nic się nie zmieniłaś, Marysiu, wciąż jesteś tak samo piękna.

– Baju, baju – zaśmiała się, żeby odegnać żal, który w niej wzbierał. – Chodź do pokoju, zaraz podam obiad. Mam wczorajszy krupnik i kurczaka, tylko obiorę kartofle. Wtedy sobie spokojnie pogadamy, ale najpierw zrobię ci herbaty. Mam też kawałek drożdżówki.

Zaprowadziła Siergieja do pokoju, a sama poszła do kuchni. Drżały jej ręce, gdy nastawiała czajnik. Z pokoju rozległ się wiosenny walc Chopina. Siergiej nie grał już tak wprawnie jak wcześniej. Gubił nuty, mylił się, to też sprawiało jej ból. Nie chciała, by widział jej łzy.

Jadł obiad małymi kęsami, łykał je powoli, z wysiłkiem. Rozmawiali o tym i owym. Najpierw ona opowiadała chaotycznie, co u niej, choć nie mogła wyzbyć się wrażenia, że on i tak wszystko wie.

– Wiesz, prawda? – upewniła się dla zasady. – Choć nie było cię tyle lat, wiedziałeś o mnie prawie wszystko.

– Wiedziałem. Miałem swoich informatorów, nie po to, żeby cię śledzić, Marysiu, ale by nad tobą czuwać.

– Informatorów – powtórzyła jak echo. – I pewnie się nie dowiem jakich.

– Wybacz. Nadal tu pracują, nie mogę ujawnić, kim są, ale to nikt, kogo znasz. Berlin jest usiany szpiegami.

– Pod tym względem nic się nie zmieniłeś – westchnęła. – Mów, co u ciebie. Dlaczego przyjechałeś tak nagle? Co się z tobą działo przez te lata? Ożeniłeś się? Masz rodzinę?

– Nie ożeniłem się, ale kobiety miałem. – Uniósł lekko kącik ust. – Mieszkałem tu i tam. Trochę w Pensylwanii, trochę w Illinois, trochę uczyłem muzyki, prowadziłem niewielki antykwariat, ot tak, różnie to bywało. A przyjechałem, bo już nikomu tym nie zaszkodzę, choć złamałem żelazną regułę, ale musiałem cię jeszcze zobaczyć. – To rzekłszy, pocałował ją w rękę. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Marysiu.

– Jestem. A ty?

– Też, bo znów widzę ciebie. Chciałem także na własne oczy ujrzeć świat, który się kończy, więc gdy zobaczyłem w telewizji, jak burzą ten mur, od razu wsiadłem w samolot.

– Pewnie wymęczyła cię podróż.

– Nie za bardzo – skłamał. Męczył go każdy oddech, lecz teraz nie zamierzał się tym przejmować, skoro udało mu się wreszcie dotrzeć do celu. Marzył o powrocie od dnia, w którym wyjechał. – Możesz mi coś zagrać, Marysiu? Tego walca, mnie już tak dobrze nie wychodzi.

Grała więc Chopina na lekko rozstrojonym pianinie. Siergiej słuchał, podparwszy ręką głowę. Zdawał się drzemać, lecz gdy się potknęła w jakimś akordzie, poprawiał:

– Bardziej *adagio*, teraz dobrze.

Chciał jeszcze posłuchać Beethovena, więc zagrała *Dla Elizy*, gdyż tylko to znała na pamięć. Skończyła krótki koncert i spytała, wstając od pianina:

– Kiedy wracasz do Stanów?

– Nie wracam. Tutaj jest wszystko, za czym tęskniłem. Dziękuję za obiad, pojedę już do hotelu. Mogłabyś zamówić mi taksówkę?

– Jesteś chory, tak?

– To aż tak widać? – W tym ni pytaniu, ni stwierdzeniu zabrzmiało zażenowanie.

– Widać.

– No cóż. – Zrobił minę pogodzonego z losem. – Mam nowotwór rozsiany. Wyczerpałem wszystkie możliwości leczenia i nie zostało mi zbyt wiele czasu. Chciałem cię tylko zobaczyć, nim to się stanie. Dlatego przyjechałem. Zamów, proszę, taksówkę. Jestem umówiony z pielęgniarką, która będzie mnie doglądać.

– Nigdzie nie pójdziesz – sprzeciwiła się stanowczo. – Ja jestem pielęgniarką, a ty zostaniesz tutaj.

– Nie trzeba, Marysiu... – zaczął, choć w głębi duszy niczego tak nie pragnął, jak umrzeć przy tej kobiecie, którą przez lata nosił w sercu. Nawet jeśli to największy przejaw egoizmu, chciał być egoistą.

– Nie denerwuj mnie, Ospowaty. – Nazwała go dawnym określeniem, z czasów, kiedy jeszcze byli wrogami, i ujęła pod rękę, żeby pomóc mu wstać. – Wciąż jesteśmy małżeństwem, potrafię się zająć własnym mężem, a to nadal twój dom. Chodź, powinieneś się położyć. Tylko zmienię pościel.

– Dziękuję – rzekł, przyłożywszy głowę do czoła Marii. Pogładziła go delikatnie i zacisnęła powieki, żeby nie dać wypłynąć łzom.

– Ale pielęgniarce poproś. Nie chcę, żebyś zmieniała mi pieluchy. Jeszcze jestem mężczyzną.

– Dobrze, mój mężczyzno.

Siergiej nie był wymagającym pacjentem. Niczego nie chciał, prócz tego, żeby mu czasem coś zagrała albo tylko posiedziała obok. Na ból też się nie skarżył, choć cierpiał. Zastrzyki z morfiny, które dostawał co cztery godziny, tylko na krótko łagodziły cierpienie. Coraz mniej jadł i coraz więcej spał. Nie chciał też widzieć nikogo z rodziny albo raczej nie chciał być widziany w takim stanie.

– Powiesz im, kim naprawdę byłem... gdy już... – nie dokończył.

– Dobrze, kochanie. – Siedziała przy nim, gładziła go po ręce obciążonej pergaminową skórą i łykała łzy, że odchodził człowiek, którego też przecież kochała.

– Zostanie po mnie... – Wciągnął głęboki haust powietrza. – Ze trzydzieści tysięcy... dolarów... dla ciebie...

– Ciii... – Przyłożyła dłoń do jego policzka, przytknęła usta do czoła. – Mówienie cię męczy. Pieniądze to nie wszystko. Najważniejsze, że wróciłeś do domu.

Nie miał już siły, żeby powiedzieć więcej, ale w jego gasnących oczach dostrzegła ulgę, spokój i miłość.

Umarł we śnie tydzień później. Trzymała go za rękę, jak kiedyś swojego ojca i potem Andrzeja. Prócz żalu czuła spokój, że dane jej było odprowadzić także Siergieja na drugi brzeg. On też był ważny w jej życiu. Został pochowany jako John Wilson.

W czasie jego choroby nikogo nie zapraszała do domu, nikomu też nie zdradziła, że Siergiej wrócił. Dowiedzieli się o wszystkim, gdy już odszedł, i dla wszystkich stanowiło to spore zaskoczenie. Maria zaś, prócz żalu, czuła też ulgę, że mogła wreszcie wyjawić, kim naprawdę był Siergiej Iwanow.

– A to nas cwaniak wykiwał! – powiedział z uznaniem Józek. Przyjechał do Berlina, bardziej żeby zobaczyć się z wnukami, niż pożegnać szwagra, którego nigdy go nie poznał.

– Zawsze wydawał mi się podejrzany, za dużo wiedział – stwierdził Maksymilian. – A okazał się bohaterem. Wstyd, że osądzamy ludzi po pozorach.

– Ja też się tego nie spodziewałam – dodała Anna. – Szkoda, że nie zobaczyłam Siergieja przed jego śmiercią. Powinnam go przeprosić. Teraz wszystko rozumiem.

– Nie miał do ciebie żalu – powiedziała Maria, wsuwając rękę pod ramię córki.

– Viki nie mogła przyjechać na pogrzeb, źle znosi ciążę, a Peter ma oddanie budowy. Jak ty się trzymasz, mamó?

– Jest mi bardzo smutno, że odszedł, ale życie toczy się dalej – westchnęła, poprawiając wiązanekę z białych róż na grobie męża. – Życie i śmierć, miłość i nienawiść, smutek i radość zawsze chodzą w parze. Wierzę, że niebawem przyjdzie radość. Następne narodziny.

A jednak intuicja nie myliła Viktorii.

Z początkiem marca dziewięćdziesiątego roku urodziła upragnioną córeczkę, której dała na imię Oleńka. Tuż przed tym, gdy Litwa stała się samodzielnym państwem. Miesiąc później władze ZSRR oficjalnie przyznały, że Katyń był jedną z cięższych zbrodni stalinizmu.

Viktoria, choć zajęta niemowlęciem, odnalazła po latach tamtą kasetę, nagraną na Powązkach, i przekazała ją niemieckiej telewizji. W Polsce zaczęły wyrastać pomniki katyńskie.

Maksymilian z rodzeństwem pojechali do wioski Sowkino, żeby postawić pomnik również Jeremiemu. Opłacili dolarami miejscowego kamieniarza, który cichcem zrobił z granitu krzyż i wyrył w nim napis:

*Jeremi Ostojański 1920–1939*

*Zamordowany żołnierz Wojska Polskiego*

Maria zawiesiła na ścianie kolejne zdjęcie. Może ktoś już rozebrał ukryty w lesie nagrobek albo zamalował napis, lecz wolała wierzyć, że wciąż tam stoi pamiątka po niezwykłym chłopcu, jakim był Jeremi, pierwsza miłość Krystyny.



Poprawiała też niespodziankę, którą od dawna szykowała dla rodziny. Musiała ją uzupełnić także o Jeremiego i Siergieja, nim wreszcie zaprezentuje swe dzieło bliskim.

Nie wiadomo kiedy umykały kolejne miesiące. Oleńka rosła jak na drożdżach i zdrowo się chowała. Józek załatwił w gminie sprawę kupna gruntu w Rogózu. Mąż Zuzy zgodził się pośredniczyć w transakcji, więc kompletowali dokumenty i jesienią sprawa była prawie dograna.

I tak zbliżyło się Boże Narodzenie. Lusia zapraszała wszystkich do siebie na święta, ale ze względu na malutką Oleńkę przesunięto rodzinną podróż do Wilna na przyszły rok.

W Wigilię rodzina zjechała do Marii. Było tak ciasno, że konieczne stało się wyniesienie części mebli na korytarz albo upchanie ich po kątach, żeby zrobić miejsce na stół, łączony z kilku innych. Siedziało przy nim kilkadziesiąt osób. Mama Adama i siostra też przyjechały, tylko Lilki z rodziną nie było.

– Pojechali do rodziców Romana na święta – wyjaśniła Lusia. – Też mi szkoda, że ich z nami nie ma, ale tamci także mają swoje prawa.

– Teraz widzicie, jak potrzebny jest ten wspólny dom – odezwał się Olek. – Przecież palca nie da się tu wcisnąć. Na nocleg pójdziemy do hotelu.

– Ja już przygotowałam u nas kilka posłań – odrzekła Karin, ustawiając na stole ostatnie potrawy. – Nie ma mowy o hotelu, wujku. Pomieścimy się. Rodziców zabieramy do nas.

– Kochana dziewczyna – rozczuliła się Krysia i wyciągnęła ręce do wnuków. – Alusia, Jaś, chodźcie do babci, niech was jeszcze raz uściskam, tak się za wami stęskniłam. – Po chwili tuliła do siebie czupurną parkę.

Pełna życzeń, śmiechów i rozmów, także po niemiecku ze względu na obecność Klause, kolęd, paplaniny dzieci, w domu Marii trwała najliczniejsza jak dotąd Wigilia.

– Słuchajcie, czy ta ziemia, o której mówiliście, to już jest kupiona? – spytał Włodek, przebijając się przez ogólny gwar przy stole.

– Prawie – odezwał się Maksymilian. On też do Berlina przyjechał sam. Zuzanna spędzała święta z rodziną męża. – Potrzeba jeszcze jednej zgody z gminy. Czemu pytasz?

– Bo jest ważna sprawa... – zaczęła Lusia. Coś było w jej głosie, że gwar nagle ucichł. Dziecięca gromadka przy choince, myszkująca w stercie prezentów, też trochę się uciszyła.

– Masz taką minę, Rudzielec – zwrócił się do siostry Maks – że aż boję się usłyszeć, co to za sprawa.

– Po tym, gdy wydzielila się Litwa – mówiła – zaczęliśmy z Władkiem porównywać mapy. Te stare przedwojenne i przebieg nowych granic. Odkryliśmy, że kawałek ziemi, nie więcej niż hektar, który teraz leży po litewskiej stronie, to nasza ziemia...

– Jak to... nasza? – Józek wybałuszył oczy. – Mówże jaśniej, Rudzielec.

– Ostojańska... – chlipnęła. – Reszta została na Białorusi. Wiem, że na Litwie już nigdy nie będzie Polski, choć są Polacy, ale ten skrawek to nasza rodzinna ziemia, uprawiana rękoma naszego ojca, a to dla mnie ważniejsze niż... niż... – nie zdołała dokończyć.

– Chodzi o to – włączył się Władek, gładząc po plecach roztrzęsioną żonę – że teraz, gdy zmieniło się państwo, ten skrawek można by kupić. To raczej nieużytek, domu się tam nie postawi, chyba że mały.

– Pal diabli dom, trzeba kupić tę ziemię za każde pieniądze – zareagował gwałtownie Józek. Po nim też widać było poruszenie, jak i po pozostałych.

– Bezwzględnie popieram – odezwał się Olek. – Trzeba szybko zacząć działać, żeby ktoś nie sprzątnął nam sprzed nosa tego skrawka. Pilnuj go, Nastka. – Wskazał palcem sufit i spojrzał w górę.

– Mamy po Anastazji tyle pieniędzy, że jedno nie kłóci się z drugim – zauważył logicznie Maksymilian. – Jeszcze nie mogę uwierzyć, że chociaż część Ostojanów wreszcie wróci do nas, skoro całość nie może. Jadę tam zaraz po Nowym Roku.

Odzyskanie skrawka Ostojanów rozpaliło rozmowę przy stole na dłużej, wreszcie Joachim zapytał:

– Co to za wielki karton stoi u mamy w pokoju? Chciałem przesunąć, gdy przestawialiśmy meble, ale ani drgnął.

– Peter, Adam, możecie przynieść ten karton? – zwróciła się do wnuków Maria.

Ruszyli obaj do pokoju, skąd po chwili przytargali wielkie pudło.

– Co tam napchałaś, babciu, że takie ciężkie? – Peter stęknął. – Kawał muru?

– Kawał historii – sprostowała. – Będę potrzebowała pomocników. Dzieci – zwróciła się do odświętnie ubranej czwórki. – Wyjmujcie po kolei książki z kartonu i rozdajcie każdemu.

Sama też wzięła do ręki opasy tom w twardej oprawie. Na okładce widniał tytuł *Wiek miłości, wiek nienawiści* i nazwisko autorki: Maria Langer. Do tego pagórkowate pola, złote od łąnów zbóż i łąki niebieskie od przyłasczek. W tle stał biały dom, a przy nim konie.

Wstała i przez chwilę patrzyła na zgromadzonych przy stole. Rodzina. Poszarpana przez los, zmieniająca się wraz z życiem, które jak fortuna kołem się toczy. Tych, którzy już odeszli, zastąpili nowi, ale wciąż trwali. I to było najważniejsze.

Maria odetchnęła głębiej i zaczęła mówić uroczystym tonem:

– Ludzie żyją tak długo, dopóki żyje o nich pamięć. Nie chciałam, aby pamięć o naszych bliskich odeszła wraz z nimi. Dlatego spisałam historię naszej rodziny. Przez prawie sto lat wydarzyło się dużo zła, nienawiści, ale była też miłość. Bo w każdych czasach, nawet najmroczniejszych, ludzie chcą kochać, zakładać rodziny, witać na świecie dzieci, po prostu żyć. Najlepiej, jak się da. Tak jak my. Nie wszystko opowiedziałam w książce. Są takie tajemnice, które zabiorę ze sobą na drugi brzeg. – Pomyślała o zastrzeleniu Hoffenberga i wcześniej tamtych Sowietów. – Ale są też takie, które mogłam częściowo ujawnić. Mówię o Siergieju. Twoje wspomnienia, Maks, też tu są. Swoją drogą mój wydawca chce je wydać w osobnym zbiorze. A dla tych z nas, którzy lepiej sobie radzą z niemieckim – spojrzała na Klause – jest tłumaczenie. Tak więc, kochani, oto moja niespodzianka dla was, nad którą pracowałam kilka lat, pisząc pamiętnik i korzystając z pamiętnika mojego ojca.

– Piękny prezent nam zrobiłaś, Marysiu – powiedziała Lusja. – I to będzie w księgarniach?

– W dwóch językach – odrzekła. – Mój polonijny wydawca namówił mnie na niemiecki przekład. A od nowego roku zaczynam spotkania autorskie.

Rozległy się oklaski, a chwilę później wszyscy z przejęciem wertowali otrzymane książki.

– Pamiętam ten wiersz, ojciec go mówił, gdy byliśmy w Kozielsku – odezwał się Maksymilian. Zatrzymał wzrok na jednej ze stron i zaczął czytać: – „Nienawiść nasz wiek naznaczy. Miłości będzie deptać po piętach. Zepchnie ją w kąt jak kulawą tancerkę i sama ze światem kadryła zatańczy. Skarlała miłość z kąta zapłacze nad losem swym marnym. Aż wiatr jej łzy osuszy, czas chromość uleczy, a wtedy wiosenne suknie włoży, kwiatami

włosy przystroi i ruszy płasem po zgliszczach z nienawiści powstałych...”.  
Wiecie co? – dodał na koniec. – Mam wrażenie, że tak właśnie się dzieje.  
Niesamowite...

Ledwo wybrzmiał jego głos, znudzony Tymek pociągnął Viktorię za rękaw i spytał:

– Mamo, kiedy będą prezenty?

– Ale takie prawdziwe – sprecyzował Szymek, stając obok brata – a nie tylko książki?

Wszyscy się roześmiali.

Był ranek drugiego dnia świąt. Viktoria przepadła dla świata, pogrążona w lekturze. Wręcz czuła, że znalazła się pośród opisanych miejsc i wydarzeń. Zastanawiała ją wszakże jedna sprawa, którą chciała wyjaśnić. Słyszała, jak babcia krzątała się cicho po kuchni.

Ułożyła w wózeku nakarmioną córeczkę, pocałowała główki synków wciśniętych w Adama i stąpając ostrożnie między porozkładanymi na podłodze posłaniami śpiących kuzynów, weszła do kuchni.

– Babciu, przeczytałam do połowy i jestem zachwycona – zwróciła się do Marii, która także w szlafroku piła kawę, zapatrzona w rzednący mrok za oknem. Z kasety rozbrzmiewał wiosenny walc Chopina. – Tylko nie ma tu prawie nic o rodzinie Joachima Langerera ani o Warmii, gdzie ma stanąć ten dom, a przecież twój ojciec stamtąd pochodził. Czemu o tym nie napisałaś?

– Bardzo mało wiem o rodzinie mojego ojca. Wyrzekli się go, ponieważ wolał być Niemcem. Bardzo cierpiał, że tamci go odrzucili.

– Smutne.

– Jeśli chcesz, możesz sama się dowiedzieć czegoś o Langerach. I napisać książkę. Byłaby dopełnieniem mojej. Masz dobre pióro.

– Babciu, kiedy? – zaśmiała się Viktoria. – Przy naszych diablątkach? Oleńka ma buzię aniołka, ale jak się rozedrze, to po całej winnicy się niesie. I wiesz, co mi teraz przyszło do głowy? – Zastanowiła się chwilę. – Przecież my już mamy ten wspólny dom. Tutaj. Ty go stworzyłaś.

Maria słyszała w życiu wiele pochwał, lecz ta była najpiękniejsza. Przytuliła wnuczkę i gładząc jej potargane włosy, spytała:

– Jesteś szczęśliwa, Viki?

– Jak nigdy w życiu.

*Purdka, styczeń 2022 rok*



## Spis ważniejszych postaci

**Maria** – urodzona w 1915 roku w Wilnie nieślubna córka hrabianki Aleksandry Ostojańskiej i pochodzącego z Prus wiejskiego nauczyciela oraz poety Joachima Langerera.

**Anna** – urodzona w 1934 roku w Wilnie nieślubna córka Marii i oficera SS Klausa von Hoffenberga i przysposobiona córka pierwszego męża Marii, Andrzeja Różyckiego.

**Viktoria** – urodzona w 1955 roku w Berlinie córka Anny i Joachima Fishera.

**Joachim Fisher** – Niemiec, mąż Anny, syn jednego z braci Fisherów (Heinza), dawnych wychowanków Joachima Langerera jeszcze z czasów sprzed pierwszej wojny, kiedy mieszkali na Kresach w Małej Oszmiance. Dostał imię po swoim guwernerze. Bratanek Georga Fishera.

**Peter Fisher** – syn Joachima i Anny, brat Viktorii.

**Fredrik Essen** – sympatia Viktorii, syn nazisty.

**Adam Doński** – narzeczony i późniejszy mąż Viktorii, wnuk porucznika Jerzego Dońskiego, który podczas pierwszej wojny przyjaźnił się z rodziną Ostojańskich.

**Siergiej Iwanow** – Rosjanin polskiego pochodzenia, drugi mąż Marii.

**Klaus Hoffenberg** – przyrodni brat Anny, syn oficera SS Klausa von Hoffenberga, którego w 1941 roku Maria zastrzeliła w Wilnie.

**Rudolf Hoffenberg** – dwa lata młodszy od Klausa drugi z przyrodnich braci Anny.

**Ksiądz Aleksander Czerkański** – syn Oleńki Ostojańskiej i jej drugiego męża porucznika Konstantego Czerkańskiego, przyrodni brat Marii.

**Anastazja** – przysposobiona córka Oleńki i Konstantego.

**Kazimierz Czerkański** – przysposobiony syn Oleńki i Konstantego, rodzony brat Anastazji. Drugi z braci, Antoni, zginął w Kozielsku.

**Józef Ostojański** – urodzony w 1914 roku w Wilnie nieślubny syn hrabiego Ksawerego Ostojańskiego (zginął w Kozielsku) i pokojówki Józki, przysposobiony przez Oleńkę Ostojańską, a po jej śmierci przez Lilianę Ostojańską. Przyrodni brat Marii.

**Maksymilian Ostojański** – syn hrabiego Ksawerego Ostojańskiego i jego żony Lilianny, młodszy brat Józka. Owładnięty obsesją odnalezienia grobu brata Jeremiego, który zginął w 1939 roku w drodze do Kozielska.

**Zuzanna Ostojańska** – córka Maksymiliana.

**Krystyna Ostojańska** – żona Józka.

**Jeremi Ostojański** (młodszy) – nieślubny syn Krystyny i jej pierwszej miłości Jeremiego (najstarszego syna hrabiego Ksawerego Ostojańskiego i jego żony Lilianny). Przyniesiony później przez Józka.

**Ksawery Ostojański** (młodszy) – drugi syn Józka i Krystyny. Uciekł do Szwecji.

**Jerzy Ostojański** – najmłodszy syn Józka i Krystyny.

**Karin** – Niemka, przyjaciółka Viktorii, żona Jerzego.

**Aleksandra Rawicz z domu Ostojańska, zwana Luśką** – córka hrabiostwa Lilianny i Ksawerego Ostojańskich.

**Władysław Rawicz** – mąż Luśki, przyjaciel Ostojańskich z czasów konspiracji, zesłany w 1949 roku wraz z Józkiem do Workuty, dokąd później dołączyły Luśka i Krystyna z dziećmi.

**Lilka Ulewicz** – córka Władka i Luśki.

**Wojtuś Ulewicz** – syn Lilki i Jerzego.

**Alicja Ostojańska** – córeczka Jerzego i Karin.

**Jan Ostojański** – syn Jerzego i Karin.

**Tymoteusz i Szymon Dońscy** – bliźniacy Viktorii i Adama.

**Aleksandra Dońska** – córeczka Viktorii i Adama.

### **Postaci prawdziwe występujące w książce prócz tych powszechnie znanych:**

Elisabeth Hecker

Renate March Potocka

Marion von Dönhoff



## Od autorki

To już ostatni tom sagi *Wiek miłości, wiek nienawiści*. Przyznam, że trochę mi żal rozstawać się z bohaterami, z którymi się zżyłam. Saga jest inspirowana losami mojej kresowej rodziny. O ile w płaszczyźnie fabularnej wątki prawdziwe mieszają się z fikcyjnymi, o tyle tło, na którym rozgrywają się wydarzenia na przestrzeni prawie stu lat, jest prawdziwe. Staralam się wiernie oddać ducha epoki. Jeśli mi nie wyszło, przepraszam.

Nie byłoby tej sagi, gdyby przed kilku laty nie namówiła mnie do jej napisania Anna Derengowska, wiceprezes Zarządu Prószyński Media Sp. z o.o., moja redaktor prowadząca. Wahałam się przez rok, nim podjęłam wyzwanie. I nie żałuję. Dla mnie, pasjonatki historii i dziennikarki, tworzenie poniekąd powieści historycznej okazało się wielką przygodą.

Dziękuję, Aniu, że mogłam tego doświadczyć.

Ostateczny szlif redakcyjny wszystkim tomom, podobnie jak pozostałym moim książkom, nadała Ewa Witan, za co także pięknie dziękuję. Jesteś nieoceniona, Ewo.

Podziękowania należą się również Elżbiecie Kwiatkowskiej i Mirze Olejarskiej z wydawnictwa Prószyński za niezmiernie wartościowe działania promocyjne oraz pozostałym osobom, których nie jestem w stanie wymienić, a które przyczyniły się, że powieści w takim kształcie trafiły do rąk Czytelników, gdyż praca nad książką to działanie zespołowe.

Podczas pisania sagi, oprócz źródeł bibliotecznych lub internetowych, korzystałam z porad konsultantów, którym serdecznie dziękuję za okazaną pomoc:

Historykowi Tadeuszowi Baryle z Instytutu Północnego w Olsztynie, z którego wiedzy czerpałam od pierwszego tomu. Doktorowi Grzegorzowi Wołkowi z IPN w Warszawie za cenne informacje oraz nadesłane dokumenty. Sędziemu Olgierdowi Dąbrowskiemu-Żegalskiemu z Sądu Okręgowego w Olsztynie za doradztwo z przepisów prawa karnego, które

obowiązywały na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Jeśli coś pokręciłam, biorę winę na siebie, Panie Sędzio. Mojemu redakcyjnemu koledze z Polskiego Radia w Olsztynie, Mirkowi Sochackiemu, którego przez ponad dwa lata zameczałam pytaniami o kolory mundurów, rodzaje broni i co było związane z militariami. Dzięki, Mirek, gdyby nie Ty, pewnie do dziś nie odróżniałabym tetetki od nagana.

Jak najpiękniej potrafię, dziękuję Pani Renate Marsch-Potockiej, akredytowanej w Polsce od połowy lat sześćdziesiątych XX wieku byłej korespondentce niemieckiej agencji DPA, za użyczenie do książki swojego nazwiska i postaci. To Pani Renate przez lata relacjonowała z Warszawy na Zachód przełomowe wydarzenia, jakie działy się w Polsce od 1965 roku do połowy lat dziewięćdziesiątych. Jej biuro przy ul. Saskiej 7A na warszawskiej Saskiej Kępie pełniło funkcję nieformalnego miejsca spotkań i giełdy informacji. Bywali tam m.in. Jacek Kuroń, Bronisław Geremek i Władysław Bartoszewski, z którym się przyjaźniła. Od razu nadmienię, że wątek Jacka Kuronia, który pojawia się w powieści, stanowi w większości fikcję literacką, podobnie jak sfabularyzowanie postaci Pani Renate. Nestorka dziennikarstwa po przejściu na emeryturę nie wróciła do Niemiec, tylko osiadła na Mazurach. Mówi, że ma dwie ojczyzny. Polskę i Niemcy. Kiedy widziałyśmy się latem zeszłego roku, powiedziała, że była świadkiem wielu ważnych wydarzeń w Polsce, ale powstanie Solidarności stanowiło punkt zwrotny, który doprowadził do upadku żelaznej kurtyny i zjednoczenia Europy.

Droga Pani Renate, poznać Panią osobiście stanowiło dla mnie zaszczyt. Jestem pod wielkim wrażeniem Pani ogromnej wiedzy, doświadczenia, życzliwości oraz pogody ducha.

Pani Renate w domu, gdzie mieszka, opiekuje się izbą pamięci poświęconą Marion von Dönhoff. To kolejna prawdziwa postać, która występuje w powieści, choć wątki dotyczące fabuły również stanowią fikcję. Zależało mi na przypomnieniu sylwetki urodzonej w Prusach Wschodnich hrabianki, niemieckiej dziennikarki, społeczniczki, współwydawcy tygodnika „Die Zeit” oraz autorki ponad dwudziestu książek. Prusy opuściła w styczniu 1945 roku, uciekając konno przed nadciągającą Armią Czerwoną. Tę siedmiotygodniową ucieczkę opisała później w książce *Nazwy, których nikt już nie wymienia*. Marion von

Dönhoff działała na rzecz pojednania Niemiec z krajami Europy Wschodniej.

Prawdziwą postacią jest także Elisabeth Hecker, lekarka, która w czasie wojny kierowała Kliniką Psychiatrii Dziecięcej w Lublińcu. Ceniona także po wojnie, Hecker nigdy nie odpowiedziała za zbrodnie popełnione na dzieciach w Lublińcu. Przytaczając ten wątek, korzystałam z artykułu *Kiedy lekarze byli mordercami*, który powstał ze wspólnej inicjatywy Deutsche Welle, Interii i Wirtualnej Polski. Szczególnie okrutnym miejscem było właśnie przytoczone Torgau.

Pragnę też podziękować recenzentom, blogerom, patronom i czytelnikom. Jestem wdzięczna za wszystkie słowa uznania o mojej sadze. To dla mnie najlepsza nagroda.

*Wioletta Sawicka*

# Spis treści

## CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I. Serce z bursztynu

Rozdział II. Jedno miasto, dwa światy

Rozdział III. Spotkanie

Rozdział IV. Coś za coś

Rozdział V. Śmierć dyktatora

Rozdział VI. Wiatr zmian

Rozdział VII. Znowu wojna?

Rozdział VIII. Przedzieleni

## CZEŚĆ DRUGA

Rozdział IX. Nasze matki, nasi ojcowie

Rozdział X. Ryzykowna decyzja

Rozdział XI. Powrót do Lorelei

Rozdział XII. Cierpkie winogrona

Rozdział XIII. Szach-mat

Rozdział XIV. Tyle jeszcze przed nami

Rozdział XV. Długi cień przeszłości

Rozdział XVI. Prezent na święta

Rozdział XVII. Za żelazną kurtyną

Rozdział XVIII. Młodsze pokolenie

Rozdział XIX. Katyń pamiętamy

Rozdział XX. Persona non grata

Rozdział XXI. Ten, którego kocham

Rozdział XXII. Mąż i żona

Rozdział XXIII. Będę na ciebie czekać

Rozdział XXIV. Bardzo długie zimy

Rozdział XXV. A mury runą...

Spis ważniejszych postaci

Od autorki